
UNIVERSITY OF TORONTO
3 1761 01505640 1

ROZPRAWY I SPRAWOZDANIA.

ST. TARNOWSKI.

STUDYA DO HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ.

WIEK XIX.

ROZPRAWY I SPRAWOZDANIA

TOM IV.



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1898.



W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

I.

CO U NAS O KOCHANOWSKIM PISANO.

Przez trzy wieki cośmy i wiele o Kochanowskim pisali? Ileśmy się zajmowali tym, którym chlubiliśmy się stale; ile zadaliśmy sobie trudu, żeby jego dzieła przechować naprzód, następnie zgłębić, a żywot i duszę jego poznać? Oto pytanie, które się samo nasuwa w chwili, kiedy trzechsetną rocznicę jego śmierci z wdzięczną pamięcią obchodzimy [1]. Odpowiedź nie będzie tak dla nas zaszczytną i przyjemną, jakby tego nasza miłość własna pragnęła, a nasza dla Kochanowskiego wierna cześć, i sprawiedliwość sama wymagała. O Dantem lub Göthem napisali tyle nie sami ich rodacy, ale i cudzoziemcy, że z dzieł tych możnaby złożyć osobną bibliotekę; Kochanowski nie ma tego, co tamci, znaczenia dla całego świata, i niedziw, że pomylił się w nadziejach poeta, kiedy liczył śmiało, że o nim wiedzieć będą Anglikowie,

I Niemiec, i waleczny Hiszpan; mnie poznają,
Którzy głęboki strumień Tybrowy pijają.

A choć i ci mogliby wiedzieć więcej, to smutniejsza, że i swoi Polacy choć pamiętają wiernie, to wiedzą o nim nie dosyć. Szanowali i kochali i czytywali go zawsze, ale zapisywali o nim niewiele; a przestając na tem, co dziedzicznie jedno pokolenie podało drugiemu, nie byli ciekawi dowiedzieć się więcej. Zróbmy przecież inwentarz tej literatury o Kochanowskim. Przydać się on może, bo pokaże, jakie o poecie wiadomości i jakie zdania pozostały do dziśdnia takiemi,

---

[1]) Zeszyt sierpniowy *Przeglądu Polskiego* z roku 1884, cały poświęcony Kochanowskiemu, składał się z prac różnych autorów.

jakiemi były w dniu jego śmierci, a które znowu przybyły lub się zmieniły. Pokaże jak zrazu, i długo, bo przez dwa wieki czytywaliśmy go i cenili, ale nie badali; jak później zaczęliśmy zastanawiać się nad naturą, charakterem i pierwiastkami jego talentu, i zdaliśmy sobie wreszcie sprawę z tego, co go robi i prawdziwie wielkim i dla nas tak drogim; jak wreszcie wzięliśmy się do tego, żeby go zgłębić i stosunek jego do innych starego czy nowego świata poetów, do współczesnych spraw i idei, żeby wreszcie koleje jego życia i drogi jego myśli rozpoznać, i jak w tej robocie posunęliśmy się przecie naprzód. Zrazu powtarzają się długo zawsze tesame a zawsze skąpe wiadomości o życiu i pismach poety, obok silnego zrazu, im dalej tem słabszego wpływu jego na poetów późniejszych. Za Stanisława Augusta zajęcie staje się żywszem; nie rozszerza się zakres wiadomości, ale objawia się dążność do rozumowego, ugruntowanego sądu o Kochanowskim. Dążność ta, a obok niej i silniejszy znów na niektórych przynajmniej poetów wpływ i nowem tchnieniem ożywiona miłość starego poety rosną; w Brodzińskiego literackich studyach i w jego poezyi, w pani Hoffmanowej powieści dochodzą do charakterystycznego nader wyrazu, a w Mickiewicza Kursach Literatury Słowiańskiej do rzeczywistego i doskonałego wytłómaczenia poezyi Kochanowskiego, jej istoty, pierwiastków, znamion i zalet. Po tym znacznym kroku naprzód następują lata nowej przerwy czy wypoczynku, w których historycy literatury nic dodają nic nowego ani własnego do znajomości Kochanowskiego, ale bądź innemi słowami powtarzają to co Mickiewicz powiedział, bądź sadząc się na sąd koniecznie własny i odmienny, wpadają w sądy błahe i mylne. Z czasem jednak otworzyły się oczy; obudziło się przekonanie, że charakterystyka ogólna choćby gienialna nie wystarcza, ale że powinna być sprawdzoną i popartą dochodzeniem faktów, stosunków i wpływów, wiodącem do zrozumienia w Kochanowskim i artysty, i psychologicznego, i historycznego człowieka. Zaczął się okres badań, a pierwszym jego znakiem granicznym jest p. Józefa

Przyborowskiego *Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego.*

I.

Nie zamierzamy spisem tym obejmować tych wzmianek o Kochanowskim lub jego pochwał, jakie się za jego życia u współczesnych autorów zdarzają; od owego pierwszego wierszyka, którym według podania Rey miał przywitać jego piękną pieśń z Paryża przysłaną; od tego drugiego, którym go wychwala w Zwierzyńcu, znalazłoby się dosyć podobnych dowodów jego niemałej za żywota sławy. Ale nie tego mamy tu szukać, co o nim współcześni myśleli, tylko tego, co pisali potomni. Dlatego też nie naszem jest i to — wdzięczne bardzo — zadanie, żeby po archiwach dochodzić w listach śladów jego z ludźmi stosunków i przyjaźni, lub do wypadków jego życia objaśnień. I wpływ, jaki na następnych poetów wywarł, nie należy tu do rzeczy. Wystarczy powiedzieć, że był silny bardzo, skoro z najbliższych jedni zupełnie styl, język, wiersz i nawet pomysły jego przyswoić sobie usiłują (Grochowski i poniekąd Miaskowski, Górnicki w Trenach na śmierć żony) — inni (Wiszniewski) w niewolniczem naśladowaniu aż do śmieszności dochodzą — jeszcze inni, zdolniejsi (Szarzyński) na nim się widocznie kształcą, a nawet rodzajem odmienni a talentem świetni — jak Szymonowicz — pomagają sobie często jego rymami i zwrotami [1]). Na późniejszych długo ten wpływ działać będzie i echo *Trenów* i *Fraszek* przeciągnie się do końca XVII wieku, ba, może aż do Kniaźnina. Ale nie o to tu chodzi, co zrobił Kochanowski w późniejszej literaturze poetycznej, tylko o to, co literatura prozaiczna, historyczna lub krytyczna zrobiła dla niego, a raczej dla naszej o nim wiadomości.

---

[1]) Te *pożyczki* Szymonowicza u Kochanowskiego wykazuje bardzo starannie p. Stanisław Węclewski w swojem wydaniu *Sielanek*. Chełmno 1864.

Któż więc i kiedy pomyślał o tem pierwszy, żeby nam jakieś o nim podanie przekazać? Kto spisał to, co o nim pamiętał lub wiedział? Niestety, żaden współczesny pamiętnik, żaden życiorys choćby najkrótszy nie przychodzi nam na pomoc. Z przyjaciół poety, a było ich tylu uczonych i piszących, z krewnych jego nawet, którzy także przecie piórem się bawili, żaden nie pomyślał o tem, żeby napisać jego żywot choć taki, jaki Reyowi poświęcił Trzycieski. Nad grobem jego musiała jakaś odezwać się mowa, a w niej były zapewne jakieś o życiu wspomnienia; ale pogrzeb odbywał się w Zwoleniu, na partykularzu, któż tam mógł z mową wystąpić? Czy zjechał który z uczonych i głośnych duchownych, pośród których poeta miał wielu znajomych i przyjaciół, czy też tylko miejscowy proboszcz, a co najwięcej zaproszony mnich z Sieciechowa, powiedział taką, która wykształconym słuchaczom nie wydała się (jeżeli była) godną przedmiotu i druku; z przyjaciół lub krewnych czy przemawiał który? Jakoś ten obyczaj mów świeckich przy pogrzebach w wieku XVI nie musiał być chyba tak rozwiniętym jeszcze, jak w następnym, a ten już z mody wychodził, który około połowy wieku kazał naszym humanistom pisać szumne nekrologi pod formą oracyi. Gdybyśmy mieli choć taką mowę *in funere* Jana Kochanowskiego, jaką o Zygmuncie Starym napisał Orzechowski, gdyby choć taki żywot, jak hetmana Tarnowskiego, gdyby taką mowę jak ta, którą na pogrzebie brata Kaspra miał sam Kochanowski, dziękowalibyśmy dziś Bogu i autorowi. Tymczasem podobnego nie zrobili współcześni nic; po śmierci Kochanowskiego mówią oni o swoim smutku i żalu, a nie o Kochanowskim, nawet jego ostatnich chwil, szczegółów o śmierci i pogrzebie nie zapisali jak należy.

Wspominają go rzewnie i szanują bardzo, a tego żalu i czci wyrazem i świadectwem są wiersze i wydawnictwa dzieł jego. Już w roku 1584, zatem zaraz po śmierci poety wydał Stanisław Niegoszowski w Krakowie u Łazarza, Zbiór epigramatów łacińskich Myszkowskiemu przypisany, na zgon Kochanowskiego, który „w czterdziestym drugim“ (sic) roku

życia przedwcześnie zeszedł. Pomniejsze wierszyki i wzmianki, jak Paprockiego naprzykład, opuścić tu musimy. W roku następnym, zatem pod świeżem jeszcze wrażeniem wydał Klonowicz *„Żale nagrobne na śmierć poety zacnego“*, a choć poezya do przedmiotu naszego nie należy, źleby było pominąć pierwszy hołd, jaki ona na grobie tego swojego ojca złożyła.

Trzynaście *Żalów* — powiedzmy lepiej *Trenów,* bo o tych Klonowicz myślał, kiedy swoim dla odróżnienia dawał nazwę inną, Treny więc o poecie Trenów, są niezaprzeczonem, nie zbyt przecie widocznem, ale i nie zbyt zgrabnem naśladowaniem niezrównanego wzoru. Nie powtarzają wyraźnie myśli Kochanowskiego, nie trzyma się Klonowicz jak Wiszniewski tego samego tych samych myśli porządku, ale jedną myśl, jedno porównanie, jeden szczegół z Trenów rozciąga za pomocą różnych waryacyj i tautologii tak, że mu na cały długi Żal wystarczy. Sam i talentu i zwłaszcza smaku ma nie wiele, a wiersz jego wcale niezgrabny, styl czasem aż do śmieszniości nieudolny, naprzykład kiedy w patetycznem rozżaleniu zwraca się do łabędzi i winszuje im, że

„sami nagrobne żale własnym nosem
I żałobliwym wyprawiacie głosem“.

Przecież te żale miłe są i nie bez wdzięku, przez uczucie jakie w nich jest, przez szczere, gorące uwielbienie Kochanowskiego i przez skromne o sobie samym mniemanie.

Ale mi nie maluj żaden dowcipu boskiego,
Tylko po zacnem pisaniu znaj Kochanowskiego.
Jam się też tu prawie zerwał z motyką na słońce,
Tylko rymem zawiązując u wierszyków końce;
Śmiałym mnie chuć uczyniła; acz to mała śmiałość
Płakać cnotliwych po śmierci, owszem więtsza żałość.
Żałuje Polaka Polak, a w cudze strzemiona
Wstępuje Teokrytowe, gdzie płacze Biona.
Przełóż, o szczęśliwa duszo, te wiersze na grobie,
Przyjmij z wdzięcznością odemnie, albo wstań, pisz sobie.

Ten zwrot ostatni, wezwanie do Kochanowskiego, żeby sobie sam Treny napisał, jeżeli chce żeby były dobre, ma nawet niemały wdzięk naiwności, niespodziewanego pomysłu i trafności. Zupełnie, a jak na Klonowicza dziwnie ładny, bo i uczucia w nim dużo i forma jak rzadko u niego staranna i wykwintna, jest Żal Piąty.

Ale oprócz uczucia współczesnych względem zmarłego poety, cóż my więcej z tych wierszy rozpoznać możemy? O nim nie dowiemy się nic zgoła; ale wyrozumieć z nich przecież możemy i sąd tych pisarzy o Kochanowskim i przekonać się, że go nietylko podziwiali, nietylko słusznie mieli za pierwszego i nieskończenie wyższego od siebie poetę, ale że sobie dobrze zdawali sprawę z tego, co on dla poezyi polskiej, dla ojczyzny swojej zrobił. Zapewne przesadza Klonowicz, kiedy w Żalu VI nazywa Kochanowskiego polskim Sofoklesem, Maronem, Owidiuszem i Teokritem, Horacym i Tibullem i Juvenalem razem; ale wielostronność jego talentu obejmuje, a wzory jego wskazuje trafnie, kiedy mówi:

Nasz zasię poeta lacki, poeta ze wszytkiem
Nie bawił się i w piśmie swojem bałwochwalstwem brzydkiem,
Z Królem i z Prorokiem śpiewał dobroć nieprzeżytną
Boga Zastępów, brząkając w arfę dziewięćnitną,

a potem chwali go, że „najpierwej śmiał napoić słowiańskie kameny w Pegazowym zdroju i za onymi poetami torem iść bezpiecznym, jak Flaccus w obyczajach i wierszach przykładny (sic!), dworski jak Martialis, jak Juvenal (choć rzadko) dotkliwy, a jak Propercyusz i Tibullus miłosny“. Niema co mówić, w krótkich słowach wiele i rozumnie powiedziano, a to określenie Kochanowskiego może stanąć za dowód, że współcześni znali dobrze zakres poezyi Kochanowskiego i do właściwych źródeł odnosić ją umieli.

Ale w tym samym roku, kiedy Klonowicz wydawał swoje Żale, wychodziły też i dzieła tego, którego on opłakuje tak szczerze. Widzi się prawie jak to było: Wdowa, dotknięta niespodziewanem nieszczęściem, miała sobie za

święty obowiązek i za jakąś pociechę, zrobić co mogła dla pamięci i dla sławy męża. W pustej jego izbie przesiadywała zapewne długie godziny robiąc, jak każdy w takich razach, smutny inwentarz rzeczy, które człowieka przeżyły, a z których każda jest lepszych czasów świadkiem i pamiątką. Jedne wiersze przypominały jej dziewczęce jeszcze lata, inne stawiały żywo przed oczy tę lub ową wesołą czy bolesną chwilę wspólnego życia; innych wcale może nie znała; ile tam łez popłynęło przy przeglądaniu tych papierów! Odrazu musiała jej przyjść myśl, że je zebrać i wydać powinna; słyszała niezawodnie i nieraz męża mówiącego, że je wydać chce. Ale jak się do tego wziąć? które ogłaszać trzeba lub można? które on do druku przeznaczał, które nie, w tem już swojej pamięci ani jego woli pewna nie była. Któż jej poradzi? i pomoże zrobić tak, żeby było dobrze i wedle intencyi nieboszczyka? Drukarz a zarazem znajomy tak dobry, że prawie przyjaciel męża, syn sławnego Łazarza, z którym się przecie poeta — to pamiętać musiała — już o wydanie dzieł swoich umawiał. Nastąpiło zatem — domysł jest prosty — krótsze lub dłuższe znoszenie się i naradzenie między Dorotą Kochanowską a Janem Januszowskim. Drukarz był myśli zmarłego świadom, sławie jego życzliwy; czy pomiarkował zarazem, że wydanie dzieł świeżo po śmierci autora może być i zyskownem przedsięwzięciem? jeżeli tak i było, niema czego brać mu za złe; dość, że w skutku tych narad pozostałe pisma poszły pod prasę, a czasu znać nie tracono, skoro już 12 grudnia 1585 roku drukarz mógł do gotowego dzieła podpisać przedmowę z dedykacyą Janowi Myszkowskiemu, synowcowi Piotra płockiego biskupa, przyjaciela niegdyś i mecenasa zmarłego poety.

Przedmowa ta (przedrukowana świeżo w drugim tomie warszawskiego pomnikowego wydania dzieł Kochanowskiego) jest pierwszem, jakie się po jego śmierci otworzyło, źródełkiem jakich takich o nim wiadomości? Czego się z niej dowiedzieć można? prawie niczego, bo życiorysu nie podaje najmniejszego. Przecież i to dobre, że zapisuje w niej Januszowski, jako Kochanowski z nim się o wydanie pism

swoich umawiał, że co do Fraszek była między nimi różnica, bo drukarz chciał niektóre wyrzucać, co się autorowi nie zdało, „bo to (żart?) jest jakoby dusza ich", przeto prosił, żeby im „teraz przepuszczono;" że wreszcie żonę Kochanowskiego, przez późniejszych czasem na Annę przechrzczoną, wyraźnie Dorotą nazywa. Tyle u niego pragmatycznych wiadomości. Oprócz tych zaś znowu, jak u Klonowicza, świadectwo zgodnej i na słusznem przekonaniu opartej czci dla, Kochanowskiego. „Gdzie kiedy w polskim narodzie, albo rzekę śmieley w północnym kraiu wszystkim był taki poeta zacny? Gdzie kiedy w Polsce śmiał sye kto zetrzeć z onymi Poety tak greckimi iako y łacińskimi, co rymi swemi bogi z nieba zwabiali, iako ten?... Było za czasów naszych poetów dosyć znacznych w Polszcze, tak iest; ale przedsię acz z tych każdy miał y ma swą pochwałę, ten iednak — przeszedszy swe godnością y obcych dosiągł... Co kto weźmie, gdzie weyźrzy, naydzie sye czemu podziwić y z czego sye ukochać". Zdanie, któreby każdy i dziś podpisał, którego wszystkie badania i odkrycia późniejsze nie osłabiły, ale zawsze zdanie tylko.

Pierwszą cokolwiek obszerniejszą wiadomość historyczną, pierwszą biografię Kochanowskiego przynosi dopiero rok 1612, w bezimiennej przedmowie do wydania *Joannis Cochanovii Lyricorum,* w Krakowie, ex officina Andreae Petricovii. Biografia ta stała się podstawą, a na nieszczęście i kresem tego, co u nas przez wieki o życiu Kochanowskiego wiedziano. Niewiadomy autor zapisuje tu nazwiska jego rodziców, urząd ojca, herb rodzinny, miejsce urodzenia i rok, mylnie, bo 1532, którąto pomyłkę jego następcy wiernie powtarzają. Mówi, że ojca stracił Kochanowski w pacholęcym jeszcze wieku, że matka była starego obyczaju i znakomitej cnoty niewiastą, która syna tego wraz z p i ę c i o m a braćmi w surowej karności chowała. Po początkowych (tak ogólnie) naukach we własnym kraju jechał Kochanowski do cudzych, a mianowicie (mylnie) do Niemiec i Francyi naprzód, a po siedmioletnim dopiero tam pobycie do Włoch, gdzie znowu lat kilka *(aliquot)* w Rzymie i w Padwie ma przebywać.

Wspomina o stosunkach z Robortellem i Manucyuszem, za towarzyszy i współuczniów daje mu trafnie Fogelvedera i Patrycego, mylnie Zamoyskiego i Górnickiego. Kiedy do Polski powrócił, nie mówi, ale osadza go zaraz za protekcyą Padniewskiego w kancelaryi królewskiej i wysyła w charakterze posła nietylko do sejmików, ale „częstokroć i do zagranicznych książąt" *(saepius ad exteros principes)*. Podanie oczywiście niepewne, bo gdyby było prawdziwem, niebyłby Kochanowski w wierszu *do Gór i Lasów* (Fraszki ks. III, 1), gdzie różne koleje swego życia wspomina, o tych do zapomnienia niepodobnych zamilczał. Padniewski, a po nim natarczywiej Myszkowski, namawiali Kochanowskiego do stanu duchownego, ostatni spuścił mu dla większej zachęty swoje probostwo poznańskie i inne beneficya u króla wyrobił, ale młodzieniec próżen ambicyi, do wolności swojej przywiązany, do surowości życia kapłańskiego nie skłonny, a udawanie za rzecz niegodziwą uważający, gdy prócz tego dworskie obyczaje mniej mu do smaku przypadały, spokój swój nad infuły i purpury przeniósł. Król Stefan za Zamoyskiego staraniem chciał mu dać 1200 złotych rocznej płacy, byle go mieć w kancelaryi. Sieciechowscy zakonnicy zawsze za wpływem tego samego mecenasa (co mylnem być musi, bo przed ożenieniem Kochanowskiego wpływy Zamoyskiego tak potężne jeszcze nie były) ofiarowali opactwo; ale on o to wszystko nie dbając, ożenił się bezzwłocznie *(nihil cunctatus)*. Ożenił się z Podlodowską, ale jak jej było na imię, tego biograf nie mówi, ani też roku ożenienia (jak w ogóle dat) nie podaje. Następuje potem wiadomość a nadanej kasztelanii połanieckiej, której poeta nie przyjmuje, bo się boi, żeby kasztelan nie zjadł tego co Kochanowski posiadał; wiadomość o ziemskim urzędzie Wojskiego: i wreszcie nagła śmierć w Lublinie bez dnia, bez miesiąca, bez roku nawet, a tylko z lat, których liczy Kochanowskiemu 52, dojść można, że umarł w r. 1584, skoro rodzić mu się kazał w 1532, grób w Zwoleniu, sześć córek i syn pogrobowy (bez imion) uzupełniają te wiadomości.

Bardzo skąpe a po części błędne, na długo zostały one jedynemi. Od tej biografii przejdzie lat piętnaście, zanim kto znowu o życiu Kochanowskiego coś napisze, a wspomnień szukać trzeba chyba u poetów.

Miaskowski wprawdzie Rytmy swoje wydał po raz pierwszy w roku dopiero 1612, ale liczył już lat 35, kiedy Kochanowski umierał, a jego *Lutnia Jana Kochanowskiego wielkiego poety polskiego* ma taką cechę świeżego wrażenia i wzruszenia, że musiał ją chyba dużo wcześniej, może jak Klonowicz zaraz po śmierci poety napisać. Wiersz to ładny, w którym Lutnia osierocona po swoim poecie nie wie, co począć, komu się oddać w ręce,

threu tylko po nim w głuchey kniey śpiewa,

ale zapowiada razem, że

Pierwey do Pontu Dunay dnem uciecze
Y Wiślnym grzbietem ustaną komiegi;
Pierwey w gorącym Lwie upadną śniegi
Niżli kto nadeń w me struny łagodniey
Uderzy, y wiersz na świat poda godniey.

Potem zaś pyta pięknie i słusznie:

Kto u nas kiedy Słowieńskiemi słowy
Doszedł tak blisko Arfy Dawidowej?
A Antenora y wieszczkę Trojańską,
Którą Sofokles na scenę pogańską
Wprowadził, kiedy żałośniey i snadniey?
Ja nie wiem: y ty równego mu zgadnij!
Komu nie póydą z oczu łez strumienie,
Kiedy Oycowskiey miłości płomienie
Nad lichą trumną córeczki wyraził? i t. d.

Piękny jest widok tych poetów, jak płaczą za swoim mistrzem, i dziwnie tylko, że w tym chórze głosu Szymonowi-

cza nie słychać. Czy większy od innych tak się może czuł Kochanowskiego blizkim, że aż sobie zazdrosnym być pozwolił? Nie sądzę, a choć niewyraźnie, zdaje mi się, że i on odzywa się z żalem podobnym. Bo i o kimże innym mógł on myśleć, kiedy w dziewiątej sielance skarżył się przez usta Kosarza, że

...... wszystko się pomyka
Na dół. Zginęli dawni dobrzy kantorowie,
A miasto nich lada kto muzykiem się zowie i t. d.

Jeżeli nie do Kochanowskiego wyłącznie, to w każdym razie do niego głównie muszą się te słowa ściągać. Wzmianek podobnych, u poetów czy prozaików, znalazłoby się wiele pod koniec XVI wieku, ale wiadomości niema ani wtedy, ani w początkach wieku XVII.

Ale przyszedł wreszcie czas, a raczej może znalazł się tylko człowiek, który zrozumiał, że warto jest i potrzeba zbierać wiadomości o polskich pisarzach. Starowolski ze swoją pochopnością do pisania, z tą rzutkością czy przedsiębiorczością, która kazała mu pisać w tylu odległych od siebie materyach, może w swoich zagranicznych podróżach zachęcony przykładem obcego jakiego dzieła, wydał w r. 1627 w Wenecyi *Scriptorum Polonicorum Hecatontas*. Pierwszy to u nas zawiązek na historyę literatury, pierwszy zbiór wiadomości o życiu i dziełach aż stu pisarzy, przeto choćby za sam zamiar należy się autorowi wdzięczność i uszanowanie. Wykonanie, co prawda, nie tak dobre jak zamiar. Gdyby zamiast na każdego z tych pisarzy pisać osobny wiersz łaciński lub przepisywać cudzy, Starowolski był sobie zadał wdzięczniejszą pracę zebrania tego, co o nich w ludzkiej pamięci lub w pismach znaleść się mogło, byłby może zdołał, on bliższy czasem, oddać nam wielką usługę. Ale dla swojego, nie dla naszego on wieku pisał, i to pisał co w tamtym jednało mu sławę; łamał sobie głowę nad wierszami, a o wiadomości mniej się troszczył. I za to co zrobił, należy mu się wdzięczność; jednak i największa nie zdoła zaprzeczyć tego, że

te jego życiorysy są po większej części wyciągane z innych, a ogólnikowych bardzo i niedostatecznych. Żywot Kochanowskiego mianowicie jest nie już powtórzoną, ale dosłownie przepisaną owego bezimiennego biografa przedmową do wydania *Lyricorum* z r. 1612, z temi samemi dosłownie błędami, do których drukarz dodał jeszcze jeden od siebie, ten — że za rok urodzenia Kochanowskiego podał 1552! Starowolski zaś do wiadomości swego poprzednika dodaje tylko spis łacińskich i polskich pism Kochanowskiego (tytuły tych ostatnich na łacinę przełożone), spis niedokładny, bo niema w nim naprzykład *Odprawy Posłów*, *Zgody*, *Wróżek* i t. d., i dodaje wzmiankę o Kochanowskiego braciach, o Mikołaju tłómaczu *Eneidy!* i o drugim bracie (!) Piotrze, tłómaczu *Jerozolimy* Tassa.

Czy to dosłowne przepisywanie rzeczy dawniejszej mamy uważać za literacką nieuczciwość Starowolskiego? Nie, jemu chodziło o to, żeby te żywoty stu pisarzy razem złożył i wydał, nie o to, żeby je sam koniecznie napisał. Byłby lepiej zrobił zapewne, gdyby był przy Żywocie Kochanowskiego przestrzegł czytelnika, że to prosty przedruk; ale dawne czasy miały pod tym względem mniej czujne sumienie, a co dziś u dzienników nawet uważane jest za zły obyczaj i złym tylko jest pozwolone, to w owym wieku uchodziło poważnym ludziom i książkom.

Ta powtórnie już napisana pierwotna biografia Kochanowskiego, pozostanie znowu na lat sto z górą całym zapasem naszych o nim wiadomości. Pracy o nim, choćby tak małej jak dotychczasowa, nie będzie przez ten czas już żadnej; wpływ jego tylko na poetów nie ze wszystkiem ustanie, i u poetów także zdarzą się o nim czasem wzmianki. Kochowski naprzykład w wierszu *Poetowie Polscy* nazywa Kochanowskiego ich hetmanem, a w pierwszej księdze Liryków widzi się zmuszonym brać go w obronę. Znać, jak dziś dążność antikatolicka radaby dowieść, że człowiek znakomity katolikiem być nie mógł, tak za jego czasów katolicka znowu gorliwość gorszyła się z niektórych wierszy, a zwłaszcza Fraszek, i jak dziś stawiała się kwestya, czy

Kochanowski był lub nie był naprawdę katolikiem. Głównemi argumentami były jak dziś niektóre przytyki do księży, a zwłaszcza (tłómaczony) epigram na Papieża. Kochowski zabiera głos w tej sprawie i kruszy kopię w obronie prawowierności Kochanowskiego.

Robi nas przez to świadkami niejako początków tego sporu, który się do naszych czasów przeciąga, sporu o religijne Kochanowskiego przekonania i stanowisko. Kto pierwszy posądził go lub oskarżył o skłonność do protestantyzmu? Oloff mówi, że Sarbiewski, ale ani jednego słowa Sarbiewskiego na poparcie tego twierdzenia nie przytacza. Że Jezuici prześladowali Kochanowskiego po śmierci, że niszczyli jego łacińskie elegie, że dzieła jego były na Indexie, to są wieści, które dziś częściej niż dawniej słyszeć można, ale dowodu na nie nie słychać. Jeżeli istotnie zbyt niekiedy wolne żarty Kochanowskiego sprawiły, że istotnie stał na Indexie (czego sprawdzić nie możemy), to ciasne pojęcie rzeczy u katolików ówczesnych zaszkodziło ich sprawie na długo, bo dało powód nieprzyjaciołom do zaliczania Kochanowskiego między różnowierców. Ale komu odpowiada Kochowski? przeciw komu go broni? czy zbyteczna, źle zrozumiana żarliwość i surowość katolicka, czy też protestantów chęć przywłaszczenia sobie Kochanowskiego natchnęła mu tę apologię za *Janem Kochanowskim poetów polskich wodzem, którego niektórzy rozumieją być heretykiem?* Ta bezprawna anneksya mogła Kochowskiego oburzyć, jak mogła go rozgniewać (jeżeli była) niesprawiedliwość katolików. Że protestanci chcieli gwałtem Kochanowskiego zagarnąć, to pewna. Wszakże Regenvolscius w dodatku do swego *Systema Historico Chronologicum Ecclesiarum Slavonicarum* z roku 1652, wyliczając znakomitych pisarzy polskich swego wyznania bez ceremonii mieści w tym spisie i Kochanowskiego. Czy nie jemu, albo jemu podobnym, albo takim, którzy łatwowiernie przekonywać się dawali, odpowiada Kochowski swoim wierszem? W każdy razie odpowiada dobrze:

Żałuję twej Janie doli,
Która mnie jak własna boli,
Obmownym że cię językiem
Udają być heretykiem,
Jakobyś Pańskiej owczarnie
Odstąpiwszy, uwiązł marnie
W błędach Lutra czy Kalwina —
Jakto błądzić nie nowina.
Więc cię bronię, żeby ludzie
Nie wierzyli tej obłudzie.
W której żywot wziąłeś wierze,
W tej cię z świata zła śmierć bierze,

i dowodzi potem, słusznie podobno, że jeden żart nie świadczy przeciw przekonaniom człowieka, i że kto błędy tego lub owego księdza widzi a choćby wytyka, ten jeszcze przez to wiary się nie wyrzeka, a z Kościoła nie występuje.

Nie ustają też Żale i Treny, a każdy, który je pisze albo się sam do Kochanowskiego zwraca i swój smutek z jego smutkiem porównywa, albo go nie wiedząc o tem przypomina. Pisze Twardowski Treny za córką, Kochowski po śmierci brata, Wacław Potocki po śmierci syna P e r y o d y, Stanisław Morsztyn *Smutne Żale* p o u t r a c o n y c h d z i e c i a c h; żaden nie chce z rozmysłem Kochanowskiego naśladować, przecież trzymają się wszyscy jego wzoru i wszyscy go choć słabo przypominają, a dwaj ostatni wprost się do niego zwracają z uwagą, że nie tyle stracił, nie tyle cierpiał co oni. A jak w smutnych Trenach, tak i w wesołych lekkich i rubasznych wierszach, w Potockiego Jovialitates, w Kochowskiego konceptach znać wpływ i ton Czarnoleskich Fraszek. W każdym razie choć obrabianym nie był, nie był Kochanowski w drugiej połowie XVII wieku zapomnianym; musiał nawet w ówczesnej edukacyi mieć swoje miejsce i znaczenie. Na taki domysł naprowadza okoliczność drobna, ale ciekawa. W kilka dni po bitwie wiedeńskiej, pod wrażeniem wszystkich niesmaków i niepokojów, które się na niego zewsząd waliły, pisze król Jan 17

i 18 września najdłuższy ze swoich listów do królowej, i narzekając na swoje frasunki, cytuje wiersz Kochanowskiego

Nie źle czasem zamilczeć, gdy kogo co boli.

Czy woził z sobą Kochanowskiego jak Aleksander Iliadę? zapewne nie. Czy przerzucał książkę, żeby z niej trafną cytacyę wydobyć? Oczywiście nie. Ten wiersz nasunął mu się sam, miał go w pamięci i z pamięci przytoczył. Że zaś pochodzi on z pieśni, która do celniejszych nie należy, z takiej którą my dziś mało znamy (XXIII księgi I), przypuszczenie jest naturalne, że on przynajmniej znał Kochanowskiego doskonale, a dozwolone, że za jego czasów młodzież musiała nie żartem uczyć się go na pamięć.

A i później, i w tych najsmutniejszych dla poezyi czasach, jeszcze się gdzieś czasem odezwie słabe sfałszowane echo niektórych dźwięków Kochanowskiego. W tych *Czterech Porach Roku* naprzykład, w tym opisie żniw zwłaszcza, który dotąd cieszy się pewną sławą, a nie bez słuszności zapewne uchodzi za najlepszy wiersz wielkiej poczciwości ale nie wielkiego talentu poetki, Drużbackiej, czy nie ma dalekich reminiscencyj i zblakowanego odbicia Sobótki?

Nazwisko Drużbackiej doprowadza nas do czasu, kiedy się ten stan rzeczy już zmienia, kiedy się zaczyna żywe zamiłowanie, skrzętne wyszukiwanie i gromadzenie, a za niem spisywanie i opisywanie książek, kiedy w ślad za mecenasem bibliomanem — i w jego towarzystwie i orszaku zjawi się pilny uczony bibliograf (Załuski był jednym i drugim), a wślad za literatem dyletantem, który wszystkie francuskie książki czytać, a polskie wierszyki lub rozprawki pisać lubi, zjawi się skromniejszy a zwykle uczeńszy od niego, który jeszcze nie umie, ale już próbuje brać książki na krytyczny examin. Co więc o Kochanowskim myśleli i pisali tacy ludzie w pierwszej połowie XVIII wieku? Oloff naprzód, toruński predykant (ur. 1685 † 1735), pisze w swojej „Polnische Liedergeschichte", wydanej przez Knocha w Gdańsku 1744 r., że Kochanowski „przyczynił się wiele do poprawie-

nia religii, a choć się nigdy do luterskiego, ani do reformowanego wyznania jawnie nie przyznał, to przecież był mocno przekonany o prawdzie ich nauk". Jaki dowód? Psalmy! które z m a ł e m i tylko zmianami śpiewały się po protestanckich zborach, i Pieśni: ale które i dlaczego, tego nie mówi. Życiorys podług Starowolskiego tylko z większemi jeszcze błędami: Kochanowski bawił siedm lat we Francyi, a potem dopiero pojechał do Włoch; później gdyby był chciał, byłby został opatem... częstochowskim! (Może w takiem znaczeniu, jak częstochowskie rymy, jeżeli tak to istotnie przeczyć trudno). Braun (*de Scriptorum Poloniae* etc. 1723) mówi krótko, że Kochanowski był największym z polskich poetów; dla większej zdania tego powagi przytacza Starowolskiego, a sam od siebie dodaje uwagę· która świadczy za jego smakiem: „Chwalą Polacy Twardowskiego, Morsztyna i innych poetów wybornych, ale ci wszyscy swojemi wierszami łatwości i przyjemności Kochanowskiego nie przewyższają, ani się z nim porównywać mogą" str. 106.

Hoppius, *de Scriptoribus Historiae Polonicae* (Gdańsk 1727), wspomina nieraz poetów, którzy na jakiś fakt lub do jakiegoś człowieka wiersze pisali, ale Kochanowskiego nie wymienia.

Na późniejszego od nich Janockiego można się gniewać. Umiał tak wiele i tak pewnie, wiadomości swoich szukał tak skrzętnie, a podawał je tak dokładnie, że nieraz dziś jeszcze chcąc siebie przekonać lub drugich kontrolować, szuka się u niego rozwiązania tej lub owej wątpliwości; wiedział i pisał o takich nawet autorach, o których cała może Polska zapomniała z jego i Załuskiego wyjątkiem; razem z tym swoim panem (jak go nazywa) oddali literaturze polskiej tę przysługę ogromną i nieocenioną, że założyli jej inwentarz, jej bibliograficzny fundament, o tem już nie mówiąc, że przez bibliotekę swoją Załuski (znowu z Janockiego pomocą) i narodowi przystęp do tej literatury i do jej znajomości otworzył, i ją samą zabezpieczał, mnóstwo dzieł i autorów od zapomnienia i zatraty ratował. A że od ciosów przyszłości biblioteki swojej zabezpieczyć nie mógł, to już nie Biskupa kijow-

skiego wina. To co on zrobił, a Janocki przy nim, było dla polskiej oświaty, a dla literatury w szczególności, bardzo poważnym, wielkim krokiem naprzód. Ale w tej zasłudze ogólnej, szczegółowo Kochanowskim żeby się byli zajmowali, nie znać. Janocki, który pisze o tylu, jego wspomina tylko ubocznie, przypadkowo, kiedy mówi o innych (o Myszkowskim naprzykład lub Padniewskim), wspomina jako sławnego poetę, ale o nim nie mówi.

Załuski w „Bibliotece poetów polskich" spisanej w Kałudze, a jak podanie mówi, z pamięci, mówi tylko, że

„Kochanovius Jan, poetów Xiążę
Polskich, równie gładko i łaciński wiąże
I rym polski".

i wylicza znane sobie wydania. Wacław Rzewuski, w swoim dydaktycznym wierszu o *Nauce wierszopiskiej*, który jest pierwszą zapowiedzią późniejszych teoryj poezyj, przedsłannikiem *Sztuki rymotwórczej* Dmóchowskiego, o Kochanowskim nie wspomina wcale.

II.

I znowu zmiana. Świetna z wielu względów, wysoko wykształcona, rozumna generacya Stanisławowskich czasów ma znajomość swojej literatury, jakiej się nigdy przedtem u nas nie widziało, a zarazem wielkie jej poszanowanie i zamiłowanie. Czytali pisarzy XVI wieku wszyscy pisarze XVIIIgo, na ich języku starali się swój wyrobić, nim język czasów Saskich poprawić. Dawni poeci stają się nanowo przedmiotem żywego zajęcia; patryotyzm chce, żeby i oni pomagali do dzieła odrodzenia, rozbudzony zmysł pracy i nauki chce ich poznać i do czci przywrócić, kształcący się smak rozmiłowuje się w ich pięknościach. Ztąd też i nowe ich wydania i naśladowania (choć niezawsze szczęśliwe) przez nowszych poetów, i dbałość, żeby przed obcymi po-

chwalić ich i rozsławić (niebezskuteczna, skoro nuncyusz Durini z zapałem tłómaczy Szymonowicza na łacińskie). Im dalej zaś, tem rzewniejsze i smutniejsze to rozmiłowanie się w przeszłości, jak żeby wiedzione przeczuciem, że ona się może z rąk wysunąć. Z tego popędu wychodzą te wizerunki królów i sławnych ludzi, które malować, te medale, które bić każe Stanisław August, z tego (choć w części także i z powstającej w Europie mody) ta namiętność zbierania i przechowywania zabytków i pamiątek; z tego wreszcie i odmienny charakter, odmienny ton młodszych poetów. Kochanowski wpływał widocznie na język i wiersz Krasickiego i Trembeckiego, ale na Kniaźnina i Karpińskiego wpływał jeszcze inaczej. Wrażliwsze te, więcej uczuciowe natury szukały w nim wzoru na wyraz tego liryzmu, jaki w nich był. Ale choć w drugiej połowie XVIII wieku była wielka znajomość Kochanowskiogo, a im bliżej jego końca, tem rzewniejsza cześć i miłość znikającej przeszłości, choć Kniaźnin tłómaczy Treny na język łaciński, a ksiądz Zubowski (pierwszy) trzynaście łacińskich elegij Kochanowskiego na polskie (Helikonki, Lublin 1789); choć Jabłonowski, wojewoda nowogrodzki, umyślnie kupił Czarnolas na to, by stojący jeszcze dom poety od zniszczenia ochronić; choć blizki jest czas, kiedy ta cześć i miłość odgrzebie w Zwoleniu jego czaszkę i postawi jak relikwię w Puławskiej Sybilli — (a choć nam wydaje się to niewłaściwem, w owym czasie było skutkiem i wyrazem szczerego w dobrej wierze uczucia) — choć czas ten chce mieć wizerunki Kochanowskiego i stwarza je dość licznie (dowolnie, wedle wymagań swojej wyobraźni i swego zrozumienia poetyczności, a nie wedle rzeczywistości) — to przecież pisze on o Kochanowskim niewiele, i nie o wiele kwestyę jego naprzód posuwa. Ma tę zasługę, że po latach stu dwudziestu siedmiu zdobywa się na nowe Kochanowskiego wydanie (Bohomolec 1768), ale na tem przestaje. Bohomolec w *Żywocie Kochanowskiego* trzyma się wiernie i ślepo Starowolskiego (a raczej nie wiedząc o tem, biografa z r. 1612), powtarza go bez pytania i wahania, tłómaczy, mówiąc poprostu.

Biografia stoi więc na miejscu, A krytyka? Zobaczmy tych pierwszych teoretyków i profesorów poezyi, poprzedników następnego pokolenia „krytyków i recenzentów warszawskich“; do nich z urzędu należy pamiętać o Kochanowskim, znać się na nim i drugim dać go poznać. Cóż tedy o nim wiedzą i mówią?

Ksiądz Golański (*O Wymowie i Poezyi* 1788) mówi bardzo mało. Wymienia Kochanowskiego między Opalińskim i Naruszewiczem jako satyryka, łaje za *Odprawę Posłów* („Jana Kochanowskiego poezya z inszych miar nader szacowna, nie znajduje szacunku dla *Odprawy Posłów greckich*“) a w ustępie o Odach przytacza bez żadnego komentarza Pieśń (V ks. II):

„Wieczna sromota i nie nagrodzona szkoda Polaku“

Dmochowski, dla *Odprawy* nie łaskawszy

(„tem się tylko od winy odjęła,
że sie mąż zacny przyznał do słabości dzieła),

w tej *Sztuce Rymotwórczej* (1788), która jest wiernem powtórzeniem *Art Pöétique* nieomylnego Boileau z dodatkiem tylko wspomnień o poetach polskich, długo o Kochanowskim w niewielkim poemacie mówić nie może, ale mówi choć krótko, więcej od innych, i stanowisko jego nie źle określa:

„Długo mowa ojczysta w małej była cenie
. . . .
w tem gieniusz dzielny
Jan Kochanowski w rytmach swoich nieśmiertelny,
Całemu narodowi powieki otworzył,
Wydoskonalił rytmy, chociaż je sam stworzył.
On na Słowiańskiej lutni nawiązawszy strony,
Wydał dokładnie greckie i łacińskie tony;
Zabrzmiał w arfy Dawida niezrównane głosy,
Muzom Sarmackim strojne pozaplatał kosy“.

Nie jestto nic więcej, a jest zimniej, jak to, co przed dwoma wiekami napisał Klonowicz i Miaskowski; ostatni wiersz, Kochanowski wykierowany na fryzyera Muz, wcale nawet niesmaczny, ale jest przecież jakieś określenie jego znaczenia i stanowiska. A dalej, gdy mówi o *Satyrze* i o *Zgodzie* i treść ich przytacza, zwraca nawet uwagę na polityczną Kochanowskiego wartość i zasługę, i kończy wcale ładnie.

„Tak zacny mąż ten nasze upominał dziady,
By baczne mając oko na groźne sąsiady,
Płytkie zawsze u boku nosili pałasze;
Przejrzał znać klęski, które widziały dni nasze".

Ksiądz Bogusławski (*Życia Sławnych Polaków*, Wilno 1788), powtarza krótko błędy Starowolskiego, a dodaje do nich swoje własne, kiedy nietylko posyła Kochanowskiego naprzód do Francyi, ale prócz tego, po siedmioletnim tam pobycie każe mu jeszcze kilka lat bawić we Włoszech. Po powrocie do Polski Kochanowski „cały się w rymotworstwie zanurzył".

Ostatni co do czasu pisze o Kochanowskim w wieku XVIII Krasicki.

W *Rymotworstwie i Rymotworcach*, dziele późniejszego już wieku (1793), w części teoretycznej wspomina *Satyra*, *Fraszki* „niegodne mieścić się w dziele, które się od Psałterza Dawidowego zaczyna;" *Treny* „tak tkliwe i przenikające, żeby je za przykład tego rodzaju wierszów dać można." W drugiej części, gdzie podaje wiadomość o poetach całego świata, chińskich nawet nie zapominając (choć o bliższych i potrzebniejszych nie można przyznać, iżby wiedział dosyć), daje też pierwszy nowy po Starowolskim Kochanowskiego życiorys. Czy o wiele od tamtego lepszy? Lepszy tem, że rok urodzenia podaje trafnie jako 1530; że u niego Kochanowski pierwej bawi we Włoszech, a potem dopiero we Francyi; że (polskie przynajmniej) pisma wylicza dokładniej i kilkoma bodaj słowami treść ich oznacza. Zresztą tak krótki, tak ogólnikowy jak dawne, a z wyjątkiem tych sprostowań

nic do nich nie dodający. Ale myliłby się, kto z krótkości tego życiorysu chciałby wnosić, że książę biskup Warmiński nie był na pamięć Kochanowskiego czułym, on, co w *Podróży z Warszawy na wieś* wspomina go przy każdej zdarzonej sposobności, co przejeżdżając przez Sieciechów, naprzód pomyśli o tem, że

„tego Opactwa byłeś nominatem,
O Kochanowski“ —

a dalej „zbacza z drogi umyślnie, ażeby odwiedzić Czarnolas“ i taki o nim ładny, w żartobliwym liście rzewny pisze wierszyk:

„Darmo szukałem w odmianie wieczystej
Owej rozkosznej lipy rozłożystej,
Pod której niegdyś ulubionym cieniem
Wdzięcznem mąż wielki rozrzewnił się pieniem.
Widziałem miejsca, w których się zabawiał,
Miejsca, gdzie wdzięczne Sobótki odprawiał itd.“.

Potem nie było już czasu, ni myśli swobodnej, by się zajmować literaturą lub Kochanowskim w szczególności; ale kto wie, czy nowe jego wydanie (Mostowskiego), tak wcześnie w pierwszych latach naszego wieku wychodzące (1803), nie jest skutkiem i wykonaniem jakich dawniejszych, z przeszłego wieku zamiarów? Wydanie na ów czas niezwykle dobre; jedna rzecz w nim dziwna, to, że Mostowski, tak wysoko wykształcony, tak w rzeczach literatury zamiłowany, przedrukował znowu bez pytania Żywot Kochanowskiego przez Bohomolca, a nie spostrzegł, że Bohomolec przetłómaczył ze go Starowolskiego,[1] który go z bezimiennej biografii r. 1612 przepisał.

W początkach naszego wieku, jak w ogóle mała jest różnica między formami i zakresem literatury za Stanisława Augusta a za Księztwa Warszawskiego, tak i co do Kochanowskiego stan rzeczy zostaje jakim był. To samo, owszem większe i żywsze, tęskniejsze do niego przywiązanie; jak

niegdyś Krasicki i Trembecki, tak teraz Koźmian, Wężyk, Feliński, dbali bardzo o piękność języka, czytują go pilnie. Woronicz zajęty swoją myślą utrzymywania patryotycznego ducha zapomocą zbioru pieśni religijnych i historycznych, zaleca gorąco jego pieśni przed innemi i sam wspomina go bardzo często; wyobraźnie lgną do tego poety może bardziej niż przedtem, czują jego urok; ale nie rozszerza się zakres wiadomości, ani też samo zrozumienie Kochanowskiego, i po pewnym dopiero lat przeciągu pokaże się, że czas ten przecie pracował nad nim, i że był jakiś z tej pracy skutek.

Księcia Jenarała Ziem Podolskich *Myśli o pismach polskich,* wydane w roku 1801, zawierają spostrzeżeń bystrych i rozumnych wiele, ale o Kochanowskim parę zaledwo pobieżnych wzmianek. Nie więcej *Rozprawa o literaturze polskiej* Kazimierza Chromińskiego, profesora historyi w liceum wileńskiem, drukowana w *Dzienniku Wileńskim,* później z tego osobno odbita, bez roku, w każdym razie jak wnosić można z innych wskazówek, co najpóźniej w pierwszych miesiącach roku 1807. W Towarzystwie Przyjaciół Nauk, pomiędzy wielką liczbą kwestyj dotkniętych, prac rozpoczętych lub dokonanych, o Kochanowskim nie słychać, a imię jego spotyka się dopiero w roku 1808. Na posiedzeniu Towarzystwa z d. 10 listopada b. r. czyta Niemcewicz *Mowę na pochwałę Jana Kochanowskiego,* która pod tą formą jest pierwszą, obszerniejszą nieco o naszym poecie rozprawą. Jaka jest? Taka, jaką przy znanych Niemcewicza przymiotach i wadach być mogła. Pośpiech, pewna lekkomyślność, ztąd niedokładność, jak zwykle u niego niedbałość o sprawdzenie, o lepsze przekonanie się czy istotnie tak jest jak on mówi. Ztąd szczegóły biograficzne nietylko nie lepiej, ale nawet nie tak dobrze podane, jak u Krasickiego. Niemcewicz daje początek mętnemu podaniu o dwukrotnej podróży Kochanowskiego za granicę; co gorzej, nie zada sobie nawet tej pracy, żeby zrobić proste a niedługie odciąganie, i wyrachować, że skoro nagrobek świadczy, iż Kochanowski umarł w roku 1584 mając lat 54, to urodzić się musiał w roku 1530. On o to nie pyta, tylko ślepo za Starowolskim, jak tamten za bio-

grafem z roku 1612, każe mu rodzić się w r. 1532, a umierać w 52 roku życia. Wszystko inne również na wiarę tamtych, bez wahania, zatem ze wszystkiemi ich pomyłkami powtórzone. Ale jak te wady, tak dają się w tej mowie widzieć i przymioty Niemcewicza, jego zmysł patryotyczny i obywatelski.

Żaden przed nim nie zwrócił tak uwagi na stronę historyczną poezyi Kochanowskiego; że on dobrze radził lub mądrze przestrzegał, to w kilku słowach przyznawał każdy, kiedy wspominał *Satyra* lub *Zgodę*. Ale Niemcewicz pierwszy stwierdza, że nie było prawie ważnego za jego czasów wypadku, któryby się był w sercu Kochanowskiego nie odezwał, i z niego tryumfalnych lub groźnych słów nie wywołał. „Pośród pochwał, jakie mu oddawano za życia, jakie mu wdzięczna oddaje potomność, nienajpośledniejszą jest ta, że był poetą prawdziwie narodowym, poetą obywatelem; że we wszystkich pieniach jego widać miłość ojczyzny, uniesienia się nad cnotą i męztwem, ohydę i wzgardę dla występków, dla gnuśności, dla wszystkiego, co było niegodnem imienia Polaka“. Powierzchowny, niedokładny, nawet w swoich wiadomościach chronologicznych nie zawsze pewny (Rey wydaje mu się *ledwie że nie równocześnie* z Kochanowskim piszącym, a Warszewicki „słynącym w prozie ojczystej“ przed nim), przyczynił się przecież Niemcewicz do poznania i słusznego ocenienia Kochanowskiego, kiedy ten pierwiastek w jego poezyi pierwszy tak wyraźnie pokazał. Sąd jego o literackiej i artystycznej wartości dzieł Kochanowskiego może trochę błachy; zarzuca im „brak gustu“, niekiedy i „wyniosłej szlachetności“; innym razem „cezurę na ósmej syllabie w trzynastozgłoskowym wierszu, co nieprzyjemną wcale sprawuje harmonię“. Ale ta drobiazgowa krytyka okupiona jest spostrzeżeniami trafnemi, jak ta naprzykład, że musiał Kochanowski być większym poetą od współczesnych francuzkich, skoro tamci nie łatwo już są rozumiani, a zgoła nieczytani, kiedy u nas Kochanowski jest zawsze pierwszym i większym od tych, co pisali we dwa wieki po nim.

Nie ten jeden raz zresztą pisał Niemcewicz o Kochanowskim; czuł on wdzięk, jaki poeta epoce swojej nadaje, i urok, jakiego w otoczeniu jej nabiera, i próbował parę razy, silił się jak mógł, żeby postać jego stworzyć. Przyjaciel *Jana z Tęczyna*, Don Alonzo Guzman de Medina Coeli, który tak musi marznąć w naszym północnym kraju, w swojej wyprawie na Podole, nakłada biedny duży kawał drogi na to tylko, żeby mógł zawadzić o Czarnolas, a autor chce gwałtem Kochanowskiego na scenę swojej powieści wciągnąć. Innym razem wyprowadza go na scenę w komedyi, której jest główną osobą, *Jan Kochanowski w Czarnolesie*. Treść jej ta, że Kochanowski ma siostrzenicę, której się zaleca jakiś hrabia Odętowski. Wuj i opiekun chcąc pannę wypróbować, udaje że mu sprzyja; ale panna naturalnie woli jakiegoś dzielnego rycerza, niż odętego hrabiego. Ani postaci Kochanowskiego, ani jego wieku nie ma w tem naturalnie; przy słabej wyobraźni, średnim poetycznym talencie, wreszcie przy właściwej Niemcewiczowi lekkości i pobieżności, zadanie udać się nie mogło. Ale i te jego próby wspomnieć przecież należało, a o jego *Mowie* to jeszcze, że była jedyną, jak świadczą Roczniki, rozprawą o Kochanowskim, czytaną na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przez cały czas jego istnienia.

Ale to wszystko dotąd, to albo belletrystyczne, albo jeżeli nawet nie, to zawsze tylko lżejsze, powierzchowne pisma o Kochanowskim; czy były już wtedy głębsze, z naukową wartością i takimże rezultatem?

Że były takie nad naszą dawną literaturą, dowodzi Józef Maksymilian Ossoliński. Ale ten, nad którego nikt może ze współczesnych z większą erudycyą i zamiłowaniem nie dochodził ciekawie niewiadomych zagadnień literatury, a zwłaszcza z wieku XVI, który o pisarzach ówczesnych wiedział tak bardzo wiele, a do znajomości niektórych tyle późniejszym pomógł, tak samo jak niegdyś Janocki podobny mu erudycyą a może i rodzajem umysłu, Kochanowskiego za przedmiot swoich badań nie wziął, i *Wiadomości krytyczno-historyczne* nie dodają nic do tego, co przed niemi było pod tym względem wiadome. Zostaje więc Bętkowski

jako świadek jedyny, którego można zapytać, czy i o ile nauka polska w tym czasie co do Kochanowskiego naprzód postąpiła? Odpowiedź będzie, że Bętkowskiego zadaniem i zasługą było zebranie wiadomości podstawnych, a jak być może najpewniejszych o wszystkich pisarzach polskich, nie zaś szczegółowe i gruntowne poznanie niektórych; że to, co sobie zamierzył, zrobił starannie i (mimo pewnych usterków) dobrze, a więcej żądać od niego nie można. Co do Kochanowskiego zaś, to w sądzie o jego dziełach i stanowisku, *Historya literatury polskiej* trzyma się powag swego czasu, i powtarza czy o Trenach, czy o Pieśniach, czy o Fraszkach, czy o Psałterzu wyroki Dmóchowskiego, niekiedy przypomina, co o tem, lub owem powiedział Krasicki. W życiorysie (nader krótkim) nie dodaje nic nowego, ale nie powtarza błędów już dawniej sprostowanych, w które popadł Niemcewicz; rok urodzenia podaje dobrze, wie, że Kochanowski pierwej był we Włoszech, a potem dopiero we Francyi. Nazwisk rodziców, ani żony nie podaje; o ożenieniu, o dzieciach, o śmierci Urszulki, o sprawie w której przedsięwziął ostatnią podróż do Lublina, nie wspomina wcale Cóż więc zrobił dobrego i czem się do znajomości Kochanowskiego przyczynił? Oto podał dokładny spis dzieł jego tak polskich, jak łacińskich, a przy niektórych (szkoda że nie przy wszystkich) podał i wydania. Mechaniczna robota niewielkiego wymagająca trudu i namysłu — ale nić Aryadny, którą musiał koniecznie mieć w ręku każdy, ktoby chciał potem zapuścić się w głębsze i szczegółowe badanie dzieł Kochanowskiego Ks. Juszyński w *Dykcyonarzu poetów polskich* (1820), przedrukował tylko życie Kochanowskiego z księdza Bogusławskiego; po zdania i sądy odesłał czytelnika do Bętkowskiego, a sam od siebie dodał tylko wiadomość (nie nową), o wydaniach niektórych wierszy, zwłaszcza łacińskich. Stanisław Potocki w dziele *O Wymowie i Stylu*, nie wspomina o Kochanowskim i przykładów żadnych z jego pism nie wybiera.

Ale kiedy książki powiedziały nam o nim tak mało, popatrzmy, może więcej nauczą nas katedry uniwersytetów.

W tym samym roku, kiedy Bętkowski wydawał swoją *Historyę Literatury*, umierał w Wilnie jej profesor Euzebiusz Słowacki, a te *Rozbiory pisarzów* i *Teorye wymowy i poezyi*, które wyszły w zbiorze dzieł jego w roku 1826, zawierają w sobie oczywiście treść jego wykładów. Nie byłoby sprawiedliwie spierać się z nim o jego estetyczne stanowisko i wyznanie francuzko-klassyczne jak u innych, lub zaprzeczać, że jego zdania o pisarzach są często trafne, a spostrzeżenia o naturze polskiego języka, i przestrogi jak młodzież do dobrego mówienia i pisania po polsku wprawiać, nieraz bardzo bystre. Ale to właśnie, co mówi o Kochanowskim, nie jest najlepszą częścią jego zasługi i chwały. O życiu poety nie mówi wcale, a to co mówi o jego talencie i dziełach, nawet kiedy nie fałszywe, dowodzi, że ani umysł szerszym i samodzielnym, ani zmysł artystyczny żywym i pewnym nie był. Pod względem konwencyonalnej powszedniości myśli i sposobu ich wyrażenia, rozdział ten z dzieła Słowackiego może uchodzić za dosnonały typ czasu. „Porównywując wiersze Jana Kochanowskiego z wierszami Reya, zdaje się, iż wiek cały pomiędzy nimi upłynął, chociaż jest rzeczą pewną, że za życia jeszcze Reya pisał Kochanowski (!). Jakto prawdziwy dowcip do udoskonalenia dzieł swoich nie potrzebuje długiego czasu! Przeskakuje on stopnie pośrednie, i jak Neptun Homera, kilka kroków uczyniwszy, wstępuje na wierzchołek góry, u której podnóża długo czołgać się będą niedołężni naśladowcy. Mimo jednak sprawiedliwy hołd, który się Kochanowskiemu należy, nie można mu przyznać twórczego wynalezienia w poezyi“. Nie trzeba stawiać go obok Tassa lub Kornela, ale przyznać, że był tem dla Polski, czem dla Francyi Malherbe, że nie małą było sztuką wyrobić język, jak on go wyrobił, i niemałą zasługą pisać po polsku, kiedy łacina większą przynosiła sławę. Na domiar zaś oklepanej i mdłej konwencyonalności, kończy Słowacki taką Kochanowskiego pochwałą: „Zdaje się, że z teraźniejszych rymotwórców w jednym tylko Karpińskim odżyła dusza Kochanowskiego (!), ten przyjemny pisarz sielanek i tłómacz psalmów, umiał wznowić dla nas pamięć

ojca rymotwórstwa polskiego". Podaje potem wyjątki z Pieśni, w których chwali prawdziwie „rymotwórcze" wyrażenia; oznajmuje, że zdaniem jego, Treny dają Kochanowskiemu największe do sławy „rymotwórczej" prawo; dodaje słusznie, że w Trenach nie miał on żadnych wzorów i był zupełnie oryginalnym; a wreszcie przyznaje, że pod niektórymi względami Kochanowski i dziś jeszcze może być wzorem. Treść i krótkie ocenienie Satyra, Szachów i Odprawy posłów, która „ma swoje zalety, mianowicie charakter Antenora, jest bardzo piękny i szlachetny", uzupełniają nauki, jakie nam o Kochanowskim zostawił ojciec Juliusza Słowackiego.

Lepiej umiał się na nim poznać Osiński. Ten *Wykład literatury porównawczej,* który po jego śmierci wydała żona, jest prawdę mówiąc, prostem powtórzeniem kursu literatury Laharpa, a więc jak tamten, przechodzi tylko po kolei różnych poetów, uszykowawszy ich podług rodzajów poezyi, i na przykładach wyciągniętych z ich dzieł, objaśnia i stwierdza swoje pojęcia o dramacie, epopei i t d. Ale przy każdej z tych kategoryj musi oczywiście mówić o poetach polskich, a tego już z Laharpa wziąć nie mógł. O Kochanowskiego życiu nie mówi nic; ogólny zaś o nim sąd podaje wedle przytoczonej co dopiero Niemcewicza *Mowy,* czytanej na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk „przed ośmnastu laty" — (zatem tę część wykładów miał w r. 1826) — ale kiedy przy poezyi czy to lirycznej, czy satyrycznej, czy wreszcie nawet dramatycznej, sam od siebie o Kochanowskim mówi, pokazuje jednak trafny instynkt i głębsze (w tym przynajmniej razie) zrozumienie rzeczy.

„Nie ten" — mówi naprzykład — stworzy nam słowiańskiego Horacyusza, kto nas ustawicznie przenosić będzie do odległych czasów... lecz ten, kto zdolny jego zalety pojmować, w sobie, w swoim narodzie, w swoim świecie, znajdzie widoki i farby, godne zmysły nasze zająć i serca zachwycić. *Ta własnorodna moc i siła, odznacza między dawnymi Kochanowskiego.* Czyli na arfie Dawida Boskie jego pieśni powtarza, czyli rzymskiego rymotwórcę wiernie naśladuje, czy własne uczucia na serce ziomków przelewa,

zawsze jest sobą". Ma swoje usterki, „ale pomysły i postęp rymotwórczy dają mu wszędzie wyższość i czynią go znamienitym poezyi lirycznej wzorem... Porównany w spółczesnymi, równie u swoich, jak u obcych mało ma rówienników (równych): porównany z dzisiejszymi, jeszcze swoich zalet nie traci. Zadziwia owszem, że trzech wieków przeciąg sławę jego tylko utwierdził. Bo jeżeli zewnętrzne wierszopistwo kształtniejszą postać przybrało, jeżeli czas słowom i wyrażeniom nowe nadał znaczenie i prawa... tedy rzecz, myśl, trafność i obfitość wyobraźni, zapał i silne uczucie, słowem to, co znamionuje poetę, nadaje Kochanowskiemu, nie dla samej jego dawności, chlubny a zasłużony tytuł książęcia narodowych rymotwórców". Na dowód przytacza Treny, jako przykład równości, początek Proporca jako przykład okazałości obrazów i stylu, Psalmy jako przykład wzniosłości, powagi i siły uczucia, *Satyra i Zgodę* jako przykład obywatelskiej zasługi, a zarazem umiarkowania w surowości i sarkazmie, tłómaczenia z Anakreona jako przykład gracyi i wdzięku. Dziwnie zaś, zważywszy szkołę do której należał, samoistnym i trafnym jest w swoim sądzie o *Odprawie posłów*. Wolałby wprawdzie widzieć ją pisaną wierszem rymowym, przyznaje pewne „zaniedbanie i zbyteczną prostotę osnowy"; ale o tem pamiętać każe, że Kochanowski „więcej niż trzydziestu łaty od Lopeza i Szekspira, więcej niż pół wieku od Kalderona i Kornela starszy, żadnych wzorów nietylko w Polsce, lecz w Europie nie zastał. A jeżeli od pierwszego wstępu zapatrzył się na piękne poezyi starożytnej dzieła, jeżeli prostotę Eschyla przeniósł nad szkolną nadętość i deklamacyę Seneki, już to samo chwałę jego pomnaża". Przechodząc do szczegółów chwali Kochanowskiego za to, że w kreśleniu swoich postaci trzymał się Homera, umie się poznać na wróżbach Kassandry, a co dziwniejsza, na opowiadaniu Posła (mianowicie na przemowie Iketaona), a o pierwszej rozmowie Antenora z Aleksandrem mówi, że „gdyby wdzięk rymów dodać, a szyk wyrazów cokolwiek zmienić", byłoby godną sławnej sprzeczki Diega z Gomezem (w Cydzie Kornela). Kończy tem, że za-

den Francuz Kochanowskiemu współczesny, dramatu takiego nie napisał.

Tak rozumnie i tak słusznie jeszcze dotąd Kochanowski pochwalonym nie był; widocznie jesteśmy już na drodze do należytego jego rozumienia i ocenienia. Jak zresztą cenili go i rozumieli klassycy, nie sam Osiński dowodzi, ale liczne bardzo wzmianki w wierszach, czy listach Koźmiana, Wężyka i Morawskiego. Ostatni ładnym i szczęśliwym zwrotem kończy swoje *Listy do klasyków i romantyków,* kiedy nad walczącymi „powstaje Czarnolasu śpiewak osiwiały“ i kiedy jego powaga ma obu stronom i prawdę powiedzieć i do zgody je przywieść.

Z katedry wreszcie przemawiał jeden jeszcze, który w tych latach najwięcej zapewne dla znajomości i dla sławy Kochanowskiego zrobił, najsilniej sprawę tę literacką naprzód popchnął, Brodziński.

Mówimy zawsze tyle o jego wpływie na nasze literackie i estetyczne pojęcia; od niego datujemy zwrot, początek nowej epoki w literaturze. Dziwna rzecz, że nikt jeszcze nie zapytał (albo nie żałował), czy ten wpływ był tak wielkim, jak może słusznie należało, a nam byłoby wyszło na dobre? Brodziński dał się poznać na czas tak krótki przed romantykami, że i jego wiersze przy tamtych zgasnąć musiały, a wielkiego wrażenia robić nie mogły, i jego teorye przy tamtych jaskrawszych i śmielszych, nie znajdowały chętnego posłuchu. Ten cichy, skromny głos umiarkowania i rozsądku, ginął w gwarze namiętnej walki. A szkoda. Brodziński miał zapewne wartości i rozumu więcej niż talentu, miał przytem usposobienie sentymentalne i sielankowe, miał smak i skrępowany jeszcze przyzwyczajeniami młodości, zbyt zależny, i wskutku tego usposobienia skłonny podobać sobie w mdłej, słodkawej poezyi (dość powiedzieć, że tłómaczył *Rodzinę Arabską).* To wszystko sprawiło, że nietylko jego poezya nie mogła się wydać obok młodszych a współczesnych, ani jego proza nie wywierała dość wrażenia, a przez to i na przekonania nie bardzo działała; człowiek był szanowany, ceniony i kochany, pisarz znacznego

i silnego wpływu nie wywierał. Ale przyznając, że inaczej być nie mogło, żałować przecie można, że nie było inaczej. Bo Brodziński miał i nauki i rozsądku i trafnego zmysłu wiele, a głos jego wtedy nie bardzo słuchany, dziś gdy go rozważyć, każe się słuchać, a czasem podziwiać, taki jest poważny i rozumny, tak późniejszemi faktami potwierdzony. A jeżeli możemy mówić słusznie, że zbyt był zależny od klassyków i francuzów, to znowu za zasługę musimy mu policzyć to, że od romantyków zależnym nie był, i że śmiało, choć spokojnie, mówił im wielkie prawdy. Jak naprzykład, że na naśladownictwo w poezyi wyrzekając, i oryginalności szukając, sami w naśladownictwo innych tylko wzorów wpadają, i zamiast francuskiej, wprowadzają angielską i francuzką modę; przestroga zupełnie usprawiedliwiona zboczeniami późniejszych i mniejszych romantyków. Albo, że wyzwolenia poezyi szukając i w geniuszu własnym pokładając całą ufność, jako w jedynej zasadzie i prawie, zdają się mówić o poezyi, jak ich przodkowie o rzeczypospolitej, że nierządem stoi.

Miłość i cześć Kochanowskiego była u Brodzińskiego zupełnie naturalną; patryotyzm, upodobanie literackie, sam ten pierwiastek tkliwy i idylliczny, jaki był w jego naturze, wszystko to sprawiało, że musiał do Kochanowskiego lgnąć, o nim z rzewną tęsknotą marzyć, a zarazem pojmować go cokolwiek inaczej niż był, na swój sposób go poetyzować, widzieć go w pewnem oświetleniu sielankowem i sentymentalnem. Brodziński, kiedy o Kochanowskim myśli, zdaje się zapominać, że Czarnolas i lipa, Dorota i Urszulka, to ostatnie dopiero dziesięć lat półwiecznego żywota. Włoskie lub paryzkie *delicta juventutis*, lata dworskiej służby, cała ta długotrwała, bo sięgająca po za czterdziestkę, młodość poety, u niego mało wchodzi w rachubę. Nie żeby jej nie znał lub ją lekceważył, owszem, nikt dotąd tyle na nią nie zwrócił uwagi, co tłómacz łacińskich Kochanowskiego elegij; ale mimowolnie wskutku tylko swojej natury, on, kiedy o Kochanowskim myśli, widzi zawsze tylko poetę ziemianina z lutnią i pod lipą w wiejskiej i rodzinnej sielance. Od

niego, sama z siebie już do tego skłonna, przejęła to pojęcie Kochanowskiego pani Hoffmanowa, a ten tradycyjnie idylliczny charakter, jaki Kochanowski miał zawsze w pamięci i wyobraźni potomnych, nie fałszywy zresztą, tylko cokolwiek jednostronnie pojęty, przez nich wypoetyzowany i wyrobiony, utwierdził się i utrwalił powszechnie.

Ale jeżeli z tego stanowiska na Kochanowskiego patrząc — jak wszyscy zresztą poprzedni i współcześni — Brodziński niedość w nim widział i zrozumiał europejski typ; a w Polsce jeden z najwyższych, oświaty i umysłowego stanu wieku, jeżeli (znowu jak wszyscy) niedość zwrócił uwagi na stronę historyczną, na stosunek Kochanowskiego do wyobrażeń i dążności wieku i na ich w jego pismach odbicie, to przecież przez swoje do niego przywiązanie i swoje prace, przyczynił się wiele do znajomości Kochanowskiego.

Żadne z dzieł jego nie jest dość wybitne, żeby je stanowczo wskazać można, jak to, które ma najwięcej wartości i znaczenia; nikt nie powie, żeby część największa jego siły i jego wpływu złożona była czy to w rozprawie *o Klasyczności i Romantyczności*, czy w *Uwagach nad duchem poezyi polskiej*, czy w *Listach o polskiej literaturze*, albo wreszcie w bardziej teoretycznym *Kursie Estetyki*. Wszystkie razem, stanowisko jego ogólne, uwagi rozsypane po wszystkich, pojęcia wszystkim wspólne, to jest środek, którym Brodziński działa i którym wpływ wywiera. Podobnie i co do tej szczegółowej kwestyi Kochanowskiego, nie ma ani jednej rozprawy jemu wyłącznie poświęconej, ale wszystko, co o dawnej literaturze, albo o pewnych jej gałęziach mówi, służy do lepszego wytłumaczenia i zrozumienia ogółu, a wśród tego ogółu i Kochanowskiego samego. Dwa zaś są dzieła Brodzińskiego, które pod tym względem znaczą więcej od innych. Jedno, to przekład łacińskich elegij. Dotąd ta strona poezyi Kochanowskiego była zaniedbaną, o tem już nie mówiąc, że nie każdemu przystępną; nasz patryotyzm miał żal do poety, że pisał po łacinie to, co mógłby był napisać po polsku, i mścił się za to obojętnością

dla tych elegij. Tymczasem, oprócz całej piękności, mają one wartość pierwszego rzędu jako dokumenta czy to do biografii Kochanowskiego, czy do historyi polskiego humanizmu. Brodziński poznał się na ich ważności i wielką oddał usługę i naszej literaturze i pamięci swego ulubionego poety, kiedy przełożył na wiersz polski trzydzieści pięć elegij i jedenaście epigramatów. Być może, że jego przekład nie zachowuje, jakby należało, charakteru i kolorytu łacińskiego elegii, ale jest i wierny i ładny, a znawca i wielbiciel Kochanowskiego, który się sam na jego języku i wierszu kształcił, przekładowi jego poezyi łacińskich starał się, i nie bez skutku, nadać podobieństwo do toku i stylu jego wierszy polskich.

Brodzińskiego *Literatura polska* jest na nieszczęście zbiorem tylko notat, według których wykładał, nie zaś przez niego wykończonem i systematycznie ułożonem dziełem; ale taka jak jest, jest pierwszem u nas, które ma prawo do tytułu Historyi Literatury. Z nieorganicznej massy zapisków biograficznych lub bibliograficznych (jaką było jeszcze dzieło Bętkowskiego), składa się wreszcie organiczna całość, pokazuje się ciąg i związek przyczyn i skutków, wpływów i następstw; występuje i stosunek literatury do historycznego stanu narodu, i literatury polskiej do obcych; występuje i wielka liczba pisarzy, przedtem częstokroć mało znanych i sądzonych — oceniona zbyt może zwięźle i krótko, ale najczęściej trafnie. Między tymi jest oczywiście i Kochanowski, dobrze pojęty, dobrze opisany, objaśniony wyjątkami z dzieł. Zdanie o tych dziełach nie zawsze co prawda dowiedzione, ale prawie zawsze słuszne. Na co brakło miejsca w samych wykładach literatury, to uzupełnione w osobnych rozprawach o różnych rodzajach poezyi (o Trenach prawdę mówiąc dwa razy to samo powtórzone, tylko w rozprawie o Elegii obszerniej). Główne pierwiastki poezyi Kochanowskiego uchwycone i uwydatnione dobrze, jego charakter polski pomimo naśladowania starożytnych, jego stosunek do tych wzorów, wszystko to jeżeli nie zbadane do głębi, to przynajmniej dobrze oznaczone, tak że u Brodzińskiego (choć nie całą w tem samem dziele) znajduje się

nareszcie pierwszą rozumną i dobrą krytyczną analizę Kochanowskiego. Szkoda, że on, który przy wszystkich prawie innych pisarzach podaje krótką, ale zazwyczaj trafną wiadomość o ich życiu, pomija to przy Kochanowskim. Myśli może, że to żywot tak znany, iż go przypominać nie potrzeba.

Z jego czasów zapisać jeszcze można parę mniejszych prac o Kochanowskim. Jedną jest ogłoszona w Roczniku Towarzystwa Naukowego krakowskiego z roku 1826 rozprawka, w której Jerzy Samuel Bandtkie dowodzi słusznie, że Kochanowskiego *Szachy* nie są tłómaczeniem, ale co najwięcej, naśladowaniem łacińskiego poematu Vidy. Nietylko prawidła gry, choć te same, ułożone są inaczej, ale cała przyczepiona do nich treść powieściowa inna zupełnie. U Vidy, na jakimś bankiecie bogów grają o zakład Apollo z Merkurym, a wszyscy inni przypatrują się, radzą, niekiedy szachrują; u Kochanowskiego dwóch pretendentów do ręki duńskiej królewny Anny, Fedor i Borzuj, grają o ślubną obrączkę, a królewna, która Fedorowi sprzyja, zręczną, nieznaczną radą rozstrzyga grę na jego korzyść. Drugą jest *de la Poésie lyrique, et en particulir de Jean Kochanowski lyrique polonais; dissertation présentée a l'examen par Stanislas Rzewuski, licencié aspirant au grade de docteur.* Paris 1824. Z niemałą ciekawością rzuciliśmy się na tę rozprawę doktorską. Najstarszy syn Emira (zmarły w Krakowie w r. 1831 z ran odniesionych na polu bitwy) miał sławę najzdolniejszego z ówczesnej młodzieży, z której wyszło tylu znakomitych ludzi. Rówiennicy i przyjaciele oddawali mu wszyscy zgodnie to pierwszeństwo, i przyznawali głowę jeżeli nie genialną, to geniuszu bliską; ze zmarłych, którzy mu to świadectwo oddawali, przytaczamy jenerała Zamoyskiego — a są jeszcze żyjący[1]), którzy mówią to samo. Co więc ten młodzieniec tak nadzwyczajny, myślał i napisał o Kochanowskim? Jego dyssertacya inauguralna sprawia pewne zdziwienie. Naprzód to, że od przyszłego doktora nie więcej

[1]) W owym czasie Paweł Popiel.

żądał paryski fakultet *des lettres*. Dziś rzecz tak napisana uszłaby w piśmie peryodycznem, ale na rozprawę *pro gradu* byłaby za ogólnikowa, za powierzchowna. Powtóre to dziwi, że nie ma ani jednego nowego spostrzeżenia, ani jednej uwagi nacechowanej wielką bystrością lub głębokością. Młody autor zdaje się stać zupełnie na stanowisku dawnych estetyków francuzkich i ich polskich naśladowców. Znać na nim Laharpa i Dmóchowskiego, nie znać ani romantyków, ani estetyków niemieckich. Opowiada naiwnie o poezyi lirycznej, która z uczucia i natchnienia powstała w Edenie na widok cudów przyrody, wie jaką ona była w złotym wieku, potem dzieli ją na poważną i lekką, mówi o Dawidzie i Pindarze, o Horacym, który trzyma środek między jedną a drugą, o Petrarce i Anakreonie jako o poetach różnego rodzaju miłości, i o Francuzach jako reprezentantach liryki lekkiej. Wszystko bardzo krótko i ogólnie. W części drugiej przymierza te pojęcia do Kochanowskiego i wnosi, że był bardzo niepospolitym poetą w każdym rodzaju liryki. Rozumie trafnie zakres jego zależności od starożytnych; *Odprawę* zbywa lekko, z *Trenów* przytacza kilka wyjątków. Głębiej na prawdę w rzecz nie wgląda, i do takiego jej zrozumienia nie pomaga.

Do Brodzińskiego wreszcie i jego wpływu odnieść należy jedno dzieło o Kochanowskim, które choć wyszło później, początkiem i duchem do tej epoki należy.

Sympatyczny urok Kochanowskiego, jego życie idylliczne ziemiańskie, jego natura i jego poezya, musiały działać bardzo silnie na umysł i wyobraźnię takiej kobiety, jak panna Tańska; nic naturalniejszego, jak że czarnoleski poeta był jedną z najulubieńszych dla niej postaci w naszej historyi, że był ideałem tej duszy dobrej, cichej, i literackiej. A między współczesnymi i znajomymi miała także takiego, którego kochała jak przyjaciela, czciła jak mistrza, nawet wielbiła jako poetę. Rzecz ciekawa; ona o Mickiewiczu dopiero na emigracyi, o Malczewskim, nigdy w dzienniku swoim nie wspomina; a nad Brodzińskim rozczula się i unosi często w swoich pismach. Dusza cicha, łagodna i tkliwa, i takaż

poezya, trafiła najłatwiej do jej serca. A Brodziński, jak wiadomo, był także z całego serca przywiązany do Kochanowskiego. Jak się zeszli we dwoje, jak puścili wodze tej swojej miłości do starego poety, ile tam musiało być uniesień, a zwłaszcza roztkliwień! Panna Tańska oddawna, bo od roku 1824 (jak świadczy przedmowa) marzyła o pisaniu Kochanowskiego. Kiedy w swoich wakacyjnych podróżach w różne okolice kraju odwiedzała raz resztki domu poety w Czarnolesie, drugi raz jego grób w Zwoleniu (1826), ta pobożna pielgrzymka pewno w jej myśli i na to miała służyć, żeby odebrane tam wrażenie dodało popędu wyobraźni, a znajomość miejsc prawdy i życia obrazom. Zwierzyła się ze swojej myśli ulubionemu mistrzowi, poddała plan swojej przyszłej powieści pod jego sąd. Brodziński uznał, że panna Klementyna rozumie Kochanowskiego, bo go kocha, i że przez to może, a więc powinna napisać coś o nim i na jego chwałę: ożywić go, odtworzyć. Panna Tańska zachęcona tem poważnem zdaniem, przywiązana tembardziej do swego marzenia, nabrała odwagi, żeby je spełnić. Czy jej się uda? Kto wie... wszak z Franciszką Krasińską udało się tak dobrze. Ale to co innego; o czasach Franciszki ona tyle była słyszała, znała je tak dobrze, potrzebowała tylko przypomnieć sobie i spisać? a tu? wieku XVI, jego obyczaju, sposobu życia, fizyognomii, mowy, nie miała tak żywo w oczach i wyobraźni. Jak na to zaradzić? Pracą: szukać w księgach, czego się nie wie z tradycyi. Wzięła się więc studyować wiek XVI, i to bardzo sumiennie. Poznała wszystkich ważniejszych autorów, szukała pilnie wszystkich charakterystycznych śladów życia i obyczajów, patrzała na historyę i literaturę ze stanowiska archeologicznego głównie, z ciągłem żądaniem, żeby odgadnąć, wyobrazić sobie, jak to, o czem czytała w książkach, mogło wyglądać w życiu, zwłaszcza w życiu potocznem; i wreszcie po długich latach pracy i przygotowania, wzięła się do tego wymarzonego, wypieszczonego w wyobraźni dzieła, ukończonego niestety aż po długich latach smutku, na wygnaniu (1841).

Czy *Jan Kochanowski* się udał? Jeżeli to pytanie ma znaczyć, czy postać poety jest odgadnięta genialnie, a przedstawiona z wielką intelligencyą, wielkim poetycznym urokiem, słowem, czy to jest ten Kochanowski doskonały, idealny, tak, że lepszego już być nie może; tedy oczywiście trzeba na pytanie odpowiedzieć: nie; ten Kochanowski nie jest najlepszym jaki być może, zostawia wiele do życzenia. W wyobraźni, w sercu, nosi się obraz jego inny; podobny, ale o wiele piękniejszy, żywszy i poetyczniejszy! I dalej także, jeżeli w pytaniu mieści się i to, czy te bardzo sumienne i mozolne studya i starania autorki odniosły pożądany skutek, czy wiek XVI żyje tu swojem właściwem życiem, oświecony jest swojem właściwem światłem, i na to znowu trzeba odpowiedzieć: nie — obraz ten wygląda, jak żeby był kreślony ręką nieśmiałą, która ustawicznie drży, żeby przypadkiem nie pociągnęła jakiego rysu fałszywo, nie zaś ręką pewną, która wie, jak rysować ma. Ztąd ten charakter blady i zatarty, to podobieństwo XVI wieku negatywne, polegające raczej na wystrzeganiu się krzyczącego niepodobieństwa — to wiek XIX, który z wielkiem uszanowaniem i bojaźnią przebiera się za XVI, stara się wyglądać i mówić jak tamten: sobą być przestaje, unika grubych pomyłek, nie przybiera podobieństwa do XVIII naprzykład, ale rusza się tak nieśmiało w tych pożyczanych sukniach, że złudzenia nie robi, każdy się pozna na maskaradzie. Śmiesznym nie jest, ani tego co udaje śmiesznie nie przedstawia; ale dobrze, z życiem, z właściwym charakterem i z poetyczną pięknością przedstawić go nie zdoła.

Ale spuściwszy cokolwiek z wysokich żądań, jeżeli zapytamy, czy choć niedoskonały ten *Kochanowski* ma wartość? to wtedy szczerze i śmiało będziemy mogli odpowiedzieć: tak! Jest ładny, jest przyjemny do czytania, i jest owocem tak sumiennych badań, takiej pracy nad życiem poety i wszystkiem, co się jego tyczyło, że ta powieść ma poniekąd urzędową powagę i należy do najlepszych pomiędzy nielicznemi pracami, jakie mamy o Kochanowskim. Że pani Hoffmanowa nie dociekła z zupełną dokładnością całej za-

wiłej parenteli Kochanowskich, nie rozróżniła należycie wszystkich Piotrów czy Andrzejów, stryjów czy stryjecznych braci czy bratanków poety, albo, że nie wszystkie imiona jego córek podała zgodnie z odkrytemi przez późniejszych metrykami czy nagrobkami, to prawda; ale zawsze przyczyniła się bardzo do rozjaśnienia jego stosunków rodzinnych i okoliczności życia, i rzec można, wzięła się do tego pierwsza, a tak dobrze, że prace ściśle naukowe choć jej nieraz zadają fałsz, nieraz przecież muszą się do niej i odwoływać. I pomiędzy tem, co u nas o Kochanowskim pisano, jej powieść zajmuje i zawsze będzie zajmowała miejsce wcale poczesne.

Jako powieść, jest to ładne i miłe. Tak proste, że trudno prawie nazwać to powieścią; obrazek to raczej, w których przesuwają się jedne po drugich, różne sceny powszednie z domowego życia. Zaręczyny najstarszej córki Kochanowskiego i śmierć Urszuli, to najdramatyczniejsze chwile tej wcale niedramatycznej powieści. Ale, jeżeli te sceny potoczne nie zawsze dochodzą swego celu, nie robią nam tego miłego złudzenia, że patrzymy na życie XVI wieku, to przynajmniej nigdy nie rażą; a zawsze, przynajmniej często, służą zręcznie do tego, żeby przypomnieć jakiś szczegół z życia czy z poezyi Kochanowskiego i oswajać nas z tą postacią. Czy wymagania powieści (do której koniecznie wypadało przyczepić jakąś miłość) i ze świadomością rzeczy dana sobie licencya, czy też może pomimo wszystkich badań i studyów, jakaś naiwna niewiadomość, sprawiły, że za główną niemal osnowę swojej powieści pani Hoffmanowa wzięła zaręczyny córki Kochanowskiego? Być może, że to ostatnie. Imiona dzieci Kochanowskiego odkrył dokładnie i ogłosił ksiądz Gacki, w 28 lat po ogłoszeniu powieści, a data ożenienia poety jeszcze później oznaczoną była na rok 1574. Pani Hoffmanowa zatem mogła bez grzechu niewiedzieć o tem, że w roku śmierci ojca, żadna z córek Kochanowskiego za mąż wybierać się nie mogła. To zaś największa podobno niedokładność, jaką wytknąć można. Figura bohatera samego nie tak zajmująca zapewne i piękna, jakby

być mogła, jest przedstawiona dobrze, i lepiej, niż ją ktokolwiek dotąd przedstawił. Wyliczywszy zaś niedokładności tego Kochanowskiego, trzeba w końcu złożyć przed nim broń i powiedzieć, że jest bardzo dobrą książką. Jako powieść, choć nie romans, bo romansu tam nie ma — ciekawszy, bardziej zajmujący od romansów pani Hoffmanowej: od Karoliny i Krystyny. Może to skutkiem wielkiego przywiązania autorki do bohatera, może skutkiem tego czaru, właściwego sympatycznym postaciom z przeszłości, który sprawia, że czytamy z zajęciem wszystko co o nich mówi. Dla dorastających chłopców czy panienek, którym się jeszcze romansów nie daje, a jednak coś lekkiego i zabawnego do czytania dać im trzeba, jest *Kochanowski* doskonałym, i francuska literatura *adolescentów* liczna i bogata, ze wszystkiemi swojemi paniami Genlis, Campan i t. d., niema nic ładniejszego, lepiej odpowiadającego celowi, może nawet nic takiego. Dla dorosłych i dojrzałych zaś samo czytanie jest przyjemne; a dla najuczeńszych nawet, bogate, ciekawe, pełne treści. przypisy, dobre do poznania i w wielu kwestyach pomocne. Ale jest coś milszego jak powieść sama, coś prawdziwie rozrzewniającego, to widok tej poczciwej, szlachetnej duszy, tej natury cichej a gorącej, tej serdecznej miłości ojczyzny, która przeszłość czci i poetyzuje, a teraźniejszości służy, ucząc i kształcąc ją jak może; tej budującej wiary i zacności serca, tego zdrowego rozumu, tej zasługi skromnej a wielkiej. Powieść o Kochanowskim jest ładna, ale co się w niej bardziej podoba, co się najbardziej każe szanować, co się w niej ukazuje w najmilszem świetle sympatycznego wdzięku i rzetelnej wartości, to pani Hoffmanowa sama.

III.

Romantycy nie wiele się dawniejszą literaturą zajmowali. Nie mieli czasu, musieli myśleć o czem innem. Poeci tworzyli literaturę nową, teoretycy (Mochnacki i Grabowski) albo szukali dla niej głęboko filozoficznego uzasadnienia, albo

do niej krytyki i przestrogi swoje — nie zawsze słuszne — zwracali. Rok 1831 i jego skutki mogły też przyczynić się do tego, że nastała kilkoletnia przerwa w pracach około tej literatury, która nie była w bezpośrednim związku ze świeżemi zdarzeniami i wrażeniami. W roku dopiero 1836 ukazuje się pierwszy *Ryś Dziejów Piśmiennictwa Polskiego*, ważny jako pierwszy podręcznik Historyi literatury, a znać ceniony i używany, skoro przez lat trzydzieści, wiele razy był przedrukowywany, uzupełniany i przerabiany. Ten *Rys Piśmiennictwa* Lesława Łukaszewicza w pierwszem wydaniu był małą książeczką, która obejmowała tylko najkonieczniejsze wiadomości, w ostatniem z r. 1866 jest już grubym tomem, w którym wszystko prawie uległo przemianom i sprostowaniom. Tak i rozdział o Kochanowskim w wydaniach późniejszych poprawiony jest podług nowszych odkryć i wiadomości. Pomimo tych poprawek ma jeszcze pewne niedokładności (naprzykład żona Kochanowskiego, nazywa się Anną); a jest naprawdę tylko krótkim życiorysem, wyliczeniem dzieł, i wzmianką o polskich tłómaczeniach łacińskich Kochanowskiego wierszy.

Więcej estetycznego i krytycznego pierwiastku mieści w sobie książka pochodząca z roku 1837, głośna u współczesnych, jako jedna z najlepszych u nas w tym rodzaju, a dziś ciekawa przez to, że charakterystyczna, a od naszych pojęć i zwyczajów tak bardzo różna. Tą książką jest *Amerykanka w Polsce, romans.*

Sądziłoby się, że jesteśmy jeszcze w tych dobrych czasach, kiedy mięszano *utile dulci*, i pod formą powieści uczono różnych potrzebnych rzeczy; w bliższych czasach ten rodzaj wydaje się anachronizmem, a literackie i estetyczne rozbiory tem się dziwniej wydają, że bohaterem powieści jest bardzo romantyczny kawaler pełen *weltschmerzu*, jak Werther, a wątpiący i pytający, jak Hamlet, jaki „jest cel mego bytu? jaki cel mego zesłania“.

Inwencyi nie brak, a historya wcale nie codzienna. Polak jakiś (pan Adolf Rajewski) rozbił się z okrętem. Wyrzucony na brzeg amerykański, trafił szczęśliwie do jakiegoś

obozowiska Indyanów, i tam (autor czytał naturalnie *Attalę* Chateaubrianda) zobaczył, pokochał i poślubił uroczą dziewicę Karystę z wzniosłą duszą w czerwonej skórze. Po latach wielu, Amerykanka z córką już dorosłą, panną Anakoaną, popłynęła do Polski, żeby poznać rodzinę męża, który jej, nie wiedzieć czemu, w tej podróży nie towarzyszy. Panna zakochuje się naturalnie w Polaku, panu Zbigniewie: który ją niegodnie opuszcza, poczem sam rozpacza i zdaje się, że umiera ze zgryzoty: a ona idzie za mąż za innego. Matka tymczasem, w częstych listach do męża daje mu lekcye literatury polskiej, którą on Polak lepiej od niej Indyanki umiećby powinien. Ale trzeba przyznać, że zdolności musiała mieć dużo, bo ma (jak na czerwoną skórę zwłaszcza) zadziwiająco wiele erudycyi i smaku; i gdyby nie ten dziwaczny pomysł połączenia lekcyi z romansem, książka nietylko niebyłaby śmieszna, ale należałaby do lepszych krytycznych rozbiorów swego czasu. List XXIV poświęcony jest dawnej poezyi polskiej, a najdłuższy w nim ustęp Kochanowskiemu. Powtarza w nim Amerykanka wszystko, czego się z dzieł dotąd wydanych mogła dowiedzieć, w szczegóły się nie wdaje, ale w błędy nie bardzo wpada, prócz tego, że za rok urodzenia podaje 1533. Pisze nawet o Kochanowskiego stylu i twierdzi słusznie, że wyrażenia dziś przestarzałe nic mu nie ujmują, że Kochanowski bardzo umiejętnie i szczęśliwie umie używać przymiotników, i wylicza jego dzieła, z których rozbiór najdłuższy poświęca *Odprawie Posłów*. Chwali ją bardzo, tylko cokolwiek naiwnie. Ze wszystkiego najbardziej podoba jej się charakter Antenora, jako szlachetny i piękny; dostrzega, że narada Panów Trojańskich w opowiadaniu Posła jest do polskiego Sejmu podobna, ale żałuje tego, i nazywa szkodą; a zarazem przecież tłómaczy Kochanowskiego tą wymówką, że jeżeli Szekspir mógł mieścić Czechy nad morzem, to on mógł wyobrażać sobie, że *Sejmy* trojańskie odbywały się tak jak polskie, a w końcu jeszcze dziwi się, że Kochanowski Parysa nazywa Aleksandrem.

W *Przyjacielu Ludu* z roku 1837 jest artykuł podpisany literami H. C. (domysł łatwy że Cegielski?) Charakteryzuje on nieźle ówczesny stan wyobrażeń i krytyki, stósuje ówczesne estetyczne i polityczne teorye do Kochanowskiego, kiedy mówi naprzykład, że chciał „ludowi plonu swoich myśli udzielać i dla niego śpiewał“. Ale robiąc tę niejako koncesyę dla współczesnych, Ciegielski (jeżeli to on) rozumniejszy jest i uczeńszy od nich. Zbija naprzykład twierdzenia (widać, że takie były skoro je zbija), jakoby wykształcenie Kochanowskiego było szkodą jego i poezyi polskiej, bo powinien był „styl swój stósować do ducha i usposobień ludu“. Autor artykułu tłómaczy, że Kochanowski tak stylu swego zniżać nie mógł, a cywilizacya żadnej literaturze szkody jeszcze nie przyniosła.

Andrzej Hoffmann, profesor przy gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu, w sprawozdaniu szkolnem z r. 1841 podaje niektóre Elegie Kochanowskiego z niemieckiem tłómaczeniem i poprzedza je wstępną wiadomością o jego życiu, w której naturalnie powtarzają się tesame błędy co u wszystkich współczesnych.

Ale czas już przejść do rzeczy ważniejszych, które się nareszcie zjawiają.

Mickiewicz mówi o Kochanowskim w lekcyi XXXV, 4 go Czerwca 1841 r.

Zbytecznie przypominać, że wiek XVI stanowi część najświetniejszą może jego Kursów Literatury Slowiańskiej. Nie mówiąc o genialnem prawdziwie ujęciu epoki w jej najwybitniejszych pierwiastkach, znamionach i reprezentantach, o przepysznej paralelli Polski i Rosyi w tym wieku, o wizerunkach ludzi takich, jak niezrównana charakterystyka Cara Iwana, ale samo położenie polityczne Rzeczypospolitej, wewnętrzne i zagraniczne, stosunek do cesarstwa i stopniowe zrzekanie się wpływu na Czechy i Węgry, stosunek do krzyżackiego zakonu, konieczny na wschodniej granicy antagonizm z Moskwą, stosunek do Kościoła, a wewnątrz Reformacya i opanowanie steru spraw przez Sejmy, wszystko to tak jest pojęte i opisane w swoich powodach, jak nie zawsze

Mickiewicz historyę polską pojmować i sądzić umiał. Zmysł polityczny, czasem u niego niepewny, i zdrowy rozsądek także niekiedy zmylony innemi wpływami, w tych ustępach świecą niezwykłym blaskiem, i dają takie wyobrażenie i takie zdanie o epoce, że je późniejsze historyczne badania i odkrycia prawie we wszystkiem stwierdzają. Trudno też znaleść treściwszej a wierniejszej charakterystyki ówczesnej polskiej oświaty, jej elementów, cech i granic. Co do literatury, to tu (jak w ogóle) Mickiewicz mówiąc do cudzoziemców, a do tego prawie bez przygotowania, bez czasu i bez środków sprawdzenia każdego szczegółu, nie zawsze jest zupełnie dokładny, a czasem może w sądzie zbyt łagodny: ale szczegółowe usterki znikają wobec znakomitego obrazu całości, jaki jest zawarty w jego dwóch pierwszych kursach. O Kochanowskim zaś nikt przed nim tyle i tak dobrze, nikt po nim lepiej nie powiedział. Dziecińswem byłoby brać mu za złe, że Kochanowski wydaje mu się o dwa lata młodszym niż był w istocie; pomyłka ta powtarza się u wielu jego poprzedników, a on powtórzył ją z czystem sumieniem, nie mogąc ani jej sprostować, ani zapewne o niedokładność posądzać. To może ważniejsza pomyłka, że podług niego Kochanowski pochodził z tych okolic, gdzie mowa polska już graniczy z ruską. Że między zawołanymi latynistami kancelaryi królewskiej, wymienia Reya, o to mniejsza. Temu zaś wydziwić się nie można, jak on w tej jednej lekcyi dotknął wszystkich głównych pytań odnoszących się do Kochanowskiego, jak je szczęśliwą intuicyą rozwiązał, i jak dał jego charakterystykę najbardziej wszechstronną i najtrafniejszą, jaka dotąd była na świecie.

Kwestye te są następujące; Stosunek Kochanowskiego do poezyi starożytnej, i do zagranicznych poetów łacińskich jego wieku. Przy pierwszym może mylnie przypisuje Virgiliuszowi i Owidiuszowi wpływ największy na Kochanowskiego, choć zaraz potem wysuwa naprzód Horacego i Tybulla. Mówiąc o drugich, uważa nader trafnie, że w Kochanowskim nie było nic pedantyzmu właściwego humanistom, i zapytuje może nie bez racyi, czy to nie był powód, dla

którego on nie miał takiego u nich powodzenia i wzięcia, do jakiego miał prawo. Idą potem Włosi, i wytłómaczenie, że ani Ariosto (co do tego może nie ze wszýstkiem słuszne) ani Dante na Kochanowskiego wpływu nie wywarli i wywrzeć nie mogli. Po Włochach Francuzi, i spostrzeżenie znowu zupełnie słuszne, że jeżeli przykład Ronsarda mógł na Kochanowskiego działać, to jego złe strony, pedantyzm, wyszukane koncepta, i smak nie zawsze dobry, nie wpłynęły na naszego poetę wcale. Mimochodem, przy Psałterzu, którego ocenienie jest śliczne, dostają nauczkę i polscy krytycy romantyczni, zaślepieni w niepiśmiennej poezyi ludu i zarzucający Kochanowskiemu, że nie więcej dla ludu pisał lub z jego pieśni korzystał. „Kochanowski wziął tę formę ludowej pieśni i podniósł ją do wyższej godności, zrobił ją klasyczną; powinien był zrobić ją piękną, na to, by ludziom oświeconym podobać się mogła“.

O Trenach także bardzo krótko, ale wszystko czego potrzeba. „Nie znam w żadnej literaturze nic, coby o nich mogło dać wyobrażenie. Jest tam prostota i rzewność pieśni serbskich, ale z głębszem nierównie i potężniejszem uczuciem. Taki śmiały i taki wspaniały w stylu Psalmów, w Trenach Kochanowski schodzi czasem do najprostszego niby, najbardziej prozaicznego tonu, a umie go zrobić najprawdziwiej i najwyżej poetycznym“. I na dowód przytacza Tren VIII (Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim) o którym mówi, że ma prawie formę i ton jakoby listu do Urszulki pisanego.

Przechodząc do pieśni historycznych, i do Satyra i Zgody, mówi Mickiewicz, że „Kochanowski różny w tem od wszystkich współczesnych poetów w Europie, jest do szpiku kości patryotą, i do ojczyzny zwraca wszystkie swoje nauki i przestrogi“.

W następnej lekcyi (XXXVI z 11-go Czerwca) tłómaczy Mickiewicz, w czem jest Kochanowski do Horacego podobny, a w czem się od niego różni (nie przeczy i nie ukrywa ani naśladowań ani parafraz, ani nawet tu i owdzie plagiatów). Następuje potem rozbiór *Odprawy Posłów*, któ-

remu znawca poezyi starożytnej zarzuciłby może zbyt łatwą wiarę w doskonale grecki charakter figur, ale któremu estetyk musi przyznać wielką bystrość i wartość. Jedna rzecz dziwna, to, że strona tendencyjna i patryotyczna Odprawy, współczesnym nie tajna, skoro ją Wiszniewski wyraźnie widzi i naprzód wysuwa, uwagi Mickiewicza uszła zupełnie. Że zresztą tylko przy tem jednem dziele, dowodzi wzmianka, dla cudzoziemców niby nie konieczna o *Wróżkach*. Pięknie kończą się te lekcye porównaniem Kochanowskiego z Batorym: „Nowatorowie śmiali ale roztropni, znali oni obadwa miarę i zakres środków, któremi rozporządzać mogli. Usiłowali ująć w karby i zorganizować jeden Rzeczpospolitę, drugi literaturę. Jeden chciał stworzyć w Polsce europejskie Państwo, drugi europejską sztukę“.

Będzie się długo jeszcze nad Kochanowskim pracować, niejedno się zapewne odkryje, będzie się go znało dokładniej i pewniej, ale całe to badanie i jego skutki przyszłe wyjdą prawdopodobnie, jak obecne wyszły już z pewnością, na stwierdzenie tego sądu i wypełnienie tylko tego zarysu, jaki zostawił Mickiewicz.

W trzy lata później (1844) wychodził Tom VI *Historyi Literatury Polskiej* Wiszniewskiego, z rozdziałem o poezyi łacińsko-polskiej, aż do Sarbiewskiego, którym objęte są i łacińskie poezye Kochanowskiego; w roku 1845 Tom VII, o którym przy *Historyi nowej poezyi polskiej* jest mowa o jego dziełach polskich.

O życiu Kochanowskiego podaje Wiszniewski niektóre wiadomości fałszywe lub nie dowiedzione, naprzykład tę, że był na naukach w Niemczech, i to z braćmi, że „uczył się“ w Wenecyi. Zbyt pochopnie na wiarę protestanckich pisarzy przyjmuje za pewne, że „napoił się zdaniami akatolickiemi i sprzyjał reformie Lutra“ (Tom VII str. 63) nie przytaczając innych dowodów jak Oloffa *(Polnische Liedergeschichte)* i epigramów na księży; zbyt śmiało może robi Ronsarda przyjacielem Kochanowskiego; miesza chronologię, kiedy pisze, że Batory „obdarzył prelaturami Kochanowskiego i opactwo Sieciechowskie mu wyrobił“, kiedy Kochanowski

przed przyjazdem Batorego był już żonaty. Wreszcze żonę jego nazywa Anną. Ale wyliczywszy aż nadto może dokładnie tę listę pomyłek, i dodawszy do nich uwagę, że Wiszniewski jest może nie dość wyrozumiałym dla Kochanowskiego, kiedy na podstawie niektórych elegij, oskarża go o zniewieściałość i o „uczucia włoskie lub rzymskie“ i to jeszcze „z najgorszych czasów“, dla tego że w Elegii VII każe Mieleckiemu zdjąć szyszak z głowy, — trzeba czemprędzej przyznać, że wiadomości realnych nikt może tyle o Kochanowskim, o dziełach, o ich wydaniach, razem nie zebrał: nikt może przed Wiszniewskim nie odgadywał tak ważności historycznej poezyi Kochanowskiego, z powodu przechowanych w niej śladów czy jego z różnymi ludźmi stosunków, czy umysłowego i obyczajowego stanu ówczesnej Polski. Co do jego zdolności i stanowiska, lub co do sądu o każdem dziele z osobna, może byłoby lepiej, gdyby mniej przytoczeń i wyjątków, a więcej było wyciśniętej treści i na niej opartego zdania: ale zdanie to jest ogółem biorąc zawsze słuszne, a charakterystyka może nie dość udowodniona, ale trafna. Cecha polska i obywatelska dzieł i autora bardzo wyraźnie, bardzo silnie oznaczona. Z dzieł tych najobszerniej mówi Wiszniewski o *Odprawie Posłów*, której piękności doskonale rozumie a tendencyę i charakter polski szczególnie uwydatnia. Dwie tylko popełnia przy tem pomyłki. Jedną z nieuwagi, kiedy mówi, że Odprawa graną była na weselu Zamoyskiego z Gryzeldą; drugą, kiedy utrzymuje, że nierozważne małżeństwo Parysa i wynikłe ztąd dla Troi szkody, mają być figurą małżeństwa Zzgmunta Augusta z Barbarą. „Pryam dobrocią swoją i gnuśnością przypomina Zygmunta Starego przy schyłku życia, Parys Zygmunta Augusta, panów radnych jak Iketaon było już niemało, ale zbywało na takich jak Antenor“. Że było dużo takich jak Iketaon, to pewna, a że zbyteczna powolność Pryama do Jagiellońskiej dobroduszności podobna, to być może: i gdyby *Odprawa* była pisaną o lat dwadzieścia ośm (choćby dwadzieścia pięć) wcześniej, możnaby w tę hypotezę Wiszniewskiego uwierzyć. Ale w roku 1577 sprawa królewskiego małżeń-

stwa była już dawno zastygła, a poecie nie o to chodziło, by ją przypominać, ale o to, by „nierządnemu królestwu“ przypomnieć, że „kogo bić lepiej, niż go czekać“. *Odprawa* dzięki zapewne Mickiewiczowi i Wiszniewskiemu, musiała w tych czasach częściej zwracać na siebie uwagę, skoro prof. Mecherzyński poświęca jej osobną rozprawę (w *Bibliotece Warszawskiej* rok 1849). Rozprawa ta trzyma się głównie sądów Mickiewicza, i największą zda się wagę przykłada do dowodzenia, że Kochanowski jest w *Odprawie* więcej i prawdziwiej greckim, aniżeli Göthe w *Ifigenii*. Są w Historyi Literatury Wiszniewskiego rzeczy głębsze, uczeńsze, więcej nowe i własne od tego ustępu o Kochanowskim, ale o Kochanowskim znowu niewiele jest w innych Historyach Literatury ustępów tak dobrych jak ten.

W środek pomiędzy Mickiewicza a Wiszniewskiego, wchodzi ze swojemi pracami o Kochanowskim Kraszewski. W *Powiastkach i obrazach historycznych* (Wilno 1843) wprowadza on Kochanowskiego, jak pewnego razu zasiada pod lipą i chciałby pisać, a tymczasem najeżdzają go jeden po drugim przyjaciele, i biedny poeta klnąc ich w duszy, musi być grzecznym, przyjmować, bawić i poić. Występują tu wszystkie niemal figury wspomniane we *Fraszkach* (Jost, Mateusz, Slasa, Wojtek, Doktór Hiszpan) każda nakreślona pódług wskazówki, jaka się we Fraszkach znalazła.. Ale od tego obrazka ważniejsza jest rozprawa poświęcona Kochanowskiemu w drugim tomie *Nowych studyów literackich*, pisana w r. 1842, wydana w Wilnie 1843 r. Obszerne to studyum, więcej estetyczne niż biograficzne, ma niektóre pomyłki (naprzykład rok urodzenia 1532 i pobyt Kochanowskiego we Włoszech pierwej jak we Francyi), ale jest bardzo ładne i pierwsze w swoim rodzaju na tak duże rozmiary. Szczególną jego zasługą jest, że zwraca głównie uwagę na Pieśni, przedtem raczej zaniedbywane, i ujmując się za niemi słusznie a gorąco, wykazuje historyczne a patryotyczne pierwiastki w jednych, psychologiczne w drugich, poetyczne piękności we wszystkich. O stosunek tych pieśni do poetów starożytnych autor mało pyta, przypuszcza ogól-

nie, że niektóre z nich mogą być naśladowane, ale które i o ile, nie dochodzi. Drugą wielką zasługą tej rozprawy jest dowodzenie bardzo trafne i zwycięzkie, że nie można mieć więcej narodowego charakteru, jak go ma Kochanowski. Czyż trzeba tego dowodzić? widać, że tak, skoro cała ta część rozprawy Kraszewskiego jest jak żeby antycypowaną odpowiedzią na to, co o wiele lat później napisał o Kochanowskim Maciejowski. Musiały zdania podobne odzywać się już około roku 1840, choć nie zdarzyło nam się spotkać ich w książkach, skoro i Mickiewicz nawiasowo i Kraszewski gruntownie zbić je uważał za potrzebne.

W tym samym roku 1843, ukazały się Józefa Kremera *Listy z Krakowa.* Nie ma w nich osobnego rozdziału poświęconego Kochanowskiemu, ani szczegółowego rozbioru jego dzieł, ale w tomie trzecim, a w Liście trzydziestym, gdzie jest mowa o naczelnych reprezentantach epoki odrodzenia, jej ducha i jej sztuki, występuje w szeregu tych wizerunków (Bramante, Palladio, Michał Anioł, Rafael, Leonardo, Palestrina, Tasso, Ariost, Szekspir i t. d.) i Kochanowski, a długi o nim ustęp do tego zmierza i tem się zamyka, że był on jednym z tych, którzy z największą harmonią zdołali połączyć „wszystkie napozór sprzeczne barwy i tony, wszystkie żywioły i pierwiastki fantazyi artystycznej XVI-go stulecia“.

Zaczęły się teraz sypać jedne po drugich Historye Literatury. Ogół czuł ich potrzebę, chciał o tem wiedzieć, chciał się uczyć, tem skwapliwiej może, że w szkołach — galicyjskich z pewnością a zapewne i w Królestwie — uczyć się tego nie miał sposobności. Dawano mu więc podręczniki, które wszystkie tosamo prawie powtarzały, nie dodawały żadnego nowego szczegółu lub pojęcia: a kiedy czasem, poczuwając się do obowiązku oryginalnych i własnych *poglądów* wystąpiły z czemś, co przed niemi powiedzianem nie było, wpadały w pretensye albo w grube pomyłki. Tak naprzykład pan Edward Dembowski (*Piśmiennictwo Polskie w zarysie,* Poznań 1845) przyznaje, że Kochanowski był „największym swego czasu lirykiem i przedstawicielem du-

cha poezyi polskiej" (str. 75), ale niepodziela „bezwzględnego uwielbienia dla Kochanowskiego, bo kształcił on się głównie na wzorach obcych". Zapewne byłby lepiej zrobił, gdyby nie był kształcił się wcale? Wójcicki, w drugim tomie *Historyi Literatury Polskiej w zarysach* podaje spis dzieł Kochanowskiego (nie w porządku chronologicznym i bez wydań), potem krótki życiorys z myłką o koleżeństwie z Zamoyskim i Górnickim, a potem ułatwia sobie zadanie w ten sposób, że po krótkim wstępie odwoluje się do powagi Brodzińskiego i z niego spore wyjątki przytacza, a potem przedrukowuje kilka pieśni i dziewięć Trenów in extenso. a Satyra, Muzę i Sobótkę w długich wyjątkach. Majorkiewicz (*Pomysły do Dziejów Piśmiennictwa krajowego 1847*) zapowiada z góry, że „dość już pisano o bibliografii, czasby już było zajrzeć, co się w samych dziełach mieści", chce więc zapewne z a g l ą d a ć i nam to pokazać, ale choć oświadcza bez wahania, że Rey oryginalnością pomysłow i wyrazistością obrazów „przewyższa nieskończenie prawie Jana z Czarnołesia" (co jednak odnosić się zdaje do satyrycznych jednego i drugiego ustępów), choć dalej wspominając ten wykrzyknik z Trenów „gdziekolwiek jest — jeśliś jest" woła szumnie „tu Kochanowski Szekspirem", pierwszej tylko połowy swoich zobowiązań dopełnił. O niegodnej wielkiego umysłu bibliografii i biografii nie powiedział istotnie nic: ale czy wiele więcej, czy nie mniej raczej od swoich poprzedników takich, jak Brodziński, Mickiewicz, Wiszniewski, czy nie mniej od Kraszewskiego powiedział o tem „co się w tych dziełach mieści", to pytanie, na które odpowie sobie łatwo każdy, kto go z tymi poprzednikami porówna.

Kondratowicz znowu, w *Dziejach Literatury w Polsce* (Wilno 1850 Tom I), pod własnem nazwiskiem a nie pod pseudonymem Syrokomli, myli się jak poprzednicy w szczegółach biograficznych (rok urodzenia), a zbyt może hojny jest w przytaczaniu wyjątków, ale ma tę zasługę i nad innymi wyższość, że w wyjątkach tych szuka śladów i świadectw o usposobieniu Kochanowskiego, lub o jego przemijających uczuciach i wrażeniach. Szuka ich mianowicie

(i słusznie) w zaniedbywanych zwykle elegiach łacińskich. I tu z wszelkiem uszanowaniem i wdzięcznością wspomnieć należy jego wielką około literatury zasługę, i wielką nad Kochanowskim pracę. Tą jest przekład poezyj łacińskich. Brodziński nie wszystkie był przetłómaczył: opuścił owszem takie, które historycznie były może właśnie najważniejsze. Syrokomla go dopełnił, tak, że z jego łaski każdy kto nie może po łacinie, może czytać po polsku wszystko, co Kochanowski napisał. Jakie są te jego przekłady? Może jeszcze mniej klasyczne, i do polskiego stylu Kochanowskiego mniej podobne, aniżeli przekłady Brodzińskiego. Syrokomla ma więcej cech własnych w języku i stylu, które się zatrzeć nie dały; na poezyi romantycznej kształcony zresztą, nosi wyraźne ślady jej wpływu. Ale tłómaczył z niezaprzeczonym talentem, z wielkiem zamiłowaniem, i z takiem często wdziękiem, że dla czytelnika jest od Brodzińskiego milszy, a dla Kochanowskiego korzystniejszy od niego.

Nie bez zdziwienia czyta się W. A. Maciejowskiego *Piśmiennictwo polskie od najdawniejszych czasów aż do roku 1830*, w trzech tomach, Warszawa 1851. Człowiek, jak świadczą uczeni w jego zawodzie, w znajomości polskiego prawa i jego historyi biegły, w każdym razie badacz i szperacz skrzętny i zamiłowany. Literatura wprawdzie nie była głównym przedmiotem jego nauki i pracy: przecież, skoro już o niej pisać chciał, to zdawałoby się, że do tego swego dzieła przyniesie te przymioty, które mu znawcy w innych przyznają, skrzętność i drobiazgową niemal pilność w poszukiwaniu, dokładność w podanych tego poszukiwania rezultatach. Jakiekolwiek byłyby Maciejowskiego zapatrywania i sądy, to w każdym razie informacyj pewnych, gruntownego sprawdzenia swoich twierdzeń, można było słusznie spodziewać się po tej wielkiej reputacyi uczonego, a bez przesadnych i zuchwałych wymagań można było przypuszczać, że znajdzie się u niego należytą znajomość i zrozumienie epok i ludzi.

Piśmiennictwo Polskie przynosi pod tym względem tyle niespodzianek, że zdumiony czytelnik w skrytości swego

serca nieśmiało czasem sam sobie zadaje pytanie, czy też Mickiewicz co do Literatury przynajmniej nie miał przypadkiem racyi, kiedy w erudycyę Maciejowskiego nie zupełnie wierzył. (Lekcya z 12 Kwietnia 1842).

W podziwieniu tem utrzymać i utwierdzić może między innemi właśnie rozdział o Kochanowskim. Dziéli go Maciejowski na trzy ustępy, w których podaje życiorys Jana, pogląd naukowy na jego dzieła, i wreszcie to, co poglądem głębszym nazywa. Że na samym początku rzuca pytanie (nierozwiązane) czy Kochanowski był potomkiem jakiegoś Kochana ulubieńca Kaźmierza W., to może dowodzi wielkiej erudycyi: mniejszej już to, że twierdząc jakoby Kochanowski i bez swoich nauk zagranicą był został tem, czem jest, „bo genialnie pisać po polsku potrafił, teraz łada umysł dowcipny, zwłaszcza, gdy Górnicki zrobił przetor do tego“. Skrzętny i sumienny badacz zapomniał porównać daty, i wyciągnąć z nich wniosek, że pierwsze dzieło Górnickiego wydane w roku 1566, przed Kochanowskim przetoru zrobić nie mogło. Niemniej dziwne i to, że uczony historyk Literatury pisząc o Kochanowskim, chyba dzieł jego nie czytał, skoro nas uczy, że „dwa razy tylko uniósł się ziemskością, raz gdy pokochał Hannę, drugi raz, gdy opłakiwał Urszulę, a zresztą w miłości Boga i ojczyzny zatapiał się cały“. Do której z tych dwóch miłości należeć ma (nadziemska oczywiście?) miłość do Lydyi? albo w której to zatapiał się Kochanowski, kiedy pisał Fraszki? tego już badacz nie mówi. Dziwne i to, jak na skrzętnego szperacza pełnego metody i dokładności, że żona Kochanowskiego nazywa się Anną, a Piotr tłómacz Ariosta i Tassa, jest bratem wielkiego Jana; dziwniejsze, że ktoś, co naturę epoki, co Polskę XVI wieku znaćby powinien, przypisuje wielką Kochanowskiego u współczesnych sławę tej okoliczności, że zdumieli się na widok człowieka, który o bogactwa i zaszczyty nie dbał, i tem więcej go podziwiali, im mniej byli sami do niego podobni. Że do tego ideału rzadko kto był w ówczesnej Polsce podobny, to pewna; ale czy powód wziętości i sławy Kochanowskiego, był taki, jak się Maciejowski domyśla, to

wydaje się wątpliwem i do charakteru ówczesnych ludzi nie bardzo przystaje. Spis dzieł i wydań (w wieku XVI) dokładny, ale tu nie można powstrzymać zdziwienia na tę wątpliwość, z jaką Maciejowski zapytuje, czy Satyr był drukowany przed rokiem 1583, albo nie.

Dzisiejszy jest jego *Pogląd Naukowy*. Kochanowski miał przed sobą trzy drogi, któremi zarówno mógł dojść do sławy i ojczyźnie się zasłużyć; albo „upowszechniać w Polsce znajomość greckiej i łacińskiej literatury“ (naprzykład zostać jej profesorem), albo „poświęcić swe siły jednemu „wielkiej treści i wagi poematowi jak Dante, Tasso i Ariost i utworzyć nam wielkie Epos“. Ale on wybrał drogę trzecią: zrozumiał, że „ówczesnym Polakom potrzeba, iżby ktoś odbył z nimi kurs Literatury, i na dobrych wzorach dał im poznać ducha poezyi. Tą więc poszedł drogą, przeszedł z ziomkami ów kurs dwojako: religijnie i świecko“. Wszystko więc co Kochanowski pisał, od Psałterza do Fraszek, to jest takim praktycznym kursem poetyki „według zasad Horacyusza“ z planem z góry ułożonym i systematycznie wykonanym. Dowodzi tego rozmaitość form: Kochanowski pisze wszystko „od eposu do epigramu“ na to, by ziomkowie z jego przykładów nauczyć się mogli, czem być powinna Oda, Elegia, Epigram, Satyra, Dramat, a nawet Epos, bo tłómaczenie *Monomachii* i *Aratus* dowodzą przecież jak na dłoni, że w troskliwości swojej chciał nas i z poezyą bohaterską zapoznać. Słowem, poezya Kochanowskiego jest według Maciejowskiego tem mniej więcej, co Osińskiego Kurs Literatury Porównawczej, z tą różnicą, że niema tam teoryi, tylko same przykłady, a te nie z różnych poetów brane, tylko przez jednego *ad hoc* troskliwie pisane.

Nie wiem, czy zawód jakiegokolwiek poety, od Homera do Mickiewicza, był kiedykolwiek w ten sposób pojmowany i tłómaczony, i wątpię też, żeby Kochanowski był swój zawód w ten sposób pojmował, i tak porządnie z góry systematyczny jego program układał.

W ustępie trzecim nie mniej twierdzeń dowolnych, nie uzasadnionych, a nieraz ze sobą niezgodnych. Szczęśliwie

pojęta autora miłość do Słowiańszczyzny, każe mu naprzykład robić Kochanowskiego zwolennikiem słowiańskiej herezyi. „Żyjąc w wieku protestantyzmu, przejął się jego zasadami, więcej wszakże z czystego hussytyzmu, niż innych sekt, pojmując go w duchu, czego się nie zapierał nigdy“. Dowód: fraszka na Ojca św. (o której zdaje się nie wiedzieć, że jest przekładem), i wszystkie inne żarty na księży. Że to wystarcza za dowód, jako Kochanowski nigdy nie wypierał się protestantyzmu, to dość dziwne: ale żeby człowiek uczony, znający historyę, mówił o hussytyzmie i jego wpływie w Polsce za Kochanowskiego czasów, to jest rzeczywiście zdumiewające. Prawda, że o parę tylko wierszy dalej tensam Maciejowski przyznaje słuszność tym, co Kochanowskiego uważali za katolika „bowiem obstawał za poprawą hierarchii duchownej a dogmatów wiary nie tykał“. Mniejsza już o to, że Kochanowskiemu odmawia oryginalności („bardzo mu na niej zbywało“), że o całym humanizmie i jego literaturze, o stosunku Kochanowskiego do niej, nie wspomina ani jednem słowem. To, co się przytoczyło, wystarczy, żeby pokazać, iż niełatwo jest spotkać u uczonego człowieka, mniej jasności w myśleniu, mniej pewności w sądzeniu, mniej ścisłości czy to w rozumowaniu, czy w podawaniu wiadomości.

W *Dodatku do Czasu* z Lipca 1856 roku, mieści się ładny, z humorem napisany artykuł Maurycego Dzieduszyckiego o *Szachach w Polsce*. Cała historya tej gry w naszym kraju. W tej historyi, naturalnie, mają swoje miejsce i *Szachy* Kochanowskiego; autor dowodzi tego samego wprawdzie co Bandtkie przed trzydziestu laty, ale daleko żywiej i dowcipniej niż tamten, że nauka szachów ułożona jest u Kochanowskiego inaczej, krócej i ładniej niż u Vidy, a cały dodany romans jest jego wynalazku. Prof. Rymarkiewicza *Lutnia Jana Kochanowskiego* (Poznań 1857) nic do Kochanowskiego się odnosi, ale do wiersza, który pamięci jego poświęcił Miaskowski.

Ale kiedy przez lat wiele powtarzały się tesame zawsze ogólne o Kochanowskim wiadomości, kiedy krytyka doszła (w Mickiewiczu) do doskonałego ale ogólnego zawsze jego

ocenienia i po za to nie wyszła; kiedy znajomość życia poety prawie nie wyszła po za to, co w r. 1612 powiedział bezimienny biograf, obudziło się wreszcie uczucie, że to przecie nie dosyć. Może przykład narodów obcych tak dobrze pisarzy swoich znających, może głębsza cokolwiek i powszechniejsza znajomość literatur zagranicznych przyczyniła się do tego: dość, że poczęło się wreszcie przekonanie, iż o Kochanowskim wiemy mało, pragnienie dowiedzenia się więcej. Że mamy oznaczone pierwiastki i stopień jego poezyi, to dobrze; ale ten ogólny sąd trzebaby poprzeć, ten zarys trzebaby wypełnić, a w jego ramach mieści się tyle pytań nierozwiązanych, prawie niedotkniętych! jedne dotknięte, lub na domysł jakotako (niekiedy trafnie) odgadnięte; inne zaniedbane; jeszcze inne pojmowane mylnie.... Pokazuje się, że po trzech wiekach niewiele się około Kochanowskiego zrobiło, i że trzeba głębiej a realniej wziąć się do niego i do naszej literatury w ogólności.

IV.

Hasło i przykład dał p. Józef Przyborowski podówczas nauczyciel przy gimnazym św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. W r. 1857 wyszła jego *Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego*.

„Nowsi biografowie (Kochanowskiego) zbyt polegali na Starowolskim, gdyż nie zagłębiwszy się w pisma poety samego, nie widzieli potrzeby brać podania Starowolskiego pod ściślejszy rozbiór; natomiast roztwarzając słowa Starowolskiego, wysnuli podostatkiem domysłów, które przy sumienniejszem nieco rozpatrzeniu się w pismach naszego wieszcza, ostać się żadną miarą nie mogą“.

Tak mówi pan Przyborowski na samym wstępie swojej rozprawy, a w tych słowach jest krytyka słuszna wszystkich, którzy dotąd o Kochanowskim pisali, i te same zawsze błędy, jak pacierz za panią matką, za Starowolskim powtarzali. W tem zdaniu trafnem jest przecież jedna pomyłka,

dziwna, oto ta, że i pan Przyborowski także uważa Starowolskiego za pierwsze i oryginalne źródło, a zdaje się nie uważać tego, że i on także powtarzał, że poprostu dosłownie przepisał bezimiennego biografa z r. 1612, i że ten był naprawdę pierwszym biografem a zarazem źródłem pomyłek późniejszych.

Z tem jednem zastrzeżeniem pan Przyborowski miał słuszność, i miał tę wielką zasługę, że spostrzegł pierwszy, jak ta sprawa Kochanowskiego mało się jeszcze w literaturze posunęła, a z tem przekonaniem i z uczuciem tej potrzeby zgodnie, zaczął sam szukać, badać i prostować. „W niniejszym zarysie starałem się dochodzić prawdy, przy pomocy szczególniej pism Jana samego“.

Temu założeniu wierny, poddaje pan Przyborowski ścisłemu examinowi cztery kwestye tyczące się Kochanowskiego, a mianowicie; okoliczności jego życia, o ile dotąd trafnie lub mylnie były podawane, bibliografię wydań, stosunek jego do poetów starożytnych (a zatem stopień i miarę jego oryginalności), i wreszcie język.

W tej pierwszej a najważniejszej może części, jeżeli autor nie wszystkie wątpliwości mógł usunąć, jeżeli sam to lub owo mógł błędnie przypuścić, to w każdym razie przekrzesał i przerąbał dzielnie ten gąszcz fałszami zarosły i wiele z tych fałszów wykarczował z korzeniem. Naprzód wdał się w zawiłą, przez późniejszych wielorako jeszcze zawikłaną, genealogię Kochanowskich: czy już zupełnie jasno i pewnie oznaczył potomstwo i pokolenie wszystkich stryjów i stryjecznych braci poety, sądzić nie mamy prawa; ale w każdym razie rozwiązał zagadkę co do tego z Kochanoskich, który po Janie najbardziej jest zajmujący, i dowiódł zwycięzko, że Piotr brat Jana, a Piotr tłómacz Ariosta i Tassa to nie jeden i tensam, ale że ostatni jest po bracie Mikołaju (autorze Rotuł) synowcem poety. Mówiąc potem o latach nauki, myli się pan Przyborowski, kiedy ze słów III Elegii wnosi, że Kochanowski nie uczył się w Krakowie, skoro metryka uniwersytetu imię jego wyraźnie zapisane przechowuje; ale z zagranicznych jego nauk usuwa naprzód

ten zadawniały nieporządek, który pobyt we Francyi mieści niekiedy przed pobytem we Włoszech, i usuwa stanowczo na bok legendę o koleżeństwie Kochanowskiego z Zamoyskim. Może zbyt śmiało przeczy Ronsardowi wszelkiego na Kochanowskiego wpływu, ale czas powrotu poety do kraju umie stanowczo oznaczyć na r. 1557. W kwestyi powtórnej podróży do Włoch (która za przykładem Niemcewicza błąkała się tu i owdzie po różnych życiorysach), zważywszy różne *pro* i *contra*, oświadcza się przeciw temu przypuszczeniu. Późniejsi (ksiądz Gacki i Löwenfeld) dowodzą, że pan Przyborowski pomylił się, kiedy Kochanowskiemu kazał się „przypasywać do miecza“ w r. 1559; a czy się myli lub nie, kiedy mówi o obojętności jeżeli nie niechęci poety względem Zygmunta Augusta, dojść i dowieść jest trudno. Miarą i podstawą sądu jest tu własne wrażenie, i ocenienie słów Kochanowskiego; słowa te drugiemu mogą się wydać nie tak bardzo wymuszone i chłodne, albo przeciw tym dałyby się przytoczyć inne może serdeczniejsze. Również niezupełnie może dowiedzionem jest twierdzenie, jakoby Kochanowski po śmierci Urszuli zupełnie był złamany i nawet na talencie podupadł. Przeciw temu trwałemu i zupełnemu pognębieniu świadczą *Fraszki*, których człowiek *nolens consolari* nie byłby przygotowywał do druku. Ale jeżeli w pracy pana Przyborowskiego są jakie pomyłki, albo jeżeli po niej zostały jeszcze zagadnienia nierozwiązane (jak zawsze zostawać muszą), to zasługa pierwszego kroku była zawsze ogromna, i to zasługa nie samej tylko dobrej chęci i przykładu, ale rzeczywistego dotykalnego skutku. Co się rozjaśniło, co wiadomości prawdziwych przybyło a usunęło się mylnych, to zostało, jak został dany przykład i popęd krytycznej, umiejętnej pracy.

Nie chcąc zbytecznie inwentarza tego przeciągać, pomijamy część bibliograficzną rozprawy, a nie przypisujemy sobie prawa do głosu w specyalnej kwestyi języka Kochanowskiego, mianowicie stosunku używanych przez niego form gramatycznych do języka starosłowiańskiego. Ale na co szczególnie uwagę zwrócić należy, to na rozdział o *Frasz-*

kach, w którym autor stawia śmiało kwestyę oryginalności Kochanowskiego i zależności jego od poetów starożytnych. Aż dotąd mówiono wprawdzie ogólnie o ich wpływie, o naśladowaniu lub przerabianiu Horacego lub Tibulla, ale nikt nie śmiał zapytać, jak daleko to naśladowanie się rozciąga, jak głęboko sięga, z obawy może, iżby się nie pokazało, że Kochanowski wiele naśladował, iżby mu szkody nie zrobić i nie popsuć sławy. Uczucie szanowne ale błędne; od owego czasu wykryto wiele, jeżeli nie wszystkie jeszcze miejsca pożyczone lub żywcem powtórzone za drugimi, opatrzono się, że powszechny obyczaj wieku uprawniał to, co w naszych ujśćby nie mogło, a Kochanowskiego sława i zasługa nic na tem nie straciła ani się zmniejszyła, choć się pokazało, że wiele pieśni i wiele fraszek, i wiele nawet wierszy w Odprawie przeszło tylko przez pióro Kochanowskiego, ale z jego głowy nie wyszło. Pan Przyborowski pierwszy miał odwagę śmiało o ten zakres i stopień naśladownictwa zapytać i śmiało nań odpowiedzieć. Wziął na ten examin wprawdzie tylko *Fraszki*, ale też każdą wybadał, a gdzie się zdarzyło, że która oryginalną nie była w całości lub w części, zaraz jej dowiódł zkąd pochodzi, z oryginalnem tekstem porównał, i wykazał, w czem i o ile Kochanowski ją zmienił. Nie tak dokładnie i obszernie, ale pracę podobną wykonał z *Pieśniami*, z *Muzą*, z *Dziewosłębem*, z *Marszałkiem*, z *Sobótką*, z *Monomachią*, nawet z *Trenami*. Początek był zrobiony, krytyczne badanie było nareszcie zastósowane do życia i do dzieł Kochanowskiego.

Skutki pokazały się niebawem. Przy wydaniu polskich dzieł Kochanowskiego w *Bibliotece polskiej* J. K. Turowskiego (Przemyśl 1857), wyszedł życiorys pióra Stanisława Przyłęckiego, jeden z lepszych, jakie były napisane, a z pracy pana Przyborowskiego już korzystający. Z dawnych powtarzanych przez wieki niedokładności wiele znikło, zostały przecież nie same tylko te, których pan Przyborowski jeszcze nie był zdołał usunąć. Naprzykład jak tamten, nie wie jeszcze p. Przyłęcki, w jakich szkołach uczył się Kochanowski przed wyjazdem za granicę, czyli o jego pobycie

w Krakowie; ale za Starowolskim, którego i on nazywa „pierwszym żywociarzem Kochanowskiego“, powtarza mimo) p. Przyborowskiego) legendę o jego koleżeństwie z Zamoyskim, wierzy w jego poselstwa do zagranicznych dworów, żenić mu się każe w roku 1568 (rezygnacya z poznańskiego probostwa datowana z r. 1574, a dowodząca stanowczo, że przed tym rokiem poeta żonatym nie był, jeszcze odkrytą nie była). Ale już w tym krótkim życiorysie jest pomyłek mniej, pewności więcej niż w poprzednich, a w przypiskach dodana jest wiadomość wcale dokładna o różnych Kochanowskiego żywotach i pochwałach. Dołączony zaś spis wszystkich wydań, z wyliczeniem tego, co każde z nich obejmuje, i z podobiznami niektórych kart tytułowych, uzupełnia tę pracę, która choć rozmiarami mała, należy do gruntowniejszych, jakie o Kochanowskim do owego czasu były zrobione.

Nie brakło i polemiki. Zaraz w tym samym roku odpowiada Przyłęckiemu pan Przyborowski w *Dzienniku literackim*, lwowskim, a w marcu roku 1858 ogłasza Bartoszewicz (w *Bibliotece warszawskiej)* rozprawkę o *Kasztelanii Połanieckiej Kochanowskiego*, w której się z panem Przyborowskim spiera. Twierdzi naprzód, że stosunek Kochanowskiego z Zygmuntem Augustem nie był tak obojętny, jak się tamtemu wydaje: dalej dowodzi, że Kochanowski przed rokiem 1573 żonatym nie był, skoro probostwo poznańskie trzymał, a podkanclerzy Krasiński starającemu się o nie księdzu Podoskiemu odpowiada (1571), że o wakancyi nic nie wie; a wreszcie dowodzi, że skoro w metryce koronnej nie ma śladu nominacyi Kochanowskiego na kasztelanię Połaniecką, więc musiał za nią podziękować, zanim jeszcze dyplom był przez króla podpisany. Kiedy mu ją ofiarowano? Za Batorego dopiero, jak się samo z siebie rozumie, skoro ją Zamoyski wyrabiał. Ale że Zygmunt Czudowski postąpił z kasztelanii Połanieckiej na Bełzką w roku 1576, wnosi ztąd Bartoszewicz, że podczas tego wakansu miał poeta zostać senatorem.

W *Bibliotece warszawskiej* z r. 1859 występuje znowu p. Przyborowski do polemiki z Bartoszewiczem, i w arty-

kule pod tytułem *Probostwo Poznańskie Kochanowskiego* utrzymuje naprzód swoje twierdzenie o obojętności jeżeli nie niechęci poety do Zygmunta Augusta; następnie wykazuje pomieszanie dat i wypadków w życiorysie, który Starowolski za biografem z r. 1612 powtórzył, i dowodzi, że na tych jego podaniach śmiało (a nawet wcale) opierać się nie można, a wreszcie przypuszcza i przypuszczenia tego broni, że jakkolwiek dobrowolna rezygnacya Kochanowskiego z dochodów poznańskiego probostwa nastąpiła dopiero w r. 1574, on przecież wcześniej, a mianowicie w 1571 już żonatym być musiał, skoro w tym roku inny (X. Podoski) o to probostwo się starał. Musiał zatem być wakans. Przypuszcza więc, że przez fawor (a raczej przez nadużycie) król Kochanowskiemu pomimo ożenienia dochody probostwa na czas jakiś jeszcze mógł zostawić.

Jest może (choć ukryta polemika z panem Przyborowskim w artykule *Jan Kochanowski jako poeta liryczny*, który pan Faleński (Felicyan) w r. 1864 w warszawskim *Tygodniku illustrowanym* ogłosił. Cała jego treść i ton każą mniemać, że autor oburzył się na twierdzenie i dowodzenie, iż Kochanowski nie jedno wziął od starożytnych, zmartwił się, przestraszył się o sławę Kochanowskiego i o jego polską duszę i cechę. W artykule są ładne i trafne uwagi, jest dużo sympatycznego przywiązania do poety, ale jest niezupełnie trafne, zwłaszcza nie dość wysokie zrozumienie rzeczy. Ostatnim wnioskiem, do którego autor dochodzi, rezultatem jego pracy jest, że Kochanowski „szedł tylko naprzód, a zawsze „z myślą o radykalnem odszczepieństwie od klassycyzmu na korzyść czysto domowej lutni“. Czasby już był doprawdy dowiedzieć się i zrozumieć, że ani człowiek owej epoki o odszczepieństwie od klassycyzmu myśleć nie mógł, ani Kochanowski o niem nie myślał; czasby i o tem raz już się przekonać, że narodowy charakter czy poezyi polskiej, czy Kochanowskiego, nic a nic na tem nie tracił; a nareszcie możnaby i to raz uznać, że taki jak jest Kochanowski, jest właśnie dobry, a te wpływy klasyczne były nietylko konieczne i nieuniknione, ale były i dobroczynne. Wiele to już

lat, jak to Mickiewicz powiedział? a na narodowym charakterze poezyi i na jego warunkach on podobno znał się. Gdyby w pierwszych latach romantyzmu jaka piękna dusza była się bała, czy wzory obce nie naruszą polskiej rdzeni poezyi Kochanowskiego, i gdyby o tyle go rozumieć i umiłować była zdołała, o ile go do swoich własnych pojęć zbliżyła, o ile go sobie wyobraziła do Brodzińskiego podobnym, byłby błąd zrozumiały i ówczesnym stanem pojęć i sądów wytłómaczony. Ale dziś ściągać Kochanowskiego na nasze stanowisko, a jego stanowiska nie wyrozumieć, to pomyłka cokolwiek spóźniona.

Trafiają się i prace szczegółowe. I tak p. Marcelli Ulkowski ogłosił w rocznem sprawozdaniu gimnazyum Szremskiego w r. 1863 pierwszą (jak obiecywał) połowę swojej rozprawy *de Joannis Cochanovii elegiis latinis;* ale druga połowa nie ukazała się, o ile wiemy, a ogłoszona pierwsza poprzestała na przytoczeniu treści niektórych elegij i krótkim według Przyborowskiego ułożonym życiorysie.

Popęd raz dany nie ustał, i w ostatnich latach dwudziestu pięciu, więcej może, niż przez cały czas dawniejszy dochodziło i doszło się wiadomości o życiu Kochanowskiego i o jego pismach. Wpływ ten z natury rzeczy najmniej mógł działać na całkowite historye literatury, a przynajmniej na jej podręczniki, bo te zawsze o tyle tylko mogą stanowisko swoje zmienić i podnieść, o ile im to przez prace przygotowawcze i częściowe było ułatwionem. Na tem też najobszerniejszem polu najmniej co do Kochanowskiego różnic i zdobyczy. Jak pod wieloma innemi tak i pod tym szczegółowym względem, przewyższa współzawodników Bartoszewicz (*Historya literatury polskiej potocznym sposobem opowiedziana,* Warszawa 1861). I żywot u niego opowiedziany najdokładniej choć krótko, i zrozumienie tak dzieł, jak całej postaci Kochanowskiego może najtrafniejsze. Bardzo poprostu naprzykład a przez to rozumnie i trzeźwo, tłómaczy on te ustępy w Kochanowskim, które według innych mają dowodzić jego skłonności do protestantyzmu. Co mu jedynie słusznie można zarzucić, to, że nie jest dość wyrozumiały na konieczny

wpływ poezyj starożytnych na Kochanowskiego, że zdaje się wierzyć i żałować, jakoby ten wpływ był Kochanowskiemu odjął własny poetyczny polot, a tego nie widzieć, że naprzód bez tej pomocy Kochanowski nie byłby zdołał być tem czem jest, a powtóre, że cały ten wpływ ani jego talentu nie skrępował, ani zwłaszcza jego rdzennie polskiego ducha i charakteru nie zmienił ani naruszył. Czy nie ma czasem w tym sądzie nieco zbytecznej powolności dla Maciejowskiego, którego powadze ulegali niekiedy w tych latach lepsi od niego znawcy i sędziowie?

Encyklopedya powszechna wydana w Warszawie u Orgelbranda 1863 r., podaje pod literą *K* krótki artykuł z podpisem J. P., w którym wolno domyślać się p. Przyborowskiego, essencyę jakoby wyciśniętą z *Wiadomości* o życiu Kochanowskiego z tą różnicą, że niektóre szczegóły tam podane za pewne, tu już postawione są jako wątpliwe, lub podług nowszych odkryć sprostowane. Pan Nehring w *Kursie literatury polskiej dla użytku szkól* (Poznań 1866) ani mógł, ani chciał wychodzić po za elementarne wiadomości o Kochanowskim; gdyby można wytknąć mu jaką pomyłkę, to chyba tę, że powrót poety z Francyi naznacza w sposób nieokreślony „około roku 1560“, kiedy rok 1557 jest, o ile dotąd wiedzieć można, datą jedną z pewniejszych w tym żywocie.

Nie oceniamy tu podręczników, nie wdajemy się zatem ani w ich krytykę, ani w ogólne nawet o nich sądy; nie to obchodzi nas w tej chwili, co któremu z nich z osobna lub wszystkim razem dałoby się zarzucić. Wystarczy nam tu wspomnieć, że p. Rycharski naprzykład mógłby był po tylu poprzednikach wydając swoją *Literaturę polską* w roku już 1868, nie pomylić się przynajmniej co do imienia żony Kochanowskiego, a jeżeli podobały mu się słowa Kraszewskiego: „on był *wysoko*, myśmy sie wryli *głęboko!*“ to mógł był przynajmniej zacytować źródło, z którego je wypisał (*Nowe studya literackie*, Tom II). Z panem Kuliczkowskim (pierwsze wydanie *Zarysu dziejów literatury polskiej* wyszło w r. 1869), właśnie dlatego, że więcej od niego spodziewać

się i wymagać można, wartoby spierać się więcej i gruntowniej o wiele rzeczy; w tej szczegółowej kwestyi możnaby go zapytać, czemu dla młodzieży pisząc, nie powiedział jej o Kochanowskim więcej i żywiej, czemu nic nie zrobił na to, żeby ją tym poetą zająć i dać jej o nim więcej wyobrażenia? Czemu wreszcie tak łatwo i pewnie zdaje się wierzyć w poselstwa zagraniczne Kochanowskiego, albo w drukowanie dzieł „najczęściej bezpośrednio po napisaniu“. Trzecie wydanie z r. 1884, pod względem Kochanowskiego różni się od pierwszego tylko sprostowaniem niektórych dat, stósownie do zrobionych tymczasem odkryć, i wzmianką o naukach Kochanowskiego w Krakowie, który to pobyt autor zbyt śmiało i pewnie do roku 1549 przeciąga.

Karol Mecherzyński znowu w swojej *Historyi literatury polskiej dla młodzieży* (Kraków 1873), jako w podręczniku, pobieżnym być musiał; ale dziwna, że on tak zwykle sumienny i ostrożny, bez zastrzeżenia podaje wiadomość, jakoby Kochanowski był „posłował do zagranicznych dworów.“ A jak jedni przesadzają i krzywdzą Kochanowskiego, kiedy mówią, że wpływy, klasyczne zatarły w nim charakter polski, tak on znowu przesadza w kierunku przeciwnym, kiedy zaręcza, że „w pieśniach nie znać obcej myśli i naśladowania.“

Pan Lewestam w czwartym tomie swojej *Historyi literatury powszechnej* (Warszawa 1886), opowiada krótko życie Kochanowskiego (podług Przyborowskiego), od siebie dodaje parę błędów, jak naprzykład ożenienie Zamoyskiego z *Gryzeldą* w r. 1578, a co gorzej, *Nuncyusza* Possewina. W sądzie zaś swoim myli się podobno, kiedy mówi, że Klonowicz „wyższy jest od Kochanowskiego *narodowością* i głębokością „swoich uczuć“ (str. 108) a Rey znowu „przewyższa go nie„zmiernie oryginalnością pomysłów i wyrazistością obrazów“ (str. 99).

Pan Rogalski, *Historya literatury polskiej*, Warszawa 1871, przepisuje bez ceremonii doslownie prawie całe ustępy z Maciejowskiego i to wyborowe, bo o Husytyzmie naprzykład: inne z Mickiewicza (o Psałterzu), a o tem czytelnika

nie ostrzega. Ustęp z Mickiewicza wyjęty w części oznaczony jest cudzysłowem, ale nie cały i bez wskazania zkąd pochodzi. Pojąć trudno, że takie rzeczy jeszcze się trafiać i uchodzić mogą, i w opinii ludzkiej nie szkodzą.

Pięciotomowe dzieło jakiem jest *Rys dziejów literatury polskiej podług notat Aleksandra Zdanowicza*, opracowany przez p. Sowińskiego (Wilno 1878), przechodzi choćby rozmiarami swemi zakres szkolnego podręcznika. Jednak tem być miał, skoro w pozostałych po panu Zdanowiczu papierach znajduje się wyraźna (w przedmowie drukowana) przestroga, że książka ta powstała w szeregu lekcyi prywatnych... „nie zawiera nowych spostrzeżeń... jest mozaiką, ułożoną „z rzeczy dobrze znanych, zastósowanych do pojęcia i wieku „uczennic.“ Kto jej nadał tę objętość, za wielką na taki użytek, i kto, p. Zdanowicz swojėmi zapiskami, czy p. Sowiński swojem opracowaniem, stał się winnym błędów, jakie się w tem dziele znajdują? Co do Kochanowskiego przynajmniej, jest ich dosyć. Może nie (w krótkim i ogólnikowym) życiorysie, ale w sądzie autora, czy autorów. Powtarza się tu z większą wiarą niż rozwagą, ta przez Maciejowskiego wymyślona hypoteza, według której Kochanowski „*postanowił „odbyć z ziomkami swymi praktyczny kurs literatury; kurs „ten przeszedł dwojako, na drodze poezyi religijnej i świeckiej* i t. d.“ (T. I, str. 306). Oddał się wyłącznie obznajomieniu ziomków „z poezyą starożytną przejął się i przesiąkł nią cały,“ był od niej „*jakoby opętany*,“ powtarza się za Maciejowskim, „jedynie *Treny* i niektóre *Fraszki* stanowią wyjątek...“ po czem wszystkiem twierdzimy, że Jan był „raczej znakomitym pisarzem, niż wielkim poetą“ (str. 319). *Odprawa posłów* (grana przy weselu Zamoyskiego z *Gryzeldą*), „nie ma związku z życiem narodowem“ (str. 311). W wierszu do *Muzy* Kochanowski naśladuje... Możnaby doprawdy dać to na zagadkę, kogo naśladuje Kochanowski w *Muzie?* — Odpowiedź: „Juwenalisa!“ (str. 312). Ale można dać pokój skromnym historykom literatury i nie dziwić się, że czegoś nie wiedzą lub nie rozumieją. Ze zdziwieniem głębokiem za to spotyka się zdania podobne w tych

Dziejach literatury polskiej pana Włodzimierza Spasowicza (Warszawa 1882), które pp. Czarnowski i Bem przełożyli na język polski. W tym razie dyskusya gruntowna i zasadnicza byłaby usprawiedliwioną i potrzebną, ale nie robiąc krytyki tylko inwentarz tego, co o Kochanowskim pisano, podejmować jej tu nie mamy czasu ani miejsca. Poprzestajemy na prostem przytoczeniu treści:

W samym życiorysie są pomyłki, które przecież wyglądają tem dziwniej, że to pisane po tylu już pracach poprzednich, a z tych niejednę (Przyborowskiego i Löwenfelda naprzykład) autor cytuje. Był więc Kochanowski w Krakowie na Akademii od roku 1544 do 1549, w Padwie kolegował z Zamoyskim, *Odprawę* pisał na jego wesele z Gryzeldą; wszystko to sprawdzić i sprostować było łatwo. Ale o to mniejsza. Ważniejszy jest sąd, który Kochanowskiemu „przy całym jego artyzmie, odmawia tytułu narodowego polskiego poety“ (str. 75). W dalszym ciągu następuje powtórzenie tego, co mówił Mickiewicz o stosunku Kochanowskiego do Dantego i Ariosta, i powtórzenie — zadziwiające pozwolimy sobie powiedzieć — tego co mówił Maciejowski o opętaniu jego przez poezyę starożytną, która osiadła na nim, „jak robak na róży kwiecie.“ W swoich uczuciach i pojęciach religijnych Kochanowski był ostrożnym albo zgoła obojętnym tak, że „dotychczas niewiadomo, czy był katolikiem, czy protestantem w duchu.“ Był teistą, „ale ten teizm godził z całym Olimpem pogańskim,“ a z „*mitologii* chrześciańskiej nie zapożyczał nigdy obrazów i barw“ (str. 78, 79). *Odprawa* i tu także „niema żadnego związku z narodowem życiem“ (str. 82). Ile przeciwnych argumentów, ile faktycznych nawet sprostowań, możnaby przeciw tym twierdzeniom przywieść! Na teraz w braku czasu, za *mythologię* chrześcijańską nawiasowo tylko ale uprzejmie imieniem jej wyznawców dziękując, pozwolimy sobie powiedzieć, że jeżeli Kochanowski był teistą, to nie może być wiadomem, czy był katolikiem, czy protestantem, bo wiadomem być musi, że nie był ani jednem, ani drugim, bo czy tem, czy tem będąc, byłby nie teistą już, ale chrześcijaninem. Do tego zaś pozwolimy sobie

dodać zapytanie, czy wszystkie twierdzenia o braku narodowego ducha i charakteru w Kochanowskim, nie są zaprzeczone i obalone ostatniemi o nim słowami autora: „Był najzupełniejszym wyrazem swego społeczeństwa“ (str. 84). Czy temu, który tym był, można „odmówić tytułu narodowego poety?“

Przykro jest widzieć, jak na twierdzenie podobne odpowiadają Polakom cudzoziemcy: „Er (Kochanowski) erreichte „es, dass die Nationalsprache die Trägerin eines höheren „Geisteslebens wurde. Konnte er auch Horaz und Catull als „seine Vorbilder nicht verleugnen, so war doch der National„geist in ihm stärker, als der Fremde“ pisze pan Nitschmann w swojej *Geschichte der polnischen Litteratur* (Lipsk 1882), a te słowa, odpowiedź słuszna na powyższe zarzuty, zrozumienie i ocenienie trafne właśnie narodowego charakteru Kochanowskiego i stosunku jego do starożytnych, prowadzą nas wprost do wzmianki o tej książce, która ze znanych nam niemieckich, najlepsze daje wyobrażenie o literaturze polskiej. Są małe niedokładności (nauki w Krasnymstawie, dwuletni pobyt w Niemczech, Jan Podlodowski, tłómacz Ariosta Piotr, *brat* Jana Kachanowskiego) ale ogółem wiadomość o Kochanowskim trafna i dla obcych wystarczająca, sprawiedliwość oddana (niemiecki autor przyznaje, że jego narodowa literatura nie może w wieku XVI pochwalić się niczem, coby się do Odprawy Posłów zbliżało) a wcale ładnie przełożone wyjątki z niektórych Kochanowskiego wierszy, dobrze dopełniają rzecz, i pomagają niemieckiemu czytelnikowi do trafnego o naszym poecie wyobrażenia.

Dla cudzoziemców także pisał Szujski o polskich rzeczach, a choć nie o literaturze (która tam jeden tylko rozdział zajmuje) przecież to, co mówi o niej w swojem ostatniem dziele *Polen und Ruthenen* (Wien und Teschen 1882) więcej jest warte od niejednej wielkiej Historyi Literatury. Jest to sama esencya; ale wyciśnięta przez takiego co znał i rozumiał bardzo i wiedział co jest istotnem, co głównem, co istotą rzeczy w polskiej literaturze, jak w polskiej historyi. Ustęp o Kochanowskim mianowicie, jest doskonały,

a w koniecznej krótkości swojej określa z dokładnością i subtelnością właściwą tylko najgłębszym erudycyom i inteligencyom najświetniejszym, stosunek i połączenie wpływów klasycznych z charakterem polskim w duszy i w poezyi Kochanowskiego. Nikt, według naszego najszczerszego przekonania, lepiej stosunku tego nie zrozumiał, ani go trafniej i pewniej nie określił.

Dla cudzoziemców także pisana była wiadomość o Kochanowskim, którą Margrabia de Noailles, autor znanego dzieła *Henri de Valois et la Pologne en 1572*, ogłosił w piśmie zbiorowem *Le Correspondent* w roku 1886, pod tytułem *La Poësie Polonaise.* Ogólnie, ale nie nietrafnie, na podstawie Mickiewicza głównie, daje on wyobrażenie o stanowisku Kochanowskiego w literaturze polskiej, i o charakterze jego poezyi. Tu też miejsce wspomnieć o publikacyi zajmującej i sympatycznej, jako dowód wierności i pamięci złożony ojczyźnie i jej literaturze przez Polaków w Ameryce. Pan Paweł Sobolewski wydał w Chicago w roku 1881 zbiór tłómaczonych na język angielski wyjątków z różnych polskich poetów, żeby ich tamtemu światu dać poznać. Tytuł: *Poets and Poetry of Poland:* godło z Niemcewicza:

„Wygnańcy, co tak długo błądzicie po świecie
„Kiedyż znużonym stopom spoczynek znajdziecie itd.

Krótki wstęp tłómaczy czytelnikowi, jakie są główne epoki i znamiona literatury polskiej. Po nim następują przekłady. Z Kochanowskiego przetłómaczone są niektóre Treny (pięć) cztery pieśni z Sobótki, *Czego chcesz od nas Panie* i parę drobnych wierszy. Wiadomość o nim tak niedokładna, że tłomaczenie Jerozolimy jemu jest przypisane. Ale nie dziw, że tam wiele się zapomniało, że się poprawić nie mogło, a pięknie jest, że się tyle jeszcze pamięta i tak wiernie chce pamiętać.

Rok 1866 przyniósł dwie rozprawy o Trenach. Obszerne studyum pana Faleńskiego (Felicyana) ogłoszone w *Bibliotece Warszawskiej* może się mniej lub więcej podobać spo-

sobem pisania nie zawsze wolnym od manjerowanej nieco prostoty i ponfałości, sposobem pojmowania rzeczy niezupełnie wolnym od pewnej sentymentalności; a w tem lub owem zdaniu każdy może się z autorem różnić. Ale zalety ma ta rozprawa niezaprzeczone, a co więcej, ma trwałe zasługi. Do pierwszych liczymy trafne, rozumne i sympatyczne pojęcie i ocenienie Trenów; do drugich piękną, a co lepiej, zwycięzką ich obronę przed tymi, co jak Maciejowski w poparciu swojej tezy o braku oryginalności i narodowego charakteru, podsuwali Kochanowskiemu nawet w Trenach jakleś niby od starożytnych pożyczki, które pan Faleński przytacza i pokazuje właśnie, że takiemi nie były. Ważną, a pierwszy raz i zdaniem naszem szczęśliwie podjętą pracą, jest usiłowanie, żeby dojść i oznaczyć, które Treny mogły powstać naprzód, które były jądrem i zawiązkiem? Autor nie twierdzi stanowczo, ale przypuszcza, zda się trafnie, że temi trenami podstawnemi były VI, VII i VIII jako te, które najbliżej odnoszą się do śmierci Urszulki (ostatnie chwile, złożenie w trumience, pustki i tęsknota po pogrzebie) a jako takie były prawdopodobnie pisane pod najświeższem wrażeniem. Pierwszy także, i jeżeli się nie mylimy dotąd jedyny, wykazał pan Faleński wpływ i naśladowanie Kochanowskiego na wszystkich Trenach i Żalach późniejszych, a tak starannie i dokładnie, że nie zapomniał o żadnym, choćby najbardziej dziś zapomnianym poecie czy wierszu; że nie przepuścił żadnemu wierszowi czy rymowi, pomysłowi czy zwrotowi, który był z Kochanowskiego wzięty. Praca dla autora zapewne żmudna, ale dla przyszłych historyków naszej literatury bardzo pożyteczna.

W tym samym roku na jednem z posiedzeń krakowskiego Towarzystwa Naukowego czytał Szujski *Zestawienie historyczno-literackie i estetyczne* Trenów i Ojca Zadżumionych. Porównanie tych dwóch poematów rodzicielskiej boleści, z których jeden natchniony był własnem doświadczeniem, a drugi odgadywał to cierpienie wyobraźnią i intuicyą, nic dziw, że mu się nasunęło i ponętnem wydało. Ale z tym swoim darem i szlachetnym przywilejem swego umysłu i serca,

że kiedy o drobnych nawet rzeczach mówił, to do wielkich je odnosił i o tamtych myślał, zrobił sobie z porównania dwóch poematów punkt wyjścia do porównania stanu duszy narodu w dwóch różnych epokach. Zrobił też z tej napozór estetycznej rozprawki rzecz śliczną, pełną myśli głębokich i pełną smutnego a wzniosłego uczucia. Czy ze wszystkiem trafną? czy istotnie (jak on chce) Słowacki widział w swoim Arabie coś więcej jak nieszczęśliwego ojca? czy miał pisząc o nim myśl i pamięć o innych jeszcze nieszczęściach, świadomy zamiar, żeby Ojciec Zadżumionych był poniekąd symbolem i figurą? Sądzę, że nie; że Szujski tylko skłonny zawsze do wydawania z siebie i szukania u drugich takich ogólniejszych nauk i przystósowań, a w tych latach bardziej niż kiedy do tego skłonny, bo bardziej zbolały, dostrzegł tylko zbliżenia i podobieństwa tam, gdzie go Słowacki nie widział. Ale go tak dostrzegł, tak wymyślił, że duch Słowackiego miał się z czego i na tamtym świecie rozradować:

„Rodzina jedna“ (Rocznik Tow. Nauk. T. XI, str. 92) ... „odbywa pielgrzymkę ku światu przyszłości, ale nim go „zobaczy, prawo świata każe jej odbywać kwarantannę zdro„wia; prawo świata postawiło jej straż, lekarza i sędziego. „Tymczasem powiew morowej zarazy owiał rodzinę; może „to z tej „tęsknoty za światem przyszłości“ może z braku „blizkich chwytanych celów życia, może na widok tego leka„rza i straży. Umiera więc jeden po drugim z członków ro„dziny dotknięty zarazą, a za każdym wypadkiem przedłuża „się środek ostrożności — kwarantanna“.

O Trenach znowu mówi rzeczy bardzo piękne i mądre, i takie, które na zawsze już zostać powinny jako jedno pytanie rozwiązane, jako jeden pierwiastek konieczny w ich rozumieniu i sądzeniu. W tych różnych przejściach i zmianach, jakie przebywa Kochanowskiego boleść, widzi Szujski dowód, że on był wyraźnie „synem wieku, który zachwiał posadami średniowiecznej wiary“, ale dowód zarazem, „że „duch polski nie dał się pożyć racyonalizmowi Reformacyi“ a z tej przyczyny uważa Treny „za najlepszy wyraz indy„widualizmu poety, a o ile tenże poeta wiek swój wyobraził,

„o ile przedstawił najdelikatniejsze odcienia myśli i uczucia „swoich czasów, za najlepszy wyraz ówczesnej duszy naro- „dowej“.

Strona psychologiczna Trenów, ich powstawanie w różnych chwilach i stopniach cierpienia, odbicie w nich tych wszystkich różnic, oznaczone jest nazbyt może krótko, ale bardzo trafnie i pięknie.

W kwestyi Trenów wielkiej wagi jest mała rozprawka pana Nehringa ogłoszona w *Bibliotece Warszawskiej*, Sierpień 1881. Dowodzi w niej uczony wrocławski profesor, że Treny nie razem, ale w różnych stopniach żalu były pisane, że (jak już Faleński i Szujski zwracali na to uwagę) najpierwej powstać musiały piąty, szósty, ósmy, trzynasty; dalej, że planu ani zamiaru całości i ciągu przy pisaniu nie było, ale że oddając do druku uszykował je Kochanowski tak, że one ciąg i logiczne następstwo mają: śmierć, zwątpienie i rozpacz, szukanie pociechy, uspokojenie). Z tego uporządkowania, z ogłoszenia samego i z treści wewnętrznej wreszcie wnosi pan Nehring, że Treny choć były wylewem uczucia i ulgą w cierpieniu, nie były przecież pisane bez myśli o czytelniku i bez względu na niego. Wszystko to wydaje się niewątpliwem, a w każdym razie jest ważnem. Najważniejsze zaś, i najnowsze, to co pan Nehring mówi o Trenie ostatnim. Nie wątpi on o zupełnej oryginalności Kochanowskiego w tem dziele, wszelako na podstawie niektórych myśli przytoczonych i zestawionych przypuszcza, że w smutku swoim poeta przerzucał swoich ulubionych filozofów, Cicerona mianowicie, który przez stratę córki był mu teraz tem bliższym, i Senekę; że niejedną ich myśl, która dawniej wystarczała mu zupełnie, teraz odrzucał, ale innemi jeszcze się krzepił i pocieszał, skoro ich ślady widoczne są w Trenie ostatnim. Wszystkie zaś Treny, są podług pana Nehringa najlepszem, jakie mamy świadectwem filozofii, jakiej się Kochanowski przez całe swoje życie trzymał, a zarazem dowodem, że w pierwszem wielkiem cierpieniu ta filozofia wystarczać mu przestała i wydała się marną. Ten przełom w jego wyobrażeniach, przejście od jednych do drugich, uwydatniły się w Trenach zdaniem

pana Nehringa, które, jeżeli nie jest stanowczo pewnem, to w każdym razie bardzo prawdopodobnem i dobrze dowodzonem.

Co do okoliczności życia i rodzinnych Kochanowskiego stosunków, nieocenionym prawdziwie zbiorem nowych i pewnych wiadomości jest księdza Józefa Gackiego nie wielka książeczka *O Rodzinie Jana Kochanowskiego, o jej majętnościach i fundacyach* (Warszawa 1869). Ksiądz Gacki ma tę zasługę, że zadał sobie więcej, niż ktokolwiek pracy nad wyszukaniem aktów urzędowych, tyczących się rodziny poety; z tych aktów zaś jasno wychodzą i na pewno dadzą się oznaczyć niektóre chwile jego żywota. Bardzo pilnie podejmowała niegdyś robotę podobną panna Tańska, ale nie dziw, że jej równie dokładnie wykonać nie mogła; pan Przyborowski więcej niemal zajęty był pismami, jak życiem poety; z innych nikt nie mógł ani myślał tym poszukiwaniom się poświęcić; z czego wynika, że księdzu Gackiemu należy się ta chwała, że przyczynił się jak mało kto drugi do lepszej znajomości Kochanowskiego, i że późniejsi opierali się już na jego pracy, jak na pewnej i nowych odkryć pełnej podstawie.

Oto mniej więcej szereg i ciąg wiadomości, które mu zawdzięczamy:

Zaczyna zdaleka, bo od babki jeszcze poety. Wynajduje dokument z roku 1488, którym Andrzej Sliz i Jan Podlodowski z Przytyka, robią między sobą zamianę dóbr w ten sposób, że Sliz ustępuje tamtemu Policznę i Gródek w zamian za część Oblasu (pierwszy zarazem ślad stosunków z Podlodowskimi z Przytyka). W roku 1497, wskutek jak się zdaje protestu wniesionego przez siostry Andrzeja Sliza, wraca Poliezna do dawnych właścicieli; między temi siostrami zaś jest „Barbara Jana Kochanowskiego żona“. Ta więc Slizówna wniosła w dom Kochanowskich Policznę i Czarnolas, a nasz poeta po dziadku sędzi grodu Radomskiego, dostał zapewne chrzestne imię Jana. Na ojca poety niezbyt pochlebne światło rzuca wniesiona w roku 1511 skarga Barbary ze Slizów na synów Jana i Piotra, że ją wyrzucili z majątku, w którego

posiadaniu utrzymał ją wyrok sądowy. Działem majątkowym z roku 1519 dostali synowie jej Filip i Piotr Czarnolas jako schedę W roku 1527 pan Piotr dokupił do swojej części Rudę z młynem. Od braci Piotra znać nabył tymczasem Policznę Andrzej z Białaczowa, i w roku 1531 ufundował w niej parafię. Po nim wzięła Policznę spadkiem córka Anna Kochanowska, skoro w akcie z roku 1555 występuje jako dziedziczka tej majętności. Działem zaś majątkowym między jej synami w roku 1559 podpisanym, dostał się Czarnolas (połowa) i Ruda z młynem Janowi.

Tak więc wyśledziwszy dziedziczne przechodzenie majątków i tytuł własności pana na Czarnolesiu, oznacza ksiądz Gacki linije domu Kochanowskich od braci poety idące, i dalsze przechodzenie majątków, które każdy z tych braci po rodzicach był odziedziczył.

Przystępując wreszcie do samego poety. przypuszcza ks. Gacki (a przypuszcza w każdym razie bardzo domyślnie i do prawdy podobnie) że nauki początkowe mógł pobierać w Sieciechowie, od Jana Sylwiusza, który po polsku nazywał się Czarnolas, i równie jak bracia jego przy tymże klasztorze obowiązki nauczycieli pełniący, z Czarnolasu Kochanowskich pochodził. Przypuszczenie znajomości i stosunków między dziedzicem Czarnolasu a tą rodziną jest naturalne, i wniosek wcale prawdopodobny, że te stosunki mogły skłonić rodziców, że małego Jana do Sieciechowa oddali. Niepewność to, tylko hypoteza, ale hypoteza nie błaha. Za to pewność jest zupełna, że w r. 1551 Kochanowski był w Polsce, bo akt urzędowy w Radomiu zeznawał; zatem przypuszczenie znowu bardzo ugruntowane, że w r. 1550 za granicę nie wyjeżdżał, bo nie byłoby warto na tak krótko dla nauk z kraju się ruszyć. W poselstwa zagraniczne, które jako sekretarz królewski podług Starowolskiego miał Kochanowski odbywać, ksiądz Gacki nie wierzy, bo żadnych śladów takich jego czynności dotąd nie wykryto. Udział w wyprawie wojennej oznacza wbrew panu Przyborowskiemu nie na rok 1559, ale na 1568. Oznacza dalej czas trzymania przez poetę Poznańskiego probostwa na lata 1564—74. Sprawę Sieciechow-

skiego opactwa uważa ksiądz Gacki za projekt co najwięcej, za życzenie przyjaciół, nie za rzecz blizką urzeczywistnienia, co nie przeszkadza, że Kochanowski mógł wspomnieć, „że od niego zależało zostać opatem“. Rok ożenienia nie jest stanowczo podany: o tem tylko przekonany jest ks. Gacki, że ono nie mogło nastąpić przed rokiem 1570.

Imiona córek wychowanych Kochanowskiego, nazwiska ich mężów (Ewa za Owadowskim, Polixena za Lędzkim, Krystyna za Michowskim, Elżbieta za Witowskim): prawdopodobny rok śmierci pogrobowego syna (1587) i żony (1599), wreszcie dowód, że Piotr tłómacz Ariosta i Tassa, był synem Mikołaja, autora Rotuł, a synowcem wielkiego Jana, uzupełniają ten nader cenny i pożyteczny zbiór wiadomości.

Z nim w ręku zadanie było już znacznie dla następnych ułatwione; nie mniejsza jednak zasługa i wartość tych prac, które do już odkrytych dodawały inne nowo odkryte wiadomości. Do takich należy pana Rafała Löwenfelda, docenta Literatur Słowiańskich w uniwersytecie wrocławskim *„Johann „Kochanowski und seine lateinischen Dichtungen, ein Beitrag „zur Literaturgeschichte der Slaven“*, Posen 1878. Oprócz wdzięczności, jaka się zawsze słusznie należy cudzoziemcowi, który się polskiemi rzeczami w dobrej myśli i z należytem ich poważaniem zajmuje, należy się ona panu Löwenfeldowi i za niejeden rzeczywisty cenny nabytek do naszych o Kochanowskim wiadomości.

Po krótkiej na wstępie wzmiance o stanowisku literatury polskiej między innemi słowiańskiemi i słusznem stanowiska tego ocenieniu, bierze autor na examin pierwszą biografię Kochanowskiego z roku 1612, następnie Starowolskiego, wykazuje identyczność i niedostateczność obu, i łatwowierność z jaką na nich poprzestawali, a o więcej nie pytali biografowie z XVIII w. i znacznej części naszego wieku. Może się myli, kiedy twierdzi, że w wieku XVII pamięć Kochanowskiego zupełnie była zagasła (gänzlich vertilgt str. 4) i kiedy to przypisuje „reakcyi katolickiej *auf religiösem Gebiet*;“ ale jeżeli własne stanowisko wpływa niekiedy na tego autora i doprowadza go do twierdzeń bądź mylnych, bądź niedość

uzasadnionych (choć sam zarzut taki robi Polakom, którzy o Kochanowskim pisali) — to przecież ogólem wziąwszy staranność i skuteczność jego pracy, zasługuje na wielką pochwałę.

Lepiej od swoich poprzedników wie autor o naukach Kochanowskiego w Krakowie; pobyt jego w Niemczech (na uniwersytetach luterskich) przyjmuje zbyt śmiało za pewny, bo nie jest wprawdzie wątpliwem, że dużo rozprószonych krakowskich żaków do takich szkół się udało, ale gdy co do Kochanowskiego niema żadnego na to dowodu, można więc co najwięcej stawiać domysł, ale nie twierdzenie. Jego własne zeznanie, że nawiedził Niemcy, nie dowodzi, jakoby był się w nich zatrzymywał i uczył. Jadąc do Włoch i wracając z Francyi, musiał w Niemczech być, a nawiedzać, co po drodze napotkał. Pobyt stały i nauki są w najlepszym razie niepewne.

Zasługą znowu i nowością jest wyciągnięty z łacińskich miłosnych Elegij wniosek, że miłość do Lydii dręczyła Kochanowskiego w Paryżu, że była z jego młodocianych miłości najniebezpieczniejszą, i że go od niej przyjaciel Ossoliński (z imienia nieszczęściem nieznany) oderwał. Kto była Lydia, i jakie dzieje tej miłości, do dziśdnia zgoła wiadomem nie jest. Trafnie wylicza pan Löwenfeld Polaków, z którymi poeta mógł za granicą kolegować lub się spotkać. Czas powrotu do Polski, podaje tak jak wszyscy; wojaczkę, jak ksiądz Gacki nie na rok 1559, ale na 1568. Stosunek z Zygmuntem Augustem ma za daleki i obojętny, ale nie tak niechętny, jak chce pan Przyborowski. Sprawę Sieciechowskiego opactwa mieści w roku 1573, dlatego głównie, że wedle dawnych biografów, Zamoyski miał to opactwo wyrabiać, a przedtem nie byłby miał dość wpływu. Czy się myli lub nie, rozstrzygać nie śmiemy. Usunięcie się Kochanowskiego od dworu i ożenienie, mieści niepewnie między rok 1574 a 1576, bo skoro król Stefan chciał go (jak mówią biografowie) zatrzymać, to znać musiał go jeszcze przy dworze zastać.

Następnie potem, charakter Kochanowskiego, określony zdaniem naszem trafnie; jego miłości (podług pana Löwen-

felda było ich dwie, nie licząc mniejszych, obie bardzo od siebie różne, Lydia i Hanna, przez którą pan L. rozumie zawsze Dorotę Podlodowską); patryotyzm Kochanowskiego jasno i ładnie wykazany (nie wiem tylko, czy słusznie odmawia mu pan L. wszelkiego politycznego zmysłu); zakres i stopień jego nauki; poczem roztrząsa autor stanowisko religijne Kochanowskiego. Konkluzya jego jest, że Kochanowski katolikiem wprawdzie być nie przestał, ale nie był dobrym katolikiem, a argumenta są te, co u wszystkich, którzy zdanie to podzielają, z dodatkiem jednego niezaprzeczenie zręcznie przywiedzionego, mianowicie, że poeta nigdzie nie wspomina Matki Boskiej ani żadnego ze świętych. Kwestya ta domaga się rozwiązania, ale przed niem potrzebuje dyskusyi tak szczegółowej i gruntownej, że tu ani jej nawet rozpoczynać nie można. Wystarczy tylko zrobić jedną uwagę: oto tę, że pan Löwenfeld przytacza wszystko, co ma świadczyć za protestanckiemi niby skłonnościami Kochanowskiego, nie przytacza zaś nic z tego, co świadczy przeciw nim; twierdzenie zaś swoje opiera po części na świadectwie Oloffa, jakoby Sarbiewski miał Kochanowskiego za heretyka uważać, choć sam przyznaje, że nie znalazł w Sarbiewskim nic, coby to mniemanie i oskarżenie stwierdzało. I my nic więcej. Cała zaś sprawa prześladowania Kochanowskiego i niszczenia jego dzieł przez Jezuitów w wieku XVII, nie dowiedziona, w najlepszym razie może co najwyżej być domysłem, a tu zbyt dowolnie i śmiało przybiera kształt pewnika i twierdzenia.

Druga część rozprawy mówi, jak zapowiadał tytuł, o łacińskich Kochanowskiego poezyach. Objaśnień bibliograficznych, porównań tekstów z różnych wydań, sądzić nie przyznajemy sobie prawa. Ogólne zdanie o tych poezyach wydaje nam się bardzo trafnem; wielkiej zaś wagi i zasługi to następstwo chronologiczne, którego pan Löwenfeld dochodzi, i według którego elegie te rozdziela i szykuje. Nie może tu być mowy o zupełnej dokładności ani o zupełnej pewności, ale sama próba, sam początek takiego uporządkowania jest już wielkim postępem. Może nie wszystkie

zakręty tego labiryntu są już odkryte, ale nić Aryadny jest, a z jej pomocą, może ktoś zdola z czasem i to następstwo ściśle oznaczyć, i na jego podstawie wydobyć z wierszy ślady i dowody tych zmian i przejść, jakim w ciągu lat ulegały uczucia poety i jego zapatrywania.

Bezpośrednio za tą rozprawą pana Löwenfelda, jako nią spowodowana, staje druga, ogłoszona w Ateneum (rok 1878, Tom IV), *Jan Kochanowski wedle najnowszych opracowań* pana Romana Plenkiewicza. Jestto właściwie tylko sprawozdanie, recenzya i krytyka książki poprzednio wymienionej, ale pod względem trafnego i jasnego zrozumienia rzeczy wydaje nam się jedną z najprostszych i najtrzeźwiejszych prac o Kochanowskim. Zaczyna ona od tego, co my w tej chwili robimy, od przypomnienia (tylko krótkiego) tego co o Kochanowskim pisano i co o nim wiedziano aż do pana Przyborowskiego, a potem przechodząc do książki pana Löwenfelda, wylicza doskonale jej zalety i zasługi, a trafnie i zwycięsko zbija jej mylne lub niedowiedzione twierdzenia, (naprzykład pobyt na uniwersytetach niemieckich). Bardzo po prostu, a bardzo trafnie pojmuje pan Plenkiewicz całą kwestyę religijnych pojęć Kochanowskiego, i dowodzi, że wszystkie argumenta przytaczane na dowód jego skłonności do protestantyzmu są bardzo niedostateczne. Wreszcie w należytem świetle stawia największą pana Löwenfelda zasługę ocenienie i przybliżone bodaj uszykowanie poezyi łacińskich. Czy wpływ Ronsarda na Kochanowskiego był istotnie tak nieznaczny jak pan Plenkiewicz przypuszcza, w tej chwili roztrząsać niepodobna; to tylko ogólnie zaznaczyć należy, że lekceważyć Ronsarda i uważać go za śmiesznego pedanta było dobrem lat temu pięćdziesiąt, ale dziś stanowisko, z jakiego patrzał na niego Boileau, a za nim wszyscy późniejsi jest już cokolwiek przestarzałe i przebyte dość dawno, bo od czasu jak Sainte Beuve ogłaszał swoje pierwsze rozprawy o Ronsardzie, to jest od roku 1828.

Jedno jeszcze zdziwienie i uwaga, której powstrzymać nam trudno. Niezawodnie to błąd drukarski, ale błąd dwa

razy powtórzony, że trzecia żona Zygmunta Augusta nazwana jest Elżbietą.

Dobra myśl i skuteczna znajduje się w zakończeniu rozprawy. Pan Plenkiewicz przypomina, że za lat kilka nadejść ma trzechsetna rocznica śmierci Kochanowskiego, i że do tej chwili (1878) niema ani jednego prawdziwie porządnego wydania jego dzieł. Sposobem najwłaściwszym i najpożyteczniejszym uczczenia tej rocznicy, byłoby postarać się o takie wydanie zupełne i umiejętne. W tej rozprawie jak świadczy przedmowa wydawców, tkwi pierwsza myśl przedsięwzięcia dziś już dokonanego, które w rzędzie naszych prac około Kochanowskiego zajmuje tak wysokie i znakomite miejsce.

Tym ogólniejszym towarzyszą nieustannie rozprawy więcej szczególowej treści.

Na pięćdziesiątą rocznicę pisarskiego zawodu Seweryna Goszczyńskiego, w r. 1875, napisał pan Chmielowski i w warszawskim Tygodniku Illustrowanym ogłosił rozprawę, w której mówi o Kochanowskiego i Goszczyńskiego Sobótce, a za cel stawia sobie „zestawienie dwóch wieków i dwóch indywidualności“. Sobótce Kochanowskiego, która jedna nas tu obchodzi, poświęca uwagi, których główna treść byłaby ta, że to są luźne pieśni, połączone w całość tylko wstępem i zakończeniem, że choć widocznie jest w niej pierwiastku rodzimego i ludowego wiele, (pan Chmielowski nie należy do tych, co Kochanowskiemu odmawiają tytułu narodowego poety) — to przecież więcej myślał Kochanowski o uczuciach ogólnie ludzkich, aniżeli o miejscowych lub ludowych obyczajach i obrzędach, — a wreszcie, że mimo całej cechy polskiej i wiejskiej, znać i w Sobótce wpływ poezyi starożytnej.

Sobótce także poświęca osobny artykuł prof. Rymarkiewicz, w Ateneum z roku 1876. Stanowisko jego odmienne od poprzedniego, a sąd jeżeli niezupełnie pewny, to ciekawy. Ale że z tym samym spotkamy się przy wydaniu *Sobótki*, które autor na bieżący rok jubileuszowy przygotował, więc streszczenie jego odkładamy na miejsce, gdzie o tem wydaniu będzie mowa.

Ludzie i Rzeczy z czasów odrodzenia, oto tytuł rozprawy (ogłoszonej w *Kronice Rodzinnej* z dnia 1 stycznia 1879 r.), w której autor hr. Wojciech Dzieduszycki, roztrząsa filozoficzne Kochanowskiego pojęcia, szuka ich źródła u filozofów starożytnych, i dochodzi do wniosku, że są tam ślady epikurejskiej ale więcej pierwiastków platońskiej filozofii; jedne i drugie przecież w tym kształcie zmienionym, w jakim przez późniejszych Greków dostały się do Rzymian, u których znowu pewnej zmianie uległy. Nie odważamy się przyświadczać ani przeczyć temu twierdzeniu, wyznajemy tylko, że nam się trafnem wydaje. Sądzimy tylko, że zbyt daleko, zbyt śmiało posunął się w niem pan Dzieduszycki, kiedy mówi, że Kochanowski miał „serce chrześcijańskie, a pogańską głowę". Może trafia na dobrą myśl, ale myśl ta, potrzebowałaby ściślejszego określenia na to, by ją przyjąć lub odeprzeć można. Kiedy jednak dalej powtarza parę razy, że dla Kochanowskiego „Jowisz a Bóg chrześcijański, to jedna osoba, jedna i ta sama istota" wtedy myśl jego albo koniecznie domaga się wyraźnego objaśnienia, albo jeżeli ma być rozumianą dosłownie, to jest oczywiście mylną. Zamęt wyobrażeń religijnych i filozoficznych w wieku XVI był wielki, i rzadko który umysł ustrzedz go się zdołał; ale niejasne jego określenia mogłyby nas znowu w zamęt co do jego rozumienia i znajomości wprowadzić. Pan Dzieduszycki także, jak wielu, ma Kochanowskiego za katolika wątpliwego lub pozornego tylko, i na dowód przytacza znowu Matkę Boską i Świętych, którzy w poezyi jego nie są wspominani. Nie przeczymy, że argument ten na pierwszy rzut oka olśniewa i miesza; ale przypomnimy, że na cały ten chaos pojęć w owym czasie i na to mniemane pogaństwo Kochanowskiego, jest odpowiedź i tłómaczenie, które jakby przeczuciem jakiem z góry dał Szujski w swojej rozprawie o Trenach. „Zakotłowało mu „w głowie i w sercu, zabrakło mu gruntu pod nogami. Musiał „przebyć otchłań rozpaczy i niewiary, aby się wydostać na „brzeg, aby powrócić do pojęć chrześcijańskich. Nie na po„gańskiem uczuciu kończy się poemat Kochanowskiego. Zwy-

„ciężył on, a dzieje zwycięztwa z psychologiczną prawdą „oddał w ostatnich czterech Trenach“.

Do wpływu pana Przyborowskiego — skoro się do niego i sam autor odwołuje — odnieść znowu musimy niewielką, ale nader cenną i nader uciążliwą pracę pana Piotra Parylaka nauczyciela gimnazyalnego w Stanisławowie, pod tytułem: *O Pieśniach Jana Kochanowskiego z uwzględnieniem poetów klasycznych*. Lwów 1879. Jak pan Przyborowski zadał sobie pracę z Fraszkami i każdą z nich z poetami starożytnymi porównywał, dopóki jej na chemiczne powiastki nie rozebrał i obcych od własnych nie oddzielił, tak za jego przykładem pracę tę samą, tylko oczywiście o wiele dłuższą i cięższą, podjął pan Parylak z Pieśniami. Wszystkie po kolei brał pod rozbiór, wszystkie porównywał z greckimi i rzymskimi poetami, i w każdej, gdzie był najmniejszy ślad obcej myśli lub zwrotu, wydobył go na wierzch i zapisał. Znajdą się znowu może tacy, co mu to za złe wezmą i gniewać się będą, że Kochanowskiemu psuje reputacyę; o tę my obawy nie mamy, a radzi i wdzięczni jesteśmy pracy, która daje nam pewną podstawę do rzetelnego ocenienia Pieśni. Niech kto jeszcze tę samą pracę zada sobie z łacińską poezyą Kochanowskiego, a sprawa jego znajomości zrobi znowu znaczny krok naprzód w tem stadyum przygotowawczem, w którem się obecnie znajduje.

Rozdział „o Języku w Pieśniach Kochanowskiego“ (pod względem gramatycznym i stylistycznym) i ustęp o prozodyi i o miarach wierszowych, których Kochanowski używa lub próbuje, uzupełniają tę pracę niemałej rzeczywistej wartości i zasługi.

Kolebka, Dom i Grób Jana Kochanowskiogo czyli Sycyna, Czarnylas i Zwoleń prof. Rymarkiewicza (Poznań 1880) jest to opis zabytków, jakie w pomienionych miejscach po Kochanowskich zostały, albo przez późniejszych właścicieli na pamiątkę poety były wzniesione. Ważniejsze uwagi są następujące: kaplica Kochanowskich w Zwoleniu była stawiana już w wieku XVII (1610), zatem napisy nagrobkowe rodziców poety i jego samego albo są z innego miejsca tu prze-

niesione, albo są kopiami dawniejszych. Ułamek marmurowej tablicy znaleziony w Sycynie, byłby według domysłu pana Rymarkiewicza oryginalnym kamieniem położonym przez poetę pamięci rodziców. Co do czasu i miejsca pogrzebu Kochanowskiego, ma także pan Rymarkiewicz pewne wątpliwości i sądzi, że na razie musiał być pochowanym w Lublinie, a później chyba (i to jeżeli?) przewiezionym do Zwolenia.

Widzimy dotąd jak różnemi po kolei dziełami Kochanowskiego zajmują się ludzie, badają Treny, Pieśni, Odprawę; do tego jakoś nikt nie śmie przystąpić co pod względem biograficznym i psychologicznym, pod względem historycznym jako ślad kultury, ogłady, obyczaju, nie najmniej ciekawe i ważne, do Fraszek. Prawda, że to najtrudniejsze może; sam poeta przestrzegał i odstraszał swoich przyszłych recenzentów, kiedy mówił, że to labirynt, z którego żadna Ariadna nie wywiedzie tego, który chciał ciekawie wydobyć z Fraszek „umysł zakryty“. Zdobył się wreszcie na odwagę, zapuścił się w labirynt, i Fraszkom najobszerniejsze do dziś dnia studyum poświęcił, wielki Kochanowskiego wielbiciel, którego prace już dwa razy mieliśmy sposobność i obowiązek wspominać, pan Faleński (Felicyan).

Jego rozprawa o *Fraszkach Jana Kochanowskiego* ogłoszona w *Bibliotece Warszawskiej* r. 1881 dobrze pojmuje zadanie i zakreśla je szeroko; autor stawia sobie pytanie, jaki jest stosunek Fraszek Kochanowskiego do innych, i wogóle do humoru i do obyczajów wieku; jakie w nich zawierają się ślady jego uczuć i pojęć w różnych epokach życia, zatem jakie środki i ułatwienia do odgadywania jego natury i zmian wewnętrznych: jakie ślady stosunków z ludźmi lub innych biograficznych szczegółów? Ważność Fraszek pod względem psychologicznym i historycznym pojęta więc trafnie, a ktoby powyższe pytania zdołał rozwiązać, przyczyniłby się bardzo do poznania nietylko samego Kochanowskiego, ale cywilizacyjnego stanu ówczesnej Polski.

Nikt nie rozwiąże ich odrazu, dlatego nie możemy się dziwić, że i pan Faleński nie wszystko zrobił co sobie zamierzył, tylko owszem winniśmy mu szczerze podziękować, że

się wdarł w ten gąszcz poplątany, i początek drogi w nim przerąbał. W czem się zdaniem naszem pomylił, tu wyliczać ani dyskusyi prowadzić nie sposób. Zasługą jego jest, że starał się ułożyć Fraszki w pewien ład, co do przedmiotów i treści, i co do następstwa w czasie. To ostatnie zadanie było oczywiście nierównie trudniejsze; pewności prawie nigdy, pomocy zkądinąd żadnej; na domysł tylko z Fraszki samej trzeba przypuszczać, kiedy ona powstała. Nic łatwiejszego, nic konieczniejszego prawie, jak pomylić się tu i owdzie; to też pan Faleński wniosków swoich nie podaje za niewątpliwe, a każdemu wolno robić uwagi, sprostowania lub dodatki. Ale początek jest zrobiony. Właściwy temu autorowi sposób pisania, i więcej, bo sposób myślenia, ta proza, która tak wygląda, jak żeby była wierszem Lenartowicza rozwiązanym z rymu i miary, może się jednym mniej, drugim więcej podobać, ale wartości i pożytku zaprzeczyć tej rozprawie nie można. Mianowicie dochodzenie różnych zmian uczucia lub wyobrażeń, różnych rodzajów i stopni jego uczuć miłosnych naprzykład, albo jego religijnych czy zwątpień, czy pociągów, to udało się może najlepiej. Krótka oczywiście i z konieczności pozbawiona wszelkich szczegółów, z Fraszek wydobyta charakterystyka różnych znajomych poety „dobrych towarzyszów“ (i towarzyszek), często zręczna i dowcipna. Pierwiastek historyczny, obyczajowy i towarzyski Fraszek występuje mniej wyraźnie: nic dziwnego, wszystko na raz nigdy zrobić się nie da, a dużo jeszcze trzeba będzie czasu, mozołu i bystrej kombinacyi, zanim się Fraszki do dna zbadać dadzą i wszystkie swoje tajemnice odsłonią.

W zeszycie listopadowym warszawskiego Ateneum z r. 1882, wyszła króciutka rozprawka pana Kazimierza Morawskiego o *Satyrze*. Autor, który opracowywał *Satyra* do zbiorowego warszawskiego wydania chciał naprzód zwrócić uwagę publiczności na ten wiersz historycznie bardzo ciekawy, który też ukazuje w świetle jaśniejszem i nowem. Mniejsza o to, choć i to nie obojętne, że czas, a nieledwie dzień jego napisania ściśle oznacza, na koniec listopada lub początek grudnia r. 1563. Ważniejsze jest dowodzenie niewątpliwe, że *Satyr*

był (osobliwszego rodzaju) przedsejmową broszurą, napisaną w porozumieniu (prawdopodobnie z polecenia) Myszkowskiego nie bez wiedzy króla zapewne. Myśl bowiem rządu, program jaki on sobie na sejm rzeczonego roku układał, występują w *Satyrze* nietylko wiernie, ale prawie dosłownie. Mowa Podkanclerzego (z 22 listopada) wnosząca i objaśniająca propozycye królewskie, obejmuje właśnie to i wszystko to, co *Satyr*. Porównanie tekstów, mowy i wiersza, uwidocznione przekonywa o tej zgodności z pewnością nie przypadkowej, a ta zgodność znowu i to polecenie dowodzi, że Kochanowski nie był tak mało w kancelaryi królewskiej używanym i użytecznym, ani też w rzeczach politycznych tak obojętnym i nieudolnym, jak ludzie czasem sądzą. Zupełnie podobne odkrycie — jak zobaczymy niebawem — zrobił młody uczeń profesora Morawskiego pan Kallenbach o Odprawie Posłów. I ta także jest broszurą przedsejmową i parafrazą mowy tego samego Myszkowskiego. Czas napisania *Zgody* oznacza pan Morawski w tej samej rozprawie na sam koniec roku 1563.

Pana Krystyniackiego *„M. Tulliusza Cycerona tłómaczenie Arata przez Jana Kochanowskiego uzupełnione i poprawione* (Lwów 1883), zwraca uwagę na tę ciekawą filologiczną kwestyę, i wyświeca należycie niepospolitą Kochanowskiego naukę i jego filologiczną i wydawniczą biegłość i zasługę. Tej samej kwestyi dotyka także profesor Morawski w *„Życiu Andrzeja Patrycego“* (1884) i wykazuje, o ile Kochanowski w tej swojej pracy korzystał z prac swojego przyjaciela Nideckiego.

Przez te więc lat dwadzieścia pięć (1857—1882) pracowało się jak widzimy nad Kochanowskim więcej, aniżeli przez ubiegłe (bez ćwierci) trzy wieki; skończoną budowa nie jest, ale się na nią wiele materyału przysposobiło, obrobiło i zniosło.

V.

Obecny rok,. trzechsetny od Kochanowskiego śmierci, obudził naturalnie i żywsze o nim wspomnienie i żywsze dziełami jego zajęcie; wypada nam wyliczyć jeszcze te prace, które on spowodował i wydał. Naprzód zatem nowe, na uczczenie tej pamiątki pisane życiorysy. Parę miesięcy temu, zdawaliśmy z nich sprawę na tem miejscu. Pana prof. Siedleckiego *Jan Kochanowski, Wspomnienie ku uczczeniu pamięci w 300-letnią rocznicę jego zgonu*, wyszedł w Kalendarzu krakowskim Józefa Czecha na rok 1884; na to ma służyć żeby rozpowszechnił krótką najprostszą wiadomość o Kochanowskim, żeby ją podał jak najdalej, aż do sfer najmniej czytających i wykształconych. Celowi temu odpowiada doskonale, a prócz tego służyć może dla młodzieży szkół średnich (w niższych klasach), dla szkół i nauczycieli wiejskich, dla bibliotek i czytelni bądź wiejskich, bądź rzemieślniczych; słowem może mieć szerokie i pożyteczne przystósowanie, a ma wszystkie zalety jasności, prostoty, treściwości i łatwego a ładnego sposobu pisania, jakich taka książka, przeznaczona na szerokie rozpowszechnienie, koniecznie potrzebuje.

Pana Lucyana Tatomira *Jan Kochanowski, opowiadanie z XVI wieku* (Lwów 1884), rozmiarem większy, pisany dla wykształconych, pisany bardzo ładnie, podaje więcej wiadomości o Kochanowskim i podaje je inaczej, ozdobniej, bardziej po literacku, ale także tylko essencyę, tylko tyle, ile człowiek oświecony koniecznie o Kochanowskim wiedzieć musi. Także bardzo dobra książka, jasna, trzeźwa, nie mówiąca nic na wiatr, wolna od frazesów i deklamacyi, korzystająca ze wszystkich poprzednich prac o Kochanowskim, jest kompilacyą i niczem innem być nie chciała, ani być powinna, ale jako taka jest bardzo dobra, napisana ze znajomością rzeczy, z rozumem i z wdziękiem.

Pan Bronisław Chlebowski miał już zamiar śmielszy. Jego *Kochanowski w świetle własnych utworów* (Warszawa 1884) to wprawdzie i życiorys także, ale życiorys kryty-

czny, w którym autor z własnych słów poety, podania swoich poprzedników prostuje, stan duszy poety w różnych jego życia chwilach odgaduje i tłómaczy, i składa właściwie nowy przez siebie wynaleziony i wizerunek i żywot Kochanowskiego. Zamiar się nie udał, bo wizerunek, jak życiorys, jest na domysł dowolnie, a nie ściśle i z uzasadnieniem kreślony. Pan Chlebowski może ma słuszność, kiedy przez sławioną w wierszach poety Hannę, identyfikowaną zwykle z jego późniejszą żoną, rozumie inną, jakąś, która go zdradziła, a przynajmniej zawiodła — (nie jest to dowiedzionem, ale nie jest też niemożliwem) — o tyle w innych swoich twierdzeniach albo się oczywiście myli, albo co najmniej na niczem nie opiera. Tego rodzaju twierdzenia są: wpływ protestantów na Kochanowskiego w Krakowie, obudzenie jego uczuć religijnych pod tym wpływem, i powstanie pieśni o Potopie za czasów jeszcze studenckich; dalej pobyt Kochanowskiego w domu hetmana Tarnowskiego, w charakterze czy to domownika, czy nawet mentora jego syna; dalej twierdzenie, że owa Hanna, która poetę zdradzić miała, była tegoż hetmana krewną, twierdzenie poparte tym argumentem, że w jednym ze swoich wierszy Kochanowski mówi, iż ciernie nie może dać innego owocu, jak tarnina. Równie niepewne a dużo przykrzejsze, bo uwłaczające Kochanowskiemu domysły, że zaręczony z Dorotą Podlodowską chciał się od ślubu wykręcić, a przynajmniej go zwlekał, że żona nie mogła mu wystarczyć i musiała się sprzykrzyć, że wreszcie w strapieniach swoich (choć pijakiem nie był), nazbyt pocieszał się winem, i tem zdrowie sobie nadwerężył, a śmierć przyśpieszył. Być może, że to wszystko prawda, ale po dziśdzień nic z tego wszystkiego dowiedzionem, ani nawet zręcznie przypuszczonem nie jest, a przeto cała hypoteza uważać się musi za prosty i błahy domysł.

Nie trafia nam również do przekonania to „opowiadanie popularne“ (jak mówi tytuł, — czy się nigdy tego nie nauczymy, że jeżeli w języku niemieckim przymiotnik *populär* używa się w znaczeniu *przystępny, zrozumiały,* to po polsku znaczy co innego wcale?), które nakładem Czytelni ludowej

wyszło w Krakowie pod tytułem: *Jan Kochanowski dziedzic Czarnolasu, obrazek historyczny z XVI wieku.* Jeżeli to miało być powieścią, to należało powiedzieć to wyraźnie, żeby każdy z góry wiedział, że ma do czynienia z fikcyą. A jeżeli to miała być prawda, to dlaczego dodawać do niej rzeczy, o których autor od nikogo prócz siebie samego dowiedzieć się nie mógł? Poco pisać, że Korwiny, zaczęli się nazywać Kochanowskimi dlatego, że ich ludzie czy też oni ludzi kochali? że po urodzeniu Jana ojciec go przeżegnał i pocałował? że ten Jan był wielki figlarz i psotnik? Poco opisywać ostatnie chwile i słowa ojca? A jeżeli już autor taki szczęśliwy, że wié o Kochanowskich, czego nikt dotąd nie wiedział, to czemuż nie wié tego, co wiedzą wszyscy? wié, że do szkoły chodził w Policzny, i że jego nauczyciel nazywał się ksiądz Maciej z Zalesia — zkąd ta wiadomość? — wié, że z domu oddała go matka na dwór hetmana Tarnowskiego, gdzie z Podlodowskim kolegował i zawarł przyjaźń; ale że przed śmiercią ojca uczył się w Krakowie, o tem niema wzmianki. I dalej podobnie: ze szczegółami opowiedziany powrót Kochanowskiego do domu, w którym nie zastaje matki, jego żal taki, że myśli zostać księdzem i dlatego przyjmuje probostwo Zwoleńskie; starszy brat nie widzi w nim powołania duchownego i wyprawia go na dwór; potem następuje romans z Hanną — (Koniecpolską tym razem: dlaczego tak a nie inaczej nazwaną?) — potem przychodzi ochota do ożenienia, brat radzi Dorotę Podlodowską; znowu scena pomiędzy panną a Jakóbem Podlodowskim, który ją zapytuje w rozmownicy jakiegoś klasztoru w Sandomierzu, czy chce iść za pana Kochanowskiego... Zgaduje się co autor myślał: zdawało mu się, że przez te dodatki zrobi rzecz ponętniejszą dla czytelnika, może dla wiejskiego ludu. Ale jeżeli chciał robić dodatki, to powinien był napisać powiastkę, a w rzeczy tak pisanej, jak, żeby opowiadała prawdziwie życie Kochanowskiego, wymysłów i domysłów nie kłaść. Lud się na tem nie pozna, ale kto go szanuje i chce go oświecać, ten mu przedewszystkiem nic fałszywego do czytania dawać nie powinien.

Obrazki z życia Jana Kochanowskiego przez *Podolankę*, Kraków 1884, napisane są wierszem: forma tyle nieszczególna, ile treść nie znacząca.

Na ten rok jubileuszowy także przygotował profesor J. Rymarkiewicz nowe wydanie *Sobótki*. (*Jana Kochanowskiego Pieśń świętojańska o Sobótce,* wedle wydania Piotrkowczyka z r. 1617, *objaśniona i oceniona* Poznań 1884). Wydanie to, jakiego dotąd nie było, a przytem wielkie, cały tom obejmujące studyum. Czy równie pewne w swoich konkluzyach jak staranne i z wielkiem zamiłowaniem przedmiotu podjęte? Nie tu czas i miejsce dochodzić: a jeżeli nawet autor przebrał niekiedy miarę w subtelnem dociekaniu, to zawsze praca jego zostanie w tym przedmiocie ważnym dokumentem i powagą. Same objaśnienia tekstu bardzo troskliwie zrobione, zasługują na wdzięczność. Studyum zaś, na cztery rozdziały podzielone, a z wielką skrzętnością i z wielkim zapasem erudycyi pisane, dowodzi, że każda pieśń *Sobótki* jest artystycznem przerobieniem jakiejś pieśni ludowej, na dowód czego autor pieśni te przytacza. Podobieństwo myśli zdaniem naszem nie we wszystkich jest wyraźne i dowiedzione. Dalej mówi, że *Sobótka* nie jest zbiorem luźnych a od niechcenia tylko połączonych pieśni, ale że jest z głębokim rozmysłem poczętą całością organiczną, a nawet symboliczną. Treścią jej jest miłość w duszy niewieściej, dziewiczej, powstająca nieznacznie, przebywająca różne zmiany i stopnie, różne niepokoje i obawy, dochodząca wreszcie do zamężcia, po którem następuje rzeczywistość życia, konieczne troski i obowiązki -- *der Mann muss hinaus ins feindliche Leben* (obrazem tego jest wojna, Pieśń X); wieńczy zaś tę miłość i kończy całą Pieśń szczęśliwe błogie życie domowe. W znaczeniu symbolicznem te dwanaście pieśni i panien, są wyobrażeniem dwunastu miesięcy: każde trzy pieśni są z sobą ściśle myślą połączone, co znowu wyobraża cztery pory roku i cztery stadya miłości: (początek, wzrost, uniesienie, uspokojenie). Ta zaś połączona allegorya miłości i roku ztąd pochodzi, że obrzęd Sobótki był takiem symbolicznem świętem na cześć roku, który w starej słowiańskiej mythologii miał

być przez osobne bóstwo wyobrażony (tego-to bóstwa a nie Światowida wizerunkiem ma być podług autora znana figura znaleziona w Zbruczu, a przechowywana w zbiorach Akademii Umiejętności). Sobótka (obrzęd) „jest jakoby mitologicznem przedstawieniem stadyów miłości, które dziewica „ziemia w dwunastu chwilach główniejszych... przebywać „musi. A że to co się dzieje na niebie, dziać się także zwykło „na ziemi, przeto i dusza dziewicza na ziemi tesame koleje „przebywać zwykła... aż do chwili obopólnego tryumfu“.

Dowodzenie, że Sobótka jest pierwszą w Polsce sielanką, uzupełnia to studyum ostatnim rozdziałem pod tytułem *Artyzm*. Nie śmiemy ręczyć, czyśmy w tych kilku słowach trafnie ująć zdołali główną myśl subtelnego wykładu, ani też czy wykład nie jest za subtelnym. W niektórych swoich twierdzeniach — naprzykład w końcowem porównaniu do Rafaelowej Psyche — wydaje on nam się naciąganym, podobieństwa między temi dwoma dziełami dojrzeć nie możemy. Wogóle cały wykład wydaje nam się tak głębokim i tak subtelnym, że aż wszelką miarę przebiera, i traci tę cechę i podstawę prostoty i trzeźwości, która zawsze jest drogą do trafnego sądu i jego rękojmią. Ale nie śmiemy orzekać w tych kwestyach wysokiej erudycyi, niech sądzą uczeńsi: podpisany prawa sobie do tego nie przyznaje.

Pan Witold Małcurzyński, wstępując może w ślady księdza Gackiego, szuka w rejestrach poborowych z XVI wieku śladu, jakie wsie były w ręku Kochanowskich, i jakie w przybliżeniu mogły im przynosić dochody, i na podstawie wynależionych aktów, pisze rozprawkę pod tytułem: *Posiadłości Rodziny Kochanowskich w Ziemi Radomskiej*, do rozprawki zaś dodaje jeszcze mapę, na której posiadłości te oznacza. Stopnie pokrewieństwa (z niektóremi drobnemi sprostowaniami) jeszcze raz tu dokładnie podane, podane także, który z Kochanowskich na jakiej wsi siedział. O Czarnolesie, to jest o tej jego połowie, której właścicielem był Jan, dowiadujemy się, że obejmowała jedenaście półłanków (co wychodzi mniej więcej na dzisiejszych 120 morgów) podatków płaciła (z młynem już i z karczmą razem) groszy 150, czyli

na dzisiejszą monetę złotych około 40; a i tego podatku nasz poeta regularnie nie opłacał, bo nazwisko jego figuruje nieraz w osobno prowadzonych rejestrach niedoborów. W rejestrze poborowym z roku 1661 właścicielką Czarnolasu jest Ewa Lędzka? czy córka? czy synowa Polikseny Kochanowskiej? w każdym razie znać Poliksena wzięła w dziale ojcowski Czarnolas.

Ludziom dojrzałym, a daj Boże kiedyś i sędziwym, z nauki i zasługi jak z wieku poważnym, miło będzie na starość wspominać, że pierwsze ich młodzieńcze prace łączą się z trzechsetną rocznicą Kochanowskiego, że pierwszy krok jawny w naukowym zawodzie, pierwszy ich druk, pobudzony był tą pamiątką, i czci Kochanowskiego poświęcony. A ten przyrost sił młodych, dobre Bogu dzięki rokuje nadzieje.

Pan Józef Kallenbach, zaledwo po ukończeniu nauk w uniwersytecie krakowskim, a w roku przygotowywania się do examinów doktorskich, napisał dwie rozprawy o Kochanowskim, nie wielkie, ale takie, że każda rozwiązuje jakieś pytanie, każda znaczy i waży w historyi tych wszystkich starań o gruntowne poznanie Kochanowskiego. Jedna z nich wydana pod koniec roku 1883, bierze za przedmiot *Odprawę Posłów Greckich, jej wzory i jej genezę*. Że te wzory były starożytne, nie sztuka było wiedzieć i powiedzieć: ale nowością było i zasługą wyśledzić, wykazać, dowieść jak na dłoni porównaniem tekstów, jaki pomysł, jakie pojęcie stosunków czy charakterów, jaka sytuacya, jaka myśl lub jaki wiersz czy wyrażenie, zaczerpnięte są z poetów starożytnych i z których. Zadanie jest rozwiązane tak, że chyba nie zostawia już niepewności żadnej. Konkluzye zaś są następujące:

Rozróżnia pan Kallenbach w *Odprawie* wpływy greckie i łacińskie: ostatnie silniejsze i liczniejsze od pierwszych. Przypuszcza (a niewątpliwie trafnie), że pierwszy pomysł, zawiązek sytuacyi, podsunął Kochanowskiemu Homer, mianowicie trzecia pieśń Iliady, którą tłomaczył, a w której jest mowa o poselstwie Menelausa i Odysseusza, o ich mieszkaniu w domu Antenora, w której wreszcie Helena sama mówi najwięcej może, i mówi w tej myśli, daje wyraz tym uczuciom, co

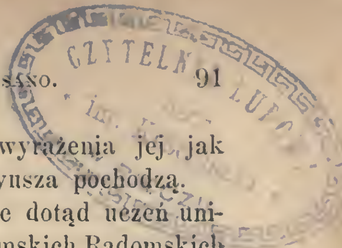
w jego dramacie. Potrącenie zatem wyszło od Homera, a figury niektóre, mianowicie Antenor, Menelaus, Ulisses i Helena (pomimo przeciwnego co do tej ostatniej twierdzenia pana Löwenfelda), nakreślone są podług tego charakteru, jaki im daje Homer. W Helenie prócz tego są pierwiastki wzięte z Owidiusza Heroidy XVII. Panowie, którzy przemawiają na radzie u króla Priama (opowiadanie Posła) są ci sami (z wyjątkiem Eneasza), którzy siedzą na Skajskiej bramie w trzeciej pieśni Iliady. Proroctwo Kassandry i cała ta postać, powstały znowu pod wpływem łacińskim, mianowicie Seneki (Agamemnon i Troas), a ustęp o łani przypomina znowu Owidiusza heroidę piątą (List Oenony do Parysa). Przydomek *trupokupca* dany przez Kassandrę Achillowi, znajduje się w zapomnianej tragedyi mało znanego poety Lykofrona (Aleksandra czyli Kassandra). To co Priam opowiada Antenorowi o Śnie Hekuby przed urodzeniem Parysa, to znowu znajduje się w XVI Liście Owidiusza (Parys do Heleny), i w Ciceronie jako przytoczony wyjątek z niewiadomego dziś poety. Chór zaś trzeci (o Białoskrzydła morska pławaczko) przypomina jeden chór z Hippolita Euripidesa. Zatem więcej wpływu poetów rzymskich niż greckich, z rzymskich najwięcej Seneki i Owidiusza, z greckich Homera i Euripidesa, więcej do ludzi ówczesnych przemawiającego, aniżeli Sofokles i Eschyl.

Ale o ile wzory są starożytne, o tyle popęd i geneza polskie: a jak sumiennie i do najmniejszego śladu szuka tamtych, tak niemniej i te umié pan Kallenbach wskazać i odnieść do właściwego początku. Mniejsza o to, że Pani Stara, że porządek i sposób sejmowania, że pograniczni starostowie, że mnóstwo pojęć, że to wszystko jest żywcem polskie: ale powód i cel dzieła, jego tendencyjny i polityczny charakter, to jest ważniejsze. Pokazuje się, że *Odprawa* jak w swoim czasie *Satyr*, była przedsejmową broszurą, obliczoną na to, by na umysły działała w myśl króla i kanclerza, i do wojny zaczepnej je zapaliła. Autor zestawia wszystkie ustępy tendencyjne Odprawy (Ulisses, Antenor, Rotmistrz) z mową Myszkowskiego Podkanclerzego na sejmie

roku 1578, i pokazuje się z porównania, że jedno prozą a drugie wierszem, ale mówią to samo. Co więcej, sejm ów otwierał się 14 stycznia; 12 stycznia grany był w *Jazdowie* dramat. Dramat kończył się wyraźnie wezwaniem do wstępnej zaczepnej wojny, o takiej wojnie mówią instrukcye rozesłane z kancelaryi królewskiej do wszystkich sejmików przed tym sejmem w listopadzie. W grudniu Zamoyski dwa razy pisze do Kochanowskiego, żeby prędko przysyłał Odprawę; znać pilno mu, znać potrzebuje jej i na nią liczy. Związek między jednem a drugiem ukazuje się jasno jak na dłoni, bije w oczy: cel Odprawy widoczny.

Tak pod względem nader biegłego i trafnego wyśledzenia w Odprawie pierwiastków starożytnych, jak i pod względem tego odniesienia jej do wypadków polskich, ta mała rozprawka rozwiązuje swoje zagadnienie i bystro, i umiejętnie. Nie wiele mamy prac o Kochanowskim, któreby swój przedmiot większy czy mniejszy tak gruntownie, tak wielostronnie zbadały i wytłomaczyły.

Druga pana Kallenbacha rozprawa była odpowiedzią na konkursowe pytanie (z fundacyi stypendyjnej ś. p. Bieleckiego) zadane przez Akademię Umiejętności, a za przedmiot miała pobyt i nauki Kochanowskiego w Krakowie. Ale (choć otrzymała nagrodę), mówić o niej jako niedrukowanej dotąd nie mamy prawa. Przestajemy na wzmiance, że zawarte w niej szczegóły, odnoszą się do czasu trwania tej nauki, do wykładów i profesorów, wreszcie do Kolegów Kochanowskiego. Za to uważamy za słuszne i konieczne cofnąć się o jeden rok w tył i zapisać, że ten sam młody autor wydał w r. 1883 małą rozprawkę pod tyt.: *Kilka słów o Elegiach łacińskich Kochanowskiego.* W tej jest odkrycie, a przynajmniej zdobywa pewność, zatem nowy nabytek wiadoności. Aż dotąd mówiono zawsze o wpływie Horacego, Tibulla, Virgila, Owidiusza, Propercyusza itd. na naszego poetę, a spuszczano z uwagi jeszcze jednego i to niemałego Rzymianina — Lukrecyusza. Pan Kallenbach zadaje sobie pytanie, czy go Kochanowski znał, studyował i lubił, a poszukawszy znalazł niewątpliwą odpowiedź w dwóch Elegiach (dziesiąta księgi II i trzecia



księgi IV), w których i myśl i sposób wyrażenia jej, jak świadczy porównanie tekstów, od Lukrecyusza pochodzą.

Pan Stanisław Windakiewicz, jeszcze dotąd uczeń uniwersytetu, robił poszukiwania w aktach ziemskich Radomskich i w aktach konsystorza krakowskiego, których owocem są: *Nieznane szczegóły o rodzinie Kochanowskich*, posłane do druku jednemu z pism warszawskich. Te szczegóły nieznane są, że nazwisko Kochanowskich występuje po raz pierwszy w roku 1470, to jest od czasu, kiedy gniazdowy Kochanów zamienili na inną posiadłość (Brudnową Wolę), przedtem pisali się tylko Korwinami na Kochanowie. Pierwszym, który to nowe nazwisko nosi, jest pradziad poety, Dominik (nie zaś jak go dotąd nazwano Derslaw). Następują potem szczegóły, odnoszące się do różnych linij tego domu, to jest do Kochanowskich Ryjów, Kochanowskich z Opatków, i wreszcie z Czarnolasu. Co do Jana Poety, ukazuje on się wierzycielem Górnickiego na sumę trzydziestu złotych, które Górnicki u niego przez pośrednictwo Patrycego pożyczył (rok 1559). W roku 1562 tenże sam Górnicki odjeżdżając na Litwę, mianuje go na czas nieobecności swoim zastępcą prawnym. W roku dalej 1566 dostaje nasz poeta instytucyę na probostwo Zwoleńskie, które składa dopiero w r. 1575! To ostatnie odkrycie, to nowy kłopot, a prawie klęska; zdawalo się, że złożenie probostwa poznańskiego oznaczało stanowczo rok ożenienia poety, tymczasem znaleziony dokument obala tę datę i trzeba znowu wszystko prostować i zamieniać, i ślub ten jeszcze o jeden rok dalej posunąć! Ale kłopot ten przeboleć można, a młodemu autorowi powinszować, że na kilku kartkach umiał powiedzieć tyle rzeczywiście nieznanych, a pewnych szczegółów.

Naostatek to, co największe, najważniejsze, najpotrzebniejsze; podstawa konieczna wszelkiej pracy nad jakimkolwiek autorem i jego znajomości, uczczenie najgodniejsze pamięci Kochanowskiego i jego rocznicy, zupełne, krytyczne, pomnikowe wydanie jego dzieł. Brak takiego wydania był dotąd nietylko wielką szkodą naszej literatury, ale był nawet i wstydem. Poeci i pisarze zagraniczni, i starożytni także,

mają takie wydania oddawna, niektórzy mają ich po kilka, nasi nie. Winne w tem niezawodnie wiele nasze stosunki, ale czy niewinna choć trochę i nasza opieszałość także? Szczęściem złe jest naprawione, zaniedbanie (jeżeli było) zmazane, Kochanowski jest nareszcie wydany tak, jakeśmy to oddawna winni byli jemu i sobie. Chwała i zasługa tego przedsięwzięcia należy się Warszawie, a bardzo jest pięknie i miło widzieć i przyznać, że ona najwięcej zrobiła dla uczczenia tego wielkiego w dziejach naszej cywilizacyi faktu, jakim było narodzenie się poezyi, i dla pożytku przyszłości.

Myśl pierwszą (jak wspomnieliśmy już wyżej) podał p. Plenkiewicz w swoim artykule o Kochanowskim; a że na warszawskim gruncie dobre myśli łatwo i często znajdują dobrą rolę, więc i ta przyjęła się szczęśliwie; środkom naukowym, staraniu, pracy, dobremu zrozumieniu warunków i zakresu takiego wydawnictwa, przyszły w pomoc środki pieniężne, i myśl stała się szczęśliwie dokonanym czynnem.

Pod przewodnictwem hr. Konstantego Przeździeckiego (a do tradycyi tego imienia pięknie łączy się po wydaniu Długosza wydanie Kochanowskiego), pod powagą p. Przyborowskiego, zawiązał się komitet złożony z panów: Jenikego, Kryńskiego, Włoszka i pierwszego wnioskodawcy pana Plenkiewicza. Ułożyć program, rozstrzygnąć wszystkie kwestye przygotowawcze, rozdzielić materyał między tych, którzy go opracować mieli, a wreszcie opracować go należycie, to zadanie, które czasu wymagało dużo, zwłaszcza, że dokonać go chciano z najpilniejszą, najbardziej nieposzlakowaną starannością. Niedziw, że przeszło lat kilka od pierwszych narad do ukazania się pierwszego tomu, ale też czas i trud straconym nie był; na trzechsetną rocznicę wyszło wydanie, które ma wszelkie prawo nazywać się pomnikowem.

Na cztery tomy rozdzielone są Kochanowskiego dzieła. Pierwszy, po przedmowie (bardzo skromnej, opowiadającej poprostu tylko historyę przedsięwzięcia), obejmuje Psałterz Pieśni, Sobótkę i Pamiątkę Janowi Tęczyńskiemu. Tom drugi zaczyna się od przedmowy Januszowskiego do wydania z roku 1585, a mieści w sobie: Phaenomena z Arata,

Muzę, Satyra, Monomachię Parysa z Menelausem, Odprawę Posłów, Szachy, Dziewosłęba, Epithalamium, Treny, Wzór Pań mężnych, Zuzannę, Brodę, Marszałka, Zgodę, Epithalamium na wesele Radziwiłła, Dryas Zamechską, Proporzec, Wróżki, O Czechu i Lechu, Wykład cnoty, O pijaństwie, Jazdę do Moskwy, Fraszki, Fragmenta i Carmen Macaronicum.

Tyle wyszło do tej chwili. W tomie trzecim mają być poezye łacińskie; w czwartym, *Nowy Karakter*, Życiorys Kochanowskiego i studium nad jego dziełami p. Plenkiewicza, Bibliografię wydań przez p. Przyborowskiego, Rozprawę o języku Kochanowskiego p. Kryńskiego, o budowie i rytmiczności jego wiersza p. Jenikego, o jego wizerunkach przez p. Biernackiego, i Słownik wyrazów Kochanowskiego dziś z użycia wyszłych, przez p. Kryńskiego.

Wydanie bardzo piękne: poważny format (quarto), papier i czcionki wyborowe, korrekta staranna, strona zewnętrzna wygląda świetnie. Nie zbywa jej i na dodatkowych ozdobach, świadczących o wielkiej troskliwości i zamiłowaniu, z jakiem wydawcy brali się do dzieła. Tytułowe karty pierwszych wydań powtórzone w bardzo zręcznie zrobionych reprodukcyach; wizerunek Kochanowskiego, muzyka Gomółki do niektórych psalmów dodana do Psałterza, wszystko to dodaje wykwintności, elegancyi, która w takich razach nie jest bynajmniej zbyteczną ani błahą. Od tych zewnętrznych zalet wszakże ważniejsze są wewnętrzne: to zaś zadanie jak komitet pojmował, określą najlepiej jego własne słowa, które wyjmujemy z przedmowy. „Chodziło o to, by przez wydanie krytyczne pism zarówno polskich jak łacińskich... podać ogółowi klucz do ich zrozumienia. Takie bowiem wydanie może jedynie zastąpić wydania pierwotne, nieodzowne przy badaniach nad językiem tej epoki... i... przenieść obecne pokolenie w sferę uczuć i pojęć czasom Odrodzenia właściwych.“ Dlatego „każdy utwór zwłaszcza większych rozmiarów, poprzedza wstęp wyjaśniający według możności datę jego powstania, pobudki, jakie poetę do napisania go skłaniały; wpływ literatur obcych, które nań oddziaływały; stosunek do osób, które z utworem tym stoją w jakimkolwiek

związku; znaczenie jego obyczajowe lub społeczne z dodaniem krótkiej estetycznej oceny. Nadto każdy z tych utworów zaopatrzono przypiskami, mającemi na celu objaśnienie szczegółowych myśli, zwrotów i wyrażeń, na wzór wydań starożytnych klasyków.“

Jak się wydawcy z tak pojętnego zadania wywiązali? Nasze zdaniem świetnie. Nie pozwalamy sobie sądzić gramatycznych i lingwistycznych objaśnień; widzimy, że są niezmiernie staranne i o ile wiedzieć możemy, dokładne i bardzo obfite (może aż nadto obfite). Co zaś do tych wstępów, które są ogólnym, historycznym, biograficznym, psychologicznym komentarzem do każdego dzieła z osobna, nie możemy tu wdawać się w obszerny ich rozbiór, ale sumarycznie należy im się zawsze oddać to świadectwo, że podają ostatni rezultat badań, to co dziś stanowi istotę najpewniejszych zdobytych wiadomości. Do celniejszych między temi komentarzami zaliczylibyśmy wstęp do *Odprawy* p. Nehringa, do *Satyra* p. Kazimierza Morawskiego (pojęcie rzeczy rozumie się tosamo, co w jego wyżej wspomnianej rozprawie), wstęp do *Sobótki* p. Chmielowskiego (w nim do właściwej miary zredukowane niektóre zbyt apodyktyczne twierdzenia p. Rymarkiewicza) i p. Kryńskiego wstęp do *Psałterza*. Mało natomiast, oprócz ich treści, znaleźliśmy we wstępie do Trenów p. Loewenfelda, którego książka o Kochanowskim kazała się spodziewać świetniejszego i bardziej wyczerpującego komentarza do tego dzieła.

Ze szczerego przekonania nazwaliśmy to wydanie świetnem, jednak nie możemy powiedzieć, iżby na żaden już nie zasługiwało zarzut. Świetność największa nawet może nie być doskonałością, a przy całem podziwieniu dla wydania, a wdzięczności dla wydawców, nie możemy wstrzymać się od kilku uwag. Owszem, im większa ta wdzięczność i to poważanie, tem więcej czujemy sie w obowiązku wytknąć to, co zdaniem naszem podlega zarzutom.

I tak, żeby zacząć od tego co mniejsze, kreski nad *a*, które trzysta lat temu oznaczały może inne wymawianie, ale dziś, kiedy ono się zmieniło, nie znaczą nic, czytelnika nie-

pokoją tylko, a owego dawnego wymawiania (gdyby ono nawet było pożądanem) wskrzesić nie zdołają. Wszelako usprawiedliwione są tem, że były w pierwotnych wydaniach, a zatem słusznie i w tem zachowane. Ale trudniej zgodzić się na przyjętą w komentarzach i wstępach pisownię. Nie chcemy przeczyć (bo w tych rzeczach prawa do głosu nie mamy), że logika, etymologia i wszystkie inne względy pozwalalą lub nawet każą pisać *jim, jich, jiść, jinny,* a nie *im, ich, iść, inny.* Ale i praktyka ma swoje prawa, a choć ich umiejętnie uzasadnić nie umie, wierzyć w nie nie przestaje, bo opiera się na tem, co nie wyrozumowane może ale wrodzone, zatem także uprawnione. Nasza wymowa nie zna i nie rozróżnia tego *ji,* nasze ucho go nie słyszy, a abstrakcyjna słuszność choćby największa, przeciw tej rzeczywistości skuteczną być nie zdoła. Czy przeszłość tak pisała lub przyszłość tak pisać będzie, nie wiemy; ale teraźniejszość nie może ani tego zrozumieć, ani się z tem oswoić. Boimy się, że ta pisownia na rozumowaniu oparta i zaufana w przyszłość jak muzyka Wagnera, jest pisownią przyszłości, która w przyśzłości panującą i powszechną się nie stanie, a w teraźniejszości prostym ludziom wydaje się przykrem zeszpeceniem bardzo pięknego wydania.

Dalsze nasze uwagi tyczą się już rzeczy. Oto zdaniem naszem objaśnień gramatycznych jest dużo, bardzo dużo; innych nie dosyć. Rozumiemy doskonale potrzebę tych pierwszych, ale czy koniecznem było dawać je ciągle, powtarzać bardzo wiele razy jedne i tesame? czy nie byłoby lepiej tego czasu i miejsca użyć na niemniej przecie ważne rzeczowe objaśnienia? Kto wie czy Psałterz sam nie byłby dal sposobności do zupełnego wyczerpania potrzebnych gramatycznych i lingwistycznych tłómaczeń, a w każdym razie przy innych dziełach mogły one być mniej obszerne. Natomiast czego innego jest brak. Pomnikowe wydanie dzieł Kochanowskiego miało być — wedle naszych wyobrażeń i oczekiwań — pierwszem repertorium wiadomości o kulturze polskiej XVI wieku, czemś nakształt tego, co zrobił Zarncke w swojem wydaniu niemieckiego *Narrenschiff*. A pod tym

względem doznaliśmy zawodu. Objaśnienia historyczne i niedostateczne, i czasem dziwnie niedokładne. Co do obyczajów, co do życia społecznego, objaśnień i wiadomości jest mało, co do osób bardzo mało, a niektóre wprost fałszywe. Często poprzestawano na świadectwie Paprockiego, który jest i skąpem i nie bardzo pewnem źródłem; a o Akta Podkanclerskie, z których tyle wiadomości wyciągnąćby się dało, nie zawsze pytano. Tej staranności, tych objaśnień obyczajowych i tyczących się osób, wymagały przedewszystkiem Fraszki, a one właśnie wiele pod tym względem zostawiają do życzenia. Na dowód, że są pomyłki (a do uniknięcia łatwe) przytaczamy naprzykład śmierć Patrycego podaną na rok 1593, kiedy stwierdzonem jest dawno, że umarł w roku 1587; Stempowski umiera w roku 1584, kiedy naprawdę nie żył już od 1568. W ogóle o stosunkach Kochanowskiego do osób nie wiele tam dowiedzieć się można, a nowego jeszcze mniej. Samo objaśnienie myśli tego lub owego wiersza czasem jest widocznie mylne, jak naprzykład przy Fraszce XXVI (str. 870), gdzie komentarz daje rozumienie rzeczy przeciwne temu, jakie nasuwa tekst (o dwukrotnej podróży Kochanowskiego do Włoch). Bardzo wysoko cenimy dalej i bardzo się tem cieszymy, że przy pieśniach podana jest z góry treść każdej i oznaczone jest naśladowanie lub tłómaczenie, gdzie ono się zdarza: tylko nie możemy przyznać, iżby ta robota dokonaną była dokładnie. Ostrzeżenie to opuszczono przy wielu pieśniach, w których jest częściowe lub nawet zupełne naśladowanie czy tłómaczenie: nawet pieśń XVI księgi drugiej, ze srebrem, złotemi obiciami i z *późną różą*, uszła uwagi komentatora: a praca p. Parylaka o Pieśniach widocznie znaną mu nie była.

A wkońcu jeszcze jedna uwaga. Opracowanie zapowiedzianych na tom trzeci poezyj łacińskich powierzone jest p. Loewenfeldowi. Że je zrobi dobrze, tego jesteśmy pewni; ale czy nie było już ani jednego Polaka, któremu pracę tę śmiało i z zaufaniem zlecić było można, że aż obcego szukano? Poszukawszy, może zdołanoby przecie takiego wynaleść, któryby to był nie gorzej potrafił.

Ale te wszystkie uwagi, te wszystkie usterki lub niedostatki nie zaślepiają nas na większe nierównie zalety wydania i zasługi wydawców. Szczęśliwi i wdzięczni, że mamy nareszcie poprawny tekst Kochanowskiego, że go mamy cały, że krytycznie opracowany; szczęśliwi, żeśmy go z Warszawy i od niej dostali; powtarzamy, od czegośmy zaczęli, że to najgodniejsze pamięci Kochanowskiego uczczenie, że to prawdziwy pomnik dla niego, a dla nas chlubnie choć późno spełniony obowiązek względem niego i względem literatury. I dodajemy, że wydanie to uważamy za owoc najlepszy wszystkich do dziśdnia około Kochanowskiego prac i starań, za koronę wszystkich naszych w ostatnim okresie czasu usiłowań, za ich zamknięcie zarazem i za podstawę, na której oprzeć się mają prace przyszłe, daj Boże liczniejsze, lepsze i skuteczniejsze od naszych. Okres tych prac, rozpoczęty rozprawą p. Przyborowskiego w roku 1857, a kończący się na trzechsetnej rocznicy śmierci Kochanowskiego i jej obchodach w roku 1884, ma przyłożoną na sobie piękną i szlachetną pieczęć pomnikowem warszawskiem wydaniem dzieł wszystkich, które — gdyby się w każdym jakotako dostatnim domu polskim nie znalazło — byłaby opieszałość nowa i wcale nie chwalebna.

Słusznieby było, wyliczając wszystko, co u nas o Kochanowskim pisano, i o tem wspomnieć, co o nim pisali nasi poeci: a jak się słowami starego Klonowicza zaczęło, tak słowy którego z młodszych zakończyć. Ale to i w zakres nasz niezupełnie wchodzi, bośmy tylko historyków literatury i krytyków mieli na oku — i ten już zbyt długi inwentarz przydłużyłoby jeszcze, i nie byłoby nawet potrzebnem. Któż może pamiętać, co przed laty pisał o Kochanowskim Osiński, albo przed wiekami Starowolski? tu przypomnienie zda się. Ale któż znowu zapomniał, że Mickiewicz ze czcią mówi o „lipie na głos Jana czułej“, i że każdy z poetów naszego wieku choć raz w życiu o tym ojcu swoim pomyślał i w wierszach mu się swoich pokłonił: Słowacki, Zaleski, Pol, Lenartowicz, Syrokomla; niema prawie wyjątku, chyba Krasiński, i to jeszcze kto wie, czy między temi wierszami, co

się po listach jego kryją, nie znajdzie się jeszcze jakie słowo o Kochanowskim, żeby żadnego nie brakło. Najładniej może ze wszystkich mówi o nim Zaleski, który w *Przechadzce za Rzymem* widzi i odgaduje ślicznie postać „młodego Jana“, a z naszego świata wieści mu przynosi smutno, rzewnie, ale nie bez wysokiej godności i szlachetnej wierności. Jak po śmierci zgodnym chórem płakali za nim współcześni, tak po wiekach odrodzoną, dźwięczniejszą, pełniejszą pieśnią składają mu hołd poeci potomni, a ta zgodność jednych z drugimi to dowód,

że co wieczne — wielką chwałą
Dla narodu świecić miało —
Świeci blaskiem swym.
Kto modlitwą i miłością
Związał naród i kość z kością
Spoił mową wraz:
Tego, póki staje mowy,
Póki serca, pieśni zdrowej,

nie kończy się cześć i miłość. Dobrze to Pol powiedział: i dobrze tym wierszem, Kochanowskiemu poświęconym, zakończyć.

Skończony nasz inwentarz. Jeżeli niedokładny, tłómaczymy się tem, że w długim przeciągu lat trzechset, a dopieroż w znacznej liczbie nowszych pism peryodycznych, łatwo było nie wszystko dojrzeć, co w tym przedmiocie ogłoszonem być mogło. Jeżeli nam się takie opuszczenie zdarzyło, prosimy autorów pominiętych, żeby mimowolną pomyłkę wybaczyli, a złej chęci jej nie przypisywali. Z tego zaś przypomnienia długiego szeregu pism lub wzmianek o Kochanowskim, co zostaje jako wrażenie ogólne i jako praktyczny wniosek?

Oto, że naprzód przez czas bardzo długi, bo przez dwa wieki przestawaliśmy na wiadomościach nader szczupłych

i te (zawsze tesame) powtarzali, czyli, żeśmy tę sprawę mocno zaniedbali. Że potem rozbudziło się pragnienie, zamiłowanie, i działało w swojej mierze skutecznie, ale doprowadziło nas tak daleko, jak ono doprowadzić mogło, do zdania ogólnego, opartego głównie na wrażeniu. To zdanie, kształcąc się coraz bardziej i przerobione raz szczęściem w umyśle genialnym, doszło do trafności może zupełnej, ale było zawsze ogólnem tylko, odnosiło się daleko więcej do estetycznej i patryotycznej, aniżeli do historycznej i psychologicznej strony przedmiotu, i było zawsze jeszcze oparte nie na sprawdzeniu, ale na odgadywaniu, na intuicyi szczęśliwej i genialnej, ale zawsze na intuicyi tylko, nie na dochodzeniu.

Przyszła wreszcie kolej i na to: raz zaczęte już ono nie ustało, i jak świadczą prawdy zdobyte, jak przypomina nasze wyliczenie, wiele dokazało, rozszerzyło znacznie zakres i ustaliło pewność naszej znajomości Kochanowskiego i jego epoki. Ale dopiero kiedy się do tej zwiększonej wiedzy doszło, zrozumiało się tego greckiego mędrca, co wiedział więcej niż każdy inny w jego czasach, a mówił, że nic nie wie. My, kiedy niezaprzeczenie wiele już około Kochanowskiego pracy dokonano, spostregamy, jak jej wiele jeszcze niedostaje i potrzeba; każde pytanie rozwiązane wywołuje drugie zagadkowe, każde zdobyte źdźbło prawdy domaga się gwałtem zdobywania innych. Po tem co już zrobiono, cóż jeszcze do zrobienia zostaje? Pytajmy raczej, co nie zostaje! Żywot cały tak po wierzchu tylko, tak niedostatecznie znany; a przecie szukając pilnie, możeby co więcej o nim dowiedzieć się udało. A osobistość czy kolegów i „dobrych towarzyszów“ młodości, czy późniejszych opiekunów i przyjaciół poety, czy jego krewnych? a cały ten niejasny pobyt za granicą i na dworze? a jego miłostki i miłości? Lydie, Hanny, Pasifile? a stosunek poety do politycznych dążności i wypadków jego czasu? do religijnych i filozoficznych tego czasu wyobrażeń, częściowo zaledwie i nie napewno wyjaśniony? a stosunek jego poezyi do współczesnej francuskiej lub włoskiej, do współczesnej i wcześniejszej nieco łacińskiej humanistycznej? Co do starożytnych rzecz jest jeżeli nie zu-

pełnie zrobiona, to w każdym razie daleko posunięta; ale Włosi? ale ten Ronsard, którego wpływ na naszego poetę raz przyjmowany za pewny, drugi raz zaprzeczany, ściśle nigdy dotąd dociecezonym i oznaczonym nie był? A wreszcie to, co najtrudniejsze a najistotniejsze, tło, na którem on stoi, stan cywilizacyjny Polski jego wieku, jej życie towarzyskie, jej obyczaj i kultura; a na tem tle dopiero on sam, jego natura, jego różne z biegiem czasu zmiany, różne rodzaje i stopnie jego uczuć i ewolucye jego wyobrażeń i przekonań? Cokolwiek dotąd zrobiono, więcej podobno do zrobienia zostaje. Oto wynik tego przeglądu prac i sądów: a wniosek praktyczny ten, żeby nie ustawać, nie zasypiać na laurach zdobytych przez poprzedników, ale szukać, dochodzić i odkrywać dalej. Oby się tak stało, i oby znowu za lat sto, jak tu święcić będą czterowiekową Kochanowskiego rocznicę, licząc, co przez ten wiek do znajomości Kochanowskiego przybyło, Polacy z końca XX wieku powiedzieli kiedyś, że to, co się w naszych czasach na obchód trzechsetnej Kochanowskiego rocznicy i po nim robiło, przydało im się na to, że lepiej od nas „poznali, jak wyglądał Jan boski lutnista“[1]).

[1]) Z wiersza Matejki, z którym posłał Akademii Umiejętności obraz Kochanowskiego, na obchód trzechsetnej rocznicy śmierci wymalowany.

II.

SZEKSPIR W POLSCE.

Nie mała to zaiste rzecz dojść do tego czego się oddawna pragnęło, czego brak czuło się z przykrością, a nawet z niejakiem zawstydzeniem. To też z miłem uczuciem błogiego zaspokojenia, patrzymy na leżące przed nami trzy grube tomy całkowitego przekładu Szekspira, mówiąc sobie: jest przecie! biorąc go w rękę od czasu do czasu, żeby się przekonać, że jest na prawdę, że to nie złudzenie; zaglądając do środka, żeby uwierzyć, że jest naprawdę cały i niczego w nim nie braknie. Nie: jest wszystko, od *Hamleta* aż do *Periklesa,* od *Burzy* do *Dwóch Panów z Werony* jest wszystko; jest na prawdę cały Szekspir po polsku, jak jest cały po niemiecku, jak podobno niema całego po włosku ani po hiszpańsku. To zbogacenie naszej literatury, ten nabytek niby zbytkowy a jednak tak potrzebny, ten dowód wyraźny i dotykalny wysokiej cywilizacyi naszej literatury, sprawia wrażenie tak przyjemne, że gotowibyśmy cieszyć się (lekkomyślnie wyznajemy), nawet nieszczególnym przekładem Szekspira, byle był całkowity, byleśmy mogli mówić śmiało cudzoziemcom: mamy go tak jak wy. A dopieroż kiedy wzięty na bardzo ścisły examin przekład ten okazuje się jako dobry i bardzo dobry, kiedy porównany z niemieckiemi nie ustępuje im a przynajmniej śmiało może obok nich stanąć, wtedy doznaje się nie już miłego zaspokojenia gwałtownej potrzeby, ale jakiejś radości, jakiejś chluby, jakiegoś tryumfu narodowej miłości własnej: o rzeczywistym i wielkim pożytku, o istotnem zbogaceniu literatury przez takie dzieło już nie mówiąc. To też pierwszem uczuciem, jakiego się doznaje patrząc na to szczęśliwie dokonane wielkie przedsięwzięcie, jest wdzięczność dla tych którzy je podjęli. Z tych

jeden, Józef Paszkowski, już nie zobaczy i nie usłyszy tych oznak wdzięczności, które mu się tak słusznie należą: niech więc ona przywiąże się do jego pamięci, a będąc miłą tym których po sobie zostawił, niech choć tym sposobem będzie dla niego zasłużoną nagrodą. Dwaj inni, których szczęściem mamy między sobą [1]), panowie Stanisław Koźmian i Leon Ulrych, mając najlepszą świadomość tego co podejmowali, muszą też patrząc na swoje dzieło doznawać największej pociechy, a prawie szczęścia, do którego pochwały i podziękowania nie wiele dodać mogą. A przecież niech sobie dziękować pozwolą. Gdyby Literatura Polska miała jakiś swój urzędowy organ, któryby za nią przemawiać miał prawo, to taki z pewnością odezwałby się do nich z podzięką: gdyby usługi oddane polskiej literaturze i oświacie były nagradzane na tym świecie, to im dostałaby się zaszczytna odznaka jaką dawano niegdyś *bene merentibus*. Ale kiedy niema jednego ani drugiego, niechże głos publiczny choć przez usta prywatnych, przez skromne pośrednictwo pism czasowych, powie im, że rozumiemy i cenimy jak należy ich dzieło i ich zasługę: niech choć to będzie znakiem powszechnej wdzięczności, oby na tymczasm tylko, nie na zawsze.

Ile to lat czekało się na tego Szekspira! ile razy mówiło się: gdybyśmy go mieli! Ile prób, ile rozpoczętych kroków, ile częściowych przekładów od lat blizko ośmiudziesiąt! Nie odrazu Kraków zbudowano. Od czasu jak krytyka niemiecka w XVIII wieku poznawszy się na Szekspirze zwróciła na niego uwagę cywilizowanego świata, dowiedział się o nim i nasz świat polski. Zrazu z drugiej ręki, ze źródeł niepewnych brał swoje wiadomości, od Francuzów, od Voltaira i Laharpa: ale zaczął o Szekspirze mówić, zaczął się nim zajmować. Sądził go płytko i powierzchownie, ale ciekawy był widzieć go na scenie, a z przerobień najniezręczniejszych nawet odnosił zawsze jakąś część tego wrażenia jakie robi Szekspir prawdziwy, jakie zeszpeceniem jego pomysłów daje się osłabić ale nie zatrzeć zupełnie. Później, za

[1]) Pisane w roku 1877.

panowania romantyków Szekspir był w ustach, może w wyobraźni wszystkich, był postawiony na pierwszem miejscu Parnasu jak Jowisz w przybytku wszystkich bogów, ale na jego ołtarzu można było słusznie położyć napis z Panteonu wzięty *Deo Ignoto*. Ten bóg poezyi, o którym wszyscy wiedzieli znany był mało komu. Nieliczni wybrani czytali go w oryginale: liczniejsi, przecież nie liczni także, w tłómaczeniu niemieckiem. Ogół znał go ze słuchu, z krytyk i recenzyi, albo z bardzo słabych tłómaczeń francuskich, albo z tych przerobień tak mało do Szekspira podobnych, które widywać mógł na warszawskiej scenie. I wtedy zjawiły się pierwsze chęci, pierwsze próby tłómaczenia Szekspira. Jak nieudolne? jak biednym uwieńczone skutkiem! jak nieraz po prostu śmieszne! A przecież chęć nie ustawała, pragnienie polskiego przekładu Szekspira, uczucie, że mieć go, to potrzeba naszej literatury, nie mieć go, to dla niej upokorzenie, odzywało się coraz częściej i coraz głośniej. Coraz też częściej wychodziły przekłady częściowe, tej lub owej sztuki, jak żeby tłómacze nieśmiało zaczynali od jednej lub paru, na próbę czy podjąć mogą wielkie i trudne dzieło przekładu całkowitego. Niezaprzeczenie te różne próby im dalej tem bywały lepsze, sztuki niektóre wychodziły już w tłómaczeniu prawdziwie pięknem, widocznie ta sprawa Szekspira dojrzewała u nas, była w postępie. A wreszcie kiedy różni próbowali sił swoich na częściach, znalazło się trzech, którzy odważnie a cicho postanowili przetłómaczyć całość, a co postanowili to i zrobili.

Ale teraz, kiedy mamy przed sobą Szekspira całego, kiedy z taką radością przychodzi nam spełnić obowiązek pism peryodycznych i o tym przekładzie mówić, tłumnie stoją nam w myśli i w pamięci ci wszyscy poprzednicy, ten cały szereg tłómaczów Szekspira częściowych, nieudolnych, nawet nieraz śmiesznych, i domaga się wspomnienia: „nie zrobiliśmy tyle ani tak jak ci ostatni, ale chcieliśmy robić, robiliśmy jakeśmy mogli i umieli. Nie zaszliśmy tak daleko, ale byliśmy na tej samej drodze, a może daliśmy im przystęp do sławy grodu. Wspomnij więc i o tych co „legli wśród

zawodu"; i o tych co zawód mieli inny a tego chwytali się doryweczo tylko i przypadkiem; zapisz każde usiłowanie, będziesz miał zasługę, każdy skutek, będziesz miał przyjemność, każdą śmieszność a wtedy będziesz miał zabawkę. Nie bądź historykiem jednej walnej bitwy ale całej kampanii: przypomnij nasze zamysły i nasze prace, nasze sądy i nasze upodobania, błędy naszych pojęć i naszych tłómaczeń. Będzie to względem nas słusznem, a dla was dzisiejszych może będzie zajmującem." Tak mówiły te dawne postacie polskich tłómaczów i krytyków Szekspira, tak skromnie i cicho odzywał się Bogusławski, Osiński niechętnie i kwaśno, ksiądz Kefaliński nieśmiało jak żeby zawstydzony, innni znowu z jakąś pewnością siebie śmiałą, żeby nie powiedzieć zarozumiałą: na zachętę przybył jeszcze i przykład tego, który z powodu Odyssei pana Lucyana Siemieńskiego opowiedział tak wdzięcznie i tak umiejętnie całe dzieje *Homera w Polsce*[1]), i tak, z zamierzonej recenzyi przekładu panów Koźmiana, Ulrycha i Paszkowskiego, zrobiła się rzecz duża o losach Szekspira w Polsce, za którą i dla której autor czytelnika o pobłażanie prosi.

I.

Kiedy pierwszy raz wyrzeczonem było w Polsce imię Szekspira? tego żadne echo przynieść do nas nie mogło, ale to zdaje się pewnem, że przed połową XVIII wieku nie spotka się żadnej o nim drukowanej wzmianki, żadnego o nim zdania, a pierwszym, który go nie nazwał wprawdzie, ale sąd o nim pośrednio wypowiadział, kto wie czy nie był Wacław Rzewuski. Hetman Brodaty? Jakto? on pierwszy w Polsce pisał o Szekspirze? Nie: nie pisał o Szekspirze, ale pisal jak wszystkim wiadomo; a jak może wiadomo nie wszystkim lubił bawić się wierszami, i to nie żartem wcale. Na muzę swoją patrzał z wielką powagą i poszanowaniem,

---

[1]) Hugo Zathey. Patrz *Przegląd Polski* z września 1874 r.

na siebie jako jej kapłana z niejakiem zda się ale przecież nie z zupełnem niedowierzaniem. A tej muzie stawiał nawet nie małe zadania; wszakżeż musiała pisać nie tylko komedye jak Molère, ale nawet tragedye jak Racine, tylko polskie, o Żółkiewskim i Warneńczyku. Naturalnie było to w czasach, kiedy Hetman był młodszy, szczęśliwy, nie Brodaty jeszcze, przed Kaługą, że on się kochał w takich światowych „Zabawkach Wierszopiskich" — później pisywał już tylko smutne Psalmy. Musiał się może trochę tych *Zabawek* wstydzić, myśleć, że nie przystoi hetmanowi „lekkie rymy stawiać", a dopieroż broń Boże narażać swoją powagę na szwank od pazurów i zębów drapieżnego Zoila, kiedy *lukubracye* swoje wydawał pod imieniem swego syna (młodemu więcej uchodzi); ale dość, że zapełniał sobie Podhoreckie *otia* wierszami, które drukował w blizkim Poczajowie w typografii ojców Bazylianów. Między temi wierszami tedy znajduje się i to na samym czele, o *Nauce Wierszopiskiej*. List czy rozprawa niezgorszą oktawą, nie bez zgrabnych udatnych ustępów i nie bez prawideł słusznych, pierwsza podobno u nas co do czasu *Sztuka Rymotwórcza*, napisana jak wszystkie późniejsze wiernie podług wzoru zostawionego przez Boileau, a w niej mieści się ośm następujących wierszy:

„Tragiczne w ludnym igrzyska Londynie
Choć nie są według praw Horacyusza
Jednak na cały świat chwała ich słynie,
W pięknych Dam oczach łzy rzewne porusza:
Myśl w nich jest przednia, gładkość słów w nich płynie,
A wdzięk ich czuje i serce i dusza.
Nic to że z dawnych form scena wykroczy:
Dobra jest kiedy łzy wyciska z oczy."

Szekspir nie wymieniony, a przecież jakże wątpić, że o nim tu mowa. Wszakże nie o Catonie Addisona, nie o klasycznej literaturze angielskiej z czasów królowej Anny lub pierwszych Jerzych myśli Pan Hetman, kiedy mówi o tych londyńskich igrzyskach „nie według praw Horacyusza?" A

choć rym do tego dobrany *łzy rzewne porusza* nie jest ze szczęśliwszych, choć łzy wyciśnięte *z oczy* gwałcą gramatykę a rymowi nie wielką oddają usługę, przecież powinszować można temu dygnitarzowi i dyletantowi tego „że wdzięk ich czuje i serce i dusza.“ Znać miał on zmysł trafny, miał uczucie poezyi, i pojmował ją lepiej, wyżej od wielu następnych, skoro mógł zdobyć się na maksymę:

„nic to, że z dawnych form scena wykroczy:
dobra jest kiedy łzy wyciska“...

Gdyby Osiński naprzykład, gdyby cały nasz Parnas i Areopag Towarzystwa Przyjaciół Nauk był miał ten sam zmysł prosty i ten pogląd szerszy, o ile wcześniej, o ile łatwiej poezya nasza mogłaby się była odrodzić, o ile inny dla poezyi pomyślniejszy obrót byłaby wzięła walka z romantykami, jeżeli zgoła byłoby do niej przyszło.

I oto pierwsze jakieśmy odszukać mogli zdanie o Szekspirze w literaturze polskiej. Książę biskup Warmiński pisząc o *Rymotworstwie i Rymotwórcach* podaje o nim taką tylko krótką wzmiankę:

„Na czele dramatycznych pisarzów angielskich wznosi się... Gwilhelm Shakespeare (Szekspir). Urodzony w mieście Hrabstwa Warwicku zwanem Stratford. Wrodzona chęć przywiodła go do kunsztu aktorskiego, i wprowadza na teatra, wówczas tchnące prostotą i dzikością. Wielkość umysłu zastąpiła w nim wielkość nauki, i nią tylko wzruszony, zaczął pisać, jak niegdyś Homer, dzieła swoje. Tchną one jakowąś dzikością i mają piętno wieku swojego: jednakże pośród najgrubszych błędów okazują się niekiedy takowe światła, iż wznoszą działacza nad mistrze. Dzieł jego dramatycznych liczba jest znaczna: nie zachowują one reguł temu rodzajowi pisma przypisanych, mają jednakże powab takowy, iż się dotąd utrzymują i zyskały naśladowców. Umarł w roku 1616 mając lat pięćdziesiąt pięć.“

Słowa te, zgodne prawie zupełnie z sądem Voltaira, pozwalałyby myśleć, że Krasicki nigdy Szekspira nie czytał,

ale tylko wierząc Francuzom powtórzył to, co od nich o angielskim poecie wiedział. Przecież choć dowodu nie mamy ani najmniejszego, nie możemy tak o nim sądzić. Krasicki tak obeznany z literaturą angielską (pierwszy z literatów polskich, który ją znał i z niej korzystał), Krasicki tak z natury ciekawy poznać wszystko co było pisanem i miało jakąś sławę, tak wreszcie sumienny jako pisarz i nie lubiący mówić o tem czego dokładnie nie znał, nie byłby, wedle naszego zdania czy domysłu czy znajomości jego charakteru i zwyczajów, poprzestał na łatwej i wygodnej robocie wypisywania cudzych sądów z cudzej książki. Wydaje nam się daleko bardziej do prawdy podobnem, że słysząc o Szekspirze ustawicznie i od Anglików i od Francuzów, zapragnął przekonać się co to jest, i z własnego wrażenia zrobić sobie zdanie; że znał w oryginale, z pierwszej ręki jeżeli nie całego Szekspira, to przynajmniej niektóre sławniejsze jego dzieła. Że zaś sąd jego wypadł tak podobnie do mylnych sądów francuskich, to nie potrzebuje tłómaczenia: wszystkie jego wyobrażenia, jego wychowanie, jego wykształcenie i smak na francuskim wyrobiony, sprawiają, że nie mógł myśleć o Szekspirze tak jak Lessing lub Göthe, ale musiał o nim myśleć tak jak Voltaire.

Ksiądz Golański w swojej książce *o Wymowie i Poezyi* (1788) nie wymienia Szekspira, a Dmochowski w *Sztuce Rymotwórczej*, mówi tylko „Anglia sprawiedliwie Szekspirem się szczyci.“ „Gładki zaś i wyborny“ tłómacz *Świątyni Wenery w Knidos* autor *Listów o Guście czyli Smaku* byłby skalał swoje wykwintne pióro gdyby niem był choć w przelocie dotknął tego dzikiego angielczyka, który nie wstydzi się używać „wyrazów grubych i nieprzyzwoitych.“

Ale już Szekspir coraz bardziej narzucał się gwałtem literatom europejskim, i niewiedzieć o sobie nie pozwalał. Niemcy go już czytali i widywali na swoich teatrach (choć w złych często przerobieniach), sami Francuzi mówić o nim musieli, publiczność wszelkich krajów ciekawa była poznać to o czem wiele słyszała, pomału musiał Szekspir dostać się i do Polski. A przed publicznością mniej czy więcej oświe-

coną, przed znawcami krytykami i literatami, zapragnął go teatr, dyrektorowie i przedsiębiorcy łakomi zawsze na nowości i ciekawości, a raczej jeden dyrektor i przedsiębiorca, Bogusławski. Ten ze szczerym i szanownym zapałem pragnąc dawać na swoim teatrze sztuki sławne w całym świecie, oceniając może instynktem przedsiębiorcy, że Szekspir będzie dla oświeconych zajmującem na scenie zjawiskiem, dla innych widowiskiem i dziwowiskiem, ale dla wszystkich przynętą a więc dla kasy teatralnej pewnym dochodem, przemyśliwał długo nad tem, jakby go na scenie swojej przedstawił. Aż wreszcie w roku 1797, we Lwowie, ukazał się po raz pierwszy na scenie polskiej *Hamlet.*

Hamlet ten, który później grany przez Szymanowskiego (Hamlet), panią Ledóchowską (Ofelia), i panią Truskolaską (królowa), zachwycał warszawską publiczność, nie jest bardzo podobny do Hamleta jak my go znamy. Wszystko niby jest: i duch ojca, i udane szaleństwo syna, i scena w teatrze, i śmierć Polonijusza, i obłąkanie Ofelii; są wszystkie prawie najważniejsze chwile roli Hamleta, pierwszy monolog, *Być albo nie być,* modlitwa króla, rozmowa z matką, wszystko jest: a jednak Hamleta poznać nie można. Po części może dlatego, że tłómaczy nie z oryginału ale z tłómaczeń, i tłómaczony cały prozą, stracił swój koloryt ponury i swój ton wysoki, siłę wyrażeń, głębokość myśli, zmalał, spowszedniał. Porównać naprzykład pierwszy monolog, albo monolog z trzeciego aktu, a zobaczy się, że myśli są te same, ale w tej formie pospolitej wydają się tak źle, że wrażenie robią zupełnie inne.

Oto przykład:

„Być albo nie być? Otóż to jest pytanie... Jestże szlachetniejszem dla duszy znosić ostre ciosy niesprawiedliwej fortuny, czyli stawiając się opornie mnóstwu nieszczęść, wstrzymać ich nawał, i skończyć one na zawsze? Umrzeć? Usnąć! Nic więcej. A jeżeli ten sen jest przerwą dolegliwości i nieprzeliczonych cierpień, będących udziałem ludzkiej natury, ten sen, w którym wszystko się kończy powinienby być gorąco upragnionym."

Albo znowu jak Hamlet przemawia do królowej:

„Coś uczyniła?! Szkaradną obrzydliwą czynność, której się cnota wstydzi a natura wzdryga! która samo zarumienienie czystej niewinności podejrzanem czyni, która je ściera ze skroni miłości a oszpeca je czernidłem zbrodni, która związki małżeńskie obłudą, a religię próżnem ubrdaniem być sądzi, która niebo ponurem, a ziemię jak w dniu ostatecznym strachem przerażoną wystawia.“

Ale więcej od złego tłómaczenia zmieniają Hamleta poprawki tłómaczów i dyrektorów teatru. Że takowe do przedstawienia mogą być koniecznie potrzebne, to nie ulega wątpliwości; ale wielka jest różnica między uporządkowaniem scen takiem, iżby się układ uprościł, a zmianami naruszającemi samą istotę rzeczy. Garrick miał może słuszność, kiedy na scenie opuszczał całą wyprawę Fortinbrasa, ale nie miał jej już, kiedy wyrzucał takie (zdaniem Bogusławskiego) *niedorzeczności* jak rozmowa z grabarzami i pogrzeb Ofelii. Bogusławski, którego artystyczne wyobrażenia i zasady nie pozwalały na to, żeby Hamleta uznać i grać w jego pierwotnej angielskiej dzikości, przełożył go z przerobienia niemieckiego aktora Schrödera, a tak czyniąc miał za sobą powagę pierwszej sceny tragicznej w Europie, skoro w tym tekscie Hamlet był grywanym w Wiedeńskim Burgu: tak przynajmniej świadczy Bogusławski. Ale ten niemiecki tłómacz śmiałym był bardzo w swojem przerabianiu i poprawianiu Hamleta. Z piątego aktu zostawił tylko ostatnią scenę, i to zupełnie zmienioną: a cztery pierwsze akty rozciągnął na pięć, wyrzucając z nich niektóre rzeczy tak niepotrzebne i niedorzeczne jak rozmowa z aktorami naprzykład, i monolog o Hekubie. Nadto jeszcze, nie mówiąc już o dziecinnych i niczem nieusprawiedliwionych zmianach w nazwiskach (Poloniusz nazywa się Oldenholm, Horatio Gustaw), zmienił zupełnie całe rozwiązanie sztuki. Pojedynku Hamleta z Laertesem nie ma wcale (Bogusławski w swoich uwagach nad Hamletem mówi słusznie, że król nie mógł zdawać swojego planu na niepewny los oręża, że Laertes mógł Hamleta nie ranić, Hamlet nie wydrzeć jemu szpady; istotnie ta zamiana

szpad jest jedną z rzeczy najgorzej wymyślonych w sztuce). Zostaje więc tylko puhar z trucizną przygotowany przez króla, dla Hamleta, z którego przypadkiem pije królowa, Hamlet zaś widząc jej śmierć i dowiedziawszy się o zdradzie króla przebija go szpadą. Sam żyje i króluje w Danii.

Bogusławski zapewnia w swoich uwagach, że tragedya zyskała bardzo wiele na tych odmianach. Naprzód zbliżyła się bardzo do prawideł doskonałości; z wyjątkiem jednej tylko jedności czasu, gdyż akcya trwa nie 24 ale 30 godzin — (jak on to wyrachował?!) — nadewszystko zaś zyskała na tem moralność, bo winni odnieśli zasłożoną karę, a niewinny Hamlet i Laertes zostali przy życiu. Sąd ten jest ciekawy. Pokazuje naprzód, jak oni byli drobiazgowi, jak przykładali małe miary do wielkich rzeczy, jak patrzali przez szkło powiększające na morze i w oceanie szukali wymoczków, kiedy ogrom akcyi Hamleta mogli ściągać i rachować na godziny. Powtóre, uczy on, że i ten niemiecki Schröder i nasz Bogusławski, a z nim zapewne cała ówczesna publiczność polska, i wszyscy Francuzi, widzieli i rozumieli w tragedyi tylko stronę moralną i stronę dramatycznego effektu; strona psychologiczna, a dopieroż historyczna, prawda filozoficzna i społeczna, była dla nich nieprzystępną, nie widzieli że jest, nie domyślali się, że być może i powinna. Rozumieją naprzykład dobrze, że rozmowa Hamleta z duchem, albo modlitwa króla, albo scena z królową, jest pięknem dramatycznym effektem i że się dobrze wyda na scenie; to co patetyczne, to trafiało do ich wyobraźni. Ale to wszystko, co na pozór mniej świetne charakteryzuje z niezmienną prawdą straszliwy rozstrój sumień, myśli, charakterów i stosunków, to co stanowi właśnie głębokość Hamleta i mądrość jego wyższą nad wszystkie może tragdye świata, to co go robi tak podobnym wizerunkiem ludzkości w niektórych okresach jej życia, to uszło ich uwagi i ich pojęcia. I dlatego tłómacząc go zachowali wszystkie osoby, prawie wszystkie słowa i sceny, zapomnieli tylko pokazać w swoich tłómaczeniach i przerobieniach, że „jest coś zgniłego w Danii.“

Uwagi Bogusławskiego o Hamlecie są dla nas nauczające jako wymowny komentarz do wyobrażeń literackich jego czasu; ale zarazem mają i pewien stopień bezwzględnej wartości. Dowodzą bowiem że studyował przedmiot sumiennie choć go smakiem i sądem nie dorastał. Podaje naprzykład w odsyłaczach całą historyę Hamleta, jak ją opowiada Saxo Gramaticus w swojej Historyi Danii. Ciekawa jest rzecz widzieć jak nie jedna zagadka, nad którą łamią sobie głowy komentatorowie Szekspira, pytając dlaczego i w jakiej myśli to lub owo umieścił, tłómaczy się podaniem kronikarza. Czy każdy z tych nowszych komentatorów wpadł na tę myśl i miał tę sumienność, żeby w starej średniowiecznej kronice szukać źródła, z którego Szekspir czerpał treść swego dramatu? W każdym razie staranność ta Bogusławskiego zasługuje na uznanie. Oprócz tego i w tem był sumienny, że tłómacząc (a nie z oryginału oczywiście) starał się zebrać różne tłómaczenia francuskie i niemieckie, żeby jedne drugiemi kontrolować i poprawiać. Miał nawet Schlegla, i twierdzi, że do niego najbardziej się stósował. To, to złudzenie; po dokładnem powtórzeniu myśli w niektórych scenach możnaby sądzić, że je przekładał z Schlegla, ale całość podobniejsza jest daleko do wymuskanych pozbawionych wszelkiego charakteru i kolorytu tłómaczeń francuskich, aniżeli do tamtego.

Jakiem dziesiątkiem lat później (1805) wyszedł w druku drugi Hamlet *Tragedya w 5-ciu aktach w angielskim języku przez wiekopomnego Schakespeara napisana, z niemieckiego zaś polskiem piórem przełożona*... Za godło służy mu wiersz Schillera, w którym Schiller zapewne by się nie poznał

„co nam w przestrzeni czasu wylęgło zdarzenie
to i dowcip misternie w skąpej stawia scenie.“

Tłómaczem był wielce później około polskiego teatru zasłużony Jan Nepomucen Kamiński, a miejscem druku były Minkowce, ta sławna wieś podolska, w której dziwak właściciel obchodził święta Cerery, a na kopcach granicznych bił słupy

z napisem: „Granica Państwa Minkowieckiego od Państwa Rosyjskiego.“ Oryginał ten, nazwiskiem podobno Marchocki, przeszedł ze swojemi dziwactwami do poezyi i do nieśmiertelności, jako Starosta, ojciec panny Anieli w Beniowskim, a jego Minkowce pełne pogańskich bożków stały się tą uroczą Ladawą, w której „dąb krzesany na Polifema“ i „Apollo bez listka“ nie psują piękności stawów oświeconych księżycem, ani czarującego wdzięku pasieki w Anielinkach. Otóż widać, że ten „szlachcic-oryginał“, jak go nazywa Słowacki, do wszystkich swoich dziwactw łączył i to jeszcze, że lubił druki, skoro miał drukarnię, a drukarnia ta wydrukowała ohydnie, na ohydnej bibule, ohydnego Hamleta. Nic nie ujmując poważnym zasługom szanownego tłómacza, trzeba przecież powiedzieć, że ten Hamlet godzien jest Minkowiec i ich właściciela. Z układu podobny bardzo do tego, jaki był grywanym na teatrze Bogusławskiego, jak tamten zmieniający nie wiedzieć dlaczego nazwiska osób: Polonijusz nazywa się jak tam Oldenholmem a Horatio Gustawem, ale tu zmian więcej, gorliwy przerabiacz nie przepuścił nawet podrzędnym figurom, Marcellusowi naprzykład, którego przezwał Bernfildem, a nawet żołnierze na warcie dostali nie wiedzieć czemu nowe imiona, jeden zowie się Ellrich, a drugi Frencow. W dwóch pierwszych aktach mieszczą się te sceny i prawie tym porządkiem co u Szekspira w pierwszym. W trzecim szaleństwo Hamleta, rozmowy z Polonijuszem, z Gildensternem, „Być albo nie być“, scena z Ofelią, a na końcu modlitwa króla. W czwartym akcie, po krótkiej rozmowie z *Entreprenerem* (sic), w której o żadnej Hekubie nie słychać, następuje scena w teatrze, i scena z królową. W piątym Hamlet ma odjeżdżać do Anglii, Ofelia w obłąkaniu śpiewa jakąś czułą piosenkę, zupełnie niepodobną do tej jaką Szekspir napisał, Laertes na czele ludu szturmuje do zamku, ale król odwraca jego słuszny gniew od siebie objaśnieniem, że Hamlet winien jest śmierci jego ojca i szaleństwa siostry. Ofelia tymczasem utonęła; Hamlet przygotował się do podróży i przyszedł tylko pożegnać się z matką; wtedy król godzi go na pozór z Laertesem, ta zgoda ma

się stwierdzić przy kielichu, (pojedynku niema) — jeden kielich jest zatruty, i ten wypija królowa, a czując się bliską śmierci robi spowiedź powszechną z całego życia, i umiera z taką skruchą, że o zbawieniu jej duszy można mieć najlepsze nadzieje. Wtedy Hamlet przebija króla, a sam wstępuje na tron, i tak mówi do otaczających i do publiczności: „Wy tem zdarzeniem wylęknieni przyjaciele, bądźcie świadkami między mną a Danią tego okropnego wypadku! Wam jedynie pozostawiam mój honor, i moje usprawiedliwienie!“

Coby był powiedział Wilhelm Meister gdyby mu Serlo kazał był grać takiego Hamleta? O wdziękach zaś polskiego tłómaczenia niech świadczą te wiersze, które Hamlet posyła w liście Ofelii: *Doubt thou the stars are fire* brzmi w tekscie Kamińskiego:

„Wątp, że słońce świat ogrzewa
Wątp, że ogień może spalić
Wątp czy prawda jest klamliwa —
Lecz najmilsza chciej oddalić
Twą wątpliwość od tej strony
Że cię kocham zwyciężony.“

Ale kiedy to drukowało się w Minkowcach, w Warszawie było już Towarzystwo Przyjaciół Nauk, a w niem to żywe choć nie zawsze szczęśliwe zajęcie się teoryą poetyczną, i to żywe pragnienie polskiego dramatu, które wydało literackie i krytyczne prace Osińskiego, Stanisława Potockiego, Euzebiusza Slowackiego i innych, dramata Wężyka, Ludgardę Kropińskiego, i wreszcie Barbarę. Za Księstwa Warszawskiego i wojen, choć było i to zajęcie i jego skutki, choć niektórzy, jak Wężyk naprzykład czytywali i poznawali estetyków niemieckich, Schlegla przynajmniej, to uczucie i uwaga tak były zwrócone w inną stronę, że literackie kwestye i prace nie mogły stać na pierwszem miejscu porządku dziennego tych czasów. Za Królestwa Kongresowego, w spokoju, literatura narzuca się daleko bardziej powszechnej uwadze, występuje na przód sceny, i wtedy Towarzy-

stwo rozwija największą swoją czynność, nabiera tej pewności siebie, tej powagi imponującej lub chcącej imponować, i wtedy dopiero na dobre określa i formułuje dogmata i artykuły swojej literackiej wiary.

Cóż ono sądzi, co mówi, i co wie o Szekspirze? Wie tyle co Francuzi, sądzi tak jak oni; a mówi mało. Stanisław Potocki nic: prawda, że sam przedmiot jego dzieła *O Wymowie i Stylu* pozwałał mu nic tykać tej materyi. Ale tam nawet gdzie ona była blizką, w Rozprawie o Poezyi dramatycznej, nie zniża on swojej powagi Książęcia Wymowy do tak dzikiego i grubego przedmiotu. Inni klassycy, jeżeli im się zdarzy o Szekspirze wspomnieć, znajdują się w kłopotliwem położeniu ludzi, którzy całego swego zdania powiedzieć nie chcą, z obawy żeby się i przeciwnikom nie narazić, i własnych przekonań nie zaprzeć. Kłaniają się więc z wielką a nie zbyt chętną rewerencyą przed geniuszem angielskiego poety, protestując przeciw jego złemu barbarzyńskiemu smakowi, i poświęciwszy mu kilka tradycyjnie powtarzanych oklepanych frazesów, odwracają się od niego coprędzej, dyplomatycznie wymijają drażliwą kwestyę, nie próbując jej rozwiązać, nawet nie stawiając. Wspominają o Szekspirze ale o nim nie mówią. Jedynym, który o nim obszerniej rozprawiać musiał, był Osiński. Trudno mu było w kursie Literatury Porównawczej, kiedy przyszedł do poezyi dramatycznej, ignorować poetę, o którym mówiła cała Europa: trudno, a prawdopodobnie i nie chciał. Rad był ze sposobności naprostowania cokolwiek sądów fałszywych, i oblania zimną wodą fanatycznego zapału romantyków dla Szekspira. Odezwał się więc z wysokości uniwersyteckiej katedry głos arcykapłana klassycznego smaku, ówczesnego Minosa czy Radamanta Literatury, najpoważniejszego z Arystarchów, najbardziej uszczypliwego z Zoilów; kurs Literatury porównawczej, tak wiernie tak niewolniczo powtarzany za kursem mistrza Labarpa, zbogacił się rozdziałem o Szekspirze.

Cóż więc rzekła o nim estetyczna wyrocznia Towarzystwa Przyjaciół Nauk? Wyrocznia, jak to jest w jej klassy-

cznych tradycyach, zachowała się dyplomatycznie; starała się wykręcić z trudności, zbyła krótko Szekspira samego, a pośpieszyła coprędzej do tego co łatwiejsze, do rozbioru jednego z jego dramatów, na którym jak na przykładzie pokazać się miały jego przymioty i wady.

W ogólnym swoim sądzie zgadza się Osiński naturalnie z Francuzami, a lubi powoływać się na klassycznego Blaira, który jako Anglik nie powinien być podejrzanym o uprzedzenie kiedy źle mówi o Szekspirze. Powtarza wszystko co mówili przed nim wszyscy inni, o geniuszu, a braku wykształcenia i smaku, o niedoskonałości formy, o ustępach tak *szczytnych*, że sam Corneille mógłby je podpisać, i o niesmacznych rubasznych grubych obok tego konceptach. Przecież, czy zmysł trafniejszy, czy dyplopacya, czy może brak odwagi, nie jest tak dla Szekspira nieubłaganym i niemiłosiernym jakby znając go można przypuszczać; chce być nietylko bezstronnym lecz łaskawym, strofuje nawet z lekka Voltaira, że zbyt surowo obszedł się z Szekspirem. Czasem ma i słuszność, kiedy zarzuca temu złą budowę sztuk, brak wykończenia, formę daleką od doskonałości, lub kiedy mówi: „któż lepiej od niego znał serce człowieka? kto się dalej w skrytości jego zagłębił?“ Kiedy z zapałem szczerym jak się zdaje przytacza wspaniałe opowiadanie z Ryszarda II o upadku króla i wyniesieniu Bolingbroka, albo kiedy mówi: „Sztuka bez geniuszu nie wyda znakomitych utworów, lecz geniusz nie może się obejść bez pomocy sztuki.“ Ogółem wziąwszy, sąd jego choć od naszego bardzo różny, nie jest tak uprzedzony i namiętny, żeby aż wpadał w śmieszność lub w oburzające bluźnierstwa. W szczegółach za to bywa czasem tak dziwny, że aż miałoby się ochotę zapytać czy nasz krytyk czytał istotnie to o czem mówi.

Bo kiedy naprzykład wyrzuca ostro Homerowi poniżenie nieszczęśliwego króla i bohatera, Odysseusza, który chciwie porywa spadające ze stołu kawałki, kopnięty jest nogą przez jednego a przez drugiego uderzony kością, kiedy twierdzi, że „Ulisses taki nie odpowiada godności Epopei“, porównywa go z Learem, a porównanie to, które na korzyść

Leara wychodzi, bo dowodzi, że on „więcej daleko odpowiada godności tragedyi“, dowodziłby mogło także, że Osiński Leara nie czytał. Mówi on bowiem, że kiedy nieszczęśliwy a z taką niegdyś chwałą królujący (zkąd on to wie?) monarcha, wypchnięty za drzwi przez wyrodne córki tuła się po świecie, jest „jedna nieszczęśliwa istota, *córka nędzniejsza od ojca,* która chce z nim dzielić stan opłakany.“ Czy to o Kordelii mowa? czy ta potężna królowa Francyi, która na czele wojska przychodzi mścić i bronić ojca ma być nędzniejszą od tego starca, który tak nic nie ma, że nawet w sercu zostało mu tylko jedno miejsce, to w którem jest miłość dla wiernego Błazna? Czy Osiński mógłby był to powiedzieć, gdyby był Leara czytał?

A jednak wątpić nie można: czytał go, nie tylko Leara ale więcej. Ale czytał nie Szekspira prawdziwego lecz ohydne bezbożne tłómaczenia i przerobienia. Nie umiejąc po angielsku musiał przestawać na przekładach; ale czemuż kiedy sam mówi, że nikt nie był tak często i tak źle przerabianym jak Szekspir, uważa za wierzytelny tekst jakiś sfałszowany przez niemieckich dyrektorów teatru a przez polskich przyjęty, i z takiego tekstu sądzi?

Za najlepszą (najbardziej regularną) ze sztuk Szekspira uważa on Macbetha (którego uporczywie nie wiedzieć dlaczego nazywa *Machbetem),* a to z powodu, że doskonale zachowana jedność akcyi czyni poniekąd zadość za zgwałconą jedność czasu i miejsca. Za drugą, najmniej zarzutom podległą podaje za przykładem Blaira, Othella. Rozbiór Macbetha więc zajmuje część największą jego rozdziału o Szekspirze, i stanąć ma za wszystko. Żeby wszystko w nim fałszywie chwalił lub ganił niesłusznie, tego nie można powiedzieć. Są tam piękności, na które sami Francuzi ślepymi być nie mogli, i on więc widział je także. Oddaje naprzykład słuszność scenom pomiędzy mężem i żoną w drugim akcie przed spełnieniem morderstwa i po niem: z widocznem przekonaniem wychwala scenę Macduffa z Malcolmem; nie niesłusznie też mówi, że dwa ostatnie akty pięknością i rozwinięciem sytuacyi nie dorównają pierwszym. Ale obok

tego tak jest czasem w swojej krytyce drobiazgowy i ciasny, tak nie umie mierzyć Szekspira jego właściwą miarą, tak go sądzi ze stanowiska i podług reguł francuskiego dramatu od których nie może się odzwyczaić i oderwać, że staje się prawdziwie komicznym. Naprzykład kiedy poważnie zapytuje skąd się wziął list Macbetha do Lady, ten list, który zrodził zamiar zbrodni w jej umyśle. „Od chwili rozmowy z czarownicami — mówi — Machbet jest prawie zawsze obecny na scenie, nigdy więc tego listu nie mógł napisać.“ Czy trudno było domyśleć się, że go napisał kiedy nie był na scenie? czy trudno było zrozumieć, takiemu zwłaszcza znawcy i krytykowi, że w dramacie nie każda chwila życia czy dnia jest przedstawiona? i czy człowiek cokolwiek z dramatem Szekspira obeznany nie powinien wiedzieć tego, że on nawet w jednym akcie przypuszcza między scenami czasu odstępy, że rzecz wystawiona na scenie trwa dłużej aniżeli jej przedstawienie, i że to wszystko jest jakżeby ułożone i przyjęte cichą umową pomiędzy poetą a widzem? W innem znów miejscu zapytuje z wielką ciekawością i współczuciem co się stało z Donalbainem drugim synem Duncana? Znać ma słuszny żał do Szekspira, że go zostawił w niepewności co do losów tego szlachetnego książęcia. Jeszcze gdzieindziej gorszy się, że kiedy Machbet przy uczcie rozmawia z widmem Banka, otaczający biesiadnicy nic się temu nie dziwią: to bardzo do prawdy niepodobna! Zapomina tylko, że się dziwią, a Lady Macbeth tłómaczy męża chorobą, napadami jakiegoś rozdrażnienia nerwów, pryywidzeń, hallucynacyi. Ale od tych powierzchownych jeżeli tak rzec można pomyłek, gorsze są te, które dowodzą, że nasz wielki krytyk nie rozumiał istoty rzeczy. I tak nie może on pojąć tego, że przy uczcie zjawia się Duch Banka. „Czemuż to raczej nie krwawy cień Duncana straszy go okropnem zjawiskiem? Wszakże Dunkan tak był szanownym, tak świętym! Banko obok Duncana, obok królewskiego syna Malcolma, co większa nawet obok pospolitego rycerza Szkocyi Macduffa, jest bez wątpliwości nader małej wagi działaczem w tragedyi?“ — Że w hierarchii społecznej i towarzyskiej Banko stał niżej od

Malcoma królewizza, to być może: ale dla Macbetha on był pierwszym, najważniejszym, jedynym na świecie, bo on miał być ojcem długiego pokolenia królów. O Duncanie już Macbeth nie myśli; on, teraz, dobry polityk, chce zabezpieczyć co posiadał, i dlatego ta nowa zbrodnia, dlatego zjawia się przed nim ta nowa ofiara świeża, to zjawisko straszniejsze od Duncana, bo grożące przyszłością, przypominające daremność pierwszego występku. Kto był pierwszym swego czasu krytykiem w Polsce, ten doprawdy mógł był to rozumieć. Mógł też był domyśleć się i tego, dlaczego Lady Macbeth we śnie ma te wszystkie zgryzoty i męczarnie, które tłumi w sobie na jawie. On tymczasem uczy nas, że sen Elfrydy, (to imię chrzestne zawdzięcza Lady Macbeth nie Osińskiemu, ale niemieckiemu jakiemuś tłómaczowi, z którego tłómacz polski przekładał Macbetha) — „sen Elfrydy może nie zupełnie zgadza się z jej początkowym charakterem. Wystawił nam ją bowiem rymotwórca jako niewiastę nie mającą żadnego przymiotu płci swojej, jej radom powierzył zwątlałego Machbeta. Ona go roztropnością swoją w chwilach obłąkania wspiera, ona na żaden przestrach blednąć nie umie, ona do morderstw zachęca, i w krwi przelanej jedyną upatruje rozkosz. Słowem, jeżeli Machbet jest występnym, Elfryda zdaje się samą zbrodnią i do niej tylko stworzoną. Przecież ta nagła jej zmiana domyślaćby się kazała, że w tem sercu litość ma miejsce, że jej równie jak Machbetowi znany był wyraz: *sumienie.*“ Naiwność istotnie niepospolita. Każde dziecko wie i rozumie, że ten *wyraz*, o którym Lady Macbeth wiedzieć nie chce i któremu nakazuje milczenie kiedy sobą włada, jest w niej zawsze i koniecznie jako w istocie ludzkiej, i odzywa się, upomina się o swoje prawa, kiedy uśpiona przytomność i wola nie mogą gwałtem go tłumić: nie wie tylko i nie rozumie wielki znawca i sędzia poezyi!

Nie mogliśmy mimo wszelkich starań odszukać tego tekstu Macbetha, który oczywiście grywanym być musiał na scenie warszawskiej. *Elfrydę* to grywać musiała pani Ledóchowska, kiedy, jak mówią teatralne, nie wiemy o ile prawdziwe legendy, Anglicy przyjeżdżali podziwiać ją w tej roli:

ale oto próbka tego przekładu przechowana w recenzyi Osińskiego:

„Nie mylęż się? Jest że to sztylet co ja widzę przed sobą? Rękojeść ku mnie obrócona! zbliż się, niech cię uchwycę? Cień znikomy, a przecież widzę. Jest zaś dla ręki płonnem złudzeniem, rzeczywistością dla oczu. Widzę cię zawsze w postaci tak istnej jak to żelazo moje. Przewodniczysz mi w drodze zamierzonej, i przedstawiász narzędzie takie właśnie jakiegom użyć zamyślał“... dość: przytoczony początek monologu wystarczy, żeby ocenić opłakaną powszedniość i prozaiczność tego stylu i przekładu.

Wspomniawszy jeszcze dla dokładności wzmiankę nie podchlebną wcale o *Romeu i Julii,* mielibyśmy już wszystko co o Szekspirze powiedział największy z naszych klasycznych estetyków, a wyobrażenie o tem co o nim myśleli wszyscy.

Romantycy? Ci znali Szekspira, znali się na nim lepiej, czytali i wielbili go z największym zapałem; ale pisać o nim nie mieli czasu. Trzeba było u siebie, na własnym gruncie wygrać bitwę, w teoryi zbijając zasady estetyczne przeciwników a wprowadzając inne, i w praktyce, tworząc dzieła zasadom tym odpowiednie i na nich oparte. I to jest praca pierwszych romantyków: poeci tworzą, krytycy wychowani na estetyce niemieckiej walczą z francuską, a walcząc o zasady nie mają czasu pisać wiele o przykładach, o faktach, o pisarzach, zwłaszcza też o zagranicznych. Dlatego też u wszystkich począwszy od Brodzińskiego aż do Mochnackiego znajdziemy wiele w tych latach o Szekspirze wzmianek, znajdziemy dowody, że uczyli się go poznawać z Lessinga, Göthego i Schlegla, że przejęli ich pojęcia, ale o Szekspirze; jako o takim mowy nie znajdujemy. W tych pierwszych latach romantyzmu (1820 do 1830) odbywa się zupełna rewolucya w wyobrażeniu oświeconych Polaków o Szekspirze; z nieokrzesanego dzikiego geniusza za jakiego mieli go klasysy, wychodzi on teraz na półboga, na najpotężniejszy geniusz poetyczny chrześciańskiego świata, ale ani teorya estetyczna niema czasu nim się zajmować, ani ludzie umiejący pisać wiersze nie myślą o tem, żeby go tłómaczyć,

bo marzą wszyscy o tem, żeby tworzyć. I najciekawszą podobno u nas wzmianką o Szekspirze z tych lat dziesięciu będzie to, co o nim mówi Mickiewicz, kiedy się śmieje z krytyków i recenzentów warszawskich śmiejących się „z pewnego Angielczyka, którego dzieł, jak im łatwo dowieść, nigdy nie czytali.“ Jedyną wiadomą i zapamiętaną próbką tłómaczenia jest podobna jego ogrodowa scena z Romea i Julii, której nazwisko tłomacza więcej może niż doskonałość przekładu zapewnia nieśmiertelność.

II.

Po roku 1831, kiedy zdolności pierwszego rzędu, geniusze, były za granicą, ale kiedy w kraju zostało i wielkie upodobanie w poezyi i lepsza niż przedtem jej znajomość, zaczęły się naturalnym porządkiem rzeczy liczne przekłady. Romantyczność zaszczepiła była uwielbienie dla wielkich poetów zagranicznych, i pragnienie przeniesienia ich do Polski, nadania im prawa obywatelstwa w literaturze, jak je już mieli w myśli każdego oświeconego człowieka. Ludzie, którzy poetami w całem znaczeniu słowa być nie mogli, a którzy przecież wiersze pisać lubili, a nawet umieli, tercyarze w zakonie Apollina jeżeli się tak wyrazić można, folgując czasem swojej poetycznej wenie, i tworząc na własną rękę, używali też swojej zdolności i swojej wprawy na tłómaczenia. A między temi, jako cel najwyższy i najtrudniejsze zadanie, stawiać się musiało tłómaczenie Szekspira, zbogacenie nim literatury polskiej.

Około roku 1840 zaczynają się te usiłowania i próby różne, których ostatecznym rezultatem, a zapewne i na długi czas zamknięciem, jest obecny przekład całkowity.

Nie mówiąc o zagranicy, gdzie wyemigrowali wszyscy bogowie naszej literatury, w kraju miała ona jedno ognisko, bodaj czy nie najsilniejsze, w krajach zabranych. Tam Henryk Rzewuski, tam Michał Grabowski, tam młody i wstępujący w swój zawód Kraszewski, tam podrzędniejszych kilku,

a z tych niektórzy połączeni przyjaźnią i wspólnością zasad, wszyscy znajomością i zamiłowaniem literackiego rzemiosła. Zdaje się jak żeby na długie lata pozostało było w gruncie tych krajów coś z dawnej urodzajności Wilna i Krzemieńca. Otóż jeżeli nie tam się zjawił, to ztamtąd pochodził, tam wzrósł i pierwszy przekład Szekspira, podjęty sumiennie, ze znajomością rzeczy (choć z mniejszą zdolnością), rozpoczęty z poważnym namysłem, i z tym zamiarem, żeby był nie przypadkowem tłómaczeniem jednej luźnej sztuki, ale systematycznym przekładem jeżeli nie całości, to przynajmniej znakomitej części.

Wołyniakiem, i ze wszystkiemi pisarzami zabranych krajów zaprzyjaźnionym lub przynajmniej znajomym, był i ksiądz Hołowiński podówczas jeszcze nie arcybiskup Mohilewski, autor *Dzieciątka Jezus i Pielgrzymki do Ziemi świętej*. Jego przekład Szekspira nosi na sobie pozwolenie cenzury kijowskiej, a wyszedł w Wilnie, u Zawadzkiego, w roku 1840 i 1841.

Szkoda, że w księdzu Kefalińskim Szekspir znika, nanapisał Słowacki po przeczytaniu tej podówczas ciekawej nowości, a żart jego tak się powszechnie przyjął, że dziś powtarza go każdy, z niego sądzi o tłómazzeniu, do którego nigdy nie zagląda. Czy ten niemiłosierny wyrok poety był słusznym? Tak niestety; *Szekspir znika* tego zaprzeczyć nie może nawet ktoby się najbardziej na korzyść księdza Kefalińskiego chciał uprzedzać. Ale znowu kto zechce być względem niego sprawiedliwym, ten przyzna, że to nie tylko nie jest, jak zwyklę sądzimy, komiczny typ śmiesznego karykaturalnego tłómaczenia, ale że ono nie jest zupełnie bez zalet, a w każdym razie jest oczywistym postępem w porównaniu do przekładów dawniejszych. Przypomnijmy sobie tych Hamletów pozostających przy życiu, tę lady Macbeth ozdobioną imieniem Elfrydy, te wszystkie apokryfy, fałsze, bezbożne fabrykaty, które u nas przełożone na polskie uchodziły za Szekspira? Ksiądz Kefaliński tłómaczy go źle zapewne; ale ma tę zasługę, że jego na prawdę tłómaczy, i jest pod tym względem pierwszy. Rozumny widocznie, a jak się zdaje

i znawca dzieł literackich, wie jakiem tłómaczenie być powinno, czego potrzeba na to, by ono dobrem być mogło, i zabiera się do niego jak na poważnego tłómacza przystało. Ma pod ręką wszystkich znaczniejszych angielskich komentatorów Szekspira, szuka w nich objaśnienia każdego trudniejszego ustępu, i w przypisku sam tłómaczy za czyjem poszedł zdaniem i dlaczego; ma do pomocy i do porównania wszystkie sławniejsze przeklady i wszystkich znakomitszych Szekspirologów niemieckich i francuskich; jest niezawodnie pierwszym Polakiem, który był uczony w Szekspirze. Że tłómaczył z oryginału, nie z drugiej ręki jak jego poprzednicy, o tem nie trzeba nawet mówić. A i to wiedział dobrze, że tłómaczowi pod karą fałszu, sprzeniewierzenia, literackiego oszukaństwa i świętokradztwa razem, nie wolno nic zmieniać w oryginale, nic swoją głową poprawiać, nic ujmować a dopieroż dodawać: że nietylko układ sztuki ale każda scena, każda myśl, każdy zwrot, ma być nienaruszonym, jak można najbliższym oryginału, jeżeli już zupełnie takim być nie może. A musiał on jeszcze i znać się na rzeczy, musiał kochać się w Szekspirze na prawdę i wiedzieć w czem najbardziej kochać się warto, bo dobrze wybierał. Nie jak tłómacz nieśmiały, który zaczyna od tego, co najmniej trudne, ale jak namiętny wielbiciel poety, który rwie się z zapałem do tego, co największe, któremu pilno, którego pali przekladać i widzieć przełożonym Hamleta, choć roztropność radziłaby może zacząć od łatwiejszego Króla Jana.

Hamlet, Romeo i Julia, Lear, Macbeth, Burza, i Sen Nocy Letniej, oto brylanty, które ksiądz Kefaliński z Szekspira wyjął i w swoje dwa tomy oprawił.

Niestety, zdolność nie była na równi z rozumem, z sumiennością, z upodobaniem i ze znawstwem. Łamiąc się z trudnościami tłómacz przestaje na tem, jeżeli odda myśl oryginału, a nie zawsze oddaje ją jasno, często zaś z poświęceniem, nawet z zupełnem pogwałceniem praw polskiego języka i stylu. O tem zaś, żeby polskie wyrażenie pięknością dorównało angielskiemu, żeby styl był poetyczny a ton tak wysoki jak w oryginale, nie ma on już czasu myśleć,

albo raczej nie ma zdolności, żeby tego dokazać. Wiersz jego jest trudny i nieśmiały, a zarazem zbyt śmiały w licencyach; styl zawsze w miejscach najpatetyczniejszych nawet powszedni, tak, że przekład pomimo wierszy wydaje się zupełnie i nieznośnie prozaicznym. Do tego jeszcze, dla większej energii i mocy zapewne, zrywa się tłómacz na rodzaje wiersza w polskim języku rzadko używane, i rzadko kiedy szczęśliwe. Śmiałość taka mogłaby się udać i wyjść nawet na wielką ozdobę przekładowi, pod ręką człowieka władającego doskonale językiem i wierszem; ale wiersz dziesięciozgłoskowy naprzykład, którym pisany jest Kefalińskiego Hamlet, z natury już dość twardy, staje się naprzód w wielkiej massie bardzo jednostajnym i nużącym, a prócz tego staje się bardzo przykrym dla ucha, ma dźwięk jakiś nienaturalny, chropawy, urywany, kiedy się nad nim męczy człowiek nie mający do wierszowania ani daru, ani wprawy.

Oto na dowód mały wyjątek z monologu zamykającego akt drugi:

„Cóż mu Hekuba, lub on Hekubie
By nad nią płakał?! Cóżby uczynił
Gdyby go taki przedmiot rozpalał
Jako mnie? Scenę łzami by zalał
Wszystkieby uszy od tych słów pękły
Zbladłby niewinny, winnyby szalał,
Najnieświadomszy byłby przelękły,
Oczom i uszom strach i zdumienie
Pewnoby wlały martwe zdrętwienie.“

Są w tłómaczeniu ustępy wierniejsze od tego, ale piękniejszych znalazłoby się podobno nie wiele. A przecież ten Hamlet udał mu się jeszcze nie najgorzej. Macbeth jest istotnie okropny. Wiersz dwunastozgłoskowy, który w połowie regularnie stuknie na spadku, tak jak koło w głębokim wyboju, ma zapewne udawać ten ton szorstki a sprowadzać ten koloryt ponury, który istotnie byłby pożądanym w przekładzie Macbetha; ale te środki mechaniczne, którym we-

wnętrzne przymioty stylu nie odpowiadają, nie mogą same nie poradzić, a wywołują tylko effekt komiczny sadzenia się na energię, która na rozkazy stawić się nie chce. Przykładów na dowód jest tyle ile scen i wierszy, nie wiedzieć które wybierać. Ale niech służą te, nienajwymowniejsze jeszcze ze wszystkich:

Piąta scena pierwszego aktu: Lady Macbeth:

„Nawet ochrypł kruk
Kracząc straszny wchód króla w nasze progi.
Chodźcie duchy wlać w moją myśl mord srogi,
Rozepłcijcie mnie! Precz płeć białogłowy!
Napełnijcie mnie od stóp aż do głowy,
I zgryzoty wszelkie odpędzajcie precz.
Dziwnem okrucieństwem, zgęśćcie moją krew
Bo natury z żałem czułe nawiedziny
Krwawy cel zachwieją albo cofną wstecz... i t. d.

Macbeth.

O najdroższa mnie
Dziś przybędzie król.

Lady M.

Kiedyż ztąd wyjedzie?

Macbeth.

Jutro jak ma myśl.

Lady M.

O nie ujrzy nigdy,
Tego jutra słońce: Twoje, Tanie, lice
Jakby księga, w której dziwne tajemnice
Każdy może czytać. Chcesz oszukać czas,
Miej twarz wedle czasu: powitanie miej
W oczach rękach ustach; pozór taki wdziej
Jak niewinny kwiatek, lecz bądź pod nim wąż" —

Albo znowu akt trzeci, scena druga:

Lady Macbeth.

Chodź kochany mężu wygładź lice twoje
Bądź wśród gości dziś jasny i wesoły

Macbeth.

Pełny skorpionów umysł mój kochanko!
Wszak wiesz dotąd żyje ze swym synem Banko!

Lady M.

Lecz ich zawsze może dosiądz śmierci grot.

Macbeth.

To mnie krzepi, że ich może dosiądz cios.
Ciesz się. Nim nietoperz swój klasztorny lot
Skończy, nim na straszny złej Hekaty głos
Żuk pancerny brzękiem nawodzącym sen
Dzwonić będzie w nocny poziewania dzwon
Zabrzmi czyn okropny w najstraszniejszy ton.“

Czytelnik łatwo zgadnie już z tego jak fałszywo śpiewać muszą słowiki w ogrodzie starego Capuleta. Żeby *Romeo i Julia* było w całości źle przetłómaczone, tego nie można powiedzieć. Cała rola mamki naprzykład jest kopiowana dość zręcznie; ujdzie nawet trudniejsza o wiele rola Mercutia, nawet w ostateczności jego opowiadanie o królowej Mab. Ale sceny patetyczne graniczą blizko ze śmiesznością. *Julka* naprzykład, (bo tak z miłości nazywa ją Romeo, a stary Lorenzo i tłómacz z poufałej przyjaźni zapewne), *Julka* więc, tak rozpacza kiedy się dowiedziała, że Romeo zabił Tybalta:

„Skryty kwiecistą twarzą wąż serca!
Smokże był kiedy w tak ładnej grocie?
Szatan anielski, śliczny morderca!
Kruk z wierzchu gołąb, wilk w owczej skórze!

A kiedy się pomiarkowała, siebie znowu łaje:

Jakieżem zwierze, jemu złorzeczyć!

Jej żalom zaś godnem echem wtoruje rozpacz skazanego na wygnanie Romea:

Ach niema świata za temi mury
Czyściec i piekła tylko tortury...
Śmierć pod wygnania kryjąc pozorem
Łeb mi ucinasz złotym toporem.
. . . .
. . . .

Lorenzo:

Wielka to łaska: nie umiesz cenić.

Romeo:

Raczej tortura, łaska to żadna,
Niebo gdzie żyje Julia ładna!
Pies, kot, mysz, i inne podłe stworzenia
Żyją tu w niebie, mogą widomie
Bóstwem się cieszyć, lecz nie Romeo...

Kiedy zaś rozpacz jego doszła do ostateczności, kiedy z trucizną w ręku otwiera w końcu grób „Julii ładnej“ Romeo tak mówi:

„Brzydki żołądku śmierci, zniszczenia,
W świecie najdroższym pokarmem syty
Pysk twój przegniły będzie rozbity,
Wtłoczę ci na złość więcej jedzenia?

Ktoby uwierzył, że te cztery wiersze są bardzo piękne gdyby je znał tylko z tego przekładu?

A dziwna rzecz, czasem zdarzy mu się przełożyć wcale dobrze ustęp jaki najeżony trudnościami. Zdawałoby się, że kto dojdzie do pewnego stopnia śmieszności ten nie powinienby już módz napisać nic znośnego; i na odwrót, kto zdołał raz przetłómaczyć coś nie źle, ten nie powinienby wpadać w takie śmieszności. Tymczasem ksiądz Kefaliński zadaje fałsz temu logicznemu, rozumowaniu, i tak naprzykład tłómaczy jeden z najpatetyczniejszych ustępów Leara:

„płyńcie ognia z deszczem zdroje!
Deszcz, wiatr, ogień i grom, nie są córki moje!
Was żywioły nie śmiem skarżyć o niewdzięczność:
Kraju wam nie dałem, dziećmi was nie zwałem
Ni powinność macie słuchać mojej woli.
Więc wywrzyjcie na mnie straszną rozkosz swoją:
Oto wasz niewolnik opuszczony stoję
Starzec pogardzony, chory i w niedoli...
Lecz podłemi sługi nazwać was wypadnie,
Bo z córkami dwiema złemi będąc w zmowie
Broń zrodzoną w górze ślecie przeciw głowie
Starej, białej, jak ta...

Nie wiemy doprawdy czy z polskich tłómaczy Leara to miejsce nie najpiękniej oddał Kefaliński; a co dziwniejsze, co nierównie trudniejsze, to, że *Sen Nocy Letniej* miejscami udał mu się nie źle. Komiczne sceny rzemieślników są znośne, sprzeczka Hermii z Heleną jest nie zła, a nawet w roli Titanii i Pucka trafiają się ustępy, które wdziękiem i gracyą oryginału naturalnie nie dochodzą, ale nie są nieprzyjemne do czytania. Oto pieśń Elfów nad zasypiającą Titanią:

Węże z żądłem zbrojnem w jad
Jeż co jak cierniem ukala
Jaszczurka, padalec, gad
Od królowej naszej zdala.

Chór.

Słowik pieniem niech rozczuli
Niechaj nuci słodkie luli
Luli Luli Lula Lula
    Żadne mary żadne czary
Niech nie szkodzą żonie króla.

Świerszczu w inną stronę skacz.
Robak, ślimak, krówka szara,
Pająk kosarz, pająk tkacz
Od królowej naszej wara.

A to znowu Titania daje rozkazy Elfom:

„Bądźcie dla tego Pana dobre, grzeczne
Skakać gdzie pójdzie, tańcem go zabawiać
Znosić mu agrest, morwy i morele
Przed nim winograd i daktyle stawiać,
Skraść miodu plastry, co je robią czmiele,
Urwać na świece ich woskowe nogi
I przy świecącym robaczku zapalać,
By się miał przy czem kłaść i wstać mój drogi,
Skrzydła motylom uciąć, pozespalać
By od księżyca we śnie go zasłonić:
Teraz się wdzięczyć, teraz mu się skłonić.“

Prawda, że wcale zgrabnie? Prawda że dziwna, jakim sposobem ten sam co mógł tak dobrze, mógł i tak źle tłómaczyć? Gdyby dla tłómaczeń z poetów ustanawiać się miał tekst oficyalny jak dla tłómaczeń Pisma św., to Kefaliński z pewnością nie byłby Wujkiem dla Szekspira, ale znalazłoby się w nim może ustępów kilka, które wartoby umieścić w tekscie takiej vulgaty.

Tłómaczenia te jeszcze nie oschły z pod prasy, kiedy w Wilnie także zaczął wydawać swoje pan *John of Dycalp*. *Merry Wiwes of Windsor* nazwane przez niego *Pustemi kobietami*, przez innych *Wesołemi kumoszkami z Windsoru* wyszły w roku 1842. Wybór dziwny. Kto przekłada Szekspira całego, ten nie może opuścić tych wesołych zapewne ale nie zbyt zabawnych prześladowczyń biednego Falstaffa: ale kto pomiędzy sztukami Szekspira wybiera, ten wolałby użyć czasu na *Kupca Weneckiego,* na *Wiele Hałasu,* na cokolwiek innego raczej, niż na tę bodaj czy nie najsłabszą z komedyi. Jeżeli zaś walijska wymowa Evansa i francuski akcent Cajusa w tekscie angielskim są już dość niesmaczne, to cóż dopiero w polskim, gdzie akcent walijski jako nie istniejący musi się zastępować jakimś fantastycznym szwargotem, i traci ostatnie resztki racyi bytu, sensu i komiczności. Ale tłómacz nie poprzestał na tem. Przełożył on, i trzeba

przyznać że udatnie, komedyę, którą doprawdy nie wiemy jakim tytułem oznaczyć. On nazywa ją *Północną Godziną.* W Szekspirze jednak takiej komedyi nie ma. Pojmujemy, że tłómacz się waha przed dosłownem tłómaczeniem *Twelfth Night,* bo nazwa ta musi mieć jakieś inne ukryte znaczenie, prostego bowiem znaczenia *Dwunastej Nocy* nic w sztuce nie objaśnia ani nie usprawiedliwia. Schlegel radzi sobie w tym kłopocie tak, że pierwszy tytuł opuszcza zupełnie, a daje tylko drugi, *Was ihr wollt.* Po polsku, prawda, i ten byłby niesmacznym i niezrozumiałym: *Co chcecie,* to już gramatycznie nie jasne i nie określone, nie wiedzieć czy to pytanie czy twierdzenie, a logicznie dopiero nie wiedzieć jak ten tytuł przystaje do tej komedyi. Ale to wszystko usprawiedliwia dopiero niepewność i wątpliwość tłómacza, nie usprawiedliwia tytułu, który on komedyi nadał dowolnie, ani związku jego z treścią. Jakkolwiekbądź, komedya w której podobieństwo bliźniąt Sebastyana i Violi daje powód do tylu zawikłań, a zwiedziony Malvolio, marszałek dworu, przekonany, że podbił serce swojej pani, wygląda tak komicznie, przełozona jest dobrze, nawet z wdziękiem, a w każdym razie z tą poprawnością formy, z tą gładkością wiersza, której próżnoby szukać w tłómaczeniach Kefalińskiego. Jedna tylko rzecz niemiła, którą tamtemu darowałoby się łatwo, ale która razi u tłómacza lepszego, od którego ma się prawo więcej żądać. Pan *John of Dycalp* miał jakiś dziwny a niepotrzebny gust do przekręcania nazwisk, a kiedy sobie nadał nie wiedzieć dlaczego niesmaczne wcale nazwisko angielskie, to Anglików Szekspira tak samo znowu nie wiedzieć dlaczego przezywał po polsku. *Sir Toby Belch* nazywa się u niego *Sir Tobiaszem Łykiem* — *Sir Andrew Ague-Cheek* figuruje jako *Sir Andrzej Niedołęga.* Schlegel robi to samo? Nie; Schlegel robi może nie zupełnie dobrze, kiedy ich angielskie nazwiska zniemcza, ale robi lepiej, bo przynajmniej zniemcza je zupełnie i *Junker Bleichenwang* wygląda przynajmniej szczerze i dobrze po niemiecku. Ale *Sir* Andrzej *Niedołęga,* ten specyficznie angielski tytuł przy tym specyficznie polskim *Niedołędze,* to brzmi źle a wygląda nienaturalnie. Trzeba

było albo (co zdaniem naszem byłoby najlepszem), zostawić nazwiska angielskie, albo jeżeli już miały być polskie, to do polskich tego *Sir* nie przyczepiać.

Dobrze o tym tłomaczu sądzić każe to, że przełożył Henryka IV go (obiedwie części). Dramat to nie z najpiękniejszych, u publiczności łask nie ma, na scenie źle się wydaje, a nawet nudzi, tak że tylko wielcy miłośnicy Szekspira idą na niego patrzeć przez uszanowanie dla mistrza, a za wierność swoją odbierają nagrodę w niektórych tylko bardzo pięknych scenach? Wszystko to prawda: sztuka to którą lepiej czytać niż widzieć: ale kto ją czytać umie, ten rozpozna w niej tak głęboko, tak dzielnie nakreślony obraz pewnych pierwiastków i sił działających w społeczeństwach i w dziejach, że ten dramat angielskiej i średniowiecznej arystokracyi da się czytać z takim pożytkiem, z taką nauką, z jaką w historykach bada się naturę demokracyi ateńskiej lub rzymskiego patrycyatu, wzorów i typów wszystkich demokracyj i patrycyatów całego świata. Co za wspaniała, co za prawdziwa grupa rokoszanów, która wyniosłszy przywłaszczyciela na tron, podkopuje go, spiskuje, buntuje się, od chwili kiedy przywłaszczyciel został królem i dał poznać że malowanym nie będzie. Od tego rokoszanina idealnego, od Henryka Percy w którym jest wszystko co tylko człowieka szlachetnym zrobić może, a przytem taki podbijający wdzięk męzkiej i rycerskiej dzielności, że słuchać go, iść za nim choćby w ogień byłoby rzeczą naturalną, i rozkoszną... aż do tego Worcestra rokoszanina chytrego, zimnego, zdradliwego, co za zbiór natur odmiennych, rządzonych podobną namiętnością, spotykających się w jednym złym uczynku; wszystkie formy i wszystkie odcienia oligarchicznych natur i namiętności. A jak prawdziwe te figury, jak podobne do naszych rokoszanów polskich! *Hotspura* między temi nie było, Samuel Zborowski krewkością i siłą życia nieco podobny nie dorósł go zdolnością ani urokiem: ale w braciach Samuela możnaby odnaleźć nie jeden rys charakteru, nie jeden szczegół postępowania Worcestra. A król? król, co krzywą drogą do tronu doszedłszy, raz na tronie, uczul w sobie jak

żeby skupionego ducha ojczyzny, podniósł się istotnie nad poziom, patrzy z wysoka i wysoko mierzy, wolny już od osobistych pragnień i pokus, nie żądający władzy dla siebie, tylko posłuszeństwa dla władzy a rządu dla Państwa, mądry, doświadczony, znający na wskróś naturę ludzi i społeczeństw, sprawiedliwy nie mściwy, patryotyczny jak żaden z jego poddanych, i mający królewskiego sumienia więcej niż miał kiedyś ludzkiego, ten król jest takim że możnaby mniemać iż olej namaszczenia przemienił i samą duszę człowieka, kiedy z buntownika i zdrajcy Bolingbroka zrobił Henryka IV. A książe Henryk który się tak słusznie przyrównywa do słońca zakrytego chmurami, który wie że zajaśnieje kiedyś, i który takim blaskiem świeci w pojedynku z Hotspurem, przy łożu umierającego ojca, a zwłaszcza w ostatnim akcie drugiej części: co za urocza i co za wspaniała postać młodzieńcza, rycerska, i królewska. Musiał mieć zmysł trafny tłomacz który sobie tę sztukę upodobał i wybrał, pomimo że ona jest chwałą innych przyćmiona. Przełożył ją zaś, wszystko razem wziąwszy, dobrze. Trudności były ogromne, zwłaszcza w karczemnych czy tawernowych scenach; ale i z tych tłomacz wybrnął dość szczęśliwie, bo jeżeli ścisłą wierność nieraz poświęcił, a wierzymy że poświęcić musiał, to nadaprzynajmniej konceptom Falstaffa i towarzyszy tę zrozumiałość, której czytelnik przedewszystkiem żąda. Sceny poważne zaś tłomaczy nie bardzo świetnie, ale tak przyzwoicie że nawet najpiękniejsze z nich, jak rozmowy króla z księciem Henrykiem w czwartym akcie drugiej części, nie źle się w jego przekładzie wydają.

W Wilnie także u Zawadzkiego w roku 1845 wyszedł *Król Jan* w tłómaczeniu Korzeniowskiego. Szkoda że on jeden tylko. Piękny język i wiersz Korzeniowskiego znany wszystkim z Mnicha lub z Andrzeja Batorego, mógł był postawić go w rzędzie naszych najlepszych tłómaczów. A choć ten wiersz i styl zawsze trochę zimny nie byłby zdołał dorównać ani energii ani rzewności Szekspira, to przecież przez swoją poprawność mógł był dać nam przekład nie bardzo piękny zapewne, ale bardzo dobry. I za taki, pomimo nie-

których usterków, pomimo że ton jest cokolwiek zniżony, uważać trzeba ten przekład króla Jana. Oto naprzykład skarga Konstancyi, nie równa oryginałowi, ale przetłomaczona tak dobrze że wrażenie robi:

„Smutek zajmuje miejsce mego dziecka:
W łóżeczku jego leży, chodzi ze mną,
Jego oczami patrzy i powtarza
Jego wyrazy: on mi przypomina
Wdzięczne przymioty jego, on wypełnia
Jego kształtami suknie co zostały...
Mamże powody kochać się w mym smutku?“

Tylko znowu rzecz mała, która uszłaby słabemu a nie uchodzi lepszemu tłómaczowi: znowu ten nieszczęśliwy *Sir*, którego Korzeniowski odmienia przez wszystkie przypadki: *Sir Robert*, *Sira Roberta*, i tak dalej. Zdaje nam się, że jeżeli już ten tytuł być musi, to najlepiej w polskim języku uważać go za nieodmienny przyrostek do imienia. Nie może on być wymówionym tak jak się pisze, przez krótkie *i, sir*, bo to brzmi źle i nieprzyjemnie. A wymówiony po angielsku w pierwszym przypadku jeszcze ujdzie, ale w następnych nabiera tak wyraźnego podobieństwa do sera, że każde polskie ucho musi być uderzone tem podobieństwem, w skutku czego każdy albo się roześmieje, albo się zniecierpliwi na to przypomnienie, które mąci i psuje wrażenie toczącej się rozmowy.

Dziwna rzecz jak u nas wszystko łączy się z wypadkami politycznemi i od nich zależy: aż do przekładów Szekspira. Ostatnie ustają przed samym rokiem 1848, a najbliższe po nich pokazują się aż po wojnie wschodniej. Przypadek to zapewne, ale dość, że przez te lata wzburzeń i oczekiwań nie przybyło ile wiemy nic do zasobu naszej Szekspirowskiej literatury. Następne za to, aż do roku 1861 i 1862 są na tem polu dość urodzajne. Spotykamy tu naprzód Macbetha w przekładzie Andrzeja Edwarda Koźmiana. Tryumf to dla Szekspira i dla jego wyznawców nie mały: syn powa-

żnego patryarchy naszych klassyków, sam za młodu czynny i zwinny adjutant przy ich generalnym sztabie, w dojrzałym wieku tłómaczy ten dramat pełen wstrętnych Osińskiemu widm duchów i czarownic, a tłómaczy go nie w poprawionej przez Francuzów ale w prawdziwej i całej jego osnowie. Wniosek ztąd łatwy, że klassycyzm po latach trzydziestu jeżeli nie kapituluje, to przynajmniej skłania się do kompromisu. I w istocie Macbeth ten jest jakżeby kompromisem, produktem klassycznego i romantycznego ducha. Pisany w zupełnem uznaniu i doskonałem zrozumieniu piękności dzieła, tłómaczony z tą znajomością rzeczy i z tym dobrym smakiem, który oryginału nie zmienia nawet gdyby przekład miał go poprawić, nosi on na sobie wyraźne ślady wpływu romantycznej poezyi i nowszych zasad estetycznych. A znowu forma przypomina wszystkich poetów Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Macbeth przełożony tradycyjnym rymowym alexandrynem, przypomina pozorem i brzmieniem wiersza Barbarę Felińskiego. A mówiąc to nie chcemy z niego wcale żartować. Wiersz to piękny, w którym znać niekiedy jędrność i męzkość, którą odznacza się wiersz Czarnieckiego i Ziemiaństwa, i doskonałą przypominającą Racina budowę i okrągłość okresów Barbary, i te szczęśliwe a niespodziewane zwroty, w których tak kochali się klassycy i w których widzieli *szczytność* stylu i tragedyi. Andrzej Koźmian, podówczas za panowania klassyków młody Jędruś, ze swoim wrodzonym pociągiem i z wielką łatwością do pisania, przyswoił sobie bez trudu cechy i przymioty pisarzy, których najwięcej czytał i słyszał: i kiedy się o nim powie, że przełożył Macbetha wierszem godnym Ziemiaństwa albo Barbary, wogóle piękniejszym od wiersza i stylu Wężyka, to doprawdy nie robi mu się żadnej ujmy. Tylko czy ten wiersz i styl przypada dobrze do Szekspira? czy Macbeth w stroju Barbary nie zmienił cokolwiek postawy i ruchu? to inne pytanie. Nam się wydaje, że do scenicznego przedstawienia naprzykład to tłómaczenie nadałoby się doskonale: aktor mógłby ślicznie deklamować jego pełne brzmiące wiersze i okresy, a widz w pośpiechu przedstawienia nie miałby

czasu ani sposobności przekonać się, że ta gładkość, dźwięczność i okrągłość, choć nie zmienia nigdy myśli Szekspira, to rozwijając i opisnjąc ją obszerniej zmienia czasem jej ton i doniosłość, osłabia ją. I to rzecz jedyna ale ważna, jaką przekładowi temu można zarzucić. On jest wierny, wierny o tyle, że nic nie ujmuje, że jest w nim każda myśl jaka jest w oryginale, i to z widocznem staraniem, żeby trzymać się oryginału najbliżej, jak na to pozwalały warunki języka i wiersza. Ale wykształcony między klassykami i na ich wzorach tłómacz, nie pojmował języka i wiersza bez wykończenia, bez zaokrąglenia, bez elegancyi każdego okresu i każdego wyrażenia, a piękność formy, jak on ją pojmuje, regularnie zbudowane okresy, dźwięczne spadki głosu, i t. p. zmuszają go do amplifikacyi, do powtarzanych i wtrącanych epitetów, do całej tej pompy, która brzmi dobrze, ale która byłaby lepszą w przekładzie Atalii lub Fedry, niż w przekładzie Macbetha. Ztąd Macbeth ten jest zastósowany nieco do smaku klassyków rodzajem stylu i wiersza, ztąd, choć tłómacz go nie zmienia i nie tyka, wielka jest różnica w tonie i w kolorycie między przekładem a oryginałem.

Oto naprzykład jak przemawia Lady Macbeth po przeczytaniu listu:

„Masz Glamisę, Kawdorę, i będziesz miał jeszcze
To, co tobie przyrzekły wróżek słowa wieszcze.
Lecz się w tem wielkiem dziele twej miękkości boję:
Za nadto jest słodyczy pełne serce twoje.
Tyś zanadto łagodny, ażeby bez trwogi
W tem zdarzeniu najkrótszej uchwycić się drogi.
Wiem, że wzniesienia żądzą twoja dusza pała,
Lecz nie ma dość tęgości, by się wznieść zdołała.
Chciałbyś celu osiągnąć: ale z cnotą zgodnie:
Nie chcesz zbrodni, a pragniesz co nadają zbrodnie.“

Nikt nie zaprzeczy, że krótsze angielskie *what thou wouldst highly, that wouldst thou holily: wouldst not play false, and yet wouldst wrongly win*, jest nierównie więcej

energiczne i wymowne. I tak samo krótki monolog Macbetha po wróżbach.

„Jeżeli tu na mą zgubę piekło tylko działa
Czemuż się jego pierwsza wróżba dokonała?
I znów czemuż, gdy skrytej ulegam namowie,
Włosy mi z przerażenia powstają na głowie
I to serce, co dawniej tak sppkojnie biło
Uderza o pierś moją *z nadzwyczajną* siłą.“

Różnica ta dałaby się łatwo wykazać tak na najpatetyczniejszych ustępach Macbetha, jak i na tych, które Andrzej Koźmian przełożył najpiękniej. Do tych zaliczylibyśmy słowa Macbetha, kiedy się dowiedział, że Macduff, z którym ma walczyć nie był urodzony przez kobietę, ale z łona matki dobyty:

„Przekleństwo ustom temi co zabrzmiały słowy:
One mnie z ducha mego wyzuły połowy!
Niech tym czartom zdradzieckim nikt nie ufa z ludzi
Zwodzącym was wróżbami, których pozór łudzi.
A które pochlebiając nam słowem zwodniczem.
Z wszystkiem ziszczą się uchu, a nadziei niczem!“

Jakkolwiek bądź tłómaczowi należy się ta sprawiedliwość, że jak zadanie swoje pojmował, tak je doskonale spełnił. On nieco wygładził Macbetha, ale ta gładkość, która w naszych oczach jest błędem, w jego przekonaniu była koniecznym warunkiem dobrej formy. Mniemając, że nadać ją powinien, starał się przecież usilnie i szczerze nie zmienić, nie sfałszować oryginału, i tłómaczył jak tylko ze swoim sposobem rozumienia rzeczy i pisania mógł najwierniej. A wszystko razem wziąwszy dokonał przekładu Macbetha, jakiego przed nim nie było, jaki dziś jest jeszcze jednym z najlepszych, a do przedstawienia na scenie może najprzydatniejszym.

W tym samym roku (1857) wyszedł w Warszawie pierwszy tom *Dramatów Williama Szekspira.* „Przekład

„Przekład z pierwowzoru“ dodaje tytuł: przekład bezimienny, a przez pana Estreichera (w Bibliografii XIX wieku) przypisywany panu Komierowskiemu.

Pierwszy tom obejmuje *Hamleta* i *Romea*, drugi rokiem młodszy *Macbetha*, *Leara*, *Comedy of Errors* czyli *Krotochwilę z Pomyłek*, i wreszcie tę komedyę, którą John of Dycalp nazywał *Północną Godziną*, a ten tłómacz także z powodu, który nam jasnym nie jest, nazywa *Wieczorem Trzech Króli*.

Tłómaczenie to widocznie uważa się za coś większego: Sztuki w niem nie dzielą się na proste akty, ale na odsłony, cztery tragedye opatrzone są recenzyami, które autor nazywa *Poglądami* na Hamleta, Leara i t. d.; a nie będzie w tem zbytecznej śmiałości, jeżeli powiemy że „poglądał“ na nie przez szkła pożyczone od Gervinusa, na którego się zresztą chętnie i często powołuje. Przekład sam jest zdaniem naszem ze wszystkich dotychczasowych, Kefalińskiego wyjąwszy, najmniej udatny, bo najmniej naturalny i pełen pretensyi. Jeżeli Andrzej Koźmian zgrzeszył zbytecznem okrzesaniem i wygładzeniem Szekspira, to ten tłómacz wpada w przeciwną ostateczność. Sadzi się na energię, na jędrność, na szorstkość. Ale nie mając tej jędrności i mocy w swoim stylu, szuka jej w archaizmach. Są czasem pisarze, którzy myślą, że jak nasadzą swój styl wyrazami i zwrotami, które dawno wyszły z użycia, jak ich nazbierają dużo w Reju, lub co lepiej, w dawniejszych zabytkach polszczyzny, będą mieli język tak piękny i tak poważny jak pisarze złotego wieku. A dopieroż do tłómaczenia Szekspira ten język nieco sztywny i chropowaty nada się jak ulał! Tymczasem wyrachowanie jest złe. Kto sam z siebie mocy i ognia w pisaniu nie ma, temu na nic się nie zda choćby z samej nawet Boga-Rodzicy wypisał wszystkie *jenże* i wszystkie *kajaci*, a jego pretensye przydadzą się na to tylko, że czytelnik mający jakie takie poczucie i poszanowanie języka zniecierpliwi się na jego *ano*, a aktor któryby go miał deklamować złamie język, jak kilka razy wymówi to *przecz-że*, które on regularnie i z lubieżnością kładzie tam, gdzie mu wypada napisać „po co“, lub „dlaczego.“

Jak nasz tłómacz jest wyszukanym i szczęśliwym w swoich wyrażeniach, świadczyć może ten ustęp z jego „poglądu“ na Hamleta, w którym opowiada pod jakiemi wpływami rozwijały się poezye XVI wieku w ogólności, a w szczególności teatr angielski:

„Po owem pamiętnem zdobyciu Konstantynopola, które nasz rycerski Warneńczyk na próżno odwrócić usiłował, *bezdomi* gieniusz klassycznej Grecyi wywędrował powtórnie do Włoch, *a zbudziwszy pobratymca starej Romy, poszli społem rozsiadać się po grodach średniowiecznych.*“

Takich słodkobrzmiących frazesów pozwala sobie tłómacz wprawdzie tylko kiedy mówi sam za siebie: lecz kiedy mówi za Szekspira jest tylko inaczej nienaturalny, ale nie mniej nienaturalny. Naprzykład, oto jak on zaczyna pierwszy monolog Hamleta:

„O żebyż raz już to przyzwięzłe czerwo
Chciało się rozpaść, stajać, parą wionąć,
Lub przecz-że prawem swojem samobójców
Ściga przedwieczny.“

Co znaczy *przywięzłe czerwo*, tego nie wiemy, tak jak nie wiemy dlaczego Macbeth, kiedy raz z czułością mówi do żony nazywa ją swoim „goworkiem.“ Ktoby poszukał w słowniku Lindego znalazlby może wytłómaczenie, ale pisarz polski, którego Polacy nie mogą czytać bez słownika, nie wiemy czy odpowiada zupełnie swojemu powołaniu.

To zaś wiemy, że przykład powyższy nie jest jedynym ale jednym z niezliczonych. Jak zaś własną energią nasz tłómacz umie czasem wesprzeć energię Szekspira! jak go umie przypieprzyć! Zdawało nam się dotąd, że Hamlet w scenie z królową robił jej wyrzuty dość ostre, i raczej za mało jak za wiele obwijał w bawełnę. Nasz tłómacz osądził inaczej, i włożył w usta Hamleta słowa, które myśl Szekspira podnoszą do ideału... grubijaństwa i nagości, a które uczciwszy uszy i przeprosiwszy czytelnika na usprawiedliwienie naszych zarzutów umieszczamy:

Hamlet.

trawić żywot
W cuchnącym pocie bezecnego łoża
Od smrodu stęchłym; gzić się, i w obrzydłym
Parzyć się chlewie.

Królowa.

O nie mów więcej!...

Czytelnik powtarza za nią całem sercem tę odpowiedź, która się kończy wierszem:

„Już dosyć, dokończ już, luby mój“... tłómaczu!

Ze wszystkich, któreśmy dotąd widzieli, najlepszy zdaniem naszem jest p. Adama Pajgerta przekład Juliusza Cezara. Wyszedł we Lwowie, u Wilda, w roku 1859. Wierny bardzo, po polsku czyta się doskonale, w wierszu nie tylko łatwym i gładkim ale często, gdzie potrzeba, podniosłym i wymownym. Żadnych odmian, żadnych poprawek: tłumacz tak ściśle trzyma się oryginału, że nie kładzie nigdy rymu tam, gdzie go Szekspir nie użył, ani wiersza w miejscu prozy lub odwrotnie. Krótka, ale bardzo dobrze napisana recenzya Cezara dowodzi, że tłómacz na wskróś znał i rozumiał dzieło które przekładał, a tłómaczenie samo dowodzi, że stylem umiał oddać wszystkie te odcienia, które dobrze wyrozumiał w oryginale. U jego poprzedników naprzykład wszystkie osoby przełożonych dramatów przemawiają niezmiennym jednostajnym językiem i stylem. W naturze tak być nie może; każdy człowiek inaczej myśli, inaczej czuje, i choć o tem nie wie i nie myśli, wyraża się osobnym swoim niejako przyrodzonym sposobem. I w Szekspirze jest tak; nic łatwiejszego jak przekonać się, że Jago mówi zupełnie inaczej jak Othello, a Macbeth inaczej jak Macduff. W przekładzie pana Pajgerta w samym doborze i układzie słów widoczna jest różnica charakterów Brutusa i Kassijusza, a nawet tych postaci uboeznych jak Casca, Octavian, albo i sam Cezar. Brutus zachowuje tu ten charakter bohaterski, idealny, jakiego

w równej mierze Szekspir nie dał może żadnemu ze swoich bohaterów, ma ten rys uczuciowości, a nieledwie tęsknoty, który przy jego rzymskiej todze wygląda tak dziwnie, a godzi i zlewa się z nią tak doskonale, że jego rzymskiej powierzchowności i naturze nie szkodzi, i sprawia, że on jest jak klasyczny posąg, ożywiony chrześcijańskim idealizmem, jest jak Platon, któryby działał i walczył, a czasami się rozrzewniał jak Owidiusz. Scena z Portią, kłótnia z Kassyuszem, nocna rozmowa w namiocie z Lucyuszem, sceny ludowe, każda w swoim rodzaju, przełożone są bardzo pięknie, a jako przykład przytoczymy tu jedno z miejsc klasycznych sztuki, część przemowy Antoniusza:

„O moi mili! kochani! nie chciałbym
Do dzikiej burzy buntu was podżegać.
Ci co spełnili ten czyn, są czcigodni...
Jakie urazy mieli osobiste
Co ich do tego znagliły, niestety
Nie wiem. Oni są mądrzy i czcigodni,
Więc wam zapewne z tego zdadzą sprawę.
Ja nie przychodzę wykradać wam serca,
Nie jestem mowcą tak jak Brutus; ale
Jako mnie wszyscy znacie, prosty człowiek,
Człowiek, co kocha swego przyjaciela
I wiedzą o tem dobrze ci co o nim,
Tu mi publicznie mówić pozwolili.
Bo nie mam środków pisma ni powagi
Gestu wymowy ni potęgi słowa
Aby krew ludzką wzburzyć. Ja po prostu
To tylko mówię o czem wiecie sami
I pokazuję wam rany Cezara.
Te biedne nieme usta: Niechaj one
Przemówią za mnie! Ale gdybym ja był
Brutusem a zaś Brutus Antoniuszem
O! toby wtedy był taki Antoniusz
Któryby wzburzył z gruntu wasze dusze,
W każdą Cezara razę włożył język

Któryby nawet i kamienie Rzumu
Wzruszył, i powstać do buntu przymusił.“

Każdy przyzna że jako wiersz polski jest to piękne i wymowne, a kto porówna z oryginałem ten przyzna że zgodność posunięta jest jak tylko można najdalej, tak daleko że polskie słowa stoją na tych samych prawie miejscach w wierszu, na których w oryginale są odpowiadające im słowa angielskie.

Były to właśnie lata wielkiego u nas dla Szekspira zapału. Młody uczeń uniwersytetu jeżeli miał przed innymi uchodzić za bodaj cokolwiek wykształconego, musiał koniecznie znać Szekspira całego i już co najmniej książkę Gervinusa o Szekspirze, i musiał koniecznie o jednem i drugiem umieć rozprawiać. Jezeli zaś miał na prawdę pociąg i zmysł do poezyi, to większą część wolnego czasu Szekspirowi poświęcał. A ten co miał chętkę do pisania wierszy, na własną zaś rękę pisać ich nie śmiał bo czuł że nie umiał, folgował tej skłonności próbując tłomaczyć tę lub ową sztukę Szekspira, łudząc się że może stać go będzie przynajmniej na dobre tłómaczenie wielkiej poezyi. W naszych szkolnych wspomnieniach przesuwa się to jakaś gimnazyalna rozprawa o Romeu i Julii naprzykład, pisana z odwagą równą niewiadomości, pełna szumnych uniesień, szczęśliwie złożona mozajka ze zdań oklepanych lub kradzionych: to jaka noc spędzona na zaciętej dyspucie o wyższości Julii nad Desdemoną i odwrotnie, o Ofelii lub Kordelii, i wreszcie pamięć niejednego popełnionego przekładu *Ryszarda* czy *Leara*, *Burzy* czy *Juliusza Cezara*, trzymanego w sekrecie, ostrożnie jak zbrodnia, ale głęboko jak skarb. I z takich młodzieńczych prób pióra wyszło tłomaczenie chronologicznie najbliższe *Cezara* p. Pajgerta, co do innych zalet tamtemu co najmniej równe, a przewyższające je o wiele pięknością wiersza, wysokością stylu, poetycznem darem po prostu. W roku 1860 ogłosił w *Dodatku do Czasu* człowiek podówczas tak młody że jeszcze ławek uniwersyteckich nie był opuścił, od tego czasu znany i zasłużony jak żaden z jego rówienników, Józef Szujski,

pierwszy akt *Ryszarda III.* Dla czego ten jeden tylko? Musiały chyba zajść jakieś niewiadome nam przeszkody, bo przekład był już wtedy o ile wiemy doprowadzonym do końca. W każdym razie pierwszy to raz ukazywał się *Ryszard* w polskim języku, a ukazywał z tą siłą namiętności, ironii, sceptycyzmu, w tem ponurem strasznem świetle jakie mu przystoją. Akt pierwszy nie jest może trudniejszym do tłomaczenia od innych, ale to pewna że kto jemu podołał ten już mógł śmiało zrywać się na całą tragedyę, i na całego Szekspira. W nim bowiem wszystkie pierwiastki czy charakteru bohatera, czy tragedyi, występują w potędze która dalej już wyżej się nie wznosi; cynizm Ryszarda w jego monologach, hypokryzya w scenie z Anną, pathos w opowiadaniu Clarenca o śnie i w jego rozmowie z mordercami; tu wreszcie ta namiętność i rozpacz bez granic która grzmi i jak piorun spada na głowy winnych w przekleństwach Małgorzaty. Musielibyśmy wszystkie te sceny po kolei przytoczyć żeby czytelnikowi dać wyobrażenie o przekładzie, bo nie wiedzielibyśmy którą z nich wybrać jako najlepszą. Dla dokładności tylko, z obowiązku sprawozdawcy dodamy że przekład jest rymowy; znać wzgląd na piękność formy przeważył w przekonaniu tłomacza wzgląd ścisłego jej naśladowania z oryginału.

I znowu kilka lat w ciągu których nikt o Szekspirze nie myślał, aż w roku 1866 zjawiła się pierwsza obietnica przekładu, którym się obecnie cieszymy. Pan Stanisław Koźmian wydał swój pierwszy tom *Dzieł Dramatycznych Szekspira* obejmujący *Leara, Sen Nocy Letniej* i *Dwóch Panów z Verony,* a w przedmowie opowiadał, że od długich lat razem z panem Leonem Ulrychem miał zamiar przełożenia całego Szekspira, że zamiar ten był prawie blizkim wykonania, że jednak przewidując przeszkody i zwłoki, nie chce ociągać się dłużej i sztuki przez siebie przetłomaczone wydaje. W roku 1869 wyszedł tom drugi z *Królem Janem* i *Ryszardem II.* Z obu zdawaliśmy sprawę w swoim czasie, a choć nie żądamy ani przypuszczamy żeby czytelnicy nasi mogli zachować w pamięci cośmy podówczas pisali, powtarzać

tego teraz nie chcemy, bo wypadnie nam wrócić jeszcze do tej materyi kiedy przystąpimy do właściwego naszego przedmiotu. Przypomniawszy więc tylko jednem słowem nasze ówczesne wrażenie, wedle którego tłómaczenie to jest tak dobre jak tylko żądać można, a może nie zupełnie tak piękne jak dobre, dodamy że szczęśliwi jesteśmy bardzo jeżeli nasze ówczesne usilne prośby i błagania przyczyniły się choć w najmniejszej części do tak pożądanego skutku jak obecne wydanie całkowitego przekładu Szekspira.

Rok 1871 przyniósł dwa tłómaczenia sztuk mniej publiczności znanych i ulubionych: *Tymona* przez pana Edwarda Lubowskiego, i *Zimowej Powieści* przez G. E. Tę ostatnią, wraz z ciekawą przedmową objaśniającą stosunek jej do zdarzeń historycznych polskich (Ziemowita Mazowieckiego i jego żony), pismo nasze pierwsze miało zaszczyt ogłosić. Tymon wychodził w Bibliotece Warszawskjej. Obu tym sztukom zarzucić można rzecz tę samą, jedną tylko, ale bardzo ważną, oto obie tłomaczone są prozą. Dla czego? Nie umiemy odgadnąć, ani zrozumieć powodu którym usprawiedliwia się tłomacz *Tymona*. Mówi on, że „zamienił wiersz biały na prozę, odpowiedniejszą może scenicznej produkcyi.“ Naprzód, wzgląd na przedstawienie teatralne przy Tymonie ma mniej wagi niż przy wielu innych sztukach, bo on nigdy prawie grywanym nie jest, i prawdopodobnie nigdy wiele grywanym nie będzie. A powtóre, dlaczego ten *Tymon* przerobiony na prozę miałby być odpowiedniejszym a choćby tylko łatwiejszym do grania na scenie? czy miałby wydać się lepiej dlatego, że jest obniżony? Nie wiemy: to zaś wiemy z pownością, że *Tymon* przez prozę zstąpił znacznie ze swego koturnu, a *Zimowa Powieść*, zwłaszcza w akcie czwartym, straciła z tego samego powodu wiele na swoim poetycznym kolorycie i wdzięku.

W tym samym roku (1871), wyszło we Lwowie nakładem Wydawnictwa *Mrówki* tłómaczenie Leara[1]) przez

[1]) Pierwszą scenę Leara przetłómaczył i ogłosił jeszcze w roku 1865 w *Tygodniku naukowym lwowskim* (Nr 26) J. Szujski — co dla dokładności zapisujemy.

p. Adama Pługa. Rymowe, pisane aleksandrynem, podobne jest nieco do Macbetha Andrzeja Edwarda Koźmiana; ma te same przymioty jasności, zrozumiałości stylu, okrągłości okresów dźwięczności wiersza. A więcej podobieństwa do oryginału przez to, że tłómacz nie bał się być szorstkim a a nawet gdzie potrzeba grubiańskim. Tem dziwniej też odbijają na tem tle dobrego ogółem przekładu błędy niektóre rażące, wyrażenia bądź niezgrabne i niesmaczne, bądź zmieniające bardzo myśl Szekspira. Sądzimy, że większą ich część może położyć trzeba na karb omyłek druku; tych bowiem naliczyliśmy tak wiele i tak grubych w niestarannem bardzo wydaniu, że może i to, co nam się wydało błędem tłómacza, jest tylko winą drukarza.

Nareszcie w roku 1876, w zupełnem wydaniu dzieł p. Krystyna Ostrowskiego wyszedł przekład *Hamleta* i *Antoniusza,* i przerobienie *Kupca Weneckiego.* Z dziwnem uczuciem czyta się te przekłady. Forma jest tak piękna, tak wyrobiona i giętka, styl tak świetny, wierność, pomimo niektórych nieuniknionych różnic, tak ścisła, trudności tak zręcznie roowiązane, a często zwroty i ustępy tak szczęśliwe, tak wymowne, tak energiczne, że czytelnik uradowany już gotów jest uwierzyć, że ma przed sobą ten z dawna upragniony officyalny polski tekst Szekspira, że znalazło się wreszcie tłómaczenie doskonałe: i tłómacz, który do dzieła swego zabierał zię z prawdziwem natchnieniem, tłómacz-poeta! Ale kiedy się tak cieszy i zachwyca, nagle nie wiedzieć zkąd uderzy go i przerazi jakiś dźwięk fałszywy, nie jako brzmienie, bo to zawsze równie dobre, ale dźwięk fałszywy myśli, której z Szekspira nie pamięta: a dla wielbiciela i znawcy taki dodatek brzmi zawsze „jak zgrzyt żelaza po szkle.“ Nic pojmuje się zrazu, szuka się, porównywa teksty, w końcu nabywa się przekonania, że pamięć nie zawiodła, że to interpolacye tłómacza! Jakim sposobem tłómacz poważny może nie wiedzieć tego, że pierwszą zasadą i pierwszym jego obowiązkiem jest nie wtrącić żadnej własnej myśli? że tekst upstrzony dodatkami i interpolacyami jest tekstem sfałszowanym? tego zgoła pojąć nie umiemy, a tylko żałować mu-

simy gorżko, że przekład ze wszystkich najpiękniejszy, ten który mógłby był, powinien był, stać się obowiązującym dla literatów i dla teatrów, przez to dziwne zaślepienie tłómacza być tem nie może. A nie chodzi nam wcale o zmiany pomniejsze, jak ta naprzykład, że śpiewki Ofelii nie są właściwie tłómaczone ale zastąpione innemi zbliżonemi do pieśni gminnych polskich — ale jak się znajdzie myśli, o których Szekspir nie myślał, wiersze lub zgoła ustępy, których on nie napisał, to trudno się nie zasmucić nad takiem dobrowolnem umyślnem zepsuciem dzieła, które bez tych poprawek podziwiałoby się z całego serca. Nie dostrzegliśmy ich w *Antoniuszu,* i dlatego uważamy go za najlepszy z przekładów pana Ostrowskiego. Jedyna zmiana ta, że cały przełożony jest wierszem, podług nas potrzebna nie była; ale że istoty rzeczy nie dotyka, więc w najgorszym razie nie jest bardzo szkodliwą. Z tem jednem zastrzeżeniem zaś, można śmiało powiedzieć, że przekład, zwłaszcza w scenach patetycznych, jest wspaniały. Ale *Hamlet*, byłby takim, gdyby nie poprawki i zmiany. I tak zaraz w samym początku pierwszego monologu, który zresztą przełożony jest świetnie, zmienia tłómacz myśl Szekspira, kiedy mówi:

Bodaj to skrzepłe, to uwiędłe ciało
Jak mgła przed słońcem w parę się rozwiało:
Lub ten nie istniał, co swój grom wymierza
Na samobójcę.

„Or that the everlasting had not fixed
his canon against selfslaughter.“

to nie znaczy wcale, żeby ten *everlasting* nie istniał. Albo znowu sławne *that is the question* oddaje tłómacz przez *oto jest zadanie.* Zapewne musiał on zgłębiać znaczenie tego słowa jak Faust, kiedy tłómacząc ewangelię św. Jana biedził się nad tem jak odda *in principio erat verbum,* i do konkluzyi, że głębsza myśl ukryta w tem *question* obejmuje nie pytanie tylko ale i zadanie. Jednak lepiej byłby zrobił, gdyby trzymając się pewniejszej drogi, był użył najbliższego

słowa, a Faust sam byłby mu w tem posłużył za przykład poważny i nauczający. Są to rzeczy małe zapewne, ale właśnie dlatego, że tak małe, tak łatwe do uniknienia, odżałować nie można, że są i szpecą przekład tak piękny. A są i większe. W czwartym akcie, kiedy Hamlet rozmawia z rotmistrzem Fortinbrasa, i mówi, że Polak zapewne swojej ubogiej ziemi bronić nie będzie, oficer ten odpowiada:

„I owszem zginie nim ją wróg posiędzie.
Garść ziemi każda snać dla niego świętą,
Bo męczenniczym prochem jest przejętą:
Obcego jarzma Polak znieść nie zdoła!

Z najpokorniejszem przeproszeniem tłómacza, nasz honor i nasz patryotyzm nie wiele może zyskać lub stracić na tem co o nim mówi rotmistrz króla Fortinbrasa, a ten patryotyzm polski odzywający się przez usta Duńczyków i Szwedów, ta myśl specyficznie polska i teraźniejsza przyciągnięta za włosy i włożona gwałtem w Hamleta, wygląda jako zamiar dziecinnie, a jako effekt komicznie. Ale gdyby nie te dowolne zmiany, przekład Hamleta byłby doskonałym. Że zaś one są małe, że je łatwo poprawić, lub opuścić to co jest wprost dodane, więc zdaniem naszem byłoby dobrze, gdyby teatra nasze przyjęły do przedstawień ten tekst Hamleta jako najpiękniejszy pod względem formy, i najsposobniejszej do deklamacyi.

Nad *Kupcem Weneckim* chce się czasem aż płakać prawie. Są ustępy tak udatnie, tak ślicznie przełożone, że się je czyta z największą przyjemnością: a z wielkim znowu żalem widzi się, że są porozrzucane, poprzestawiane, że żaden prawie nie został na tem miejscu, na którem go Szekspir położył. Niestety, to co mogło było być doskonałem tłómaczeniem *Kupca*, jest jego przerobieniem, jest *Lichwiarzem,* komedyą w trzech aktach! Że dyrekcye teatrów przemieniają porządek scen w *Kupcu* to nic dziwnego: że Szekspir sam mógł był bez szkody dla swego dzieła opuścić Salania, Salarina, albo starego Gobbo, i to być może. Ale to nie przeszkadza, że przerabiać *Kupca* jak każdą inną sztukę Szek-

spira, przerabiać, zatem poprawiać, to śmiałość niepospolita, a pomyłka tyle już razy dowiedziona, że dla całego świata jest to już stanowiskiem dawno przebytem. A tym razem jak zwykle dzieło nie poprawiło się poprawianiem. Mniejsza o to, że są wypuszczenia, ze Tubal przemawia szwargotem polskich żydów, a Lancelot nazywa się *Żołądkiem,* albo że na wstępie położony jest tekst ze św. Marka, wymierzony nie wiemy przeciw Shylockowi, czy przeciw Wenecyi: „To jest dom ojca mojego, a wyście zeń uczynili jaskinię łotrów.“ Ale to gorsze, że choć treść, osoby, i niektóre sceny są te same, sztuka jest zupełnie inna jak w Szekspirze.

Zaczyna się ona od długich rozmów Antonia z Lorenzem i Gratianem, których na próżno szukałby kto w *Kupcu,* następuje prośba Bassania taka, jaka w oryginale, potem projekt wykradzenia Jessiki, układ Antonia z żydem, i wreszcie wykradzenie samo, po którem zaraz Shylock wraca do domu, a nie znalazłszy córki, ani szkatułki, desperuje w słowach uprzejmie mu przez tłómacza dostarczonych. To akt pierwszy. Drugi w Belmont. Nerissa zdawna uprzedzona oczekuje przyjazdu Bassania, jako szczęśliwego zalotnika swojej pani. Portia sama wzdycha za nim daleko głośniej niż u Szekskira. Na to zjawia się Gratiano (bez Bassania), Lorenzo (bez Jessiki), i Shylock! Shylok, który w pogoni za córką aż tu przyleciał, i wszystko co on mówi, lub co mówią o nim w trzecim akcie *Kupca,* włożone jest w tę rozmowę między nim a Lorenzem. Za Shylokiem przyjeżdża do Belmont i Tubal, z doniesieniem, że okręty Antonia przepadły, a że Jessika „Tochter twój“ *(sic!)* rozrzucała pieniądze po drodze. Żydzi znikają za nadejściem Portii i jej trzech konkurentów. Bo wszyscy trzej razem przstępują do wyboru skrzynek: a jeżeli prześliczna rozmowa Portii z Bassaniem nie wiele może na tem zyskuje, to niezmiernie za to zyskuje *Bej* Marokański i książę Arragoński (Don Carlos!), których tłómacz czy poprawiacz rozwija *con amore,* każe im długo mówić, kłócić się i t. d. Wiadomość o bankructwie Antonia, wyjazd Bassania, epizod z pierścionkami, i wreszcie plan Portii, już zdaje się zamknął ten akt drugi, kiedy

z za kulis wysuwa się Shylock, i mówi „Antonio bankrut, jutro mścić się będę.“

W trzecim jest scena sądu, i oddanie pierścionków mniemanym sędzi i woźnemu, a potem zjawia się Jessika wezwana przez Portię do Wenecyi, i tu, w sali sądowej, odbywa się ta rozmowa z Lorenzem, która choć ładnie przetłómaczona, w ogrodach Belmontu z pewnością byłaby bardziej na swojem miejscu. Potem Portia już w kobiecych sukniach oddaje czołobitność Doży, który ją bardzo grzecznie przyjmuje. Następuje upomnienie się o pierścionki; Bej Marokański i książe Arragoński, którzy po drodze do domu wstąpili do Wenecyi, jeszcze sobie przymawiają, na zakończenie Shylock przynosi zapis majątku na rzecz córki i zięcia, Bassanio pije jego zdrowie, a kortyna spada przy odgłosie hucznych okrzyków. „Niech żyje Doża, ojciec nasz i książę.“

Jak pomyśleć, że ten czas, i ten wiersz, byłyby doskonale wystarczyły na śliczne tłómaczenie prawdziwego *Kupca Weneckiego,* to niepodobna wstrzymać się od żalu i gniewu, że mamy tylko jego przerobienie.

Kiedy wychodziło wydanie dzieł pana Ostrowskiego, wyszły już były także pierwsze zeszyty dzieł Szekspira w przekładzie panów Koźmiana, Ulrycha i Paszkowskiego: jego więc *Hamlet* i *Antoniusz* są ostatniemi co do czasu tłómaczeniami Szekspira przed tłómaczeniem zupełnem. Na nich też skończymy to wspomnienie o dawniejszych tłómaczach i tłómaczeniach. Zupełnem ono nie jest: o tych tylko mogliśmy mówić, które znaleźliśmy w bibliotekach łatwo nam przystępnych, a cośmy pominęli, to nie ze złej woli, ale z niemożności ocenienia tego, czego nie znamy. Nie znamy naprzykład *Romea* w tłómaczeniu pana Korsaka, a choć z pomocą bibliografii pana Estreichera staraliśmy się o dokładny spis wszystkich, jakie w Polsce były przekładów Szekspira, łatwo być może, że nie jeden uszedł naszej uwagi. Za tę niedokładność czytelników i tłómaczy (jeżeli tacy są) przepraszając, czujemy jeszcze potrzebę dodania tego, że nie sądziliśmy się w obowiązku mówić o tem, co u nas o Szekspirze od roku 1830 pisanem było ze stanowiska krytyki

i estetyki. Wzmianka lub mowa o nim znajduje się tak często, tak wszędzie i zawsze, że niepodobna tych wszystkich wzmianek znać, wyszukać, i streścić. Ale większego studium o Szekspirze wyznajemy, że nie znamy w naszej literaturze, co najwięcej rozprawy o tej lub owej jego sztuce. Jedyne zaś o jakiem wiemy dzieło tego rodzaju, hr. Kazimierza Stadnickiego, dotąd pozostaje w rękopiśmie, a wyszły tylko dwa jego rozdziały. Jeden o *Macbecie* ogłoszony w naszem piśmie przed trzema laty, drugi później, w *Przeglądzie Lwowskim*, o *Zimowej Powieści*.

II.

Staranne, nawet ozdobne wydanie, trzy grube tomy *in quarto*, z drzeworytami (powtórzonemi z jakiegoś angielskiego podobno wydania, ale wcale ładnie wykonanemi), oto jak na pierwszy rzut oka przedstawia się ten pierwszy w Polsce Szekspir całkowity, o którym nareszcie mówić mamy. Wydanie nie jest z rzędu tych monumentalnych, bardzo pięknych a bardzo drogich: owszem, ma tę zaletę, że jest przystępne nie zbyt nawet bogatym, i może się rozpowszechnić; a staranne bardzo, z dobrym drukiem, z ładnemi drzeworytami, przyjemne jest do widzenia, i nie wiele może, jeżeli w ogóle, ustępuje wydaniom illustrowanym zagranicznym. Format jego może nie jest bardzo wygodny, kilkanaście tomów *in octavo* byłyby może ponętniejsze dla czytelnika, bo mała książka zawsze lepiej przypada do ręki i czyta się smaczniej (jeżeli można użyć tego wyrażenia). Ale drzeworyty, jeżeli być miały, wymagały oczywiście większego formatu, a illustracye wiadomo, że są także dla wielu powabem. Obszerna, bo cały jeden zeszyt wydawnictwa obejmująca przedmowa napisana przez p. J. I. Kraszewskiego podaje czytelnikowi wszystkie najpotrzebniejsze wiadomości o życiu Szekspira, o chronologicznem następstwie jego sztuk, wreszcie o stosunku Szekspira do poprzedzającej i współczesnej literatury dramatycznej angielskiej, wszystko opowie-

dziane na podstawie najnowszych rezultatów badań angielskiej i niemieckiej krytyki: a prócz tego każda sztuka opatrzona jest wstępem objaśniającym jej pochodzenie i źródła. To wystarcza, żeby każdego przekonać, iż nie zapomniano o niczem, co czytelnikowi mogło być przyjemnem i potrzebnem, że na naukową wartość wydania dano nie mniej baczenia jak na jego udatną stronę zewnątrzną. Z trzech tomów, na które podzielono całość, pierwszy obejmuje dramata z historyi angielskiej, czyli tak zwane *historye*, drugi tragedye, ostatni komedye.

Prosta rzecz, że mówiąc o przekładzie trzymać się będziemy tego przez wydawców przyjętego porządku.

Na samym wstępie spotykamy się z dawnemi znajomościami. *Król Jan* i *Ryszard II*, które naturalnie rozpoczynają szereg *Historyi*, tłómaczone są przez pana Stanisława Koźmiana, i stanowiły drugi tom jego przekładów, wydany w roku jeszcze 1869. Zdawaliśmy z nich sprawę w swoim czasie, a przeczytawszy je dziś na nowo, utwierdziliśmy się tylko w odniesionem wtedy wrażeniu. Nie możemy więc zrobić nic innego, jak przytoczyć wkrótkości wypowiedziane niegdyś zdanie, nie przez uporczywe przy niem obstawanie, a tem mniej przez wstręt do powtórnego zastanowienia się i pisania, tylko przez niemożność zdobycia się na zdanie odmienne.

„Te same w nim, co i w tomie pierwszym zalety wierności i ścisłości przekładu, (zalety, których nigdy dość podnieść i wychwalić nie można); ta sama religijna cześć oryginału niepozwalająca sobie nic tknąć, nic odmienić ani naruszyć, ta sama sumienność posunięta do najdalszych granic, rzeklibyśmy nieledwie do pedantyzmu, skoro tłumacz stosuje się wszędzie nawet do liczby wierszy w oryginale. A obok tego, wiersz polski, choć ma się rozumieć ani tak wymuskany jak wiersz Felińskiego, ani tak dźwięczny i melodyjny jak wiersz Słowackiego, ani tak unoszący jak przepyszny rytm Mickiewicza, okazuje się nierównie swobodniejszym niż był w *Królu Learze* lub w *Śnie Nocy Letniej*. Czasem wprawdzie zawadzają mu jeszcze pęta, ale wogóle idzie każdy

śmiało i rączo a drugie zdążają za nim tym samym chodem, i składają nierzadko ustęp cały, który w deklamacyi wyda się tak pięknym, jak się wydaje wiernym i ścisłym przy pracowitem drobiazgowem porównaniu z oryginałem. Może to złudzenie, ale zdaje nam się, że pod tym względem pełności dźwięku i swobody wiersza, Ryszard II przewyższa Króla Jana; że tam więcej jeszcze takich ustępów i scen, które czytają się tak, jak żeby oryginał nie był krępował tłómacza wcale, jak żeby język polski był się do niego „sam posłusznie naginał.“ Wielka scena abdykacyi w czwartym akcie, druga scena aktu trzeciego, i rozmowa Bolingbroka z Ryszardem na szańcach zamku Flint, są tak (pod względem formy) najświetniejszemi ustępami w przekładzie, jak są najpatetyczniejszemi scenami w dramacie. W *Królu Janie* znowu, jakkolwiek nie dorówna on może pod tym względem wymienionym co dopiero ustępom, zaprzeczyć nie można, że tłómacz znajduje i tony dość energiczne, żeby oddać przekleństwa Konstancyi, i dość rozpaczliwe, żeby oddać jej żal po stracie syna, i dość rzewne, żeby oddać rozdzierajęce prośby małego Artura o zostawienie mu oczów, i wreszcie dość pełne odcieni, żeby oddać i wahania, i tchórzostwo, i hipokryzyę króla Jana, i ten oryginalny cynizm Bękarta, w którym jest więcej żołnierskiego humoru niż ironii, więcej egoizmu niż przewrotności, i w którym tak dziwnie odzywa się czasami zmysł moralny, którego napróżnoby ktoś szukał u króla Jana albo u kardynała Pandulfa.

Powtarzamy zatem, że wrażenie, jakie nam zostawił przekład tych dwóch „Historyi“ jest ogółem wziąwszy bardzo dobre, i że zdaniem naszem, stoi on wyżej od przekładu Leara i Snu Nocy Letniej. To co w tamtych było brakiem nieujętym, nieopisanym, ale ciągle czuć się dającym, to w tych schodzi do rozmiarów daleko mniejszych lub znika zupełnie. Jest to już nietylko przekład wierny i dobry, ale jest, w niektórych zwłaszcza scenach Ryszarda II, przekład piękny. I znowu, jak poprzednio, chcąc wytykać i ganić, czepiać się musimy drobnych tylko szczegółów; czynimy to zaś nie dlatego, żeby naganą dopełnić obowiązków re-

cenzenta, tem mniej dlatego, żeby się popisywać swoim rozumem i z autorem się mierzyć, ale dlatego, żeby pokazać jak nam wielce i szczerze na zupełnej doskonałości dzieła zależy.

Lista tych zarzutów wyczerpie się bardzo prędko. Miejsca, w których podług naszego (mylnego może) zdania tłómacz bądź oddalił się od myśli oryginału, bądź ją oddał w sposób niezupełnie właściwy, są nierównie mniej liczne, niż były przed trzema laty, kiedyśmy z pierwszego tomu sprawę zdawali. Być może, że wzrok bystrzejszy lub dokładniejsza od naszej znajomość Szekspira dostrzegą usterków takich więcej: my choć śledziliśmy błędów z całą pilnością, na jaką nas stać było, zdołaliśmy tylko następujących dopatrzeć:

W trzecim akcie *Króla Jana*, Konstancya kiedy ma rzucić się na ziemię, mówi że smutek jej jest tak ciężki,

That no supporter, but the huge firm earth
Can hold it up.

Pan Koźmian oddaje to przez:

ból mój tak wielki
Że chyba ogrom ziemi go udźwignie.

Uderza nas tu opuszczenie tego małego słówka *firm*, które przecież jest ważne, bo oznacza, że tylko coś tak stałego i niewzruszonego jak ziemia, zdoła utrzymać ogrom smutku skrzywdzonej i zdradzonej Konstancyi. W przypiskach podaje nam tłómacz inną wersyę, bliższą myśli Szekspira, mianowicie:

ból mój tak wielki
„Że go moc żadna prócz ogromu ziemi
Unieść nie zdoła."

ale i w tej wersyi czuć się daje brak owego *firm*, które zdaniem naszem jest tu potrzebniejsze nieledwie, niż ów epitet ogromu *(huge)*. Ale jest to drobiazg taki, że wstyd nam doprawdy spierać się oń z autorem i czytelnika nim nudzić.

Ważniejszym, bo już zmieniającym myśl Szekspira, wydaje nam się ten wiersz w którym król Jan mówi o odpustach papiezkich:

„Biorąc przedajny odpust od człowieka
Co się sam w grze tej z odpustu wyzuwa.“

Znaczy to, że przedając rozgrzeszenie, papież lub jego legat sam traci prawo do rozgrzeszenia. Tymczasem Szekspir chce powiedzieć zupełnie co innego:

Purchase corrupted pardon of a man
Who in that sale sells pardon from himself

„kupować wystawiony na sprzedaż odpust od człowieka, który w tym targu sprzedaje odpuszczenie grzechów od siebie.“ Myśl jest, że to rozgrzeszenie jest tylko od papieża nie od Boga, i że jest poprostu oszukaństwem. Do takiego jej tłómaczenia upoważniają nas dwa słowa: *Sell* i *from (sprzedawać* i *od)*. Gdyby Szekspir był chciał powiedzieć tylko, że kto odpusty sprzedaje, sam się ich zrzeka, byłby zapewne znalazł na to jakieś wyrażenie bliższe i naturalniejsze. To wyszłoby mniej więcej na: „sprzedawać z siebie rozgrzeszenie“, i byłoby bardzo naciąganem i dalekiem. Nic więc naturalniejszego, jak że Szekspir z całą ówczesną protestancką Europą brał rozgrzeszenie papiezkie za oszukaństwo; i nic także naturalniejszego, jak że w tym sensie wyraził się o odpustach, skoro one właśnie i tak świeżo jeszcze, stały się bezpośrednim powodem reformacyi, zapałką, od której zajęły się prochy. Pan Koźmian sam w przypiskach zwraca na to uwagę, że niektórzy ustęp ten w powyższy sposób rozumieją: rzeczywiście skłania ich do tego prawdopodobieństwo logiczne i historyczne, a co najważniejsza, dosłowne znaczenie wyrazów. Na tem oparci pragnęliśmy, żeby w następnych wydaniach wiersz ten w tym sensie został zmienionym.

Na innem znów miejscu nazywa król Jan wesołość: *a passion hateful to my purposes.* Pan Koźmian tłómaczy przez „wstrętną mym myślom wesołość.“ Tymczasem nie

o myśli to chodzi, ale o zamiary, *purposes;* „wesołość, usposobienie nieprzyjazne moim zamiarom.“ Król Jan rozumie przez to, że ludzie usposobienia pogodnego, swobodnego, wesołego, nie bywają skłonni do zbrodni, i nie przypuszcza, żeby człowiek takiego usposobienia dał się łatwo użyć do niej za narzędzie. Dlatego wybór jego padł na Huberta, który mu się wydał gorżkim, ponurym, i twardym, a przez to do okrucieństwa skłonniejszym.

Nie wiemy sami, czy mamy się zgodzić na tłómaczenie wiersza:

old Gaunt indeed, aud gaunt by beeing old

przez: stary gont prawda, a suchy, bo stary. Gra wyrazów leżąca w oryginale na nazwisku, tu skomplikowana jest jeszcze tym dodatkiem gonta. Ale nie można zaprzeczyć, że ten wtrącony „gont“ i nazwisko podobieństwem brzmienia nie źle zastępuje, i nadaje się dobrze do tego pojęcia suchości, w którem polega druga połowa owego *jeu de mots.* Ale jeżeli na ten dodatek przystać można, to trafiają się inne, przeciw którym protestować musimy. I tak naprzykład Ryszard II żegnając się z królową, kiedy na wyprawę wychodzi, powiada jej: *be merry, for our time of stay is short.* Pan Koźmian zamiast tego prostego i naturalnego *be merry,* „bądź wesoła, bądź dobrej myśli“, kładzie dłuższe, zawilsze i naciągane: „nie grzesz biadaniem.“ Naprzód myśl ta, że królowa źle robi narzekając, jest w zupełności dodana, i dodana bez potrzeby. A potem, jeżeli już wiersz dodatku tego wymagał i inaczej obrócić się nie dał, to trzeba było przynajmniej wyszukać jakieś słowo prostsze, jak to niezgrabne i dzięki Bogu nie używane „biadanie.“ Już z wykrzyknikiem „biada“, trzeba obchodzić się ostrożnie; uformowane z niego słowo czasowe „biadać“, a dopieroż rzeczownik „biadanie“ dają się wprawdzie zrozumieć, może nawet znajdują się w słownikach, ale brzmią nienaturalnie, nieprzyjemnie. Po cóż było szukać daleko tego „biadania?“ Jeżeli już wiersz nie mógł się obejść bez *grzechu,* to byłoby lepiej i prościej powiedzieć „nie grzesz narzekaniem“, albo „i nie grzesz sze-

mraniem", jak ciągnąć zdaleka tę płaczliwą „biadę" z jej niezgrabnem i nieudatnem pokoleniem. Używanie wyrazów dalszych i wyszukanych zamiast najbliższych i najprostszych jest niewątpliwie błędem, a wyznać trzeba, że błąd ten trafia się nieraz w przekładzie Szekspira. I tak, spotykamy tam wiersz „nazwa ta *dzielnie* zgadza się z mym stanem", kiedy zamiast tego „dzielnie", powiedzieć po prostu „dobrze" byłoby i dostatecznie i, ze względu na słowo „zgadza się" właściwiej. Tak w innem miejscu *misinterpret me*, źle mnie rozumieć, źle mnie tłómaczyć, oddane jest przez „czytać mnie wspak." I tu przypisek bardziej się zbliża do oryginału, niż tekst przez tłómacza wybrany. Tak wyraz *antic* oddany jest przez „cudaczka", słowo sztucznie urobione naprzód, w żeńskim rodzaju nie używane, więcej nierównie trywialne od angielskiego *antic,* a przez to samo nie właściwie tam, gdzie się mówi o śmierci tonem łagodnej i smutnej ironii, ale tonem bynajmniej nie rubasznym. Nie wiemy także, czy angielskie *fair cousin* dobrze jest przetłómaczone przez „piękny kuzynie." Wprawdzie *fair* znaczy dosłownie „piękny", ale w takim wokatywie, zwłaszcza do mężczyzny, słowo „miły" odpowiadałoby mu lepiej, niż to dosłowne, ale w naszym języku nigdy nie używane „piękny." Tak samo *good soul* lepiej było przetłómaczyć „dobra duszo", albo „moja duszo", bo pierwsze używa się często jako pochwała, drugie jeszcze częściej jako pieszczota, kiedy „dobra duszko" jest zupełnie nie używane. *Good soul* jest to sposób mówienia bardzo częsty i zwyczajny w angielskiem: należało zastąpić go w polskim przekładzie wyrażeniem równie zwyczajnem i używanem. Wreszcie wiersz: *bereft and gelded of his patrimony* nie zbyt szczęśliwie oddany jest po polsku: „nad wytrzebionym i wyzutym z dziedzictw." Znaczenie słów jest ściśle to samo. Ale w oryginale zachowany jest takt delikatny, że wyraz *gelded* umieszczony bezpośrednio przed *patrimony,* wyraźnie i widocznie ściąga się tylko do ojcowizny. W przekładzie dwa te słowa przegrodzone są epitetem „wyzuty", a przeto zdawać się może, że tylko ten ostatni odnosi się do dziedzictw, a pierwszy ma znaczenie sam

dla siebie. Powstaje ztąd dwuznaczność daleka równie od oryginału, jak i od zamiaru tłómacza.

Oto są szczegółowo wymienione miejsca, w których zmiana wydaje nam się potrzebną. Jest ich tak mało i są tak nieznaczące, że właściwie i mówić o nich nie warto. Jednak uważaliśmy to za potrzebne, dlatego głównie, żeby tłómaczowi wykazać na przykładach, że ma skłonność do używania wyrazów niezwyczajnych zamiast najprostszych; przymiotników, które nie lubią chodzić w parze z pewnemi rzeczownikami, lub przysłówków dopasowanych gwałtem do pewnego czasownika. Skłonność ta objawia się nieraz w tym tomie (choć rzadziej jak w pierwszym), a ile razy się objawi zawsze wiersz zeszpeci; wyraz użyty sztucznie lub niewłaściwie, robi takie wrażenie w wierszu, jak fałszywa nuta w muzyce. Tak samo wyglądają i te wtrącane w wiersz dla miary wykrzykniki lub jednozgłoskowe przyimki i zaimki, których (dlatego może, że małe) nie wystrzegają się nasi wierszopisarze, a które przecież rażą zawsze, jeżeli użyte są bez koniecznej potrzeby, i widocznie tylko dla miary."

Żałujemy mocno, że żadnego z uczynionych podówczas przekładowi zarzutów, nie możemy cofnąć: wszystko, co wydawało nam się wymagać poprawy, zostało niezmienionem w tem nowem wydaniu, wszystko dziś wydaje nam się tak samo jak przed laty odmiany potrzebującem, musimy zatem przy dawnych naszych uwagach i żądaniach obstawać. Co więcej, kto wie czy w niektórych z miejsc co dopiero wytkniętych, Korzeniowski nie był od pana Koźmiana szczęśliwszym i oryginału bliższym, kiedy Konstancyi naprzykład mówić każe:

ból mój jest tak wielki
„że go podpora żadna prócz szerokiej
i silnej ziemi dźwignąć nie potrafi."

albo kiedy król Jan w jego tłómaczeniu mówi do króla francuskiego:

„na wagę złota kupujecie podłą
rdzę, proch, przedajny odpust, od człowieka,
co w tej przedaży własnem przebaczeniem
z wami frymarczy —

do Huberta znowu:

aby
ten głupiec uśmiech nie był w ludzkiem oku
ni pusta radość w twarzy: — (jej nie lubią
zamiary moje).“

Z większym jeszcze żalem musimy tu powtórzyć, z panem Koźmianem, i z dwoma innymi tłómaczami, i z wydawcami, stoczyć spór o inną kwestyę zasadniczą, o ortografię nazwisk angielskich. Nazwiska te pisane są w całem wydaniu tak niby jak się wymawiają: a zdaniem naszem wydanie bardzo jest przez to zeszpecone. Naprzód, z wielkiem przeproszeniem tłómaczów i wydawców, rzadko kiedy nazwisko angielskie da się po polsku napisać tak, jak się po angielsku wymawia. Nie mówiąc już o tem, że co do wymawiania samogłosek ścieśnionych bardzo jest trudno zgodzić się na jedno, bo Anglicy sami nadają im brzmienia różne, to w każdym razie prosta i po prostu wymówiona samogłoska polska brzmienia ich nie oddaje. Mogę napisać *Buszy* naprzykład zamiast *Bushy;* ale czy to *u,* które wymawiamy poprostu brzmi tak jak to coś dziwnego, pośredniego piędzy *o, e* i *u* co słychać w angielskiej wymowie tego nazwiska? Jeżeli zamiast *Green* napiszę *Gryn,* czy to *y* oznaczy to samo brzmienie, jakie w angielskien ma *ee?* Nie: nigdy pisownia polska angielskiej wymowy naśladować nie zdoła, choćby dlatego, że nigdy tłómacze nie oznaczą w niej należycie, która samogłoska ma się wymówić krótko a która długo; my zaś widząc nazwisko napisane po naszemu, z czystem sumieniem wymówimy je po naszemu, to jest wszystkie zgłoski krótko, a tylko przedostatnią przeciągniemy. Jak to będziemy podobnem do brzmień angielskich!... O tem już nie mówiąc, że miary przedłużenia, rodzaju ścieśnienia ust, nikt nigdy opisać ani oznaczyć nie potrafi. A te,

to jeszcze dźwięki najprostsze, najłatwiejsze niby do udania polską pisownią. Ale cóż robić z temi, których w naszym języku nie ma wcale? Jeżeli tłómacze i wydawcy chcieli przerabiać te nazwiska na pisownię polską, to przedewszystkiem powinni byli wyrzucić z nich wszystkie *w* i wszystkie *th*, bo one brzmią zupełnie inaczej jak się piszą, i polski czytelnik, który widząc, że dla jego wygody spolszczono te nazwiska, wymówi je po swojem, przekonany w dobrej wierze, że je dobrze wymówił, bo mu je dobrze napisano, wymówi coś dziwacznego, w czem Anglik oryginalnego nazwiska z pewnością nie pozna. I kiedy p. Koźmian w przekładzie *Henryka IV* (tom III), pisze *Wuster* zamiast *Worcester,* wprowadza w błąd czytelnika, bo to skrócenie nie odpowiada dokładnie dobremu sposobowi wymawiania tego nazwiska; a powtóre, chcąc czytelnika zmusić do dobrej wymowy przyzwyczaja do złej, bo zostawia na samym początku to *w,* które brzmi raczej jak złe wymówienie ł *(eu),* albo jak ruskie *u consonans,* ale nigdy jak *w.* I gdyby przynajmniej wiernie i z konsekwencyą trzymali się tej raz przyjętej niby polskiej ortografii! Ale nie. Sam pan Koźmian pisze Worcestra (czy Wustera) przez *W,* ale w innych nazwiskach zastępuje tę literę jakąś inną, która ma lepiej angielskie brzmienie oddawać. Czasem doprowadza to do rezultatów prawie zabawnych. I tak nazwisko *Warwick,* jedno z klasycznych pod względem niewyraźnego brzmienia, w tłómaczeniu przerabia się na *Uorek,* a to, jeżeli je Polak po prostu dobrodusznie wymówi, będzie podobniejszem do *Worka* niż do *Warwicka,* wymówionego tak, jak wymawiają Anglicy, i potrzebowałoby dopiero komentarza uczącego Polaków jak mają to *Uorek* wymawiać. Czy nie byłoby lepiej pozwolić nam wymawiać naiwnie po polsku *Warwik,* lub wreszcie *Uaruik* niż pobudzać nas do mimowolnego śmiechu tem podobieństwem do worka, który koniecznie musi tu przyjść na myśl. *Percy* znowu będzie się pisał po polsku przez *s. Persy:* ale *Northumberland* obok niego zachowuje swoje przyrodzone *th:* prawda, że w innych znowu nazwiskach to *th* oddaje się przez *ts,* które go nie oddaje dokła-

dnie. Jeżeli *Aumerle* pisze się przez *O*, (Omerl), żeby głupi czytelnik czasem nie wymówił osobno *a*, i osobno *u*, to czemuż York nie pisze się przez *J?* Któż ręczy tłómaczom, że nie będziemy ryczeli Y-ork? czemu zmieniając pisownię nazwiska *Mowbray* na *Mowbrey*, nie wyrzucić już tego *w*, które się w wymawianiu opuszcza? Z tych wszystkich trudności, sprzeczności, i nielogiczności, jest tylko jedno wyjście, pisać wszystkie nazwiska tak, jak się piszą po angielsku, a w odsyłaczu objaśnić ile możności jak je wymawiać należy.

„I tym razem już zgoła odżałować nie możemy, że tłómacze i wydawcy nie więcej mieli względu na nasze pokorne przed laty uwagi i prośby. Na tym punkcie, pomimo najlepszej woli i zupełnej, zaręczamy, gotowości do poddania się zdaniu takiej jak pan Koźmian powagi, przecież ustąpić nie możemy. Jeżeli chodzi o to, żeby czytelnik wiedział jak ma angielskie nazwisko wymówić, jest na to sposób bardzo łatwy, dać przy tem nazwisku odsyłacz i u spodu kartki napisać: wymawiaj tak a tak. Nie jest to sposób nowy i nie windykujemy dla siebie chwały tego wynalazku. Praktykuje się to zawsze i wszędzie. Wszak mamy przykład na własnych naszych polskich nazwiskach, które w zagranicznych pismach i książkach zachowują swoją pisownię polską, tylko występują prawie zawsze z takim odsyłaczem. Wszak niedawno jeszcze w pracy pana Klaczki ogłoszonej w *Revue des deux mondes*, imiona polskie piszą się jak po polsku, a odsyłacz uczy czytelników *prononcez Chaynoha, prononcez Guédimine.* Tym sposobem czytelnik wie co ma robić, dzieło nie jest zeszpecone potwornościami, które i dźwięk oryginalny nazwiska nie zawsze dobrze oddają i częstokroć są niezrozumiałe. Niech nam szanowny tłómacz wierzyć raczy, że napotkawszy w jego przekładzie nazwisko „Kale“, z największą niespokojnością zapytywaliśmy siebie sami, gdzie to miejsce znajdować się może, i dopiero tekst angielski objaśnił nam, że to po prostu Calais. Cóż powiedzieć o tych Folkonbryczach (Faulconbridge), o tych Wilt-

szerach (Wiltshire), Wusterach (Worcester), Grynach (Green), które i dźwięk angielski źle naśladują i rażą oko swoją fantastyczną pisownią? Śmiejemy się wszyscy z tego, że w XVIII wieku niektórzy pisywali nazwiska francuskie ortografią polską, razi nas Russo, Boalo, Fonteneblo i tym podobne; dlaczegoż dopuszczamy się sami tego samego okrucieństwa na nazwiskach angielskich? Dlaczegoż mamy pisać Buszy albo Plaszy, albo (o zgrozo!) Szatylion? Czemuż kiedy sam Szekspir pisze to imię ortografią francuską przez *ch*, a nie angielską przez *sh*, tłómacz jego polonizować ma Francuza na Szatyliona? Bo wymaga tego rytm i miara wiersza? Ależ odsyłacze uratują ten rytm i tę miarę od barbarzyńskiego wymawiania. Dla wygody czytelnika nie dość oswojonego z Szekspirem i z angielskim językiem? Ależ i ten czytelnik oświeceńszy jest człowiekiem, a co on cierpi, jak widzi i słyszy tych Wusterów i Folkonbryczów, to przechodzi pojęcie i doprawdy zasługuje na wzgląd i litość. Zresztą czemuż pan Koźmian, jeżeli już jest takim zwolennikiem pisowni polskiej, zastósowanej do imion angielskich, nie trzymał się jej konsekwentnie? czemu wszędzie zostawia owe *w*, które w angielskiem zupełnie inaczej się wymawia? czemu go nie zastąpi jakiem *u* lub *uu*, które oddawałoby jego brzmienie równie źle jak *cz* oddaje *dge*, lub jak oddaje *y* angielskie *ee* i *ea*? Pyta nas pan Koźmian jak piszemy nazwiska *Lyon* i *Lytton*? ale to właśnie dowód za nami. Piszemy je przez *y* własnie dlatego, że zostawiamy im ich rodzimą ortografię, ale wymawiamy je i my i wszyscy w Polsce, jak żeby tam stało *i*, Lion, bo ani my, ani żadne polskie gardło w Koronie i Litwie nie jest w stanie wymówić *y* po *l*, o ile gładko wymówi *Lion*, o tyle *Lyon*, żadnym sposobem wykrztusić nie zdoła. Wszyscy zaś piszemy *Lyon* i *Lytton*, choć tych nazwisk tak nie wymawiamy, właśnie dlatego, że imionom własnym należy się zostawić właściwą ich pisownię.

Nie, ani wzgląd na wiersz i miarę, ani wzgląd na wygodę czytelnika, bo na jedno i drugie odsyłaczami zaradzić łatwo, nie powinny skłaniać pana Koźmiana do używania

tej polskiej ortografii, która dziś razi, a im dalej tem bardziej, tem powszechniej razić będzie. Zarzuci nam kto, że obstając za ortografią angielską, sami bez ceremonii piszemy Szekspir? Odpowiadamy na to, że imiona ustawiecznie używane i wystawione na częste i nieuniknione przypadkowanie, zawsze z konieczności przybierają formy polskie, i stosują się do wygody mówienia i pisania. Piszemy Szekspir a nie Shakspeare, jak piszemy Tacyt nie Tacitus, Paryż a nie Paris. Ale imionom, które bez zmiany dadzą się spadkować, nawet bardziej upowszechnionym, zostawiamy ich oryginalną pisownię. Piszemy naprzykład Schiller, nie Szyller, Göthe nie Gete. Nie jest to nasz wymysł ani kaprys; jest to jak żeby milczący układ, do którego stosuje się cała czytająca publiczność polska. A że Green i Faulconbridge nie mają u nas tego prawa obywatelstwa, jakie ma Szekspir i Tacyt, przeto zachować winien swoją właściwą, oryginalną pisownię."

Niestety jest nowe wydanie, pierwsze i jedyne całkowite, i takie które na długie lata będzie musiało nam wystarczyć, wydanie bardzo staranne bardzo dobrego przekładu, i zeszpecone tą dowolną nieszczęsną ortografią, która ma jedną zasadę i zaletę tę, że nie trzyma się angielskiej pisowni a nie odpowiada angielskiej wymowie.

Na *Henryku IV* czytelnik może porównać właściwe zalety i sposoby wszystkich trzech tłómaczów. W zupełnem wydaniu część pierwsza jest przekładu pana Paszkowskiego, druga pana Ulricha. Świeżo zaś ogłoszony w Poznaniu trzeci tom przekładów pana Koźmiana obejmuje właśnie obie części tego dramatu. Dodawszy do tego dawne tłómaczenie pana *John of Dycalp*, znajdziemy, że Henryk IV, choć przez publiczność i przez krytykę nie najwięcej ceniony i lubiony, nie jest wcale zaniedbanym przez tłómaczów polskich, owszem że poświęcono mu więcej starania i trudu, niż niejednej ze sławniejszych i doskonalszych sztuk Szekspira.

Żadna z pewnością najpiękniejsza i najsławniejsza, nie jest trudniejszą do tłómaczenia. Czytelnik obeznany z współ-

czesną literaturą angielską, niech sobie przypomni jak mu nieraz trudno zrozumieć w powieściach Dickensa naprzykład te rozmowy, żarty i lokucye czysto ludowe, lub czysto miejscowe londyńskie, które on tak lubi. Język poufały a dopieroż język ludowy i miejscowy, od książkowego różni się zawsze bardzo, i dlatego to mówią naprzykład Francuzi, że cudzoziemiec choćby najlepiej umiał po francusku, nie rozumie *le parisien*. Sposoby mówienia utarte, czy w klubach, czy w restauracyach, czy w szkołach, czy w salonach, czy w szynkach, są mu zupełnie obce. Przenieśmy teraz te dowolne lokucye o trzy wieki w tył, w język obcy, i w język już znacznie przestarzały, wyobraźmy sobie, że używa i nadużywa ich autor, który zawsze nad miarę lubi gry wyrazów, kalambury, i wszelkie tego rodzaju koncepta: wyobraźmy sobie, że mamy zrozumieć wszystkie ukryte alluzye i żarty z rozmowy toczącej się w tawernie pomiędzy różnemi brukozbijami londyńskimi, że ci mówią językiem dla siebie zrozumiałym, ale od klasycznej angielszczyzny tak odmiennym, że jedno i to samo słowo ma nie jedno dowolnie sobie nadane znaczenie, i dopiero wystawmy sobie ten język brukowy najeżonym archaizmami, i dwuznacznikami, synonimami, wszystkiem co utrudnia zrozumienie ludzkiej mowy! Oto jest Henryk IV: oto przynajmniej te jego sceny, w których występuje książę Walii otoczony swojem złem towarzystwem. Jak oddać te grubiaństwa, te nieprzyzwoitości nagie, ten *humour* angielski z natury dość dosadny, tu posunięty bardzo daleko przez rodzaj wychowania i życia mówiących, te wybryki dowcipu szynkowego, który choć szynkowy nieraz jest bardzo prawdziwym? Jak je oddać, kiedy one zasadzają się najczęściej na dwuznacznikach, a często na grze wyrazów dziś już zapomnianych i prawie niezrozumiałych? Jak to tłómaczyć? Że przekład zupełnie dokładny jest niepodobieństwem, to pewna: dowodzą tego wszystkie istniejące w Europie, z których najlepsze nawet są tylko przybliżone, grą wyrazów niemieckich lub innych, starają się odtworzyć myśl i koncept podobny do tego, jaki w oryginale mieści się w grze innych niedosłownie przetłómaczonych wy-

razów angielskich. Że praca jest prawie Herkulesowa, że nad każdem takiem miejscem wątpliwem trzeba się mozolić i łamać sobie głowę tak ciężko i tak długo, że w końcu traci się już prawie sąd i zdolność porównania, o tem najlepiej przekona się każdy, kto zechce przejrzeć przypiski do trzeciego tomu przekładów pana Koźmiana, w których tłómacz usprawiedliwia tekst przez siebie przyjęty, a zarazem porównywa go z innemi polskiemi i zagranicznemi, lub podaje inne próby i sposoby oddania w mowie będącego ustępu, które mu się nasuwały, zanim stanowczo wybrał jeden. Są tam między innemi dwa wiersze przetłómaczone na dwanaście różnych sposobów. Ile się trzeba nałamać ze swoją własną myślą, ze składnią, ze stylem, żeby nareszcie rozwiązać to zagadnienie, o którem wie się z góry, że zupełnie dobrze rozwiązanem być nie może? I ile trzeba zamiłowania tak Szekspira jak literatury własnej, żeby tę pracę podjąć i wykonać, i to jeszcze pracę bez sławy i nagrody, pracę nad Henrykiem IV, którego na stu ludzi nawet wykształconych, dobrze jeżeli jeden przeczyta.

Nie przypisujemy sobie prawa sądzenia o tych najsubtelniejszych trudnościach tłómaczenia, wymagających najdokładniejszej znajomości języka i bardzo gruntownych studyów nad Szekspirem: ani też nie uważamy za właściwe i potrzebne w ogólnem sprawozdaniu nudzić czytelnika szczegółowemi kwestyami, i wytaczać przed nim spory o to, czy ten lub ów ustęp wątpliwy nie zbliżyłby się więcej do oryginału, gdyby go w ten lub ów sposób odmienić. Tak obszernie można rozbierać tłómaczenie jednego dramatu, lub wreszcie kilku, ale nie wszystkich. Ogólnie więc tylko powiemy, że podług naszego zdania tłómacze nasi z tej najtrudniejszej, prawdziwie ogniowej, próby wyszli zwycięsko. Mniejsza o to, czy jeden lub drugi szczegół mógł wypaść inaczej lub lepiej: tu chodzi głównie o wrażenie ogólne, o to żeby sceny tawernowe, te rozmowy rzezimieszków, pijaków, nizko upadłych kawalerów, wojskowych drabów, ich kumoszek i przyjaciółek, miały ten sam co w oryginale charakter życia złapanego na uczynku, a oddanego z największym re-

alizmem Teniersowego obrazka tylko naturalnej wielkości, natury ludzkiej przedstawionej w swoich exemplarzach nieestetycznych wcale, grubego żartu, rubasznego śmiechu, kiermaszowego żarłoctwa i pijaństwa i kiermaszowych zalotów, ażeby w tem wszystkiem były dwie rzeczy, życie i humor: czy brutalne życie i gruby humor pachołków i kaprali rozhulanych i rozhukanych, czy przebieglejszy a jakim takim polorem okrzesany spryt Falstaffa, czy wreszcie życie i humor Księcia, młodzieńczy, hulaszczy, burżliwy, trochę dziki, ale w samej rozpuście i ponicwierce odmienny od tamtych, zachowujący piętno szlachetniejszej natury, lepszego wychowania i myślącej głowy.

Otóż zdaje nam się, że polski czytelnik łatwo, wyraźnie i zrozumiale, pozna ten charakter scen i ludzi i ich różnice, w przekładzie każdego z naszych trzech tłómaczów Henryka IV; a jako dowód stawiamy ostatnią scenę drugiego aktu pierwszej części, kiedy Falstaff i książę Henryk po kolei udają króla, jak łaje syna za jego złe sprawowanie, w tłómaczeniu pp. Koźmiana i Paszkowskiego, lub czwartą drugiego aktu części drugiej, w tłómaczeniu pp. Koźmiana i Ulricha. Tylko tu znowu musimy dwom ostatnim wytknąć rzecz na pozór bardzo małą, a przecie szkodliwą. Zawsze te nieszczęśliwe nazwiska! Gospodyni tej karczmy, w której Falstaff króluje, objada się, upija i nie płaci, u pana Paszkowskiego nazywa się jak słusznie, jak u Szekspira, panią *Quickly,* choć niepotrzebnie pisze się polską ortografią, *Kuikli.* Już u pana Koźmiana figuruje przebrana z polska jako *Pani Szparka:* ale pan Ulrich przerobił ją zupełnie na polkę, kiedy ją nazwał *panią Żwawińską!* Oba zapewne poszli za powagą i przykładem Schlegla, u którego ona nosi niemieckie nazwisko *Frau Hurtig.* Przykład to zły w tym razie, i sam Schlegel byłby lepiej zrobił, gdyby był nazwisk nie tykał; ale zważywszy pokrewieństwo języków, nazwisko niemieckie nie jest jeszcze tak bardzo rażącem. Można sobie rozsądnie wyobrazić angielkę, którąby się nazywała mrs. Hurtig. Ale angielka z nazwiskiem polskiem musi, z przeproszeniem tłómaczów, wyglądać nieprawdopodobnie, opacznie

i dziwacznie. Już *Szparka* razi bardzo, ale że w ostatnim razie może ujść za przymiotnik nie za imię własne, więc razi mniej niż ta *Żwawińska,* ta zakończona na specyficzne polskie *ska,* w otoczeniu Falstaffów, Bardolphów i wszystkich innych, i szynkująca im wino na kredyt... w *Eastcheap!* Gospodyni *Żwawińska,* gdyby w Lublinie Gustawowi ze Ślubów Panieńskich robiła honory *Złotej Papugi,* byłaby na swojem miejscu, ale *Żwawińska* przyjmująca księcia Walii w swojej gospodzie gdzieś pod Londynem, to anomalia prawie taka, jak broń palna w starym Rzymie, jak morze w Czechach, jak różne te, które ludzie biorą za złe Szeksprrwi. I cóż jeszcze z tego wynika? Oto, że czytelnik, który w pierwszej części widzi panią *Kuikli,* a w drugiej panią *Żwawińską,* może myśleć w dobrej wierze, że to dwie różne osoby. Należało koniecznie dać jej to lub owo, ale koniecznie w obu częściach to samo nazwisko. Że zaś pan Paszkowski dawno zmarły nie mógł zastósować się do pana Ulricha, więc pan Ulrich powinien był w tym razie zastósować się do pana Paszkowskiego, nawet gdyby tamten był się pomylił w nazwisku; cóż dopiero, kiedy tu miał zupełną i oczywistą słuszność. Wogóle tłómaczenie nazwisk wydaje nam się zbytkiem gorliwości, przeciw któremu protestować musimy jak najusilniej. Jeżeli pani *Quickly* nazywa się panią *Żwawińską,* to dlaczego *Green* naprzykład nie jest *Zielińskim* lub *Zielonką?* dlaczego każde nazwisko, w którem jest jakieś znaczenie, nie jest przetłómaczone na jakieś nazwisko polskie z odpowiedniem znaczeniem? Byłoby może bardzo ładnie, gdyby *Waldstein* naprzykład nazywał się *Laskamieńskim,* albo *Corneille Wrońskim,* albo *Racine Korzeniowskim;* a poszukawszy dobrze w słowniku i rozłożywszy je na dwa wyrazy, dałoby się może przetłómaczyć na polskie i samo nawet nazwisko Szekspira. A jest zaraz i drugi wypadek podobny. W drugiej części dramatu występuje panna Dorota, rodzaj *Dame aux camèlias,* tylko bez kamelii i bez żadnych poetycznych dodatków, w stanie pierwotnym, *the thing itself,* jak mówi Lear o człowieku, patrząc na nędznego Toma. Otóż panna Dorota nazywa się u Szekspira *Tear Sheet* a oba nasi

tłómacze przekładają to nazwisko dosłownie i tytułują ją jeden (p. Koźmian) Dorotą *Drzej-Pościel*, drugi (p. Ulrich) *Drzej-Prześcieradło.* Znowu zapewne za przykładem Schlegla. Ten z nazwiska angielskiego robi niemieckie *Dortchen Lakenreiszer.* Ma to przynajmniej pozór niemieckiego nazwiska. *Drzej* czy *Pościel* czy *Prześcieradło*, nazwiskiem polskiem być nie może, angielskiem także nie, ma zapewne być przydomkiem nadanym Dorocie przez przyjacioł: ależ ani oni zapewne nie przezywali jej po polsku. I czemu, pytamy, nie było jej zostawić jej pięknego miana, z wytłómaczeniem tylko w odsyłaczu, że ono dosłownie ma takie znaczenie? Co do nas, wolelibyśmy, żeby i *Płytek* nosił swoje angielskie nazwisko *Shallow*, i nie mogliśmy nigdy pojąć Niemców, którzy przezywają po swojemu figury Szekspira, jak żeby one były wielkopolskiemi wsiami. Wszakżeż nawet i *Mrs Page* ze swoją wesołą sąsiadką musiały nie wiedzieć dlaczego przyjąć inne nazwiska, i sam *Puck* a to już barbarzyństwo i zuchwałstwo bez granic, przechrzczony jest na jakiegoś *Drolla!* Wyjątek zrobiliśmy jedynie dla elfów ze *Snu Nocy Letniej*, Pajęczynek, Bobików i tym podobnych, bo te nie są anglikami, i w każdym kraju mogą nosić nazwiska, jakie im fantazya mieszkańców w ich języku nadała.

Są to rzeczy niby małe, a szkodliwsze niż się na pozór wydają, są tem czem plamy na białym marmurze, czem skaza na kosztownej porcelanie. Naczynie służy tak samo, materyał, z którego jest zrobione, nie mniej szlachetny; a przecież zawsze coś korci i razi, i oko czułe na harmonię i piękność zawsze się do tej skazy mimowolnie zwraca, żeby się od niej zawsze z przykrem wrażeniem odwrócić. A szkoda tem większa, że te skazy na bardzo szacownej, bardzo drogocennej rzeczy.

Jeżeli karczemne sceny, najtrudniejsze do tłómaczenia choć pisane prozą, udały się w ogóle bardzo dobrze, to sceny poważne i poetyczne nic im nie ustępują. Zawsze wprawdzie powtarzać trzeba, że przekład nie jest oryginałem i wrażenia poetycznego takiego jak tamten robić nie może (z nader rzadkiemi na świecie wyjątkami) — ale w tych przekładach

i Hotspur zachowuje swoją krew gorącą i tę szlachetność, która go robi wzorem rycerza, i król swoją powagę rozumu, doświadczenia i urzędu, i książę Henryk swoją bujną hajdamacką, ale sympatyczną, pełną wdzięku i prawdziwie wyższą naturę. W tekscie pana Paszkowskiego są tylko drobne usterki do wytknięcia. *Wóz zdradziecki* w pierwszej przemowie króla do Baronów

(„ostrze wojenne, jako wóz zdradziecki)
(nie będzie odtąd ranić swego pana“)

jest oczywiście omyłką druku; tłómacz z pewnością nie przetłómaczył *Knife* przez *wóz,* a tylko drukarz źle wyczytał a korektor nie poprawił tego *wozu* na *nóż.* Ale w drugiej scenie, na samym początku, Falstaff pyta księcia Henryka: „która tam godzina na kompasie?“ Dlaczego „na kompasie?“ W oryginale stoi tylko *what time of day is it?* Dodatki takie trafiają się dość często u pana Paszkowskiego, i muszą naturalnie być mu poczytane za błąd. W wierszu, gdzie trzeba łamać się z miarą i rymem, łatwiej tłómaczowi wybaczyć, jeżeli wtrąci jakieś słowo, które myśli nie zmienia a wyprowadza go z kłopotu, ale tu w prozie nie jest to usprawiedliwione nawet potrzebą. W drugiej scenie trzeciego aktu znowu spotykamy *anglo-powstańców* (english rebels), na których także zgodzić się nam trudno. W akcie piątym znowu (scena trzecia) Hotspur w czasie bitwy mówi: „*narodek nasz* dzielnie tam hula“, kiedy w oryginale mówi: *our soldiers stand full fairly for the day.* Po co ten niesmaczny narodek? czemu nie żołnierze? a jeżeli miara wiersza wymagała liczby pojedynczej, to „żołnierz nasz?“ W sławnej scenie trzeciej drugiego aktu, gdzie Hotspur droczy się z żoną, a która to scena w całości przełożona jest bardzo dobrze, jest miejsce jedno istotnie bardzo trudne, wyrażenie obelżywe użyte żartem, z przyjaźni. Lady Percy nazywa męża *mad-headed ape,* małpą z szaloną głową. Pan Paszkowski tłómaczy to „pójdź tu, pójdź, ty sroczko.“ — To źle. Mniejsza o to, że małpa zamieniła się na srokę, ale i *pójdź tu* jest niewłaściwe, bo ona nie woła go wcale, tylko

raczej każe mu dać spokój, nie pleść, mówić do rzeczy, i ta *sroczka*, która zastósowana do dziecka byłaby na swojem miejscu, do dorosłego rycerza a jeszcze takiego jak ten, stósuje się źle. Nie lepiej, wyznać trzeba, wybrnęli z tej trudności i inni tłómacze. Pan Koźmian pisze: „przestań ty głupie, szalone małpiątko.“ Pieszczstliwość i zdrobniałość niepotrzebna: „cicho bądź małpo“ byłoby najbliższem myśli oryginału, a i bez zdrobnienia zrozumiałby każdy, że Lady mówi to żartem i z pieszczotą, że w tej chwili choć może ręką daje mu klapsa, to okiem patrzy na niego bardzo ładnie, figlarnie, i bardzo czule. Ta sama uwaga stósuje się i do przekładu pana John of Dycalp, który pisze: „przestań ty pusta małpeczko.“

Ale z wyjątkiem takich drobnych pomyłek, oba przekłady trzeba słusznie uważać za bardzo dobre: a jeżeli pod względem najściślejszej, niesłychanej wierności, p. Koźmian stanowczo przewyższa swoich towarzyszy, to nie wiemy znowu, czy wiersz pana Paszkowskiego nie jest czasami dźwięczniejszym, czy nie czyta się łatwiej i przyjemniej. Z porównania niektórych wyjątków osądzi czytelnik sam, czy można przyzać pierwszeństwo któremukolwiek z przekładów. Co do nas, trudno byłoby nam bardzo oświadczyć się stanowczo za jednym lub drugim, bo kiedy jeden ustęp wydaje nam się szczęśliwiej oddanym przez jednego z tłómaczów, to inny zaraz przeważy szalę na stronę drugiego. Oto jako przykład z drugiej sceny trzeciego aktu przemowa króla do księcia Henryka, w przekładzie pana Paszkowskiego:

Niech ci Bóg odpuści!
Dziwi mnie jednak, Henryku, że twoje
Popędy biorą kierunek tak bardzo
Przeciwny drodze wszystkich twoich przodków.
Straciłeś miejsce w Radzie, opróżnione
Po tobie krzesło zajął twój brat młodszy;
Stałeś się obcym dla całego dworu,
Dla wszystkich książąt krwi. Oczekiwania,
Nadzieje kraju runęły, i każdy

Proroczą zgubę twoją przepowiada.
Gdybym był sobą tak jak ty szafował,
Tak gminnie oczom świata się nastręczał,
Tak płocho nurzał się w kale towarzystw,
Nie byłby mi był sąd ludzki przyjaźnie
Dopomógł na tron; byłby mnie był owszem
Jako odrzutka nic nie znaczącego
Z lekceważeniem zostawił na stronie.
Rzadko widziany, podziwiany byłem
Za każdem wyjściem na jaw jak kometa: starzy
Mówili dzieciom: *to on;* inni chciwie
Pytali drugich: *gdzie on? gdzie Bolinbrok?*
Wtedy uprzejmość wykradając niebu,
W taką pokorę się przyoblekałem,
Że mimowolnie płynęły mi hołdy
Z wszystkich serc, a z ust wszystkich uwielbienia,
Wobec samego króla. Takto ciągle
Utrzymywałem się na zewnątrz w świeżym
I nowym blasku; wystąpienie moje
Było podobne do galowej sukni,
Która im rzadziej noszona, tem bardziej
Zwraca uwagę; tak samo i przepych,
Który nie często, ale za to hojnie
Okazywałem, miał coś świątecznego,
Dlatego właśnie, że był niepowszedni.
Król lekkomyślnie trzpiotał się i skakał
Z żartownisiami i błaznami swymi;
To wrąc, to chłodnąc za lada przyczyną,
Stracił powagę; otoczył majestat
Stekiem różnego rodzaju kuglarzy,
Wielkie swe imię oddał im na pośmiech,
A swą osobę, w kontr jej namaszczeniu,
Wystawił na cel szyderstw z głupia frantów.
I lada jakich chłystków. Pędził życie
Pośród ulicznej zgrai; w gmin się wcielił,
Tak, że każdego oczy przesycone
Miodu widokiem chłeptanego codzień,

Poczuły wkrótce ckliwość od słodyczy,
Której cokolwiek więcej niż cokolwiek
Jest już o wiele więcej niż za wiele.
Kiedyż mu trzeba było być widzianym,
Nikt nań nie patrzał, słuchano go tylko,
Tak jak się słucha kukania kukawki;
A jeśli ten lub ów rzucił nań okiem,
To takiem, jakiem się patrzy naprzykład
Na swe domowe rupiecie; nie takiem,
Jakiem się wielbi wspaniały blask słońca,
Kiedy się raczy wynurzyć z za chmury;
Drzemano raczej, spuszczano powieki,
W nos mu ziewano; słowem każdy z widzów
Wyglądał jak ów tetryk wobec kogoś,
Kogo nie lubi, a czyim widokiem
Do zbytku został już utraktowany.
Na takiem samem stanowisku stoisz
I ty, Henryku, boś niegodnem swojem
Postępowaniem sprofanował święty
Przywilej rodu; spospolitowanym
Twoim widokiem gardzi każde oko,
Wyjąwszy moje, które cię pragnęło
Częściej widywać, które wbrew mej woli
Głupią się teraz wilgoci czułością.

Teraz dla porównania ustęp ten sam z przekładu pana Koźmiana:

Przebacz ci, Boże! A przecież, Henryku,
Dziw mi pochopów twoich, co swem skrzydlem
Od lotu wszystkich twych przodków zbaczają.
Miejsce twe w Radzie krnąbrnie utraciłeś,
Które po tobie zajął brat twój młodszy,
Stałeś się prawie obcym dla serc wszystkich
Całego dworu i książąt krwi mojej.
Runęły piękne nadzieje i wróżby
O twej przyszłości, i każdy człek w duszy

Proroczo o twym przemyśla upadku.
Gdybym by sobą tak jak ty szafował,
Tak spowszedniałym stał się w oczach ludzi,
Zużytym, tanim dla gminnych towarzystw, —
To głos publiczny, co mi dał koronę,
Byłby pozostał wiernym dawnej władzy,
A mnie porzucił w niesławnem wygnaniu,
Jako człowieka bez czci i widoków.
Rzadko widziany, ledwiem się gdzie ruszył,
Wszędzie sprawiałem podziw jak kometa.
Oto on! — ludzie mówili swym dzieciom,
A inni: Gdzie on? Który to Bolinbrok?
Wtedy ujmując niebu wszystkie hołdy,
Taką pokorę przywdziewałem na się,
Żem ślub wierności z ludzkich serc zdobywał,
A z ust witania i głośne okrzyki,
Nawet przy królu, co nosił koronę.
Tak ma osoba, zawsze świeża, nowa,
A ma obecność, jak kapa biskupia,
Wzbudzała podziw ilekroć ujrzana,
I tak mój występ, nie częsty lecz pyszny,
Zdawał się ucztą, a przez rzadkość świętem.
Jak trzpiot tymczasem król wiercił się wszędzie.
W tłumie czczych śmieszków, rączych dowcipnisiów,
Co jak chrust buchną ogniem i wnet spłoną,
Ćmił godność, szarzał majestat wśród błaznów,
Wielkie swe imię w pogwizd im podawał,
Sam przeciw niemu podszczał, z szyderczych
Śmiejąc się chłopców, znosząc drwin pociski
W ciżbie od lada młokosa bez brody;
Stał się najlichszych ulic uczestnikiem,
Lennikiem gminu, by wziętość pozyskać,
Lecz gmin codziennie pasąc nim swe oczy,
Tak się przesycił tym miodem, że mu zmierzł
Sam smak słodyczy, w czem się trochę więcej,
Niż trochę, staje o wiele za wiele;
Każdym więc razem, kiedy się pokazał,

Był jak kukułka w czerwcu, którą wszyscy
Słyszą nie patrząc, widzą, lecz tym okiem,
Co przesycone, stępione zwykłością,
Wzrok nadzwyczajny przestało wytężać,
Jaki z podziwem spoziera w podobien
Słońcu majestat, który rzadko błyska;
Raczej drzemali, spuszczali powieki,
W twarz mu ziewali, przybierając postać
Pochmurnych ludzi względem przeciwnika,
Bo już go mieli do syta, po uszy.
Stoisz, Henryku, na tym samym torze.
Boś twój książęcy przywilej utracił,
Wiążąc się z gminem. Twym częstym widokiem
Znużyłeś oczy, wszystkie, oprócz moich,
Które się teraz na przekor mej woli,
Głupiej czułości łzami oślepiają.

Panu Ulrychowi i jego przekładowi drugiej części Henryka IV, znowu (z wyjątkiem nieszczęsej pani Żwawińskiej) mamy drobne tylko uwagi do zrobienia. I tak naprzykład Coleville mianuje się Falstaffowi jako szlachcic z Podola. Szkoda, że nie oznaczy odrazu i województwa i powiatu, z którego pochodzi. W oryginale Coleville mówi, że jest *of the dale*, co pan Kożmian tłómaczy przez *Padół*, lepszy niewątpliwie od Podola, które jest przecież imieniem własnem i tak polskiem, że w Anglii razić musi. Ale żeby dać czytelnikowi miarę, jak udatnem, i to w scenach najważniejszych, jest tłómaczenie pana Ulricha, zrobimy jak powyżej, przytoczymy w tekscie jego i pana Kożmiana, wyjątek z najpiękniejszej sceny tej części, z tej, kiedy książę Walii po wzięciu korony od łoża ojca, którego ma za umarłego, powraca do jego komnaty, a król przyjmuje go gorżkiemi wyrzutami, które po wyjaśnieniu niewinności syna kończą się ostatnią nauką i błogosławieństwem ojcowskiem.

Pan Ulrich:

Zbliż się Henryku, usiądź przy mem łożu,
I słuchaj rady, jak myślę, ostatniej,
Którą z ust moich będziesz mógł usłyszeć.
Niebo wie, synu, jakiemi ścieżkami,
Jak krętą drogą dobiegłem nakoniec
Do tej korony; a ja sam wiem dobrze,
Ilem trosk podjął, aby ją zachować.
Spokojniej teraz na twą spadnie głowę,
Bezpieczniej, z lepszem świata poważaniem,
Bo wszystko błoto grzesznego nabytku
Zapadnie w ziemię razem z mojem ciałem.
Na skroni mojej błyszczała jak znamię
Wydarte gwałtem buntowniczej dłoni;
Z moich spółczesnych nie jeden dworzanin
Mógł mi wyrzucić, że mi do niej pomógł;
Ztąd ciągłe spiski i krwawe rozterki
Zakłócające zwodniczą spokojność.
Śród niebezpieczeństw przytłumiłem bunty;
Me panowanie było tylko sceną
Ciągłych jednego przemian widowiska.
Dziś, z moją śmiercią, wszystko się przemieni.
Co we mnie było wątpliwym nabytkiem,
Schodzi na ciebie sprawiedliwszą drogą:
Włożysz na głowę dziedziczną koronę.
Lecz choć na tronie odemnie pewniejszy,
Chwiejesz się jeszcze, bo świeże są żale.
Mym przyjaciołom, których ci zostawiam,
Niedawnom wyrwał zęby i pazury.
Na tron wniesiony groźną ich pomocą,
Spaść z niego mogłem potęgi ich dziełem;
Dla mej obrony, musiałem zgnieść jednych,
A drugich chciałem wieść do Ziemi Świętej,
By długi pokój myśli im nie poddał
Zbyt ściśle władzy mej podstawy badać.
I ty Henryku, w sąsiedzkich rozterkach

Szukaj rozrywek dla burżliwych myśli;
Wojenna praca na dalekich brzegach
Wszystkie pamiątki dni minionych zatrze.
Chciałbym ci więcej mówić, lecz pierś słabnie
I na mych ustach konają mi słowa.
Com grzesznie zyskał, niech mi Bóg przebaczy,
Tobie w pokoju niech zachować raczy!

Pan Koźmian:

Pójdź tu, Henryku, usiądź przy mem łożu,
I rad posłuchaj, jak myślę, ostatnich,
Co z ust mych wyjdą. Niebo wie, mój synu,
Jakich jam ścieżek i krętych dróg szlakiem
Doszedł korony; a ja sam wiem dobrze,
Ilu trosk cierniem dręczyła mi głowę.
Na ciebie ona spadnie już spokojniej,
Z lepszym szacunkiem, z lepszem utwierdzeniem,
Bo brud wszelaki niecnego nabytku
Zejdzie w grób ze mną. Na mnie się zdawała
Zaszczytem ręką burżliwą wydartym,
I żyło wielu, co mi wyrzucali,
Że mi pomogli posiąść ten nabytek;
Zkąd rósł spór codzień i krwi rozlew, raniąc
Pozorny pokój. Jak czoło stawiałem
Wszystkim tym strasznym grożbom, sam widziałeś.
Rządy me były wciąż przemienną sceną,
Lecz jednej treści; — a teraz śmierć moja
Zmienia gry wątek, bo com gwałtem zdobył,
Ty sprawiedliwszą już nabywasz dogą,
Skoro ten wieniec posiąść masz dziedzictwem.
Przecież, choć staniesz warowniej, nie będziesz
Jeszcze dość silnym, gdy świeże są gniewy.
Wrogom mym, których przyjażń zyskać musisz,
Tylko co żądła i zęby odjęto.
Chytrem ich wsparciem na tron wyniesiony,
Mogłem się lękać, że mię ich potęga
Znowu zeń strąci. By temu zapobiedz,

Zgniotłem niektórych; — innych zamierzyłem
Teraz do Ziemi Świętej poprowadzić,
By brak zajęcia nie dał im zbyt blisko
Wglądać w me rządy. Więc i ty, Henryku,
Winieneś duchy burżliwe zatrudniać
W sporach z sąsiady, by ztąd przeniesiona
Wojna zatarła pamiątkę dni przeszłych.
Chciałbym rzec więcej, lecz mi płuc nie staje
Tak, iż mi siła mowy wręcz odjęta.
Przebacz mi, Boże, zdobycz tej korony,
A daj z nią tobie pokój utrwalony.

Jakkolwiek ustęp ten brzmi wymowniej w tym ostatnim tekscie, to jednak i w wersyi poprzedniej jest tyle powagi i siły, że jej oddać należy wszelką pochwałę.

A ma pan Ulrich tę zasługę ogromną, że podejmuje pracę najniewdzięczniejszą właśnie, tłómaczy to co najmniej dla czytelnika (i naturalnie dla tłómacza tak samo) powabne, a co przecież do całkowitego przekładu koniecznie potrzebne. *Henryk V* naprzykład, ma dla Anglików zapewne wielki powab narodowej chwały, głaszcze ich uczucie patryotyczne; ale dla cudzoziemców, jest tam zawsze niesłychanego uroku postać króla żołnierza, jest wdzięczna królewna Katarzyna i ładna scena zalotów, w której miłość obustronna rozumie się tak dobrze, choć każda strona mówi językiem drugiej nieznanym, lecz dramatu nie ma: niema nawet takich ustępów pięknych, jakie są w Henryku IV i w dalszych zwłaszcza częściach Henryka VI. Tę więc sztukę, dość, przyznać trzeba, do tłómaczenia niewdzięczną: przełożył pan Ulrich, a poświęcenie zostało nagrodzonem, bo przekład udał się doskonale. W ostatniej scenie aktu pierwszego, kiedy grozi Francyi i wypowiada jej wojnę, król ma tyle energii, popędu i ognia, w drugiej scenie aktu piątego, kiedy łamanym językiem a wymownem spojrzeniem podbija serce pięknej Katarzyny, mają oboje tyle życia, prostoty i wdzięku, że przekład czyta się z wielkiem zajęciem i z najszczerszą dla tłómacza wdzięcznością. Jedna jest kwestya wątpliwa,

co do której nie możemy zdobyć się na stanowcze zdanie. W dramacie występuje trzech oficerów mówiących różnemi akcentami, jeden z irlandzka, drugi ze szkocka, trzeci z walijska. Dla publiczności angielskiej (zwłaszcza mniej wykształconej i wykwintnej) może to zabawne, ale dla tłómaczów trudność wielka. Co począć z temi dyalektami i akcentami? Opuścić je zupełnie, nie oznaczyć ich, kiedy są oznaczone w oryginale, źle, bo niedokładnie. Oznaczyć je zaś? Jak? przez co? Pan Ulrich poradził sobie w ten sposób, że akcenty angielskie zastąpił polskiemi. W przekładzie jego Walijczyk ma wymowę niemiecką, Szkot zacina z mazowiecka, a Irlandczyk ma jakąś wymowę pruską czy kaszubską, nie wiemy, i nie wymawia *s* czyli mówiąc po prostu *szadzi*. Czy tłómacz zrobił źle, czy dobrze? rozstrzygać nie śmiemy. Gdybyśmy mieli sami Henryka V tłómaczyć, zapewne wolelibyśmy pisać wszystko zwyczajną dobrą pisownią i polszczyzną, jak w usta tych anglików kłaść złą wymowę polską: ale za sposobem wybranym przez pana Ulricha przemawiają także względy tak ważne, że sprzeciwiać się nie śmiemy. To zaś każdy przyznać musi, że jeżeli ta różnica wymawiania zachowaną i uwidocznioną być miała, to w polskiem tłómaczeniu mogła nią być tylko za pomocą różnych akcentów polskich.

I pierwszą część Henryka VI, tę przez krytyków najbardziej wzgardzoną, także wziął na siebie pan Ulrich, i znowu zdaniem naszem bardzo ją dobrze przełożył. Nie rozumiemy tylko, co znaczy w czwartej scenie aktu drugiego, w przemowie Warwicka, kiedy mu Lordowie każą spór swój rozsądzać — (w przemowie zresztą bardzo pięknie oddanej) — co znaczy to wyrażenie, „który z ogarów dwóch lepiej *cukruje*.“ Czy to jaka tajemnica terminologii myśliwskiej? Jeżeli tak, to zawsze lepiej było położyć na tem miejscu jakie słowo przystępne dla ogółu czytelników, zwłaszcza, że ta zmiana była bardzo łatwą, bo w wierszu nierymowym każde słowo byle trzechzgłoskowe byłoby uszło. Ale w zamian za takie małe usterki są piękności takie, jak naprzykład świetnie przetłómaczona wspaniała rozmowa dwóch Talbotów,

ojca i syna, kiedy stary prawie konający nakłania młodego do ucieczki, a młody bohater nie chce zejść z pola.

Jakże się czujesz, synu mój kochany?
Czy twych sił twoje nie zmniejszyły rany?
Czy chcesz uciekać, gdy już w tej potrzebie
Sam na rycerza pasowałeś siebie?
Uciekaj! Będziesz mścicielem rodzica:
Jedna mniej więcej nie zbawi prawica,
A zbytku tylko szaleństwa dowodzi
Dwa życia nasze jednej zwierzać łodzi;
Jeśli francuski miecz dziś mnie oszczędzi,
To jutro starość do grobu mnie wpędzi.
Co zyska Francuz, jeśli dzisiaj legnę?
Dniem tylko wprzódy do mety dobiegnę.
Z tobą twa matka, imię nasze kona,
Przyszły mój mściciel i Anglii obrona.
Zostań, a krwawy Anglii los gotujesz;
Ratuj się, jeszcze wszystko uratujesz.

J a n.

Miecz Orleana drasnął tylko ciało,
Twe słowo duszę zakrwawia mi całą.
Nie takim kosztem zysk taki zapłacę:
Za chwilę życia honoru nie stracę:
Nim Talbot młody rodzica odbiegnie,
Niechaj tchórzliwy koń mój wprzódy legnie,
Niech wprzód jak nędzarz zrodzony pod płotem
Będę pogardy i śmiechu przedmiotem.
Cofając kroku, przed światem ogłoszę,
Żem nie twym synem, choć twe imię noszę:
Lecz jeśli w żyłach mych krew twoja płynie:
U stóp Talbota syn Talbota zginie.

T a l b o t.

Idźmy więc razem, młody mój Ikarze,
Na śmierć rycerską, kiedy honor każe,
Lub sobie drogę wyrąbiem żelazem,
Lub z dumą chwały polegniemy razem.

Zdaje się, jak żeby w miarę jak się zbliżał do epoki wojen domowych, przybywało poecie natchnienia, a sztukom jego tragicznego pierwiastku i charakteru. Sztuki same będą bardzo niedoskonałe, tak, że krytyka czasem wątpi, czy je ma Szekspirowi przypisać: ale w wypadkach samych są sytuacye takie, że przy słabszem nawet obrobieniu robią wielkie wrażenie, przejmują współczuciem lub grozą. W całym naprzykład nieładzie i niewykończeniu drugiej części Henryka VI — (zawsze jeszcze przekład pana Ulricha) — co za potężne i ciężarne straszną przyszłością chwile i obrazy, w rządach słabego króla, któremu ziemia i władza z rąk wypada; w nieszczęsnych i nieroztropnych rządach, w niegodziwych związkach, a w osobach przecież dziwnym urokiem podbijających królowej Małgorzaty i Suffolka: w wygnaniu księżnej Gloster, w spisku na jej męża i w jego śmierci, w wygnaniu Soffolka i w namiętnej rozpaczy królowej, wreszcie w głębokich planach księcia York, który liczy, że on zbierze plon tych wszystkich słabości, błędów i nierządów. Czarne to wszystko, ponure, aie dziwnie energiczne. A tłómacz szczęśliwie skopiował ten pochmurny, złowrogi a jaskrawy koloryt. Czasem trafi się prawda coś nieprzyjemnego, naprzykład napisze tłómacz *hydny* zamiast ohydny, albo *uń* zamiast u niego: a wszystko co się robi wyraźnie i widocznie dla miary i wiersza musi zawsze źle wyglądać, cóż dopiero dowolne zmiany w wyrazach! Ale żałując tego tem bardziej, że tak łatwo można było zastąpić te skrócenia czem innem, trzeba zaraz wyznać głośno i z prawdziwą pociechą, że są miejsca prawdziwie piękne w przekładzie tego dramatu, że naprzykład druga scena aktu trzeciego, w której Małgorzata udaje skrzywdzoną i upokorzoną, żeby króla doprowadzić do swego celu, albo żal króla po śmierci Glostera, albo pożegnanie królowej z Suffolkiem, mają wiele siły, wiele uczucia i zupełnie piękną formę.

O trzeciej części Henryka VI mówią, że grzeszy nadmiarem okropności. Zapewne. Ale mało gdzie może znajdą się sytuacye tak potężnie nakreślone, tak patetyczne, i takiego dramatycznego effektu. Co za przepych naprzykład

zaraz ta druga scena pierwszego aktu, w której król wahający, zatrwożony w sumieniu, mięknie i z pominięciem własnego syna przybiera księcia York za następcę. Co za wspaniały kontrast tego niewinnego gołębia między tymi krwawymi wilkami i tygrysami, Cliffordem, Warwickiem, księciem York, a zwłaszcza jego synem: tego łagodnego baranka obok tej królewskiej lwiey, tego świętego wśród tych srogich rozbójników i zbrodniarzy. Morderstwo małego Rutlanda, wściekłe urągania się Małgorzaty nad jeńcem i ojcem kiedy na głowę kładzie mu papierową koronę a w oczy rzuca chustkę zbroczoną w krwi syna, zabójstwo księcia York i głowa jego zatknięta na murach miasta, wszystko to prawda, zbyt jest okropne, żeby piękną patetycznością być mogło. Ale co to za siła w tej wściekłości namiętnej kobiety, co za wybuch łez i żółci w słowach, któremi ją York przeklina. Co za przepyszny epizod, ten wśród bitwy monolog króla żałującego, że nie jest pasterzem, kiedy w tej samej chwili jeden żołnierz w zabitym przez siebie nieprzyjacielu poznaje własnego syna a drugi własnego ojca. Jak wyraźnie i jak po mistrzowsku rysują się charaktery przyszłych aktorów Ryszarda III, a zwłaszcza młodego Glostera samego Co za straszliwy effekt tej sceny, kiedy przyszedłszy zabić uwięzionego Henryka, opowiada mu jeszcze przedtem, że zabił jego syna! Ten nadmiar, ta otchłań krwawych okropności powinnaby być nie do zniesienia dla zmysłu estetycznego, i dla zmysłu moralnego. A przecież jest tam tyle prawdy, tyle potęgi, czasem tyle rzewności i łez, że podziwiając co to piękne, zapomina się prawie o tem co zbyteczne. Wielka to dla pana Ulricha chwała, że w tłómaczeniu swojem umiał oddać tę energię dziką, tę barbarzyńską siłę, tę wściekłość i rozpasanie mordu, a nigdzie nie przesadzić, ani też nie być za słabym. Żeby zasługę jego czytelnikowi dać poznać jak należy, wypadłoby przytoczyć tu wyjątków kilka, po jednym z każdego rodzaju sytuacyi i patetyczności. Ale przemowy tej tragedyi są tak długie, że liczne cytacye zaprowadziłyby nas daleko. Wybieramy zatem dwie, z żalem że nie więcej, i z zaręczeniem, że są one tylko

z najlepszych, ale nie najlepszemi ustępami przekładu. Oto z czwartej sceny aktu pierwszego okrutne znęcanie się Małgorzaty nad wziętym w niewolę księciem Yorku:

Więc to ty królem Anglii chciałeś zostać?
Ty w parlamencie naszym pankowałeś,
Każąc o rodu twojego wielkości?
Gdzie banda synów twoich, by cię poprzeć?
Rozpustny Edward i pękaty Jerzy?
Gdzie ten waleczny, ten garbaty cudak,
Twój Dik, co niegdyś ofukliwym głosem
Swojego tatę do buntów podszczuwał?
Gdzie jest nakoniec pieszczoszek twój Rutland?
Patrz, moją chustkę we krwi umoczyłam,
Którą waleczny Klifford miecza ostrzem
Wytoczył z piersi twojego wyrostka.
Jeśli nad jego śmiercią możesz płakać,
Weż ją, by z twarzy łzy ciekące otrzeć!
Gdyby mniej silną ma była nienawiść,
Mogłabym nad twym stanem ubolewać.
Płacz, płacz, płacz Yorku, by mnie rozweselić.
Czy ogień serca tak ci mózg wysuszył,
Że i łzy nie masz dla twego Rutlanda?
Zkąd ta cierpliwość? Powinienbyś szaleć,
Boć ja tak z ciebie szydzę, byś oszalał.
Klnij-że, tup, pień się, żebym mogła tańczyć.
Widzę, że nie chcesz bawić mnie bezpłatnie:
On ust otworzyć nie chce bez korony.
Na skronie Yorka włóżmy więc koronę,
A wy, panowie, czołem przed nim bijcie.
Przy koronacyi trzymajcie mu ręce.

(Wkłada mu na głowę papierową koronę).

Teraz prawdziwie królewską ma minę!
To ten, co zasiadł na tronie Henryka,
Ten, co był jego przybranym dziedzicem.
Czemu przed czasem wielki Plantagenet,

Mimo przysięgi, ubrał się koronę?
Ile pamiętam, królem miałeś zostać
Dopiero, kiedy Henryk zamknie oczy;
Czemu odziałeś skroń chwałą Henryka,
Okradłeś czoło jego z dyademu,
Za jego życia, mimo świętych przysiąg?
O, to grzech wielki, grzech nieprzebaczony!
Precz z tą koroną, precz i z głową razem!
Nim tchnę raz, niechaj padnie pod żelazem.

A teraz król użalający się nad sobą wśród bitwy:

Bodaj mi zesłał śmierć Bóg wszechmogący!
Bo cóż mi dała ziemia prócz boleści?
Jakby szczęśliwe zdało mi się życie,
Gdybym się biednym urodził pasterzem!
Siedząc śród trawy na wzgórzu, jak teraz,
Kreśliłbym skrzętną ręką cyferblaty
By na nich liczyć ciekące minuty;
Ile ich trzeba, by złożyć godzinę;
Ile znów godzin jednę kończy dobę;
Po ilu dobach jeden rok ubiega;
Ile lat może śmiertelny człek przeżyć.
Obrachowany potem czasbym dzielił:
Pilnować trzodę tyle muszę godzin;
Tyle mi godzin na spoczynek trzeba;
Tyle poświęcam godzin rozmyślaniu,
A tyle godzin należy zabawie;
Tyle dni kotne są moje maciory,
Płód mi po tylu wydadzą tygodniach;
Po tylu latach będę mógł strzydz runo:
A tak minuty, godziny, dnie, lata,
Na wyznaczonej spędzone robocie
Do grobu siwą zaprowadzą głowę.
O, jak rozkoszne, o jak błogie życie!
Czy cień nie milszy cierniowego krzaka
Śpiącemu przy swej trzodzie pasterzowi

Nad haftowane złotem baldachiny
Królom, o zdrajców sztylecie marzącym?
O, milszy stokroć, tysiąc razy milszy!
W ubogiej chatce pasterza serwatka,
I napój zimny w skórzanej butelce,
Sen w cieniu drzewa na świeżej murawie,
Wszystko w bezpiecznym użyte pokoju,
Ah! jakże królów prześciga łakocie,
Mięsa błyszczące na złotych półmiskach,
Sen na łożnicach snycerskiej roboty,
Pod strażą troski, zdrad i podejrzenia!

A teraz ten, który zaćmił wszystkie dramata historyczne i stanął między największemi z dramatów Szekspira, ten, któremu każdy wyznaczy miejsce blizko Macbetha i Leara, ten w złem najpotężniejszy z ludzkich postaci poezyi a blizki najstraszniejszych szatanów, jakich fantazya ludzka kiedykolwiek poczęła, *Ryszard III*.

Tłómaczył go pan Paszkowski. Kto zna oryginał i wie jaka tam jest siła w przekleństwach Małgorzaty lub starej księżnej York, jakie rozdzierające tony boleści, jakie subtelne odcienia ironii, hypokryzyi lub cynizmu w słowach Glostera, ten musi zgodzić się na to, że do zupełnie dobrego przekładu Ryszarda potrzeba poprostu poetycznego natchnienia i poetycznego stylu. Przekład Schlegla pomimo wszystkich swoich zalet pozostaje zawsze o cały ton niżej od oryginału. Nie mamy też prawa ani się dziwić, ani zarzucać naszemu tłómaczowi, że nie zrobił tego co dla poety tylko było możliwem: owszem winniśmy mu uznanie i wdzięczność, że zrobił wszystko, co zrobić mógł tłómacz. Ryszard przełożony jest nie tylko dobrze i wiernie, ale, choć nie może zrobić takiego wrażenia, jakie robi oryginał, robi przecież w wielu miejscach nawet poetyczne wrażenie. Ale zanim przyjdziemy do wyliczenia jego świetniejszych ustępów, musimy przedtem wskazać niektóre pomyłki, które tłómacz, choćby sam nie był poetą, wiernością i staraniem swojem mógł był usunąć. I tak np., w pierwszym monologu, w tej wielkiej naiwności Szekspira,

jakiej Dumas stary ani młody nigdy nie byłby popełnił, kiedy Gloster odsłania się naprzód przed publicznością i zapowiada, że będzie żył jak ostatni łotr, tłómacz pisze:

„nie mogąc przeto zostać adonisem
by godnie spędzić ten ciąg dni różanych,
postanowiłem zostać infamisem.“

Trudno zaprzeczyć, że i rym tak łatwy, że aż nieprzyjemny, i że przez tego adonisa obniża się i powszednieje ton całego tego ustępu. A widząc, że obu, adonisa i infamisa, zawdzięczamy jedynie rymowemu wierszowi, musimy z żalem pytać: dlaczego autor chciał rymów tam, gdzie ich w oryginale niema? Zgodzilibyśmy się już na to, że „psy ujadają, gdy *sztykutając* mimo nich przechodzę“, ale nie możemy zgodzić się na to, że Ryszard bez ceremonii sobie *bonuje*, albo że mówi coś *seryo*, albo *pedantycznie:* wszystko to jest i nie polskie, i za nowe, i zwłaszcza zbyt poufałe, prozaiczne, potoczne, i brzmi bardzo źle w stylu takim, jakiego tu potrzeba. I *extra-poczta* choć wyznajemy, że do oryginału bardzo zbliżona, jest może zbyt nowoczesną i wyglądałaby lepiej jako sama po prostu poczta. A jakkolwiek myśl oryginału oddana jest doskonale w słowach:

„odkąd lada Maciek patentowanym szlachcicem się staje
odtąd nie jeden szlachcic stał się Maćkiem“

jakkolwiek ten Maciek znaczeniem swojem odpowiada zupełnie temu, co Szekspir wyraża przez *Jack*, to przecież *Maciek* wygląda tu zdaniem naszem zanadto po polsku, wolelibyśmy coś ogólniejszego, *chłopa* naprzykład, albo *chama*. Szujski zręcznie postąpił, kiedy na tem miejscu położył staroświeckiego, ogólnego, i pogardliwego *ciurę*.

Ale błędów takich jest naprawdę mało, a jedyny zarzut ważny, jaki tłómaczeniu temu zrobić można, jest tylko ten zniżony ton. Ten zarzut zaś tak powszechnie i tak koniecznie spadać musi na wszystkie tłómaczenia (z nader małemi wy-

jątkami), tak leży w naturze rzeczy, że nie wiedzieć nawet czy ma prawo być zarzutem. Zresztą, oryginału nie dochodząc, przekład ma i wiele energii i piękną wykończoną formę. Ciekawe jest pod tym względem porównanie między Ryszardem Paszkowskiego, a Ryszardem Szujskiego a choć nieszczęściem tylko na pierwszym akcie da się ono zrobić [1]), akt ten obfity w najtragiczniejsze sceny i ustępy najbardziej patetyczne, lepiej może od wszystkich następnych pozwala sądzić o uzdolnieniu tłómaczów i piękności ich tłómaczeń.

Otóż, zdaje nam się, że Paszkowski trzyma się oryginału ściślej niż Szujski. Ten tłómaczył wierszem rymowym, a to samo zmuszało go już koniecznie do drobnych niedokładności, których łatwo unika tłómacz nie potrzebujący wiązać się tem pętem rymu, które najczęściej jest wielką ozdobą polskiego wiersza, ale pętem zawsze do pewnego stopnia być musi, nawet dla najwprawniejszych i najbieglej władających językiem. Powtóre, czy nieuwaga, czy może niedokładna jeszcze podówczas, w pierwszej młodości, znajomość angielskiego języka, trafiają się czasem u Szujskiego błędy wynikające ze złego zrozumiania oryginału. I tak naprzykład w tzeciej scenie, kiedy Gloster kłócąc się z królową i jej krewnymi, mówi, że królowa wiele może, a zapytany przez Riversa „co może“, daje obelżywą odpowiedź, to odpowiedź ta w przekładzie Szujskiego brzmi energicznie wprawdzie, ale i obelżywiej nierównie niż w oryginale, i co do myśli inaczej.

„może się zaślubić
dziś z królem, jutro bakałarza lubić,
pojutrze z paziem żenić się na dworze,
że coś gorszego jeszcze nie dołożę.

W oryginale tymczasem stoi tylko:

»marry with a king
a bachelor, a handsome stripling too« —

---

[1]) W roku 1877 ogłoszony był tylko pierwszy akt Ryszarda III w przekładzie Szujskiego.

a *bachelor* i *stripling* odnoszą się zawsze do króla, nikogo innego nie oznaczając. Pan Paszkowski przełożył to wierniej

„może pójść za jakiego króla
gładkiego chłopca.

Tylko znowu zepsuł to miejsce dodanym przez siebie polskim kalamburem — (przepraszamy za to okropne słowo). — W oryginale Rivers i Gloster powtarzają tu kilka razy słówko *marry,* które nic nie znaczy tylko się wtrąca jak żeby wykrzyknik, a służy do wywołania gry wyrazów w złośliwej odpowiedzi Ryszarda. *What marry? she may marry with a king.* — Tę grę słów angielskich tłómacz zastępuje polską: Owo nieznaczące słówko *marry,* oddaje przez *ba!* i mówi:

Rivers. Ba! Ba! Cóż może? co?
Gloster. Co baba może?
Może pójść jeszcze za jakiego króla... i t. d.

Nie przeczymy, żo to jest dość zręczne i naturalne, ale wolelibyśmy, żeby tu tego polskiego „kalamburu“ nie było.

Wracając przecież do naszego założenia, powiemy, że oba tłómacze mają wady i przymioty tego rodzaju tłómaczenia, jaki obrali. Paszkowski ściślejszy i wierniejszy musi dla wierności poświęcić czasem dźwięczność wiersza, lub samą nawet piękność polskiego stylu: Szujski, który choć wierny, daje sobie więcej licencyi i o piękność polskiego tekstu dba głównie, robi też silniejsze poetyczniejsze wrażenie swoim wierszem i stylem. Weźmy za dowód naprzykład sen księcia Clarence. — W tłómaczeniu Paszkowskiego brzmi on jak następuje:

Zdawało mi się, żem się ztąd wyłamał
I na okręcie płynął do Burgundyi:
Będący ze mną tamże brat mój, Gloster,
Z wnętrza kajuty wywiódł mnie na pokład;
Spoglądaliśmy z tamtąd w stronę Anglii,
Mówiąc o smutnych kolejach tych wojen,

Między domami Yorków i Lankastrów,
Któreśmy przeszli. Gdyśmy tak chodzili
Po kołyszących się deskach pokładu,
Zdawało mi się, że się Gloster potknął,
I upadając, mnie, com go chciał wstrzymać,
Zrzucił przez burtę w odmęt morskich wałów.
O, jakąż męką zdało mi się tonąć!
Jak przeraźliwy szum wody miałem w uszach!
Jak szpetny widok śmierci przed oczyma!
Zdawało mi się, jakobym był świadkiem
Tysiąca rozbić, jakobym tysiące
Widział ciał ludzkich, które ryby jadły;
Kotwice, bryły złota, stosy pereł,
Drogie kamienie, kosztowne klejnoty,
Porozrzucane zewsząd na dnie morza:
Niektóre tkwiły w czaszkach; w wydrążeniach,
Gdzie niegdyś oczy mieszkały, widziałem
Jakby na pośmiech błyszczące brylanty,
Co się wdzięczyły do podwodnych szlamów,
I natrząsały z kości w krąg rozpierzchłych.

Brakenbury.

Jakżeś mógł, mości książę, w chwili śmierci
Te tajemnice otchłani uważać?

Klarens.

Nie wiem, jak się to działo, ale mogłem.
Nierazem ducha oddać usiłował,
Ale zawzięta fala wciąż go we mnie
Zatrzymywała i nie chciała puścić
Na wolne, pełne otwarte powietrze;
Dusiła mi go w zaciśniętej piersi,
Która pękała prawie, chcąc go z siebie
W morze wyzionąć.

A oto tłómaczenie Szujskiego:

O północy
Może, zda mi się, żem po trudach wiela

Dostał się z Towru, na okręciem płynął
Ku brzegom Francyi, był brat Gloster ze mną —
Mówi: Opuśćmy tę kajutę ciemną.
Pójdźmy na pokład. Idziemy, rozwinął
Się nam przed okiem brzeg Anglii wspaniały
I wszystkie srogie czasy się spomniały
Podczas rozterków dwóch Róży zwaśnionych.
Gdyśmy po deskach tak szli rozruszonych
Okrętu biegiem, Głoster się potoczył
Upadł na ziemię, i mnie, którym skoczył
Aby go podnieść, pchnął z pokładu w wały
Rozhukanego morza. O lordzie mój drogi,
Com ja tam doznał. W uszach mi huczały
Bałwany morskie stu gromów odgłosem:
Lecz widok na dnie, widok śmierci srogi
Stokroć straszliwszym był dla piersi ciosem!
Zdawało mi się, że pośród odmętów
Widzę tysiące rozbitych okrętów,
Tysiące trupów, krórych kości białe
Gryzły na wyścig ryby wygłodniałe.
Zdawało mi się, że widzę w mórz łonie
Złota kawały, pereł drogie kupy,
Kamieni drogich bezcenną ławicę,
Nagromadzone w tę mokrą piwnicę.
Niektóre trupów ubierały skronie
Inne świeciły przez czaszek skorupy
W orbitach źrenic, na hańbę źrenicom:
A wszystkie w mule morskim się walały
Szydząc z szkieletów, co na dnie bielały.

Brakenbury.

Jakże czas miałeś, by się tajemnicom
Morskim przypatrzeć w trwodze tak śmiertelnej?

Klarens.

Miałem czas jakoś... Duch mój opór dzielny
Stawiał nawale, lecz bałwan szyderca
Bił całą siłą w pierś, i mego serca

Niechciał jak ptaka puścić nad głębinę,
Aż z ciałem drżącem rzucił go aż na dno
I serce swego zaprzestało bicia.

Równie wyraźnie okaże się ta różnica na sławnej scenie przekleństw. — Paszkowski:

Kr. Małgorzata.

Jakto? gryźliście się z sobą,
Gdym tu wchodziła, gotowi się pożreć,
A teraz wszyscy zwracacie się na mnie?
Czyż straszne Yorka przekleństwo tak wiele
Ważyło w niebie, żeby zgon Henryka,
Śmierć najmilszego mojego Edwarda,
Strata ich berła, moje stąd wygnanie,
Tyle niedoli miało czynić zadość
Za owo marne niedorosłe chłopię?
Czyliż przekleństwa mogą się przez chmury
Przedrzeć do nieba? Jeśli tak jest, dajcież
Przejście i moim, o, wy ciężkie chmury!
Niech przesyt, jeśli nie wojna, zabije
Waszego króla, tak jak go na króla
Wyniosło było zabicie naszego!
Niech Edward, syn twój, teraz książę Walii,
W miejsce Edwarda, mego syna, niegdyś
Książęcia Walii, umrze w kwiecie wieku,
Równie przedwczesną i gwałtowną śmiercią!
Ty, dziś królowa, w moje miejsce, która
Byłam królową, przeżyj swoją świetność.
Jak ja przeżyłam moją! w długie lata
Żyj, opłakując stratę swoich dzieci,
I patrz na inną, jak ja dziś na ciebie,
Przybraną w twoje prawa, jak ty w moje!
Niechaj na długi czas przed twoją śmiercią
Zgasną dni twego szczęścia, i po ciągu
Mnogich pasm cierpień, umrzej ni to żoną,
Ni to królową Anglii, ni to matką!

Riversie, i ty, Dorsecie, i waćpan
Milordzie Hastings, wyście przy tem byli,
Gdy mój syn konał pod nożem: daj Boże:
Aby z was żaden zwykłych lat nie dożył,
Lecz każdy nagłą śmiercią zszedł ze świata!

Gloster.

Dość już tych zaklęć, wyschła czarownico!

Kr. Małgorzata.

Ciebie pominąć? Nie, psie, weź część twoję!
Mają-li nieba jaką ciężką plagę,
Przewyższającą to, coć mogę życzyć,
O, niech ją póty chowają w zapasie,
Póki występki twoje nie dojrzeją:
Wtedy dopiero niech ich oburzenie
Nawałem runie, na ciebie, na ciebie,
Zawzięty wrogu spokojności świata!
Niech cię sumienia robak wiecznie toczy!
Miej, póki życia, przyjaciół za zdrajców.
A szczwanych zdrajców za braci od serca!
Niech ci sen nigdy zbójczych ócz nie zawrze,
Chybaby jakie dręczące marzenia
Miały cię straszyć widm piekielnych rojem!

Szujski:

Ha! nikczemniki, przed chwilą wy w swarze,
Ledwieś-cie mieczów na się nie dobyli
A teraz na mnie się wszyscy zwrócili!
Przekleństwoż Yorka niebiosów ołtarze
Tak przeraziło, że mord mego syna,
Mord mego męża, stratę mej korony,
Ból mej banicyi, sprowadziła wina,
Ta jedna wina — ten jeden skrwawiony
Ponury staruch! O jeśli obłoki
Tak łatwo przekleństw słuchają odgłosów,
To niech otworzą gościniec szeroki,

By tłum mych przekleństw przeszedł do niebiosów.
Podłym podstępem niech król, pan wasz zginie.
Jak mój morderstwem, aby wasz panował!
Syn twój, niech padnie w nieszczęsnej godzinie
Jak mego syna Gloster zamordował!
Ty, co w gronostaj mój ubrałeś szyję,
Przeżyj twą świetność i żyj, jak ja żyję!
Żyj długo, długo, patrz na śmierć twych dzieci,
Patrz na tę przyszłą, co w twojej ozdobie
Promienna, dumna na tronie zaświeci
I stój tak przy niej, jak dziś ja przy tobie!
Po długich latach bolesnego zgonu
Giń, giń — bez męża, bez syna, bez tronu!
Lordzie Riversie i ty mój Dorsecie
I ty Hastingsie, byliście przytomni
Gdy padło krwawe me jedyne dziecię
Pod sztyletami. O Boże! ty wspomnij
Ty wspomnij na to! niech żaden z sług kata
Śmiercią zwyczajną nie schodzi ze świata!

Gloster.

Czyś dogodziła sobie, wiedźmo stara!

Małgorzata.

Tyś psie pozostał! Stój, słuchaj potworze,
Jeśli jest w niebie jaka straszna kara
Straszliwsza od tej, którą Małgorzata
Życzyć ci zdoła! toją ujmij Boże!
A gdy twe grzechy dojrzeją potężnie
Rzuć ją na jędzę tę biednego świata!
Robak sumienia niech ci w duszy grzęźnie
I niech ci chwili spokoju niedaje:
W przyjaznych, zdrajców obawiaj się wiecznie
A pośród zdrajców, myśl, że ci bezpiecznie!
Na zbójczem oku niech ci sen nie staje —
A kiedy stanie patrz w sennem marzeniu
Jak czarty w piekieł nurtują płomieniu!

A jednak czasem, nie dalej jak w zakończeniu samych tych przekleństw, trzeba przyznać Paszkowskiemu wyższość nad współzawodnikiem. Wiadomo, że ostatni okres przekleństw Małgorzaty musi być tak ułożonym, żeby Ryszard wpadając jej w słowo mógł jednym wykrzyknikiem *Małgorzato!* zrzucić niby te wszystkie przekleństwa na jej własną głowę. W językach, które nie mają odmiany rzeczowników przez różne dla każdego przypadku zakończenia jest to bardzo łatwo: *Margaret*, albo *Marguerite*, zawsze dobrze przypadnie do wszystkich określeń poprzednich w jakimkolwiek one stały przypadku. Ale w polskim języku trzeba wszystkie rzeczowniki tego okresu nakręcić do piątego przypadku, i do zakończeń tego przypadku nakręcać i rymy, jeżeli przekład jest rymowy. I rym też w tym razie źle usłużył Szujskiemu. Oto jak on tłómaczy to straszne zakończenie przekleństw:

„Ty naznaczony od przyrody stworze:
Ohydo świata, od piekieł wzgardzona,
Wyrzucie brudny matczynego łona,
Płodzie szkarady, rodzica sromoto,
Ty szmato brudu, poczwaro.“

Ryszard. Margoto!

Francuzowi możeby uszło zakończyć ten ustęp poufałem, ale w owych wiekach bardzo używanem skróceniem imienia Małgorzaty: *Margot*; ale w przekładzie polskim ta nieznana w naszym języku Margota, musi razić, i dlatego wolimy stanowczo wersyę Paszkowskiego:

„Ty coś w kolebce już był piętnowany
Na syna piekieł i zakał natury!
Ty hańbo łona matki, ty wyrodku
Ojcowskich lędźwi! łachmanie honoru!
Wieczne przekleństwo tobie“...

Ryszard. Małgorzato!

Trudność jest może raczej ominięta niż rozwiązana, ale jest ominięta szczęśliwie.

Przytoczone wyjątki dadzą czytelnikowi tak dokładne wyobrażenie o przekładzie, że nie będziemy go nużyć roztrząsaniem aktów następnych, poprzestając na krótkiem stwierdzeniu, że usterków dostrzegliśmy w nich mniej niż w pierwszym, a zalety te same, tylko może widoczniejsze, jaśniejsze, dlatego, że tłómaczenie nie było juz tak trudnem, że w dalszym ciągu rzadziej zdarza się potrzeba takiej energii, tak podniesionego tonu jak w tych początkowych scenach.

Jeżeli dodamy jeszcze, że Henryk VIII tłómaczony jest przez pana Ulricha, i że piękności jego, jak przemowa królowej Katarzyny przed trybunałem, albo akt trzeci, scena jej z kardynałami a następnie upadek Wolseya w upadku prawdziwie wielkiego, oddane są bardzo dobrze, to dojdziemy już do końca dramatów historycznych czyli do końca pierwszego tomu.

IV.

Szereg tragedyj i tom drugi otwiera *Romeo i Julia*. Z żalem wyznać trzeba, że jest to jedna ze sztuk, których tłómaczenie najmniej się Paszkowskiemu udało. Różnica między tą, a temi któreśmy dotąd widzieli, i które zobaczymy później, jest tak znaczna, że chcąc ją wyrozumieć, musimy chyba domyślać się, że dramat ten musiał być jedną z pierwszych prób niewprawnego jeszcze tłómacza. Nie trzeba naturalnie mówić, że to tłómaczenie Romea nie może być liczonem pomiędzy te złe i nieudolne, które je u nas poprzedziły — (przypominamy tu, że nie znamy przekładu Korsaka i o nim nie mówimy) — to nie. Ono może nazwać się dobrem, bo jest i wierne, i wykonane porządnym językiem i wierszem, w niektórych ustępach nawet szczęśliwe, a w całości zupełnie przyzwoite: musi oczywiście być najlepszem ze wszystkich jakie posiadamy, skoro na wszystkich teatrach polskich kiedy się Romeo grywa, to

w tekscie Paszkowskiego. Ale na porównaniu z innemi przekładami tego samego pióra, ten traci; a dopieroż wystawić sobie, ile tracić musi na porównaniu z oryginałem! Tu, gdzie więcej może niż w każdej innej sztuce Szekspira żądałoby się od tłómacza poezyi, tu jak na złość zdaje się on mieć mniej wyobraźni, mniej poezyi w duszy, mniej subtelnych odcieni i „słów rozpłomienionych“ w stylu. Ten ton zniżony, o którym mówiliśmy wyżej, i który istotnie wydaje nam się prawie nieodłącznym od każdego tłómaczenia, tu daje się czuć żywiej niż gdzieindziej, a wrażenie jest o tyle mniej przyjemne, że to Romeo właśnie, że to nie ludzie prawie, ale miłość sama! i ona przemawia cokolwiek wymuszenie i ciężko? Jest to kopia starannie i sumiennie wyrysowana, ale bez koloru, jest ten sam kwiat, ale żeby zasuszony lub naśladowany z materyału, w którym nie ma życia, jest to Romeo, ale księżyc świeci w nim blado, słowiki śpiewają jak żeby zmuszone, kwiatu pomarańcz nie czuć powietrzu, a miłość mówi to samo co w oryginale, ale jej słowa jakoś „w ustach wietrzeją, na powietrzu stygną“, i nie mogą duszy, jaka jest w Szekspirze „prosto w duszę przelać.“

Na tem tle ogólnego i najcięższego zarzutu dają się widzieć liczniejsze niż gdzie indziej poszczególne usterki. Znajdujemy zaraz jeden w samym spisie osób dramatu: spotykamy w nim jakąś nieznaną nikomu i niczem nieusprawiedliwioną Martę. Zkąd tłómacz wiedział, że mamce Julii było na imię Marta? Szekspir tego nigdzie nie mówi, nazywa ją zawsze tylko mamką, *nurse*. Jaki był powód, jaka potrzeba ochrzczenia w przekładzie figury, która w oryginale doskonale obchodzi się bez imienia, i która całemu światu znana jest pod swoim tytułem mamki? Że ta kobieta głupia, gadatliwa, pospolita, z natury może podobna jest do Marty z Fausta, że tak jak tamta gotowaby może „samego djabła złapać za słowo“ — że tamta byłaby tak samo radziła Julii pójść do ślubu z Parysem i cieszyć się obecnym drugim mężem, kiedy pierwszy nieobecny, to jeszcze nie uprawniało tłómacza do wyboru tego imienia, ani do nadawania jej imienia jakiegokolwiek, kiedy autor nie dał jej żadnego.

W samym zaś dramacie dużo wyrażeń nieprzyjemnych, albo nie polskich, albo zbyt nowoczesnych, albo zbyt potocznych, dużo dodanych dla miary lub rymu, dużo zawiłych lub ciężkich a przez to psujących wrażenie.

I tak zaraz po pierwszej zwadzie między służącymi, i po napomnieniu księcia (co jedno i drugie przełożone jest zupełnie dobrze), Romeo ledwo wyszedł na scenę już powiada, że miłość jest

. . . „amalgamem
Żółcią trawiącą i zbawczym balsamem“

Nie będziemy twierdzić, żeby te antitezy, któremi on w tej scenie sypie jak z rogu obfitości, były szczególnie piękne, przecież w oryginale jest na nich jakaś poetyczna barwa, którą tłómaczenie starło, a do tego *amalgam,* który tu jest na to tylko, żeby służył za rym *balsamowi*, to wyraz ani polski, ani w poetycznym stylu, ani w ustach ludzi z XV wieku właściwy. Prawda, że Benvolio odpowiada na to jeszcze gorzej, kiedy przyjacielowi swemu każe:

„nie jęczyć
tylko mi klucz dać do tego *problemu.*“ —

Naprzód *problem* jest tak zły jak *amalgam*: powtóre Szekspir o problemie i o kluczu nic nie wie; a co więcej nietylko nie każe zakochanemu *nie jęczyć* lecz przeciwnie *smutno* powiedzieć w kim się kocha *(sadly tell me who)*. Dalej znowu spotykamy *ideał,* wyraz, który zbyt trąci XIX wiekiem; na innem miejsku *sentymentalnego młodzieńca,* kiedy Szekspir mówi tylko o zakochanym waryacie. Nie można dość zważać na to przy pisaniu lub tłómaczeniu poematów lub powieści z dawnych wieków, żeby strzedz się używania wyrazów, których w owych wiekach nie było, wyrazów naszego wynalazku, świeżych, i świecących jeszcze swoją nowością, jak pieniądz który tylko co wyszedł z pod stempla.

Rzecz naturalna, że sceny potoczne lub komiczne, rozmowy sług, muzykantów, nieskończone opowiadania mamki, a nawet same żarty Mercutia, z natury rzeczy łatwiejsze

były do tłómaczenia, od scen i miejsc poetycznych. To też pierwsza rozmowa mamki z Lady Capulet i z Julią wypadła dobrze, chociaż i tej nie możemy przepuścić bez małego zastrzeżenia. Mniejsza o to, czy jest właściwie lub nie, że mamka trzechletnią Julię nazywa małym *urwiszem*, kiedy Szekspir nazywa ją co najwięcej *błazenkiem* (pretty fool): ale tłómacz odebrał mamce jedyne słowo sympatyczne, jedyne dowodzące jakiegoś szlachetniejszego uczucia, jakie jest w całej jej roli. Kiedy mamka rozprawiając o wieku Julii, dowodzi, że była ona rówienniczką jej własnej córki, którą straciła, mówi ona w naszym polskim przekładzie *Był-że to anioł!* Wykrzyknik obojętny, o którym spłaca się niby należny dług wspomnieniu i przywiązaniu. W oryginale mamka mówi coś nierónie głębszego i rzewniejszego, mówi, że ta mała Zuzia była dla niej za dobra *She was too good for me.* Oczywiście jest to przypadek, ale przypadek szczęśliwy, i który w przekładze godzien był zachowania i uwidocznienia. Ta natura tak nizka, można powiedzieć tak nikczemna, ta głowa tak ciasna, w chwili, kiedy myśli o zmarłem dziecku, i przez jego miłość, ma szlachetniejsze uczucie, ma nie pojęcie ale instynkt swojej małej wartości, a miłość zmarłego dziecka sprawia, że bez jej wiedzy i rozumowania to dziecko wydaje się wyższem i szlachetniejszem od niej samej. Małe to ale bardzo ładne słowo, to *she was too good for me;* mały ale bardzo misternie i prawdziwie naznaczony tryumf macierzyńskiego uczucia, że natura nawet tak gruba i po prostu podła, w tem jednem uczuciu wznosi się nad swój zwykły barzo nizki poziom.

Opowiadanie o *królowej Mab* byłoby bardzo dobre, gdyby nie użyte o niej jedno nie każdemu zrozumiałe wyrażenie, że *babi wieszczkom.* Ma to znaczyć, że pielęgnuje samiczki elfów w połogu. Ależ naprzód elf nie był nigdy wieszczem, ani jego żona wieszczką; a powtóre trzeba się dobrze namęczyć, zanim człowiek wreszcie zgadnie, że owe *babi*, to jest trzecia osoba liczby pojedynczej czasu teraźniejszego od mało znanego i tylko w języku ludowym używanego czasownika *babić.*

Pierwsze spotkanie Romea z Julią na balu, ten bardzo ładny komplement, którym on drżący a przecież bardzo śmiały, przeprasza, jeżeli dotknięciem znieważył jej rękę i ślad tego świętokradztwa chce zatrzeć ustami, i cała istotnie zbyt przysypana dowcipami, a przeto zawiła rozmowa, w przekładzie nie stała się zrozumialszą, choć się stała cięższą. Scena w ogrodzie... początku jej, zdaniem naszem, tłómacze nie powinniby może po swojemu przekładać, tylko przez uszanowanie dla Mickiewicza przyjąć raz na zawsze jego przekład; a w tym razie byłoby się to nawet przydało, bo tym sposobem nie byłoby się znalazło to *liczko,* które tak dobrze a tak niezgrabnie rymuje z *rękawiczką.* Scena w ogrodzie nie zasługuje niby na żadne zarzuty, a przecież nie jest taka jakby się chciało. Czegoś jej brak *der Spiritus ist entflohen.*

Walka Romea i Mercutia na dowcipy, równie jak następująca rozmowa Romea z mamką, niezbyt szczęśliwie wypadły. W tej ostatniej naprzykład Romeo każe Julii oznajmić, że jej daje *rendez-vous!* Po co to nieszczęsne *rendez-vous,* kiedy u Szekspira on na tem miejscu mówi tylko *commend me tho thy lady* — poleć mnie swojej pani. Za to niecierpliwość Julii, kiedy czeka na powrót mamki i niecierpliwące tej odpowiedzi, wyglądają w przekładzie doskonale, psuje je tylko znowu jedno słowo, ostatnie słowo Julii: *Adieu złota nianiu.*

W akcie trzecim scena pojedynku, scena Julii kiedy się dowiedziała o śmierci Tybalta i wygnaniu Romea, są bez zarzutu. W scenie Romea z Lorenzem jest ten niepotrzebny „sentymentalny szaleniec", o którym wspomnieliśmy wyżej, i również niepotrzebne nieużywane wyrażenia *fochasz się,* kiedy inne używane, naprzykład *zżymasz się,* albo *rzucasz się* byłoby zupełnie wystarczyło. Monolog, w którym Julia wzywa nocy, zeszpecony jest bardzo wierszem, w którym ona zamiast jej wołać, aby przyszła jak stateczna i łagodna matrona, w poważnym stroju, cała w czerni *(sober-suited matron all in black)* każe jej przyjeżdżać *w ciemnej twej karocy!* Oczywiście, gdzieś tam wyżej stało: *nocy,*

a rym potrzebował tej niezgrabnej karocy. Za to w tym samym monologu tłómacz miał wielką zasługę; kiedy Julia chce, żeby Romeo po najdłuższem życiu zamieniony w gwiazdy świecił na firmamencie, prosi ona w oryginale nocy, aby go na drobne gwiazdeczki „pokrajała“ *(cut him)*. Ten kochanek posiekany na kawałki, te kawałki ciała przemienione na gwiazdy, to z wszelką rewerencyą dla Szekspira dość wyszukane i niesmaczne, i Paszkowski dobrze zrobił, kiedy przynajmniej tego krajania i siekania unikając, napisał: „rozsyp go w gwiazdki.“

Scena pożegnania podobna zupełnie do sceny w ogrodzie: żadnych większych zarzutów, brak tego uroku jaki jest w oryginale, i parę drobnych usterków, jak naprzykład, że Julia nazywa Romea *milutkim*, albo że mówi: *słowik to a nie skowronek się zrywa*, kiedy mogła była powiedzieć *śpiewa*, albo że Romeo obiecuje, iż kiedyś

„wszystkie cierpienia nasze *kwiatem tkaną*
kanwą do słodkich rozmów nam się staną.“

W akcie czwartym i w piątym nie mielibyśmy nic do zarzucenia, owszem wiele do pochwalenia, gdyby nie jedna rzecz, jedna ale nieszczęściem bardzo rażąca, i to jak na finał, na bukiet fajerwerku, w najostatniejszem słowie Julii. Kiedy przebudzona dowiaduje się co zaszło, kiedy słyszy głosy i kroki, i chcąc uprzedzić przyjście ludzi, chwyta za sztylet otrutego Romea, Julia mówi:

„Idą; czas skończyć! Zbawczy puginale
Tu twoja pochwa (przebija się).
Tkwij w tym *futerale!!*

W oryginale wprawdzie pochwa jest. Julia mówi dosłownie: „Szczęsny (w znaczeniu błogosławiony) sztylecie, tu twoja pochwa — w niej rdzewiej i daj mi umrzeć.“ Ale ten w przekładzie po pochwie jeszcze dodany *futerał*, i to w najtragiczniejszej chwili, wygląda nie patetycznie ale komicznie. Wyobraźmy sobie aktorkę, która w najwyższem podniesieniu uczucia i w ostatniem tchnieniu piersi, ma wy-

mówić słowo *futerał*, i tem słowem wywołać effekt tragiczny! Nieszczęśliwa Julia musi skonać wśród stłumionego śmiechu widzów, któremu albo sama musi wtórować, albo się rozpłakać z żalu, że jeden z najpiękniejszych effektów jej roli i jeszcze ostatni, zepsuto jej tym tonem tak niesłychanie fałszywym. Jest to może największy grzech uczynkowy tłómacza w tej sztuce. Grzech opuszczenia jest stalszy, trudniejszy do naprawienia i zapewne cięższy: jest nim ten brak poetycznego polotu, stylu i wrażenia, o którym mówiliśmy wyżej. Nie jest to brak zupełny, ale tylko stopień nie dość wysoki. I dlatego, pomimo, że nie jest takim jakby się pragnęło, przekład ten jest wystarczającym, jest dobrym. Nie brak w nim zaś scen i ustępów zupełnie i bardzo dobrych. Do najlepszych należy monolog Julii w akcie czwartym, który w tłómaczeniu Paszkowskiego wydaje nam się i bliższym oryginału i mniej wyszukanym, naturalniejszym a przez to poetyczniejszym, niżeli w sławnem tłómaczeniu Schlegla.

Dobranoc! Bóg wie, kiedy się zobaczym,
Zimny dreszcz trwogi na wskróś mię przejmuje,
I jakby mrozi we mnie ciepło życia.
Zawołam na nie, by ochłonąć nieco:
Nianiu! I pocóż tu ona? Straszliwy
Ten czyn wymaga właśnie samotności.
Ha! pójdź flakonie!
Gdyby jednakże ten płyn nie skutkował?
Miałażbym gwałtem z hrabią być złączona?
Nie, nie; ucieczka w tem: leż tu w odwodzie.

(Kładzie na stole sztylet).

A gdyby też to miała być trucizna,
Którą mi ksiądz ten zręcznie śmierć chce zadać,
By ujść zarzutu, że dał ślub kobiecie,
Którą już pierwej zaślubił z kim innym?
Toby być mogło! ale nie, tak nie jest,
Bo jego świętość jest wypróbowana,

I nawet myśli tej nie chcę przypuszczać.
Lecz gdybym w grobie się ocknęła pierwej,
Nim mię Romeo przyjdzie oswobodzić?
To byłoby okropnie!
Nie udusiłażbym się wśród tych sklepień,
Gdzie nigdy zdrowe nie wnika powietrze,
I nie umarłażbym wprzód, nim Romeo
Przyjdzie na pomoc? A choćbym i żyła,
Czyliżby straszny wpływ nocy i śmierci,
Którą dokoła będę otoczona,
Obok wrażenia, jakie sprawić musi
Samaż miejscowość tego sklepionego
Starożytnego lochu, w którym kości
Zmarłych mych przodków od lat niepamiętnych
Nagromadzone leżą; kędy świeżo
Złożony Tybalt gnije pod całunem;
I kędy nocą, o pewnych godzinach,
Duchy, jak mówią, odbywają schadzki;
Z kośćmi mych przodków nie poszła się pieścić
Z trupem Tybalta? i w tem rozstrojeniu
Nie rozbiłażbym sobie rozpaczliwie
Głowy piszczelą, którego z pradziadów,
Jak pałką? Patrzcie! patrzcie; zdaje mi się,
Że duch Tybalta widzę ścigający
Romea za to, że go wygnał z ciała.
Niestety! czyliżby prawdopodobnie
To wszystko, gdybym wcześniej się ocknęła —
A potem zapach trupi, krzyk podobny
Do tego, jaki wydaje ów korzeń
Ziela pokrzyku, gdy się go wyrywa:
Krzyk wprawiający ludzi w obłąkanie,
Czyliżby wszystko to, w razie ocknienia,
Nie pomięszało mi zmysłów? Czyliżbym
Po szalonemu nie igrała wtedy.
Stój! stój Tybalcie!

(Przytyka flakon do ust).

Do ciebie, mój luby,
Spełniam ten toast zbawienia lub zguby.

Następuje najdoskonalszy z dramatów Szekspira najmisterniej zbudowany, najbardziej wykończony, *Othello.* Jeżeli krytyka całego świata bije czołem przed niezrównanem stopniowaniem efektów tragicznych w *Królu Edypie* Sofoklesa, przed tem powolnem a tak naprężającem uwagę i uczucie odchylaniem zasłony ze strasznej tajemnicy, to hołd równy składać ona winna równej doskonałości w Othellu, temu stopniowemu wzrostowi zazdrości, od pierwszego ukąszenia żmii, od pierwszych podejrzeń rzuconych mu w duszę przez zdrajcę, przez cały ten zbieg przypadkowych okoliczności i ułożonych podstępów, aż do wściekłości, szału i zbrodni. Nigdy Szekspir tak się nie ograniczył, nigdy się tak nie zamknął w jednej jasno określonej sytuacyi, i nigdy też żadnej tak nierozwinął i nie wyczerpał; nigdy może nie wprowadził na scenę tak mało ludzkich postaci, i nigdy też może tak ich nie wycieniował i nie wykończył. A jeżeli *Romea* z przykrością musieliśmy uważać za jeden ze słabszych przekładów Paszkowskiego, to tym razem z głośnem uznaniem, i ze szczerą radością spieszymy oznajmić, że to dzieło artystycznie od Romea niewątpliwie doskonalsze, przetłómaczył w sposób godny wielkiego wzoru, i znowu najlepiej może, najświetniej ze wszystkich jakie tłómaczył.

Są małe, drobne usterki, które wyliczamy tylko z obowiązku, przez sumienność za daleko może posuniętą. Desdemona mówi gdzieś (akt I, scena III), że nie może zostać w Wenecyi

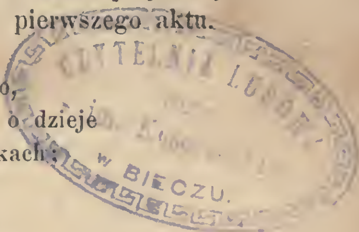
„nakształt wegetującej w pokoju monady“,

jak żeby była czytała Leibnitza, kiedy w oryginale mówi tylko, że nie chce zostać w pokoju jak mól, kiedy Othello pójdzie na wojnę. Gdzieindziej znowu ktoś nazwany jest *pupką*, Othello „krwawym capem i bałwanem“, kiedy w oryginale Emilia nazywa go *morderous coxcomb* i *fool*, co brzmi

mniej trywialnie i rubasznie. Wreszcie, wolelibyśmy może żeby imie Jago odmienianem było po prostu, bez wtrącenia *n*, ale przemawia zatem przykład Hugonów, Ottonów i innych imion zakończonych na *o*, więc nie śmiemy się ze swojem życzeniem odzywać. Ważniejsze jest to, że w wielkiej scenie aktu trzeciego tłómacz znacznie łagodzi i obwija w bawełnę wyrażenia Othella, ale są one tak nieprzyzwoite, że choć lepiej było niezmieniać ich w przekładzie to w przedstawieniu scenicznem zawsze musiałyby być choć cokolwiek zmodyfikowane. Trudniej odgadnąć dlaczego ustęp ten w oryginale napisany prozą, tłómacz przerobił na wiersz Ale cóż znaczą takie drobiazgi w porównaniu z tem, że sztuka cała czyta się nie tylko gładko i dobrze, nie tylko nie utknie się nigdzie na niczem nieprzyjemnem, niesmacznem, rażącem, ale że od początku do końca, przez wszystkie a tak odmienne tak ciągle nowe tony uczucia, miłość, rzewność, szczęście, gorycz żal, szał, wściekłość, litość, rozpacz, szyderstwo, cynizm, swoboda, obojętność, jęk cierpiącego anioła i ryk doprowadzonego do wściekłości tygrysa, przez wszystko to tłómacz przechodzi zwycięzko, i wtoruje poecie tak, że niema między nimi rozstępu, ani rozdźwięku, że zawsze utrafi w ton potrzebny, wyda i utrzyma go w potrzebnej mierze namiętności, żalu, lub rzewności. Rozkosz to prawdziwa, czytać te wspaniałe sceny Othella, to jego opowiadanie o początkach miłości z Drsdomoną, albo ich spotkanie na Cyprze, albo te nieustające rozmowy z Jagiem, w których biedny murzyn brany jest na tortury, albo te skargi biednej Desdemony, która nie wie czego od niej chcą i dlaczego ją dręczą, albo wreszcie scenę śmierci jej i jego, po polsku, a w dobrym, bliskim oryginału, polskim wierszu i stylu.

Nie wiemy doprawdy co wybrać, żeby czytelnikowi dać wyobrażenie o zaletach tego przekładu. Mowa Othella, czy w pierwszych aktach, kiedy pełnym, silnym a spokojnym tonem brzmi w niej prosta a wielka czułość męskiego serca, prawość i dzielność żołnierza, czy dalej kiedy się miota w torturach i konwulsyach namiętności, czy kiedy przez zazdrość i wściekłość odzywa się miłość; mowa Jaga czy

kiedy szorstka i cyniczna, czy złowroga a cicha jak syk węża; mowa Desdemony czy jeszcze spokojnej, czy już nieszczęśliwej, czy umierającej — wszystko jest jak być powinno, wszystko się prosi o przytoczenie. Ale, że wszystkiego przytoczyć nie podobna, więc choć niektóre przykłady. Oto opowiadanie Othella z trzeciej sceny pierwszego aktu.



Jej ojciec lubił mnie; często, bywało,
W dom mnie zapraszał, badał mnie o dzieje
Mojego życia w tych a w tych epokach;
O bitwy, szturmy, przebyte koleje.
Opowiadałem mu one, począwszy
Od lat chłopięcych, aż do owej chwili,
W której mi one kazał opowiadać;
Prawiłem mu o ciężkich moich przejściach,
Strasznych przygodach na morzu i lądzie;
Jakem to o włos ledwie się wydobył
Z śmiercią ziejących bresz; jak mnie wróg pojmał
I sprzedał w jasyr; jakem z tej niewoli
Wyswobodzony tułał się po świecie;
Przyczem zdarzało mi się wzmiankę czynić
O dzikich stepach, szerokich jaskiniach.
O rafach, skałach, niebotycznych górach,
O ludożercach i o samojedach,
Co się żrą wzajem, albo też o ludziach,
Co mają głowę niżej ramion. Rada
Słuchała tego piękna Desdemona;
Jeśli ją jaki domowy interes
Znaglił do wyjścia, jak mogła najprędzej
Wracała znowu, i łakomem uchem
Chwytała moje słowa. Co spostrzegłszy,
Razu jednego, w stósowną godzinę,
Doprowadziłem ją do wynurzenia
Serdecznej prośby, abym jej opisał
Cały ciąg mojej tułaczej pielgrzymki,
Którą dotychczas słyszała częściowo
I niedokładnie. Zgodziłem się na to

I nieraz z oczu jej łzy wycisnąłem,
Mówiąc o różnych żałosnych wypadkach
Mojej młodości. Gdym skończył mą powieść,
Obdarzyła mnie hojnie westchnieniami
I rzekła: — dziwnie to brzmiało, w istocie,
Nadzwyczaj dziwnie; lubo, dziwnie lubo —
Że lepiej było jej tego nie słyszeć:
A jednak, jednak chciałaby się była
Urodzić takim mężczyzną: i czule
Podziękowała mi i oświadczyła,
Że jeżeli kiedy kto z moich przyjaciół
Kochać ją będzie i pozyskać zechce,
Niechby się tylko odemnie nauczył
Tego opisu, a cel go nie minie.
Taką skazówkę mając, przemówiłem.
Ona mnie pokochała za przebyte
Niebezpieczeństwa, a jam ją pokochał
Za okazane nad niemi współczucie.
Takichto zaklęć użyłem nie innych.
Otóż i ona, niech sama zaświadczy.

Przywitanie na Cyprze:

O mój Otello!

Otello.

Zdumienie moje, żem cię tu już zastał.
Równa się mojej radości. O, drogi
Zachwycający skarbie duszy mojej!
Gdyby po każdej burzy miała taka
Cisza nastawać, niech szaleją wichry,
Póki uśpionej śmierci nie przebudzą:
Niech się na góry fal pnie łódź wędrowna
Aż po sam Olimp, i w głąb spada nazad
Aż po kraj piekieł! Gdyby trzeba było
Umrzeć natychmiast, skonanie w tej chwili
Błogosławieństwem by mi się wydało,
Bo rozkosz mojej duszy tak jest wielką,

Że się obawiam, czy druga podobna
We mgle przyszłości jest mi zachowaną.

Desdemona.

Niechże Bóg broni, aby nasza miłość
I nasze szczęście nie miało się owszem
Z liczbą dni zwiększać!

Otello.

Święte twe życie!
Nie mogę zmieścić mej radości w słowach;
Oby w harmonii serc naszych nie zaszła
Inna niezgodność jak obecnie.

A teraz ta scena, kiedy Desdemona idzie spać:

Desdemona.

U mej matki była
Sługa: Barbara było jej na imię:
Miała kochanka, a ten był okrutny,
Bo ją porzucił. Śpiewywała sobie
Piosnkę o wierzbie: była to pieśń stara,
Ale stosowna do jej położenia.
Zmarła nucąc ją. Pieśń ta dziś wieczór
Wciąż mi brzmi w uszach, i gwałt sobie czynię,
Abym tak samo nie zwiesiła głowy
I nie śpiewała jak biedna Barbara.
Proszę cię, spiesz się.

Emilia.

Mamże pani przynieść
Nocne ubranie?

Desdemona.

Nie, rozbierz mnie tylko.
Ten Ludowiko jest wcale przystojny.

Emilia.

Piękny mężczyzna.

Desdemona.

I miły w rozmowie.

Emilia.

Znam pewną damę w Wenecyi, co chętnie
Boso poszłaby do Jerozolimy,
Za jedno tknienie jego wargi dolnej.

Desdemona *(śpiewa)*.

Pod wierzbą płaczącą dziewczyna łzy roni,
I śpiewa: wierzbo! wierzbo!
W dół główkę spuściła, skroń wsparła na dłoni,
I śpiewa: wierzbo! wierzbo!
Zdrój mrucząc opodal powtarza jej jękom;
O wierzbo! wierzbo! wierzbo!
Od łez jej gorących kamienie aż miękną;
— Złóż to na boku.
O wierzbo! wierzbo! wierzbo!
— Proszę cię, śpiesz się, on wkrótce powróci.
— Z gałązek ja wierzby splotę sobie wianek,
Nie gańcie mu tego, przyjmuję mój los.
— Nie, to przypada w innej strofie. Słyszysz,
Ktoś zakołatał do drzwi.

Emilia.

To wiatr, pani.

Desdemonda.

Nazwałam go zmiennym, a on mi rzekł: ach!
Płacz wierzbo! wierzbo! wierzbo!
Niejeden ci przecie zastąpi mnie gach.
Idż już, dobranoc. Coś mnie oczy swędzą:
Nie zapowiadaż to łez?

I wreszcie ostatnie słowa Otella:

Parę słów tylko. Oddałem Wenecyi
Pewne przysługi: są one wiadome;
Nie mówmy o tem. W doniesieniu, które

O tych nieszczęsnych sprawach prześlesz, panie,
Wystaw mię, proszę, takim, jakim jestem;
Nie ujmij, ani nie dodaj niczego.
Przyjdzie ci to mówić o człowieku,
Co nieroztropnie, ale bardzo kochał:
Co nie był skory do podejrzeń, ale
Raz je powziąwszy, nie był siebie panem;
Którego ręka na wzór indyjskiego
Prostego Parji, odrzuciła perłę,
Więcej niż całe jego plemię wartą;
Którego oczy dotąd zawsze suche,
Ronią łzy teraz, jak arabskie drzewa
Swój balsamiczny sok. Napisz to wszystko:
A w końcu dodaj, że gdy raz w Alepo
Zuchwały Turczyn bił Wenecyanina
I bluźnił państwu waszemu, jam tego
Psa rzezanego uchwycił za gardło
I pierś mu przeszył — tak.

Król Lear, Macbeth, Hamlet, Koryolan i *Juliusz Cezar* są także tłómaczenia pana Paszkowskiego.

Nie chcemy za każdym razem wywodzić sporu o pisownię, byłoby tego za wiele, nie możemy przecież nie wspomnieć choćby jednem słowem, że *król Lear* pisze się w tem wydaniu z polska: *Lir*. Czytelnik zna już nasze pod tym względem zdanie, wstrzymujemy się zatem od uwag: owszem przyznamy chętnie, że z dwojga złego wolimy już tego *Lira* przez krótkie *i*, aniżeli to *y*, przez które p. Koźmian w pierwszym tomie swoich przekladów usiłował oddać brzmienie angielskiego *ea*, a któreto *y* ma w sobie ten błąd, że nie jest długie jak *ea*, a jest grube. *I* jest w wymawianiu krótkie, zatem nie dobre, ale przynajmniej nie jest w brzmieniu grube, zatem lepsze niż *y*, podobniejsze do angielskiego brzmienie *ea*.

Co się zaś tyczy rzeczy ważniejszej od nazwiska Leara, to jest jego przekładu, to w nim znaleźliśmy usterków więcej niż w *Othellu*, a mniej daleko niż w *Romeu*. Żeby je

wskazać po porządku, powiedzmy, że w pierwszym akcie scena króla z trzema córkami, przekleństwo Kordelii, wygnanie Kenta, rozmowa Edmunda z ojcem i z bratem, mogłyby może być przetłómaczone piękniej, ale tak jak są, są dobrze i nie podlegają zarzutom, przynajmniej ważniejszym zarzutom. Dalej dopiero trafiają się miejsca, które ze względu na styl a czasem nawet na polszczyznę potrzebowałyby poprawy. Dlaczego naprzykład Goneril mówiąc o dziwacznych pomysłach i zachceniach starego ojca nazywa je *fanaberyami*? Co znaczy to słowo, które nie jest ani polskiem, ani francuskiem, ani niemieckiem, ani angielskiem, ani (jeżeli się nie mylimy) włoskiem? którego niektórzy prawda używają w mowie potocznej, ale które przez to uprawnionem się nie stało, a niesmacznem być nie przestało? Gorzej zaś jest, że w ustępie już wysoko patetycznym i wymagającym stylu, któryby mógł zrobić wrażenie poetyczne, Goneril się skarży, że rycerze z orszaku króla *bonują* sobie. Wyraz ten, jeżeli jest czemś w polskim języku, to jest czemś trywialnem, ale nie dosadnem i energicznem. Nie lubimy także tego *fidrygansa*, którym Kent nazywa Oswalda. Czy tłómacz pomyślawszy trochę, nie byłby mógł znaleźć wyrażeń innych, i bardziej polskich, i mających znaczenie powszechnie znane, a nie jakieś dowolnie w niektórych miejscach lub kółkach do nich przywiązane? Albo znowu dlaczego Kent wypędzając Oswalda, mówi do niego *allons, marsz*, kiedy w oryginale żadnych słów nieangielskich niema? Król sam mówiąc poufale do swego błazna, nazywa go *sercem*, *duszą*, nawet *rybeńką* (jak żeby był ojcem księcia Panie Kochanku), kiedy w oryginale jest tylko *lad* albo *boy*. Czy ów *sea monster*, do którego Lear przyrównywa swoją wyrodną córkę, był istotnie w myśli Szekspira *hipopotamem*, mniejsza o to. Ważniejszem wydaje nam się to, że przekleństwo rzucone na nią, nie ma w przekładzie tej straszliwej, przerażającej mocy, która dreszczem przejmuje w oryginale.

Słuchaj, naturo, ukochane bóstwo,
Słuchaj wezwania mego! Odmień zamiar:

Jeżeliś chciała potwór ten obdarzyć
Imieniem matki! uczyń ją niepłodną!
Zwarz w niej, wyjałów organa rodzajne!
Niech jej zepsuta krew nie wyda nigdy
Dziecięcia, coby chlubę jej przynioslo!
Jeśli zaś tak jest już postanowionem,
Że jej udziałem ma być macierzyństwo,
Niechaj jej płód będzie zlewkiem wszelkiej złości
I dokuczliwem dla niej mąk narzędziem!
Niech wyryje zmarszczki na jej czole,
Wyciskanemi bezustanku łzami,
Niech jej zbruzduje lica! za jej trudy,
Za odebrane od niej dobrodziejstwa;
Niech jej zapłaci śmiechem i pogardą,
By mogła uczuć, o ile dotkliwiej,
Niż ukąszenie zjadliwego gadu,
Bole niewdzięczność dziecka! — Precz ztąd! precz ztąd!

Dwa ostatnie wiersze kończące ten akt:

„*she that is a maid now and laughs at my departure*
shall not be a maid long unless things be cut shorter"

opuszczone zupełnie z powodu, którego domyśleć się nie możemy. Z tym wyjątkiem rola błazna i jego śpiewki i przypowieści, tak trudne do tłómaczenia, udały się dobrze. Jedna tylko po polsku brzmi wprawdzie ładnie, ale zbyt po polsku i odstępuje od oryginału.

Taka córka, gorszs Turka
Nabawiłaby mnie sznurka
Pomimo mego kapturka,
A więc błazen daje nurka.

Koźmian jest nierównie wierniejszym, kiedy pisze:

Liszka gdy się złapie która
A i taka córa
Będą wisieć, bylem sznura

Dostał za mój czub z kaptura
I tak błazen czmycha. Hura!

Dalej, w akcie drugim i w następnych także nic ważniejszego do zarzucenia, same usterki drobne, usterki w stylu, w wyrażeniach, drobne, bardzo łatwe do uniknięcia lub do poprawienia, ale w proporcyi do swojej małości niezmiernie szkodliwe, bo brzmią źle dla polskiego ucha, obniżają ton, i przeszkadzają poetycznemu wrażeniu. Że w jednem miejscu *taylor* przetłómaczone jest przez *szewc*, mniejsza o to, choć trudno zrozumieć dlaczego ta zmiana. Ale kiedy Kent, (którego scena z Oswaldem i zakucie w dyby przetłómaczone są zresztą doskonale), nazywa *anormalnym* stan rzeczy, na który patrzy, to gorsze, bo wyraz tak świeży i tak prozaiczny nie przystoi ani czasom, których koloryt w przybliżeniu przecież zachować należy, ani powadze, prostocie i wzniosłości tragedyi.

Scena Leara z córkami udała się ogółem dobrze, a niektóre jej ustępy są istotnie bardzo wymowne i energiczne, tylko znowu takie małe rzeczy rażą tem nieprzyjemniej, im chętniej i szczerzej podziwiałoby się ustęp. Naprzykład kiedy Lear zarzeka się, że nie wróci do córki, która się z nim źle obeszła, pyta z ironią, czy ma do niej

Pójść i z pokorą do niej się odezwać:
„Kochana córko! przyznaję, żem stary
Starość nis radość.“

Aż dotąd dobrze, ale ostatni wierzsz psuje to dobre wrażenie:

„Na kolanach błagam
Abyś mi dała karm, odzież i *schronę*.“

Dlaczego ta karm, a zwłaszcza ta nigdy nigdzie niewidziana *ad hoc* wymyślona *schrona?* Czemu nie tłómaczyć wyrazami najprostszemi, najnaturalniejszemi, które zawsze są i znaczeniem najbliższe i tragedyi najgodniejsze? Nie dla rymu, bo go tu niema; nie dla liczby zgłosek lub brzmienia, bo inne wyrazy byłyby daly te same warunki wiersza. I gdyby tło-

macz zamiast kuć nowe wyrazy, zrozumiałe prawda, ale nieutarte i niezgrabne, był powiedział:

„Abyś mi dała dach, odzież i strawę“

byłby myśl oryginału oddał równie wiernie, a w lepszym, piękniejszym, polskim języku i stylu.

Ostatnie słowa Leara do córek są pięknie przetłómaczone:

O, nie rozumuj o ścisłej potrzebie!
Ostatni żebrak ma jeszcze w swej nędzy
Coś zbytkownego. Nie dawaj nikomu
Więcej, niż tego natura wymaga.
Życie człowieka takie jak bydlęce,
Tyś pani; strojnie chodzisz; czyż jedynie
Dlatego strojnie chodzisz, że strój grzeje?
Do utrzymania życia czyż potrzeba
Tych strojów, które ciepła dać nie mogą?
O, co się tyczy prawdziwej potrzeby,
Bogowie, dajcie mi cierpliwość! tej ja
Przed wszystkiem innem potrzebuję. Patrzcie,
Oto tu stoi biedny starzec, wiekiem
I cierpieniami równie przygnieciony;
Dwakroć nieszczęsny. Jeśli to wy serca
Tych córek przeciw ojcu podniecacie,
Nie chciejcie, abym to łagodnie znosił,
Słusznym zapalcie mię gniewem; nie dajcie
Wodnistym kroplom, tej niewieściej broni,
Męzkich lic moich kazić. Nie, potwory,
Wywrę ja na was zemstę taką, taką,
Że się świat cały — zrobię coś takiego,
Że — nie wiem jeszcze co: będzie to jednak
Coś okropnego, strasznego. Myślicie,
Że płakać będę? nie, nie będę płakał:
Mam wprawdzie nadmiar powodów do płaczu,
Ale to serce zdruzgoce się prędzej
Na milionowe części, nim zapłaczę.
O, głupiec, bliski jestem oszalenia.

Ale wyżej cokolwiek *those wicked creatures*, przetłómaczone są przez *tak szpetne monstra*, ani wiernie, ani pięknie. A co ważniejsza, słowo jedno z najbardziej patetycznych i efektowych , jedno z miejsc klasycznych w Learze i w całym teatrze Szekspira, zatarte jest w tłómaczeniu, nie dość podkreślone, nie dość uwidocznione. Kiedy złe córki żałują królowi tego, co sobie na utrzymanie wyznaczył, i wmawiają w niego, że nie potrzebuje stu rycerzy do swojej usługi, dość mu pięćdziesięciu, dwudziestu pięciu, dziesięciu, Lear odpowiada na to w najkrótszy, najwymowniejszy, rozdzierający sposób, *I gave you all.* Odpowiedź ta zawierająca ogrom porównań, uwag i cierpień, żeby zrobiła całe wrażenie, jakie zrobić może, potrzebuje przycisku na słowie *ja*, bo tylko przez to uwydatni się różnica między tem co zrobił ojciec dla dzieci, a co one zrobiły jemu. — Koźmian pisze: *Jam wam dał wszystko* i tylko w ten sposób miejsce to może być dobrze oddanem po polsku. — W przekładzie Paszkowskiego: *Dałem wam wszystko*, niema ani tego przycisku, ani tego wyraźnego porównania; nie zwraca uwagi, i trzeba dopiero szukać, przypominać sobie, do czego się te słowa odnoszą i co znaczą. — W ogóle do tych treściwych a brzemiennych myślą słów i uwag, do tych miejsc klasycznych, których w Learze jest kilka, tłómacz nie miał szczęśliwej ręki. — *Take physic pomp* jest przydłużone, osłabione przymiotnikiem; ale można się jeszcze zgodzić na to *bierz lekarstwo królewski zbytku.* Ale sławne *the thing itself*, co Niemcy tak wybornie oddają przez *das Ding an sich*, po polsku jakoś udać się nie chce. — Koźmian zapewne najlepiej jeszcze wychodzi z tej trudności, kiedy pisze: *Tyś jest istota sama*, choć ta *istota* ma pewien zakrój filozoficzny, definicyjny, którego należało może unikać. Ale Paszkowski naprzód i nie wiernie i nie lepiej po polsku tłómaczy frazes poprzedni *three of us are sophiticated, my trzej jesteśmy zamalgamowani (!) on jest czystym metalem:* a potem tę odrębną, ramoistną refleksyę *thou art the thing itself*, opuszcza zupełnie, i tylko w następnem zdaniu zachowuje jakiś jej ślad, kiedy *unaccommodated man* tłó-

maczy przez *człowiek właściwy niczem więcej nie jest, jak takiem biedn‹em nagiem zwierzęciem. I have one part in my heart that is sorry yet for thee,* co Koźmian oddaje zdaniem naszem niedostatecznie przez *mam cząstkę w sercu co cierpi nad tobą*, u Paszkowskiego bliższem jast oryginału, bo wyraźniej daje do zrozumienia, że w strzaskanem sercu króla jeszcze jedna tylko część pozostała całą.

Jeszcze mi cząstka serca pozostała
I ta boleje nad tobą.

Choć i tu jeszcze czuć brak określenia *jedna,* które w tem miejscu bardzo jest potrzebne. Najgorzej wypadło sławne *every inch a king,* które brzmi prawie komicznie *król z tyłu: i z przodu.*

Akt trzeci, najtrudniejszy może ze wszystkich, i przez patetyczność posuniętą do najdalszych granic, i przez dziwaczne mowy Edgara udającego obłąkanie, i wreszcie przez smutne ironiczne a niejasne przypowieści i śpiewki błazna, ogółem wziąwszy przełożony jest bardzo dobrze. Wolelibyśmy zapewne, żeby buda, w której chroni się *biedny Tomek* nazwaną była poprostu budą, a nie *schroną* lub *kletką*, żeby w śpiewce błazna, która w całości brzmi doskonale, *cod piece* nie było przetłómaczone przez *serce,* żeby *holy water* nie było się zamieniło *w jałowcówkę;* ale z małemi wyjątkami sceny te, najwspanialsze z całego dramatu, udały się tłómaczowi dobrze. Sądzimy, że czytelnik rad będzie własnemi oczyma porównać różne przekłady polskie niektórych ustępów:

Oto naprzykład początek drugiej sceny trzeciego aktu u Paszkowskiego:

Król Lir.

Dmijcie wichrzyska, aż wam miechy pękną!
Dmijcie, wściekajcie się! Plujcie powodzią
Wy, katarakty, i wy, uragany,
Aż zatopicie wieże po szczyt kopuł!
Wy, siarką tchnące, jak myśl chyże błyski,
Zwiastuny dęby druzgocących bełtów,

Osmalcie biały mój włos! a ty, gromie
Wszystko niszczący, spłaszcz twardy krąg świata,
Zgnieć wszelkie kształty przyrodzenia, zniwecz
Wszelkie zarody niewdzięcznej ludzkości!

Błazen.

O, wujaszku, jałowcówka we dworze lepsza niż deszczówka na dworze. Kochany wujaszku, wejdź do izby i proś córek o błogosławieństwo: jestto jedna z tych nocy, co ani nad mędrcem, ani nad głupcem nie mają litości.

Król Lir.

Grzmijcie pioruny! lej dżdżu! pryskaj ogniu!
Deszcz, wiatr, grom, ogień, to nie moje córki.
Ja was, żywioły, nie winię o srogość:
Nic wam nie dałem, nie zwałem was dziećmi;
Wy obowiązków względem mnie nie macie:
Ciągnijcie dalej swe straszne igrzyska.
Oto tu stoję, jako wasz niewolnik,
Ja, starzec biedny, słaby i wzgardzony;
A przecież wręcz was mienię służalcami,
Bo pomagając dwom wyrodnym córkom
Zastępy swoje z górnych sfer wiedzione,
Zwracacie przeciw takiej jak ta głowie,
Starej i siwej. O! o! to niegodnie!

Gdyby nie *wichrzyska*, nie *miechy*, i nie te cokolwiek niezrozumiałe *zwiastuny dęby druzgocących bełtów,* byłoby zupełnie pięknie.

A teraz to samo w przekładzie Koźmiana:

Król Lir.

Dmij aż pysk przerwiesz, dmij, wściekaj się, wichrze!
Wy trąby wodne, orkany, pękajcie,
Aż topiąc wieże pochłoniecie szczyty!
Wy, wy siarczyste, rącze jak myśl, ognie,
Butne przesłańce dębołomnych gromów,
Siwą mą głowę osmalcie! Ty groźny

Piorunie, zwięzłą spłaszcz okrągłość świata,
Zniszcz kształty ziemi, rozmieć zaród wszelki,
Z którego człowiek niewdzięczny powstaje!

Błazen.

O, wujku, święcona woda u drzwi suchego domku lepszą jest od tej deszczowej na dworze. Dobry wujku, wejdź, proś twych córek o błogosławieństwo. Oto noc, co niema litości ani nad mądrym, ani nad głupim.

Król Lir.

Grzmij co się zmieści! pluj ogniu! lej deszczu!
Deszcz, wiatr, grom, ogień, nie są moje córki;
Ja was, żywioły, nie skarżę o srogość,
Ja wam państw nie dał, jam was nie zwał dziećmi,
Mnieście nie winny nic. Więc straszną rozkosz
Waszą wywrzyjcie — tu stoję, wasz jeniec,
Nędzny, mdły, chory i wzgardzony starzec.
Lecz was podłemi zwę posługaczami,
Że z nienawiścią dwóch córek łączycie
Wysoko-rodne walki, przeciw głowie
Starej i siwej jak ta. To szkaradnie.

Dziwnie to powiedzieć, ale czy w tym jednym razie, w tym jedynym ustępie, Kefaliński nie miał jakiegoś szczęśliwego natchnienia? czy nie włożył w te słowa więcej rzewności, ucznia, smutku, siły, od późniejszych tłómaczów Leara:

Lear.

Wyj, co siła! płyńcie, ognia z deszczem zdroje!
Deszcz, wiatr, ogień i grom nie są córki moje:
Was żywioly nie śmiem skarzyć o niewdzięczność,
Kraju wam nie dałem, dziećmi was nie zwałem,
Ni powinność macie słuchać mojej woli;
Więc wywrzyjcie na mnie straszną rozkosz swoją,
Oto wasz niewolnik opuszczony stoję,
Starzec pogardzony, chory i w niedoli:
Lecz podłemi sługi nazwać was wypadnie,

Bo z córkami dwiema złemi będąc w zmowie,
Broń zrodzoną w górze ślecie przeciw głowie
Starej, białej, jak ta. — O! o! to szkaradnie!

W czwartej scenie tego samego aktu wytknęlibyśmy ten deszcz, który Leara *przemacza*, bo przemoczyć jest słowo w znaczeniu i w formach dokonane, a zatem w niedokonanych czasach używać się nie powinno: także *zbałwanione morze*, i *bezstrzeszną biedę*, — scenę tę stanowczo wolimy o wiele w tłómaczeniu Koźmiana.

W czwartym akcie Goneril może zbyt trywialnie nazywa męża *capem*, ktoś inny dostaje przydomek *gnojka*, przebrany Edgar, kiedy udaje wieśniaka może niepotrzebnie mówi z mazurska, może słowo *dyskrecya* (kiedy otwiera list Gonerili do Edmunda) nie jest zupełnie właściwe w jego ustach, za świeże; ale wszystko to usterki drobne, a jedynym większym, jaki zwrócił naszą uwagę jest w tym akcie ów wyżej wspomniany, źle przetłómaczony, klassyczny *król od stóp do głów (every inch a king)*.

Jedno tylko jeszcze przy tym akcie zapytanie do wszystkich nowszych tłómaczów Leara. Dlaczego tłómaczą sami to co Edgar mówi, patrząc niby ze skały na morze? Ustęp ten jest przełożony tak pięknie, że piękniej nikt go już nie przełoży, jest każdemu znany, bo każdy czytał i pamięta *Kordyana*. Przepisać zatem i przytoczyć Słowackiego, byłoby ze wszech miar dobrze: bo byłoby i słusznem uznaniem dla wielkiego poety a niezrównanego tłómacza, i korzyścią dla przekładów. Czytelnik bowiem pamiętając ten ustęp z Słowackiego, musi porównywać z nim tekst, który właśnie czyta, i zawsze odbierze z niego wrażenie słabsze niż z tamtego.

W akcie ostatnim, oddając wszelką sprawiedliwość innym scenom, musimy zganić w ostatniej niektóre wyrażenia niesmaczne, jak naprzykład *wszechprzemiany w nicość*, albo *ani zipnie*, to ostatnie zwłaszcza niestósowne w ustach ojca próbującego czy córka jeszcze oddycha: dalej to, że wspomnienie Leara o wiernym słudze, o błaźnie, *(and my poor*

fool is hang'd) opuszczone jest zupełnie, a wreszcie, że ostatnie cztery wiersze tragedyi, które w oryginale mówi książę Albany, są i w znaczeniu cokolwiek zmienione, i włożone, nie możemy zgadnąć dlaczego, w usta Edgara.

Od tego Leara wyższy jest znowu o wiele przekład Macbetha. Zbliżony nieco do przekładu Andrzeja Edwarda Koźmiana. Paszkowski także, nie odstępując od oryginału, nie zmieniając myśli, rozwija niekiedy jak jego poprzednik, zdanie zbyt ścisłe i zbite, a tym sposobem, jeżeli przekład jego traci cokolwiek na dosłownej wierności, to zyskuje znowu na piękności wiersza, albo i na jasności okresu. Cały akt pierwszy naprzykład przetłómaczony jest pięknie, a niektóre jego ustępy, naprzykład pierwszy monolog Lady Macbeth, jej pierwsza rozmowa z mężem, i znowu ostatnia po przybyciu Duncana do zamku, zdaniem naszem byłyby doskonałe w całości, gdyby nie jeden dziwny błąd. Kiedy Macbeth utwierdzony przez żonę w zamiarze zabójstwa mówi jej, że powinna rodzić samych synów, objaśnia to zaraz powodem: *thy undaunted mettle should compose nothing but males.* Dlaczego w przekładzie myśl ta zmieniona jest w ten sposób, że nie żony niezłomna natura ale męża hart odbijać się ma w płci potomstwa, tego nie umiemy zgadnąć, ale to widzimy wyraźnie, że myśl jest zupełnie zmieniona, i daleko mniej stosowna od oryginalnej, kiedy Macbeth mówi:

„Rodź mi samych chłopców,
Bo męztwa mego nieugięty kruszec
Nic niewieściego od dziś dnia nie spłodzi.“

Wielki monolog na początku drugiego aktu, przed zabójstwem, wydaje nam się przetłómaczonym lepiej niż we wszystkich dotychczasowych przekładach.

Jestli to sztylet, co przed sobą widzę,
Z zwróconą ku mej dłoni rękojeścią?
Pójdź, niech cię ujmę! Nie mam cię, a jednak
Ciągle cię widzę. Fatalne widziadło!
Nie jestżeś ty dla zmysłu dotykania,

Tylko dla zmysłu widzenia dostępnym?
Jestżeś sztyletem tylko wyobraźni?
Rozpalonego tylko mózgu tworem?
Widzę cię jednak tak samo wyraźnie,
Jako ten, który właśnie wydobywam.
Ty mi wskazujesz, jak przewodnik drogę,
Którą iść miałem; takiego też miałem
Użyć narzędzia. Albo mój wzrok błazen
Jest w porównaniu z resztą moich zmysłów
Albo jest więcej wart niż wszystkie razem.
Ciągle cię widzę, a na twojej klindze
I rękojeści znamiona krwi, których
Pierwej nie było. Niema ich w istocie:
Moja to krwawa myśl jawi je oczom.
Na całym teraz półobszarze świata
Natura zdaje się martwą, i straszne
Marzenia szarpią snu cichą zasłonę.
Terazto władza czarodziejska święci
Ofiary bladej Hekacie, i dziki
Mord podniesiony z legowiska wyciem
Czujnego swego czatownika, wilka,
Którego odgłos jest dlań excytarzem,
Chyłkiem jak złodziej lub duch mknie do celu.
O, ty spokojna, niewzruszona w swoich
Posadach, ziemio, nie słysz moich kroków,
Aby kamienie nie wypowiedziały,
Gdzie idę, i nie zdradziły alarmem
Tej zgrozy, co ma nastąpić.
Ja się odgrażam, a on jeszcze żyje:
Żar czynu ziębią słów jałowe chryje.

(Odgłos dzwonka słyszeć się daje).

Dalej! czas nagli; już dzwonka wezwanie
Daje mi sygnał. Nie słyszysz go, Dunkanie:
Bo tego dzwonka melodya straszliwa,
Do nieba ciebie lub do piekła wzywa.

Gdyby nie te *chryje* i ta „dzwonką melodya straszliwa“, a niewłaściwa, bo dzwon może wydawać dźwięk, ale nie melodyę, byłoby to i bardzo wierne, i piękne jako styl i wiersz polski. U Andrzeja Edwarda Koźmiana ustęp ten brzmi może dźwięczniej, łatwiej dałby się deklamować, ale nie jest ani tak energicznym ani tak bliskim oryginału.

Czyż to sztylet — co ku mej dłoni się obraca?
Pójdź tu, niechaj cię schwycę. — Nadaremna praca,
Zniknąłeś przed ręką, jednak ścigam cię spojrzeniem,
Istotąś jest dla oka, a dla ręki cieniem. —
Lub tyś myśli sztyletem i łudzisz pozorem,
Tyś błędnym rozgorzałej wyobraźni tworem.
Jednak tak mi wyraźnie stajesz tu na oczy,
Jak ten, który dobywam, który krew wytoczy.
Tam właśnie gdzie wskazuję, tam miałem pośpieszyć.
I taką właśnie bronią serce jego przeszyć. —
Lub wzrok mój wszystkie razem zmysły moje zwodzi,
Albo je wszystkie razem swą siłą przechodzi,
Widzę cię — nawet w pierwszym nie widziane razie,
Teraz i krwi spostrzegam krople na żelazie. —
Lecz to tylko błąd zmysłów, to mara zwodnicza,
Narzuca ją przed oczy moja myśl zbrodnicza;
Teraz jakby umarłym zdaje się pół świata,
Teraz hołd od czarownic odbiera Hekata;
Sny okropne spoczynek zakłócają ludzi,
I teraz z wyschłą twarzą zabójca się budzi
Na hasło stróża swego — w puszczy wilka wycie.
Jak gwałciciel Tarkwiniusz tajemnie i skrycie,
Tak i on ciemnej nocy otoczony mrokiem,
Posuwa się ku zbrodni — jak duch cichym krokiem.
Ziemio! Ty się stań głuchą i gdzie stąpię nogą,
Nie słysz — nie przemów — nie zdradź, którą pójdę drogą —
Niech kamienie, na których stopy moje stawię,
Nie zdradzą mnie swym dźwiękiem w tej straszliwej sprawie.
Niech ich odgłos milczenia tego nie przerywa,
Z którem dobrze się zgodzi ta czynność straszliwa

Lecz gdy grożę — on żyje. — Próżna mowa nasza
Oziębłem tchnieniem zapał działania przygasza.

(*Dzwon uderza*).

Spieszę więc, i czyn zaraz spełniony zostanie.
Dzwon mnie wzywa — ach ty go nie usłysz Dunkanie,
Bo to twój dzwon żałobny, który woła ciebie,
Byś zeszedł w ciemność piekieł, albo zasiadł na niebie.

Dalej zarzutów bardzo mało, i zarzuty małej wagi. Wierności może za wiele tam, gdzie Banko mówi do Macduffa; *kochany Duffie;* trzeba wiedzieć, że w oryginale stoi *dear Duff*, żeby się to dziwnem nie wydawało, ale w oryginale tak jest, więc i w przekładzie być może, choć zdaniem naszem mogłoby nie być. Podczas uczty, kiedy Lady Macketh napomina męża, żeby grzecznie bawił gości, on ją nazywa *lubą mentorką;* dziwne to zapewne, że tłómacz tak zdolny i wprawny nie czuł tych drobnych ale nieprzyjemnych usterków i nie poprawił ich; ale w porównaniu do zalet, do szczęśliwie przełożonej całości, są to usterki nieskończenie małe. Do świetniejszych zaś ustępów przekładu należy początek aktu czwartego, kilka wierszy Macbetha o śmierci żony, i jego pojedynek z Macduffem.

A wielki Hamlet? Ten przynosi zaszczyt swemu tłómaczowi. Spierać się można nieraz, czy to lub owo miejsce nie byłoby się dało przetłómaczyć lepiej lub piękniej, ale częściej trzeba się z tłómaczem godzić, i trzeba mu przyznać, że jeżeli pomylił się tu i owdzie w szczegółach, to w całości zachował jej właściwy charakter. Pierwsza scena na szańcach zamkowych, opowiadanie straży, zjawienie się ducha, mają już ten koloryt ponury, na którym zawisło w wielkiej części wrażenie. Raz wprawdzie ktoś pozwala sobie powiedzieć *Horac*, zamiast Horacy, Horacijo lub Horacijusz; ale mniejsza o to, kiedy ten Horac dobrze ducha zaklina, żeby powiedział, po co przychodzi.

Pierwszy monolog tak niezmiernie ważny, bo w nim Hamlet odsłania swoją duszę jak nigdy, i bez udania, bez ogródek, nawet bez ironii, wypowiada co ma na sercu, monolog nie najważniejszy może, ale najbardziej uczuciowy w całej roli, wytłómaczenie tej roli, przetłómaczony jest z całem staraniem i uszanowaniem, na jakie zasługiwał; tylko jedno sławne *frailty thy name is woman* należało oddać przez *płochość* lub *zmienność*, jak pisze pan Ostrowski, raczej niż przez *słabość*.

W następnych scenach wytknęlibysmy to jedno chyba, że *zgalareceni przerażeniem* (Horacy scena II) jest wprawdzie przetłómaczone dosłownie, ale nieładnie. Rozmowy Poloniusza z synem i z córką, jak wogóle cała jego rola, bardzo dobre; a w scenie ostatniej pierwszego aktu, w zjawieniu ducha i wjego rozmowie z Hamletem, do zarzucenia jest tylko naprzód przymiotnik *kompletny*, kiedy można było użyć innego lepszego („nie masz w Danii nikczemnika, któryby nie był kompletnym ladaco“) — a powtóre, że znane *something rotten in Denmark* oddane jest i niedosłownie i blado przez *jest coś chorobliwego w duńskiem państwie*. I jedno jeszcze: kiedy duch odzywa się z pod ziemi, Hamlet pyta towarzyszy: *słyszycie tego kipra tam w piwnicy*. Wprawdzie poszukawszy dobrze, można znaleźć, że w handlach winnych człowiek, co ściąga wino do butelek, nazywany bywa kiprem, ale wolelibyśmy na tem miejscu coś zrozumialszego i wierniejszego. Szekspir mówi: *fellow in the cellerage*, co Schlegel zupelnie oddaje przez *Geselle im Keller*, bo *fellow* stoi tu w znaczeniu towarzysza, koleżki, a nie człowieka. Ostrowski nazywa go dość dowolnie gościem w ciemnicy; Kefaliński najbardziej zbliża się do oryginału, kiedy pisze: *słyszycie w lochu tego kamrata?*

Akt drugi, tak pełen trudności w scenach udanego szaleństwa, wypadł bardzo dobrze; tylko w jeo najpiękniejszej scenie, w monologu o Hekubie, jest parę wyrażeń bądź miejscowych, bądź zbyt specyficznie polskich, które psują nieco wrażenie. I tak zaraz na początku *o what a rogue and peasant slave am I*, brzmi po polsku: *o jakiż ze mnie głąb*,

jaki ciemięga. Ten *głąb* nie jest powszechnie zrozumiały ani używany, i ma chyba jakieś miejscowe, dowolnie sobie nadane znaczenie. Dalej *John a dreams*, co w angielskiem jest, lub przynajmniej było za czasów Szekspira bardzo określonem, powszechnie znanem, indywidualnem, jeżeli się można tak wyrazić, oddane jest przez polskiego *Maćka,* który jest i zanadto polski i zanadto ogólny. Ostrowski lepiej podobno w tym razie postąpił, kiedy pomijając imię własne, oddał wiernie jego znaczenie, i napisał *ja gnuśny nędznik.* Mniej także szczęśliwe jest pytanie:

„Cóżby
Ten człowiek czynił gdyby miał podobny
Mojemu powód i *bodziec* do *wrzenia.*"

Pomińmy rzeczy drobne, jak naprzykład to dosłownie prawda z angielskiego przetłómaczone *pocukrzamy samego djabła (we do sugar over the devil himself)* (Polonijusz, akt trzeci scena pierwsza) wierne, ale nie dobre, bo po polsku można *pocukrzyć,* ale nie można *pocukrzać;* a śpieszmy do tego co ważniejsze.

Monolog *to be or not to be* jest niezmiernie wierny, prawie słowo w słowo, tylko na początku zamiast trzymać się oryginału i napisać *oto jest pytanie,* tłómacz mówi: *To wielkie pytanie.* Dlaczego ten dodatek? dlaczego zwłaszcza w tem, co stało się własnością powszechną, przysłowiem, zmieniać choćby o włos jeden, o jeden niedostrzeżony półtonik ten ton, jaki autor nadał swojej myśli? nie tłómaczy tego żadna trudność, żadna potrzeba, żaden wzgląd na budowę wiersza, nic zgoła. Dziwna rzecz, dlaczego oba nasi tłómacze Hamleta nie chcieli tych słów tak prostych oddać poprostu, dosłownie. Ostrowski bowiem zmienia cały wiersz i pyta: „Czy żyć czy umrzeć? oto jest zadanie." Z tym wyjątkiem jednak oba przetłómaczyli monolog doskonale, Ostrowski może świetniej pod względem formy, ale i Paszkowski tak, że możemy tylko cieszyć się i podziwiać:

Być albo nie być, to wielkie pytanie.
Jestli w istocie szlachetniejszą rzeczą
Znosić pociski zawistnego losu,
Czy też stawiwszy czoło morzu nędzy,
Przez opór wybrnąć z niego? — Umrzeć — zasnąć.
I na tem koniec. — Gdybyśmy wiedzieli,
Że raz zasnąwszy, zakończym na zawsze
Boleści serca i owe tyciączne
Właściwe naszej naturze wstrząśnienia,
Kres taki byłby celem na tej ziemi
Najpożądańszym. Umrzeć — zasnąć. — Zasnąć!
Może śnić! — w tem sęk cały; jakie bowiem
W tym śnie śmiertelnym marzenia przyjść mogą,
Kiedy zrzucimy z siebie więzy ciała,
To zastanawia nas: i toć tó czyni
Tak długowieczną niedolę. Bo któżby
Ścierpiał pogardę i zniewagi świata,
Krzywdy ciemięzcy, obelgi dumnego,
Lekceważonej miłości męczarnie,
Odwłokę prawa, butę władz, i owe
Upokorzenia, które nieustannie
Cichej zasługi stają się udziałem,
Gdyby od tego kawałkiem żelaza
Mógł się uwolnić? Któżby dźwigał ciężar
Nudnego życia i pocił się pod nim,
Gdyby obawa czegoś po za grobem,
Obawa tego obcego nam kraju,
Zkąd nikt nie wraca, nie wątliła woli,
I nie kazała nam pędzić dni raczej
W złem już wiadomem, niż uchodząc przed niem,
Popadać w inne, którego nie znamy.
Tak to rozwaga czyni nas tchórzami;
Przedsiębierczości hoża cera blednie
Pod wpływem wahań, i zamiary pełne
Jędrności, zbite z wytkniętej kolei,
Tracą nazwisko czynu.

To samo zaś u Ostrowskiego brzmi:

Czy żyć, czy umrzeć; oto jest zadanie: —
Co z dwojga jest wznioślejszem, czy wytrzymać
Zawistnych losów ciosy lub zniewagi;
Czy przeciw morzu cierpień się uzbroić,
I siłą je pokonać? — Umrzeć — zasnąć —
To jedno; — gdybyśmy, w tym śnie, zrzucili
Męczarnie serca, łzy, tysiączne troski,
Przyrodni dział ludzkości, taki koniec
Byłby dla nas najlepszym. Umrzeć — zasnąć: —
Zasnąwszy, może śnić! — tu myśl przepada;
Bo gdybyśmy zdarli te śmiertelne więzy,
Uśpionych w trumnie jakie sny zwiedzają?
Kto wie, kto zgłębi! Ta zagadka groźna
Nużące pasmo długich lat przeciąga;
Bo któżby ścierpiał braci swych sromotę,
Tyranów uścisk, możnych wzrok zelżywy,
Miłości zdradę, ludzkich praw odwłokę,
Urzędu pychę, i te wstręty jakie
Zasługa cicha od nikczemnych znosi,
Któżby wytrzymał, mówię, te katusze,
Gdy mógł sam podpisać kwit zwolnienia
Stalowym rylcem? któżby pod ohydnym
Ciężarem życia znoił się do końca,
Gdyby ten przestrach czegoś po za grobem —
Zamkniętej wiecznie strefy, bo z jej brzegów
Nikt nie powrócił, nie krępował woli,
Nie zmuszał raczej trwać w obecnej męce,
Niż chronić się do innej, nam nieznanej?
Ta jedna trwoga w tchórze nas przerabia;
Bo zamiar zmienia swą pierwotną barwę,
Gdy rozmyślania bladość ją powlecze;
Bo przedsięwzięcie śmiałe i stanowcze,
Przed progiem tym swój prąd na wspak odwraca,
I traci nazwę czynu.

Do najpiękniejszych ustępów przekładu należy scena Hamleta z Horacym, w akcie trzecim, przed przedsawieniem teatralnem:

Nie myśl, że ci chcę pochlebiać.
Czegożbym mógł się spodziewać od ciebie,
Który nic nie masz, krom rzeźkości ducha,
Ku wyżywieniu się i ku okryciu?
Ktożby pochlebiał biednym? Niechaj w cukrze
Smażony język liże głupią pychę,
Niech się zawiasy kolan uginają,
Tam, gdzie łaszenie się zdobywa korzyść.
Słuchaj: od chwili, kiedy dusza moja
Mogła być panią swojego wyboru
I ludzi jednych przenosić nad drugich,
Od owej chwili już cię ona sobie
Upodobała: boś ty, wiele cierpiąc,
Takim był zawsze, jakbyś nic nie cierpiał;
Boś ty fortunie zarówno był wdzięczny
Za jej umizgi i prześladowania;
A błogosławion, w kim krew z przekonaniem
Tak są zmięszane, iż on palcom losu
Nie służy za flet do wydania dźwięków,
Wedle kaprysu. O, daj mi człowieka,
Nie będącego żądz swych niewolnikiem,
A w głębi mego serca go umieszczę.
W sercu samegoż serca, tak jak ciebie.

Dalej, z wyjątkiem niepewności, czy po pantomimie na zapytanie Ofelii *co to było,* Hamlet dobrze odpowiada *to był hultajski bigos* (Schlegel mówi: *spitzbübische Munkeley* — Ostrowski pomija zupełnie niezrozumiałe angielskie *miching mallecho)* nie mamy nic do zarzucenia, owszem wiele do pochwalenia, przedewszystkiem zaś monolog króla. Obok niego postawilibyśmy śmiało scenę Hamleta z matką, gdyby nie to, że zbyt wiernie znowu przełożone jest pytanie:

what devil was — it
that thus has cozen'd you at hoodman-blind.

„Jakiż u licha bies przy ciuciubabce
Tak cię oślepił?

Ostrowski unika tej trywialnej i niezgrabnej *ciuciubabki*, a przecież myśl oddaje zupełnie, kiedy mówi:

„Jakież licho
Jak w grze dziecinnej wzrok ci zawiązało?“

W akcie czwartym znajdujemy znowu znaczną niedokładność w monologu Hamleta (scena czwarta. W oryginale jest:

from this time forth
my thoughts be bloody or be nothing worth.

(odtąd niech moje myśli będą krwawe, albo nie będą nic warte). W przekładzie Hamlet mówi coś, co się może do niego lepiej stósuje, ale mówi co innego, i to jeszcze mówi dość niezrozumiale:

„bądź odtąd *dowodną*
O wolo moja, albo wzgardy godną“ —

dlaczego zamiast *krwawych myśli* mamy *wolę* i to jeszcze *dowodną*, i co znaczy wola dowodna? zrozumieć nie możemy.

Zato sceny Ofelii, jej śpiewki, opowiadanie o jej śmierci, są bardzo ładne. Oto próbka:

Ofelia (*do króla*).

Oto koper dla was i orliki.

(*do królowej*)

Oto ruta: część jej wam daję, a część sobie zachowam; możemy ją nosić obie, tylko z pewną różnicą. Oto stokrótki. Radbym wam dać i fijołków, ale mi wszystkie ze śmiercią ojca powiędły. Mówią, że szczęśliwie skończył.

(*Śpiewa*)
Bo luby mój Jasio to mój skarb jedyny.

Laertes.

Tęsknotę, smutek, boleść, piekło samo
Zamienia ona w wdzięk i lubość.

Ofelia (*śpiewa*).

Czyliż on już nie powróci?
Czyliż on już nie powróci?
Nie, nie, on śpi w grobie:
Zaśnij i ty sobie.
Już on nigdy nie powróci.

Śnieżną była jego broda,
Włos na głowie cały mleczny:
Już po nim, już po nim,
Napróżno łzy ronim.
Boże, daj mu pokój wieczny!

I wszystkim dobrym chrześcijanom! Będę się za was modliła. Bóg z wami!

I znowu nieszczęściem scenę tę bardzo ładnie przełożoną psuje dwa razy Laertes. Raz, kiedy widząc siostrę w obłąkaniu woła „*Solo łez* straw mi zmysł wzroku!“ Trzeba się dobrze namyśleć zanim się zgadnie co znaczy to *Solo*. Gdyby *vocativus* od sól był używanym, to gramatycznie musiałby brzmieć *o Soli*, a nie *o Solo!* że zaś używanym nie jest, i od czasu jak jest język polski, pewnie sól po raz pierwszy w tym przypadku figuruje, więc czytelnik musi sobie mózg suszyć zanim rozwiąże zagadkę. Oryginał nie był powodem tego niesmacznego zwrotu, bo gdyby tłómacz był się go wierniej trzymał, i *łzy słone* a nie sól położył w piątym przypadku, byłby tego całego niezgrabnego i niesmacznego zwrotu uniknął.

Drugi raz znowu Laertes psuje harmonię fałszywym tonem, kiedy widząc rozumną myśl plączącą się w słowach obłąkanej mówi: *ten bezsens* więcej wart *niż sensowność*.

U Ostrowskiego scena ta, choć mniej wierna, bo cała przełożona wierszem (jak i cały Hamlet), jest bardzo ładna: ale chyba zaklęcie jakieś sprawia, że zawsze coś ją zepsuć musi. Ostrowski psuje jednym z tych dodatków, których sobie pozwala.

Ofelia (*śpiewa*).

Już nad skronią piasek ronią;
Panie duszy świeć!
W raj ulata z kwiatów wonią: —
Leć mój gołąbku leć!

Laertes.

Przy zdrowym zmyśle,
Wymowniej byś nie mogła, jak tym jękiem,
Do zemsty mię rozpalić.

Ofelia.

Zaśpiewajcie,
Już po nim, po nim, jemu też zadzwonim.
Jak się to składa, wiersze. śpiewy i kwiaty!
Niecnota wójt, co panu córkę kradnie!

Laertes.

To nic jest więcej warte niż świat cały.

Ofelia.

Mam tu rozmaryn, kwiat pamięci szczerej.
Pamiętaj, luby: to są bratki smętne,
Myśl o mnie, po mnie.

Laertes.

Myśl w pamięci ginie:
To znak obłędu.

Ofelia.

Koper, i orliki: —
Dla pani ruta; dla mnie też gałązka:
Niedzieli kwietniej różczką zwać ją możem,
I obie nosić — choć z odmienną taśmą. —

Mam i stokrocie: lecz fiołków brakło;
Gdy ojciec konał wszystkie mi powiędły. —
Nabożnie skończył, tak mówiono w niebie, —
Mój luby Jasiu, listki te dla ciebie. —

Laertes.

Dziewicza miłość, żal, i piekło same,
W niej wszystko jest urokiem i pieszczotą.

Ofelia (*śpiewa*).

On powróci, żałe skróci,
Jasio nigdy cię nie rzuci,
Z nim cię czeka ślub;
Nie, tęsknota życie skróci,
Jasio nigdy nie powróci,
Patrz, tam jego grób!

Skroń zgrzybiała jak śnieg biała
Broda wiekiem posiwiała;
Próżny śpiew i płacz:
Boże, Boże, tobie chwała,
Ciało ziemia pochowała,
Duszę przyjąć racz!

Za dusze w czyśćcu, Ojcze nasz. Bóg z wami!

Aż dotąd bardzo ładnie. Ale tu wydało się tłómaczowi, że trzeba przypomnieć lub objaśnić powód tego szaleństwa. Wyobraża więc sobie i każe nam wierzyć, że scena ta odbywa się w tym samym pokoju, w którym zabity był Poloniusz. Ofelia to poznaje przypomina sobie, i przechodząc koło framugi, w której on stał ukryty, mówi: *To tu... mój ojciec.*

Że człowiek zdolny tak pięknie Szekspira tłómaczyć, zdolnym był zarazem uzupełniać go własnemi wymysłami, i wyobrażać sobie, że przez taki dodatek Ofelia stanie się rzewniejszą, bardziej wzruszającą, to jest równie trudne do pojęcia, jak do odżałowania.

Ale żeby wrócić do przekładu Paszkowskiego powiedzmy na zakończenie, że scena grabarzy w akcie pią-

tym doskonale oddaje i ogólny charakter i różne poszczególne zwroty oryginału:

Pierwszy grabarz.

Trafiłeś w sedno. Ale tem gorzej dla panów dygnitarzy, że większą na tym świecie mają zachętę do topienia się i wieszania, niż ich współbracia w Chrystusie. Podaj mi rydel. Nie ma dawniejszych dygnitarzy, jak ogrodnicy, górnicy i grabarze, bo oni idą w prostej linii od ojca Adama.

Drugi grabarz.

Czy Adam był dygnitarzem?

Pierwszy grabarz.

A jakże? On pierwszy przecie krzyż nosił.

Drugi grabarz.

Ejże, ejże! nie nosił żadnego.

Pierwszy Grabarz.

Czyś Waść poganin? Także pismo rozumiesz? Pismo powiada, że Adam ziemię kopał: kopiąc, musiał się schylać, a jakżeby mógł się schylić, nie mając krzyża? Zadam ci jeszcze jedno pytanie; a jeśli mi sprytnie nie odpowiesz; to cię nazwę...

Drugi grabarz.

No, no.

Pierwszy grabarz.

Co to za rzemieślnik, co trwalej buduje niż murarz, cieśla i majster okrętowy?

Drugi grabarz.

Szubienicznik, bo jego budowla przetrzyma tysiące lokatorów.

Pierwszy grabarz.

Podoba mi się twój dowcip. W istocie, szubienica wyświadcza przysługi; ale komu? oto tym, co się źle zasługują: a ponieważ ty źle zasługujesz się Bogu, twierdząc, że szubienica jest trwalszą niż kościół, powinna ci więc szubienica wyświadczyć swoją przysługę. Ale wróćmy do rzeczy.

Drugi grabarz.

Ktoż buduje trwalej niż murarz, cieśla i majster okrętowy?

Pierwszy grabarz.

O to właśnie idzie.

Drugi grabarz.

Zaraz ci powiem.

Pierwszy grabarz.

Słucham.

Drugi grabarz.

Do licha, nie mogę jakoś.

(*Hamlet i Horacy ukazują się w pewnej odległości*).

Pierwszy grabarz.

Nie łam sobie już nad tem mózgownicy, osła batem nie popędzisz; a kiedy cię kto o to jeszcze raz zapyta, to mu powiedz: grabarz. Domy jego roboty przetrwają do dnia sądu. Idź do szynkwasu i przynieś mi półkwaterek gorzałki.

(*Drugi grabarz wychodzi*).

Pierwszy grabarz (*kopie i śpiewa*).

Za młodu — o, gdyby ten wiek mógł powrócić!
Miłostki mym były żywiołem;
Pokochać, odkochać, uścisnąć, porzucić,
To u mnie zwyczajnem szło kołem.

Hamlet.

Cry ten człowiek nie zna natury swego rzemiosła? Śpiewa przy kopaniu grobu.

Horacy.

Przyzwyczajenie wyrobiło w nim ten rodzaj swobody.

Hamlet.

Tak to bywa we wszystkiem; im mniej się do czego ręka przykłada, tem delikatniejsze uczucie.

Pierwszy grabarz (*śpiewa*).

Lecz starość nie radość, napadłszy znienacka,
Zwaliła mię swoim obuchem;
Znikł kuraż i rezon i mina junacka;
Ni śladu, żem kiedyś był zuchem.

Po raz pierwszy podobno zdarza nam się widzieć polski przekład Koriolana. Czy to może powód, dla którego sztuka ta mało u nas jest znaną? czy też znana z oryginału i obcych tłómaczeń sama nie zwróciła na siebie uwagi, dość, że dotąd nie wiele u nas było słychać o Koriolanie, i nikt go jakoś między wielkiemi dziełami Szekspira nie wymienia. A przecież przy wszystkich swoich niedokładnościach jest on jednem z tych, w których geniusz poety objawił się w najdziwniejszych najbardziej zdumiewających kształtach i rozmiarach. Że budowa jest zła, jedne akty bez miary długie, inne bez proporcyi krótkie, że akcya źle rozłożona, że cały koniec jest pisany jak żeby w pośpiechu i nie rozwinięty, że co ważniejsza, przejście od bohaterstwa do zdrady odbywa się w duszy Koriolana nagle i niewidzialnie, to wszystko prawda. Ale niema na świecie dramatu politycznych wypadków i namiętności, któryby temu był równy; niema nigdzie tak głębokiego pojęcia i tak żywego obrazu spółecznych nienawiści, nigdzie arystokratyczna pycha nie jest pyszniejszą, nigdzie zazdrość *(la passion éminemment démocratique* jak mówi Tocqueville) nie jest zazdrośniejszą, nigdzie ich natura, ich walka, i sposoby walczenia nie są tak schwytane na uczynku. Pojąć nawet nie można jak Szekspir, który w historyi swego czasu zjawisk takich nie widział, mógł tak na wylot znać ich naturę i ich formy, a nie mogąc pojąć, trzeba tego Koriolana zaliczyć do najrzadszych w świecie i najświetniejszych intuicyj geniuszu.

Ale zobaczymy to co nas tu obchodzi, to jest przekład.

Sceny ludowe, tu nierównie ważniejsze niż w Cezarze naprzykład, bo na nich głównie polega akcya, w nich w całej okazałości występuje i duma Koriolana i zawiść Trybu-

nów, przetłómaczone są z wielkiem życiem, z wielką naturalnością, z tą rubasznością dosadną, z tym realizmem, jaki jest w oryginale, a z wyjątkiem niektórych wyrażeń jak: *głębie, gnojki, wnyki* i t. p., które radzibyśmy widzieć odmienionemi nie na bardziej eleganckie, ale na powszechniejsze i bardziej używane, czytają się z największą przyjemnością. Dowcip Maneniusza, taki ostry, cięty, a nieco rubaszny, wydaje się także doskonale. Nawet trudna do oddania gra wyrazów w jego rozmowie z Trybunami (akt drugi scena pierwsza) polegająca na znaczeniu słowa *ass* (osioł) szczęśliwie jest naśladowana przez użycie łacińskiego *asinus (do większej części waszych syllab wchodzi as i nus).* Że zaś sceny poetyczne udają się tłómaczowi dobrze, niech dowiedzie jedna z najwspanialszych z całej sztuki, dziewiąta aktu pierwszego, ta która się odbywa pod bramami zdobytego Corioli, i w której Marcyusz dumny ale na próżność za wielki, szczęśliwy tem co dokonał, jest jeszcze nie tylko prawdziwym i czystym, ale prawdziwie idealnym bohaterem:

Kominiusz.

Gdybym ci zaczął opowiadać twoje
Dzisiejsze czyny, sambyś im, Marcyuszu,
Nie chciał dać wiary: ale zdam z nich sprawę
Tam, gdzie słuchając ich senatorowie
Łzy mięszać będą z uśmiechem radości,
Gdzie znakomici patrycyusze, milcząc,
Słuchać mnie będą, wzruszać ramionami,
Wreszcie podziwiać; gdzie kobiety będą
Drżeć z przerażenia, i w słodkiem wzruszeniu
Z uwagą chwytać każde moje słowo;
Gdzie płytkogłowi trybunowie, wespół
Z cuchnącą zgrają niesfornych plebejan,
Nienawidzący twej wyższości, będą
Zmuszeni mówić: — *Dziękujemy bogom,*
Że Rzym takiego ma żołnierza!
Aleś ty przyszedł na szczątki biesiady,
Sutą wprzód ucztę spożywszy.

(Tytus Larcyusz wracając z pogoni za nieprzyjacielem, wchodzi z wojskiem swojem).

Larcyusz.

O, wodzu!
Oto jest rumak: my tylko czapraki.
Gdybyś był widział!

Marcyusz.

Przestań! moja matka
Posiadająca szczególny przywilej
Do wynoszenia zalet swego rodu,
Chwaląc mnie, przykrość mi sprawia. Zrobiłem
To, co wy, to jest, co mogłem: jednaki
Mieliśmy bodziec, to jest myśl, że przez to
Służym ojczyźnie: kto wypełnił tylko
To, czego pragnął, ten w zasłudze stoi
Ze mną na równi.

Kominiusz.

Nie będziesz ty grobem
Twych cnót: Rzym musi znać wartośc swych dzieci.
Występkiemby to było, i zaprawdę
Gorszym niż kradzież, gorszym niż oszczerstwo,
Kryć czyny twoje, i przemilczeć o tem,
Co podniesione do szczytu uwielbień,
Skromnemby jeszcze się zdało: dlatego
Pozwolisz, abym (w celu okazania
Czem jesteś, nie zaś w dank za to, coś zdziałał),
Przemówił do cię przed obliczem wojska.

Marcyusz.

Rany me, chociaż same przez się błahe,
Bolałyby mnie, gdybym o nich słyszał.

Kominiusz.

Gdyby je raczej milczeniem pokryto,
Wtedyby słusznie mogły się rozognić
I zgangrenować; byłaby to bowiem

Niewdzięczność gorsza niż drażniący plaster.
Z wszystkich tych koni (którycheśmy wzięli
Niemałą ilość, i to dobrej rasy),
Z wszystkich tych skarbów, których nam dostarczył
Ich gród i obóz, wolno ci dziesiątą
Część wziąć na własność: oddam ją tobie
Przed uczynieniem ogólnego działu,
I zostawiamy ci wybór.

Marcyusz.

Dziękuję,
Wodzu! nie mogę jednak w żaden sposób
Na sercu mojem wymódz przyzwolenia,
Iżbym zapłatę przyjął za usługi
Miecza mojego. Uchylam się przeto
Od tej korzyści, i pragnę pozostać
Na równej stopie z tymi, którzy byli
Świadkami moich usiłowań.

(Przeciągły odgłos trąb. Wszyscy wykrzykują: Marcyusz! Marcyusz! rzucają w górę czapki i włócznie. Kominiusz i Larcyusz stoją z odkrytemi głowami).

Oby
Te instrumenta, które znieważacie,
Nigdy już więcej nie zabrzmiały! Kiedy
Trąby i kotły na polu Bellony
Mogą się zniżać do dworaczych pochlebstw,
Dwory i miasta powinnyby w tysiąc
Barw się przyodziać. Kiedy się stal może
Stawać tak miękką, jak jedwab gnuśnika,
Niechże z niej szyją kołdry wojownikom!
Przestańcie. Toż więc za to, żem jak baba
Nie otarł nosa, gdy mi krew szła z niego;
Żem kilku słabych powalił charłaków,
Co i niejeden z obecnych tu zrobił,
Chociaż nikt tego nie pamięta: za to
Hyperboliczne odbieram oklaski;

Jak gdybym lubił karmić moją małość
Mdłą karmią pochwał zaprawionych kłamstwem.

Kominiusz.

Za skromny jesteś, Marcyuszu: surowszy
Dla swoich usług, niż uprzejmy dla nas,
Którzy cześć wprawdzie oddajemy. Wybacz,
Ale ponieważ sam chcesz krzywdzić siebie,
Musim cię pierwej, (jak kogoś, co godzi
Na własne zdrowie), ująć w pęta, zanim
Będziem się mogli lepiej porozumieć. —
Niech więc wiadomo będzie nam i światu,
Że Kajus Marcyusz zasłużył w tej wojnie
Na bohaterski wieniec; w dowód czego
Daję mu mego dziarskiego rumaka,
Wychowanego w obozach, z wszelkiemi
Należącemi do niego przybory;
Za to zaś, co pod Koryolami zdziałał,
Niech nazwany będzie uroczyście,
Wśród wiwatowych ogólnych okrzyków:
Kajem, Marcyuszem, Koryolanem. —
Noś ten dodatek godnie aż do śmierci!
(*Odgłos trąb i kotłów*).

Wszyscy.

Niech żyje Kajus Marcyusz Koryolanus!

Koriolan!

Idę twarz obmyć: zobaczycie potem,
Czy mnie ta nazwa rumieni. Przyjmijcie.
Dzięki tymczasem.

Równie pięknie przełożone są sceny aktu drugiego, zwłaszcza ta, w której Koriolan wzbrania się wyjść na Forum, opowiadać o swoich zasługach, i prosić lud o konsulat. W trzecim, kiedy burza wybucha, kiedy lud poduszczony przez Trybunów cofa głosy już Koriolanowi dane, kiedy on

wpada w wściekłość i tem sam psuje swoją sprawę, w ogólności tłómacz był bardzo szczęśliwym. Tylko ostatnia a właśnie najświetniejsza część tego wybuchu, choć zarzucić jej nic nie można, jest słabsza od oryginału i od innych ustępów przekładu.

Dlatego wzywam was — którym przystoi
Nie lękliwymi być lecz przezornymi,
Którzy podstawy egzystencyi państwa
Bardziej kochacie, niż się domyślacie
Jak mało braknie im, żeby runęły;
Którzy szlachetny żywot przekładacie
Nad długowieczny, i wolicie raczej
Heroicznemi drjakwiami chore
Przesadzić ciało, niż oddać je śmierci
Na pewną pastwę, wyrwijcie odrazu
Ten język paszczy pospólstwa: nie dajcie
Im lizać miodu, który jest dlań jadem.
Uszczerbek waszej powagi przynosi
Uszczerbek zdrowej loice, odbiera
Właściwą godność państwu, przyprawiając
Je o niemożność świadczenia dobrodziejstw
Wśród złego, które śmie je kontrolować.

Ta *logika*, ta *egzystencya*, to *kontrolowanie*, to wszystko dobre w stylu polemicznym, ale nie w ustach człowieka rozpalonego do najgorętszej namiętności, i najnamiętniejszej wymowy.

Wytknąć także trzeba małe słówko *w-orujem się*, które trzeba aż kreską przedzielić, żeby czytelnika naprowadzić na domysł co ono znaczy. Ale to jedyne w tym akcie usterki. Mianowicie przepyszna scena z matką, w której ona wyrzuca Koriolanowi hardość, a on się w końcu poddaje i obiecuje lud przeprosić, ma wielką energię, i robi w przekładzie wrażenie prawie takie jak w oryginale. Równie silne są i ostatnie słowa wychodzącego na wygnanie Koriolana.

Koriolan.

Podła, wrzaskliwa psiarnio, której tchnienie
Jest dla mnie tem, czem wyziew zgniłych bagien;
Której przychylność tyle u mnie warta,
Ile poblizkość ścierw niepogrzebionych,
Zarażająca mi powietrze: ja to,
Ja ci powiadam: precz odemnie! Zostań,
Marnij tu w swojem niedołęztwie! Niech was
Najmniejszy szelest wskróś przejmuje dreszczem!
Widok wiejących piór nieprzyjacielskich,
Niechaj was w rozpacz wprawia! Używajcie
Z całą swobodą władzy wypędzania
Obrońców waszych, aż was wreszcie wasza
Głupota, która nie widzi, nie czując,
I niema nawet prostego instynktu
Własnego dobra, odda w obce ręce,
Które was w kluby wezmą, jako bydło,
Nie wydobywszy miecza! Gardząc wami,
Z wzgardą odwracam się od tego miasta.
Jestci gdzieindziej jeszcze świat!

Pożegnanie z matką i żoną, scena z Aufidyuszem (akt czwarty), popłoch w Rzymie na wieść o ciągnących wojskach, wreszcie prośba matki do syna tak wielka surowością i powagą, wszystko oddane jest dobrze, i ogółem wziąwszy *Koriolan* należy do najlepszych Paszkowskiego przekładów.

I *Cezar* dobry. Nie będziemy nużyć czytelnika marnem pytaniem i nader trudnem dochodzeniem: w czyim przekładzie wygląda on lepiej, Paszkowskiego czy Pajgerta. Zdaje nam się, że raz jeden, drugi raz drugi jest górą. Pierwszy akt naprzykład, a zwłaszcza ironia, z jaką Kasyusz mówi o Cezarze, podoba nam się więcej u Pajgerta. Za to monolog Brutusa w akcie drugim, kiedy się stanowczo na stronę spisku przechyla, brzmi lepiej w tekscie Paszkowskiego, z wyjątkiem jednego słowa *ukoloryzować*, które razi bardzo i niezupełnie wiernie oddaje myśl zawartą w słowach oryginału. Mowa Antoniusza może znowu przeważałaby szalę

na stronę Pajgierta, gdyby akt czwarty, mianowicie kłótnia pomiędzy Kasyuszem i Brutusem, a po niej krótka rozmowa ze sługą Lucyuszem i zjawienie się ducha Cezara, nie dowodziły, że Paszkowski nie był gorszym od swego współzawodnika tłómaczem. W ostatnim akcie tylko używa czasem złych wyrażeń, jak naprzykład *junakierya*. Ale ogółem możemy się tylko cieszyć, że mamy dwa dobre przekłady Cezara.

Gdybyśmy nawet nie widzieli i nie podziwiali szczerze w tłómaczeniach Ulricha wszystkich zalet, któremi się odznaczają, to jeszcze w tłómaczu podziwialibyśmy najrzadszą z cnót, abnegacyę. Spędzić wiele lat życia nad Szekspirem, cenić w nim oczywiście najwięcej to co najpiękniejsze, czuć, że się to doskonale po polsku oddać jest zdolnym, a potem wystąpiwszy wreszcie przed czytającą publicznością pokazać jej swoją pracę i swoją zdolność nie na tem co świetne i zdumiewające, co daje najwięcej pola zdolności i najwięcej dać go może chwale, lecz przeciwnie poprzestać na tem, co najmniej powabne i upodobane, to doprawdy poświęcenie, dla Szekspira, i dla literatury polskiej, która w ten sposób doszła przecie do Szekspira całego. Cobyśmy powiedzieli o młodej dziewczynie, która mając pierwszy raz pokazać się między ludźmi, włożyłaby sukienkę, o której wiedziałaby doskonale, że w niej tak dobrze jak w innej wydać się nie może, dlatego że jakaś jej znajoma czy przyjaciółka ma suknię podobną do tej, którą ona włożyć miałaby ochotę, ale nie kładzie jej, żeby nie szkodzić wrażeniu jakie tamta zrobić może? Powiedzielibyśmy, że ta panienka musi mieć złote serce, i niezwykły rozum, że po takich rzeczach na pozór małych nieraz poznać można prawdziwą wyższość. A miłość własna autorska, literacka, nie jest podobno mniejszą od kobiecej, i tłómacz Szekspira, który mógłby się dać poznać w Macbecie, Otellu lub Ryszardzie, a występuje z Henrykiem V, Periklesem i Andronicusem, poświęca swoją miłość własną, effekt jakiby mógł zrobić, tak samo jak ta dziewczyna, która z umysłu a wesoło, z dobrego serca i z dobrym humorem, włożyła brzydszą suknię zamiast ładniejszej. Robią nam wprawdzie nadzieję, że Ulrich wyda niebawem

osobno całego Szekspira w swojem tłómaczeniu: daj Boże: ale dziś nie możemy wstrzymać się od tego, żeby go choć trochę nie żałować, a nie podziwiać bardzo tego braku miłości własnej, i tego stopnia miłości rzeczy i celu, który sprawił, że kolegom swoim ustąpił tego co w Szekspirze najświetniejsze, a dla siebie wziął to, co słabsze, obojętniejsze i mniej czytane. W tomie pierwszym jego przekładu były wszystkie wzgardzone Henryki, w tym drugim znowu kto inny zebrał śmietankę, a w trzecim będzie podobnie.

Z wielkich tragedyj jedna tylko została dla Ulricha, to jest *Antoniusz i Kleopatra.* Nie przeczymy bynajmniej, że w *Troilu i Kressydzie*, albo w *Cymbelinie* znajdzie się wiele pięknych ustępów, które z przyjemnością tłómaczyć można: że w nienawiści, ironii, w mizantropii *Tymona* jest tyle siły, że tłómacz ma sposobność popisać się ze swoim talentem. Ale cóż z tego, kiedy chociażby najpiękniej przetłómaczył, nie zobaczy nigdy na scenie *Troilusa* ani *Tymona*, nie usłyszy swoich wierszy deklamowanych i robiących wrażenie na słuchaczach, co więcej, rzadko kiedy zobaczy *Tymona* lub *Troilusa* w ręku jakiego czytelnika: i za swoją pracę ma tylko jedną pociechę i nagrodę, to, że bez niego nie byłoby całkowitego polskiego przekładu Szekspira. Nie jest to mało, ale nie każdy chciałby na tem poprzestać.

Czy nasi czytelnicy żądają szczegółowego rozbioru wszystkich przełożonych tragedyj, i drobiazgowego wytykania wszystkich drobnych pomyłek? Sądzimy że nie, i że przytoczone dotąd wyjątki z przekładów wystarczą na to, żeby dać o nich dostateczne wyobrażenie. Wspomniawszy zatem krótko, że w *Tymonie*, jak go Ulrich przełożył, jest wielka energia goryczy i szyderstwa, że w *Cymbelinie* z wdziękiem oddane są sceny Imogeny, że w *Kresydzie* znajdujemy zbyt polską, zbyt warszawską, *montową bułeczkę*, przejdziemy do *Antoniusza.* Tylko, jedna przedtem uwaga, oto, że u Ulricha jak u Paszkowskiego pragnęlibyśmy czasem słów równie dosadnych, równie grubiańskich, ale powszechniej używanych, mniej dowolnie ukutych. Na

dowód przytaczamy kilka wierszy z *Tymona*, kiedy bohater oblewa wodą swoich gości:

Tymon.

Bodaj z was żaden, gębni przyjaciele,
Nigdy do lepszej nie zasiadł biesiady!
Naturą waszą dym i ciepła woda.
To pożegnanie Tymona ostatnie;
Umorusany pochlebstw waszych brudem,
Zmywa go teraz, i na twarz wam pluska
Podłością waszą dymiące pomyje.

Antoniusz liczyć się może śmiało do sztuk najlepiej przełożonych z całego zbioru. Zdaje nam się, że dla tej tragedyi czytanie samo nigdy nie wystarczy; że nie tylko żaden przekład, ale sam nawet tekst oryginalny całego wrażenia zrobić nie może. Żeby dobrze sobie zdać sprawę ze zmienności i z potęgi Kleopatry, trzebaby widzieć ją graną przez aktorkę gienialną, którąby umiała połączyć i wyraźnie pokazać wszystko, co w tej naturze jest, być razem żmiją, kameleonem, królewską lwicą, podłą suką, boginią, komedyantką, najpierwszą z królowych i ostatnia z zalotnic, syreną, kochanką, zwodnicą, a w tem wszystkiem taką, że jej widok, jej ruch, jej chód, atmosfera, która ją otacza, jak woń zabójczych, równikowych kwiatów, zawraca głowę, upaja, usypia rozkosznie, i truje. Wyobraźnia sama nie wystarcza, potrzebaby koniecznie pomocy oczów; żeby zrozumieć prawdziwie, trzeba widzieć Kleopatrę, której z czytania, nawet oryginału, domyślamy się tylko.

Drugiej takiej postaci tego co sprowadzone do nieskończenie małych rozmiarów nazywa się w potocznej mowie kokietką, niema na całej literaturze świata. Tylko, że w tem co w braku lepszego słowa nazwać musimy kokieteryą u niej jest gieniusz, jest wielkość, jest absolutny ideał tej rzeczy.

I Kleopatra, i Antoniusz, i wszystkie otaczające ich figury tak rozmaite a tak żywe i ciekawe, wydają się bardzo dobrze w tłómaczeniu Ulricha. Ostrowski ma w swojem

takie niepospolite piękności stylu i wiersza, że jego przekład jest zapewne świetniejszym. Ale też trzeba rozróżnić stanowisko i cel obu tych tłómaczów, i pamiętać, że każdy z nich chciał czego innego, a przeto miał przy tłómaczeniu inne warunki do zachowania. Ostrowski wyjął z dzieł Szekspira tę sztukę, i powiedział sobie, że ją przeleje w polski język i wiersz jak tylko zdoła najpiękniejszy. Udało mu się zupełnie, co chciał, to zrobił, jak już świetniej nie można. Ale tłómacząc z tą myślą, z tym przeważnym względem na piękność formy, on tłómaczy wiernie, ale nie może już trzymać się oryginału tak ściśle, jak ten kto o dokładność tekstu dba więcej niż o piękność formy. Dowodem może być choćby to jedno, że całą sztukę zarówno tłómaczy wierszem.

Zaś w przekładzie całkowitym, jak ten, który przed sobą mamy, chodzi przedewszystkiem o to, żeby on był wierzytelnym autentycznym polskim tekstem Szekspira. I dlatego wszyscy trzej tłómacze mieli zupełną słuszność i robili doskonale, jeżeli zmuszeni wybierać i coś poświęcać, wybierali ścisłość, a poświęcali dźwięk wiersza, ozdobność i elegancyę zwrotów. Z tego powodu, choć nie próbujemy przeczyć, że *Antoniusz* Ostrowskiego jest świetniejszy, nie przestaniemy wierzyć i dowodzić, że przekład Ulricha nie jest od tamtego mniej dobry. On jest tylko w innych warunkach, z innemi wymaganiami przedsięwzięty. A że tym warunkom i wymaganiom piękności siły, kolorytu, czyni zadość w mierze bardzo jeszcze szerokiej, o tem przekonać mogą każdego następujące wyjątki:

Kleopatra.

O, pieśni! pieśni! smutnego pokarmu dla zakochanych.

Sługa.

Wołajcie śpiewaka.

(*Wchodzi Mardyan*).

Kleopatra.

Nie — wolę teraz grać w bilard; chodź Charmian.

Charmian.

Ręka mnie boli; graj raczej z Mardyanem.

Kleopatra.

Toć grać z rzezańcem to jak grać z kobietą.
Czy chcesz grać ze mną?

Mardyan.

O ile potrafię.

Kleopatra.

Przy dobrej woli, mimo niedostatku.
O przebaczenie prosić może aktor.
Lecz to na póżuiej. — Przynieście mi wędkę;
Przy słabym dźwięku odległej muzyki
Szaro-płetwiste zwodzić będę ryby,
Lipkie ich szczęki haczykiem przeszywać,
Na ląd je ciągnąc wyobrażę sobie,
Że każda rybka moim jest Antonim.
Krzyknę z radością: złapałam cię przecie!

Charmian.

Pamiętam radość, gdyście szli o zakład,
Kto z was na wędkę więcej ryb ułowi;
A więc twój nurek solonego śledzia
Przyczepił zręcznie do jego haczyka
On tryumfalnie na brzeg go wyciągnął.

Kleopatra.

Szczęśliwe czasy! Kiedym mu cierpliwość,
Odjęła śmiechem, by ją w nocy śmiechem
Wrócić mu znowu, następnego rana;
Upojonego posłałam do łóżka,
Skryłam go w fałdach płaszczy mych i sukni
A przypasałam jego miecz z Filippi.

(Wchodzi posłaniec).

Ha! z Włoch przybywasz? Siej błogie nowiny,
W mojem tak długi czas niepłodnem uchu!

Posłaniec.

O, Pani, Pani!

Kleopatra.

Co? Umarł Antoni?
Jeśli tak powiesz, panię twą zabiłeś.
Jeśli doniesiesz, że zdrów jest i wolny,
Zabierz to złoto. Widzisz na tej ręce
Niebieskie żyłki? możesz je całować,
A król ich żaden nie dotknął ustami,
Żeby nie zadrżał.

Posłaniec.

Dobrze mu się dzieje.

Kleopatra.

Weż to w dodatku — ale jest zwyczajem
Mówić o zmarłych; dobrze im się dzieje,
Jeśli twe słowa w takiej były myśli,
Wszystko to złoto każę w ogniu stopić
I wlać stopione w gardło twe przeklęte.

Posłaniec.

Słuchaj mnie, Pani.

Kleopatra.

Słucham, lecz w twej twarzy
Złego coś czytam: bo jeśli Antoni
Zdrów jest i wolny, zkąd tak kwaśna mina,
Aby tak słodką przynieść mi wiadomość?
A jeśli chory, czemu nie przychodzisz,
Jak furye piekieł, z wężami na głowie?

Posłaniec.

Czyli mnie raczysz wysłuchać, królowo?

Kleopatra.

Mam bić cię chętkę, nim usta otworzysz.
Lecz jeśli powiesz, że Antoni żyje,
Że zdrów jest, że jest w przyjaźni z Cezarem,

Za takie słowa deszcz złota, grad pereł
Spuszczę na ciebie.

Posłaniec.

Zdrów jest.

Kleopatra.

Drogie słowa!

Posłaniec.

I żyje w dobrej z Cezarem przyjaźni.

Kleopatra.

Uczciwy z ciebie jak widzę, posłaniec.

Posłaniec.

Nigdy w tak dobrej nie żyli przyjaźni.

Kleopatra.

Na skarbach moich gruntuj twe bogactwo.

Posłaniec.

A jednak, Pani —

Kleopatra.

Brzydzę się tem *jednak*;
To *jednak* szpeci cały wstęp twój piękny,
To twoje *jednak* jest jak stróż więzienia,
Co ma strasznego wprowadzić zbrodniarza.
Mój przyjacielu, na raz wylej, proszę,
Cały twój zapas złych i dobrych nowin.
Mówisz, że żyje w przyjaźni z Cezarem,
Zdrów jest i wolny.

Posłaniec.

Wolny? O, nie, Pani,
Tegom nie mówił; on jeńcem Oktawii.

Kleopatra.

Gdzie go zamknęła?

Posłaniec.

W małżeńskiej komnacie.

Kleopatra.

Charmian, umieram!

Posłaniec.

Mężem jest Oktawii.

Kleopatra.

Niech wszystkie spadną na ciebie zarazy!
(Uderza go).

Posłaniec.

Pani, cierpliwość!

Kleopatra.

O, precz ztąd, nędzniku!
(Uderza go znowu).
Lub oczy twoje ścisnę jak dwie gałki.
Wydrę ci włosy, *(Ciągnie go po scenie).*
Każę zaknutować,
Albo w solonej na śmierć smażyć wodzie.

Posłaniec.

Małżeństwo, Pani, o którem donoszę,
Nie jam skojarzył.

Kleopatra.

Powiedz, że to kłamstwo,
A dam ci powiat mojego królestwa,
Fortuna twoja zbudzi ludzką zazdrość;
Przez wzgląd na razy, które otrzymałeś,
Przebaczę, żeś mnie do wściekłości przywiódł,
W dodatku nawet dam, czego zażądasz.

Posłaniec.

On żonę pojął.

Kleopatra.

Ha! zbyt długo żyłeś!
(Dobywa sztyletu).

Posłaniec.

Co robisz, Pani? Nie moja w tem wina. *(Wybiega).*

Charmian.

Miarkuj się, Pani, człowiek ten niewinny.

Kleopatra.

Nieraz niewinny zginął od pioruna.
Cały mój Egipt niech w Nilu zatonie!
W węże się zmienią łagodne stworzenia!
Lecz idź, przywołaj tego niewolnika;
Choć jestem wściekła, kąsać go nie będę.

Albo scena, kiedy Antoniusz uwiedziony wieścią o śmierci Kleopatry odbiera sobie życie:

Antoniusz.

Czyli mnie jeszcze widzisz?

Eros.

Widzę, Panie.

Antoniusz.

W obłokach nieraz widać obraz smoka,
Lwa, lub niedźwiedzia, lub fortecznej baszty,
Skały urwistej, rosochatej góry,
Modrego, w drzewa strojnego przylądka,
Które z wiatrami kołysać się zdają,
Z ócz naszych szydzą powietrzną ułudą;
Widziałeś pewno podobne zjawiska;
Są to parady ciemnego Wespera.

Eros.

Widziałem, Panie.

Antoniusz.

To co było koniem,
Nim okiem mrugniesz, zamazała chmura,
Zmięszała wszystko jak wodę wśród wody.

Eros.

To prawda.

Antoniusz.

Eros, podobnem zjawiskiem
Twój wódz jest dzisiaj; jeszcze jest Antonim,
Lecz kształtu mego zachować nie mogę.
Dla niej tę wojnę toczyłem jedynie,
Liczyłem na to, że miałem jej serce.
Bom dał jej moje; gdybym go był nie dał,
Serc mógłbym innych miliony pozyskać,
Którem dziś stracił; a ona z Cezarem
Przeciw mnie chytrze ułożyła karty,
I wrogom honor mój przeszachrowała.
Lecz nie płacz, Eros, sam sobie zostałem,
By koniec moim położyć boleściom.
(*Wchodzi Mardyan*).
Ha! niewolniku, twoja podła pani
Mój miecz mi skradła.

Mardyan.

O, nie, Antoniuszu,
Moja cię pani kochała, i w jedno
Z twem przeznaczeniem splotła swoje losy.

Antoniusz.

Milcz, podły kłamco, ona mnie zdradziła.
I umrze.

Mardyan.

Człowiek raz tylko umiera:
Królowa moja dług ten już spłaciła
I już się stało, co pragnąłeś zrobić.
Ostatniem słowem jej było: Antoni!
Lecz krzyk boleści w gardle jej to słowo
Na pół przełamał, i tak pozostanie
Między jej sercem a między ustami,
W umarłem ciele jak w grobie zamknięta.

Antoniusz.

A więc umarła?

Mardyan.

Umarła.

Antoniusz.

Mój słngo,
Rozbrój mnie, proszę; długiego dnia praca
Już się skończyła, i czas już wypocząć.
(*Do Mardyana*).
Twoją fatygę dość płacę ci drogo
Kiedy żywemu odejść ci pozwalam.
Precz ztąd. (*Wychodzi Mardyan*).
Mój Eros, zdejm mi to żelazo;
Nawet Ajaksa tarcza siedmioskórna
Bić mego serca wstrzymaćby nie mogła.
Pęknij ma piersi! a ty, serce moje,
Bądź raz silniejsze od twojej powłoki
I słabe twoje rozedrzyj więzienie!
O, śpiesz się! Już ja nie jestem żołnierzem,
Żegnaj więc, moja zbrojo posiekana!
Nie bez honoru długo cię nosiłem.
Zostaw mnie chwilę.
(*Wychodzi Eros*).
Idę, Kleopatro,
O przebaczenie ze łzami cię błagać.
I tak być musi — zwlekać jest to cierpieć.
Gdy zgasła lampa, czas się już położyć;
Dziś wszelka praca marną tylko będzie,
I wysilenie samo łamie siłę.
Przyłóżmy pieczęć — wszystko się skończyło.
Eros! — królowo, idę. — Eros! — Czekaj!
A ręka w ręce pośpieszymy razem
Tam, gdzie na kwiatach spoczywają dusze;
Widok nasz duchów ciekawość rozbudzi,
Dydo się ujrzy sama z Eneaszem,
Bo wszystkie cienie pogonią za nami.
Eros, przybywaj!
(*Wchodzi Eros*).

Eros.

Co chcesz mi rozkazać?

Antoniusz.

Eros, od czasu śmierci Kleopatry
W ohydzie żyję, moją nikczemnością
Bogi się brzydzą. Ja, co mieczem moim
Świat mogłem kiedyś do woli ćwiartować,
Com z mych okrętów na niebieskich falach.
Budował miasta, ja się dziś oskarżam,
Że nie mam męztwa tyle co kobieta,
Która z wznioślejszym odemnie umysłem
Ginąc, naszemu rzekła Cezarowi:
„Zwycięzcą moim sama tylko jestem.“
Wszak mi przysiągłeś, że gdy przyjdzie chwila
(A przyszła dzisiaj), w której się obaczę
Na łup wydanym grozie i niesławie,
Śmierć mi na rozkaz bez wahania zadasz;
Dotrzymaj słowa, bo czas ten już przyszedł,
Nie mnie uderzysz — zwyciężysz Cezara.
Nie blednij tylko.

Eros.

Uchowaj mnie Boże!
Jażbym miał ręką mą dokonać, Panie,
Czego nie mogly wszystkie Partów strzały
Choć wrogów twoich?

Antoniusz.

Wolisz z okien Rzymu
Z założonemi widzieć mnie rękami,
Z głową ugiętą pod hańby ciężarem,
I z twarzą wstydu romieńcem oblaną,
Za tryumfalnym rydwanem Cezara?

Eros.

O, nigdy! nigdy!

Antoniusz.

Dotrzymaj więc słowa:
Tylko żelazo wyleczyć mnie zdoła.
Dobądź więc z pochew wiernej szabli twojej,
Którą ojczyźnie służyłeś uczciwie.

Eros.

Przebacz mi, Panie!

Antoniusz.

Gdy ci wolność dałem,
Czy nie przysiągłeś, że na pierwszy rozkaz
Dokonasz tego? Więc zrób to natychmiast,
Lub wszystkie twoje minione usługi
Były jedynie przypadkiem bezwiednym.
Dobądź i uderz.

Eros.

To wprzódy odemnie
Szlachetne odwróć oblicze, na którem
Całego świata spoczywa majestat.

Antoniusz.

Chętnie. (*Odwraca się*).

Eroś.

Dobyty już miecz.

Antoniusz.

Bez wahania
Dokonaj czynu.

Eros.

Pozwól drogi Panie,
Dobry mój wodzu, mój imperatorze,
Niech cię pożegnam, nim cios zadam krwawy.

Antoniusz.

Bądź zdrów! Lecz śpiesz się!

Eros.

Bądź zdrów, wielki wodzu!
Mamże uderzyć?

Antoniusz.

Teraz.

Eros.

Niech tak będzie.
(Przebija się).
To od wiecznego wyzwoli mnie smutku,
Żem mógł być sprawcą śmierci Antoniusza.
(Umiera).

Antoniusz.

Trzykroć odemnie szlachetniejszy sługo,
Tyś mnie nauczył, co muszę sam zrobić,
Skoro dokonać tego ty nie mogłeś.
Eros, królowa, szlachetnym przykładem
Budzą w mych piersiach godności uczucie.
Więc będę śmierci młodym narzeczonym!
Jak do małżeńskiej pośpieszę komnaty.
Patrz, Eros, pan twój umiera twym uczniem;
Tyś mi pokazał, jak trzeba uderzyć.

V.

We wszystkich prawie wydaniach Szekspira, angielskich czy obcych, zachowuje się ten zwyczaj, że szereg komedyj rozpoczyna *Burza*. Czy „z wieku jej i z urzędu ten zaszczyt należy?“ W każdym razie z wieku, skoro znawcy dowodzą, że ona jest jednem z ostatnich, jeżeli nie najostateczniejszem z dzieł poety. A więc z urzędu? Może są między komedyami takie, które miałyby prawo protestować przeciw bezwzględnemu pierwszeństwu *Burzy:* ale, że choć nie bezwzględnie pierwsza należy do pierwszych, że jest jednym z najbardziej uroczych klejnotów poezyi Szekspira i świata, któżby jej śmiał tego zaprzeczyć. Wdzięk, jaki

bywa w fantastycznych a choćby i w dziecinnych powiastkach, nigdy nie był tak uchwycony, tak podniesiony do godności i blasku poezyi, jak tu, gdzie geniusz i sztuka do jakiejś historyjki o zaczarowanej wyspie, historyjki nie lepszej zapewne od tysiąca podobnych, dorobiły cudowne postacie Ariela, Mirandy i Fernanda. Za arcydzieło zupełne i doskonałe w swoim fantastycznym i nieco idyllicznym rodzaju uchodziła *Burza* zawsze, za brylant bez najmniejszej skazy, za perłę najdoskonalej, najrówniej okrągłą; i dlatego może wydawcy Szekspira lubią kłaść ją na pierwszem miejscu między komedyami. Nasi nie odstąpili od tej dawnej tradycyi, i tom trzeci *Dzieł Szekspira*, zawierający komedye, rozpoczęli od *Burzy*, tłómaczonej przez Paszkowskiego.

Ale ta doskonałość dzieła i ten jego wdzięk niezrównany, zasadzający się właśnie na naiwnej a jak lot motyla lekkiej i kapryśnej fantastyczności tego świata, który tam jest przedstawiony, sprawia, że tłumaczyć *Burzę* to zadanie jedno z najtrudniejszych na tym świecie. Trzeba mieć w swoim stylu słowa lekkie i przejrzyste jak powietrze, żeby na nich swobodnie mogła się kołysać zefirowa postać Ariela, i słowa proste, jak pierwsze słowa dziecka, a jaśniejące jak pierwszy uśmiech miłości, żeby budzące się uczucie Mirandy dobrze się w nich wydać mogło. I dlatego czytając *Burzę*, żałuje się zawsze tak samo, jak przy *Śnie Nocy Letniej*, że jej na polskie nie przetłómaczył Słowacki. On jeden z Polaków mógłby był, sądząc po fantastycznych scenach Balladyny, zrobić taki przekład tych dwóch rzeczy, w którym żaden ich wdzięk i żaden blask nie byłby zaginął, nie byłby się starł żaden tęczowy pyłek z motylich skrzydełek Puka czy Ariela.

Ale Paszkowskiego przekład *Burzy*, choć oryginałowi nie ze wszystkiem równy, a o tem tylko marzyć można nie zaś rozsądnie tego od tłómacza żądać, jest nie tylko bardzo dobry, ale i bardzo ładny. Zaraz w pierwszej scenie zamięszanie i trwoga okrętowej załogi, gniewny i szorstki ton Bosmana, łającego tych wszystkich wielkich panów, którzy mu swojemi osobami i pytaniami zawadzają na pokładzie

w chwili niebezpieczeństwa, usposabia czytelnika przychylnie dla tłómacza i tłómaczenia. A dalsze sceny dotrzymują co obiecuje pierwsza. Czasem, rzadko, jakieś wyrażenie, które razi trochę, jak naprzykład *kwestya* (w drugiej scenie tego aktu), lub razi bardzo, jak *eksploatować* (akt drugi scena pierwsza) — (przyznajemy zresztą, że w pierwszej scenie aktu trzeciego, *admiracya* uniknąć się nie dała, bo tłómacz musiał użyć w tem miejscu jakiegoś słowa pokrewnego imieniu Mirandy) — oto wszystko, z czego możnaby tłómaczowi zrobić zarzut dotykalny i dający się dowieść. Bo wdawać się we wszystkie subtelne odcienia stylu na to, by dowieść, że styl tłómacza poetycznym urokiem nie dochodzi stylu Szekspira, to robota naprzód nie prowadząca do niczego, bo te różnice nie dadzą się uchwycić, określić i dowieść, a następnie robota niepotrzebna, bo każdy wie, że przekład oryginałowi zupełnie równy jest wyjątkiem nie regułą, i że mu zarzutu ztąd słusznie robić nie można, jeżeli pozostał cokolwiek niżej od oryginału. W tym razie tak się stało istotnie; ale różnicę tę przyjmując jako konieczność, przyznać trzeba z prawdziwą radością, że przekład pomimo wszystkich niezwykłych trudności udał się bardzo szczęśliwie. W roli Aryela, czy szemrze a wyłajany przez Prospera pokornie przeprasza, czy zwodzi i straszy rozbitków, czy Fernanda czaruje swoim śpiewem, czy wreszcie cieszy się naprzód obiecaną wolnością, jest naprawdę wiele gracyi i wdzięku. Oto naprzykład ten śpiew, którym wodzi po wyspie pięknego młodzieńca, żeby go zawieść do groty dziewczyny:

Śpiew Aryela.

Pójdź tu, drużyno hoża,
Na ciche ten brzeg morza;
A gdy uściśniecie,
Niech dłoń się z dłonią splecie,
I w krąg zawodząc tany,
Śpiewajcie naprzemiany!
Czy słyszysz tam?
(*Głosy tu i owdzie*). Ham! ham!

To piesków nuta.
(*Głosy tu i owdzie*). Ham! ham!
Czy słyszysz tam? Koguta
Poznaję po tym krzyku;
On woła: kukuryku!

Ferdynand.

Zkąd ta muzyka? Z powietrza? czy z ziemi?
Już brzmieć przestała: — brzmiała ona pewnie
Bóstwu tej wyspy. Siedziałem nad brzegiem,
Śmierć króla, ojca mego opłakując,
Wtem ona ku mnie z nad fal zaleciała,
I ukoiła ich gniew a mój smutek
Słodką melodyą. Pobiegłem tu za nią,
A raczej ona mię tu pociągnęła: —
I zamilkła nagle. — Nie, zaczyna znowu.

Aryel (*śpiewa*).

Twój ojciec leży w głębi fal:
Koralem kości jego,
Perłami oczy: — ukoj żal,
Nie spotka go nic złego:
Bo może pod swą cudną tonią
Bogaci owszem wszelki twór.
Tam nimfy wodne wciąż mu dzwonią;
Czy słyszysz? — dyn! dyn! — Ich to chór.

Chór.

Dyn! dyn! dyn!

Ferdynand.

Śpiew ten odnawia w mej pamięci stratę
Drogiego ojca. Nie wyszedł on z piersi
Istot śmiertelnych; nie ziemskie to dźwięki:
Jeszcze je słyszę gdzieś tam w górze.

A ta radość Aryela, kiedy wie, że za chwilę będzie już wolnym:

Będę miód ssał razem z pszczółką
Łożem mojem będzie ziółko,
Pyłki kwiatów mą podściółką
Z nietoperzem i pustułką
Będę w nocy latał w kółko —
Rozkosznie, rozkosznie będę żył znów
Wśród kwiecia cienistych drzewin i krzów.

Bardzo ładnie tłómaczona jest ta rozmowa, w której Prosper przypomina mu ciężką jego niewolę u czarownicy Sycorax, i grozi podobną, jeżeli nie będzie posłusznym. Ale co wypadło wybornie, to cała rola Kalibana i jego przyjaciół pijaków. Oto naprżód jego słowa, kiedy się upił i przystał na służbę do nowego pana, rozczulony wódką, a więcej nadzieją wyzwolenia się z pod władzy Prospera:

Powiodę kędy leśne jabłka rosną,
Długiemi paznokciami wygrzebywać
Będę ci trufle: Wskażę sojcze gniazda.
Nauczę chwytać zwinne koczkodony,
Orzechy zbierać ci będę, i szukać
Dla cię po skałach młodych mew.

To stworzenie, które od bydlęcia różni się tylko mową (i złem sercem), jest blizkiem natury jak zwierzęta, i zna różne jej tajemnice, ma jakiś swój instynktowy przemysł, jakąś wrodzoną sztukę i zręczność w zaspokajaniu swoich potrzeb, którą człowiek tracił w miarę, jak swoje życie od życia innych stworzeń oddzielał.

A to znowu jego pieśń tryumfalna po pijanemu wyśpiewana, przełożona nie dosłownie ale bardzo zręczie:

Nie będę mu już łowić ryb
Ni nosić drzewa
Jak zaśpiewa
Ni czyścić naczyń w zwykły tryb.
Hej dana! dana!
Kaliban ma innego pana.
Innego sobie szukaj Kalibana.

Jego lenistwo, jego złość, jego chęć zemsty i strach, wszystko oddane jest doskonale: za dowód niech służy jego pierwsza rozmowa z Prosperem:

Prospero.

Przeklęty leniu, przez samego czarta
Spłodzony z twoją matką! Czy nie wyjdziesz?
(*Wchodzi Kaliban*).

Kaliban.

Żeby zatruta rosa na was spadła!
Podobna do tej, jaką moja matka
Piórami kruka zbierała z błot zgniłych;
Żeby was wschodnio-południowa wieja
Raziła nagle i okryła trądem!

Prospero.

Za to przekleństwo spędzisz tę noc w kurczach;
Kolki ci w piersiach zatamują oddech;
Pijawki cię obsiędą i tak gęste
Porobiąć cięcia, jak komórki w ulu;
A każde cięcie, hardziej boleć będzie
Niż ukąszenie pszczół, co je budują.

Kaliban.

Muszę zjeść obiad. Ta wyspa jest moją
Z prawa po matce, i tyś mi ją zabrał.
Gdyś się tu zjawił, głaskałeś mię zrazu,
I szło ci o mnie; dawałeś mi wody
Z jagodzinami, uczyłeś mię nazwisk
Tego wielkiego i małego światła,
Co tleje dniem i nocą; to też wtedy
Lubiłem ciebie; tom ci też wskazywał
Wszelkie własności tej wyspy: jej słone
I słodkie źródła, grunt płodny i żyzny.
Bodajem zmarniał za to! Niech was razem
Opadną wszystkie plagi Sykoraksy:
Jaszczurki, żaby, chrząszcze, nietoperze!
Gdy ja, co byłem tu wszechwładnym panem,

Obrócon jestem przez was w poddanego,
I z łaski waszej, jak pies na łańcuchu,
Przykuty jestem do tej twardej skały,
Zdala od reszty świata.

Prospero.

Podły kłamco!
Czuły na chłostę, nie na dobrodziejstwa!
Jam cię traktował po ludzku; kał taki
Gościłem w chacie, pókiś nie targnął
Na honor mego dziecka.

Kaliban.

Ho! ho! Szkoda,
Żeś w porę przyszedł, aby mi przeszkodzić;
Inaczej byłbym był Kalibanami
Zaludnił wyspę.

Prospero.

Nędzny tworze, w którym
Dobrych skłonności niema ani śladu,
A wszełkie złe się krzewią! jam miał litość
Nad twoim stanem; nie szczędziłem trudu,
By cię nauczyć mówić; co godzina
Umysł twój wzbogacałem. Gdyś w dzikości
Nie wiedział nawet sam, czego pragnąłeś,
Tylkoś mamrotał jak zwierzę, jam w usta
Włożył ci słowa do oddania myśli.
Ale skażonej twej naturze tkwiło,
Mimo nauki, coś, z czem szlachetniejsze
Usposobienia nie mogły się zgodzić:
Zostałeś przeto słusznie osadzony
W tej skale, luboś właściwie zasłużył
Na coś gorszego niż więzienie.

Kaliban.

Z mowy,
Której się, dzięki tobie, nauczyłem,
Tyle mam zysku, że przeklinać umiem.

Niechaj zaraza na cię spadnie za tę
Twoją naukę!

Prospero.

Precz szatańskie plemię!
Przynieś drzazg, śpiesz się, bo cię jeszcze czeka
Inna robota. Wzruszasz ramionami?
Słuchaj ladaco: jeśli mi zaniedbasz,
Albo niechętnie spełnisz, co ci każę,
To cię nabawię pedogrycznych bolów
I darcia w kościach, tak, że ryczeć będziesz,
I rykiem swoim przerażać zwierząta.

Kaliban.

O, nie czyń tego, błagam. (*Na stronie*). Muszę uledz,
Bo on jest tak potężny, żeby zdołał
Zmódz i ujarzmić samego Seteba,
Boga mej matki.

Wreszcie jako próbka stylu poważnego a wysokiego niech służy ta przemowa, którą Prosper żegna swoją wyspe i wszystkie podległe sobie stworzenia:

Prospero.

Sylfy pagórków, strug, jezior i gajów
I wy, co śladów niezostawiającą
Stopą ścigacie po morskich wybrzeżach
Neptuna, kiedy odpływa, a kiedy
Wraca, pierzchacie; drobne półistotki,
Co przy promieniu księżyca tworzycie
Zielone krążki, kwaśne w smaku, których
Owce gryść nie chcą, albo grzybki nocne;
Co się odgłosem wieczornego dzwonka
Rozkoszujecie; przy pomocy których,
Lubo tak wątłych, zaćmiewałem słońce.
W samo południe, rozpasane wichry
Wywoływałem, znaglałem do walki
Zielone morze z lazurowym stropem,

Straszliwe grzmoty uzbrajałem ogniem,
I Jowiszowe dęby własnem jego
Berłem kruszyłem, wstrząsałem warownie,
Posady lądu i wykorzeniałem
Sosny i cedry; coście byli świadkiem,
Jak na mój rozkaz groby przebudzały
Uśpionych swoich mieszkańców,
I za mą sprawą stanąwszy otworem,
Z łona ich swego puszczały; — wam wszystkim
Wiadomo czynię, że się odtąd zrzekam.
Tego ciemnego potężnego kunsztu.

Dwaj panowie z Werony to starzy znajomi od lat przeszło dziesięciu, znajomi z pierwszego tomu przekładów Stanisława Koźmiana. Za niemi idą *Figle Kobiet* — tak bowiem Paszkowski nazwał *The merry wives of Windsor*. Czy dobrze nazwał? nie śmiemy orzekać, ale to wiemy, że dotychczasowe polskie przerobienia tego tytułu, *Puste Kobiety* lub *Wesołe Kumoszki z Windsoru* nie zupełnie także przypadały nam do smaku. Epitet *pustych* nie przypada ani do angielskiego *merry*, ani do wieku i humoru tych kobiet, które są wesołe, ale na pustoty za dojrzałe. A *kumoszki*, to także nie dla nich nazwa, bo tę dają sobie gospodynie ze wsi, przekupki, żony wyrobników lub rzemieślników, ale nie takie bogate obywatelki, których mężowie mają kamienice, zapewne jakiś handel, może i urząd sędziego pokoju, ławnika lub może nawet burmistrza; słowem, tytuł komedyi, prawda, że do przetłómaczenia na polskie trudny, bo nie mamy nic coby tak dobrze oddawało odcień oryginału, jak niemieckie *Lustige Weiber*, lub francuskie *Joyeuses Commères*, tytuł ten dotąd dobrze przetłómaczonym nie jest. Ale mniejsza o tytuł. Przeciw komedyi samej nie mielibyśmy nic, przynajmniej nic ważnego: za to znajdziemy błędy rażące, krzyczące, tam gdzieby ich najmniej można się spodziewać i obawiać, w spisie osób. Nie chce się wierzyć swoim oczom, widząc nazwisko *Page* przetłómaczone na polskie *Paź* — *pan Paź, pani Paź*, czemuż już nie Paziowa? i *panna Anna*

Paź (czy Paziówna). Że *page* znaczy na polskie *paź*, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, ale w tym razie *Page*, jak wskazuje sama wielka litera na początku, jest imieniem własnem, a imiona własne nawet kiedy coś znaczą, nie tłómaczą się na obcy język. Ale jeżeli to da się nie usprawiedliwić, lecz mylnem zapatrywaniem wytłómaczyć, to tego już żadną miarą zrozumieć nie można, dlaczego tłómacze zastępują nazwiska angielskie nadane osobie przezSzekspira, innem angielskiem przez siebie wymyślonem? *Ford* i jego żona figurują w naszym przekładzie jak *pan Wud* i *pani Wud*. Dlaczego? Gdyby jeszcze to nazwisko było trudnem do wymówienia, możnaby domyślać się jakiegoś zrozumiałego powodu, ale dalibóg łatwiej wymówi się *Ford* niż *Wud*. I dlaczego *Wud* właśnie? czemu nie *Pud*, albo *Gud*, albo *Bud*, albo cokolwiek innego? Dlaczego tak bez potrzeby, bez najmniejszego powodu, jak żeby naumyślnie odstępować od oryginału, a tem odstąpieniem szpecić bardzo dobre tłómaczenie? Dlatego, że Niemcy tę biedną panię *Ford* przechrzcili na *Frau Fluth*? Że oni źle zrobili, to nas nie usprawiedliwia; a jeżeli już oni mają być naszą wymówką i naszym wzorem, to lepiej już było trzymać się tego wzoru i zostawić niemieckie nazwisko *Fluth* a z niem niemieckim tłómaczom i odpowiedzialność za zmianę. A najlepiej było nie tykać oryginalnego nazwiska. Na widok tych *Paziów* i *Wudów* przejęła nas taka zgroza, że *pani Kwikli* (prawda, że nie po raz pierwszy widziana) już nas prawie nie zgorszyła. A to jeszcze nic; jest coś gorszego. Czy uwierzysz czytelniku, że te dwie wesołe czy puste kobiety, czy kumoszki, które znasz tak dobrze, ta żona o którą Ford jest tak zazdrosny, i ta druga, matka rodziny, matka Anny Page, są obie pannami? Nie wierzysz? zajrzyj do spisu osób tej komedyi w polskim przekładzie dzieł Szekspira, a zobaczysz czarno na białem i jasno jak słońce ***Miss*** *Wud* i ***Miss*** *Paź*. Czyż wydawcy nie wiedzieli, że *miss* to panna, i że mężatka to nie panna? i że mężatka w Anglii nie używa tytułu *miss* ale *mistress*? Do nich należało poprawić tę pomyłkę tak małą a tak ogromną, jeżeli ją tłómacz jakimś niepoję-

tym sposobem popełnił, i na nich spada odpowiedzialność. Należało napisać po prostu, po polsku: *pani Page* i *pani Ford*, a jeżeli nie, to tak jak piszą Anglicy *mistress*. Ale jeżeli nas domysł nie zawodzi, to kolosalna śmieszność tej pomyłki musi być skutkiem tej nieszczęśnie przyjętej (choć niekonsekwentnie zachowywanej) zasady naśladowania angielskiej wymowy polską ortografią. Jak wiadomo, *mistress* wymawia się w całem swojem brzmieniu tylko, kiedy podwładni mówią do swoich pań, a w innych razach *t* i *r* gdzieś się podziewa, a zostaje jakieś niewyraźne *missis*, czy coś podobnego. Czy nie to brzmienie czasem naśladować chciano? a że ono jest tak niewyraźne, tak skrócone i ściśnięte, że Anglicy sami literami dokładnie wypisać go nie mogą, więc obcięto jego drugą połowę, zostawiono pierwszą, i w ten sposób z kobiet zamężnych i matek zrobiono dwie panny. Nic brzydszego, jak mówić złośliwie *a widzisz*, kiedy ktoś źle wyszedł na tem, że naszych rad nie słuchał: ale nie możemy wstrzymać się od uwagi, że śmieszność ta, której pierwsi i najserdeczniej żałujemy, wychodzi na stwierdzenie słuszności naszych zdań i przestróg. Od dziesięciu lat, bo od wyjścia pierwszego tomu tłómaczeń Koźmiana, prosiliśmy i błagali, żeby pięknych i cennych rzeczy nie szpecić małemi brzydotami i nie naśladować brzmień angielskich polską ortografią, ale zostawić nazwiskom ich własną. Głos wołający na puszczy nie przekonał nikogo; zasada (chcielibyśmy prawie powiedzieć *mania*) polszczenia utrzymała się w najlepsze i darzyła nas *Uorekami* i *paniami Kwikli*, aż wreszcie siłą rzeczy doprowadziła się sama do niedorzeczności, kiedy z żon i matek porobiła panny. Miejmy nadzieję, że się tem przynajmniej sama raz na zawsze zabije, i że w drugiem (które daj Boże) wydaniu znikną te nieprzyjemne i brzydkie skazy, któremi obecne zepsułe jest tak niepotrzebnie, tak bez powodu, a już bez ratunku.

Znowu o tytuł kłócić się musimy, tym razem z Ulrichem. *Miarka za miarkę?* co to znaczy? po jakiemu to? czy jest jakie polskie przysłowie, lub polski sposób mówienia, któryby do tego był podobny? Jest zapewne: ale jeżeli

tłómacz chciał koniecznie zachować *miarkę*, to powinien był napisać: *Jaką miarką mierzysz*, choćby był dla krótkości i opuścił dalszy ciąg, *taką będzie ci odmierzono;* czytelnik byłby się już domyślił, o co chodzi, byłby poznał zbyt znane przysłowie. Ale i tego nie było potrzeba. Wszakże jest wyrażenie doskonałe, zawsze w ustach każdego, do angielskiego *Measure for Measure*, przystające jak druga rękawiczka z tej samej pary, to *Wet za Wet*, wskazany, naturalny, jedyny dobry tytuł polski dla tej komedyi, i nieraz już używany nawet, (niedalej jak w rozprawie hr. Kazimierza Stadnickiego). Dlaczego Ulrich go nie użył? Chyba przez zapomnienie, przez roztargnienie, bardzo naturalne u człowieka, który nad tłómaczeniem strawił tyle czasu i zadał sobie tyle trudu, że chwilami może już nie dojrzeć tego co najbliższe i najprostsze. W spisie osób znajdujemy *panią Przepieczoną* (mrs Overdone), z którą nasz sposób myślenia tak samo zgodzić się nie może, jak niegdyś z *panią Żwawińską*. Ale przekład sam tej komedyi, która nie należąc do najcelniejszych, musi, jak sądzimy, należeć do bardzo trudnych przez mnóstwo konceptów, przekręceń, dwuznaczników, któremi jest naszpikowana, wydał nam się bardzo dobrym. Komedya zaś sama, choć jej do innych daleko, ma swoje ustępy bardzo piękne, a ten romantyczno-filozoficzny książę, który udaje daleką podróż, żeby z klasztornego ukrycia śledzić co się w jego kraju dzieje, miewa czasem choć młody takie myśli głębokie, spokojne a smutne, jak żeby z habitem był włożył na siebie i wiek i doświadczenie Lorenza z Romea i Julii. Oto naprzykład piękne i pięknie przetłómaczone jego kazanie o marności tego świata do skazanego na śmierć Klaudia:

Książę.

Na śmierć się gotuj, a śmierć albo życie
Słodsze ci będą. Z życiem tak rozumuj:
Jeśli cię stracę, stracę rzecz, o którą
Jeden się tylko może głupiec troszczyć.
Bo czemże jesteś? Tylko lekkiem tchnieniem!

Wszystkich niebieskich wpływów niewolnikiem,
Swój dom co chwila boleścią napełniasz.
Tylko igraszką śmierci jesteś wieczną!
Całą twą troską, jak od niej uciekać,
A uciekając, do niej tylko lecisz.
Wszelka szlachetność daleko od ciebie,
Bo pospolitość wszystkich twych rozkoszy
Jest rodzicielką; nie masz i odwagi,
Bo drżysz przed żądłem lichego robaka:
Sen jest najlepszym twoim wypoczynkiem;
Często go szukasz, a przecie nikczemnie
Śmierci się lękasz, która snem jest tylko.
Nie jesteś samo sobą, bo cię składa
Tysiąc atomów z prochu wydzielonych.
Na chwilę nawet nie jesteś szczęśliwe,
Bo gonisz za tem, czego nie posiadasz,
A nie dbasz o to, co w twem posiadaniu.
Nie jesteś stałe, każdy bowiem księżyc
Dziwne przemiany w tobie wywołuje.
Jesteś ubogie, choć bogactwa dzierzysz,
Bo jako osieł pod złotem się gnący
W krótkiej podróży niesiesz ciężkie skarby,
Aż śmierć je zdejmie; nie masz przyjacieli,
Bo twe wnętrzności, które zwą cię ojcem,
Ten czysty wypływ własnych swoich lędźwi,
Klnie trąd, podagrę, febry i katary,
Że tak powoli do końca cię wiodą.
Nie masz młodości ni starego wieku,
Ale podobne do snu po obiedzie
Jesteś ich tylko przelotnem marzeniem;
Bo twoja młodość, jak wiekowy nędzarz
Koślawych starców o jałmużnę prosi:
A gdy bogactwo przyjdzie ze starością,
Nie masz piękności, ognia uczuć, członków,
Aby bogactwo wdzięki jakie miało.
Cóż się więc mieści w tem, co zwiemy życiem?
O, tysiąc śmierci w tem się życiu kryje,

A my, szaleni, śmierci się lękamy,
Co w końcu godzi wszystkie te sprzeczności.

Może to bardzo zły gust, ale jeżeli tak, to musimy pokornie uderzyć się w piersi, przeprosić, i wyznać, że dość lubimy *Komedyę Omyłek*. *Qui pro quo*, to środek komiczny strasznie naciągany, zawsze sztuczny i niesmaczny, a dziś już tak zużyty, że go bez wstrętu prawie widzieć nie można? Prawda, ale przecież czasem dobrze użyty, może sprowadzić zabawne zawikłania i sytuacye, a tak zręcznej i naturalnej razem plątaniny pomyłek jak tutaj, niema może nigdzie; ani może nawet w komedyi hiszpańskiej, która tak lubi tego rodzaju intrygi. Tłómaczem był znowu Ulrich.

Ale za wszystkie jego poświęcenia dostała mu się jedna przynajmniej nagroda: dostała mu się do tłómaczenia nie najbardziej poetyczna, ale najbardziej ludzka, najdowcipniejsza z komedyi Szekspira, a przytem niezawodnie jedna z najgłębszych i najwdzięczniejszych zarazem: *Wiele hałasu o nic.*

Co za perła! W całej literaturze świata niema drugich dwóch figur tak dowcipnych i tak poprostu, poczciwie, sympatycznie dowcipnych, jak Benedykt i Beatrice. U samego Figara dowcip mięsza się z tysiącem różnych pierwiastków, z ironią, z opiniami politycznemi, z filozofią — tu jest sam przez się, sam dla siebie, sam sobą, swobodny, wolny od wszelkich ubocznych myśli i celów: oni są weseli i dowcipni tak kwiaty kwitną i pachną, dla niczego, dla siebie, bo muszą. Znamy, a niektórzy z czytelników *Przeglądu* może sobie przypomną, mały rozbiór tej komedyi, ogłoszony w naszem piśmie jeszcze w roku 1872, z powodu jakiegoś jej teatralnego przedstawienia. Nie wypada to może chwalić własnego pisma, a tem bardziej własnych przyjaciół, ale znowu pisząc o różnych u nas w Polsce nad Szekspirem pracach, ma się prawo a nawet i obowiązek wspomnieć o tej recenzyi, która napisana od niechcenia a zagubiona dziś między staremi teatralnemi sprawozdaniami, zasługiwałaby na to, żeby ją przedrukować i od zapomnienia uratować, bo

w swoich małych rozmiarach i skromnych pozorach jest niezawodnie jedną z rzeczy najładniejszych i najtrafniejszych, jakie kiedykolwiek po polsku o Szekspirze napisano. Jak bystro odkrył, jak subtelnie odcieniował autor (Stanisław Koźmian mł.), różnicę uczuć tych dwóch młodych par w komedyi, z których jedna kocha się naprawdę, a druga myśli że się kocha, kiedy sobie tylko z różnych innych względów dogadza i odpowiada. „Jednocześnie“ — mówi on — „z pełnym prawdy i uczucia romansem między Beatrice i Benedyktem, odbywa się konwencyonalna konkurencya Claudia o Hero. To przeciwstawienie nie jest nigdzie wyraźnie orzeczone, a przecież jest namacalne. Między Beatrice a Benedyktem grają prawdziwe uczucia, między Hero a Claudiem względy światowe. Claudio chcąc się oświadczyć o Hero pyta przedewszystkiem: „Czy ona jest jedyną dziedziczką Leonata?“ A Hero, typ bogatej wychuchanej jedynaczki, w skutku pomyłki mniema przez chwilę, że się o nią starać będzie sam książę, i mile jej się to uśmiecha: lecz gdy wywiedzioną jest z błędu, bez wahania i natychmiast oddaje rękę Claudiowi, a nie mogąc za księcia, idzie za faworyta księcia, za młodego, pięknego, świetnego Claudia! Jedną z niepospolitych piękności tej komedyi, jest właśnie to przeciwstawienie charakterów Beatrice i Hero, Benedykta i Claudia, przeciwstawienie uczucia prawdziwego, nastrojeniu się na uczucie, małżeństwa ze skłonności, małżeństwu z *konwenansu.* Ztąd także pochodzi forma zewnętrzna romansu między jedną a drugą parą. Z jednej strony sentymentalizm nie wolny oczywiście od deklaracyi, konwencyonalne oświadczenia uczuć: z drugiej, żywa gra uczuć, bez deklamacyi i napuszonych frazesów, pełna swobody, wesołości i t. d.“ Jak tę różnicę charakterów i uczuć wykazuje autor recenzyi na całym przebiegu sztuki, jak ślicznie i *con amore* umie pokazać i pozyskać sympatyę dla swoich ulubionych figur Benedykta i Beatrice... Żal tylko, że nie możemy tu całej jego rozprawki przytoczyć. Ale o tłómaczenia Szekspira chodzi nam głównie, wracajmy do tłómaczeń. Trzeba być wielkim mistrzem, żeby przekładając na obcy język tę wojnę na do-

wcipy, które się tu sypią jak nieustanny fajerwerk, dowcipu nie stępić, a znowu żeby głupstwa nieocenionego Dogberry nie popsuć, nie zrobić broń Boże mniej głupim. To ostatnie zadanie udało się Ulrichowi świetnie. *Dogberry* wprawdzie nazywa się *Ciarką* a jego pomocnik *Verges Kwaskiem,* (o to się już spierać nie będziemy) — ale kretynizm ich świeci w przekładzie w całej swojej okazałości:

Ciarka.

Czy nasza kurperacya już w komplecie?

Kwasek.

Hej tam! przynieść krzesło i materacyk dla Zakrystyana.

Zakrystyan.

Gdzie są winowajcy?

Ciarka.

Także pytanie! Ja i mój kolega.

Kwasek.

Niema wątpliwości, mamy egzaminować indagacyą.

Zakrystyan.

Lecz gdzie są delikwenci, których mamy indykować? Niech się stawią przed panem porucznikiem.

Ciarka.

Tak jest, niech się stawią przed moją osobą. Imię twoje, przyjacielu?

Borachjo.

Borachjo.

Ciarka.

Zapisz, proszę, Borachjo. A twoje, mopanku?

Konrad.

Jestem szlachcic, panie poruczniku, a nazywam się Konrad.

Ciarka.

Zapisz: pan szlachcic Konrad. Czy służycie Bogu, mopankowie?

Konrad i Borachjo.

Tak jest, tak się nam zdaje przynajmniej.

Ciarka.

Zapisz: że im się zdaje, że służą Bogu. Napisz Bogu w pierwszej limii, bo uchowaj Boże, aby Bóg nie stał niżej takich hajdamaków. Mopankowie, już jest tak dobrze jak dowiedzione, że nic z was lepszego jak wierutne łotry, a wkrótce rzecz ta prawdopodobną się okaże. Co macie do powiedzenia na wasze usprawiedliwienie?

Konrad.

Co mamy do powiedzenia? Mamy do powiedzenia, że nie jesteśmy nimi wcale.

Ciarka.

Nie lada ćwik z tego jegomości, prawdziwie; ale przyjdzie na niego kolej. Pójdź tu sam, mości panie, mam ci coś powiedzieć do ucha; mówię ci, iż ludzie myślą, że wierutne z was łotry.

Borachjo.

A ja ci powtarzam, panie poruczniku, że nie jesteśmy nimi wcale?

Ciarka.

Bardzo dobrze. Odstąp na stronę. Przez Boga żywego, to zmowa wyraźna. Czy zapisałeś, że nie są nimi wcale?

Zakrystyan.

Panie poruczniku, złą wziąłeś drogę do indagacyi; należy powołać straż, która ich oskarża.

Ciarka.

Na uczciwość, to najkrótsza droga. Zawołać straż. Mości panowie, wzywam was w imieniu książęcia, abyście ludzi tych oskarżyli.

Pierwszy strażnik.

Człowiek ten powiedział, panie poruczniku, że Don Juan, brat książęcy jest łotrem.

Ciarka.

Zapisz: Książę Don Juan, łotr. Kto zaprzeczy, że to jasne jak dzień krzywoprzysięztwo, nazwać łotrem brata książęcego.

Borachjo.

Panie poruczniku —

Ciarka.

Mopanku, milcz, jeśli łaska. Nie podoba mi się twoja mina, możesz mi wierzyć.

Zakrystyan.

Co słyszałeś więcej?

Drugi strażnik.

Słyszałem, że dostał tysiąc dukatów od Don Juana, aby fałszywie oskarżyć panią Hero.

Ciarka.

To wyraźny rozbój, jakiego jeszcze nigdy nie widziano.

Kwasek.

To rozbój na honor.

Zakrystyan.

Co więcej?

Pierwszy strażnik.

Że hrabia Klaudyo, na jego zaręczenie, postanowił zbeszcześcić Hero w przytomności całego zgromadzenia i nie pojąć jej za żonę.

Ciarka.

O, łotrze! skazany będziesz za to na wieczne zbawienie.

Zakrystyan.

Co jeszcze?

Drugi strażnik.

Nic więcej.

Zakrystyan.

A to jest więcej, niż możecie zaprzeczyć. Tej nocy książę Don Juan opuścił miasto ukradkiem; Hero w ten właśnie spo-

sób była oskarżona, w ten właśnie sposób odrzucona, a z boleści nagle umarła. Panie poruczniku, każ tych ludzi związać i poprowadzić do Leonata, ja ich tymczasem poprzedzę, aby mu naszą indagacyę pokazać. *(Wychodzi).*

Kwasek.

Dalej, okuć ich w dyby.

Konrad.

Precz ztąd kapcany!

Ciarka.

Boże nieśmiertelny! Gdzie Zakrystyan? Niech zapisze, że książęcy urzędnik jest kapcan. Żwawo, w kij ich wsadzić. A ty hultaju!

Konrad.

Precz mi! co za osieł! co za osieł!

Ciarka.

Czy ty nie domyślasz się mojej godności? Czy ty nie domyślasz się mojego wieku? O, czemu go tu niema! czemu go tu niema! żeby zapisał, żem osieł! Wy przynajmniej, mości panowie, nie zapomnijcie, żem osieł; choć rzecz niezapisana, pamiętajcie, żem osieł. Ty zaś, hultaju, pobożna z ciebie sztuka, jak ci tego dobrzy świadkowie dowiodą. Dzięki Bogu, nie jestem głupi; co większa, jestem urzędnik; co większa, jestem pensyonat; co większa, jestem sztuka mięsa, jakiej w całej Messynie nie znajdziesz, a prócz tego znam prawo, bądź spokojny; a prócz tego nie jestem bez grosza, bądź spokojny; choć poniosłem pewne straty, mam jeszcze dwa płaszcze i niemało pięknych rzeczy mam na mojej osobie. Wyprowadzić go! O, gdyby był zapisał, żem osieł! *(Wychodzą).*

Tamto drugie, walka dwóch ostrych języków i dwóch głów szalenie wesołych, było oczywiście nierównie trudniejszem. Ale oprócz małych pomyłek nic wiemy coby tłómaczeniu tych scen zarzucić. Te pomyłki, a może nawet nie pomyłki, tylko nam jakoś nie miłe brzmiące zwroty lub wyrażenia są następujące:

W pierwszym akcie książę rozkazuje coś Benedyktowi na jego *mańtwo,* wyraz wprawdzie przez dawnych pisarzy używany, ale dziś tak już zapomniany, że w jego miejscu wolelibyśmy widzieć „lenniczą“, albo „poddańczą powinność.“ *Abordować* (akt drugi scena pierwsza), to już z pewnością słowo ani dobre, ani stare, ani polskie. Że w pierwszym akcie Benedykt nazywa Beatrice *panią Wzgardnicką (Lady Disdain),* a w piątym Klaudia *panem Bezbrodnickim (Lord Lackbeard),* to naszem zdaniem jest w najlepszym razie wątpliwej wartości. Imiona własne polskie rażą nas zawsze w tych cudzoziemskich komedyach, i wolelibyśmy powiedzieć po prostu *Goławąs,* niż wymyślać to po polsku na *cki* zakończone nazwisko. Za to *polonez, mazur* i *kozak* (akt drugi scena pierwsza) wydają nam się usprawiedliwione, bo trudno było tłómaczyć nazwiska jakichś przedwiecznych angielskich tańców, które nazw swoich w polskim języku oczywiście nie mają. Jest tam jeszcze jakieś *serce biedziątko* niesmaczne, jakieś zupelnie niezrozumiałe *posuwaj krowę.* (Klaudio do księcia, kiedy Benedykt podsłuchuje ich rozmowy) — oto podobno wszystko lub prawie wszystko co nam się wydaje niedobrem lub niepewnie dobrem. A czy Beatrice i Benedykt zachowali w tym przekładzie swój humor, fantazyę, i swój cięty dowcip, o tem niech czytelnik sam sądzi z wyjątków.

Leonato.

Czy książę Juan był na uczcie?

Antonio.

Nie widziałem go.

Beatryks.

Co za kwaśną miał minę! Ile razy go widzę, przez godzinę pali mnie zgaga.

Hero.

Nadzwyczaj melancholiczny ma charakter.

Beatryks.

Doskonały byłby to człowiek, któryby środek trzymał między nim a Benedyktem. Jeden zbyt podobny do obrazka, nic nie mówi, drugi, jak najstarszy syn jejmości, ciągle paple.

Leonato.

Tak więc pół języka signor Benedykta w gębie księcia Jana, a pół melancholii księcia Jana w twarzy signor Benedykta.

Beatryks.

A do tego piękna stopa i pewna noga, wujaszku, i mieszek nie pusty, taki mężczyzna podbiłby serce każdej kobiety — byle na jej względy potrafił zarobić.

Leonato.

Na uczciwość, synowico, nie znajdziesz nigdy męża, jeśli tak będziesz ciągle siekła językiem.

Antonio.

Zbyt złośliwa, na honor.

Beatryks.

Zbyt złośliwa, to więcej niż zła; ja też zmniejszę złe dane od Boga; bo powiedziano jest: złej krowie Bóg daje krótkie rogi, ale krowie zbyt złośliwej nie da żadnyah.

Leonato.

Że więc jesteś zbyt złośliwą, Bóg nie da ci rogów.

Beatryks.

Bez wątpienia, jeśli mi nie da męża, błogosławieństwo — o które go co wieczór i co rano na kolanach proszę. Panie! nie mogłabym znieść męża z brodą na twarzy; wolałabym raczej spać na wełnie.

Leonato.

Możesz dostać męża bez brody.

Beatryks.

A cóżbym mogła z nim zrobić? Ubrać go w moje suknie i zrobić go moją pokojówką. Kto ma brodę, jest więcej niż dzie-

ciuch, a kto jej niema, mniej jest niż mąż; a kto jest więcej niż dzieciuch, nie jest dla mnie, a kto jest mniej niż mąż nie jestem dla niego. Gotowa więc jestem przyjąć szóstak jako zadatek od niedźwiednika i wszystkie jego małpy zaprowadzić do piekła [1]).

Leonato.

Do piekła więc pójdziesz?

Beatryks.

Nie, tylko do bram piekielnych. Tam, na moje spotkanie wyjdzie djabeł, stary rogal, z rogami na czole, i powie: „Idż do nieba, Beatryks, idż do nieba, niema tu miejsca dla was dziewic.“ Wręczę mu więc moje małpy i dalej do świętego Piotra, do nieba, on mi pokaże, gdzie przebywają kawalerowie, i tam żyć będziemy wesoło jak dzień długi.

Antonio (*do Hero*).

Ty przynajmniej, synowico, dasz się kierować radom twojego ojca.

Beatryks.

Bez wątpienia; powinnością mojej kuzynki dygnąć pokornie i mówić: jak ci się podoba. Ale mimo tego, kuzynko, niech to będzie kraśny chłopiec, bo inaczej, dyg drugi, i słowa: ojcze, jak mnie się podoba.

Leonato.

Mów, co ci się podoba, ja ani wątpię, że i ty znajdziesz w końcu męża.

Beatryks.

Nigdy, dopóki Bóg nie ulepi mężczyzny z innego metalu jak ziemia. Nie byłożby to upokorzeniem dla kobiety dać się rządzić garstce zuchwałego prochu? zdawać rachunek ze swojego postępowania bryle zrzędnego marglu? Nie, wujaszku, nie chcę. Synowie Adama są moimi braćmi; grzechem mi się wydaje, szukać męża między rodzeństwem.

---

[1]) Stare panny, wedle dawnego angielskiego przysłowia, po śmierci prowadziły małpy do piekła.

Leonato.

Nie zapomnij, córko, co ci mówiłem. Jeśli ci książę podobne zrobi oświadczenie, wiesz, co masz mu odpowiedzieć.

Beatryks.

Będzie winą muzyki, kuzynku, jeśli książę nie zachowa miary w konkurach. Gdyby przypadkiem za ostro nastawał, powiedz mu, że jest miara we wszystkiem i wytnij mu w miarę odpowiedź. Bo słuchaj mnie, Hero, umizgi, ślub i żal, to jest mazurek, polonez i kozak. Pierwsze oświadczenie jest gorące i namiętne, jak mazurek pełne fantazyi i ognia; zaślubiny uroczyste i skromne, jak polonez, pełne senatorskiej powagi; aż przychodzi żal, który na krzywych nogach coraz żwawiej i żwawiej wywija kominki, aż w grób zapadnie.

Leonato.

Czarno widsisz rzeczy, moja synowico.

Beatryks.

Dobre mam oczy, wujaszku, i póki widno, mogę obaczyć kościół.

Leonato.

Przychodzą maski; zróbmy im miejsce, bracie.

A tu znowu Benedykt wyśmiany przez Beatrice pod maską, zawstydzony, i zły na siebie i na nią:

Don Pedro.

Beatryks nie na żarty gniewa się na ciebie. Szlachcic, który z nią tańczył, powiedział jej, że ją ciężko pokrzywdziłeś.

Benedyk.

To ona pomiatała mną jak ostatnim; pniak by tego nie wytrzymał. Dąb, z jednym zielonym liściem na wierzchołku, ofuknąłby się. Maska nawet moja zaczęła do życia przychodzić i z nią się borykać. Powiedziała mi, nie myśląc że do mnie mówi, że byłem błaznem książęcym, nudniejszym od wielkich roztopów. Szyderstwo za szyderstwem z taką miotała na mnie

zręcznością, że stałem jak trusia przy celu, do którego strzela cała armia. Sztylety z ust jej wychodzą, każde jej słowo przebija. Gdyby jej oddech tak był jadowity jak jej wyrazy, ani podobna byłoby żyć w jej sąsiedztwie; zaraziłaby powietrze do północnego bieguna. Nie chciałbym jej za żonę, choćby miała w posagu wszystko, co posadał Adam przed grzechem. Onaby zmusiła Herkulesa do obracania rożna i do połupania własnej maczugi na szczypy. Lecz dosyć tego; nie mówmy o niej. To furya piekielna w wielkiej toalecie. Dałby Bóg, żeby ją jaki mędrek zażegnał, bo póki ona jest na ziemi, łatwiej znaleźć pokój w piekle niż tu w kaplicy, i ludzie gotowi grzeszyć naumyślnie, żeby się tam dostać coprędzej. Niepokój, zgroza i zamięszanie idą za jej śladem.

(*Wchodzą: Klaudio, Beatryks. Leonato i Hero*).

Don Pedro.

Patrz, to ona.

Benedykt.

Czy nie raczy Wasza Łaskawość wysłać mnie w służbowych interesach na koniec świata? Gotów jestem za lada sprawą, pośpieszyć do Antypodów; pójdę ci po piórko do zębów za ostatnie krańce Azyi; przyniosę ci dokładną miarę stopy księdza Jana, albo włos z brody wielkiego Hana; podejmę się poselstwa do pigmejczyków, wszystkiego raczej niż wytrzymać trzy słowa rozmowy z tą harpią. Czy nie masz żadnych dla mnie zleceń Mości Książę?

Don Pedro.

Żadnych; pragnę jedynie twojego przyjemnego towarzystwa.

Benedykt.

Jest tu potrawa, Panie, wcale mi nie do smaku. Nie jestem w stanie znieść pani języka. (*Wychodzi*).

Stracone Zachody Miłości — (dlaczego stracone, kiedy za rok oczywiście wszystkie cztery panny pójdą za swoich konkurentów?) — przetłómaczone są znowu bardzo dobrze, przez Ulricha. *Sen Nocy Letniej*, tłómaczenia Koźmiana zy-

skał wiele w tem powtórnem wydaniu. W ogóle został on takim, jakim się ukazał lat temu jedynaście, a był już bardzo dobrym. Ale były wtedy pewne drobne usterki, które go szpeciły, a których dziś z wielką radością jużeśmy nie dostrzegli. Poddani Oberona i Tytanii nie są już, jak wtedy, *wieszczkami*, ale noszą swoje rodzinne i właściwe tytuły *Elfów* i *Sylfów* — ich pieśń nad usypiającą Tytanią zmieniła się także na korzyść. Słowem, jeżeli w ogóle powtórzyć musimy, sośmy przed laty o tym przekładzie pisali, to jest, że choć niema całej lekkości i całego wdzięku oryginału, to z pewnością niema ich mniej od sławnych i za doskonałe uznanych tłómaczeń niemieckich, to możemy co do szczegółów ówczesne nasze zdanie zmienić, i powiedzieć, że nie widzimy już dziś tego co nam się podówczas trochę nie podobało. Uważamy za swój obowiązek przytoczyć parę wyjątków, które lepiej od naszych zapewnień przekonają każdego o wysokich zaletach przekładu.

Puk.

Witajże, duchu! dokąd to wędrujesz?

Elf.

Przez wzgórza, rozłogi,
Przez krzaki, przez głogi,
Przez płoty, ogrody,
I ognie i wody,
Lot mój, lżejszy od promyka,
Prędzej niż księżyc pomyka.
Ja z królową elfów chodzę
Skrapiać kępki po rozłodze.
Patrz, pierwiosnki, dworzan roty;
Cętki zdobią strój ich złoty,
To rubiny, w których łonie.
Z daru elfów, wonność płonie.
Tym jej dworzanom, skoro rosę zbiorę,
Każdemu perłę na uchu zawieszę.
Bądź zdrów, cudaku. Muszę zdążyć w porę.
Wnet tu królowa zwoła elfów rzeszę.

Puk.

Dziś tu król nocne wyprawia igrzysko.
Strzeż, by Tytania nie weszła za blisko.
Gdyż on w straszliwem trwa ku niej zawzięciu,
Że wykradzione indyjskiemu księciu
Śliczne pacholę skryła w swe orszaki.
Nie służył u niej jeszcze pieszczoch taki.
Oberon, chciwy i w zazdrości skory,
Chce go mieć giermkiem do wycieczęk w bory.
Lecz ona gwałtem odmawia chłopczyny,
Stroi go kwieciem jakby skarb jedyny.
Ztąd gdy się zejdą w gaju lub na łące,
Przy czystem źródle, gdy skrzą gwiazdy drżące,
Taki spór wiodą, że elfy co raźniej
W kubki żołędne kryją się bojaźni.

Elf.

Jeśli mnie postać i głos twój nie łudzi,
Tyś figlarz, psotnik, tak zwany u ludzi
Robin Dobry-Druh. Powiedz, czy się mylę?
Ty to wieśniaczkom płatasz figlów tyle,
Skradasz śmietankę, w żarnach stroisz harce,
Masła wyrobić zdyszanej mleczarce,
Drożdżom musować nie dozwalasz w trunku,
Zwiodłszy — drwisz z nocnych wędrowców frasunku.
Kto Hobgoblinem, lubym Pukiem zwie cię,
Temu usłużysz, dasz szczęście na świecie.
Czy zgadłam?

Puk.

Zgadłaś. Jam to żartobliwy
Nocy wędrowiec. Ja wyprawiam dziwy,
Ja bawię króla, daję śmiechu hasło,
Gdy rżąc jak źrebię zwiodę klacz opasłą
Na tłustym bobie. Czasem znów mnie plotka
Na dnie swej szklanki skrytego napotka
W suszonem jabłku, a gdy łyka duszkiem,
Nagle ją w usta utnę tem jabłuszkiem,

I zwiędłe łono zleje piwa strugą.
Gdy mądra ciocia prawiąc powieść długą,
Ku mnie jak w stołek gnie swe ciężkie brzemię.
Umknę się z pod niej, baba brzdęk na ziemię,
Krztusi się, kaszle krzyczy: *Czort nie stołek!*
Pęka od śmiechu grono przyjaciółek
Z uciechy parska, gzi się i zaklina,
Że nigdy milsza nie przyszła godzina.
Otóż Oberon. Uchodź. Ja nie mogę.

Elf.

A tu Tytania. Pocóż wszedł nam w drogę!

A to znowu *locus classicus,* sławny choć może nie ze wszystkiem zasłużony komplement dla królowej Elżbiety:

Mój luby Puku, zbliż się. Wszakże pomnisz,
Jak raz ze szczytu przylądka słuchałem
Syreny, która na grzbiecie Delfina
Nuciła głosem tak słodkim i dźwięcznym,
Że gniewne morze korzyło się przed nią,
A gwiazdy w szale z sfer swych przybiegały,
By się jej tonom przysłuchać.

Puk.

Pamiętam.

Oberon.

Wtedym to widział, choś tyś wiedzieć nie mógł,
Jak zbrojny Kupid biegnąc między ziemią
A mdłym księżycem, wziął na cel Westalkę
Błyszczącą wdziękiem na tronie Zachodu,
I grot miłości tak dzielnie pchnął z łuku,
Jakby chciał przeszyć wraz serc sto tysięcy.
Lecz mglisty księżyc zgasił płomienistą
Strzałę Kupida chłodem swych promieni,
I przeszła dalej kapłanka królowa,
Wolna miłości w dziewiczym spokoju.
A jam uważał, gdzie padł grot Kupida,

Padł na kwiat drobny, wprzód jak mleko biały,
Teraz miłości raną purpurowy,
Dziewice zowią te kwiatki bratkami.
Znajdźże mi taki, jam ci go raz wskazał.
Sok zeń spuszczony na śpiące powieki
Mężczyzn czy niewiast, każe im miłować
Twór, który najpierw ujrzą po ocknieniu.
Znajdź mi to ziółko, i wprzód do mnie powróć,
Nim jedną milę upłynie lewiatan.

Puk.

Dokoła ziemię mym lotem opaszę
W czterdzieści minut.

A wreszcie jak Tytania oświadcza swoją miłość przemienionemu w osła gburowi:

Tytania.

Niech cię myśl żadna za ten las nie niesie.
Czy chcesz, czy nie chcesz, zostaniesz w tym lesie.
Jam duchem, który wzniosłym rodem słynie.
Wieczne się lato święci w mej dziedzinie.
Kocham cię, przeto pójdź ze mną, mój miły;
Me piękne elfy będą ci służyły.
One ci w morzu znajdą perły na dnie,
Śpiewać ci będą, gdy cię sen owładnie.
Ma moc śmiertelną z ciebie ciężkość zetrze,
Byś jak duch zdołał wzlatywać w powietrze.
Ćmo, Pajędzynko, Groszku i Gorczyczko!
(*Wchodzą cztery elfy*).

Pierwszy.

Jestem.

Drugi.

Ja także.

Trzeci.

I ja.

Czwarty.

I ja jestem.

Wszyscy.

Gdzież bieżeć mamy?

Tytania.

Rączo, uprzejmie służcie temu panu,
Niech go wasz taniec i skoki weselą.
Karmcie go morwą, jeżyną, morelą,
Zieloną figą, modrem winogronem,
I skrzętnej pszczółki miodoplynnym plonem
Z jej nóg woskowych pochodnia skręcona
I w świętojańskim robaczku zatlona,
Niech kochankowi do łoża przyświeca.
Senne mu oko chrońcie od księzyca
Malownym skrzydeł motylich wachlarzem.
Korzcie się elfy przed waszym mocarzem.

Pierwszy.

Cześć ci, śmiertelny, cześć.

Drugi.

Cześć ci.

Trzeci.

Cześć ci.

Czwarty.

Cześć.

Spodek.

Z całego serca dziękuję wam, dostojne panie. Błagam; jakież imię twojej dostojności?

Pajęczynka.

Pajęczynka.

Spodek.

Proszę cię o bliższą znajomość, dobra pani Pajęczynko. Gdy się skaleczę w palec, śmiało się do twej uslugi odwołam. A twoje imię, poczciwy szlachcicu?

Groszek.

Groszek.

Spodek.

Pokornie upraszam, racz mię polecić pani Łupinie, twej matce, i panu Strączkowi, twemu ojcu. Dobry panie Groszku, i z tobą będę się starał bliższą zawiązać znajomość. A twoja godność, jeśli śmiałbym się zapytać?

Gorczyczka.

Gorczyczka.

Spodek.

Dobra pani Gorczyczko, znam dobrze twoją cierpliwość. Ten nielitościwy olbrzym, pośladek wołowy, pożarł niejedno dziecię twego rodu. Wierz mi, rodzina twoja niemało już mi łez z oczu wycisnęła. I z tobą radbym bliżej się poznajomić, dobra pani Gorczyczko.

Tytania.

Strzeżcie go, wiedźcie wraz do mej altany.
Zda mi się księżyc w krąg łzami wezbrany.
Gdy księżyc placze, płacze każde kwiecie,
Że jakaś czystość cierpi gwałt na świecie.
Idąc z mym lubym, usta mu zwiążecie.
(*Wychodzą*).

Zapewne już czytelnik czeka niecierpliwie na wiadomość o tłómaczeniu *Kupca Weneckiego*. Jak między Historyami Ryszarda III, jak Hamleta i Macbetha między tragedyami, tak między komedyami szuka się machinalnie zawsze naprzód tej, która i znana najpowszechniej, i najbogatsza w efekta (choć nie komiczne może), i przez rozmiary figury Shylocka najpotężniejsza, a przez wdzięk figur takich jak Porcya i Bassanio, rozmów takich jak Lorenza z Jessiką, jedna z najmilszych jakie Szekspir napisał. Trzymając się kolei wyznaczonej komedyom przez wydawców teraz dopiero dochodzimy do *Kupca*. Tłómaczył go Paszkowski. Nie tak świetnie, wyznać trzeba, jak *Othella*, nie tak jak *Burzę*. Tu

są ustępy przełożone doskonale, ale są i błędy liczniejsze niż tam, i czasem trochę rażące.

Są zaraz w pierwszej scenie. Naprzykład byłoby z pewnością lepiej, gdyby Salarino mówiąc o galerach Antonia nie nazywał ich *reprezentantami* władców morza, albo żeby zamiast *dukwić*, użył jakiego słowa dziś więcej używanego: ale co myśli Gracyano, kiedy mówi, że *milczenie zaleca jedynie ozór w pęcherzu?* albo dlaczego obiad nazywa *wyżerką?* Albo znowu w drugiej scenie dlaczego opuszczone jest co mówi Porcya o synowcu księcia Saskiego, że „nigdy nie pójdzie za gąbkę?“ o tem już nie wspominając, że nie łatwo jest zrozumieć jej rozkazu „wsadź w niepomyślną skrzynię butelkę reńskiego wina, bo choćby szatan w innej siedział, a tej pokusy brakowało, gotówby inną wybrać.“ Ona właśnie każe postawić wino nie w skrzynce, ale na skrzynce *(on the contrary casket)*, bo gdyby sam djabeł siedział w środku, pijanica Niemiec chwyci za tę, na której zobaczy trunek.

Ostatnia scena tego aktu, a pierwsza, w której występuje Shylock, jego opowiadanie o Jakóbie i jego podstępach na dowód, że „każdy zysk jest błogosławieństwem, jego ironija i złość kiedy mówi:

Łaskawy Panie! przeszłej środy
Plunąłeś na mnie, kopnąłeś mnie w piątek,
Innego znowu dnia psem mnie nazwałeś.
Za te grzeczności gotówem ci chętnie
Tyle a tyle pieniędzy pożyczyć

wreszcie układ o pożyczkę i funt mięsa z pod serca na przypadek nie oddania długu na termin, cała ta scena przetłómaczona jest dobrze.

W drugim akcie tylko mniejsze usterki: Lancelot kiedy udaje i kłamie przed ojcem, każe uważać jaką mu *puści fontannę*. Gracyano prawi coś o *rendez-vous*. Bassanio znowu każe mu trzymać na wodzy *bryczną naturę* — książę Marokański zaręcza, że *zryzykuje* swoje księstwo. Książę Arragoński w napisie na srebrnej skrzyni wyczytuje *sensowne zdanie*. Oto podobno wszystko.

W akcie trzecim sceny Shylocka, w których żal za straconemi wraz z córką dukatami miesza się z wściekłą radością, że uczyni zadość swojej zemście, a jedno i drugie uczucie występuje z taką energią i namiętnością, oddane są bardzo dobrze.

Salarino.

Nie zechcesz mu przecie rżnąć ciała, jeżeli nie zapłaci w terminie; na cóżby ci się zdało?

Szylok.

Na przynętę dla ryb. Jeżeli zresztą nie nasyci nikogo, nasyci przynajmniej moją zemstę. On mię lżył, wydarł mi na jakie pół miliona spodziewanych korzyści; naigrawał się z mojej straty; bluźnił memu narodowi; krzyżował moje zarobki; odwodził odemnie przyjaciół a nieprzyjaciół na mnie podszczuwał. I za cóż to wszystko? za to, że jestem żydem. Czyliżto żyd nie ma rąk, członków, organów, zmysłów, uczuć, namiętności? Nie żywiż się temi samemi pokarmami, nie możeż być zraniony takiem samem narzędziem, nie ulegaż takim samym chorobom, nie leczyż się takiemi środkami, nie czujeż tak samo zimna w zimie a ciepła w lecie, jak chrześcianin? Nie płynież z nas krew, jak nas zakłujecie? Nie śmiejmyż się, jak nas załaskoczecie? Nie umieramyż, jak nas otrujecie? a jak nas skrzywdzicie, nie mamyż się mścić za to? Jeżeliśmy we wszystkiem innem do was podobni, to i w tem chcemy wam dorównoć. Jeżeli żyd skrzywdzi chrześcianina, w czemże się objawi jego pokora? — w zemście.

Nieszczęściem sceny te zepsute są jednym dodatkiem tak niepotrzebnym i nieusprawiedliwionym a tak niesmacznym, że znowu pojąć nie możemy, jak tłómacz tak dobry mógł taki błąd popełnić:

Tubal.

W wielu miejscach słyszalem o twojej córce, ale jej nigdzie znaleźć nie mogłem.

Shylock.

Aj waj mir! Aj waj mir! Przepadł mój dyament i t. d.

Tubal.

Mówiłem z kilkoma majtkami, którzy ocaleli z rozbicia (gałery Antonia).

Shylock.

Dziękuję ci *Giter Tubal* i t. d.

Na miłość boską czy Shylock był polskim żydem, żeby miał mówić tym niemiecko-żydowskim szwargotem? Albo czy Szekspir może oznaczył jakimkolwiek sposobem akcent żydowski w wymowie Shylocka? Nie. A więc jakiem prawem i z jakiego powodu tłómacz oznacza w przekładzie akcent tam, gdzie go w oryginale niema? Że aktor, który tę rolę gra, nada sobie trochę akcentu, w tem nie widzimy nic złego, byle utrzymał to w mierze; widzieliśmy wielkich nawet aktorów, którzy wymawiali nieco z żydowska, żeby przytoczyć tylko przykład sławnego Laroche w Wiedniu. Ale co aktorowi wolno, bo *verba volant,* to tłómaczowi, którego *scripta manent,* nie uchodzi. A cóż dopiero dodawać żydowi, który w Wenecyi mieszka i zapewne nie urodził się na Kaźmierzu tylko na Giudece, na rzymskiem Ghetto, może i na Wschodzie, specyficzne znamiona żydów polskich, kłaść mu w usta *Aj waj* i zepsutą niemczyznę, to jest licencya, na którą i obowiązek wierności i dobry smak powinny były tłómaczowi nie pozwolić.

Prześliczna rozmowa Porcyi i Bassania przed wyborem ołowianej skrzyni i podczas tego wyboru, nie można powiedzieć, żeby była wypadła źle, ale jednak tak jej daleko do poetycznego wdzięku oryginału, że za zupełnie udatną uważać jej także nie można. Najlepiej może wypadł początek tej sceny.

Porcya.

Wstrzymaj się jeszcze, signore; zaczekaj
Dzień lub dwa, zanim dokonasz wyboru.

Bo gdybyś błędnie wybrał, pozbawioną
Byłabym twojej obecności; bądź więc
Cierpliwy, proszę. Coś mi skrycie mówi
(Lecz to nie miłość), że rozstać się z panem
Z trudnościąby mi przyszło, a sam przyznasz,
Że nienawiści głos bywa odmienny.
Abyś mię jednak pan lepiej zrozumiał,
(Choć to kobiecie myśleć tylko wolno,
Ale nie mówić), chętniebym cię miesiąc,
Albo dwa, w moim zatrzymała domu,
Zanimbyś odbył tę grę hazardowną.
Mogłabym pewne podać ci wskazówki
Co do lrafności wyboru, lecz wtedy,
Złamaćbym moją musiała przysięgę,
A tego nigdy nie uczynię. Tak więc
Możesz mię chybić; jeślibyś zaś chybił,
Zaiste dałbyś mi powód do grzechu,
Bo by mi przyszło żałować, żem była
Wierną przysiędze. O te oczy wasze
Opanowały mię i rozdwoiły:
Jedna połowa moja już jest waszą;
Druga połowa wasza, to jest moją,
Chciałam powiedzieć! lecz jeżeli moją,
To waszą także, więc i całość wasza.
Zawistna dolo! żeby kłaść przegrodę
Między własnością, a właścicielami!.
I waszą jestem i nie waszą. Jeśli
Na tem się skończy, co jest, niechaj za to
Fortuna będzie nie ja potępioną.
Za dlugo mówię, ale to jedynie
Aby czas przewlec, rozciągnąć, przedłużyć,
A z nim wasz wybór.

A znowu drobne ale straszne usterki psują ten akt. Czy to do uwierzenia naprzykład, że raz Porcya mówi coś o *repertuarze?* Od biedy można tego słowa używać w mowie, ale pisać go nie godzi się nigdy. A cóż dopiero jak

Gracyano zapytany czy chce z Nerissą żenić się *na seryo* — (już i to dość zle), odpowiada *Jak najseryoźniej!!!* kto nie wierzy, niech zobaczy, stoi czarne na białem wydrukowane wszystkiemi literami, *jak najseryoźniej*. Słyszeliśmy prawda ten przymiotnik i inne jego godne, słyszeliśmy pochwałę jakiejś pani, która była niezmiernie *gracyozna,* a przy tem bardzo *seryozna,* ale słysząc uciekliśmy „unosząc zadziwione słuchy“, i prosząc Boga, żeby nam herezyi takiej nigdy już więcej niesłyszeć pozwolił. A widzieć ją wydrukowaną, napisaną, przez człowieka i pisarza nie *seryoznego* tylko poważnego, i umiejącego po polsku, to już nie zdziwienie ale zgorszenie. I żeby nam raz chcieli wytłómaczyć dlaczego tak piszą? dlaczego te *repertoary*, to *abordowanie*, to *rendez-vous* te wszystkie niesmaczne i nie polskie wyrażenia? Wszakżeż żadne wyrażenie, żadne słowo koniecznem nie jest, każde da się zastąpić innem, i nie trudno nawet. Bo o cóż chodzi? O to tylko, aby zdaniu nadać inny obrót, i obracać go tak długo, aż wreszcie ono nie przyjmie formy takiej, któraby i myśl oryginału dobrze oddawała i polskiego ucha nie raziła, a nie kaleczyła polskiego języka. Niema zaś zdania na świecie (zdania gramatycznego ma się rozumieć), któreby się nie dało sto razy obrócić i zmienić bez naruszenia myśli w niem zawartej. Czy nie czują, że to żle i brzydko? Niepodobna, bo umieją i dobrze piszą po polsku. Słowem, tych błędów zgoła zrozumieć nie możemy, a to tem mniej, że chodzi o słowa, o poprawki najmniejsze i najłatwiejsze! Nie mogąc zaś zrozumieć, prosimy przynajmniej i zaklinamy, żeby w drugiem wydaniu, jeżeli Bóg da, że do niego kiedy przyjdzie, błędy te zdarzające się w przekładach Paszkowskiego i Ulricha (u Koźmiana takich nie pamiętamy) były koniecznie poprawione.

Wielka scena czwartego aktu, tak w swoim pierwiastku patetycznym jak i w komicznym, namiętność Shylocka, spokój Antonia, dowcipna dyplomacya Porcyi, gwałtowne gniewy i złośliwe żarty Gracyana, scena ta z całej sztuki przetłómaczona jest najlepiej. Ale i tu nieszczęsny zwyczaj musiał się pokazać: Shylock mówi, że ma do Antonia *ansę:*

Doża.

Zejdźcie mu z drogi. niech stanie przed nami.
Shyloku, wszyscy sądzą i ja myślę,
Że tę pozorną złośliwość posuwasz
Tylko do chwili jej wywarcia, gdy zaś
Przyjdzie ją wywrzeć, okażesz łagodność
I zmiłowanie, w wyższym jeszcze stopniu,
Niż to udane okrucieństwo. Zamiast
Poszukiwania swej należytości,
Na ciele tego nieszczęsnego kupca,
Nie tylko, tuszym, karę tę umorzysz,
Ale co więcej, przejęty ludzkością,
Darujesz nawet połowę waluty,
Przez wzgląd na straty, jakie świeżo poniósł;
Straty tak wielkie, że byłyby zdolne
Ze szczętem przygnieść króla wszystkich kupców,
Oraz współczucie wzbudzić nawet w sercach
Twardych jak krzemień; w piersiach kutych z miedzi,
W dzikich Tatarach i Turkach, co nigdy
Żadnej czułości nie znali przystępu.
Żydzie, czekamy na twoją odpowiedź,
I spodziewamy się wszyscy łagodnej.

Shylok.

Jużem oznajmił Waszej Wysokości
Stały mój zamiar. Poprzysiągłem w szabas,
Że będę żądał, co mi się należy
Z mocy obligu: jeżlibym w tej mierze
Sprawiedliwości nie uzyskał, niechaj
Odpowiedzialność cięży na swobodach
I przywilejach tego miasta. Może
Wazza Wysokość zapyta, dlaczego
Wolę wziąć marny funt mięsa, niż przyjąć
Zwrot mych dukatów? Na to nie odpowiem.
Przypuśćmy jednak, że to kaprys; stanież
To za odpowiedź? Gdybym, mając w domu
Szczura co broi, chciał dać trzy tysiące

Dukatów za to, żeby go się pozbyć?
Nie staneż jeszcze i to za odpowiedź?
Są, co nie mogą znieść kwiku prosięcia;
Innych w szaleństwo wprawia widok kota;
Są znowu tacy, którym nerwy miękną
Skoro usłyszą głos kobziego nosa;
Wrażliwość bowiem, pani wszelkich wzruszeń,
Kieruje nimi wedle tego, co jej
Mile przypada albo odrażliwie.
Moja odpowiedź tak brzmi zatem: Jako
Nie można znaleźć słusznego powodu,
Dlaczego jednych razi kwik prosięcia,
Tych widok kota, bestyi tak niewinnej,
A tamtych odgłos dud wydętych; wszakże
Tak ci, jak owi, mimowolnie muszą
Ściągać na siebie zarzut, że zostawszy
Obrażonemi, wzajem obrażają:
Tak samo i ja, oprócz pewnej ansy
I wstrętu, jaki czuję do Antonia,
Ani znam, ani chcę naznaczyć powód,
Dlaczego z własnym uszczerbkiem dochodzę
Praw moich na nim. Dalżem już odpowiedź?

Bassanio.

To nie odpowiedź, człowieku bez serca;
Nie zdoła ona okrucieństwa twego
Usprawiedliwić.

Szylok.

Nie mam obowiązku
Zadawalniać was mą odpowiedzią.

Bassanio.

Mamyż żabijać to, czego nie lubim?

Szylok.

Któżby oszczędzał to, co nienawidzi?

Bassanio.

Obraza racyąż jest do nienawiści?

Szylok.

Dacież się żmii po dwakroć ukąsić?

Antonio.

Daj pokój; pomnij, że masz sprawę z żydem.
Kazać ustąpić pieniącej się fali,
Mógłbyś zarówno prawować się z wilkiem
Słysząc beczącą za jagnięciem owcę;
Mógł byś zarówno wzbronić sosnom w górach
Wyniosłe czoła uginać i szumieć,
Gdy niemi wicher gwałtowny szamoce:
Słowem, najcięższe chcieć złamać trudności,
Jak usiłować wzruszyć jego twarde,
Żydowskie serce. Szlachetni Panowie,
Nie proponujcie już niczego więcej;
Nie przedsiębierzcie żadnych dalszych kroków,
Lecz pozostawcie bieg zwyczajny prawu,
A jemu wolność czynienia co zechce.

Basanio.

Za trzy tysiące dajęć sześć tysięcy
Dukatów.

Szylok.

Choćbyś każdy z tych dukatów
Podzielił na trzy części, i chociażby
Każda z tych części dukatem się stała,
Nie przyjąłbym ich i żądałbym tego,
Co wyrażone w obligu.

Doża.

Jak możesz
Liczyć na względy, kiedy sam ich nie masz?

Szylok.

Za cóżbym miał się obawiać wyroku,
Gdy nic nie czynię niesprawiedliwego?
Macie niemało płatnych niewolników,
Których na równi z osłami i psami

Do jak najniższych posług używacie,
Dlatego, żeście ich kupili. Gdybym
Ozwał się do was: powróćcie im wolność,
Przyjmcie ich w grono swej rodziny; po co
Wkładacie na nich tak wielkie ciężary?
Niech mają łoża tak miękkie jak wasze,
I strawę równie wykwintną jak wasza,
Wy odpowiecie, „toż ci niewolnicy
Są przecie naszą własnością; podobnież
Ja odpowiadam: ten marny funt mięsa,
Którego żądam, moją jest własnością.
Drogom go kupił i chcę go posiadać:
Jeśli mi tego odmówicie, hańba
Waszemu prawu! Ustawy Wenecyi
Są czczą literą, mocy nie mającą.
Czekam na wyrok; usłyszę go dzisiaj?

Wreszcie, zapyta naturalnie czytelnik, musi zapytać każdy kto raz życiu *Kupca* czytał, jak jest przetłómaczona rozmowa Lorenza z Jesyką w pierwszej scenie aktu piątego. Jak? Niech czytelnik sam sądzi. Naszem zdaniem nie jest to styl *Szwajcaryi* Słowackiego; a potrzebaby tu tak poetycznego, tylko prostszego, nie tak wykwintnego. Ale jest dobrze.

Jak wdzięcznie,
Na tym pagórku śpi światło miesiąca!
Siądźmy tu sobie i niech dźwięk muzyki
Płynie nam w ucho: noc i nocna cisza,
Godzą się z słodkim urokiem harmonii.
Usiądź, Jessyko; patrz, jak przestwór nieba
Gęsto w złociste gwiazdki jest utkany;
A każdy krążek z tych, które tam widzisz,
Bieg odbywając, dołącza pieśń swoją
Do chóru jasnookich cherubinów.
Tak, są harmonii pelne czyste duchy:
Tylko my, których duch jest powinięty
W skorupę prochu, słyszeć jej nie możem.
(*Wchodzą muzykanci*).

Zbliżcie się! zbudźcie śpiewnym hymnem Dyanę,
Wyślijcie naprzód na spotkanie pani
Echo najbardziej melodyjnych tonów,
I przyciągnijcie ją niemi do domu. (*Muzyka*).

Jessyka.

Ilekroć słodką muzykę usłyszę,
Rzewnie mi jakoś.

Lorenco.

Bo władze twej duszy
Są, widać, wtedy pilnie natężone.
Popatrz na dziką i swawolną trzodę,
Albo na stado młodych bystrych źrebców;
Brykają one, beczą i rżą głosno,
Bo to w naturze jest ich krwi gorącej:
Lecz niechno trąbka przpadkowo zabrzmi,
Lub jakikolwiek muzykalny odgłos
Słuch ich uderzy, zobaczysz, jak nagle
Wszystkie przystaną, jak się ich figlarne
Oko zaduma, pod wpływem czarownej
Potęgi dźwięków.
Ztądto poeci mówią, że Orfeusz
Pociągał drzewa, kamienie i fale;
Bo nie ma rzeczy tak martwej, tak twardej
I tak burżliwej, żeby jej natury
Muzyka zmienić chwilowo nie mogła.
Człowiek, harmonii nie mający w sobie,
Którego współdźwięk tonów nie porusza,
Zdolny jest zdradzić cię, oszukać, złupić;
Umysł u niego ciężki jak mgla nocna,
A serce czarne jak Ereb. Nie ufaj
Nikomu z takich. — Słuchajmy muzyki.

Śliczna rycerska idylliczna powiastka raczej jak komedya *As You like it* (Jak się wam podoba), przetłómaczona przez Ulricha, wygląda bardzo ładnie w swojej polskiej szacie. Młody Orlando zachowuje swoją fiziognomię tak sympa-

tycznie złożoną z nieśmiałości, tęgości, prostoty, i z męzkiego daru dawania sobie rady — Rozalinda swój dowcip, swoją naturę energiczną a kapryśną, i swoje serce pełne instynktów trafnych a silnych popędów — Jacques swoją sentymentalną filozofię i mizantropię, stary Adam swój prosty a niezwykły rozum. Słowem całość jest wcale wdzięczna, a tylko w szczegółach zostaje czasem coś do życzenia lub coś do wątpienia. Nie wiemy naprzykład czy książę polując, szczęśliwie nazywa jelenia *głupiątkiem*. Już na to możebyśmy się zgodzili, że błazen *Touchstone* nazwany jest Próbierczykiem, a Próbierczyk, który siebie między kozami przyrównywa do Ovidiusza między *kozakami*, choć oryginał mówi tu o Gotach a nie o kozakach, jest może dowcipny, ale zanadto naszem zdaniem spolszczony. Że

„od Paryża do Berlina
pierwszą perłą Rozalina“

to, choć w oryginale niema mowy o Berlinie ani o Paryżu, tylko o Indyach, byłoby mniejszem złem, gdyby i te i następne wiersze Orlanda były w przekładzie tak ładne jak w oryginale. Zdaje nam się jednak, że go nie dochodzą. Za to parodya ich improwizowana przez Próbierczyka udała się świetnie:

Gdy samicy chce ptaszyna
Niech szuka gdzie Rozalina.
„Zakochana co kocina
Miauczy? — Gdzie jest Rozalina i t. d.

Albo ta pieśń myśliwska śpiewana na cześć strzelca, co zabił jelenia:

„Zabił jelenia; i cóż mu dacie?
Damy mu skórę, damy mu rogi.
Nie gardź rogami strzelcze mój drogi,
Bo to herb starszy niżli ty, bracie.
On twego dziada nobilitował
I twój się ojciec nim pieczętował.

Niech żyją rogi zawsze i wszędzie
Któż niemi gardzić, śmiać się z nich będzie?

Albo pieśń paziów, tak pełna poezyi pod swoim lekkim wesołym pozorem:

PIEŚŃ.

I.

Szedł z kochanką zakochany.
Śpiewał dana, dana, dana!
Szedł przez łąki, szedł przez łany,
Szedł śród wiosny, pory pieśni;
Ptactwo nuci hymn miłośny,
A kochankom trzeba wiosny.

II.

Gdzie śród łanów szumi zboże,
Nucąc dana, dana, dana!
Tam kochankom wonne łoże,
Pośród wiosny, pory pieśni,
Gdy ptak nuci hymn miłośny.
Bo kochankom trzeba wiosny.

III.

Tak, gdy młodość im ucieka,
Nucą dana, dana, dana!
Kwiatkiem tylko życie człeka
Pośród wiosny, pory pieśni,
Gdy ptak nuci hymn miłośny.
Bo kochankom trzeba wiosny.

IV.

Zbieraj kwiaty, gdy czas służy,
Nucąc dana, dana, dana!
Bo nie znajdziesz pączków róży
Tylko w wiośnie, porze pieśni,
Gdy ptak nuci hymn miłośny,
A kochankom trńeba wiosny.

Ale nie same tylko zartobliwe ustępy udają się dobrze naszemu tłómaczowi. Z poważnych i poetycznych wychodzi on z trudniejszą a z większą chwałą. Na dowód ta przemowa Jakóba:

Jakób.

Świat jest teatrem, aktorami ludzie,
Którzy kolejno wchodzą i znikają.
Każdy tam aktor nie jedną gra rolę,
Bo siedm wieków dramat życia składa.
W pierwszym więc akcie słabe niemowlątko
Na piersiach mamki ślini się i kwili.
Następnie, student z teką, zapłakany,
Z rumianą twarzą jak poranne niebo,
Ślimaczym krokiem włecze się do szkoły.
Potem kochanek, jak miech wzdychająsy,
Pisze sonety do brwi swej kochanki.
Z kolei żołnierz, dziwnych przekleństw pełny,
Z brodą jak kozieł, drażliwym honorem,
Żywy, gwałtowny, do sporów pochopny,
Leci, w gardzieli armat szukać sławy,
Tej pustej bańki. Następnie więc sędzia,
Z okrągłym brzuchem, na kapłonach spasły,
Z surowem okiem, podstrzyżoną brodą,
Zdań mądrych pełny i nowych przykładów,
Gra swoją rolę. Później, w szóstym wieku,
Chudy pantalon w pantoflach się zjawia,
Nos w okulary ujął, a u boku
Sakwy zawiesił, w przestronnych pończochach,
Które zachował od lat swej młodości
Gubią się drżące, pokurczone łydki,
Głos męzki wrócił do dziecka dyszkantu,
Cienki, świszczący jak piszczałki tony.
Aż i nakoniec przychodzi akt siódmy,
Koniec historyi zdarzeń dziwnych pełnej.
Pamięć zagasła w drugiem niemowlęctwie,
Bez zębów, oczu, smaku, bez wszystkiego.

Albo Orlando, kiedy głodny napada na księcia i jego towarzyszy i chce im gwałtem odebrać śniadanie:

Orlando.

Jeść mi co dajcie, bo umieram z głodu.

Książę.

Więc jedz i siadaj i bądź naszym gościem.

Orlando.

Ach, co za dobroć! Darujcie mi, proszę!
Jam myślał, że tu wszystko jest okrutne,
Dlatego postać surową przybrałem.
Ale ktokolwiek jesteście, panowie,
Co w tej dalekiej, niedostępnej puszczy,
W posępnym cieniu dębów starożytnych,
Zapominacie, jak płyną godziny,
Jeśliście kiedy dnie piękniejsze znali,
Tam gdzie dzwon wołał ludzi do kościoła,
U dobrych ludzi siadali za stołem,
Jeśli z ócz waszych łza kiedy ściekała,
Jeśli nie obce wam jest miłosierdzie,
Niech wasza dobroć przymus mój zastąpi,
I w tej nadziei ze wstydem miecz chowam.

Książę.

Tak jest, znaliśmy kiedyś dnie piękniejsze,
I do kościoła dzwon święty nas wołał,
U dobrych ludzi byliśmy za stołem,
Łzy nam z ócz święta wyciskała litość:
Dlatego usiądź, i dla twej potrzeby,
Z tego, co mamy, bierz z całą ufnością.

Orlando.

O, jeszcze krótką zaczekajcie chwilę,
Abym jak sarna po koźlę me pobiegł,
I dał mu pokarm. Tam biedny jest starzec,
Który przez miłość dla mnie, długą drogę
Wlókł słabe kroki; do ust nic nie wezmę,

Aż on pokrzepi ciało powalone
Od dwóch tyranów — głodu i śmierci.

Książę.

Idź, spiesz się! wszystko na powrót wasz czeka.

Orlando.

Za waszą dobroć niech Bóg wam zapłaci!

Wreszcie Orlando, kiedy na drzewach wypisuje i rozwiesza swoje czułe wiersze, jak żeby był czytał Orlanda i chciał naśladować Medora. Czy to czasem nie przypomnienie poematu Ariosta?

Orlando.

Tu zawieszę me pieśni jak uczuć mych znaki,
A ty, czysta Dyano, śród niebios otchłani,
Czytaj pogodnem okiem, blade mierząc szlaki,
Imię twojej kapłanki, życia mego pani.
O Rozalino! drzewa te będą księgami,
Wyryję myśli moje na twardej ich korze.
Aby się wszędzie karmił twoich cnót świadkami,
Wędrowiec zabłąkany w tym samotnym borze.
Niechaj więc drzewo każde imie tej zachowa,
Która czystszą, piękniejszą nad wszystkie jest słowa.

Naszem zdaniem *the Taming of the Shrew* niezupełnie szczęśliwie oddane jest przez *Ugłaskanie Sekutnicy*. Od *sekutnicy* wolelibyśmy prostą *złośnicę:* ale nie właściwem wydaje nam się to *ugłaskanie,* kiedy wiadomo, że inną wcale metodą Petruchio swoją żonę doprowadził do posłuszeństwa. *Obłaskawienie* odpowiadałoby lepiej angielskiemu *taming,* a miałoby i tę zaletę, że się używa o takich naturach dzikich jak Katarzyna. A jeżeli to podobieństwo ze zwierzętami miałoby przynosić jej jaką ujmę, więc niechby już zostało przyjęte dotychczas *poskromienie,* tylko nie *spornej* (jak piszą nasze teatralne ogłoszenia), lecz *złośnicy.*

Komedyę poprzedza objaśnienie, w którem prolog jej: młody szlachcic angielski, który śpiącego pijanego chłopa

każe przenieść do swego dworu, przebrać w piękne suknie, a przebudzonego mistyfikuje, porównany jest do starej polskiej komedyi z *Chłopa Król.* Uznajemy z wdzięcznością sumienność komentatora, który stara się dociec z jakiego (lub z jakich źródeł) wielki Szekspir i mały Baryka czerpali treść do swoich komedyj. Ale pozwolilibyśmy sobie zwrócić uwagę jego i czytelnika, na podobieństwo tej sytuacyi z inną i z nową komedyą polską. Pan Janusz w Jowialskim ma taki sam pomysł, jak ów młody Lord Szekspira. Czyby Fredro był tu znalazł węzeł komedyi, który dalej zupełnie inaczej zaplątał i rozplątał? Nie sądzimy, żeby był wiele zajmował się Szekspirem, a zwłaszcza, żeby w tych latach kiedy Jowialskiego pisał, był go znał od deski do deski, aż do mniej znaczących komedyj. Dlatego nie zdaje nam się prawdopodobnem, żeby mistyfikacya Jowialskich była powstała w jego głowie pod wpływem tej. Podobieństwo musi być przypadkowem; ale skoro już jest mowa o podobnych sytuacyah w komedyi polskiej, zdawało nam się słusznem przypomnieć i to podobieństwo z Jowialskim.

Komedya sama, zdaniem naszem jest bardzo ładna. Wesoła i śmieszna, zbudowana tak regularnie jak się rzadko u Szekspira zdarza, pełna dowcipu, w jednej scenie kiedy *Lucentio* uczy *Biankę* po łacinie a *Hortensio* w kącie stroi swoją gitarę, ma nawet w swoim dowcipie wiele wdzięku. I znowu możnaby pytać, czy nie ta lekcya łaciny naprowadziła zakochanego Almawiwę czy przebiegłego Figara na myśl tej lekcyi muzyki, nad którą dzięki Rossiniemu świat cały rozpływa się w *Cyruliku.*

Tłómaczenie (Paszkowskiego) bardzo dobre. Katarzyna i Petruccio (nazwany Petrycym), zachowali swoje charaktery w całej ich świetności. Ona ma popędliwość, gwałtowność, potem strach, potem rozstrojenie nerwów i płacz, w końcu potulną uległość: on rubaszną tęgość, wesołość trochę grubiańską, rozum, i tę pewność siebie, która w końcu często zwycięża. Jedną ich rozmowę, mianowicie zaraz pierwszą, tłómacz znacznie zmienił, o czem sam uprzedza, podając za powód: „gry, wyrazów dwuznaczników, których jest pełno

w oryginale, nie podobna było oddać wprost, i szczegóły dla dzisiejszego smaku za pieprzne.“ Dlatego starał się tylko oddać wiernie „samego ducha oryginału.“ Nie przeczymy ani trudności dochodzącej prawie do niepodobieństwa, ani też *pieprzności* niektórych konceptów, przechodzącej wszelką miarę. Czy jednak tłómacz ma prawo odstępować od oryginału, i tylko jego ducha się trzymać? nie wiemy: choć w tym razie niewątpliwie trzymał się go nietylko wiernie, ale i zręcznie:

Dzień dobry, Kasiu, bo tak, jak słyszałem,
Zowią Waćpannę.

Katarzyna.

Dobrześ Waćpan słyszał,
Ale masz w uszach skrzywione bębenki:
Kto o mnie mówi, zwie mię Katarzyną.

Peetrycy.

Kłamiesz Waćpanna, bo wiem, że po prostu,
Zowią cię Kasią, krotofilną Kasią,
Niekiedy i złą Kasią, ale zawsze
Kasią najmilszą w chrześciańskim świecie.
A zatem Kasiu, Kasieńko, Kasiuniu,
Pieszczoto moja, bo w Kasi, Kasieńce,
Jest w każdym razie coś pieszczotliwego,
Następujące czynię oświadczenie:
Słysząc, jak cały świat chwali twą słodycz,
Głosi twe cnoty, wdzięki twe wynosi,
Nie tyle jednak, ile tego warte;
Takem wieściami temi był wzruszony,
Że zapragnąłem pojąć cię za żonę.

Katarzyna.

Wzruszony? proszę! Skoro o ruch idzie
To ruszaj sobie Waćpan, zkąd przyszedłeś.
Jużem ja zaraz na wstępie poznała,
Że Waćpan jestes ruchomością.

Petrycy.

Jaką?

Katarzyna.

Butem.

Petrycy.

Wybornie! wzuj mię, moja Kasiu.

Katarzyna.

Kobiety butów nie noszą.

Petrycy.

I owszem;

Noszą.

Katarzyna.

Nie takie przynajmniej jak Waćpan.

Petrycy.

Nie będę cię naciskał, luba Kasiu;
Bo widząc, żeś jest tak młodą i lekką. —

Ketarzyna.

Tak lekką, że mię taki cap nie złapie;
Dość jednak ważną w rzeczy samej.

Petrycy.

Ważną
Będziesz dopiero, zostawszy poważną.

Katarzyna.

Powagi pewnie nie nada mi taki
Raróg jak Waćpan.

Petrycy.

Jeżelim ja raróg,
To cię ulowię, moja turkaweczko.

Katarzyna.

Turkawka grucha, strzeżże się mnie Waćpan,
Bo mogę gruchnąć tak, żeć uszy spuchną.

Petrycy.

Idź, oso, widzę, żeś jest złą nad miarę.

Katarzyna.

Jeżelim osa, to radzę Waćpanu
Lękać się mego żądła.

Petrycy.

Przeciw żądłu
Najlepszym środkiem jest jego wyrwanie.

Katarzyna.

Tak, tylko głupcy nie wiedzą, gdzie ono.

Petrycy.

Gdzie osy mają żądło, to nie sekret.

Katarzyna.

Gdzież więc?

Petrycy.

Nie w pyszczku.

Katarzyna.

To zapewne w łapkach.
(*Uderza go*).

Petrycy.

Kasiu, uprzedzam cię, że jestem szlachcic;
Szlachcica bić nie wolno, a kto bije,
Ten bywa bity.

Katarzyna.

Tak?

Petrycy.

Tak mój klejnocie.

Katarzyna.

Tobyś się Waćpan targnął na swój klejnot,
Gdybyś mię obił i zakał byś przyniósł
Swemu szlachectwu.

Petrycy,

Heraldyczką jesteś?
Umieśćże moją tarczę w w swojem polu.

Katarzyna.

Jakiż herb pański? Bałwan?

Petrycy.

Bałwan wodny,
Co będzie szparki okręt twój kołysał.

Katarzyna.

Długo się będzie tłukł, nim mię dosięże.

Petrycy.

Ejże, Kasieńku, nie bądź mi tak kwaśną.

Katarzyna.

Taką ja zawsze jestem kiedy patrzę
Na kapuściane głowy.

Petrycy.

Tu ich niema.

Katarzyna.

I owszem.

Petrycy.

Pokaż gdzie?

Katarzyna.

Nie mam zwierciadła.

Petrycy.

Czyliżby moja? —

Katarzyna.

Proszę, co za dowcip
W tak młodym wieku!

Petrycy.

Prawdęś powiedziała.
Za młody jastem dla cię.

Katarzyna.

A już zwiędły.

Petrycy.

Skutkiem trosk.

Katarzyna.

O to wcale się nie troszczę.
(*Chce odejść*).

Petrycy.

Zaczekaj, Kasiu, tak mi się nie wymkniesz.

Katarzyna.

Rozgniewałabym pana dłużej bawiąc,
Proszę mnie puścić.

Petrycy.

Bynajmniej, bynajmniej:
Owszem, znajdujęć ze wszech miar przyjemną.
Mówiono, żeś jest szorstką, prędką, cierpką,
Istna to potwarz, jasno widzę teraz:
Boś ty wesoła, żartobliwa, grzeczna,
Nie popędliwa w mowie, raczej słodka,
Jak kwiat wiosenny; ty nie jesteś zdolną
Gniewać się, marsa stawiać, krzywo patrzeć,
Ty nie masz w sobie ducha przeciwieństwa;
Uprzejmą jesteś dla swych konkurentów,
Łatwą w obejściu, skromną i potulną.
Co ludzie prawią, że Kasia kuleje?
O, złe języki! Kasia jest tak prostą,
Smukłą i zgrabną, jak pręt leszczynowy;
Brunatnej cery jak laskowy orzech,
A dwakroć słodszą niż orzecha jądro.
Przejdźno się; wszak nie chromasz?

Katarzyna.

Idź błaźnie:
Rozkazuj takim, jakeś sam.

Petrycy.

Czyż kiedy
Chód Dyany w lesie wydał się tak pięknym,
Jak w tym pokoju królewski chód Kasi?
O, bądź ty Dyaną, a jej daj być Kasią!
Niech wtedy Kasia będzie nieprzystępną,
A Dyana zmięknie.

Katarzyna.

Gdzieżeś się to Waćnan
Tej patetycznej nauczył oracyi?

Petrycy.

Ot, ułożyłem ją tak, *ex tempore*
Mam dowcip z matki.

Katarzyna.

O dowcipna matko
Niedowcipnego syna.

Petrycy.

Czy rozumiesz,
Że ja mam tępe objęcie?

Katarzyna.

Tak ostre
Jak bicz furmański.

Petrycy.

Sprawdzisz to, Kasieńko,
Gdy w mem objęciu spoczniesz, i dlatego,
Czczą gadaninę odkładając na bok,
Oświadczam pani krótko węzłowato,
Że mi jej ojciec daje ją za żonę:
Co do posagu rzecz już ułożona,
Będziesz więc moją, chcesz czy nie chcesz. — Ejże!
Jam jest mąż, właśnie dla ciebie, Kasieńko,
I na to światło, przy którem twa piękność
Tak się uroczo przedstawia mym oczom,

Nikt twym nie będzie mężem, tylko ja.
Jam jest stworzony Kasiu, nie kto inny,
Do ugłaskania cię, do przerobienia
Z lwicy na kotkę, taką jak i inne
Obłaskawione kotki. — No, koteczko,
Twój ojciec idzie; nie bądźże mi krzywą:
Chcę cię za żonę pojąć, taki muszę.

Wszystkie dalsze nieszczęścia biednej złośnicy i wszystkie sposoby, któremi ją mąż poprawia, znużenie, głód, upokorzenie i t. d., wszystko przetłómaczone jest z wielkiem życiem. Drobne usterki naturalnie być muszą. Nie rozumiemy naprzykład, dlaczego Katarzyna mówi siostrze: *włóż w oko palec* i *zakwil jak malec* (akt pierwszy). Że ona do ślubu ma wystąpić *galante,* to Petruccio mówi umyślnie, z żartu. Ale o swojej *junakeryi* mówi na prawdę, a powinienby wiedzieć, że mało jest rzeczy tak nieprzyjemnych i rażących polskie ucho, jak wyraz utworzony z dobrego polskiego wyrazu przez dodanie końcówki obcej. *Junak* jest takiem bardzo dobrem słowem polskiem, a zakończenie *eryja* jest francuskie, i w słowach z francuskiego wziętych jak galanterya, żandarmerya i t. p., uchodzi, ale wyraz polski tak zakończony wygląda tak śmiesznie i niesmacznie, jak wyglądałby człowiek, który do kontusza i pasa włożyłby pończochy i trzewiki.

Czy polska przypowieść „przemówił dziad do obrazu" nie jest zbyt polską? nie wiemy. Ale tego jesteśmy pewni, że *kundman* to słowo zbyt niemieckie, a *epuza* zbyt francuskie. A co znaczy, że *Katarzyna siedzi kieby miłosierdzie w murku* (oryginał mówi tylko, że siedzi jak ktoś tylko co ze snu zbudzony i nieprzytomny), co to jest *miłosierdzie w murku?* dlaczego *miłosierdzie* siedzi *w murku?* tego znowu nie wiemy, jak nie wiemy, dlaczego wdowa, z którą żeni się Hortensyusz, nazwana jest Dorotą, albo dlaczego zamiast przydomku *wałkonia* Petruccio nie daje jednemu ze swoich sług jakiegoś mniej przestarzałego a więcej zrozumiałego.

Wszystko dobre co kończy się dobrze (czy nie byłoby właściwiej: *Dobry koniec dzieło chwali?*) przekład Ulricha, grzeszy także samemi małemi błędami, jak naprzykład: *żenować, datel,* może i ta *cewa,* na którą król choruje — nic ważniejszego.

„*Wieczór Trzech Króli*, *Dwunasta Noc po Bożem Narodzeniu*, obchodzonym był w Anglii wesołością, ucztami, wyborem jednodniowego fantastycznego króla i jego dworu. Był to wieczór zabawnych przemian, a takie właśnie przemiany są komedyi treścią. Jest to: *co sobie chcecie*, dziwactwo, jak żeby dla zabawy tego wieczoru napisane;“ oto jak tłómaczy wstęp tytuł angielski komedyi *Co chcecie, Twelfth Night* i swoje przerobienie tego tytułu na *Wieczór Trzech Króli.* Z tytułem *Północnej Godziny* (zupełnie nieusprawiedliwionym) tłómaczył ją niegdyś w roku 1844 John of Dycalp. Czy trzeba mówić, że przekład obecny jest o wiele od tamtego lepszy? Wprawdzie i tu *Sir Toby Belch* nazywa się *Czkawką* (tam nazywał się *Łykiem)*, a *Sir Andrew Ague Cheek*, który tam był *Niedołęgą*, tu jak przystało na polskiego szlachcica, kończy się na *ski,* jest panem *Czerwonogębskim,* ale cóż na to poradzić? To dawanie polskich nazwisk przyjęli widać tłómacze za zasadę i musieli mieć jakieś do tego powody, naszem zdaniem nie dobre, ale których poprawić już nie można. W komedyi samej wytknęlibyśmy chyba tylko niektóre wyrażenia, które przez wielką wierność stają się niezupełnie zrozumiałe, jak naprzykład *myszka cnoty* (Pajac do Olivii w akcie pierwszym), dosłownie przetłómaczona z angielskiego, ale po polsku nie wiedzieć co znacząca.

Ostatnią jest *Zimowa Powieść,* oprócz zwykłego wstępu objaśniającego czas w którym, i źródła z których prawdopodobnie powstać mogła, opatrzona jeszcze krótką, ale bardzo zajmującą przedmową, a raczej rozprawą Stanisława Koźmiana *o kilku dawnych cudzoziemskich utworach z przedmiotów polskich.* Z powodu tej okoliczności, zupełnie jak się zdaje udowodnionej, że *Zimowa Powieść* o niesłusznie posądzonej przez męża królowej wzięta jest z prawdziwej histo-

ryi Ziemowita III, księcia mazowieckiego i jego żony Ludmiłly, podaje Koźmian wiadomość o różnych starych romansach lub dramatach zagranicznych, w których jest jakiś ślad, jakieś źdźbło polskiej historyi lub wiadomości o Polsce, a znajduje takie w literaturze angielskiej (przed Szekspirem i po nim), we francuskiej i hiszpańskiej. Kto wie, czy ślad polskiego początku tej sztuki nie przechował się i w pochodzeniu tej Sycylijskiej królowej, która mówi, że jest *Cesarza Moskiewskiego córką?* Wszystko jest przeniesione w jakieś fantastyczne kraje, w jakieś nadmorskie a arkadyjskie Czechy i w jakąś Sycylię pół-grecką, półśredniowieczną; ale to wspomnienie kraju geograficznie przyległego, może jest także jedną ze wskazówek, że Szekspir o czemś polskiem czytał i myślał, kiedy tworzył tę dziwną *Zimową Powieść.*

Czy nie należałaby ona do najładniejszych komedyj Szekspira, czy przez swoje sytuacye patetyczne nie równałaby się z *Kupcem Weneckim,* przez śliczny akt czwarty z najładniejszemi sielankowemi scenami *As you like it,* gdyby nie dwie rzeczy, które ją psują? Jedną jest ta nieprzyjemna, niesmaczna mistyfikacya z posągiem. Że Paulina ukrywała przed wszystkimi tajemnicę życia Hermiony i ją samą, to daje się jeszcze zrozumieć, choć doprawdy mogła była oddać ją mężowi, kiedy ten niesprawiedliwości swojej tak gorżko żałował. Ale, że jej kazała udawać posąg, że kobieta, która od lat kilkunastu nie widziała męża i dziecka, nie idzie do nich odrazu, ale przez pół godziny stoi na postumencie, to nie wiem jakiem byłoby w naturze, ale w sztuce wydaje się i nieprawdopodobnem i niesmacznem. Druga zaś rzecz, która *Powieść Zimową* psuje, to ta zazdrość Leontesa, która się bierze nie wiedzieć zkąd, a za jedyną wymówkę ma chyba bardzo słabą głowę jego królewskiej Mości. Pojmuje się zazdrość bez najmniejszego cienia powodu; ale żeby człowiek w jednej chwili nie posądzał ani żony, ani przyjaciela, żeby jej kazał zatrzymywać go w domu i bawić, a kiedy ona to zrobiła, w tej chwili, bez żadnego inszego powodu wtrącił ją do więzienia a jego starał się otruć, to więcej niż zwykła

ludzka zmienność lub namiętność dopuszcza: taki człowiek jeżeli nie był szalonym, musiał być strasznie ograniczonym. Tutaj, jak w Learze niczem nie usprawiedliwiony gniew na Kordelię, musi pochodzić ztąd, że Szekspir wziął żywcem zawiązanie akcyi z tej legendy czy powieści, na której osnuł sztukę, przyjął je jako dane, nie pytając i nie roztrząsając.

Przekład *Zimowej Powieści* należy do najładniejszych Ulricha. Wolelibyśmy może, żeby Leontes patrząc z zazdrością na uprzejmość Hermiony dla Polixena nie mówił, że ona zwraca ku niemu swój *dzióbek*, już *buzia* byłaby może lepszą; w innem miejscu liczenie z pomocą *szczotów*, choć one myśl dobrze oddają, jest może tak wyłącznie rosyjskim zwyczajem, że jakaś ogólna nieokreślona szkolna *tabliczka* byłaby lepszą: *Perdita* znowu nazwana jest nie zbyt zrozumiale *królową śmietanki*, królowa obory i nabiału byłaby może mniej dosłowną a za to więcej określoną; ale wszystko to są drobiazgi, o których mówić nie warto. W całości zaś tak sceny patetyczne Hermiony, Leontesa i Pauliny, jak pełne gracyi czułe rozmowy Florizela z Perditą, jak oszustwa rzezimieszka Autołykusa i błazeństwa Pajaca oddane są bardzo szczęśliwie. Oto na zakończenie parę przykładów:

Hermiona.

Gdy co mam mówić, musi być jedynie
Wszystkich oskarżeń prostem zaprzeczeniem,
I gdy jedynem z mej strony świadectwem
Jest to, sędziowie, które sama daję,
Deremno powiem: „tak, jestem niewinną,“
Bo gdyście cnotę mą wzięli za zbrodnię,
Świadectwo moje za kłamstwo weźmiecie.
Lecz jeśli bóstwo ludzkie czyny widzi,
(Jak silnie wierzę), o, wtędy, nie wątpię,
Że ma niewinność twarz oskarżycieli
Wstydem oblecze, a przed cierpliwością
Tyrania zblednie. — Królu, wiesz najlepiej,
(Choć niewiadomość udawać chcesz teraz),
Że przeszłe życie moje było czyste,

Tak czyste, szczere, jak dziś me nieszczęścia,
A równych nieszczęść nie znajdziesz w powieściach
Zmyślonych, żeby rozrzewnić słuchacza.
Patrzcie, spólniczka królewskiego łoża,
Spólniczka tronu, i córka królewska,
Matka książęcia pełnego nadziei,
Dziś się rozprawiam o życie i honor
W obliczu wszystkich, co mnie słuchać raczą.
Me życie cenię jak moje boleści —
Skończyć je pragnę — lecz czysty mój honor,
Ten z przodków biorę, i dzieciom go winnam,
I tego bronię. Niech twoje sumienie
Świadczy mi, Królu, czy nim Poliksenes
Na dwór twój przybył, czy twojej miłości
Godną nie byłam? Od jego przybycia
Jakimże krokiem niebacznym, występnym
Zarzut ściągnęłam? Jeśli przekroczyłam
Na jedną jotę granice honoru
Czynem, lub wolą, lub myśli skłonnością,
Najbliżsi krewni moi niech nie mają
Nic dla mogiły mojej prócz pogardy!

A teraz ta scena, kiedy Polixenes i Kamiłło w przebraniu przychodzą szukać Florizela na pasterskiej zabawie:

Perdyta.

Witam was, panowie!
Mojego ojca taka była wola,
Żebym dnia tego była gospodynią,
A więc was witam! Dorkas, daj mi kwiaty.
Przyjmijcie, proszę, rutę i rozmaryn,
Które przez zimę liść i woń chowają,
A dobra pamięć niech wam towarzyszy!
Witajcie u nas!

Poliksenes.

Urodna pasterko,
Słusznie, że starcom dajesz kwiaty zimy.

Perdyta.

Rok się starzeje, lato nie skonało,
Drżąca się jeszcze zima nie zrodziła;
Kwiat najpiękniejszy pory tej — gwoździki,
I lak pstrokaty, bękartem natury
Zwany czasami; wiejski mój ogródek
Kwiatów tych niema i niechcę ich sadzić.

Poliksenes.

Piękna dziewczyno, czemu nie dbasz o nie?

Perdyta.

Bo mi mówiono, że jest jakaś sztuka,
Która w ich listków pstrzeniu dzieli władzę
Z twórczą naturą.

Poliksenes.

Że tak jest, przypuśćmy:
Lecz nie ma środków lepszenia natury,
Jeśli natura środków tych nie dała;
A tak więc sztuka, o której powiadasz,
Że chce naturze dodawać, jest sztuką
Natury samej. Czyliż, piękne dziewczę,
Nie szczepim słodszej płonki na pniu dzikim,
W podlejszej korze, szlachetniejszym pączkiem
Budząc owoce? Przyznasz, to jest sztuka,
Która poprawia, przemienia naturę,
Ale ta sztuka sama jest naturą.

Perdyta.

Prawda.

Polikenes.

Więc napełń ogródek twój lakiem,
I odtąd, proszę, nie zwiej go bękartem.

Perdyta.

Nigdy się grzędy mej nie dotknę rydlem,
By jednę laku gałązkę zasadzić.
Jak nie chcę, gdybym malowała lice,
Żeby ten młodzian mówił, że to pięknie,

I że dla różu miłości mej szukał.
To kwiaty dla was: gorąca lawenda,
Mięta i cząber, wonny majeranek,
Kaczyniec, co się kładzie spać ze słońcem,
I z słońcem oko płaczące otwiera:
Wszystkie te kwiaty średniego są lata,
I ludziom wieku średniego przystoją.
Jeszcze raz szczerem pozdrawiam was sercem!

Kamillo.

Gdybym był jedną owcą z twojej trzody,
Rzuciłbym trawę a karmił się okiem.

Perdyta.

Takbyś wnet wysechł, że wiatry styczniowe
Na wskróśby mogły przez ciębie przewiewać.
A ty, mój piękny, piękny przyjacielu,
Ah, czemuż nie mam kilku wiosny kwiatów,
Aby je zbratać z twego życia wiosną!
(*Do wieśniaków*).
I dla was także.
(*Do wieśniaczek*).
I dla was, me siostry,
Na których świeżych, zielonych gałązkach
Czysty, dziewiczy rozwija się pączek!
O Prozerpino! gdzie kwiaty, twą dłonią
Z Plutona wozu w trwodze poronione?
Powrót jaskółki przedzące narcyzy,
Które pięknością zwodzą wiatr kwietniowy;
Fijołki skromne, lecz czystsze, lecz słodsze,
Nad wzrok Junony i oddech Cytery;
Blade pierwiosnki, co w dziwictwie giną,
Wprzody nim Feba w całym ujrzą blasku,
(Los smutny, często grożący dziewicom);
Harde łyszczaki, korony cesarskie,
Irys i wszystkie lilii odmiany,
Chciałabym wszystkie w jeden upleść wianek,
Osuć cię niemi, słodki przyjacielu.

Floryzel.

Jak umarłego?

Perdyta.

Nie, jak darń zieloną,
Na której miłość bawi się i drzemie.
Albo też tak jest, jakby umarłego
By cię w ramionach mych pochować żywcem.
Weźcie te kwiaty! — Ale gram, jak widzę,
Jak ich już nie raz widziałem grających,
Nową sielankę na Zielone Świątki.
Odzież ta moje przewróciła myśli.

Floryzel.

Wszystko, co robisz, zawsze najpiękniejsze;
Gdy mówisz, chciałbym, byś mówiła ciągle;
Gdy śpiewasz, chciałbym, by śpiew był ci środkiem
Kupna, sprzedaży, dawania jałmużny,
Twojej modlitwy; chciałbym żeby piosnka
Była rozkazów domowych tłómaczem.
Gdy tańczysz, słodka, chciałbym cię przemienić.
Na morską falę, byś wiecznie tańczyła,
Taniec jedynem był ci zatrudnieniem;
Bo każda cząstka każdej twej czynności
Obecny czyn twój jak koroną wieńczy:
I wszystkie czyny twoje są królami.

Perdyta.

O, Doryklesie, zbytnie to pochwały,
I gdyby młodość i szczera krew twoja,
Która tak pięknie z twych liców przemawia,
Nie poświadczały, żeś pasterz bez plamy,
Miałabym prawo myśleć, Doryklesie,
Żeś drogą fałszu miłości mej szukał.

Floryzel.

Tak mało, sądzę, powodów masz trwogi,
Jak ja mam mało trwogę w tobie budzić.
Ale do tańca.

Na tej komedyi kończy się zbiorowy pierwszy całkowity przekład, który jest ostatnim rezultatem prac polskich na tem polu. Będzie temu sto lat mniej więcej, jak zaczęliśmy coś o Szekspirze słyszeć i wiedzieć, a będzie około czterdziestu, jak zaczęto go u nas tłómaczyć na prawdę, z oryginału. O wszystkich tych próbach i usiłowaniach wspomnieliśmy na wstępie. Wszystkie, czy mniej czy więcej szczęśliwe, były potrzebne jako szczeble, po których wychodziliśmy coraz wyżej, aż do przekładu zupełnego i dobrego, i wszystkie dowodziły, że było i coraz żywsze pragnienie, i coraz lepsze zrozumienie tego, czem przekład Szekspira być powinien. Powoli więc i stopniowo, ale ciągle i wytrwale dążyliśmy do tego celu; i wreszcie dał się osiągnąć, może późno, ale dobrze, tak, że każdy nawet najbardziej wymagający może poprzestać na tej mierze osiągniętego rezultatu. Chciałoby się, żeby na wszystkich innych polach usiłowania nasze do takich doprowadziły: marzenie mogłoby żądać więcej, ale sumienie i potrzeba miałyby się czem zaspokoić. Chciałoby się także, żeby ten skutek zdobyty na polu literackiem stał się typem i przykładem, nauką, jakim sposobem dochodzi się do celu. Wytrwałość, ciągłość, rzetelna sumienność usilowań i stopniowe zbliżanie się do dobrego, oto droga, którą doszliśmy do przekładu angielskiego poety. Obyśmy na podobnej przenieśli do siebie i inne angielskie skarby, pieniężne, umysłowe, i polityczne.

Ale od tych marzeń i życzeń wracając do rzeczy, to jest do naszego przekładu, nie powiemy, że ten ostatni rezultat naszych prac około Szekspira jest największym, bo choć poprzednich wcale lekko nie ważymy, przecież z małemi wyjątkami nie trudno było przewyższyć. Powiemy więc tylko, bez porównań, że on jest dobrym, bardzo dobrym. W roztrząsaniu jego niedostatków do zbytku może drobiazgowi i surowi, teraz w zakończeniu powiedzieć mamy prawo i obowiązek, że jakkolwiek pod względem poetycznego wrażenia przekład oryginału nie dochodzi — (a tłómacze, którzy swoim wzorom są zupełnie równi, liczą się na palcach w literaturze świata) — to przecież ma on prawo liczyć się

do najlepszych w Europie. Niemcy naprzykład tak dumni, i słusznie, ze swoich tłómaczeń Szekspira, może z przekąsem dziwiliby się nam Polakom, że tak późno zdobyliśmy się na zupełne jego tłómaczenie. Ale zdziwiliby się dopiero bardziej, gdyby czytając nasz przekład, przyznać musieli, że ani co do sumiennej wierności, ani co do formy, ani nawet co do tego najtrudniejszego poetycznego wrażenia, on ich sławnym tłómaczeniom nie wiele ustępuje. A kiedy mówimy *nie wiele,* to tylko z obawy, żeby przez narodową miłość własną nie wpaść w przesadę, bo na prawdę myślimy i chcielibyśmy powiedzieć: nie ustępuje niemieckim tłómaczeniom nic. A zważywszy stosunkową łatwość tłómaczenia z języka angielskiego na niemiecki, ogromne zaś oddalenie języka polskiego od angielskiego, musimy koniecznie w dobrym przekładzie polskim uznać przełamanie nierównie większych trudności, większą zasługę, i większy tryumf.

Nie cieszymy się też tylko, lub chlubimy, ale prawdziwie tryumfujemy na widok takiego dokonanego dzieła. Znaczenia i wartości jego dla naszej literatury, dla naszej oświaty, wskazywać nie potrzebujemy. Żadna literatura długo kwitnąć ani nawet żyć porządnie nie może, jeżeli zasklepiona jest sama w sobie a od innych odgraniczona chińskim murem, tak samo jak nie może żyć i kwitnąć ekonomicznie kraj, któryby się dusił w wewnętrznym tylko handlu. Przekłady wielkich dzieł obcych są tem dla literatury i dla oświaty, czem są łatwe komunikacye, czem zamiana produktów i wyrobów w stosunkach ekonomicznych. Któż wie i kto zliczy, ile na tem nasza literatura i nasz stan umysłowy w ogóle traci, że nie mamy dotąd zupełnych i zupełnie dobrych tłómaczeń poetów starożytnych, Göthego, Schillera? Kto wie, czy publiczność lepiej i powszechniej z nimi przez przekłady obeznana, nie wzniosłaby wyżej swego smaku, a swoich sądów głębiej nie zapuszczała? W każdym razie brak takich tłómaczeń jest jedną z nędz naszej literatury, i powiedzmy otwarcie, jednym z jej wstydów. Pomiędzy największe zasługi i najniewątpliwsze tytuły do wdzięczności i chwały zgasłego świeżo Lucyana Siemieńskiego, policzono

powszechnie, i słusznie, przekład Odyssei. Przekład Szekspira był przedsięwzięciem materyalnie nierównie większem, a choć z nowożytnego języka, nie łatwiejszem. Był zaś może potrzebniejszym, bo Szekspir bliższy naszych czasów i naszej cywilizacyi, poeta naszego świata, więcej ma z nim styczności a w nim znaczenia aniżeli Homer. I dlatego jego przekład, choćby pod względem formy mniej doskonały — a pod tym względem wiemy jak mało kto mógłby zrównać Siemieńskiemu, który miał dar szczególny i zupełnie wyjątkowy — nie będzie mniejszą zasługą, nie przyniesie mniej zaszczytu tym, którzy go dokonali, ani mniej pożytku polskiej literaturze i polskiej cywilizacyi. Możemy też śmiało i sumiennie sprawozdanie nasze o polskich pracach około Szekspira zakończyć słowem, że odniosły one skutek zupełny, skutek, nad który lepszego nie potrzeba, w dniu kiedy wyszedł na świat przekład Koźmiana, Ulricha i Paszkowskiego; i że oni tym przekładem zrobili sobie wieczną w literaturze polskiej zasługę, a zarobili na wieczną pamięć i chwałę.



III.

KORIOLAN SZEKSPIRA.

Wydany świeżo całkowity przekład Szekspira, przyniesie nam zapewne ten wielki pożytek, że rozszerzy i ułatwi znajomość tego co w dramacie chrześciańskiej epoki jest największem. Jak nie każdy mógł z łatwością i upodobaniem czytać Szekspira w oryginale lub tłómaczeniu niemieckiem, tak i niejeden może, co nieraz miał pokusę zerwać się na jakieś studyum o nim lub przynajmniej o którem z dzieł jego, wstrzymał się w zapędzie, bo trudno i dziwnie mu było pisać o Szekspirze po polsku, a potrzebne wyjątki i przykłady cytować po angielsku albo po niemiecku. Teraz, kiedy zawadę tę usunieto nam bardzo wystarczającem i bardzo cennem tłómaczeniem, może częściej zaczną wychodzić na wierzch polskie studya o Szekspirze, których dotąd było tak malo. Na dowód, że ułatwienie jest, a daj Boże na zachętę drugim, jak pierwszy grosz dany na składkę w dobrym celu, niech służy te kilka uwag o dramacie, który nie należy do najwięcej u nas znanych i sławnych, a który do wielkiej sławy ma prawo, o *Koriolanie.*

Imię jego słyszy się tak często, nasi pisarze dziejów polskich tak lubią je wspominać, kiedy mówią o rokoszach, o konszachtach z zagranicznymi panami, że ten hardy Patrycyusz mszczący się urazy swojej na Rzeczypospolitej, wyszedł niemal na uosobienie tego pierwiastku oligarchicznej dumy, który w całym ciągu historyi polskiej burzy, fermentuje, rozkłada i rozsadza, na patrona naszych Zborowskich, Zebrzydowskich i wszystkich innych *urażonych królewiąt polskich.* To też z niechęcią i z gniewem myśli się o nim i mówi, jak żeby on był winien, jak żeby był przykładem i wzorem do złego, i każdy z nas kiedy go przypadkiem wspomni, rzuca

na niego złe słowo, jak żydzi w dolinie Jozafata kamień na grób tego Absalona co dał przykład buntu. Ale dlatego gniewu na Koriolana właśnie, ze szczególnem zajęciem bierze się do ręki dramat, którego on jest bohaterem; jakaś ciekawość ciągnie dowiedzieć się, jak Szekspir taki charakter i takie działanie pojął i przedstawił? stosuje się do własnych dziejów i szuka się ich podobieństwa w tych starych rzymskich dziejach, przez Anglika z grobu wywołanych: otwiera się Koriolana z tą myślą, że znajdzie się w nim coś polskiego nieledwie. Znajduje się w nim więcej: nie przystósowanie lub podobieństwo do poszczególnych osób, faktów lub narodów, ale świat cały, ale człowieka i ludzkość w kształcie czy greckim, czy rzymskim, czy nowożytnym, francuskim, polskim, czy innym: ale te wielkie odłamy, na które się ludzkość rozpada i dzieli, ich naturę, ich wzajemny stosunek, ich namiętności, ich walki, lud Ateński na Pnyxie i Rzymski na Forum, i Polski lud szlachecki na polu pod Wolą, i dzisiejsze europejskie wypadki, te same zawsze natury, te same siły i walki, te same przyczyny i te same sposoby działania, czy człowiek, który działa, nosi imię Cajusa, czy imię Samuela lub Jerzego, czy jest Kleonem, czy ostatnim z nowoczesnych europejskich reptiliów, czy zostawi po sobie pamięć w historyi, czy cicho *zadusi się mułem,* w którym pełza.

Czy są w naszym wieku słowa częściej powtarzane, więcej zawsze w ustach każdego, jak słowa: arystokracya i demokracya? od urodzenia do śmierci słyszy się tylko zawsze te dwa hasła, wołane na wszystkie tony od przekąsu do przekleństwa. Jak pies obrożę, jak bydlę cechę stada z którego pochodzi, jak galernik piętno, tak my nosimy znamię jednej albo drugiej, i nosimy je czy chcemy, czy nie chcemy, bo nam je wypalą ludzie i wypadki, choćbyśmy najbardziej do żadnej się przyznać, do żadnej należeć nie chcieli. Nadarmo mówisz, że jednym ani drugim nie jesteś, że chcesz być i jesteś sobą, człowiekiem, Polakiem, Francuzem lub Niemcem, katolikiem, protestantem albo żydem, to nie dosyć: powiedzą ci zaraz, że jesteś, że powinieneś

być, że być musisz, arystokratą albo demokratą, zaraz cię tam lub tu przysądzą, zaliczą, zapiszą, a nieraz nawet zrobią cię jednym lub drugim. Jest to paląca koszula Dejaniry, a przynajmniej ołowiany płaszcz potępieńców Danta, które nasz wiek wkłada na nas jak swoją liberyę, i zdejmować nam jej nie daje, a my, niewolnicy tego pana chodzimy w jego barwie, całe życie zgięci i złamani ciężarem tego płaszcza, strawieni jadem tej koszuli, która nam się wżera w ciało.

Te dwie siły, te dwa pierwiastki, ich nienawiść i ich walka, są treścią tego dramatu. Powiedziano o nim *(Gervinus)*, że mylnie uchodzi on za dramat przedewszystkiem polityczny, bo wzgląd psychologiczny, natura ludzka w różnych swoich odmianach schwycona na uczynku, pojęta i skreślona jak jej nikt głębiej nie pojmował i podobniej nie malował, jest jego podstawą i jego główną pięknością. A czyż bez tego on mógłby być prawdziwym i pięknym? jest i musiał być dramatem psychologicznym, dramatem charakterów. Ale przez te charaktery, przez te jednostki przebija i działa sprzeczność i namiętność różnych społecznych stanowisk; ich wzajemny stosunek i walka jest rdzeniem i istotą dramatu, którego nauką, historyczną i moralną prawdą jest to, że arystokracye gubią swoją Rzeczpospolię przez dumę, demokracye przez zazdrość.

Nigdy może dramat ten nie był tak zajmującym, bo nigdy tak żywem odbiciem tego, co się w świecie dzieje i co się widzi, jak w naszym wieku, i podobny w tem do Hamleta, więcej on stosuje się do nas dzisiejszych, niż do ludzi, wśród których żył Szekspir. W jego wieku, w świecie, który go otaczał, te namiętności własnie grały rolę małą, odzywały się słabo lub wcale nie. Walki i nienawiści religijne i nienawiści narodowe z charakterem niezaprzeczenie patryotycznym, monarchiczna żądza podbojów i potęgi, oto są namięności górujące na zachodzie i południu Europy w wieku XVI, jak w XVII. Koriolana jeszcze mógł znać: Connètable de Bourbon był świeżym i pamiętnym w Europie exemplarzem tego rodzaju, a w bohaterach francuskiej Ligi, w historyi wojen domowych angielskich, w stuletniej wojnie

z Francyą, znajdował ludzi wielu, którzy skrzywdzeni lub obrażeni porzucali, zdradzali swoją stronę, a przechodzili na drugą. Przykłady takie może były zdolne pomódz w części do pojęcia i przedstawienia typu Koriolana, a arystokratyczną namiętność w różnych jej formach i stopniach mógł Szekspir zapewne uważać i badać na swoich współczesnych. Jej przeciwniczki za to widzieć i znać z życia już nie mógł. Historya miast włoskich, Florencyi zwłaszcza, jedyna może w Europie dawniejszej dostarczyć mogła bogatych materyałów do takiego studyum: ale czy Szekspir w niej szukał znajomości ludu, i ludzi, którym on zbyt często wodzić się daje? tego nic nie wskazuje, i przypuścić trzeba, że ta znajomość historyi rzymskiej, jaką miał, wystarczała mu do intuicyjnego prawie odgadnięcia natury tak Patrycyatu jak Plebsu, i praw, wedle których one walczyć z sobą musiały.

Ostatnią przyczyną rzeczy, jej rdzeniem, siłą główną, która nadaje ruch i pozwala mu rozwinąć się na wielkie rozmiary, jest z bardzo rzadkiemi wyjątkami różnica majątku, zbytek, a choćby tylko dostatek z jednej strony, z drgiej nędza i głód. Przypatrując się wewnętrznym — (nie insurrekcyom — powstaniom) — ale rewolucyom, potężnym, trwałym i płodnym w skutki, jakie się zna z historyi europejskiej, dostrzeże się, że to jest siła poruszająca massy, ta, która sprawia, że rewolucya ogarnia wszystko, staje się powszechną. A oprócz niej niema drugiej równie potężnej, tylko jedna, namiętność religijna, lub religijne przekonanie. Rewolucya angielska naprzykład, (która ludową właściwie nie była i miała cel i charakter polityczny, nie społeczny) — objęła cały naród i stała się tak silną przez to, że miała w sobie ten pierwiastek religijny, każdemu zrozumiały i tkwiący w każdem sercu, tak jak każdemu zrozumiałym, bo każdemu dotkliwym jest brak, niepokój o jutro, interes. Sama wielka rewolucya francuska byłaby może skończyła się inaczej, gdyby nie głód; Ludwik XVI nie byłby może skończył na rusztowaniu, gdyby ludność bez chleba nie była się uparła mieć w Paryżu *piekarza, piekarkę i piekarczyka;* a wszystkie wstrząśnienia naszego wieku, rok 1848 czy 1871

w Paryżu, mają daleko mniej od niej pierwiastków i celów politycznych, daleko więcej dążności i cech socyalnych. Tam bywała walka pomiędzy warstwami rządzącemi a trzymanemi w zależności, tu jest ona pomiędzy posiadającemi i używającemi, a biednemi i pracującemi rękoma. A jak ta kura w garnku gotująca się na obiad dla każdego Francuza, o której marzył Henryk IV, trzyma gałązkę oliwną jak gołębica Noego, bo sama jedna mogłaby stanowczo kwestyę rozwiązać, stać się fundamentem równowagi i spokoju, tak jej brak, tak niedostatek we wszystkich potrzebach i wygodach życia, dzień bez zarobku ciągnący za sobą dzień bez chleba, jest samem *principium* ożywiającem, jest duszą, motorem, jest parą poruszającą rewolucyjną maszynę.

I za tę istotę rzeczy, za to *principium*, za ten koniec nitki, za którym się cały kłębek rozwija, chwyta Szekspir ręką śmiałą i pewną, odrazu, bez wahania i szukania, pokazuje go: oto jest, oto początek, przyczyna, która wszystko tłómaczy, a zarazem środek, przez który się wszystko dzieje. I schwyciwszy, rozwija, pokazuje, tłómaczy kłębek cały ze wszystkiem co się w nim mieści.

Był nieurodzaj, jest głód; lud niema co jeść, i każdy z osobna ojciec rodziny niema co dać żonie i dzieciom. Cóż dziwnego, że się lud burzy: zbiega się tłumnie, przebiega miasto, jak żeby na wszystkich rynkach i ulicach spodziewał się znaleźć radę lub przynajmniej powód swojej niedoli. Co robić? Kto temu winiem? A któżby, jak nie ci, co jedli wczoraj, jedzą dziś, i jutro jeszcze jeść co znajdą. Senat winien, Patrycyusze winni. Lud się myli, ale sam głodny widzi tylko tych, co niegłodni; doprowadzony do rozpaczy, odchodzący od przytomności ze strachu o jutro, nie rozumuje ani rozumować może; myśli, że to co mają posiadający, to jemu zabrane, odjęte, to przed nim schowane i ukradzione. *Dalej do Kapitolu!* Po co? lud nie wie. Czy obedrzeć Patrycyuszów, czy ich przez zemstę wymordować? Wszystko to może z tego wzburzenia wyniknąć; ale zamiaru i przewidywania niema żadnego, jest tylko jakiś instynkt, jakieś złudzenie, że jak się zażąda, jak się tych najedzonych i opły-

wających nastraszy, to oni jakoś zapasy znajdą, jakieś dostaną. A jak zawsze każdy silny zbiorowy popęd, każde uczucie ludu, musi sobie znaleźć jakiś przedmiot, coś dotykalnego, materyalnego na co się zlewa i wywiera, jak zawsze przedmiotem nienawiści lub ubóstwienia będzie jakiś jeden człowiek, który do tego poczucia przypada lub je razi, jak lud zawsze i we wszystkiem chce widzieć główsego winowajcę lub głównego bohatera, tak i tu powodem wszystkiego złego jest jeden człowiek, *Cajus Martius*, herszt, „nieprzyjaciel ludu“, najzawziętszy na niego brytan“ — „jego zabijmy, a będziemy mieli zboże za dowolną cenę.“ — Tak samo myślał lud w Warsyawie, że jeżeli powiesi Ożarowskiego w roku 1794, Hankego w roku 1831, obroni Warszawę i Polskę. A jak w Warszawie tak w Rzymie, ludowi zatrwożonemu o swój los, zagrożonemu w tem co mu najbliższe, jako uczucie czy jako interes, wmówić łatwo, że gdyby władza była w innem ręku, on byłby w swoich potrzebach lub w swoich uczuciach zaspokojonym.

Lud nie wychodzi na Górę Świętą; cały rozruch odbywa się w mieście; i w mieście, przypadkiem, z własnego popędu, nie zaś jako umocowany pośrednik, wdaje się z ludem w rozmowę *Menenius Agrippa* i opowiada mu swój dowcipny apolog o żołądku i zbuntowanych przeciw niemu innych członkach ciała. Apolog skutkuje: część ludu, z którą stary senator rozmawia, jest zachwiana. Nie wie, czy iść ma na Kapitol lub nie, nie wie, kto ma słuszność; a wytrawny stary polityk korzysta z tej chwili wahania, żeby uspokoiwszy, ugłaskawszy ogół, wziąć nad nim przewagę i złamać szczegóły, przywódców. Najgłośniejszych, najburzliwszych, najzuchwalszych łaje, karci, zawstydza przed wszystkimi, pokazuje jawnie ich głupstwo, nicość, i podejrzane zamiary

„będąc jednym z najnieokrzesańszych,
Najnikczemniejszych, najbrudniejszych cząstek
Tej mądrej zgrai, stajesz na jej czele.
Nędzny odrzutku, znam cię; tyś tu przyszedł
Podszczuwać innych, byś sam co skorzystał.

Dalej! do pałek! Rzym z szczurami swemi
Staje do walki.

I kto wie, czy nie stałoby się, jak mówi. On ich już ma w ręku: już ta wymowa złożona z dowcipu i rubaszności, trafila do przekonań; lud rozumie słowa rozsądne, bo sam rozsądek ma, a lubi słuchać słów prostych, dosadnycb, energicznych, w których znajduje swój własny sposób mówienia.

Mądry to senator ten Menenius i jedna z figur bardzo misternych w teatrze Szekspira. Patrycyusz zakuty, Patrycyusz do szpiku kości, — naturą, gustami, sposobem mówienia podobny jest do ludu, któremu nie pochlebia, z którego się w oczy śmieje, a któremu jest sympatyczny przez to, że lud poznaje w nim siebie, szczery typ rzymski, kość z kości. Typowość i cecha narodowa arystokracyi, każdemu widoczna, zrozumiała i miła, zasłania ją bardzo od podejrzeń i niechęci, i kto wie, czy nie ona to tłómaczy stanowisko tak silne arystokracyi angielskiej i węgierskiej. Menenius ma przytem ten dar, czy ten rozum (jedno i drugie, bo przekonanie i wola działają tu tyle co natura), że jest ponfały, przystępny i łatwy w obejściu. Łaje, karci, wyśmiewa, ale nie patrzy z góry; sztywności, buty, niema w nim nic, choć jest żywe uczucie swojej wyższości jako człowieka i patrycyusza. Może nawet nie wiele w tem jego zasługi. Jedna z tych natur spokojnych, pogodnych, które lubią życie, znają się na jego wdzięku i chcą go używać w spokoju. Horacy jest tylko inną odmianą tej natury, ale rodzaj jest tensam. Meneniusz, jak on, chodzi po Via Sacra bez celu, a co spotka, to mu służy do zabawy i do obserwacyi; jak on lubi dobre wino, jak on umie patrzeć na rzeczy trzeźwo, jak on zna ludzi na wyłot; a dar spostrzegania i wielkie doświadczenie dały mu filozofię życia, wygodną i wesołą napozór, smutną w gruncie, której zasadą jest, że głową muru nie przebijesz, a im kto mniej o swoim bliźnim rozumie i po nim się spodziewa, tem mniej dozna zawodów i przykrości. Ambicyi żadnej w tym starym *bon vivant,* który gdyby żył później, byłby znawcą i smakoszem jak Mecenas, wykwin-

tnym epikurejczykiem, żyłby szczęśliwie w błogim intellektualnym sybarytyzmie, na wszystko patrząc z ironią, a o nic się bardzo nie troszcząc. Ale że jest Rzymianinem z dobrych pierwszych czasów Republiki, więc uczucia są żywsze, młodsze, paryotyzm gorętszy, oburzenie silniejsze, ironia złośliwsza. Czy może cokolwiek bardzo kochać? Przynajmniej nie potrzebuje. Ale za to bardzo lubi lubić: ten rodzaj przywiązania, który mniej wymaga i mniej kosztuje, jest mu bardzo przyjemnym. Czy ma własną rodzinę? zapewne nie. Jest to człowiek, który jeżeli nie jest starym kawalerem to nim być powinien; a w przyjącielskim domu mieć kąt przy ognisku i miejsce przy stole, mieć wesołą, rozumną rozmowę, a obowiązków jak najmniej, swobody jak najwięcej; to mu do szczęścia wystarcza zupełnie. Jest przecież jedna istota na świecie, którą kocha, w której mieści swoje szczęście, swoje pragnienia, swoją chwałę, swoją ufność i wiarę, słońce jego życia, młodość jego starości, to Koriolan. To jego ideał, jego bohater, jego przyjaciel, syn, jego bóstwo, jego wszystko. Podziwia w nim te zdolności wyższe, bohaterskie, których sam niema; kocha go tak, że list, dowód pamięci ukochanego przyjaciela, starczy mu za siedm lat życia; tryumfuje jego tryumfem; nic nad niego, nic jemu równego nie zna jak świat szeroki i długi. Ale i na wzajemność liczy; bo choć tak swobodny i wolny od próżności, zna się na sobie, na swoim rozumie, na swojej powadze; ceni się wyżej niż takiego Lartiusa lub Cominiusa naprzykład, i pewien jest, że jak on Koriolana, tak Koriolan jego w całym Rzymie ceni najwięcej i najbardziej kocha. Jeden z najżywszych wizerunków człowieka pełnego rozumu, dobrego, nadewszystko miłego, od którego tylko wielkości żądać nie trzeba, bo ona przechodzi jego miarę i jego możność. A w politycznych stosunkach i walkach widzi się go jakim będzie; zbyt poważny i uczciwy, żeby podchlebiać i o popularność się starać, zbyt rozumny, żeby o nią dbać; zbyt prawdomowny, żeby zataić co myśli, zbyt przywiązany do swego dowcipu, żeby go powstrzymać; ale też zbyt wytrawny, żeby się narażać, żeby wyzywać, żeby głową mur przebijać. Mądry przytem

i wybornie sądzący rzeczy i ludzi, przebiegły i wiedzący jak trafić na dobrą chwilę i w słabą stronę: Meneniusz jest niezmiernie w każdym kraju pożyteczny, jest stworzony na pośrednika, na rozjemcę, i nieraz zdoła uśmierzyć małą burzę, która bez niego wyszłaby może na wielką. Tylko wielkiej już opanować nie może. I tak teraz: uspokoił część ludu, byłby może uspokoił i innych, gdyby jeszcze było potrzeba, gdyby Patrycyat przestraszony rozruchem, nie był ich już uspokoił ustępstwem, zrobieniem tego, co chcieli — ustanowiono Trybunów! Nie Meneniusz im to wyjednał ani obiecał, i z tym charakterem, z tym sposobem myślenia, jaki mu Szekspir daje, nie byłby mógł na trybunów przystać, nie dopieroż należeć do ustanowienia ich urzędu. Tak jak nie występuje w charakterze pełnomocnika i negocyatora, ale tylko prywatnie od siebie daje ludowi nauki, tak w tej sprawie trybunów trzyma się biernie na boku, nie wie o niczem i dowiaduje się dopiero o fakcie dokonanym od — Marcyusza.

Marcyusz wychodzi w wielkim gniewie: na lud, że się burzy, że śmie się wtrącać do rzeczy, których nie, rozumie,

„jak świerszcze
siedzą za piecem i wmawiają w siebie,
że wiedzą co się dzieje w Kapitolu,

w większym na Senat i Patrycyuszów, że im ustąpili i na Trybunów pozwolili.

„Do kroćset siarczystych piorunów,
Prędzej byłoby to szubrawcze plemię
Z całego Rzymu pozdzierało dachy,
Niżby zdołało było coś takiego
Wymódz odemnie. Wezmą oni wkrótce
Większą przewagę, i poparci buntem
Przyjdą nam podać trudniejsze warunki.“

Niepodobny on do swego przyjaciela Meneniusa. Tamten zaczynał grzecznie, poufale, nie szczędził słów uprzejmych swoim sąsiadom i przyjaciołom jak ich nazywał, a dopiero

gdy się trochę w ich łasce umocnił, korzystał z tego, żeby uderzyć na tych „najnikczemniejszych, co stają na czele“ i podszczuwają. Marcyusz tej roztropności niema wcale. Zapalczywy, namiętny z natury, szorstki i rąbiący prawdę jak człowiek honoru, jest pogardliwy tak, że nawet kiedy ma słuszność, kiedy czuje najszlachetniej i najrozumniej mówi, jeszcze każdem słowem drażni i obraża tak, że każde słowo, każdy uczynek, każda jego cnota nawet obraca się przeciw niemu, i gdzie się ruszy, gdzie nogą stąpi, tam wydobędzie sobie nieprzyjaciół choćby z pod ziemi. Pierwsze jego słowa do zbiegowiska są obelgą, szyderstwem. Zapewne lud nie miał słuszności, kiedy Senatowi przypisywał nieurodzaj i głód; ale to nie był sposób uspokojenia go, ani przełamania: do pierwszego dobre słowo przydałoby się lepiej, do drugiego żadne słowo nie wystarczy. Ale Marcyusz nie rozumuje, ani w pasyi nad sobą panować nie umie; i ten rzemieślnik, który na obelgi odpowiada mu ironicznie ale zimno: „zawsze otrzymujemy od was dobre słowo“, mógłby mu służyć za przykład spokoju i posiadania siebie. Jego odpowiedź jest wspaniałem, w najwyższym stopniu energicznem i niezaprzeczenie trafnem oskarżeniem tej zmienności, niewiadomości celów ani środków, które są wrodzone każdej wielkiej massie ludzi:

Ktoby wam dobre dał słowo, ten byłby
Pochlebcą niższym nad wszelką pogardę;
Czegoż wy chcecie, trutnie, wy, co ani
Pokoju ani wojny nie lubicie?
Jedno was straszy, drugie uzuchwala.
Kto wam ufa, ten zamiast lwów znaleść,
Znajdzie zajęcy, zamiast lisów gęsi;
Statek wasz tem jest, czem iskra na lodzie,
Czem szron na słońcu. Cała wasza cnota
Na tem polega, aby pod niebiosa
Wynosić tego, kogo potępiły
Własne postępki, a potępiającą
Lżyć sprawiedliwość. Kto na cześć zasłużył,

Ten zasługuje na waszą nienawiść:
Życzenia wasze są jako apetyt
Chorego, który najbardziej pożąda
Tego, co może zwiększyć jego niemoc.
Kto wasze względy zyskuje, ten pływa
Pletwą z ołowiu, trzciną dęby rąbie:
Niech wam kat świeci! Wamżeby ufać?
Wam, co zmieniacie zdanie z każdą chwilą:
Szlachetnym zwiecie tego, co wam wczoraj
Był nienawistnym, a nikczemnym tego,
Co wczoraj jeszcze był ozdobą waszą?
Cóż się to znaczy, że się tu i owdzie
Włóczycie wrzeszcząc i wyszczekujecie
Na Senat, który za przewodem bogów
Trzyma was w swoich opiekuńczych karbach,
Ażebyście się sami nie pożarli?

Ale do tej massy i tak wzburzonej jeszcze wyrzeczone, muszą te słowa w niej obudzić nienawiść do mówiącego. Cóż dopiero, jak doda jeszcze, że gdyby mógł, usypałby z tych głów kapuścianych kopiec tak wysoki, jak jego lanca? On tego nie myśli, aniby zrobił tego co w porywczym gniewie mówi; ale lud słysząc z jego własnych ust, wierzy, pamięta, myśli, że to jego szczere istotne życzenie i zamiar, i kiedy później powiedzą mu, że Marcyusz pragnie jego zguby, nic dziwnego, że łatwo uwierzy.

Czy Marcyusz zrobił dotąd co złego? Nie. Popędliwość nie jest zbrodnią. Gniew, zwłaszcza słuszny, a w tym razie on jest słusznym, bo lud niesłusznie przypisuje swoją biedę Patrycyuszom i wznosi rozruch, z którego nieprzyjaciel może skorzystać, może być czasem nieroztropnym, ale jest naturalnym; a kiedy się jak tu na słowach tylko kończy, niema w sobie nic bardzo złego. A ta otwartość śmiała, która prawdy nigdy zataić nie umie, ta żywość uczucia, które wybuchnąć musi, to jest nieroztropnem może, ale jest w tem coś energicznego, coś męskiego, rycerskiego, tak, że mężowi, żołnierzowi, rzymianinowi do twarzy z tą wadą. Rozsądek

ją gani jak powinien, ale uczucie ją uniewinnia, a wyobraźnia lgnie do niej i mówi, że ten człowiek rozważniejszy i spokojniejszy byłby doskonalszym, ale nie byłby tak sympatycznym, tak podbijającym, tak zupełnie sobą. I tak będzie ciągle aż do chwili jego wygnania. Szekspir odstępuje od historycznego podania, które mówi, że Marcyusz chciał skorzystać z głodu i drożyzny, żeby za zniżoną cenę zboża odebrać ludowi przyznanych mu trybunów, i tym zamiarem, tym zamachem na prawo, sprowadził sobie wygnanie. W dramacie, oprócz słów oburzenia lub szyderstwa, nie można znaleźć nic w jego roli przeciw ludowi czy prawu, żadnego zamiaru zmiany lub zamachu stanu. Przeciwko prawu nie wykracza on na włos, poddaje się nawet tym jego formom, które jego naturze są najprzeciwniejsze; nikt mu nie dowiedzie ani cienia złego uczynku, a w jego duszy, jak ją poeta przedstawia, niema cienia złego zamiaru. Kara, wygnanie, jest najzupełniej niezasłużoną; on skrzywdzonym bezczelnie a niewinnie jak Aristides. Dlaczego Szekspir tak go przedstawił? Czy w tej myśli, żeby on był piękniejszym? czy żeby pokazać na jego przykładzie, że i najwspanialsza natura zepsuć się może? czy żeby naznaczyć wyraźniej nikczemność intrygi, która się na człowieka rzuca zażarcie za nic, tylko za jego wyższość, i — jej siłę, która i niewinnego może pokonać, jej szkodliwość, która może kraj pozbawić najdzielniejszego człowieka, a jadem swoim najlepszego nawet zepsuć? Myśli i celu Szekspira dziś nie dojdziemy, ale to pewna, że jego Koriolan jest zrazu szlachetniejszym, najczystszym, jest bohaterem jak być powinien, jakby go pojęła wyobraźnia, jakby go pragnęła miłość ojczyzny, jakby go kochało serce a wola z rozkoszą słuchała, jest nawskróś wielkim, jest ideałem prawie zupełnym, a przez to upadek i koniec jego staje się stokroć bardziej smutnym i tragicznym.

Pokazał się dotąd odważnym, otwartym i pełnym energii; niebawem uzupełni się jego obraz coraz wyraźniejszemi rysami wielkości.

Goniec daje znać, że Wolskowie wzięli się do broni; starszyzna Rzymu, trybunowie w jej liczbie, schodzi się na

naradę, wzywają Marcyusza. Wojna? Bogom za nią dzięki! wojna, to jego żywioł, jego namiętność: rad jej, że przewietrzy trochę atmosferę Rzymu, stęchłą przez te krzyki i waśnie, ale więcej dlatego, że będzie mógł dobyć miecza i zmierzyć się jeszcze raz z wielkim przeciwnikiem z Aufidyuszem:

Gdyby jedna
Połowa świata drugą wzięła za łeb,
A on stał na tej samej ze mną stronie,
Umyślniebym wszczął bunt dlatego tylko,
Abym go mógł mieć przeciw sobie. On jest
Lwem, na którego polowanie łechce
Mą dumę.

A więc żądza chwały, a więc duma człowieka, który siebie ceni najwyżej na świecie, a do zupełnego szczęścia potrzebuje tylko zwyciężyć tego, kogo ma za najdzielniejszego po sobie? A gdzież był bohater, któryby chwały nie pragnął? i gdzież mógł być Koriolan jaki, wielki czy mały, bez dumy? Ale w dumie tego jest wielkość. Chwały żąda, ale pochwały nie lubi; dumny jest, ale nie próżny; chce być, ale nie znaczyć, cóż dopiero wydawać się: a kiedy czuje, że jest jakim być powinien, jak ze swoją naturą i zdolnością najlepszym być może, nie chodzi mu o to wcale, żeby był pierwszym. Honor jest jego gwiazdą, ale o honory i gwiazdy nie dba; nęci go zasługa, walka, bohaterstwo, ale nie dowództwo. Że ktoś drugi jest nad nim, że on podwładnym, że musi słuchać, to tak naturalne, tak proste i tak małe, że on o tem nie myśli nawet, stawia się pod rozkazy drugiego, poprostu, jak je, kiedy głodny, a śpi, kiedy śpiący.

Senator.

Zacny Marcyuszu, chciej zatem
Pod Kominiuszem wziąć udział w tej sprawie.

Kominiusz.

Wszakżeś nam to już przyrzekł.

Marcyusz.

Nie inaczej

I wiernym słowu.

I tyle, nic więcej. Potem wraca do swojej ulubionej myśli, do nadziei spotkania się z Aufidyuszem, a co najwięcej ludowi tylko rzuca ironicznie wyzwanie, żeby teraz pokazał swoją waleczność.

Otóż ambicya prawdziwa i wielka: być wielkim człowiekiem, nie wielką figurą. Wielkim nietylko przez bohaterstwo na wojnie, ale przez uczucie powinności, przez karność i posłuszeństwo, a nadewszystko przez prostotę w bohaterstwie czy w posłuszeństwie; ta prostota, która w boju czy w senacie, w domu czy w tryumfie, jest w nim zawsze i bije z niego takiem pięknem światłem, że urokowi jego oprzeć się nie można. Komentatorowie zbyt łatwo uwierzyli trybunom, kiedy na ich słowo mówią, że Koriolan dlatego tak łatwo idzie pod rozkazy Kominiusza, że jego miłość własna zawsze na tem dobrze wyjdzie, „bo jeśli się co nie uda,“ głupia krytyka krzyczeć będzie wtedy:

„O gdyby Marcyusz był tę rzecz prowadził.“

Nie — małości niema w nim żadnej, ani próżności, ani zazdrości, ani wyrachowania. On w dobrej wierze, szczerze, poprostu idzie pod rozkazy drugiego, bo od młodości przejęty jest tem co powinien Rzymowi i sobie, jako Rzymianin, jako patrycyusz i jako żołnierz; wie, że na wojnie powinien się bić, wie, że żołnierz słuchać musi. A jego miłość własna ma zaspokojenie największe jakie mieć może, zupełne, w tem przekonaniu, że na tej wojnie zrobi wszystko co tylko powinien i co tylko może. To co powinien, to dla niego znaczy wszystko co może: a to, co on może, to daje mu nadzieję, że wróci z wojny lepiej jak wodzem, bo bohaterem. Tak o sobie przekonany i tego od siebie żądający, niczego więcej nie pragnie, nie potrzebuje i nie zazdrości.

Jeżeli to wielka duma, to w każdym razie i duma wielka: i taka dopóki nie zmaleje, jak u niego później zma-

lała, może być cnotą. I w tem właśnie największa zasługa poety i największa wartość postaci; w tem głębokość nauki, że psuje się i upada, nie człowiek zwykłej próżności i ambicyi, nie taki, na którego pospolite a nawet i niepospolite pokusy działaćby mogły, ale człowiek nad nie wyższy, człowiek prawie zupełnie idealny. Koriolan ma nietylko wszystkie przymioty honoru i męstwa, te przymioty rycerskie, które zawsze bywały podstawą wszystkich arystokracyj, ale ma jeszcze jakąś swoją własną, osobistą, dziewiczą wstydliwość duszy, która go robi niezmiernie sympatycznym i uroczym. Do tych określeń arystokracyi, jakie dają wielcy filozofowie polityki, Monteskiusz naprzykład, Koriolan (nie historyi ale Szekspira) przypadłby zupełnie, ma tę naturę i te cnoty w najwyższym stopniu: jest w pierwszej połowie sztuki arystokratą, idealnym, a w drugiej upada i psuje się, bo jest arystokratą i to idealnym właśnie: bo choć ideału tak bliski, nie może przestać być tem czem jest. Nie żąda, żeby go ludzie chwalili lub nagradzali, ale żąda, żeby się na jego wartości i zasługach znali; nie znają się, tem gorzej dla nich, on o nich nie dba i zostaje jakim jest! Ma to za godność, za cnotę i w początku nawet ma słuszność; ale uwiedziony dumnem choć słusznem przekonaniem o sobie, sam się nie spostrzega, jak i godność i wartość i sumienie i dobrą sławę poświęca swojej dumie; z bohatera, z ideału, staje się... Koriolan!

W początkach swojej roli przecież jest czysty i jasny jak słońce.

Ale w tem właśnie sztuka, w tem mądrość i w tem siła małości, żeby wielkie i dobre czyny tłómaczyć małemi i złemi powodami, i z wyższości zrobić sobie broń przeciw wyższemu, z cnoty samej przeciw dobremu. Złe oczy wszystko krzywo widzą, a oczy małe wielkości widzieć, małe dusze zrozumieć jej, ani w nią uwierzyć nie mają zdolności. Z wszystkiego zaś, co małe na świecie, najmniejsza jest zazdrość. Kiedy senatorowie z Marcyuszem odeszli do Kapitolu, przyzostało w tyle dwóch nowo postanowionych urzędników, dwóch trybunów, Sycyniusz i Brutus.

Występują zawsze razem, w parze, jak w Hamlecie Guildenstern i Rosenkranz albo Voltimond i Korneliusz. O tamtych mówi Gerwinus, że Szekspir dlatego ich tak sprzęga, bo to indywidua płytkie, płaskie i słabe, które z osobna nie są niczem, i tylko razem w masie coś znaczą, cóś mogą, coś robią. Czy tłómaczenie to prawdziwe lub nie, to pewna, że Sycyniusz z Brutusem są dobrze dobraną parą mierności. Nie daje im poeta zdolności: kiedy Rzym w niebezpieczeństwie, oni nie wiedzą co robić i idą po radę i ratunek do drugich. Nie dał im politycznej namiętności: w całej tej walce nie chodzi im o żadną zasadę, o żaden cel, tylko o swój urząd: nie dał miłości tego ludu, którego niby bronią, ani nawet szacunku dla niego, bo obracając nim jak chcą, drwią z niego jak Augury: ani patryotyzmu, bo całą sprawę Koriolana i jej skutki wywołali bez potrzeby, bez powodu, jedynie z obawy o swój wpływ. Uczciwości, honoru, oczywiście nie mają ludzie, którzy kłamstwem, potwarzą, przekręcaniem słów i oszukiwaniem ludu, człowieka porządnego ogłaszają za zdrajcę, a niewinnego skazują na wygnanie; którzy to wszystko z góry, z planem sobie ułożyli, uknuli spisek, intrygę. Więc cóż mają? bez charakteru, zmysłu politycznego, odwagi, rozumu i patryotyzmu? Mają zdolność, siłę i broń małych, przebiegłość — i namiętność małych, zazdrość.

Kiedy zostali sami, nie mówią o ludzie i jego zwycięstwie nad patrycyuszami, ani o tem, co sami robić chcą lub mają, ani o nieprzyjacielu, który stoi na granicy, tylko o Marcyuszu: a że mu nic dotykalnego, nic rzeczywistego zarzucić nie mogą, więc zarzucają rzecz nieujętą i nieokreśloną, taką, o którą oskarżyć zawsze najłatwiej, bo dowieść jej najtrudniej, a w braku dowodów dotykalnych wszystko dowodem być może, uczucie. „Jaki dumny! Sam nie wie, jak się ma nadąć, że waleczny!“ To lekceważenie waleczności, wielka rzecz waleczność, lada żołnierz potrafi tę sztukę! jest bardzo częste u ludzi, którzy jej sami nie mają. Ale pomiędzy tem, co oni mówią, są i mądre nauki dla każdego, ktoby z nich chciał korzystać. „Czy uważałeś jego

wzrok i gestą" — mówi jeden trybun do drugiego. On jest zły i brzydki, kiedy nie mogąc za słowa podchwytuje za spojrzenia i ruchy. Ale jak często się zdarzy, że spojrzenia górne, ruchy wyniosłe i pogardliwe, że nieuwaga, roztargnienie, że te nieskończenie małe rzeczy zewnętrzne stoją wbrew najrzeczywistszym zasługom, na zawadzie najlepszym zamiarom, i niweczą lub umniejszają wpływy najzbawienniejsze, najszlachetniej zapracowane. „Grzeczność nie jest rzeczą łatwą ani małą", mówi Mickiewicz, a w stosunkach i sprawach publicznych jest większą, niżby z natury swojej być powinna. Gdyby Koriolan nie był sztywnym i hardym w obejściu, nieprzyjaciele jego nie tak łatwo znaleźliby u ludu wiarę. Co w jego sercu i myśli, tego nikt nie widzi, ale duma widoczna we wzroku i ruchu rodzi w ludziach podejrzenie, że i w duszy miłość i uwielbienie siebie samego panuje nad wszystkiem.

Mężowie wychodzą na wojnę; w mieście zostają tylko starcy, jak Meneniusz, i z obowiązku urzędu (obowiązek może miły) trybuni i kobiety. Warto im się przypatrzeć: to te co Rzym uratują, to matka i żona Koriolana.

Das Strenge mit dem Zarten, mówi Schiller. Nigdy *Starkes und Mildes* nie sprzęgły się w piękniejszą parę, jak dzielny burżliwy Marcyusz i jego żona, nazwana wbrew podaniom Virgilią. Wyobrażamy sobie nasze dawne polskie hetmanowe, bardzo a trochę niewolniczo przywiązane do mężów, przez nich myślące, w nich zapatrzone z podziwem a nie bez obawy, w nich tylko żyjące. A kiedy mąż poszedł na Tatara czy Turka, żona siedziała w domu jak zakonnica, szyjąc ornaty i licząc na różańcu pacierze za jego zdrowie i zwycięstwo. W tej Virgilii znać więcej miłości, więcej zakochania w mężu, niż go widać w tem, co nam po żonach naszych bohaterów pozostało, ale jest ona do nich podobna. Gdyby była chrześcijanką, modliłaby się jak one, ślubowałaby vota i pielgrzymki do miejsc cudownych; Rzymianka zamyka się w domu, nie wyjdzie z niego dokąd on nie wróci, najlepszej przyjaciółki nawet widzieć nie chce. Czy przez troskliwość o swoją cześć, czy dlatego, że żonie nie przystoi

cieszyć się i bawić, kiedy mąż w niebezpieczeństwie, a żonie Patrycyusza i Marcyusza pokazywać się między ludźmi, kiedy męża przy niej niema? Jest i to troskliwe przestrzeganie swojej godności, wystrzeganie się pozorów, uznanie tego, co przystoi. Ale po nad tem jest coś silniejszego, jest miłość. Czas jego niebytności, to czas żałoby, pokuty: pocóż ona wyjdzie na świat, kiedy jej słońca tam niema; w domu jej najlepiej jeszcze, bo w domu pełno jego wspomnień, i jego syn. A te rozmowy, te mniemane rozrywki, ona tego znieść nie może, bo jej myśl cała, jej dusza, gdzieindziej, cała zajęta pytaniem: gdzie Marcyusz, co robi, czy nie ranny? Natura tak miękka, tak kochająca, tak cicha, tak nawskróś kobieca i tak czuła, że aż dziwno, jak ona może być tak nawskróś Rzymianką. To nie jest Porcya Brutusa, wychowana przez ojca na stoickiej filozofii, z heroiczną odwagą milczenia i wytrwałości, ze wspaniałą świadomością tego co jest warta. Ona nie zadałaby sobie rany na to, by męża przekonać, że jest jemu równą i upomnieć się o prawa tej równości: ona ani myśli, ani chce być Marcyuszowi równą, ona tak pokorna, że gotowaby uważać się za jego sługę lub rzecz, tak cicha i skromna, że powitać go nie umie inaczej jak łzami, kiedy w tryumfie powraca. Ale kiedy go już jak bóstwo czcić, jak ideał kochać nie może, kiedy musiała osądzić go w sumieniu, i uznać, że sprzeniewierzył się Rzymowi, jej, i co najgorzej sobie samemu, ona w tem nieszczęściu niemniej ma bohaterstwa od jego matki lub od żony Brutusa: ona czuje i robi co powinna, idzie, prosi, zada sobie śmierć, jeżeli on wytrwa w złem, woli jego śmierć oczywistą i niechybną, niż zgubę Rzymu i jego hańbę.

Matka zupełnie inna, i mało takich zupełnych a tak wspaniałych przeciwieństw. Syn na wojnie? to właśnie dla matki czas wesela i tryumfu. Jednego miała i ma, ale nie więcej cieszyła się jego urodzeniem, jak jego pierwszą raną na polu bitwy. I gdyby miała dwunastu synów, wolałaby jedenastu odrazu stracić w boju, niż żeby jeden umarł spokojnie w domu i na łożu. Oczy jej świecą, serce jej bije, kiedy pomyśli, że syn ranny; a we śnie widzi go, jak Aufi-

dyusza bierze za włosy i obala na ziemię. Czy nigdy o tego syna nie drży? Gdyby ją o to kto śmiał spytać, rzuciłaby mu tylko spojrzenie pogardliwe i smutne, mówiące: *a od czegożem matką.* Ale Rzymiance i matronie, wdowie patrycyusza i matce rycerza rozczulać się nieprzystoi i niewolno; ona winna Rzymowi, im i sobie, stałość, pragnienie chwały, poświęcenie i przykład. Jej obowiązkiem uczyć jak się niebezpieczeństwa i poświęcenia znosi, i dlatego z wesołą twarzą wychodzi na miasto, odwiedza przyjaciółki, dopytuje się o nowiny. Ona swoim męzkim duchem rwie się do niebezpieczeństwa i chwały, i nie kłamie kiedy to mówi: ale ona i miną nadrabia. Z niej wziął syn swego nieugiętego ducha, ale i dumę z niej. Tylko ona lepiej, szlachetniej od niego tę dumę pojmuje: i kiedy on dla dumy sprzeniewierza się temu co było treścią i chwałą jego życia, ojczyźnie i czci, ona wie nietylko to, że cześć pierwsza niż życie, ale i to że sprawa pierwsza niż duma.

Ona jest bardzo rozwinięta, bardzo starannie wykończona, tamta szkicowana tylko, bo w bierności swojej wiele występować i mówić nie mogła; ale obie są takie, że ich świat może zazdrościć Rzymowi, że takie miał, Szekspirowi, że takie stworzył.

Pod Koriolami tymczasem źle idzie. Kominiusz z jedną częścią wojska stoi gdzieś w polu; Tytus Larcyusz i przyszły Koriolan oblegają miasto, ale to nietylko poddać się nie chce, jeszcze robi wycieczki tak nagłe, tak natarczywe, że Rzymianie odeprzeć ich nie mogą i sami pierzchają. Zbliża się chwila stanowcza. Po takiej utarczce nieszczęśliwej Marcyusz łży swoich ostatniemi słowy:

Niech was tkną wszystkie zarazy południa!
Wy kały Rzymu, psy! — niech was okryją
Wrzody i trądy, byście wstręt budzili
Przed ukazaniem się, byście się wzajem
O milę z ciągiem wiatru zarażali!
O, gęsie dusze w powłoce człowieczej!
Jakżeście mogli uciec przed hałastrą,

Którąby małpy w puch rozbiły? Bodaj
Was Ereb schłonął! Wszystkie rany z tyłu!
Plecy czerwone, a oblicza blade
Z trwogi i znoju. Wróćcie do ataku,
Albo, do wszystkich piorunów, porzucę
Nieprzyjaciela, a rzucę się na was.
Podnieście głowy! Poprawcie się! Jeżli
Śmiało natrzecie, zagnamy ich nazad
Mędzy ich baby: tak jak oni teraz
Do tych przekopów nas odparli.

Czy to pogarda Patrycyusza dla Plebejów? o nie, to coś lepszego, to gniew żołnierza i Rzymianina na uciekających Rzymian i żołnierzy, za utracony honor i zwycięstwo. Walka zaczyna się na nowo. Tym razem cofają się Wolskowie aż do bram miasta, Rzymianie za nimi, Marcyusz na przodzie, na karku nieprzyjaciela.

Bramy otwarte! wesprzyjcie mnie teraz.
Szczęście otwiera je idącym naprzód,
Nie tym, co podle tył podają — za mną!

I leci na oślep w bramę, pewien, że wszyscy za nim, że miasto zdobyte... nie wsparli go — wszedł sam, Wolskowie za nim zatrzasnęli bramę, Rzymianie zostali! *Nie głupim pójść za nim,* mówi jeden żołnierz, *ani ja,* dodają inni, *pewnie przepadł,* konkludują wszyscy.

Nie, nie przepadł. Wraca po chwili, sam jeden, skrwawiony, obskoczony dokoła przez Wolsków, którzy nań nacierają, którym się broni... ten widok skutkuje. Takiemu dać zginąć byłoby podle. Poszli, natarli, i zdobyli miasto.

Niema podobno w całym dramacie świata sceny bitwy tak żywej, tak dramatycznej, jak ta.

A po bitwie? po zwycięstwie? trzeba czemprędzej myśleć o drugiem; któż wie, co się dzieje z Kominiuszem, jemu na pomoc nie tracąc chwili czasu. Żolnierz zabiera łupy i cieszy się jak je do domu zaniesie; wódz nie daje:

„Ci trutnie ważą czas na równi
Z złamaną drachmą. Ołowiane łyżki,
Bety, żelaztwo nie warto obola,
Stare łachmany, wszystko to zgarnia
Ta szuja,

kiedy tam Aufidiusz brodzi w strugach krwi rzymskiej. Na-próżno Tytus Larcyusz wstrzymuje: „rannyś wypocznij“ — nie! on się dopiero zagrzał do boju, i tak z krwią i kurzawą na czole chce stanąć przed tym Aufidiuszem „celem nienawiści swojej.“

I zjawia się w obozie Kominiusza, w chwili, kiedy doszła wieść, że wpadł w bramy Koriolów, że pewnie zginął. Jak ocalał? jak zwyciężył? pytają wszyscy, ale na to nie czas: „Zostawmy opowiadanie na później: gdzież jest nieprzyjaciel?“ O sobie mówi tylko, że jest tak zdrów i szczęśliwy, „jak wtedy, kiedy chodziłem w zaloty“ — i prosi, żeby z ochotnikami mógł pójść na Ancijatów, których prowadzi Aufidiusz.

Oto jak przemawia do żołnierzy, po których spodziewa się zwycięstwa.

Jeżeli tu jest kto taki (a grzechem
Byłoby wątpić), co lubi ten pokost,
Którym widzicie mnie pomalowanym;
Jeżeli tu jest kto taki, co mniej się
Uszczerbku ciała, niż złej sławy lęka,
Co myśli, że śmierć szlachetna ma stokroć
Więcej wartości, niż jałowe życie,
I bardziej kocha ojczyznę niż siebie:
Niech taki wespół z podobnymi sobie
Poruszy ręką — tak:
(*Podnosi rękę i wstrząsa nią*).
Na okazanie
Swej gotowości, i uda się ze mną.

Wszak pięknie? Ale piękniej, gdy żołnierze zagrzani tego wymową, wszyscy chcą iść i podnoszą go w górę na

rękach, piękniej mówi, że on nie miecz, żeby go w górę podnosić, i że dziękuje wszystkim, ale prosi bez tych zewnętrznych oznak i pochwał.

I poszli: potem widzimy go na chwilę w walce z Aufidyuszem, którego dopadl, ale nie pokonał, bo mu Wolskowie przyszli z nieproszoną pomocą, a potem już po skończonej bitwie, po zupełnem zwycięstwie.

Gdybym ci zaczął opowiadać twoje
Dzisiejsze czyny, sambyś im Marcyuszu
Nie chciał dać wiary

mówi po bitwie Kominiusz: a Larcyusz, który na to właśnie nadchodzi, dodaje, że to jest rumak, a reszta wojska z wodzami tylko czapraki.

Cóż na to duma i miłość własna Marcyusza; czy się nadyma i rośnie, czy udaje skromność, żeby dwa razy tyle pochwal usłyszeć? Nie. Oto co on powiada:

Przestań! moja matka
Posiadająca szczególny przywilej
Do wynoszenia zalet swego rodu,
Chwaląc mnie, przykrość mi sprawia. Zrobiłem
To co wy, to jest, co mogłem; jednaki
Mieliśmy bodziec, to jest myśl, że przez to
Służym ojczyźnie; kto wypełnił tylko
To, czego pragnął, ten w zasłudze stoi
Ze mną na równi.

Przepyszna jest ta scena, w której wdzięczność i zapał wodzów i żołnierzy walczy z tą prostotą bohatera, która skromnością nie jest, ale pochwał i oklasków nie lubi, prawie się wstydzi. Kiedy Kominiusz nie chce dać mu „być grobem własnych cnót“ i zapowiada, że Rzym dowie się o wszystkiem, Marcyusz znajduje odpowiedź jednę z najszczytniejszych, jakie zna poezya:

„Moje rany chociaż same przez się błahe,
Bolałyby mnie, gdybym o nich słyszał.“

Kiedy mu pozwalają wziąć dziesiątą część skarbów i koni zdobytych, on dziękuje, ale

„Nie może jednak w żaden sposób
Na sercu swojem wymódz przyzwolenia,
Iżby zapłatę przyjął zd usługi
Swojego miecza.“

A kiedy wojsko całe w uniesieniu, kiedy ziemia się trzęsie od wiwatów, on się dziwi i gniewa:

Toż więc za to, żem jak baba
Nie otarł nosa, gdy mł krew szła z niego,
Żem kilku słabych powalił charłaków,
Co i niejeden z obecnych tu zrobił,
Chociaż nikt tego nie pamięta — za to
Hyperboliczne odbieram oklaski.

Jednak, choć wszystkiego odmawia, wszystko odsuwa, jest jedno, co z jego wolą lub mimo niej przylgnąć do niego będzie musiało. Kominiusz „wśród wiwatowych ogólnych okrzyków“ deje mu uroczyście nowe nazwisko, przydomek Koriolana. A on w tej chwili co? Odchodzi, chowa się jak zawstydzona pierwszem pochlebstwem dziewczyna:

Idę twarz obmyć, Zobaczycie potem,
Czy mnie ta nazwa rumieni. Przyjmijcie
Dzięki tymczasem —

a jak żeby na to, żeby nic do piękności tego rycerza nie brakło, jeszcze poeta daje mu dobre serce. Wraca on, bo przypomniał sobie, że między jeńcami widział Koriolczyka, w którego domu niegdyś stawał gospodą, i prosi o wolność dla tego swego gospodarza. A ile mu dał tęgości, energii, jaką wesołość i fantazyę w boju, jaką wymowę przed bojem, jaką łatwość i ujmującą swobodę w obejściu po bitwie! Ten hardy Marcyusz z żołnierzem, z dobrym żołnierzem, jest przystępny, przyjacielski, prawie poufały. Jako wojownik i wódz, on niema sobie równego w poezyi; Hotspur będzie

równie walecznym, Henryk V równie prostym, Götz równie hartownym, Egmont równie szlachetnym, Wallenstein równie stworzonym na wodza, Brutus równie gorącym dla swojej sprawy: ale w żadnym z nich wszystkie te przymioty razem nie występnją tak wyraźnie, tak wszystkie razem, w tak doskonałem i uroczem połączeniu.

I trzeba, żeby taki się zepsuł! I taki mógł się zepsuć? Doprawdy, chce się nad tem płakać i zwątpić o wszystkiem, jak żeby on był rzeczywistym człowiekiem. Ale jakim sposobem się zepsuł? Za co go złe uchwyciło i skusiło? Co w nim złego? Wszak dotąd zdaje się niema nic złego, prócz tej dumy, która nawet trzyma się w mierze, a jest tak naturalną, tak słuszną, tak usprawiedliwioną, że jest nieledwie konieczną świadomością siebie tylko, i nie wiedzieć czy mu z niej słusznie zarzut robić można?

Niestety jest ona, i to w formie bardzo niebezpiecznej, bo tak dobrze ukryta szlachetnością, honorem, uczuciem obowiązku i rzeczywistą zasługą, że człowiek sam może jej w sobie nie dojrzeć i nie mieć jej sobie za złe. To nie jest próżność, marna żądza rozgłosu lub znaczenia, poklasku lub pokłonu: ta, to duma dzieci chyba, lub ludzi głupich. To nie ambicya, żądza władzy, która woli być pierwszą w Galii niż w Rzymie widzieć kogoś nad sobą, i póty ryje pod fundamentami i wali w mury, aż przewróci co jest, a na zwaliskach sama zostanie. Ta już godniejsza zapewne męzkiego umysłu, ale i ta dla Koriolana za mała; a ci nieprzyjaciele, którzy go o jednę lub drugą posądzają, mierzą go swoją własną średnią miarą. Jego duma chce czego innego. Nie być wziętym, popularnym, gdzie się pokaże przyjmowanym oklaskami, nie być najpierwszym, być panem: ale być z ludzi najlepszym, w boju najdzielniejszym, w rzeczach honoru nieomylnym, w obowiązku najpilniejszym i niezmordowanym, w domu takim, żeby godność mężów i cześć niewiast świeciła jak słońce, oto żądanie, oto duma Koriolana. I ani on, ani matka, ani ojciec, który zapewne był taki sam jak oni, nie widzą w tem nic złego. Owszem, to ich zasługa, to ich wartość. Cóż piękniejszego, jak takie pojęcie życia i siebie

samego? co wznioślejszego, jeżeli on żądając od siebie tej wysokiej cnoty, dla siebie przytem nie żąda niczego? I nic słuszniejszego także, bo przecież to człowieka prawo i cel, żeby był jak tylko być może najlepszym w domu, w ojczyźnie i we własnej duszy? To nie duma, ale szlachetność, nie grzech, ale cnota?

To jest nie istota ale idealne *principium* wszelkiej arystokracyi, które rzeczywistością nie stało się nigdy i stać nie może, ale powinno być siłą, która ją tworzy, ożywia i utrzymuje. A w Marcyuszu i jego rodzinie rzeczywistość jest tego ideału bliską. I w tem ich niebezpieczeństwo. Oni patrząc na ogół ludzki, i widząc w nim nie już to co bardzo złe i nizkie, co podłe i brudne, ale tylko to, co małe, widząc naprzykład, że lud nie bardzo wie, czego chce, że trybuni zazdroszczą lub kopią dołki, że senatorowie w rozruchu nie wiedzą jak radzić Rzeczypospolitej i sobie, że najlepsi nawet jeszcze nie są zupełnie dobrymi, że zacny prawy nawskróś szlachetny Kominiusz nie jest zdolnym wodzem ani politykiem, że rozumny, poczciwy Meneniusz jest tylko najmilszym z próżniaków i obojętnym krytykiem wszystkiego, widząc zapewne w około siebie wielu mężczyzn na pół tylko szlachetnych, wiele kobiet na pół uczciwych, oni, którzy są i uczciwi i szlachetni i rozumni całkiem, muszą się mieć za lepszych, za wyższych od reszty świata. Oni znają swoje uczucia, widzą skrytości swoich serc, i wiedzą, że nigdy i za nic nie zrobiliby tego czegoś, nie brzydkiego, lecz nie zupełnie ładnego, co zrobił ten lub ów ich sąsiad czy przyjaciel: jego tłómaczą, przebaczają mu, ale we własnem mniemaniu rosną przez to wysoko, że sobie czegoś takiego nie pozwolili, nie przebaczyliby nigdy. Oni wiedzą, znają to do siebie dobrze, że niema tego, czegoby dla Rzymu nie zrobili, nie oddali, nie poświęcili. A tak patrząc w siebie i patrząc na drugich, porównywując się z drugimi, sami nie wiedzą jak dochodzą do tego, że zaczynają siebie podziwiać i wielbić, uważać siebie za najlepszą miarę i za sędziów wartości i godności ludzi i uczynków. Jeżeli zaś ta ich cnota trwała dłużej, jeżeli przez lata, a jeszcze lepiej przez poko-

lenia nic jej nie przyćmiło, czasem choć i przyćmiło niejedno, zaczynają wielbić swój ród, swoją krew, przywiązywać się do niej namiętnie, wierzyć, że ona czystsza i gorętsza od zwykłej krwi ludzkiej, uważać siebie za ród wybrany, za Izraela pośród Filistynów, za pokolenie Lewi pośród Izraela. Uwielbienie, fanatyczne przywiązanie przyjaciół i bliskich, Larcyuszów, Kominiuszów i Meneniuszów, (którzy także należą do najlepszych w Rzymie) jeszcze ich w tem mniemaniu utwierdza. Potem następuje wyłączność: oni mają znajomych dużo, ale mało przyjaciół, bo swojej przyjaźni, swojego przywiązania byle komu nie dadzą: ściśle, poufale żyć chcą tylko z czystymi nieposzlakowanymi, i mają słuszność; dobrze im tylko z tymi, którzy ich kochają i nie można im się dziwić. Ale sami się nie spostrzegają, że nie chcący i nie wiedząc o tem zamknęli się w ciasnem kole takich, którzy ich nietylko kochają, ale podziwiają i wielbią. Na innych ludzi mało patrzą, mało ich znają, i zamknięci w sobie zapominają o tem coraz bardziej, że *tutto il mondo è come la nostra famiglia*, i zdziwiliby się bardzo gdyby po za swojem kołem u człowieka nieznanego i skromnego znaleźli uczucia równie dobre, pojęcia równie wysokie jak u siebie. A za tą wyłącznością i nieznajomością ludzi, idzie niemal koniecznie u ludzi młodych i temperamentów żywych i gwałtownych, pogarda drugich a przynajmniej pogardliwość.

Marciusz zrodzony i wychowany na takim arystokratycznym Olimpie, jest pogardliwym, i źle robi, bo pogarda to rzecz smutna, której prawda nieraz trudno się w życiu ustrzedz; nie tylko sprowadza mu niechęć ludzką i utrudnia działanie, ale go odrywa od ludzi, od rzeczywistości, a sam czysty pierwiastek jego uczuć i działań zatruwa i kazi. Ona jest dotąd jego największą wadą. Ale nie jego największem niebezpieczeństwem. Tem jest to podziwianie siebie samego, naturalne, słuszne, bo on ma wszelkie prawo się podziwiać, ale mogące łatwo doprowadzić człowieka do złego. Kto siebie ceni tak wysoko, że własne przekonanie o sobie staje mu za wszystko, kto niczego nie pragnie i niczem więcej

być nie chce, bo jest, czem jest, a nic do jego wartości dodać nie może: kto nosi w duszy i do siebie dumnie stosuje godło Walentyny Visconti: *Rien ne m'est plus, plus ne m'est rien*, kto sądom ludzkim do siebie zbliżyć się nie pozwala i sam dla siebie jest jedynem zwierciadłem honoru, wskazówką cnoty, prawem moralnem i miarą tego co być powinno, ten choćby był najlepszym i najszlachetniejszym, może się łatwo zepsuć, może tak uwierzyć w niezłomność i niezmienność swojej godności i zacności, w nieomylność swojego sumienia i honoru, że kiedy go zła pokusa napadnie, on jej nie rozpozna, nie odeprze, i pójdzie za nią śmiało i pewnie, nie pytając czy robi źle czy dobrze. Tak się przyzwyczai polegać na sobie, że zawsze dobre wybiera, że nie przypuści już, iżby mógł wybrać i zrobić co złe. I gotów uwierzyć, że złe samo musi być dobrem, skoro on mógł je zrobić.

Taka jest historya Koriolana: nie Koriolana rzeczywistego, ale Koriolana Szekspira.

Jeżeli powiemy, że wszystko co było dotąd, głód i rozruch w mieście, wieści o wojnie, pochód na wojnę, zdobycie Koryoli i drugie zwycięstwo Marcyusza, a wśród tego jeszcze epizodyczne sceny kobiet, ludu, trybunów, Wolsków i Aufidyusza, mieści się w jednym akcie pierwszym, to wskażemy tem samem niedoskonałość sztuki, brak proporcyi w jej budowie, mnóstwo zdarzeń wtłoczonych w krótki przeciąg jednego aktu, i niezmierną takich aktów długość.

A cóż się dzieje w Rzymie? W Rzymie dopiero spodziewają się wieści, a przeczuwają dobre. „Niezupełnie odpowiednie życzeniom ludu“, mówi Meneniusz do trybunów — „bo lud nie lubi Marcyusza.“ I z tego rozwija się rozmowa, w której stary patrycyusz mający swoje dziwactwa, a mówiący co myśli i przelewający swoją złość w słowa, kiedy spotka „takich jak wy dobroczyńców ludzkości“, mówi im bez ogródki prawdy obelżywsze daleko od tych, które mówił Marcyusz. „Wiem ja, że sami jedni mało co możecie uczynić. Zdolności wasze są tak drobne, iż niepodobna im samym przez się wiele zrobić. A chociaż nie spieram się z tymi co utrzymują, żeście poważni i szanowni, mniemam

jednak, że kapitalnie kłamią ci, co mówią, że wam dobrze z oczu patrzy. Kiedy się wam zdarzy jako tako mówić w jakiej materyi, to jeszcze i wtedy wasza mowa nie warta poruszenia bród waszych, a wasze brody nie zasługują na nic lepszego po śmierci, jak żeby niemi wypchać poduszki gałganiarza lub utkać derę dla osła. I wy utrzymujecie, że Marcyusz jest dumny.“

To prawda. Duma Marcyusza jest niczem w porównaniu z zarozumiałością tych ludzi, którzy bez zdolności przypisują sobie prawo mówienia, rozstrzygania, rządzenia w Rzeczypospolitej. Ale dlaczego trybuni przyjmują tak spokojnie i bez gniewu te gorżkie przymówki od Meneniusza, kiedy na jedno słowo Marcyusza kipi w nich żółć? Bo się starego Meneniusza nie boją; bo wiedzą, że lubi i potrzebuje wygadać się, ale ani lubi ani umie działać, i z nim wszystko na słowach się skończy. Nietylko sam władzy nigdy nie obejmie, ale im nigdy w wykonaniu jej nie przeszkodzi, jest zbyt bierny, zbyt dbały o swój spokój i wygodę. „Kłamią ci, co mówią, że wam dobrze z oczu patrzy, ale nie będę się spierał z tymi co mówią, żeście uczciwi i poważni.“ Tacy ludzie nie staną nigdy na drodze ambicyi drugich, nie położą jej tamy, i dlatego nie będą nigdy celem nienawiści, a ich szyderstwo choćby najboleśniejsze, nie ubodzie tak, jak krótsze i prostsze słowo gniewu lub wzgardy, które może stać się zamiarem i czynem.

Ale wieści nadchodzą: zwycięstwo. Marcyusz powraca! już blisko, kobiety biegną naprzeciw niego, lud wylega tłumnie na ulicę, tłoczy się do okien, drapie się na dachy, czepia się gzymsów, żeby zobaczyć zwycięzcę. Nadciąga wreszcie tryumfalny pochód: herold naprzód ogłasza bohaterskie czyny Marcyusza i chlubny przydomek Koriolana, lud wita z uniesieniem tego, którego niedawno chciał zabijać. Lud lubi zwycięzców i ma zdrowy instynkt patryotyczny, gotów kochać tego, kto Rzym z niebezpieczeństwa wybawił.

Tryumfator go zraża, tak mało, że lud sam tego nie uważa i nie czuje: ale źle robi, że odpycha oznaki jego wdzięczności. „Dość tego, okrzyk ten razi mi serce.“ Niema

się prawa przyjmować źle tego, co z dobrego serca dane, a roztropny człowiek powinien wiedzieć, że ludowi zawsze trzeba dać się wywnętrzyć, wygadać. Koriolan, wyłączny zawsze, nie rad słucha tych wiwatów, spieszy, gdzie go ciągnie serce, do swoich; tam tylko znajdzie godną siebie pochwałę. A kiedy do nich się zbliżył, staje się znowu porywającym, taki jest czuły, taki prosty, i taki wesół. O sobie, o tryumfach i niebezpieczeństwach ani słowa; przed matką klęka, żonę pyta z uśmiechem czyby się śmiała, gdyby wrócił w trumnie, kiedy płacze przy jego tryumfie, wita przyjaciół serdecznie, radośnie, i pilno mu wyrwać się z tego tryumfu, żeby coprędzej ukryć się w domu i tam cieszyć się tem co ma, i tem co zrobił. Zawsze jeszcze sympatyczny, zawsze piękny. — I teraz zaczyna się spisek.

Wszystko, co żyje, o nim tylko mówi:
Kto ma wzrok słaby, okulary wkłada,
Aby go ujrzeć; świegotliwa niańka
Pozwala dziecku zanieść się od krzyku,
A plecie o nim; lada płuch skręciwszy
Najdroższą szmatę koło szyi, idzie
Piąć się na mury i gapić na niego;
Wystawy domów, przyzby, okna, ganki
Upstrzone; gną się dachy, na facyatach
Okraczkiem siedzą żyjące facyaty,
Tem tylko jednem do siebie podobne,
Że wszystkie oczy wytrzeszczają. Rzadko
Napotykani Flaminowie drą się
Pośrodkiem tłumów, i zaledwie dysząc,
Szukają sobie miejsca wśród motłochu.
Nasze zazwyczaj zakwefione damy
Podają śmiało swoje delikatne
Różą i lilią jaśniejące lica
Na łup figlarnych Feba pocałunków;
Taki ścisk wszędzie, taki wir, jak gdyby
Jakiś bóg w tego człowieka wcielony
Dał mu nadludzką potęgę i powab.

Tak mówi jeden do drugiego trybun, kiedy pochód przeciągnął dalej a oni sami na placu zostali. Co im to szkodzi? Co w tem złego, że senat i lud wita zwycięzcę? czy raczej nie byłoby złem, gdyby go przyjmowali zimno i niechętnie? Wszakże to Rzym tryumfuje, dla niego Koriolan zwyciężył: czyż trybun tego nie czuje, że się nie cieszy jak wszyscy? Nie, on ma o czem innem do myślenia. „Zobaczysz, że się ani spostrzeżemy, jak go obiorą konsulem.“ — I cóż z tego? czy nim być nie wart? czy będzie złym konsulem? Albo może skorzysta z konsulatu, żeby zostać dyktatorem lub królem? Nie; ale wtedy *my nasz wpływ utracim, nasz urząd pójdzie spać.* Więc dlatego człowiek najdzielniejszy w Rzymie niema dostać się do rządu, w którym jako najdzielniejszy być oczywiście powinien? Więc dlatego podkopać jego znaczenie, rozszarpać jego dobrą sławę, złamać ramię, które najlepiej Rzymu broni? udaremnić wielką zdolność, Rzeczpospolitą pozbawić wielkiego sługi? to to patryotyzm, to dbałość o dobro tego ludu, o którym się mówi? Gdyby Koriolan myślał o zamachu stanu, o zmianie prawa publicznego, o zniesieniu urzędu trybunów, gdyby cokolwiek przeciw prawu poczynał lub począć zamierzał, działanie trybunów przeciw niemu miałoby powód, mogłoby być słusznem. Ale kiedy co zrobił dotąd, to było dobre, kiedy złego nic nie zamyśla i nie chce, a jedynym powodem spisku przeciw niemu jest rzetelność i wielkość jego zasługi, to ten spisek jest podłością naprzód, i jest naprawdę tym grzechem przeciw ojczyźnie i ludowi, o który trybuni za chwilę kłamliwie Koriolana oskarżą. Tym grzechem jest to nikczemne samolubstwo małości, która wyższości nienawidzi i nie znosi, a nazywa się zazdrością.

Ale spisek uknuty mądrze: z wielką przebiegłością i znajomością natury tak Koriolana jak ludu.

On nie potrafi
Z umiarkowaniem piastować do końca
Swoich godności. To co, dziś pozyskał,
Utraci jutro. W tem nasza otucha.

Jest tak popędliwy i w mowie niepowściągliwy, że zaraz ludzi na siebie poobraża. „Nasi mieszczańscy mandanci“ przy pierwszej lepszej okazyi poczują dawną ku niemu niechęć i zapomną o jego nowych zaszczytach“, (z jakiem uszanowaniem ci augurowie mówią między sobą o ludzie, któremu w oczy kadzą i służą!).

Trzeba nam zręcznie poszepnąć ludowi
Jak on go zawsze nie cierpiał; że gdyby
Miał władzę, toby go zaprzągł do jarzma;
Obrońcom jego nakazał milczenie;
Ukrócił jego swobody: że on go
W praktycznem życiu, w publicznych stosunkach,
Względnie na zdolność i na użyteczność,
Za nic łepszego niema, jak wielbłąda
Na wojnie, który dostaje posiłek
Za to jedynie, że dźwiga ciężary,
A kije, kiedy pod niemi upada.

Nie powie się ludowi, co Marcyusz złego zrobił, ale się mu szepnie, że zrobiéby mógł; oprze się oskarżenie nie na prawdzie, ale na przypuszczeniu, które się jako prawdopodobne wystawi; nie na faktach i dowodach, ale na tem, co niewidzialne i niedotykalne, na uczuciach; — powie się, że Marcyusz ludu nie kocha; przekręci się, wymyśli się, oczerni się, skłamie się, ale skutek będzie, lud uwierzy: a tym swoim niesłusznym sądem o Marcyuszu poruszy w nim znowu gniew i zapalczywość.

Wybuchnie ona
Jak tylko się go podżegnie, a jego
Podżedz tak łatwo, jak psem podszczuć owce.

Raz zaś doprowadzony do gniewu, sam zrobi całą pracę za swoich nieprzyjaciół, wpadnie w sidła, straci miarę i moc na sobą, i tyle obelg rzuci ludowi w twarz, że „wybuch ten ogarnie w lot suche

Paliwo ludu, a dym ztąd powstały
Zaćmi nazawsze cały jego urok.

Sposób jest nawet wskazany, gotowy: Marcyusz mówił, że gdyby miał starać się o konsulat, nigdy nie poddałby się temu zwyczajowi który kandydatom każe prosić o głosy. On tak rozumie, że prosić, prosić za sobą, jest rzecz wstrętna, niegodna, a zwyczaj niedorzeczny. Jeżelim wart być konsulem, to mnie nim zróbcie bez mojej prośby; a jeżeli nie, to źle jeżeli prośba niegodnemu pomoże do urzędu i władzy. On to rozumiał dobrze, szlachetnie: ale to można przedstawić inaczej, jako lekceważenie ludu, powiedzieć, że hardy arystokrata nie raczy ugiąć karku przed ludem i prawem, że nie chce prosić, bo nie uznaje zwierzchnictwa ludu, sobie przypisuje prawo piastowania, jemu odmawia prawa nadawania urzędu. Jakoś się to zrobi... o zrobi się, zawsze się takim sposobem zrobi, *calomniez, mentez hardiment, il en restera toujours quelque chose.* — I idą trybunowie na Kapitol, gdzie na posiedzeniu senatu wniesioną być ma kandydatura Koriolana na konsula.

Na Kapitolu dwóch woźnych ustawia krzesła w sali senatu i rozmawiają, a w ich słowach znajduje się sąd poety samego o dotychczasowych Koriolana zasługach i błędach. Prawda przez usta maluczkich, jak to Szekspir często lubi.

Pierwszy woźny.

Tęgi to człowiek, ale kaducznie dumny i niema serca do ludu.

Drugi woźny.

Prawdę mówiąc, bywali wielcy ludzie, którzy pochlebiali ludowi, a lud do nich nie miał serca; są także tacy, do których lud ma serce, nie wiedząc sam dlaczego; idzie zatem, że jeżeli lud ma do kogoś serce, nie wiedząc dlaczego, z równą zasadą niema go do kogoś drugiego. Jeżeli więc Koriolan nie dba o to, czy go lud lubi czy nie lubi, dowodzi tem, że zna doskonale naturę ludu, a szlachetności charakteru tem, że mu to jawnie okazuje.

Pierwszy woźny.

Gdyby mu to było wszystko jedno, czy lud go lubi czy nie lubi, obojętnieby się względem niego zachował, to jest: nie

czyniłby mu ani dobrze ani źle. Ale on żarliwiej się stara o nienawiść ludu, niż lud o uczynienie mu w tem zadość, i niczego nie zaniedbuje, żeby się okazać otwartym jego przeciwnikiem. Mojem zdaniem, paradę robić z lekceważenia i drażnienia ludu jest równie nagannem, jak czynić to, na co prawość nie pozwala, to jest pochlebiać dla zyskania jego względów.

Wchodzą ojcowie. Meneniusz w okrągłej przemowie stawia kandydaturę, jak się dziś mówi; trybuni uprzejmie przyjmują wniosek i kandydata, Kominiusz jest wezwany, żeby opowiedział jego zasługi. Koriolan zrywa się z miejsca ku drzwiom, i żadne namowy nie mogą go zatrzymać: „Wolę pójść goić moje rany, niż słuchać jakem je odebrał.“ A to dzieje się w senacie; dowód najlepszy, że kiedy nie chce chwalić się lub być chwalonym przed ludem, to jego pogardliwość nie sama przynajmniej na to wpływa, że on ma szlachetny wstręt od pochwał, nie lubi i nie umie ich znosić, nie wie co z sobą zrobić, uważa to za położenie fałszywe, które go korci i drażni. Opowiadanie o zwycięstwie odbywa się w jego nieobecności; a można śmiało twierdzić, że teatr francuski, który się tak pyszni swojemi sławnemi opowiadaniami, niema jednego, któreby się z tem równać mogło wymową, wspaniałością okresów i obrazów. Przytoczyć je chciałoby się bardzo, gdyby nie wzgląd na wiele ustępów ważniejszych, koniecznych, które domagają się miejsca. — W ogóle ze wszystkich dramatów Szekspira, Koriolan sposobem pisania najwięcej zbliża się do Francuzów. W innych długie opowiadanie lub dyalogi prowadzone długiemi przemowami, są niezmiernie rzadkie. Tu Szekspir lubi się rozwodzić, rozpisać; tak zwane *tyrady* napotyka się co chwila, a mówiący tak zwykle rozwija swoją myśl obszernie, tak wypowiada wszystko, co ma w sercu do samego dna, jak to robią bohaterowie tragedyi francuskiej.

Senat się zgadza, trybuni przystają, Koriolanowi przywołanemu do senatu, pozostaje już tylko jedna rzecz, żeby konsulatu dostąpił: uczynić zadość zwyczajowi, i w stroju

pokornego suplikanta prosić ludu na *forum*, żeby mu dał głosy. Temu on poddać się nie chce:

> Pozwólcie mi proszę
> Tryb ten pominąć. Nie mogę przyoblec
> Szat kandydata; nie mogę obnażać
> Mych ran, i w imię ich błagać o głosy
> . . . . jest to rola, której
> Nikt nie odegra bez zarumienienia.

Trybuni już czują, że z tego może być pretekst i środek przeciw niemu; myślą nawet, że on zaraz weźmie na kieł i wybuchnie, i obstają przy prawach ludu zacięcie, gwałtownie. „Lud nie odstąpi na jotę od swoich praw i dawnych zwyczajów.“ Ale tym razem jeszcze się nie udało. Koriolan uległ namowom przyjaciół, i przyrzekł wyjść na *forum* i prosić. Nieprzyjaciołom nie pozostało jak śpieszyć „uczyć lud, jak się ma względem niego postawić.“

Nic piękniejszego, jak ta scena Koriolana z ludem. Lud pamięta dobrze jego dumę i pogardę, czuje ją jeszcze teraz w każdem jego słowie; ale czuje instynktem, że nie powinien zważać na mniejsze wady, gdzie są wielkie zalety; zostawiony sam sobie, pamięta więcej zdobycie Korioli, niż własne do Koriolana urazy. Kontent jest przytem, i że zwyczajowi stanie się zadość, i że się ten hardy patrycyusz jemu ukłoni. O tę małą satysfakcyę miłości własnej dba więcej niż warto, ale ogółem wziąwszy położenie Rzymu i swoją powinność pojmuje trafnie. A w jakich żywych lekko komicznych figurach ten lud przedstawiony!

Pierwszy obywatel.

Jużto, jeżeli nas poprosi o głosy, odmówić mu nie będziemy mogli.

Drugi obywatel.

Będziemy mogli, i owszem, jeżeli tylko zechcemy.

Trzeci obywatel.

Mocni jesteśmy to uczynić, ale jest to moc przechodząca naszą możność; bo jak nam pokaże swoje rany, taki nam zam-

knie gęby i zmusi nas do względnej odpowiedzi; jakże nam znowu powie o swoich pięknych czynach, będziemy mu także musieli o naszych uczuciach coś pięknego powiedzieć. Niewdzięczność potworną jest rzeczą; zaczem lud niewdzięczny byłby potwornym ludem, a my, jako jego członkowie, bylibyśmy potwornymi członkami.

Picrwszy obywatel.

Na poparcie czego mogłyby posłużyć własne jego wyrazy, boć on nas przecie nazwał pstrogłową hydrą wtedy, kiedyśmy się domagali zboża.

Trzeci obywatel.

Nazwało nas tak wielu; nie dlatego, że jedni z nas mają czarne głowy, inni siwe, a inni łyse, ale że u nas w głowach są różne barwy; i w rzeczy samej, gdyby myśli nasze mogły się wydobyć z jednej czaszki, podobnoby jedne poleciały na wschód, drugie na zachód, te na północ, a te na południe, a zdania ich zwróciłyby się z prostej drogi na wszystkie punkta kompasu.

Drugi obywatel.

Tak myślicie? Na jakąż drogę, waszem zdaniem, zwróciłoby się moje zdanie?

Trzeci obywatel.

Twoje zdanie nie tak prędko mogłoby się wyzwolić, jak u kogokolwiek innego, bo jest w ciasnem miejscu szczelnie zamknięte, ale gdyby się wydostało na wolność, to pewnie powędrowałoby na południe.

Drugi obywatel.

Dlaczego na południe.

Trzeci obywatel.

Dlatego, żeby się w parę zamienić. Skoroby się tam trzy jego części ulotniły w masie złych wyziewów, czwarta, przez sumienność, powróciłaby do ciebie, żeby ci do ożenienia się dopomódz.

Drugi obywatel.

Ciebie się zawsze żarty trzymają; wolneć one, wolne.

Trzeci obywatel.

Jesteścież gotowi pisać się za nim? Ale mniejsza o to; większość tu rozstrzygnie. Powiadam wam, że gdyby on się tylko chciał zbliżyć do ludu, nie byłoby godniejszego człowieka.

A Marcyusz? Ten wychodzi na scenę rozdrażniony, ironiczny, zły. Lepsze i gorsze strony jego natury zarówno oburzają się ze wstrętem na to, co ma zrobić. Człowiek, który się szanuje nie lubi się prosić, nie lubi się popisywać swemi zasługami. A człowiek dumny jak on, prosić za sobą ludzi, których ma za tyle niższych od siebie, on, Koriolan ludzi może głupich i tchórzliwych, on, patrycyusz, plebejuszów! On się wstydzi prosić, a złości się, że ma tych właśnie prosić. Jego wstręt do proszenia za sobą jest nietylko słuszny, ale bardzo szlachetny. Ale prócz tego jost w nim to uczucie dumy, które mówi: „Ja jestem jaki jestem; wy powinniście to wiedzieć i wierzyć mi i powierzyć mi swoje losy. A żebym ja miał zrobić cokolwiek na to, ażeby wam swoją wartość przypominać, albo ją, jeżeli jej nie rozumiecie, tłómaczyć, to znowu dziwna pretensya. Bierzcie mnie jakim jestem, jakim mnie widzicie, bo lepszego nie znajdziecie; ale starać się o to, żeby was pozyskać, żeby wam się podobać, choćby, żeby was przekonać, to znowu nie. — Ja jestem z Bożej łaski jaki jestem, a wy z Bożej łaski powinniście mnie znać i uznawać.“ Tego Marcyusz nie czuje i nie rozumie, że z ludźmi żyć trzeba, a w polityce przez ludzi tylko działać można. Zatem, że trzeba im się tłómaczyć, trzeba swoją myśl i duszę pokazać i objaśnić, trzeba ich do siebie przypuścić. Popełnia też błąd polityczny, jaki niejeden po nim arystokrata w historyi popełnił.

Oto co mówi Meneniuszowi, który go prowadzi, uspokaja i zaklina, żeby był łagodnym i potulnym.

Cóż im powiem?
— Proszę waszmościów — tfy! tfy! nie potrafię
Nagiąć języka do takiej przemowy:
— Patrzcie panowie, oto moje rany:

Odebrałem je, walcząc za ojczyznę,
Wtenczas, gdy pewna liczba braci waszych
Gwałtu krzyczała i zmykała z placu
Przed dźwiękiem własnych trąb naszych.

A kiedy plebejusze zaczynają się przybliżać, kiedy Meneniusz musi zostawić go samego, a odchodząc zaklina, żeby przemówił uprzejmie, on odpowiada:

Każ im
Umyć się pierwej i wypłókać zęby.

Słowo charakterystyczne, wstręt człowieka dobrze wychowanego, wykwintnego, do źle umytych: rzecz niby nic nieznacząca, a pełna głębokiej i smutnej prawdy. Gdyby w tych małych rzeczach, w umyciu twarzy i płókaniu zębów i w podobnych, ludzie zrównać się mogli, łatwiejby im było zrównać się a przynajmniej zbliżyć w innych.

Został więc sam z ludem i ma prosić. Jakże się do tego weźmie? Najniezręczniej, jak żeby sam chciał umyślnie popsuć sobie sprawę. Kiedy go pytają, co go tu sprowadza, odpowiada, że jego zasługi, że gdyby mógł, nie trudziłby ich swojemi prośbami. Nie brak w jego słowach i ironii, którą lud doskonale czuje. Jakże się więc dzieje, że mu swoje głosy przyrzeka? czy mu tak pochlebiła ta dopełniona forma proszenia? Pochlebiła trochę, ale więcej działa na niego prawda, którą czuje w głosie proszącego; wie, że te zasługi, do których on się odwołuje są rzeczywiście, więc poprzestaje na tem, że Marcyuszowi jego pogardę przypomina, i głosy mu przyrzeka, zwłaszcza, że i on na chwilę zapomina o swojej ironii i pogardzie, i w tem krótkiem zetknięciu z ludźmi mimowolnie ulega ich wpływowi, mówi z nimi jak z ludźmi, szczerze, otwarcie wyjawia im całą myśl swoją:

„Powinnibyście mi to do cnót policzyć, żem przychylności mojej nie pospolitował. Będę odtąd, mój panie, inaczej sobie postępował z przyrodnim moim bratem, ludem; głaskać go będę,

żeby sobie na większy jego szacunek zasłużyć; jestto bowiem warunek, którego on ściśle przestrzega, a ponieważ w mądrości swojej woli posiadać raczej moją czapkę niż serce, nie zaniedbam mu się kiwać i kłaniać, i przestanę być oryginałem, to jest kopiować będę urok ludzi popularnych i hojnie obdzielać nim na żądanie. Na tej zasadzie proszę waszmościów o możność zostania konsulem.“

Tem ludowi tak trafił do przekonania, że ten odchodząc żegna go prawie serdecznie. Jak łatwo byłoby mu w tej chwili pozyskać te serca, opanować te umysły, gdyby ta chwila lepszego usposobienia potrwała cokolwiek. Ale rogi dumy, które na chwilę zniżyły się nieco, podnoszą się znowu. Oto co mówi sam do siebie, kiedy się oddalili:

Lepiej jest umrzeć, głód i męki znosić,
Niż o nagrodę zasłużoną prosić.
Mnież to przystoi, tu, w tej wilczej szacie
Stać ku jałowej gminu aprobacie?
Przed tym i owym uniżać się chłystkiem?
Zwyczaj chce tego. Gdyby nam we wszystkiem
Zwyczaj był normą, starożytne śmiecie
Pozostałyby nietknięte na świecie,
I takie góry błędówby powstały,
Że święta prawda jużby tej zawały
Przebić nie mogła, Precz, podła głupoto!
Kto dla godności gotów rzucać w błoto
Wewnętrzną godność, niech sobie zabierze
Ten cel upodleń. Lecz jużem w tej mierze
Przebył pół drogi; cofnąć się nie mogę,
Zabrnąwszy, muszę przebrnąć dalszą drogę.

I szybko, gorączkowo, a niby pokorniej jak przedtem, tak jak chce zwyczaj, prosi nowo nadchodzących o głosy, a czuć, że już przebiera się miara cierpliwości i mocy nad sobą. Jeszcze chwilę, a wybuchnąłby z pewnością. Ale dosyć. Sami trybuni przyznają, że spełnił co był powinien — lud

ma iść głosować, on zrzucić te szaty pokory, które go krępują jak łańcuchy a palą jak wizykatorye, a potem zostać konsulem. Wszystko skończone; zdaje się, że wszystko dobrze skończone. Każdy zrobił co był powinien: on, że się poddał prawu; lud, że najgodniejszemu przyrzekł konsulat, i rozeszli się dość zgodnie i po przyjacielsku. Zdaje się, że Rzym ma zapewniony rok dobrego konsulatu, a co więcej wewnętrzny spokój.

Mógłby go mieć, gdyby nie spisek. Ale jeżeli zdolny człowiek będzie dobrze rządy sprawował, a lud zaspokojony nie będzie się burzył, to wtedy „nasz urząd pójdzie spać“ nie będzie miał co robić. Jak Franciszek Moor w *Zbójcach* Schillera, kiedy chce zdradzić brata a ojca zabić, słodko troskliwie pyta tego ojca czy zdrów, czy zupełnie zdrów: jak Jago, kiedy pierwszy raz zaczyna sączyć pierwsze krople podejrzenia w duszę Othella, udają oba, że coś wiedzą, coś mają do powiedzenia okropnego, czego powiedzieć nie chcą, bo jest za smutne i za straszne, tak Sycyniusz i Brutus z miną posępną, zafrasowaną, z głowami zwieszonemi od trosk, a potrząsanemi niedowierzaniem, zaczynają podstępnie mówić z ludem. „Więc daliście mu głosy? Ha — stało się, fakt dokonany. Prosić bogów, żeby wam to wyszło na dobre.“ A więc może wyjść na złe? Prawdopodobnie na złe wyjdzie? Lud zaczyna być niespokojnym, boi się, że zrobił głupstwo. Pod tem wrażeniem zaczyna sobie przypominać, że Marcyusz mówił do niego tonem drwiącym, że swoich ran mu nie pokazał. Jakto nie? Być nie może! przecież musiał je pokazać?“ wtrąca Sycyniusz. Nie — nie pokazał. Uchybił im oczywiście, obraził ich, zadrwił z nich. Teraz już żelazo o tyle gorące, że je dobrze kuć można.

Alboście byli ślepi, żeście tego
W lot nie spostrzegli, albo dobroduszni
Jak dzieci, żeście spotrzegłszy to, dali
Mu jednak głosy.

Nic tak nie obraża, nie wstydzi, nie gniewa łatwowiernych, jak kiedy im powiedzieć, że są łatwowierni, że się dali po-

dejść. Lud tak się tego boi, takby chciał dowieść, że się Koriolanowi oszukać nie dał, że ślepo wpada w podstęp przygotowany mu przez trybunów, a ci pchają go teraz z całej siły. „Czyżeście nie mogli tak mu powiedzieć, jak was nauczano? Gdybyście byli tak rzecz wyłuszczyli, jak wam instrukcyę dano“ (bez nauki, bez instrukcyi nie obeszło się naturalnie), bylibyście albo doprowadzili go do prawdziwej uległości i pokory, albo do wybuchu, po którym bylibyście mogli słusznie odmówić mu głosów. Aleście wy dzieci, któreby się sto razy na dzień zgubiły same, gdyby nie miały aniołów stróżów co nad niemi czuwają.

Pomyślcie jeno, jakiej to pogardy
Przyjdzie wam wtedy doświadczyć od niego,
Kiedy was będzie mógł zgnieść? Cóż u licha!
Nie macież serca w ciele, klepek w głowie,
A język na to tylko, żeby wrzeszczeć
Przeciw powadze rozumu...

Czy ten konsul chce, czy myśli zgnieść, o tem nie mówi ten język, który jest na to tylko, żeby wrzeszczał przeciwko prawdzie: a lud zawstydzony, przestraszony, nieprzytomny, o to nie pyta. Jedno mu już tylko w głowie: odrobić, co się stało, naprawić, co myśli, że zepsuł. „Jeszcze on nie zatwierdzony, możemy go odpalić.“ Są na tym punkcie, gdzie ich trybuni widzieć chcieli.

Idźcież nie tracąc czasu, uwiadomić
Waszych przyjaciół, że sobie obrali
Konsula, który ich z swobód obierze,
Głos im ukróci jak psom, które często
Bywają bite za szczekanie, chociaż
Na to są, żeby szczekały.

Kiedy się czyta historyę naszych sejmów, ich historyę prawdziwą, zakulisową, ile tam widzi się scen podobnych, ile takich nauk i instrukcyj? Ile razy pod hucznem *nie pozwalam* posła kryje się szept takiego, który podpowiada! Jak podobnie działo się pod Lwowem w roku 1537, w Warsza-

wie w roku 1646. — Gmin był urodzony, herbowny, trybuni byli jaśnie wielmożni, ale wszystkie gminy do siebie podobne: i wszyscy trybuni.

Tem najbardziej, że narazić się nie lubią i swoją odpowiedzialność zawsze salwują. Pajac niech skacze, ale niech się nie pokazuje ręka, która go ciągnie za sznurek, bo czasem mógłby kto po niej trzepnąć. Nic piękniejszego, jak trybuni, kiedy przed ludem robią sobie mniemaną zasługę, a zasłaniają się przed patrycyatem: kiedy pozwalają ludowi mówić, że to ich namową uwiedziony, zbałamucony, głosował na Koriolana:

Brutus.

Złóżcie całą winę
Na nas; powiedzcie, żeśmy pracowali
Usilnie nad tem, ażebyście (w razie,
Jeżeli k'temu nie zajdzie przeszkoda)
Poparli jego elekcyę.

Sycyniusz.

Powiedzcie,
Żeście mu dali wasze wota raczej
Wskutek naszego rozkazu, niż wskutek
Własnej skłonności; i że ważąc w myśli
To, co wam zrobić kazano, z tem, co wam
Zrobić przystało, w chwili rozrargnienia
Mimowolnieście głosowali za nim:
Tak bez skrupułu złóżcie na nas winę.

Brutus.

Nie oszczędzajcie nas; powiedzcie, żeśmy
Opowiadali wam, jakto on młodo
Zaczął ojczyźnie służyć; jak już dawno
Służy; z jakiego szczepu ród wywodzi.

„Powiedzcie i w to bijcie jak najwięcej“, żebyście mu nigdy nie byli dali głosów, gdybyście nie byli do tego przez nas namówieni.“ A na zakończenie, kiedy lud rozbiegł się we

wszystkie strony, żeby zrobić co mu kazano, kiedy zostali sami, godne zamknięcie szlachetnej roboty w słowach:

Idźmy zaraz.
Trzeba nam bowiem być na Kapitolu
Wprzód niż pospólstwo. Tym sposobem cała
Te sprawa wyda się własnem ich dziełem,
Choć w gruncie przez nas była podżegniona.

Na Kapitolu tymczasem nikt nie domyśła się zdrady. Orszak senatorów z Marcyuszem idzie dokonać wyboru już niewątpliwego. Naprzeciw wpadają trybuni i zatrzymują:

„Ani kroku dalej. Dalej iść byłoby zgubą. Nie idźcie dalej. Lud jest rozżarty na niego. Ogólny wybuch nastąpi, jeżeli go zobaczą.“ — Cóż się stało, wszak przed chwilą byli spokojni, przed chwilą dawali mu głosy? W powszechnem pomięszaniu Marcyusz jeden wie odrazu, co się stało:

„Podbechtaliście ich...
To ułożona rzecz: intryga.“

I teraz zrobi, co oni chcieli, teraz wybuchnie. A nie tyle go gniewa obelga i krzywda jemu samemu zadana — nie byłby człowiekiem, gdyby jej nie czuł — ile go oburza podłość intrygi, ile go trwoży los Rzeczypospolitej, w której

tacy bezkarnie rej wodzą,
Co sami rządzić nie umiejąc, nie chcą
Być rozsądnymi.

I teraz już pójdzie na oślep, choćby na śmierć; ponosi jak koń co wziął wędzidło na kieł i leci nie patrząc przed siebie, aż wpadnie w przepaść lub łbem o mur gdzie uderzy i padnie. Czy mu się można dziwić? Wystawić sobie wzburzenie człowieka, któremu należy się wdzięczność i chwała, a dostaje niesprawiedliwość i upokorzenie? Wystawić sobie, że on wie dobrze przez kogo i dlaczego to go spotkało, że ma przytem umysł wyniosły a temperament gwałtowny, że podłością i zdradą się brzydzi, czyż dziwnie, że oplątany ich intrygą rzuca się ze złości a trzęsie z obrzydzenia, że się

szamoce jak lew, któregoby skrępowały w swoje sieci brudne pająki, albo gady zasklepiły swoją śliną. Niech się co chce dzieje, ale on w tem nie wytrzyma. I wybucha, i wszystko co ma w sercu, co myśli o trybunach, o ludzie, o niebezpieczeństwie, które z nich wyniknąć mogą, wszystko z siebie wyrzuca jak wulkan. Czy to co mówi, jest niesłusznem, nieprawdą? Nie, on mówi, że

Kędy miejsce obok siebie mają
Dwie równe władze, łatwo zamięszanie
Zakraść się może i zrządzić upadek
Jednej przez drugą —

że lud jest „trzodą trybunów", i że nie powinni mieć głosu ci, „co go wydają i zaprzeczają natychmiast" — ale ta prawda wypowiedziana nietylko jego sprawę gubi, może i Rzeczpospolitę zaburzyć. Tylko człowiek, który się już nie posiada, rozumować nie może, a jego duma i wzgarda tak jeszcze te prawdy przyprawia, że przeciwników także do wściekłości doprowadzić musi. Napróżno przyjaciele próbują go uspokoić, opamiętać, zmusić do milczenia, na nic nie zważa i swoje powiedzieć musi. A kiedy trybun przypomniał mu, że niegdyś radził nie rozdawać ludowi zboża za darmo, on przyznaje, powtarza, dodaje że i teraz myśli tak samo i dodaje, dlaczego

Wie on, że zboża nie dostał w nagrodę,
Boć mu wewnętrzne przekonanie szepce,
Że żadnych k'temu zasług nie położył.
Będąc wyzwany na wojnę, podówczas,
Kiedy ojczyźnie szło o śmierć lub życie,
Nie chciał przestąpić bram! ten rodzaj zasług
Nie jedna prawa do bezpłatnych datków.
Na samejże zaś wojnie ciągłe jego
Niespokojności i rozkosze, w których
Głównie dał dowód swojej waleczności,
Nie przemówiły za nim. Jego liczne
Skargi na Senat, jako wiatr zasadne,

Nie mogły także, rozumiem, wywołać
Naszej tak łatwej darowizny. Jakiż
Był tedy powód? jakimże procesem
Ten różnolity, niesyty brzuch trawi
Owę uczynność Senatu? Niech fakta
Staną za słowa, któreby brzmieć mogły,
Jak następuje: *Żądaliśmy tego,*
Bo stanowimy większość, i z bojaźni
Dano nam, cośmy chcieli. Tym sposobem
Sami wzruszamy świętość naszych posad,
I przyprawiamy się o to, że szuja
Troskliwość naszą nazywa bojaźnią.
Przyjdzie do tego z czasem, że wyłamią
Rygle Senatu i że wrony będą
Dziobały orłów.

On mówi tylko, że się źle stało, mówi o przeszłości, ale tego, co się stało, zmieniać nie myśli; choćby chciał, nie może; — tymczasem ta krytyka przeszłości, to zdanie staje się dowodem jego zbrodni i powodem jego wygnania. Czy jest coś więcej? jest ta przez historyą przechowana myśl Koriolana, myśl zniesienia Trybunatu.

Wyrwijcie odrazu
Ten język paszczy pospólstwa, nie dajcie
Im lizać miodu, który jest dlań jadem;

i dalej

Na lichoż ludowi
Ta drań trybunów!

Ale to wszystko; a to jest mowa tylko, nie czyn ani zamiar czynu, i mowa człowieka, który w uniesieniu namiętności mówi wszystko co myśli, a więcej niżby zrobił, gdyby mu wrócił spokój i przytomność. Zbrodni w tem niema, jest co najwięcej obelga prawa, nie targnięcie się na prawo; ale jest pozór, jest wszystko, czego trybunom potrzeba:

— Mówił jako zdrajca, i jako zdrajca odpowie.

— To jawna zdrada.
— Edylowie, pochwycić go.
— Biegnij po lud,

> W którego wszechwładnem imieniu
> Aresztuję cię jako nowatora,
> Zdrajcę i wroga Rzeczypospolitej.

Koriolan tak mało zważa na to oskarżenie, tak nie przypuszcza, żeby ktokolwiek mógł w niem widzieć cokolwiek prócz głupstwa, że nawet się nie gniewa, nie zważa, tylko odpycha Sycyninsza, mówiąc mu jedyną rzecz, na jaką zasłużył: „Idź precz stary capie.“

Ale to nowa zbrodnia, podniósł rękę na urzędnika, na Sacrosanctusa, na majestat ludu; i Trybun, jak żeby go zabijano, woła z całego gardła na gwałt i na pomoc. — Lud wpada, powstaje zamięszanie, rozruch, nieledwie bójka, Koriolana napróżno senatorowie chcą uprowadzić, trybunowie silni, bezpieczni o siebie, a czując, że druga taka sposobność nieprędko się zdarzy, już nie oskarżają, ale wprost skazują.

— Dekretujemy Marcyusza godnym śmierci.

> Niech więc będzie zaprowadzonym na Tarpejską skałę
> I z niej strąconym.

Próżno senatorowie pytają, gdzie prawo, gdzie sąd, gdzie proces.

> Dobrym jest panie środkiem, lecz nie w razie
> Gwałtownych chorób. — Bierzcie go, prowadźcie
> Zaraz na skałę. —

(Zawsze także ta sama teorya o potrzebie gwałtownych środków).

Ale łatwiej kazać, niż ująć i poprowadzić takiego. O życie już idzie, i życia on bronić ma prawo. „Wolę tu umrzeć“, mówi i dobywa miecza. A ledwo nim machnął, już przed nim niema nikogo. Został sam z senatorami. Ale został pod tym wyrokiem, został z winą, skoro zrobił rozruch i dobył miecza; tamci za chwilę powrócą w większej

liczbie. W takich razach trzeba wybierać i prędko: albo uderzyć siłą, zrobić bój zamiast bójki i rozruch uśmierzyć natychmiast, albo natychmiast ustąpić, bo inaczej z rozruchu zrobi się anarchia i rzeź. Senatorowie boju wszczynać nie chcą, uprowadzają Marcyusza, który rozumie już teraz, że przedewszystkiem powinien zniknąć nie dla własnego, ale dla Rzymu bezpieczeństwa.

Meneniusz, który zostaje, czeka na lud w nadziei, że go może uspokoi, mówi teraz to, co Szekspir myśli o Koriolanie aż do tej stanowczej chwili jego życia.

Jego umysł
Jest za szlachetny dla naszego świata;
Nie schlebiłby on Neptunowi, choćby
Mu szło o trójnóg, ani Jowiszowi
Za wszystkie jego gromy. Jego serce
Jest w ustach; co się pocznie w jego piersi,
To jego język wnet musi urodzić;
Będąc zaś zdjęty gniewem, zapomina,
Że kiedykolwiek słyszał miano śmierci.

Ale dodaje: „nie mógłże on trochę ustąpić."

Wracają Trybuni z większem jeszcze mnóstwem ludzi i na wstępie wołają:

„Gdzie jest ta żmija, co chciała
Wyludnić miasto i sama być wszystkiem."

Charakterystyczny postęp oskarżeń. Teraz już Koriolan chciał miasto wyludnić: zapewne lud wyrżnąć do nogi! A lud wtoruje i pomaga, Meneniusz nie ułagodzi go już bajeczką, jak niegdyś — owszem, senatorowie sami omal nie będą oskarżeni, że skazanemu na śmierć zbrodniarzowi ujść dali. Z ludem próżno mówić. Ale do trybunów jest jeszcze przystęp. „Zważcie, co robicie! Jeżeli go stracicie bez sądu, a jego przyjaciele zechcą się ująć i mścić jego śmierci" To skutkuje. Owszem, niech się odbędzie sąd podług wszelkich form prawnych — lud i jego obrońcy szanują prawo i nie

śpieszą się z wykonaniem sprawiedliwości i kary! Meneniusz podejmuje się przyprowadzić oskarżonego na ten sąd.

W domu Koriolan nie ochłonął jeszcze, jeszcze się rzuca, jeszcze to dalszy ciąg tego wzburzenia, tej namiętności, która choć tak wyniosła, nie jest bez wzniosłości, kiedy mówi:

Niech się wkoło mnie jak chcą srożą. Niech mi
Stawią przed oczy sromotną śmierć w kole
Albo u kopyt rozpędzonych koni;
Niech na Tarpejską skałę wsadzą jeszcze
Dziesięć skał takich, aby dno przepaści
Sięgało głębiej, niż wzrok może dosiądz —
Jeszcze i wtedy będę dla nich takim
Samym jak jestem.

Si totus illabatur orbis, impavidum ferient ruinae. Impavidus on jest, a jest jeszcze dotąd i *justus.* Ale zanadto sobie ufa; tak jest pewien, że bądź co bądź on zawsze takim samym zostanie, zostać musi, że nie spostrzeże się, jak zostanie innym. Jego matka już się zaczyna obawiać, już mu słuszności nie przyznaje.

Zastanawia mnie to, że moja matka
Nie okazuje mi teraz takiego
Zadowolenia, jak dawniej...
Dlaczegoż mnie chcesz widzieć uleglejszym?
Chciałażbyś, abym zaprzeczał sam sobie.

W tej rozmowie syna z matką jest walka wspaniała doświadczenia i rozumu z namiętnością, godności prawdziwej z przesadzoną i mniemaną, z dumą: prostego i czystego patryotycznego sumienia, z sumieniem wypchniętem z równowagi, łudzącem się, nie umiejącem już trzymać się miary i rozpoznać granicy między złem i dobrem. Wyższość nad synem, owszem, wyższość nad wszystkiemi postaciami dramatu ma w tej scenie i od niej już ciągle ta kobieta, która w wyborze nie chwieje się nigdy i zawsze odrazu idzie za tem, co dobre, a przed synem i przed Rzymem stoi jak wcie-

łone prawo moralne, mówiąc jednemu i drugiemu, co powinien i czem zgrzeszył.

Mądra jest naprzód i zna się na sprawach publiczych, jak żeby sama siedziała w senacie. Z boleścią widzi, że syn własnemi rękami zburzył swoje znaczenie i przyszłość, ale widzi doskonale, że to stracone, i widzi, że on winien bo dopomógł, bo się uniósł, bo dał przeciw sobie i pozory i powody do oskarzeń. Nie roztkliwia się nad nim, ani go uniewinnia.

Synu, synu!
Trzeba ci było wprzód pozyskać władzę,
Nimeś ją stracił. —
Byłbyś był łatwo mógł być tem, czem jesteś,
Gdybyś być sobą mniej był usiłował.

Gdybyś był mniej upierał się przy pozorach swojej godności, a czci swojej nie mięszał mylnie z nierozwagą i z dumą, byłbyś mógł łatwo pozostać tem, czem jesteś. Duma i wzgarda lubują się w namiętnych wybuchach, ale cześć i godność nie wstydzi się rozwagi, ani zastósowania się do ludzi, an ustąpienia nawet, kiedy jest potrzebne i słuszne.

„Za niezawisły masz sposób myślenia.
Piękny to przymiot ale niebezpieczny
W niektórych razach ostatecznych. Nieraz
Z ust twych słyszałam, że honor i zręczność
Na wzór przyjaciół nierozłącznych w parze
Chodzą na wojnie...
Dlaczegożby mniej miało być godziwem
Honor z zręcznością spleść w czasie spokoju.“

A teraz właśnie jest taki raz ostateczny. Są takie czasem konieczności, że człowiek choćby sto razy miał słuszność, musi udać, że jej sobie nie przypisuje; musi przemawiać słowami, które będą „języka jego nieprawemi dziećmi“, — bo jeżeli nie ustąpi, jeśli się nie upokorzy, sam zginie, to mniejsza, ale może zgubić wielu albo i wszystko. Przekonać nie można; dowieść, że się ma słuszność? może

kiedyś, ale nie teraz; iść na przebój, to wojna domowa. Cóż zostaje? ustąpić, bo przeciw wszystkim nie można walczyć, a przeciw prawu i ojczyźnie nie trzeba mieć słuszności, nawet kiedy się ją ma. Wszystko to ma ten cel, żeby Koriolan poddał się sądowi, choć to sąd niesłuszny, a przez to uratował spokój Rzymu, może i siebie.

Uczyń tak, synu, proszę cię, pójż do nich
Z tą czapką w ręku, unieś ją do góry,
Pocałuj ziemię kolanami (w takich
Bowiem okazyach gesta są wymową,
A oczy gminu wrażliwsze niż uszy),
Kiwaj im głową, aby pomyśleli,
Że twarde serce twe skruszało, zmiękło,
Jako dojrzała morwowa jagoda,
Którą najmniejszy wiatr strząsa. Lub wreszcie
Powiedz im, żeś jest żołnierzem, że będąc
W bitwach i w wrzawie wychowanym, niemasz
Tego łatwego słodkiego obejścia,
Które właściwie, jak to sam przyznajesz,
Miećbyś powinien; a którego oni
Właściwie mogą od ciebie wymagać,
Skoro się starasz o ich względy; wszakże
Uczynisz wszystko, co będzie w twej mocy
Ażeby się im nadal przypodobać?

Nie i nie. To za wiele, więcej niż człowiek znieść i zrobić może. On ma żałować?

Nie mógłbym tego przed obliczem bogów
A mam przed nimi?

On ma wyznawać, że nie miał słuszności? Przed swoimi, przed matką przyszłoby mu to trudno, gdyby najbardziej czuł, że źle zrobił: a ma się upokorzyć przed tymi trybunami, którzy go wyzwali, podeszli skrzywdzili? którzy wiedzą dobrze, że oni względem niego zawinili, nie on względem ludu? I tę swoją krzywdę a ich podłość on ma nagradzać i wieńczyć, on sam przyznaniem się do winy, której

niema? czegoż od niego żądają, za co go mają? to rola, której plamy nigdy w życiu zatrześ nie zdołam.“

Precz, męzki duchu!
Niech mię duch sprosnej niewolnicy natchnienie;
Wojenne gardło moje, które dźwiękom
Trąb wtórowało, niechaj się zamieni
W cienką piszczałkę rzezańca, lub niańki
Co dzieci lula! Niech szalbierski uśmiech
Osiądzie na mych licach; łzy żakowskie
Powloką szybę mych oczu! Niech w ustach
Moich żebraczy język zabełkocze;
Kolana moje, com je dotąd chyba
Pnąc się pod górę zginał, niech się zniżą
Jak u charłaka, co bierze jałmużnę!
Nie, nie, nie zrobię tego, bo musiałbym
Przestać czcić godność własną, i grą ciala
Wdrażać mój umysł do najostatniejszej
W świecie podłości.

A przecież ulega, ustępuje; i wtedy dopiero jest wspaniały, jak nigdy. Człowiek dumny, który przyznaje, że źle zrobił i przyjmuje upokorzenie takiego wyznania, człowiek dorosły i wielki, który słucha powagi macierzyńskiej i przez posłuszeństwo zadaje sobie przymus, nad który niema dla niego trudniejszego, to piękne. Prawda, że nie czuć nie może, że ta kobieta ma słuszność, że nad nim góruje tą swoją słusznością i godnością. Volumnia była mądra, kiedy radziła, patetyczna kiedy prosiła, ale nigdy nowu tak imponująca, jak kiedy zimno, surowo, poważnie prosić przestaje. Taksamo zrobi ona drugi raz, w chwili o wiele jeszcze straszniejszej, ale już w tym razie jest wielka:

Jak ci się podoba:
Żebrać od ciebie większym jest zakałem
Dla mnie, niż od nich dla ciebie. Zgub wszystko:
Daj matce doznać skutków dumy twojej!
Wolę to, niż się obawiać zgubnego

Twego oporu, bo pogardzam śmiercią
Taksamo jak ty. Rób co chcesz; odwaga,
Którą się pysznisz, moją jest; tyś z mojem
Mlekiem ją wyssal; ale duma twoja
Wyłączną twoją własnością.

I ona ma prawo to powiedzieć. Ta duma jaką on ma, nie jest z niej. Jej duma jest jeszcze większa, ale jest tak czysta i tak ze wszystkiemi moralnemi prawami zgodna, że naprawdę jest tylko godnością. Żadna kobieta, najczulej, najnamiętniej kochana, żeby miała największą nad nim władzę, tego nie zdołałaby dokazać. Mogłaby wiele, wszystko otrzymać prośbą lub miłością, lub może nawet pokusą i sztuką: ale mocą samej tylko swojej powagi zgiąć go do ziemi, zgiąć go do posłuszeństwa, to może tylko matka, bo ta jest dla syna zawsze od niego wyższą.

Dość, że usłuchał, poddał się, poszedł z pogardą siebie samego „jak szachraj wyłudzać względy, jak kuglarz podchwytywać życzliwość" — ale poszedł. Cóż będzie jak stanie przed ludem, jak przemówi? czy nie spełnią się jego nadzieje, ze wróci „pieścidłem wszystkich rzemieślników Rzymu?"

Byćby to mogło. Trybuni przewidują możliwość, i dlatego zawczasu obmyślili, jak jej zapobiegą. Ten plan jest arcydziełem podłości:

„Bijmy w to, że on chce sobie przywłaszczyć
Tyrańską władzę."

Świadomość, że tak nie jest, że kłamią, jest zupełna. Ale to nic jeszcze. Jeżeli to nie pomoże, znajdą lepsze oskarzenie:

przywiedźmy
„Że zdobycz wzięta na Ancyatach
Jeszcze nie była rozdzieloną.

Rzucą na niego podejrzenie kradzieży! Są zupełni; niczego im nie brak.

Że bezczelnie, bez pudoru, nie próbując nawet udawać, że w swoje potwarze wierzą, ale zręcznie zawsze swoje plany układają, tego dowidzi ich narada:

Odrazu wprawmy go w wściekłość;
Jak weźmie na kieł, wypowie nam wszystko
Co tylko ślina mu poda, a wtedy
Będziemy go mieć w punkcie pożądanym,
Żeby mu prawnie kark skręcić —

że prawnie nic mu dowieść nie mogą, bo nic złego jeszcze nie zrobił, to doskonale wiedzą.

Wchodzi Koriolan „spokojny jak szkapa, która za garść „paszy furę gałganów ciągnie", przemawia kilka słów łagodnie, poważnie. Widocznie chce dotrzymać co przyrzekł, zebrał całą swoją moc nad sobą i trzyma się. Na zapytanie odpowiada, że się podda wyrokowi sądu, choć w zapytaniu samem trybun się zdradza mimowolnie i mówi o wyroku za zbrodnie, które dopiero *mają być dowiedzionemi*. Wszystko znosi, tylko niezręczny jest zawsze; i kiedy Meneniusz wspomina jego zasługi i rany, mówi, że to draśnięcia, o których myśleć nie warto. Czyż nie wyjdzie z tej cierpliwości? czyż zniweczy nią plan tak pięknie ułożony? O! jest rada na wszystko: ale kiedy się upiera w cierpliwości i spokoju, to trzeba użyć wielkiego środka.

Oskarżamy cię, żeś się kusił odjąć
Rzymowi jego starodawne prawa
I sam zagarnąć despotyczną władzę.

Na to zapewne Koriolan się uśmiecha i rusza ramionami, wie, co na to oskarżenie odpowie, wie, co o niem myślą trybuni sami. Ale na końcu przychodzi to, co go wyrwie ze spokoju, czego, trybuni to wiedzą i mówią umyślnie, spokojnie człowiek nie usłyszy nigdy.

„Dopuściłeś się przez to zdrady."

Tego zanadto:

Żeby z najgłębszych otchłani piekielnych
Ognie zionęły na ten lud! ja zdrajca! —
Bezwstydny, fałszem przesiąkły trybunie!
Choćby w twych oczach pięćdziesiąt tysięcy
Środków zagłady siedziało, w twem ręku
Tyleż milionów, w kłamliwych twych ustach
Dwa razy tyle, jeszczebym ci w oczy
Powiedział: kłamiesz tak, jak śmiało
Zanoszę modły do bogów.

A Sycyniusz niezmięszany ciągnie dalej:

„Nie mamy potrzeby przytaczać
Na potępienie go niczego więcej.

„Nie mamy potrzeby dowodzić“, zamiast „nie mamy dowodów“ jest w swoim rodzaju wielkie. I to całe śledztwo, cały proces, całe powody wyroku, po których następuje już tylko sam wyrok, który powinieby opiewać na śmierć, ale przez wzgląd na dawne zasługi skazuje winowajcę tylko na wygnanie.

Senatorowie, Kominiusz zwłaszcza, próbują mówić, tłómaczyć, bronić. Napróżno; na dane przez trybunów hasło zagłusza ich krzyk całego ludu, może dlatego, że wołają o spokój, o umiarkowanie, o rozwagę, a nad wrzawą zapanowałby ten tylko, ktoby miał odwagę krzyknąć: *nieprawda!* Może byłby rozszarpanym odrazu, ale jeżeli nie, to byłby słuchanym. Tylko takiego pomiędzy tym patrycyatem niema. Jeden jest tylko głos, który nad wszystkimi bierze górę i zmusza ich do milczenia, to głos z największej najsilniejszej piersi, głos Koriolana, ale niestety głos nie skrzywdzonej niewinności, tylko głos wzgardy, nienawiści i zemsty; pierwsze słowa Koriolana nowego, tego który ma być od tej chwili:

Podła, wrzaskliwa psiarnio, której tchnienie
Jest dla mnie tem, czem wyziew zgniłych bagien;

Której przychylność tyle u mnie warta,
Ile poblizkość ścierw niepogrzebionych,
Zarażająca mi powietrze; ja to,
Ja ci powiadam: precz odemnie! Zostań,
Marniej tu w swojem niedołęstwie! Niech was
Najmniejszy szelest wskróś przejmuje dreszczem!
Widok wiejących piór nieprzyjacielskich
Niechaj was w rozpacz wprawia! Używajcie
Z całą swobodą władzy wypędzania
Obrońców waszych, aż was wreszcie wasza
Głupota, która nie widzi, nie czując,
I niema nawet prostego instynktu
Własnego dobra, odda w obce ręce,
Które was w kluby wezmą, jako bydło,
Nie wydobywszy miecza. Gardząc wami,
Z wzgardą odwracam się od tego miasta.
Jestci gdzieindziej jeszcze świat!

A jak się zaczęła, tak się kończy ta scena podłością bez granic. Sycyniusz mówi do ludu:

„Idźcie w trop za nim aż do bram.
Urągajcie mu.“ —

Nie dość oczernić, zhańbić, skrzywdzić, trzeba jeszcze tym pięknym duszom urągać temu, który się bronić nie może. A jest coś ładniejszego, jak to wszystko. Wysyłając tak lud, żeby się znęcał, nad — dajmy, że najwinniejszym nawet, ale nieszczęśliwym, trybun, który sam idzie do domu, kończy słowami:

nam zaś dajcie
Dla bezpieczeństwa straż przez miasto.

Gdyby Koriolan był zginął w tej chwili? Gdyby go byli zrzucili ze skały! Nie byłoby prawda tej poprawy, przez którą się podniósł i skończył szlachetnie, ale nie byłoby upadku, a nic smutniejszego na świecie, jak upadek prawdziwie wielkich i spodlenie się szlachetnych. W dramacie

prócz tego nie byłoby tej sceny pożegnania, w której on jeszcze raz występuje w całej swojej piękności. Wspaniały był, kiedy zdobywał Korioli, a potem wstydził się jak dziewczyna, kiedy mówiono o jego zasługach i chwale, ale tam nawet nie był wspanialszym jak teraz. Żona, matka, przyjaciele, wszyscy w żałości, w rozpaczy, w uniesieniu: on jeden spokojny, on jeden nie złorzeczy, nie narzeka nawet, on ma siłę za wszystkich, dla wszystkich pociechę, słodycz i czułość, która w męskiem sercu zahartowanem piękna jest jak nigdy, i uśmiech wymuszony zapewne, nieszczery, ale rozrzewniający, bo to nie uśmiech szyderstwa i wzgardy dla nieprzyjaciół tylko pociechy i nadziei dla swoich.

Wirgilia.

O, bogi

Koriolan.

Przestań, kobieto, proszę cię.

Wolumnia.

Niech czarna
Zaraza spadnie na ten lud i wszystkie
Warsztaty jego przepadną!

Koriolan.

Cóż z tego?
Będą mnie cenić, gdy mnie mieć będą.
Matko! zbierz w sobie ów duch, za którego
Wzniosłom natchnieniem mawiałaś mi nieraz,
Że gdybyś była żoną Herkulesa,
Byłabyś była część jego prac wzięła
Na swój rachunek, aby tym sposobem
Ulżyć mężowi trudów. — Kominiuszu,
Nie smuć się; bądz zdrów. — Żono moja! matko!
Żegnam was! jeszcze mi będzie się szczęścić!
I ty mój stary, wierny Meneniuszu;
Łzy swoje słońsze są, niż łzy u młodych;
Mogą ci strawić wzrok. — Dawny mój wodzu!

Widziałem nieraz twoją nieugiętość,
I tyś był nieraz świadkiem takich rzeczy
Na których widok serce mogło stwardnąć;
Powiedz tym smutnym niewiastom, że szlochać
Nad nieszczęściami nieuniknionemi,
Równie jest zdrożnem, jak z nich się naśmiewać.
Matko! wiesz dobrze, że niebezpieczeństwa
Moje kończyły się dotychczas zawsze
Twoją pociechą; dufaj w to i nadal.

Kominiusz chce z nim iść na wygnanie; odrzuca tę ofiarę: „jesteś już letni, nie tobie tułać się po świecie.“ Czemuż go nie wziął! Może ten stary żołnierz byłby jak anioł stróż obronił go od zbrodni. Czy może dlatego nie chce go właśnie, żeby mu nie przeszkadzał w zamiarach zemsty? Zdaje się, że nie; że on o niej nie myśli jeszcze, skoro żegnają matkę, mówi:

„Nie myśl na chwilę, by syn twego łona
Albo się kusił przejść dane granice,
Albo się kiedykolwiek dał uwikłać
W sidła przewrotnych praktyk. —

Z tych słów zdaje się, że wygnany jak Aristides, chce jak tamten być na wygnaniu cnotliwym. Tosamo przyrzekają najostateczniejsze jeszcze słowa jego pożegnenia:

Jak odejdę,
Poślijcie ze mną nieme pożegnania
I uśmiechnijcie się. Pójdźcie. Choć będę

Zdaleka od was, zawsze mieć będziecie
Odemnie wieści, i nigdy inaczej
Nie usłyszycie o mnie, jak w sposobie
Godnym przeszłości mojej.

Rozruch się ucisza, huczy jeszcze głucho po mieście, jak dalekie grzmoty odchodzącej burzy, ale ustaje — lud się rozchodzi, na ulicach ruch mniejszy. Zwycięzcy patrzą na swoje dzieło i widzą, że było dobre. W tej chwili widzą i Vo-

lumnię, wracającą od bram miasta po odprowadzeniu syna. Chcą jej zejść z drogi, zapóźno. Prawdę usłyszą. Tę prawdę, której mężczyźni nie powiedzieli, może ze względu na wzburzenie ludu powiedzieć nie byli powinni, powie im kobieta, która za swojem uczuciem idąc oburzenia nie powstrzyma. Ona umiała być rozważną, dopóki było coś do ocalenia, teraz może wybuchnąć. A jak synowi stawiała przed oczy tylko jego powinność i jego winę, tak wobec nieprzyjaciół pamięta i zna tylko jego wartość a ich nikczemność.

Radabym, żeby bogowie nie mieli
Nic do czynienia więcej, jedno spełniać
Moje przekleństwa. Gdybym tych nędzników
Raz na dzień tylko mogła mieć przed sobą,
Pozbyłabym się wnet tego ciężaru,
Który mi tłoczy serce...
Gniew jest moją strawą;
Sama się trawię i głodową śmiercią
Umrę z sytości. — Pójdź córko! zaniechaj
Tych nadaremnych niedołężnych żalów.
Rozpaczaj tak jak ja, na wzór Junony,
Wrąc gniewem. Pójdź.

Że ma majestat Junony, to pewna. Ale niema silnej pięści, niema broni przy boku, jest kobieta i stara. Prosta rzecz, że na jej żal i gniew można odpowiedzieć grubijaństwem: i nazwać ją waryatką.

W scenie następnej Koriolan w ubogiej odzieży, w Antium, szuka domu Aufidiusza, filozofuje o zmienności losu, który przyjaciół waśni a nieprzyjaciół brata, i monolog swój kończy oświadczeniem, że Tullus postąpi sprawiedliwie, jeżeli go zabije, a jeśli nie zabije, to wyświadczy przysługi jego ojczyźnie.

Jakto? ten sam, co wczoraj, przedwczoraj najdalej, żegnał swoich piękną obietnicą, że zawsze zostanie sobą, godnym swej pięknej przeszłości, dziś przeszedł do nieprzyjaciela? Ten co przedwczoraj za same słowo zdrada Rzymowi całemu stawił czoło, dziś ją popełnia, i tak spokojnie, tak

zimno, tak bez namiętności, że aż go stać na filozoficzne uwagi? Cóż się z nim stało? Że wielkie nieszczęście może zmienić samą nawet naturę człowieka, że wielka krzywda może ją zatruć tak, że żółć zamiast krwi krążyć będzie w żyłach, któżby przeczył: że

serce zdradzone, pokłóte,
Zepsuje się w truciżnie przez jedną minutę

to być może. Ale do poety należy pokazać jak się ten proces zatrucia i zepsucia odbywa, a największym, jedynym wielkim błędem dramatu Szekspira jest, że tego przejścia niema. Gdyby zapytać, jaki jest tego powód? czy może jakieś zaniedbanie, opieszałość, poety, pośpiech do końca? Może i to, ale prawdopodobniej co innego. Gdyby Szekspir był się ściśle trzymał historyi, i dał Koriolanowi od początku charakter mniej idealny, gdyby był w nim pokazał tę namiętność i nienawiść, która wnosząc z podań historycznych być w nim musiała, w takim razie przejście do zemsty i zdrady byłoby zrozumiałem, tłómaczyłoby się samo złemi uczuciami, jakie w duszy tego człowieka zawsze były, a pod wpływem doznanej krzywdy rozwinęły się i dojrzały. Ale zrobił go w początku i aż do tej chwili tak szlachetnym i pięknym, że pojąć nie można, jakim sposobem taki mógł pomyśleć i zrobić coś niskiego i podłego: w zakończeniu zaś musiał Szekspir oczywiście trzymać się historyi. I ztąd poszło, że druga połowa roli do pierwszej nie przystaje. Szekspir pojął go tak idealnie, tak go zrobił szlachetnym, że natura tego Koriolana z historyą rzeczywistego musiała zostać w niejakiej sprzeczności. Koriolan ostatni raz zeszedł ze sceny człowiekiem nawskróś szlachetnym, wychodzi na nią teraz już gotowym zdrajcą. Malczeski, którego Wacław „wszystko w świecie traci“, opowiada krótko ale wyraźnie to rozdarcie duszy, w której zawaliło się szczęście i „szacunek dla ludzi swych braci“, a za temi i cnota. Koriolan stracił wszystko, a nic dziwnego, że stracił szacunek dla ludzi; ale jakim sposobem doszedł do tego, że utracił i własny, tego Szekspir nie pokazuje. I tu domysłem dopełnić

trzeba to, co on opuścił. Koriolan własnego szacunku nie stracił, myśli, łudzi się, że nie stracił cnoty i czci. On „stężały w świadomości swojej zasługi i swojej zdolności“, jak się pięknie wyraża Gervinus, on cel uwielbienia własnego, przywykły patrzeć w siebie jedynie jako w jedno prawdziwe zwierciadło honoru, we własnych uczuciach czytać jak w kodeksie niemylne prawa i reguły cnoty, on nie przypuszcza, żeby mógł postąpić źle: a łudzi się tem łatwiej, że krzywda straszliwa, jaką poniósł, zaślepia go, że co widzi, to przez nią tylko widzieć może. I trzeba dopiero, żeby na samym brzegu przepaści wstrzymał go i otworzył mu oczy głos cudzy, głos matki. On sam nie widzi, a przynajmniej widzi bardzo niewyraźnie, czuje niedokładnie co zrobił. Zrozumieć to można znając Koriolana; ale tej walki, w której uraza i zemsta zwyciężają sumienie i honor, a za skutek mają zdradę i hańbę, tej nie widać. Straczna ona być musiała, bo człowiek wychodzi z niej zmieniony, wypalony jak wulkan. Ten Marcyusz popędliwy i ognisty, któremu gorąca niecierpliwość tak była do twarzy, odtąd i aż do końca jest spokojny i zimny jak głaz. On tyle zniósł, że aż ostygł, skamieniał. Została tylko namiętność zemsty, a ta jak wszystkie namiętności złe, jest zimna i cicha. Ale po tej zmianie temperamentu, po tym spokoju i panowaniu nad sobą, które w nim teraz są prawdziwe, poznać można jaka musiała być wewnątrz burza, jeżeli taką naturę tak przemienić mogła.

A jak Szatan po upadku, Szatan Miltona, zachował zewnętrzny kształt swojej dawnej archanielskiej piękności i mocy, tak i on napozór jest jakim był dawniej.

Deine edlen reinen Züge wissen
Noch nichts von dieser unglückseligen That

i pod odzieżą żebraka kryje się postać, w której sami niewolnicy Aufidiusza czują i odgadują coś wielkiego. A jak go Szekspir karze! jak go poniża okropnie! on w Rzymie nie chciał, wstydził się, pokazać w stroju proszącego: teraz dobrowolnie kładzie strój żebraczy między obcymi, żeby sobie miejsce między nimi wyprosić. On w Rzymie wzdrygał się

na dotknięcie rąk nie umytych, na oddech ust nie wypłókanych, a tu pcha się między pachołków myjących talerze, musi znosić ich przekąsy, odtrącać ich własną ręką, żeby jego za drzwi nie wypchnęli. Jaka sprawiedliwość, i jaka prawda! Ci polscy magnaci, którzy usługi swoje nieśli obcym panom, bo nie chcieli ugiąć karku przed królem Stefanem, albo przed królem Kazimierzem, albo przed królem Stanisławem, mogliby powiedzieć, ile upokorzeń bolesnych kryło się pod temi honorami, któremi ich dwory zagraniczne obsypywały.

Aufidyusz przyjmuje go gorąco. Nic łatwiejszego, jak być dobrym i wspaniałym dla nieprzyjaciela upokorzonego i zgnębionego. Podnosi nas to w oczach ludzkich, jego, i własnych, a nic nie kosztuje. Aufidyusz zaś lubi taką łatwą wielkość tanim kosztem. Postać to także głębokiej prawdy, dająca się często widzieć w życiu, bardzo rzadko w poezyi. Kiedy Koriolan uważa go za jedynego godnego siebie przeciwnika i ma za cel swojej nienawiści, robi mu za wiele zaszczytu. Jest on z pozorów tylko do Koriolana podobnym, a na prawdę jego waleczność jedna jest rzetelną rzeczywistą w nim zaletą. Zresztą, ma dobre popędy, ale nie umie w nich wytrwać, i miłość własna, zazdrość, bierze zaraz górę nad szlachetnością, którą ceni, którą nawet podziwia, której pragnie, którą się rad popisuje, ale której ma niewiele. On nie jest dumny jak jego nieprzyjaciel, tylko próżny: jego ideałem nie jest być tem czem jest, ale wydawać się czemś więcej niż jest. Typ wyborny tych ludzi, którzy trochę szlachetności mają, nieźle udają, że jej mają wiele, a wzięci na próbę, okazują egoizm pod jakąbądź formą. Otworzyć Koriolanowi ramiona, odegrać z nim scenę wspaniałomyślności, to gotów bez namysłu, bo w tem podziwia sam i daje podziwiać smoją wielką duszę. Ale widzieć, że Koriolana Wolskowie cenią wyżej nad niego i znieść to, tego już nie zdoła, i zaraz zazdrości, śledzi, podejrzywa, choć do podejrzeń nie ma powodu, zaraz się dręczy i trawi myślą jakby się pozbył współzawodnika i sam pozostał.

Ale zrazu idzie za dobrym popędem: ma w tem zawsze swój zysk, satysfakcyę miłości własnej, przecież szczerze i z dobrego serca przyjmuje go, otacza czcią i dzieli się z nim władzą. Koriolana to dobre przyjęcie, ten podział władzy gubi do reszty. Gdyby jej nie miał, gdyby nie ta materyalna sposobność i łatwość, możeby swojej zemsty nie wykonał. Ale pragnącemu zemsty dać wojsko, dać dowództwo, to dać szalonemu miecz, którym siebie i drugich bez namysłu zabije. Wyprawa na Rzym ułożona między nimi.

A w Rzymie? Miodowy miesiąc świeci władzy trybunów i ich tryumfowi; żadnej chmurki na ich horyzoncie: o Koriolanie nie słychać, wpadł gdzieś jak kamień w wodę. „Świat idzie swoim trybem na przekorę jego stronnikom,“ a lud, który spokojnie wrócił do swoich zatrudnień, rano i wieczór, dziękuje bogom, że mu dali takich obrońców. „Ten wasz Koriolan jakoś niewielką próżnię po sobie zostawił“, mówi Sycyniusz do starego Meneniusza. Prawda; świat zawsze idzie swoim trybem, kogokolwiekby zabrakło, a próżnia i po największych nawet mała, dopóki czasy spokoju nie potrzebują ich ramienia i głowy. Maszyna raz nakręcona toczy się równo po gładkiej kolei: ale jeżeli się droga skręci, jeśli na torze znajdzie się jaka zawada?

Edyl jakiś przybiega z doniesieniem, że Wolskowie dwoma wojskami wtargnąć mieli w granice Rzymu: „Aufidyusz nie traci czasu, mówi przyjaciel Koriolana“ ledwo się dowiedział, że Marcyusz wygnany, już jest. To bajka! to głupstwo! „Oniby z nami zerwać nie śmieli!“ Naturalnie: jakżeby mogli śmieć, kiedy tak niedawno byli pobici, i kiedy *my* u władzy! Tego niewolnika co bajki rozsiewa, wychłostać i kwita. Tak, nie przekonawszy się czy przypadkiem nie mówił prawdy? Wychłostać! od czegoż energia, od czegoż siła i powaga władzy? A potem, to niewolnik tylko, a potem to nie może być prawdą, „Wolskowie z nami zerwaćby nie śmieli.“ Zawsze u pewnego rodzaju polityków to samo pojęcie energii, i ta sama szczęśliwa pewność siebie.

Ale drugi goniec donosi, że to Marcyusz Wolsków na Rzym prowadzi. Nieprawda! to wymysł Patrycyuszów, któ-

rzy chcą lud nastraszyć, i Marcyusza napowrót sprowadzić. Ale w końcu trzeci goniec mówi: „Senat was wzywa, massy wojsk pod wodzą Marcyusza i Aufidyusza pustoszą naszą ziemię.“ Wątpić nepodobna, przeczyć próżno. Wierzy i sam Meneniusz, który w taki postępek swego bohatera wierzyć nie mógł. A rada gdzie? jaka? Niema wojska, niema wodza, niema obrony, „jedynie jego wspaniałość może nas ocalić,“ ale jakże na nią liczyć:

I któż go o nią poprosi; Trybunom
Wstyd nie otworzy ust; lud zasługuje
Na jego litość tak jak wilk na litość
Owczarza: jego przyjaciele także
Nie mogą się z tem odezwać, bo gdyby
Mu powiedzieli: *Oszczędź Rzym*, podobnąż
Niesprawiedliwośćby mu wyrządzili,
Jak ci, co jego ściągnęli nienawiść,
I okazaliby się przez to jego
Nieprzyjaciółmi.

Meneniusz.

Niestety, to prawda!
Gdybym go widział podpalającego
Mój dom, nie miałbym czoła mu powiedzieć:
Folguj. — Pięknieście nas wykierowali,
Trzymając z stekiem partaczów! Pięknieście
Spartali dzieło!

Kominiusz.

Wyście to przywiedli
Rzym o wstrząśnienie, któremu zaradzić
Niepodobieństwem jest prawie.

A trybuni na to? Tylko jedno słowo: *Nie mówcie, że to my!* Nie mówcie przed senatem, nie mówcie przed ludem, bo cóż się z nami stanie? Pokaże się, żeśmy glpi, żeśmy niedołężni i bezradni, żeśmy podstępni i źli, żeśmy sami byt Rzeczypospolitej narazili, a wtedy cóż się z nami stanie? Nie mówcie, nie mówcie, że to my!

Zbiega się i lud, przestraszony i nie wiedzący co począć, i jak zawsze każde ludzkie stworzenie naprzód o tem myśli, żeby z siebie zrzucić odpowiedzialność. To nie nasza wina!

O b y w a t e l e.

Straszne nas rzeczy dochodzą.

P i e r w s z y o b y w a t e l.

Co do mnie,
Kiedy mówiłem: wygnać go, mówiłem
Także, że szkodaby go było wygnać.

D r u g i o b y w a t e l.

I ja także.

T r z e c i o b y w a t e l.

I ja także, i prawdę mówiąc, wielu z nas tak samo mówiło. Cokolwiek zrobiliśmy, zrobiliśmy to w najlepszej myśli: i chociażeśmy dobrowolnie zgodzili się, żeby go wygnać, stało się to jednak mimo woli naszej.

Napróżno Sycyniusz tłómaczy, że niema się czego bać, że to wymysł arystokratycznej szajki którаby chciała, żeby to wszystko było prawdą: lud mądrzejszy od niego przeczuwa prawdę nietylko o groźnem położeniu Rzymu, ale może już i o nim samym.

W piątym akcie zasłona podnosi się na popłoch ten sam, tylko w wyższym stopniu. Jedyny ratunek we wspaniałości Koriolana: próbowano tego środka bez skutku. Kominiusz, dawny wódz, dawny przyjaciel, chodził do jego obozu z prośbą o pokój, klękał przed nim, i nie usłyszał słowa z jego ust.

On siedzi w złocie
Wzrok mu się iskrzy, jakby chciał Rzym spalić,
A litość jego jest spętanym więźniem
Jego urazy.

Trybuni nie mają żadnej rady, nic niepróbują, nic nie robią, tylko chodzą za senatorami i proszą jednego po drugim, żeby próbował odwrócić klęskę. A to czy nie prawdziwe? Czy nie sto razy się zdarzyło, że ręce niezdolne udźwignąć sytuacyi, którą stworzyły, składają się do prośby przed tęższymi od siebie, żeby się wzięli i coś z niej zrobili? Czy w naszej własnej, w naszej porozbiorowej już historyi przykładów takich nie było?

Prośby do Meneniusza. On najlepszy, on najdroższy z przyjaciół, niech idzie. Meneniusz się droży. Stary Kominiusz łajał, klął trybunów i lud, ale poszedł odrazu: w jego prostej żołnierskiej naturze złośliwości niema wcale. Rozumny a sceptyczny stary egoista pójdzie także, bo w gruncie jest poczciwy, ma dobre serce; ale ma pewną satysfakcyę w tem zaystydzeniu i zakłopotaniu trybunów, z rozkoszą mówi im na wszystkie tony „dobrze wam tak.“ Uczucie zupełnie zgodne z jego naturą, i z jego dowcipem, który lubi sytuacye komiczne. Biedny niebawem odpokutuje tę złośliwość, sam w taką sytuacyę popadnie.

Idzie zaufany w swój rozum, w swoją powagę, najbardziej w przyjaźń. Jeżeli kto Koryolana poruszy, to chyba on, on nawet poruszy go pewnie. Tak sobie mówi przez całą drogę; a kiedy niewolnicy czy straże nie chcą go puścić do obozu, mówi im tylko, że jest Meneniusz, nazywa się Meneniusz, to imię przecież dojść do nich musiało. Jest przyjacielem ich wodza, wymów tylko przed nim to imię, a zobaczysz jak się wszystkie drzwi przedemną otworzą. Na to nadchodzi Koriolan z Aufidyuszem. Biedny stary senator w imię przyjaźni, w imię ojczyzny, bogów, zaklina go w przemowie godnej Cycerona, żeby się ulitował nad Rzymem, a słyszy tylko jedną odpowiedź: *precz!* a potem obszerniej nieco, że nie zna ani jego, ani żony, ani dziecka, ani matki, ani nic, prócz swojej zemsty, i przechodzi obojętnie mówiąc:

Patrz Aufidyuszu, ten człowiek był pierwszym
Mym przyjacielem w Rzymie... a jednak —

A straż żartuje z biednego starca, który odchodzi ze wstydem i żalem.

— No i cóż mości panie, nazywasz się przecie Meneniuszem?

— To istne czarodziejskie słowo.

— Kaducznie nas zmyto za daną waszej wielmożności odprawę.

A jednak Koriolan nie tak zakamieniały jak się wydaje; i ten widok, te prośby, wzruszyły go więcej niż sam przed sobą wyznaje.

Ten starzec, którego
Świeżo z rozdartem sercem odprawiłem,
Kochał mnie bardziej niż ojciec; co mówię,
On mnie ubóstwiał: w istocie, ostatnia
Otucha Rzymu na nim polegała.
Okazałem się twardym względem niego;
Przez wzgląd jednakże na dawną z nim przyjaźń,
Podałem jeszcze raz owe warunki,
Które Rzym już był odrzucił, a których
I teraz pewno nie przyjmie, tembardziej
Że się za jego pośrednictwem większych
Rzeczy spodziewał: dobrze rzeczy zważywszy,
Ustąpiłem z nich nieco. Od tej chwili
Żadne wstawienia, żadne prośby posłów,
Ani prywatnych przyjaciół nie znajdą
Do mnie przystępu.

Ale ledwie to wyrzekł, widzi się wystawionym na trudniejszą próbę.

Małżonka moja idzie przodem, za nią
Szanowna forma, w której to naczynie
Wzięło początek, a obok niej mała
Odrośl jej szczepu...

Zaczyna się scena jedna z tych rzadkich na świecie, tak wielkich, że je wieki zapamiętały, a tak tragicznych, że poeta nie potrzebuje nic zmieniać, nic dodać do tego co za-

pisała historya. Tu, w dramacie, z natury rzeczy scena ta musiała być najpatetyczniejszą ze wszystkich; a jeżeli jej zakończenie, treść ostatniej prośby matki Szekspir znajdował prawie gotową w Plutarchu, to walka jest Szekspira samego.

Jest prowadzona w długich przemowach, sposobem Schillera, i tak rzewna, tak pełna uczucia, jak żeby on ją był pisał. Jest bardzo długa. Koriolan broni się zacięcie; wszystkie złe uczucia jego duszy, duma, zemsta, opór, fałszywy wstyd, wszystkie wyprężają się do ostateczności, żeby pokonać głos sumienia, miłości, ojczyzny: co chwila ulegają, dobre bierze górę, walczą znowu z podwójną siłą, i zdaje się, że zwyciężą, aż wreszcie powaga i stanowczość matki zwraca go ostatecznie na dobrą drogę.

Zrazu on się utwierdza w uporze: „Precz czułości! Pękajcie wtzystkie ogniwa natury.“ Ale kiedy widzi ten „wzrok gołębi (żony), na który bogowie nie mogliby być obojętni,“ kiedy widzi dziecko, i matkę, jak z daleka schyla się przed nim, „jak Olimp przed kretowiskiem“, mięknie, czuje, że jest „z takiego kruszcu jak inni“, słyszy, jak „cała natura woła *nie odmawiaj*“, i jak „zły aktor, na samym wstępie zapomina roli.“ Miłość bierze górę nad wszystkiem. On je tak kocha, tak za niemi tęsknił, że w tej chwili tylko jest szczęśliwy, bo je widzi.

O! choćby tylko jeden pocałunek,
Długi jak moje wygnanie, a słodki
Jak nasycenie zemsty! Na zazdrosną
Królowę niebios, pocałunek taki
Wziąłem od ciebie, luba, przy rozstaniu;
I wierne usta me w dziewiczym stanie
Zachowały go dotąd. O, bogowie!
Ja tu rozprawiam, a najszlachetniejsza
Ze wszystkich matek na tej ziemi jeszcze
Niepowitana. Zniżcie się kolana;
(*Klęka*).
Okażcie głębszą cześć, niż zwykłe hołdy
Niewieścich synów.

Ta wierność dochowana żonie, ta cześć przed matką, są to rysy piękne. Ale cóż im potem? Co dla żony warta jego wierność, kiedy on sam sobie wiernym nie był: a matce co za pociecha z jego uszanowania, kiedy go szanować nie może. Żona milczy, może tknięta w sercu tą wierną miłością, ale matka mówi, odpycha oznaki jego czci, każe mu wstać i przybija go do ziemi tem, że sama przed nim klęka, jak żeby była

Jakiemś obłędnem, pośredniem jestestwem
Pomiędzy dzieckiem a matką.

Żadnej czułości w jej słowach. Cokolwiek dzieje się w jej sercu, ona go teraz tą swoją prośbą sądzi i karze. Ona, kiedy jej syn mówi „nie proście mnie za Rzymem, nie żądajcie, żebym złamał wiarę Wolskom i kapitułował z rzemieślnikami Rzymu“, ona na ten opór i na tę pychę odpowiada groźbą:

Będziemy prosić, aby cała wina
Bezskuteczności naszych błagań
Spadła na ciebie...

i rozkazem: „Słuchaj!“

I zaczyna się ta pierwsza przemowa, w której wszystko co może natchnąć sumienie, honor, miłość rodzinna, boleść bez granic, wszystko jest zakończone groźbą, której dotrzymałaby z pewnością:

Nie prędzej pójdziesz zdobyć gród rodzinny
Nie prędzej, zapisz to sobie, aż przejdziesz
Po ciele matki swojej, po tem łonie,
Któreć wydało na świat.

Virgilia.

I po mojem.

Koriolan czuje, że już dłużej nie wytrzyma, chce odejść:

Kto nie chce przejąć niewieściego ducha,
Niech nigdy niewiast i dzieci nie słucha.

Ale odejść nie może, a słuchać musi, tej prośby drugiej, gorętszej, natarczywszej, targającej go za wszystkie uczucia serca.

O! nie odchodź!
Gdyby to, o co cię prosim, zmierzało
Do ocalenia Rzymian jednocześnie
Ze szkodą Wolsków, którym służysz, słusznie
Mógłbyś odrzucić nasze prośby, jako
Zgubną dla twego honoru truciznę;
Ale nam o nic innego nie idzie,
Jak o wzajemne pojednanie. Niechby
Wolskowie mogli powiedzieć; *wspaniale*
Postąpiliśmy z nimi, a Rzymianie:
Wspaniale z nami postąpiono; niechby
Jedni i drudzy błogosławiąc ciebie,
Mogli zawołać: *Chwała tobie sprawco*
Tego pokoju! Synu mój, wiesz dobrze,
Że skutek wojen zawżdy jest niepewny:
Ale to pewna, że gdybyś Rzym zdobył,
Całym owocem twojego zwycięztwa
Byłoby takie imię, które nigdy
Z niczyichby ust nie wyszło bez przekleństw,
Pod którem takby pisały kroniki:
Był to szlachetny mąż, ale ostatnim
Postępkiem zmazał całą swoją przeszłość,
Zburzył ojczyznę: imię jego przeto
Zgrozą dla przyszłych pozostanie wieków.
Ubiegałeś się o zaszczytny rozgłos,
Chciałeś majestat bogów naśladować,
Gromem powietrzne sklepienia rozsadzać,
A wżdyć do siarki swej użyłeś tylko
Takiego bełtu, któryby zaledwie
Dąb mógł rozszczepić. Nic nie odpowiadasz?
Mniemaszli, że to jest ozdobą męża
Niezapominać uraz? — Mów ty, córko:
On nie dba o twe łzy. — Mów ty, pachołę:

Może dziecinne twoje słowa więcej
Na nim wymogą, niż moja wymowa. —
Nikt niema większych niż on obowiązków
Dla matki, a on mi się tu pozwala
Rozwodzić, jakby spętany miał język.
Biedna ja, com cię do walk zachęcała,
Gdacząc jak kokosz, choć tracąc cię, mogłam
Zostać bezdzietną; com cię za powrotem
Obsypywała błogosławieństwami,
Nie miałam nigdy tej słodkiej pociechy,
Abyś mi w czembądź okazał powolność.
Nazwij żądanie me niesprawiedliwem;
Każ mnie odpędzić, nie rzeknę i słowa:
Ale jeżeli tego nie uczynisz,
Wręcz ci powiadam, że czynisz niegodnie,
I że bogowie skarzą cię za takie
Lekceważenie i łamanie względów
Matce należnych.

Jeszcze nie, jeszcze się trzyma, „odwraca się, milczy“, trzeba zaklęć mocniejszych.

Odwraca się, milczy:
Dalej niewiasty, zegnijmy kolana,
Upokórzmy go tem upokorzeniem:
Przydomek jego więcej widać wpływa
Na jego pychę, niż nasze błagania
Na jego czułość. Dalej na kolana!
Ostatni to już krok; — wrócimy potem
Do Rzymu umrzeć z rodakami. — Spojrzyj
Raz jeszcze na nas, na to chłopię, które
Nie mogąc jeszcze swych uczuć wysłowić,
Klęczy i ręce ku tobie wyciąga.
Czemżebyś upór twój usprawiedliwił
Wobec tej niemej wymowy?

I jeszcze nie? jeszcze nie uległ? A więc:

Dość tego:
Idźmy. Ten człowiek miał matkę Wolscyankę,
W Koryolach żonę ma, a jego dziecko
Musi być pewnie takie jak i ojciec; —
Bywaj zdrów! skoro ujrzę pożar Rzymu,
Wtedy ci powiem jeszcze coś: na teraz
Niczego więcej z ust mych nie usłyszysz.

I teraz z głębi serca wyrywa się krzyk *o matko!* i rzecz skończona. Pokój zawrze: co się z nim potem stanie to wszystko jedno. „Niech się święci twoje zwycięztwo, ja przyjmę następstwa jego.“

Miała szczęście i chwałę, kiedy urodziła syna, a ten wyrósł na bohatera; ale kiedy go odrodziła cnocie i czci, kiedy go dźwignęła z upadku, i ze zdrajcy zrobiła jeszcze raz zbawcą ojczyzny, musiała czuć chyba jakąś rozkosz nadziemską, najbliższą jej, jaką czuły matki chrześcianki, kiedy synów pogan modlitwą swoją nawracały i zbawiały.

Ale nie długo tej radości i tej męki. Kiedy wróci do Rzymu przyjęta jak bóstwo opiekuńcze, zamknie się w domu, i myśląc o tym synu, którego swoją prośbą, wysłuchaną, skazała na niechybną śmierć, zatruje się goryczą. Serce, które tyle zniosło, na tyle się zdobyło, musi wkrótce pęknąć: może na czas jeszcze, żeby nad jego śmiercią nie cierpieć. Żona biedniejsza, bo młoda, pożyje długo: bo w dumie i exaltacyi nie znajdzie tych pociech, jakie tamta znaleźć mogła: bo jej natura łagodna nie jest z tych, co pod wpływem cierpienia tracą siłę życia lub rozprzęgają się w obłąkaniu. Ona stworzona do rezygnacyi będzie musiała długo żyć tem smutnem uczuciem, a choć ma syna, i z niego może mieć pociechę, to i ta pociecha zatruta na zawsze, bo wspomnienie tego strasznego nieszczęścia powlecze cieniem i jego niewinne życie.

A sprawcy tego wszystkiego, trybuni? Jednego lud wlecze po ulicach i chce zabić, drugi gotów do ucieczki. Volumnia tem zwycięstwem, jakie odniosła nad synem i im ocaliła życie.

A Koriolan? Na świecie dla niego miejsca niema. Ani do Rzymu wracać: ani zostać Wolskiem! są położenia, z których niema wyjścia; a co gorzej, są drogi, z których niema odwrotu prostego. Z takiej zdrady jak jego wychodzi się tylko zdradą. To co zrobił było dobrem, było obowiązkiem, było jego odkupieniem, ale względem Wolsków było zdradą. Bo kiedy do ich sprawy przystał, on co innego przyrzekał, oni spodziewali się czego innego. Pokój najkorzystniejszy był zawodem i klęską dla tych, którzy liczyli na poniżenie i zniszczenie nieprzyjaciela. A gdyby jeszcze przez ich senat czy lud sądzony dał głowę pod miecz, śmierć ta byłaby szlachetniejszą i lżejszą, bo byłaby usprawiedliwioną. Ale on ginie inaczej; w jego przeznaczeniu było, żeby dumą swoją budził zazdrość, a w walce tych dwóch grzechów; która jest treścią dramatu, ostatni zwycięża swoją zwykłą bronią, podstępem.

Aufidyusz, który przyjąwszy Koriolana zaraz tego żałuje, bo się przez niego zaćmionym widzi, śledzi, podejrzywa go ciągle, i czeka tylko sposobności, żeby go zgubić. Ocalenie Rzymu dostarcza mu pozoru. Nie pewny czy lud i senat skazaliby na śmierć tego, kto bądź co bądź oddał im wielkie usługi i przyniósł pokój zaszczytny i korzystny, on uknuł spisek na zamordowanie Koriolana, i skoro ten wrócił do Ancyum niemal w tryumfie, tak go tam dobrze przyjęto, oskarża go o zdradę, i korzystając z zemięszania, z pomocą swoich spiskowych zabija. Ten zgon nie sławny, i to słowo *zdrajca*, ostatnie prawie, jakie na tym świecie słyszy, to kara Koriolana, który choć się podniósł i naprawił złe, jakie zrobił, odpokutować je powinien. W tem jest sprawiedliwość. A w tem znowu, że zazdrość zwyciężyła dumę i przeżyła ją, jest wielka psychologiczna i historyczna prawda. Ostatnią zaś ironią, jaką los Koriolanowi zgotował, jest to, że nad ciałem jego, bohatera prawdziwego, udany bohater Aufidyusz odgrywa komedyę wspaniałomyślności i żalu.

Oto dramat. Koriolan grzeszy pychą, trybuni zazdrością. On sprowadza na Rzym obcego nieprzyjaciela, oni zaburzenie lub wojnę domową, z której zewnętrzny nieprzyjaciel korzysta. On nawet, kiedy nie umiera w zbrodni i hańbie, umiera bez sławy, bo jedną zdradę może tylko drugą zmyć i poprawić; oni kończą w pogardzie, w zapomnieniu, tak, że nikt o nich nie pyta i nie wie. Nad jednym i drugimi stoi czysta godność i miłość ojczyzny, i w goryczy serca próbuje poprawiać co zepsuli, ratować co zgubili, szczęśliwa, jeżeli jak Volumnia naprawić i zbawić może, choćby kosztem największych poświęceń.

Kto winniejszy? Tego pytania Szekspir nie stawia sobie wcale: dlatego zapewne, że ono rozwiązania nie potrzebuje. Dla prostego sumienia i zdrowego umysłu, jak dla katechizmu, który je dawno obok siebie postawił, pycha i zazdrość są równie złe w zasadzie i skutkach, tylko w sposobach działania jedna może być brzydszą od drugiej. Za Szekspira tylko stawiali to pytanie jego komentatorowie, a widząc, że Koriolan w jego sztuce jest dzielniejszym i szlachetniejszym od swoich przeciwników, wyciągali ztąd wniosek, że Szekspir miał słabość do arystokratów i im pobłażał. Bardzo to ciasne pojęcie rzeczy: a Gervinus doprawdy zbyt wiele okazuje mu względu, kiedy je zbija. Mówi on, że ktoby porównał Koriolana wielkiego, nie z jego małymi przeciwnikami, ale z wielkimi bohaterami wolności, jak Brutus i Cassius w Cezarze, przekonałby się, że Szekspir jest bezstronny. Ten dowód może nie zdołałby dowieść, że poeta nie miał skłonności do arystokracyi, a do demokracyi wstrętu, bo w Cezarze właśnie spiskowi są arystokratami nie ze krwi tylko ale ze swoich przekonań i dążności, a demokratą jest Cezar i lud. Ale lepszy i prawdziwszy dowód jest w Koriolanie samym. Że ten podnosi się ze swojego upadku, to nie stronniczość poety temu winna, ale historya. A że pomimo pierwotnej szlachetności jego natury, jego wina nie jest zasłoniętą, ani zmniejszoną, ani uniewinnioną, dowodzi cały przebieg sztuki, dowodzi każde niemal słowo poety o bohaterze, dowodzi jego koniec. Wszakżeż nie o to chodzi, kto

się poecie więcej lub mniej podobał, tylko o to, czy on, jakiekolwiek mogły być jego upodobania, widział i napisał prawdę o wszystkich.

Prawda jest: i w Koriolanie, i w trybunach, i w ludzie, i w tym patrycyacie miękkim i biernym, i w każdej postaci z osobna od bohatera aż do rzemieślnika lub pachołka; prawda stwierdzona całą historyą Europy, która w tym dramacie o jednym Koriolanie poznaje wszystkich, jakich widziała ludzi mszczących się na swojej ojczyźnie, i wszystkich tych, którzy przez zaburzenie i nieład kiedykolwiek do władzy dążyli, dochodzili, i przy niej się utrzymywali. A nauka z tej prawdy dla Koriolanów nie jest mniej surowa jak dla trybunów. Jest zaś tak głęboka, że z tym dramatem w ręku, i objaśniając każde jego słowo, możnaby zrobić obraz, rachunek sumienia, i psychologiczną diagnozę tak arystokracyi jak demokracyi. Macchiavel mógłby do tej poezyi dorobić komentarze tak mądre i wysnuć z niej tak nieśmiertelne prawdy, jak to zrobił z pierwszą Dekadą Liwiusza.

Ile jest piękności i życia, wzniosłego pathos i trafnego dowcipu, jakim ideałem tęgości a zarazem męzkiej serdeczności jest sam bohater, jaka jest wielkość w jego matce, jaka bystrość w odkryciu i przedstawieniu tego bohaterstwa mniejszego, pozornego, które jest tłem natury Aufidyusza, ile rozumu, humoru i wdzięku ma w swoim lekkim egoizmie i sceptycyzmie nieoceniony Meneniusz, jak trafnie a jak bezstronnie odmalowany jest lud, jeden z głównych aktorów dramatu, o tem dowiedzieć się można tylko z czytania, i jeszcze czytania, z zagłębienia się w przedmiot, z porównywania go z tem, co się wie z historyi lub własnemi oczyma w świecie widzi.

Ale jedno jeszcze zostaje pytanie: czy jest tam co polskiego i jakie do naszych dziejów lub natur przystósowanie? Naród, w którym pierwiastek oligarchiczny znaczył i działał więcej może niż w każdym innym, a który przytem przez jakąś niepojętą sprzeczność swojej natury był pełen zawsze demokratycznych egalitarnych instynktów, taki naród musi zapewne znaleść w tym obrazie wiele do sie-

bie podobieństwa. Nasze sejmy, nasze konfederacye, nasze najzbawienniejsze polityczne myśli i nadzieje udaremnione przez podejrzliwość, przez intrygę, przez zazdrość, te pozuaje się w tej sprawie doskonale. Jednego tylko w historyi naszej dojrzeć nie można, to Koriolana. Ze wszystkich, którzy się na Rzeczypospolitej mścili rokoszem lub służbą u obcych panów. Lubomirski jeden mógł się przynajmniej za skrzywdzonego udawać, miał przynajmniej pozór: wyrok wydany na niego był słuszny, bo istoty czynu i powodów do niego nie brakło, ale nie było materyalnych dowodów, więc nie był prawny w formie. Z tym wyjątkiem, który z naszych tak zwanych Koriolanów doznał krzywdy, nie sprawiedliwości? żaden. Byli, prawda, skrzywdzeni ciężko, byli tacy, którzy za krzywdę swoją mieli prawo wołać o pomstę do Bogo: Żółkiewski, kiedy mu zazdrość nie dała środków do prowadzenia wojny, a potwarz do niej popchnęła. Skrzywdzonym był Czarniecki, przez całe życie krzywo widziany, odsuwany od tej buławy, którą dostał zapóźno; i Zamoyski, kiedy pod Pskowem stojąc, woła o posiłki, które mogą raz na zawsze Polskę od Rosyi obronić, a których mu zawiść nie daje; skrzywdzony był i Stefan i Władysław i Jan Kazimierz, wszyscy skrzywdzeni na prawdę. Ale ci się nie mścili. Tamci zaś, którzy im przeszkadzają, a sami obrażeni czy o kamienicę, czy o urząd nieotrzymany, czy o inny podobny dobry powód, robią rokosz lub spisek z postronnemi państwami, tacy nie są warci miana Koriolanów, bo on miał przynajmniej jakąś krzywdę, jakąś okoliczność łagodzącą i tłómaczącą, a oni żadnej. Oni byli wszyscy od niego gorsi. Nie; Koriolana na prawdę nie było w naszej historyi.

Trybuni bywali.

SPIS RZECZY.



